

Kalendarz cieszyński

1992



KALENDARZ
CIESZYŃSKI
1992



MACIERZ ZIEMI CIESZYŃSKIEJ
CIESZYN 1991

Zredagowało Kolegium:

ROBERT DANIEL (przewodn.)
KAZIMIERZ FOBER
STANISŁAW GŁAZOWSKI
LEON MIĘKINA
EDMUND ROSNER

Redakcja techniczna:

KAROL MENDROCH

Projekt okładki:

WIKTOR KOLONKO

Zdjęcia na okładce:

JANINA CIUPEK



SL
03 + 058 / 059

9431

Sto ósma pozycja wydawnicza Macierzy Ziemi Cieszyńskiej

Wydawca: Macierz Ziemi Cieszyńskiej
Druk: Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza
Nakład: 2000 egz. Ark. druk. 18.
Zam. nr 1293-k-91

EMILIA MICHALSKA

Na Nowy Rok

*Zaświeć, gwiazdko noworoczna,
nad ojczystą ziemią,
obudź skarby, które w sercach
jej mieszkańców drzemią!*

*Daj ramionom śmigle skrzydła
niespożyte w locie —
sercom miłość — bo treść szczęścia
jest nie tylko w złocie!*

*Daj, gwiazdeczko noworoczna,
polom twej złotości,
by rodziły nam pszeniczkę
na chleb w obfitości;
i kopalniom i fabrykom
udziel swego blasku.*

*Użycz tyle szczęścia, zdrowia,
ile w morzu piasku!*

STYCZEŃ

1 Ś NOWY ROK, Mieczysława

2 C Izydora, Makarego

3 P Danuty, Genowefy

4 S Anieli, Eugeniusza

5 N Edwarda, Szymona

6 P Kacpra, Melchiora, Baltazara

7 W Juliana, Lucjana

8 Ś Mściława, Seweryna

9 C Marcjanny, Marcelego

10 P Jana, Wilhelma

11 S Feliksa, Honoraty

12 N Arkadiusza, Benedykta

13 P Weroniki, Bogumiła

14 W Feliksa, Hilarego

15 Ś Makarego, Pawła

16 C Marcelego, Włodzimierza

17 P Antoniego, Rościsława

18 S Małgorzaty, Piotra

19 N Henryka, Mariusza

20 P Fabiana, Sebastiana

21 W DZIEŃ BABCI, Agnieszki

22 Ś DZIEŃ DZIADKA, Wiktora

23 C Marii, Rajmunda

24 P Felicji, Rafała

25 S Tatiany, Miłosza

26 N Pauliny, Polikarpa

27 P Jana, Przybysława

28 W Radomira, Walerego

29 Ś Franciszka, Zdzisława

30 C Macieja, Martyny

31 P Ludwiki, Marceliny

ROCZNICE

21 I 1517. Książę cieszyński Kazimierz sprzedał Aleksmu Thurzo Pszczynę (miasto i zamek), 3 miasteczka i 52 wsie za 40 tys. węgierskich złotych.

28 I 1617. Spaliło się miasto Frydek; ocalał jedynie kościół.

27 I 1702. W Górnej Suchej urodził się ks. Jerzy Sarganek — nauczyciel, pastor ewangelicki w Cieszyńcu, pisarz, oskarżony o pietyzm, wygnany z kraju wraz z ks. Janem Mathmannem i Samuelem Ludwikiem Zasadiusem uważanych za twórców piśmiennictwa polskiego na Śląsku Cieszyńskim.

17 I 1867. Urodził się we Lwowie Wiktor Schmidt — prof. łaciny i greki, autor prac naukowych, 1906—1917 dyr. Gimnazjum im. A. Osuchowskiego w Cieszyńcu, następnie Gimnazjum im. J. Sobieskiego w Krakowie. Zmarł 23 VII 1920 w Ujanowicach k. Nowego Sącza.

1 I 1892. W Cieszyńcu wyszedł, pod redakcją Jerzego Kubisza, pierwszy numer „Miesięcznika Pedagogicznego” — organu Pol. Kółka Pedagogicznego w Ustroniu, później Pol. Towarzystwa Pedagogicznego w Cieszyńcu.

1 I 1897. We Fryszacie wyszedł pierwszy numer „Głosu Śląskiego”. Od 1911 r. pismo było organem Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wychodziło do 1939 r.

22 I 1897. Urodził się w Zarzeczcu Ludwik Kobiela

— prof. gimnazjum polskiego w Orłowej, publicysta, pisarz regionalny, autor zbioru opowiadań „Zabi kraj” i utworów scenicznych, m.in. „Opryszka”. Zmarł 30 XII 1945.

15 I 1902. Zmarł w Ustroniu Andrzej Broda — działacz samorządowy, wójt, działacz społeczny i narodowy. Urodził się 30 XI 1832 w Goleszowie.

1 I 1907. Towarzystwo Rolnicze przejęło na własność pismo „Rolnik Śląski”.

9 I 1917. Niemiecka większość Sejmu Śląskiego w Opawie uchwaliła memorandum protestujące przeciw próbom rozciągnięcia „wyjątkowej pozycji Galicji” na część Śląska Cieszyńskiego.

25 I 1932. W Berlinie zmarł inż. Józef Kiedroń — górnik, jeden z czołowych działaczy narodowych na Śląsku Cieszyńskim, minister przemysłu i handlu w rządzie Grabskiego. Urodził się 17 III 1879 w Błędowicach Dolnych.

6 I 1947. W Trzynie przedstawiciele ludności polskiej uchwalili rezolucję potępiającą dyskryminację polskiej mniejszości narodowej.

18 I 1947. Gustaw Morcinek został wybrany prezesem katowickiego oddziału ZLP.

3 I 1962. W Pradze zakończyły się rokowania polsko-czechosłowackie. Postanowiono m.in., że wywieziona przez okupanta biblioteka Leopolda Szersznika powróci do Cieszyńcu.



NOTATKI

Według etymologii ludowej jest to miesiąc, który „styka się” z ostatnim miesiącem starego roku, ale — jak to wskazuje dawna nazwa *tyczeń* — miesiąc ten nazwano tak, bo *tyki wtedy gospodarz sporządza* (Brückner). Po staropolsku zwał się on *ledzień*, tak jak po czesku *leden*, co związane jest z lodem; „lodowy miesiąc”. Po białorusku jest to *studzień* (od studzić, czynić coś zimnym). W innych językach *siczeń*, *sjeczań*, *seczeń*, *seczko*, a w gwarach bułgarskich także *golam seczko*, tj. „duży styczeń”, w odróżnieniu od *małak seczko* (tj. „mały styczeń, czyli luty”). Najstarszą, słowiańską nazwą stycznia był *sieczień*. Według etymologii ludowej: miesiąc, który „siecze” śniegiem i mrozem, ale może też być związane z sieczeniem, tj. rąbaniem drzew w lesie do sporządzania tyk, stąd nazwa niemiecka *holzmanat*. Po litewsku styczeń nazywa się *sausio menuo* („suchy miesiąc”), po fińsku *tammi-kuu* („dębowy księżyc”). W Rzymie poświęcony był on Janusowi (*Januarius*), który jedną twarz miał zwróconą ku przyszłości, drugą ku przeszłości.

LUTY

- 1 S Brygidy, Ignacego
2 N **Marii, Mirosława**

- 3 P Błażeja, Hipolita
4 W Andrzeja, Józefa
5 Ś Agaty, Adelajdy
6 C Doroty, Bohdana
7 P Romualda, Ryszarda
8 S Jana, Piotra
9 N **Apolonii, Cyryla**

- 10 P Elwiry, Jacka
11 W Bernadetty, Marii
12 Ś Benedykta, Damiana
13 C Grzegorza, Katarzyny
14 P Walentego, Zenona
15 S Jowity, Faustyna
16 N **Danuty, Julianny**

- 17 P Juliana, Łukasza
18 W Konstancji, Maksyma
19 Ś Arnolda, Konrada
20 C Ludmiły, Leona
21 P Feliksa, Piotra
22 S Marty, Małgorzaty
23 N **Romany, Damiana**

- 24 P Bogusza, Macieja
25 W Cezarego, Wiktora
26 Ś Aleksandra, Mirosława
27 C Anastazji, Gabriela
28 P Makarego, Romana
29 S Lutosława, Romana

ROCZNICE

15 II 1862. W nowo założonej Czytelnii Ludowej w Cieszyńcu 40 znaczących gospodarzy postanowiło założyć Towarzystwo Rolnicze.

8 II 1877. W Skaliczy zmarł ks. Józef Onderek — proboszcz tamtejszej parafii kat., autor czeskiego kancjonału i książki modlitewnej (1865), które doczekały się 10 wydań. Urodził się 11 III 1811 w Cierlicku.

21 II 1872. W Milikowie urodził się Jerzy Kantor — przewodniczący Stowarzyszenia Górniczego, członek Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. Zmarł 6 II 1954 w Suchej Górnej.

21 II 1807. W Saksonii urodził się Ludwik Hoheneger — od 1839 r. dyrektor dóbr śląskich arcyks. Albrechta, inicjator badań geologicznych, twórca przemysłu węglowego w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim. Zmarł 1864 w Cieszyńcu.

21 II 1922. Zmarł w Cieszyńcu Hilary Filasiewicz — prawnik, prezes Macierzy Szkolnej (1905—1922), dyr. Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek. Urodził się 20 VI 1846 w Rzeszowie.

28 II 1932. W Piosutnie (pow. Szczecino) został zamordowany Jerzy Lanc — nauczyciel, działacz narodowy, od 1931 r. kierownik jedynej polskiej szkoły na Mazurach. Urodził się w 1901 r. w Kostkowicach.

18 II 1327. Książę cieszyński Kazimierz złożył w Opawie hołd królowi czeskiemu Janowi Luksemburgowi. Jego księstwo stało się lennem.

22 II 1407. Król czeski Wacław oddał księciu cieszyńskiemu Przemysławowi w lenno ziemię oświęcimską po zmarłym bezpotomnie księciu Janie.

14 II 1482. Książę cieszyński Kazimierz przyznał wsi Strumień, na prośbę Mikołaja Brodeckiego, status miasteczka i zezwolił mieszkańcom pozyskiwać drewno na budowę domów z książęcego lasu.

23 II 1782. W Bierach k. Skoczowa urodził się Jan Bożek — zegarmistrz, mechanik, wynalazca. Zmarł w Pradze 23 II 1835 r.

22 II 1712. Bunt mieszczan frydeckich przeciwko hr. Oppernsdorffowi, który zamierzał przenieść cudowny obraz Matki Boskiej z Frydku do Opawy.

17 II 1737. W Trzyczcu urodził się ks. Paweł Twardy — proboszcz parafii ewangelickiej we Wrocławiu, działacz narodowy, wydawca postylli i polskiego przekładu biblij, autor polskich książek religijnych. Zmarł 20 XII 1807 r.

10 II 1882. W Wiedniu zmarł zasłużony dla rozwoju gospodarczego Śląska książę sasko-cieszyński Albert — syn króla polskiego Augusta II, zięć cesarzowej Marii Teresy, właściciel dóbr Komory Cieszyńskiej. Urodził się 11 VII 1738 w zamku Moritzburg k. Drezna.



NOTATKI

Luty zapożyczył swą nazwę od *lutych*, tj. „silnych, srogich, złych” mrozów; tak nazywa się także po ukraińsku i białorusku (*ljutaj*). Podobnie w gwarach niemieckich: *Hartmonat* („ciężki, srogi miesiąc”). Piękna jest nazwa fińska lutego *helmi-kuu* („perłowy miesiąc”) — zapewne od perłście skrzącego się śniegu i lodu. Po staropolsku zwał się także *strąpacz*, bo „drogi strzepo” przy pierwszych odwilżach, *mięsopustnik* i *gromnicznik* (od Matki Boskiej Gromnicznej). W gwarach ukraińskich to także *kazydoroha* („ten, który drogi kazi, czyli psuje”), a także *sicznenko* („syn stycznia”), co przypomina bułgarskie gwarowe: *małak seczko* („mały styczeń”). W starożytnym Rzymie był to *februarius*, miesiąc poświęcony februsowi, bogu oczyszczenia z brudów i grzechów (stąd febra — „gorączka oczyszczająca”). Był to ostatni miesiąc rzymskiego roku, w którym należało uczynić rachunek sumienia za cały rok miniony, żeby po „oczyszczeniu” rozpocząć nowe, lepsze życie w nowym zaczynającym się w marcu. Po czesku *unor*.

MARZEC

1 N Albina, Antoniego

- 2 P Heleny, Pawła
- 3 W Kunegundy, Maryny
- 4 Ś Łucji, Kazimierza
- 5 C Fryderyka, Wacława
- 6 P Róży, Wiktora
- 7 S Pawła, Tymoteusza
- 8 N **DZIEŃ KOBIET**

- 9 P Franciszki, Katarzyny
- 10 W Cypriana, Marcelego
- 11 Ś Benedykta, Konstantego
- 12 C Bernarda, Grzegorza
- 13 P Bożeny, Krystyny
- 14 S Matyldy, Leona
- 15 N **Ludwika, Klemensa**

- 16 P Izabeli, Hilarego
- 17 W Gertrudy, Zbigniewa
- 18 Ś Cyryla, Edwarda
- 19 C Bogdana, Józefa
- 20 P Klaudii, Wincentego
- 21 S Benedykta, Lubomira
- 22 N **Katarzyny, Bogusława**

- 23 P Pelagii, Feliksa
- 24 W Gabriela, Marka
- 25 Ś Marii, Wierczysława
- 26 C Emanuela, Teodora
- 27 P Lidii, Ernesta
- 28 S Anieli, Jana
- 29 N **Wiktoryny, Eustachego**

- 30 P Anieli, Jana
- 31 W Balbiny, Kornelii

ROCZNICE

18 III 1477. Zmarł książę cieszyński Przemysław II — zwolennik unii polsko-czeskiej, który pomógł Jagielonom zasiać na tronie czeskim.

3 III 1747. W Cieszynie, przy ul. Polskiej 30, urodził się najwybitniejszy przedstawiciel cieszyńskiego Oświecenia ks. Leopold Szersznik — jezuita, prefekt gimnazjum katolickiego w Cieszynie, założyciel biblioteki i muzeum. Zmarł 21 I 1814 r. w Cieszynie.

24 III 1862. W Skoczowie zmarł Franciszek Mainhalt — pochodzący z Czech malarz, który zamieszkał w Skoczowie, gdzie ożenił się 16 V 1857. Malował obrazy o tematyce religijnej. Obraz „Ostatnia wieczerza” zachował się w ołtarzu kościoła ewangelickiego w Goleśzowie.

5 III 1877. W Cieszynie zmarł dr Ludwik Klucki. Pochodził z Moraw, gdzie urodził się 16 I 1801. W Cieszynie jako notariusz i wydawca (m.in. „Tygodnika Cieszyńskiego”) oraz burmistrz miasta (1850–60) budził świadomość narodową polskiej ludności Cieszyńskiego i walczył o jej równouprawnienie narodowe.

17 III 1907. W Strumieniu powstała Polska Czytelnia Ludowa. Do założenia przyczynili się szczególnie: Józef Koźdoń — nauczyciel, późniejszy przywódca separatystów oraz Antoni Mueller — późniejszy burmistrz miasta. Do końca czasów austriackich Czytelnia była jedyną polską organizacją w zgermanizowanym Strumieniu.

2 III 1947. Wyszedł pierwszy numer „Szyndziolów”, które z czasem przekształciły się w wychodzący dotąd w Czeskim Cieszynie „Zwrot”.

10 III 1947. Do PUBP (bezpieki) w Cieszynie zgłosił się dowódca nieujawnionego dotąd oddziału partyzanckiego — Bartek. Oznaczało to zakończenie walk bratobójczych na Śląsku Cieszyńskim.

21 III 1962. W Warszawie zmarł ks. prof. dr Jan Szeruda — pastor ewangelicki, katecheta gimnazjów w Orłowej i Cieszynie, prof. Wydziału Teologii Ewangelickiej UW, biskup kościoła ewang. a. w., tłumacz z greckiego i hebrajskiego, inicjator nowego przekładu Biblii. Urodził się 26 XII 1889 r. w Wędrynie.



NOTATKI

Nazwa wywodzi się z łacińskiego *martius* („miesiąc poświęcony bogu wojny, Marsowi”). Tak do dziś po niemiecku *März*, po rosyjsku *mart* i po ukraińsku: *mart*, *marec*, *marot* i *marczyk*. Pierwotnie po słowiańsku nazywał się on *brzezień* (tak po staropolsku), np. czeski *brzezen*, ukraiński *berezeń*, słoweński *brezen*. Nazwa wywodzi się od brzozy, ale nie od samego drzewa, tylko od soku brzozowego, a raczej od zoły brzozowej (tj. popiołu), co potwierdzają nazwy ukraińskie: *berezozoł*, *berezoti* („brzozociek”) i *sokowyk*, białoruskie *sakawik*. W gwarach bułgarskich jest to także *suszec*, a w ukraińskich *suchyj*, co powtarza się w duńskim *tormaaned* („suchy miesiąc”). Przypomina to przysłowie: *Suchy marzec, mokry maj, będzie żytko niby gaj!* U finów był to ostatni miesiąc roku (*maalis-kuu*), zaś u Rzymian — pierwszy miesiąc roku (stąd kalendy marcowe i idy marcowe, tj. 15 III, kiedy to w 44 r. p.n.e. zamordowano Cezara). Z marcem wiązą niektórzy marzannę, ale pochodzi ona od imienia Marianna (po staropolsku: Marzanna).

KWIECIEŃ

- 1 Ś Grażyny, Zbigniewa
- 2 C Franciszka, Władysława
- 3 P Pankracego, Ryszarda
- 4 S Izydora, Wacława

5 N Ireny, Wincentego

- 6 P Celestyna, Wilhelma
- 7 W Donata, Rufina
- 8 Ś Dionizego, Januarego
- 9 C Mai, Marcelego
- 10 P Małgorzaty, Michała
- 11 S Filipa, Leona

12 N Juliusza, Zenona

- 13 P Idy, Przemysława
- 14 W Justyny, Waleriana
- 15 Ś Anastazji, Wacława
- 16 C Julii, Benedykta
- 17 P Roberta, Rudolfa
- 18 S Apoloniusza, Bogusława

19 N WIELKANOC

20 P PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY

- 21 W Anzelma, Feliksa
- 22 Ś Leona, Łukasza
- 23 C Jerzego, Wojciecha
- 24 P Aleksego, Grzegorza
- 25 S Jarosława, Marka

26 N Marii, Marzeny

- 27 P Zyty, Teofila
- 28 W Walerii, Pawła
- 29 Ś Piotra, Roberta
- 30 C Katarzyny, Mariana

ROCZNICE

21 IV 1647. Wojska cesarskie zdobyły zamek w Cieszyńcu. Szwedzi wycofali się do Opawy.

15 IV 1842. W Hrubieszowie urodził się Stanisław Hasiewicz — lekarz, filantrop, organizator pomocy dla Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego. Zmarł 1 X 1912 w Warszawie.

30 IV 1847. Zmarł arcyksiążę Karol — książę cieszyński, właściciel dóbr Komory Cieszyńskiej.

2 IV 1872. Urodził się w Nowym Jorku Tadeusz Reger — działacz socjalistyczny na Śląsku Cieszyńskim. W 1895 zamieszkał w Porębie. Był jednym ze współprzewodniczących Rady Narodowej Księstwa cieszyńskiego, posłem na Sejm. Zmarł 15 X 1938 w Bystrej.

23 IV 1892. W Kostkowicach urodził się Jerzy Szczurek — nauczyciel szkoły ćwiczeń przy seminarium nauczycielskim w Cieszyńcu, uczestnik przewrotu wojskowego z 31 X na 1 XI 1918 w Cieszyńcu, dowódca Milicji Ludowej i POW, autor pamiętnika „Z wielkich dni Śląska Cieszyńskiego”. Zginął 16 XII 1941 w Mauthausen — Gusen.

18 IV 1907. W Wiśle urodził się Jerzy Drozd — nauczyciel, dyrektor szkoły muzycznej w Cieszyńcu (1945–70), organizator ognisk muzycznych i Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Wiśle, zbieracz pieśni ludowych, autor m.in. „Wiązanki tańców Śląskich” i „Dożynek cieszyńskich”. Zmarł 26 X 1981 r.

28 IV 1912. Groźny pożar w Skoczowie — spłonęło 6 domów przy ul. Bielskiej.

25 IV 1917. W Brnie zmarł dr Franciszek Slama — sędzia w Cieszyńcu, czeski działacz narodowy, autor m.in. „Historii Śląska Cieszyńskiego” (1888) i „Patriotycznych wędrówek krajoznawczych po Śląsku” (1886). Urodził się 3 XI 1850 w Chotieborzu.

1 IV 1937. W Cieszyńcu zmarł Władysław Michejda — dr praw, adwokat, burmistrz Cieszyna. Urodził się 17 III 1876 w Nawsiu.

11 IV 1972. W Cieszyńcu zmarł Alfons Mackowski — doc. dr med., wybitny chirurg, dyrektor szpitala Śląskiego w Cieszyńcu. Urodził się 19 V 1902 w Suchej Górnej.



Nazwa jest jasna: kwiecień to miesiąc kwitnienia kwiatów, choć po staropolsku nazywano go *łżykwiatem* lub *łudzikwiatem*, bo *wyludza z ziemi przedwcześnie kwiaty* (Brückner). Tak nazywa się w innych językach lub gwarach słowiańskich: ukraińskie *kwiteń* i *ćwieteń*, białoruskie *kwiecień*, bułgarskie *cwetni*, słoweńskie *cwetecznik* i czeskie *kwieten* oznaczają jednak „maj”. Po czesku kwiecień nazywa się *duben*, co odpowiada staropolskiej nazwie kwietnia *dębień* — od dębu. Piękna jest gwarowa nazwa białoruska i ukraińska: *krasawik*, *krasowyk* — miesiąc pełen krasy, tj. piękna. Dziwna jest litewska nazwa kwietnia *balandžio menuo* „miesiąc gołębi” (*balandis* — gołąb). Łaciński *aprilis* (stąd *Prima Aprilis* „pierwszy dzień kwietnia”), to „słoneczny, gorący miesiąc” związany z wyrazem *apricus* „słoneczny, wystawiony na słońce” i *aprior* „wygrzewać się na słońcu”. Kwiecień w starożytnym Rzymie musiał być więc cieplejszy niż u nas. Nasz kwiecień — nazywa się *plecień*, bo *przeplata trochę zimy, trochę lata*.

MAJ

1 P ŚWIĘTO PRACY, Józefa
2 S Anatola, Zygmunta
3 N ŚWIĘTO KONSTYTUCJI
3 MAJA, Marii Królowej
Korony Polskiej

4 P Moniki, Floriana
5 W Ireny, Waldemara
6 Ś Dominika, Filipa
7 C Benedykta, Ludomira
8 P Stanisława, Wiktora
9 S Katarzyny, Grzegorza
10 N Antoniego, Izidora

11 P Franciszka, Jakuba
12 W Dominika, Pankracego
13 Ś Roberta, Serwacego
14 C Bonifacego, Dobiesława
15 P Zofii, Jana
16 S Andrzeja, Włodzisława
17 N Weroniki, Sławomira

18 P Eryka, Feliksa
19 W Mikołaja, Piotra
20 Ś Bazylego, Bernarda
21 C Tymoteusza, Wiktora
22 P Heleny, Julii
23 S Iwony, Dezyderiusza
24 N Joanny, Zuzanny

25 P Grzegorza, Leona
26 W DZIEN MATKI, Augustyna
27 Ś Magdaleny, Jana
28 C Augustyna, Jaromira
29 P Magdaleny, Teodozji
30 S Feliksa, Ferdynanda
31 N Anieli, Petroneli

ROCZNICE

29 V 1637. Zmarł na wygnaniu w Liptowskim św. Mikułasu ks. Jerzy Trzanowski — działacz reformacyjny zwany „polskim Lutrem”. Urodził się 9 IV 1591 w Cieszyńcu.

12 V 1722. Cesarz Karol VI przekazał Śląsk Cieszyński w lenno Leopoldowi Lotaryńskiemu.

6 V 1757. Urodził się w Strumieniu ks. Jan Brzuska — proboszcz parafii kat. w Cieszyńcu i w Istebnej, poza tym lekarz, fizyk, bibliofil, autor modlitewnika, twórca biblioteki dekanatu cieszyńskiego. Zmarł w 1840 r.

1 V 1787. Przy szkole głównej w Cieszyńcu zorganizowano kurs preparandy — pierwszy zakład kształcenia nauczycieli.

9 V 1807. W Lesznej Dolnej urodził się Paweł Ciećciała — wójt Mistrzowic, działacz narodowy, ojciec Jerzego Ciećciały zwanego „polskim królem”. Zmarł 10 VI 1883 w Mistrzowicach.

20 V 1867. W Jabłonkowie urodził się ks. Antoni Macoszek — proboszcz parafii kat. w Dziedzicach, założyciel Czytelni Polskiej w Boguminie, autor pierwszego przewodnika turystycznego po Śląsku Cieszyńskim, współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszyńcu, redaktor „Pocła Związku Śląskich Katolików”. Został zamordowany 9 I 1911 w Dziedzicach.

1 V 1872. Karol Malik otworzył w Cieszyńcu pierwszą polską księgarnię. Istniała do 1892 r.

18 V 1882. W Ciećcinie k. Węgierskiej Górki urodził się Jan Drozd — twórca i pierwszy dyrektor Szkoły Muzycznej w Cieszyńcu (1934—39). Został rozstrzelany na starym cmentarzu żydowskim w Cieszyńcu 30 IV 1945.

11 V 1907. W Ligotce Kameralnej zmarł ks. Jerzy Heczko — pastor ewang. parafii w Ligotce Kameralnej, autor i wydawca pierwszego polskiego kancjonału ewangelickiego (1885). Urodził się w Łyżbicach w 1825 r.

12 V 1907. W Końskiej urodził się Paweł Kubisz, autor poematu „Przednówek”, pisarz, redaktor naczelny „Zwrotu”, czołowy działacz PZKO. Został pozbawiony wszystkich funkcji zatrudniony jako robotnik w hucie Trzyniec. Zmarł 19 VIII 1968 w Czeskim Cieszyńcu.

14 V 1927. Podczas bankietu z okazji otwarcia linii kolejowej Skoczów — Chybie w hotelu „Pod Białym Koniem” w Skoczowie zmarł dr Jan Michejda — adwokat, poseł na Sejm Śląski w Opawie i do parlamentu wiedeńskiego, jeden z trzech przewodniczących Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, naczelnik Rządu Krajowego, burmistrz Cieszyńca, działacz Macierzy Szkolnej i „Sokoła”. Urodził się 18 VII 1853 w Olbrachcicach.

29 V 1942. W Dachau zginął Jerzy Probosz — robotnik leśny, poeta ludowy, autor „Wesela górali istebniańskich”. Urodził się 2 IV 1901 w Istebnej.



NOTATKI

Piąty miesiąc o międzynarodowej nazwie maj w starożytnym Rzymie poświęcony był boginii Mai (*Maius mensis*). Były dwie Maje: grecka, jedna z plejad, córka Atlasa, matka Hermesa, oraz rzymska boginii przyrody, której największy rozkwit na maj właśnie przypadał. W języku polskim maj jako nazwa pospolita oznaczał także *ścięte zielone gałązki lub drzewka* służące do „majenia” domów. Majownikiem nazwano *konwalie dwulistną*, maik to „żuk majowy” (w odróżnieniu od czerwcyka), majówka zaś to dawny „weekend”. Po ukraińsku maj to *trawień* (od zielonej trawy), po serbsku był to *weliki trawen* w odróżnieniu od kwietnia, który zwał się *mali trawen*; dziś to *swibanj* od czasownika *swibati* „kielkować”, „wschodzić”. Po czesku maj nazywa się *kwiecień*, co często nas myli. W gwarach ukraińskich zwał się też *jarec* „jarzec”, czyli miesiąc jaru, tj. „wiosny” (mamy jeszcze jare żyto i jarzyny — pierwotnie „nowalijki wiosenne”). Piękna jest litewska nazwa maja: *gegužės mėnuo* — „miesiąc kukulki” (gegute-kukulka).

CZERWIEC

1 P MIĘDZYNARODOWY
DZIEŃ DZIECKA

2 W Marii, Erazma

3 Ś Klotyldy, Leszka

4 C Franciszka, Karola

5 P Walerii, Bonifacego

6 S Pauliny, Norberta

7 N **Roberta, Wiesława**

8 P Medarda, Wilhelma

9 W Pelagii, Felicjana

10 Ś Bogumily, Małgorzaty

11 C Barnaby, Feliksa

12 P Jana, Onufrego

13 S Antoniego, Lucjana

14 N **Elizy, Walerego**

15 P Jolanty, Wita

16 W Aliny, Justyny

17 Ś Laury, Adolfa

18 C **BOŻE CIAŁO**

19 P Gerwazego, Protazego

20 S Bogny, Florentyny

21 N **Alicji, Marty**

22 P Pauliny, Flawiusza

23 W DZIEŃ OJCA, Wandy

24 Ś Danuty, Jana

25 C Łucji, Wilhelma

26 P Jana, Pawła

27 S Marii, Wieńczysława

28 N **Ireneusza, Leona**

29 P Pawła, Piotra

30 W Emilii, Lucyny

ROCZNICE

16 VI 1572. Biskupem ołomuńskim został Jan Grodecki — kanonik warmiński, wrocławski i ołomuński, przyjaciel kardynała Hozjusza, uczestnik soboru trydenckiego. Pochodził z rodziny Grodeckich, właściciel Grodzka k. Skoczowa.

20 VI 1782. Pozostałe przy Austrii resztki Śląska: Opawskie i Cieszyńskie połączone zostały z Morawami we wspólną Gubernię Morawsko-Śląską.

15 VI 1872. Nauczyciele niemieccy Śląska Cieszyńskiego założyli Deutscher Pädagogischer Verein.

25 VI 1882. W Raczkowej k. Sanoka urodził się Władysław Wójcik — inspektor szkół polskich w pow. cieskocieszyńskim, prezes Krajowej Rodziny Opiekunów, „Beskidu Śląskiego” i Tow. Nauczycieli Szkół Przemysłowych, inicjator budowy schroniska na Kozubowej. Zginął 16 XI 1940 w Gusen.

14 VI 1892. Otwarcie ewangelickiego szpitala w Cieszynie. Od 1903 r. po przejściu go przez państwo przybrał nazwę Śląskiego Szpitala Krajowego.

24 VI 1897. Ukazał się w Cieszynie pierwszy numer „Równości” — organu Polskiej Partii Socjal-Demokratycznej. Wydawcą i redaktorem był Tadeusz Reger.

30 VI 1902. W Krakowie zmarł dr Jan Bystron — językoznawca i filolog, członek Pol. Akademii Umiejętności, autor m.in. pracy „O mowie polskiej w dorzeczu Stonawki i Łucyny w Księstwie Cieszyńskim”. Urodził się 13 VI 1860 w Datyniach D.

25 VI 1907. W Karwinie urodził się Ludwik Brożek — nauczyciel, kustosz Muzeum w Cieszynie, dyrektor Oddziału Zabytkowego Biblioteki Śląskiej, bibliofil i bibliograf, redaktor „Zarania Śląskiego”. Zmarł 7 VI 1976 w Cieszynie.

1 VI 1932. W Lipowcu urodził się Jan Nowak — kierownik domu kultury w Ustroniu, działacz społeczny. Zmarł 21 I 1979 w Bielsku-Białej.

29 VI 1937. W hotelu „Polonia” w Czeskim Cieszynie odbyło się zebranie założycielskie Polskiego Związku Literacko-Artystycznego. Prezesem zarządu został poeta Paweł Kubisz.

27 VI 1947. Krajowa Rada Narodowa w Brnie zatwierdziła statuty Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w powiatach czesko-cieszyńskim i fryszackim.

2 VI 1952. W Zabrzcu zmarł Jerzy Lazar — sekretarz gminy, prezes Towarzystwa Upiększania Ustronia. Urodził się 15 XI 1883 w Ustroniu.

11 VI 1962. W Bratysławie zmarł ks. dr Józef Berger — proboszcz parafii ewangelickiej w Cz. Cieszynie, superintendent Śl. Kościoła Ewangelickiego w Czechosłowacji, profesor teologii w Bratysławie. Urodził się 14 III 1901 w Orłowej.



NOTATKI

Nazwa związana jest z mnóstwem czerwii (robaków, także czerwia pszczelego), które w tym miesiącu pojawiają się w ogrodach i na polach; potwierdza to litewska nazwa czerwca *kirmaliu menuo* (kirmelis — robak) i niemiecka gwarowa *Wurmmonat*. Istnieje też czerwiec polski, owad barwierski, z którego otrzymuje się czerwoną farbę, ale wbrew pozorom nie on dał nazwę miesiącowi. Po staropolsku nazywał się szósty miesiąc *czyrwień*, *ugornik* (od ugorów), a jeszcze dawniej *zok*, *izok* — pierwotnie „świerszcz, pasikonik, któremu wystają oczy” (iz-ok to tyle co wy-ok „o wylupiastych oczach”). Potwierdza to istnienie wszelkiego robactwa i owadów w tym miesiącu. Huculi nazywali go *hnyteń* (od gnicia) lub *bydzeń* (od oganiania się bydła od gzów). Po serbsku czerwiec nazywa się *lipanj* (nasz lipiec), bo na południu lipy wcześniej zakwitają. Po turecku to *haziron*, „miesiąc spokoju i zadowolenia”. Starożytni Rzymianie poświęcali go boginii Junonie, stąd *junius*, niemieckie *Juni* i rosyjskie *junń*. Finowie nazywają go *keso-kuu*, „letni miesiąc”.

LIPIEC

- 1 Ś Haliny, Mariana
- 2 C Marii, Urbana
- 3 P Anatola, Jacka
- 4 S Malwiny, Teodora
- 5 N Filomeny, Antoniego**

- 6 P Dominiki, Łucji
- 7 W Cyryla, Metodego
- 8 Ś Elżbiety, Prokopa
- 9 C Weroniki, Zenona
- 10 P Amelii, Filipa
- 11 S Olgi, Pelagii
- 12 N Weroniki, Jana**

- 13 P Małgorzaty, Ernesta
- 14 W Bonawentury, Steli
- 15 Ś Henryka, Włodzimierza
- 16 C Marii, Benedykta
- 17 P Anety, Aleksego
- 18 S Kamila, Szymona
- 19 N Marcina, Wincentego**

- 20 P Czesława, Hieronima
- 21 W Benedykta, Marii
- 22 Ś Magdaleny, Marii
- 23 C Bogny, Apolinarego
- 24 P Kingi, Krystyny
- 25 S Jakuba, Krzysztofa
- 26 N Anny, Mirosława**

- 27 P Julii, Natalii
- 28 W Innocentego, Wiktora
- 29 Ś Marty, Olafa
- 30 C Julity, Ludmiły
- 31 P Lubomira, Ignacego

ROCZNICE

13 VII 1617. Zmarł Adam Wacław — książę cieszyński i wielkopologowski, generalny starosta Śląska.

7 VII 1887. W Jaworzynce urodził się Jan Łysek — nauczyciel, poeta, prozaik i dramaturg, działacz „Sokoła”, oficer Legionów. Poległ w bitwie pod Kostuchówką na Wołyniu 5 XI 1915 r.

14 VII 1902. W Kurczycach na Wołyniu urodził się Czesław Kuryatto — malarz, od 1938 r. mieszkaniec Wisły. Utrwał znikający folklor ziemi cieszyńskiej. Zmarł w 1951 r.

30 VII 1902. W Brennej urodził się Ludwik Kohutek — prawnik, działacz harcerski, autor przewodnika „Cieszyn i okolice” oraz książki o tragedii pod Wałką. Zmarł 14 I 1984 w Cieszynie.

5 VII 1907. W Roztropicach k. Skoczowa urodziła się Maria Wardas — pisarka, pilot szybowcowy i motorowy. Zmarła 17 IV 1986 w Warszawie; pochowana została w Cieszynie.

16—17 VII 1947. Odbły się zebrania założycielskie Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej powiatu czesko-cieszyńskiego. Przewodniczącym PZKO został Paweł Trombik, a SMP — Paweł Morcinek. 19 VII 1947 odbyło się podobne zebranie założycielskie dla powiatu frysztackiego. Przewodniczącym PZKO wybrano tam Jana Pribulę a SMP — Emila Szewieczka.

1 VII 1972. Nastąpiło połączenie Fabryki Maszyn Elektrycznych „Celma” z Cieszyńską Fabryką Narzędzi „Cefana” w Cieszyńską Fabrykę Maszyn i Narzędzi Elektrycznych „Celma”.



NOTATKI

Nazwa związana jest z okresem kwitnienia lip i zbierania przez pszczoły nektaru na miód lipowy, zwany także lipcem. W języku serbskim *lipanj* oznacza miesiąc szósty, tj. czerwiec, z czego wynika, że lipy na południu Europy kwitną wcześniej niż u nas. Tam lipiec nazywa się *mali srpan* w odróżnieniu od *weliki srpan* (czyli sierpień właściwy). Nazwę od lipy spotykamy jeszcze w ukraińskim (*lypeć* i *lypeń*) i białoruskim (*lipień*). Po staropolsku miesiąc ten nazywał się także *lipnik* i *lipień*. W gwarach śląskich zwał się *kosień*, a w ukraińskich *koseń* i *sinokos* od koszenia siana. Tak nazywają go też Finowie: *heina-kuu* (*heina* = siano, *kuu* = księżyc, miesiąc). Na Ukrainie Zachodniej zwał się *kyweń*, *kywacz* lub *kywoteń* od „kiwania się” bydła przy odganianiu gzów. Łacińska nazwa *julius* wywodzi się od imienia Juliusza Cezara, twórcy kalendarza juliańskiego. Przed Cezarem nazywał się *quintus*, tj. „piąty (miesiąc)”, licząc od marca. Z łaciny wywodzi się nazwa niemiecka *Juli* i rosyjska *ijul*.

SIERPIEŃ

- 1 S Justyna, Piotra
2 N **Marii, Gustawa**

- 3 P Lidii, Nikodema
4 W Dominika, Pankracego
5 Ś Marii, Oswalda
6 C Sławy, Jakuba
7 P Doroty, Konrada
8 S Cypriana, Dominika
9 N **Romualda, Rolanda**

- 10 P Borysa, Wawrzyńca
11 W Filomeny, Zuzanny
12 Ś Klary, Lecha
13 C Diany, Hipolita
14 P Alfreda, Euzebiusza
15 S **Marii, Jadwigi**
16 N **Joachima, Rocha**

- 17 P Anity, Jacka
18 W Heleny, Klary
19 Ś Bolesława, Juliana
20 C Bernarda, Samuela
21 P Joanny, Franciszka
22 S Marii, Cezarego
23 N **Filipa, Apolinarego**

- 24 P Bartłomiej, Jerzego
25 W Luizy, Ludwika
26 Ś Marii, Wiktora
27 C Cezarego, Józefa
28 P Patrycji, Augustyna
29 S Sabiny, Jana
30 N **Róży, Feliksa**

- 31 P Pauliny, Rajmunda

ROCZNICE

2 **VIII 1297.** Została wytyczona polsko-czeska granica państwowa. Książę cieszyński Mieszko I zawarł umowę z biskupem ołunieckim Theodoricusem, w której określono dokładnie przebieg granicy między Księstwem Cieszyńskim a Morawami. Granica prowadziła rzeką Odrą (do ujścia do niej Ostrawicy), dalej Ostrawicą, aż do granicy węgierskiej. Granicę oznaczono usypanymi z kamieni kopcami.

1 **VIII 1552.** Spłonął cały Cieszyn, wraz z zamkiem książęcym; ocalały jedynie domy przy ul. Srebrnej. Książę Wacław zwolnił poszkodowanych przez pożar mieszczan od wszelkich opłat i ciężarów na 20 lat.

17 **VIII 1792.** Odbudowujący się po pożarze w 1756 r. Skoczów otrzymał zezwolenie na sprowadzenie wody z Wilamowickiej Górki. Wybudowano wodociągi i częściowo kanalizację.

17 **VIII 1807.** W Cieszynie urodził się ks. dr Jerzy Prutek — kapłan katolicki, nauczyciel gimnazjum w Cieszynie, fundator stypendiów dla młodzieży, poseł do sejmiku śląskiego w Opawie, działacz społeczny. Zmarł w 1874 r. w Cieszynie.

11 **VIII 1842.** W Warszawie urodził się Feliks Kozubowski — poeta, uczestnik powstania styczniowego. Zbiegł z katorgi w Syberii i osiedlił się w Cieszynie. Zmarł w 1907 r. w Krakowie.

14 **VIII 1847.** Paweł Stalmach i Andrzej Cinciała wyruszyli pieszo do Krakowa po polskie książki dla Towarzystwa Uczących się Języka Polskiego.

15 **VIII 1862.** W Końskiej urodził się Jerzy Kubisz — nauczyciel w Ustroniu, prezes pierwszych organizacji polskich nauczycieli na Śląsku Cieszyńskim i Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, od 1892 wydawca i redaktor „Miesięcznika Pedagogicznego”. Zmarł 5 VI 1939 w Cieszynie.

15 **VIII 1882.** W Cieszynie zmarł czołowy działacz narodowy na Górnym Śląsku Karol Miarka, współpracownik Pawła Stalmacha. Urodził się 22 X 1825 w Pielgrzymowicach.

9 **VIII 1907.** W Ustroniu zmarł ks. Jerzy Janik — od 1856 r. proboszcz tamtejszej parafii ewangelickiej, twórca zakładu opiekuńczego dla sierot, autor „Historii ewangelickiego zboru ustroniskiego”. Urodził się w 1829 r. w Ropicy.

12 **VIII 1932.** W St. Jakob w Tyrolu zmarł dr Herman Hinterstroisser chirurg, do 1930 r. dyrektor Krajowego Szpitala Śląskiego w Cieszynie, niemiecki działacz społeczny i polityczny.

21 **VIII 1972.** Wielka powódź na Śląsku Cieszyńskim. Gwałtowny przybór wód spowodował trzy ofiary śmiertelne.



NOTATKI

Jest to najstarsza słowiańska nazwa miesiąca ósmego, zastąpiona później przez inne. Związana jest z sierpem, którym żęto pierwotnie zboże. Stąd ukraińskie *serpeń*, białoruskie (gwarowe) *serpień*, słowackie *srpen*. W gwarach południowo-słowiańskich oznacza jednak miesiąc siódmy („lipiec”), np. serbskie *srpanj*, bułgarskie *syrlen*, słowiańskie *srpen*. Nic dziwnego, bo lato i żniwa zaczynają się na południu wcześniej. W gwarach mówi się tam też *wielki srpen* w odróżnieniu od *mali srpen* „lipiec”. Od żniw pochodzi współczesna nazwa białoruska (*żniwień*) i łużycka (*żnijski*) sierpnia. Po litewsku to *rugpiucio menuo*, dosłownie „miesiąc koszenia żyta”. Podobnie po fińsku *elo-kuu* (elo = żyto). Chorwaci nazywali go także *kolowoz* od zwózki zboża po żniwach. Poetycka jest staropolska nazwa sierpnia: *stojączka*, bo przyroda, *dosiąwszy pełni, na chwilę niby się unieruchomia, przystaje* (Brückner). Po łacinie zwał się *augustus* na cześć cesarza Oktawiana Augusta, a pierwotnie *sextus*, „szósty miesiąc”, licząc od marca.

WRZESIEŃ

- 1 W Bronisławy, Idziego
- 2 Ś Juliana, Stefana
- 3 C Izabeli, Szymona
- 4 P Rozalii, Róży
- 5 S Doroty, Wawrzyńca
- 6 N **Beaty, Eugeniusza**

- 7 P Reginy, Melchiora
- 8 W Marii, Radosława
- 9 Ś Piotra, Sergiusza
- 10 C Aldony, Mikołaja
- 11 P Dagny, Jacka
- 12 S Marii, Gwidona
- 13 N **Eugenii, Filipa**

- 14 P Bernarda, Cypriana
- 15 W Albina, Nikodema
- 16 Ś Edyty, Kornela
- 17 C Justyny, Franciszka
- 18 P Ireny, Irmy
- 19 S Konstancji, Januarego
- 20 N **Filipiny, Eustachego**

- 21 P Hipolita, Mateusza
- 22 W Maurycego, Tomasza
- 23 Ś Bogusława, Tekli
- 24 C Gerarda, Teodora
- 25 P Aurelii, Władysława
- 26 S Justyny, Cypriana
- 27 N **Damiana, Kosmy**

- 28 P Marka, Wacława
- 29 W Michaliny, Michała
- 30 Ś Zofii, Hieronima

ROCZNICE

2 IX 1347. Książę cieszyński Kazimierz uczestniczył wraz z innymi książętami śląskimi w koronacji Karola IV na króla czeskiego.

30 IX 1747. W Poesneck w Saksonii zmarł ks. Jan Muthmann — pierwszy pastor i budowniczy kościoła Jezusowego (do 1730 r.). Oskarżony o sprzyjanie pietyzmowi musiał emigrować z Cieszyńska do Saksonii, gdzie został pastorem i superintendentem w Poesneck. Urodził się w 1685 r. w Komornie k. Byczyny.

10 IX 1792. W Cierlicku urodził się Wacław Aleksander Maciejowski — nauczyciel języków starożytnych, profesor prawa rzymskiego Uniwersytetu Warszawskiego, prof. literatur starożytnych w Akademii Warszawskiej, sędzia trybunału cywilnego, specjalista historii prawa słowiańskiego. Zmarł 10 II 1883.

8 IX 1847. Andrzej Cinciała założył w gimnazjum ewangelickim w Cieszynie Towarzystwo Uczących się Języka Polskiego, które przestało działać w 1848 r.

20 IX 1852. Zmarł Jan Czarnota — geolog, podróżnik i odkrywca. Urodził się w 1818 r. w Strumieniu.

20 IX 1877. W Ustroniu urodził się Jan Wantuła — chłop-robotnik, bibliofil, pisarz ludowy, pomolog, propagator trzeźwości, działacz społeczny. Zmarł 29 VII 1953.

8 IX 1897. W Cieszynie odbyło się zebranie założycielskie Macicy Osvěty Lidové — odpowiednika polskiej Macierzy Szkolnej.

18 IX 1902. W Dzieńmorowicach k. Frysztatu urodził się Emil Chroboczek — dr inż. rolnik, prof. SGGW w Warszawie, twórca i dyrektor Instytutu Warzywnictwa w Skierńwiczach, autor podręczników, rozpraw i artykułów, wychowawca pracowników naukowych. Zmarł 25 IX 1978 w Warszawie.

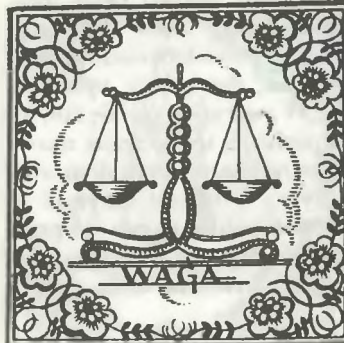
11 IX 1932. W katastrofie lotniczej zginęli w Cierlicku w czasie przelotu do Pragi znani polscy lotnicy Franciszek Żwirko — pilot i Stanisław Wigura — konstruktor polskich samolotów RWD.

29 IX 1942. W Oświęcimiu zginął Fryderyk Kraus — współtwórca Komunistycznej Partii Czechosłowacji na Zaolziu i jej działacz.

21 IX 1952. W Pradze zmarł Marian Szykowski — prof. literatury UJ, kierownik katedry polskiej na Uniw. Karola w Pradze, związany z Zaolziem (Bystrzyca).

8 IX 1967. W Londynie zmarł Adolf Fierla — prof. gimnazjum, poeta, pisarz. Urodził się 16 I 1908 w Orłowej.

21 IX 1972. We Wrocławiu zmarł dr Jan Kulig — właściciel oficyny wydawniczej, dyrektor wrocławskiej drukarni, wydawca druków bibliofilskich, wykładowca bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Urodził się 16 IV 1892 w Boguminie.



NOTATKI

Nazwa związana z wrzosem jest wyłącznie polska, bo ukraiński *weresień* i białoruski *wieraseń* zapożyczono z polskiego. Ale to nie kwiat dał nazwę wrześniowi, lecz pszczoły, które zbierają miód wrześniowy, wrześniakiem zwany. Po staropolsku zwał się *pajęcznikiem*, a w gwarach ukraińskich *babyne lito* — od babiego lata. Staropolska nazwa *jesiennik* to kalka z niemieckiego *Herbstmonat*, „jesienny miesiąc”. To samo znaczenie ma fińskie *syys-kuu*. Po ukraińsku nazywał się on dawniej *siwień* (od siwaty, sijaty „siewać, siać”), a więc miesiąc siewów. Podobnie po litewsku: *rugsejo menuo* (dosłownie: miesiąc siania żyta). U nas był także zwany *świętomichalskim* od imienia św. Michała. Po czesku to *zarží*: za + rží (z dawnego ru, spokrewnionego z rują), a więc „miesiąc rui”, co potwierdza chorwacka nazwa tego, *rujon*. Tu należy także czeski *ržíjen*, „październik”. Łacińska nazwa *september* (od septem — siedem) to po prostu „miesiąc siódmy”, licząc od marca.

PAŹDZIERNIK

- 1 C Danuty, Teresy
- 2 P Dionizego, Teofila
- 3 S Teresy, Gerarda
- 4 N **Rozalii, Franciszka**

- 5 P Apolinarego, Marcelego
- 6 W Artura, Brunona
- 7 Ś Marii, Marka
- 8 C Brygidy, Pelagii
- 9 P Dionizego, Ludwika
- 10 S Pauliny, Franciszka
- 11 N **Aldony, Emila**

- 12 P Eustachego, Maksymiliana
- 13 W Edwarda, Teofila
- 14 Ś **DZIEŃ NAUCZYCIELA**
- 15 C Jadwigi, Teresy
- 16 P Florentyny, Gerarda
- 17 S Małgorzaty, Wiktora
- 18 N **Juliana, Łukasza**

- 19 P Piotra, Ziemowita
- 20 W Ireny, Jana
- 21 Ś Urszuli, Hilarego
- 22 C Korduli, Filipa
- 23 P Marleny, Seweryna
- 24 S Marcina, Rafała
- 25 N **Darii, Kryspina**

- 26 P Ewarysta, Łucjana
- 27 W Sabiny, Wincentego
- 28 Ś Szymona, Tadeusza
- 29 C Wioletty, Narcyza
- 30 P Edmunda, Zenobii
- 31 S Saturnina, Urbana

ROCZNICE

15 X 1522. Biskup ołomuniecki St. Thurzo przekazał księciu cieszyńskiemu Kazimierzowi miasto Mistek (Friedenberg) z wioskami Dolnym Świadnowem, Kończycami, Frydlantem i Hodonowicami.

15 X 1697. W Cieszynie urodził się Leopold Polzer — historyk śląski.

22 X 1842. Paweł Stalmach założył w gimnazjum ewangelickim w Cieszynie Złączenie Polskie w celu umożliwienia członkom poznania języka, historii i literatury polskiej.

28 X 1882. W Lesznej Dolnej urodził się Karol Buzek — pierwszy polski inspektor szkół w Cieszynie, w latach 1925—1934 prezes ZG Macierzy Szkolnej, działacz Polskiego Tow. Pedagogicznego, Tow. Ludoznawczego, PTT „Beskid Śląski”. Zmarł w czasie wycieczki turystycznej 14 VI 1936.

26 X 1887. W Bystrzycy n. Olzą urodził się Kornel Michejda — prof. dr, kierownik chirurgii Uniw. S. Batorego w Wilnie, rektor Akademii Medycznej w Krakowie, gdzie zmarł w 1960 r.

15 X 1907. W Cieszynie ukazał się pierwszy numer „Zarania Śląskiego” pod redakcją Ernesta Farnika.

20 X 1912. Na placu ćwiczeń przy ul. Frydeckiej w Cieszynie 15 tysięcy ludzi obserwowało lot „awiatyka” Scipio del campo na samochodzie 50 PH Bleriot.

26 X 1952. W wyborach do Sejmu PRL został wybrany posłem Gustaw Morcinek.

26 X 1943. W Mostach k. Jabłonkowa został powieszony Karol Sosna — student teologii, działacz młodzieżowy, uczestnik ruchu oporu, urodzony 2 XII 1916 w Lutyni Dolnej, aresztowany tamże 16 III 1943.

14 X 1977. We Frankfurcie n. Menem zmarł Jan Kornheisner — plastyk związany ze Skoczowem, gdzie urodził się 17 XII 1896. Wykonał szereg obrazów, drzeworytów i rysunków ilustrujących miasto. W 1945 r. wyemigrował do Niemiec.

10 X 1982. Przy Zarządzie Głównym Macierzy Szkolnej w Cieszynie powstał klub literacki „Nadolzie”.



NOTATKI

Miesiąc ten miał bardzo wiele nazw w językach słowiańskich. *Miesiąc październik przynosi nas z pól i lasów do zagrody wieśniaczej, gdzie odbywało się w tym czasie miedlenie lnu; od październicy nadano nazwę temu okresowi (Łowmiański). Paździor lub październ jest to część drzewiasta w lnie i konopiach, która od obu odpada, gdy rozbija się na kawałki.* Po staropolsku zwał się on *paździerzeń*. Po białorusku to *kastrycznik* od kastryca, „paździerz”, po ukraińsku *żowteń*, tj. żółcień, od koloru żółtych liści na drzewach, a także *riseń* od risnyj (rjasnyj), „obfity w płody i owoce”. Po czesku to *rzijen* (z dawnego rujen, od rui) „miesiąc rui”. W języku staropolskim była także nazwa *winnik*, od winobrania, co jest kalką niemieckiego *Weinmonat*. W Finlandii musiał być bardzo mokrym miesiącem, skoro nazwali go *l oka-kuu*, dosłownie „błoniasty miesiąc”. Po łacinie był to *octobec*, tj. „miesiąc ósmy”, licząc od marca jako pierwszego. Stąd niemiecki *Oktober* i rosyjski *oktjabr*.

LISTOPAD

1 N WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

- 2 P Bohdana, Bożydara
- 3 W Sylwii, Huberta
- 4 Ś Karola, Olgierda
- 5 C Elżbiety, Sławomira
- 6 P Feliksa, Leonarda
- 7 S Łukasza, Marzeny

8 N Gotfryda, Seweryna

- 9 P Teodora, Ursyna
- 10 W Andrzeja, Ludomira
- 11 Ś ŚW. NIEPODLEGŁOŚCI
- 12 C Renaty, Witolda
- 13 P Mikołaja, Stanisława
- 14 S Emila, Wawrzyńca

15 N Alberta, Leopolda

- 16 P Gertrudy, Edmunda
- 17 W Salomei, Grzegorza
- 18 Ś Anieli, Romana
- 19 C Elżbiety, Seweryna
- 20 P Anatola, Feliksa
- 21 S Janusza, Konrada

22 N Cecylii, Marka

- 23 P Felicyny, Klemensa
- 24 W Flory, Jana
- 25 Ś Katarzyny, Erazma
- 26 C Konrada, Sylwestra
- 27 P Franciszka, Waleriana
- 28 S Blanki, Zdzisława

29 N Błażeja, Saturnina

- 30 P Justyny, Andrzeja

ROCZNICE

29 XI 1442. Synowie księcia cieszyńskiego Bolesława I, którzy po śmierci ojca zarządzili księstwem wspólnie z matką Eufemią, podzielili się dziedzictwem. Wacław i Władysław otrzymali Bytom, Siewierz i Głogów, zaś księstwo cieszyńskie Przemysław II i Bolesław II.

10 XI 1822. W Grodziszczu k. Cieszyna urodził się dr Andrzej Kotula — notariusz we Frysztacie i w Cieszynie, działacz narodowy, uczestnik Zjazdu Słowiańskiego w Pradze, jeden z założycieli Czytelnicy Polskiej, kolekcjoner roślin i owadów. Zmarł 10 X 1891 w Cieszynie.

12 XI 1872. W Cieszynie powstało Towarzystwo Pomocy Naukowej, którego celem było udzielanie pomocy materialnej ubogim polskim studentom.

1 XI 1907. W Cieszynie urodził się Erwin Bubik — organizator orkiestry symfonicznej w Cieszynie, dyrygent chórów Towarzystwa Śpiewaczego.

12 XI 1907. Komitet Obwodowy PPSD dla Moraw i Śląska Cieszyńskiego podjął uchwałę o utworzeniu „Sily”.

25 XI 1907. W Skoczowie urodził się Jan Czyż — introligator, redaktor i wydawca „Tygodnika Skoczowskiego”, kronikarz miasta. Zmarł 20 I 1969 r. w Skoczowie.

4 XI 1942. Komitet koordynacyjny rządów Polski i Czechosłowacji w Londynie przystąpił do dyskusji nt. planowanej federacji obu państw.

27 XI 1947. Filia cieszyńskiego gimnazjum i liceum w Wiśle została przekształcona w samodzielną szkołę.



NOTATKI

Jest to nazwa jasna — „miesiąc opadania liści”, zwany tak również w innych językach słowiańskich, np. ukraiński *lystopad*, *lystopadeń* i *padolyst*, czeski i bułgarski *listopad*, podobnie po litewsku *lapkritis menuo* (lapas = liście, kriti = opadać, menuo = miesiąc). Rosyjski *listopad* to raczej „pora opadania liści”. Pisał o nim J. Kulczyński (1733): *November listopad jakoby liście wysypujący, ciskający, rzucający, albowiem w tym miesiącu drzewa obnażają się z liści, ażeby nimi przykryć ziemię. Tej nazwie odpowiada grecka, albowiem Plutarch nazywa ten miesiąc fillochoos i fillovolas*. A. K. Moszyński (1929) pisał: *Całkiem przejrzyste to miano... ma też, czy miało ściśle odpowiedniki w starożytnej Grecji, Irlandii, u południowych Niemców, u Baltów, wschodnich Finów, tubylców północnej Azji i północnej Ameryki*. Niemal wszystkie ludy za podstawę nazwy listopada przyjęły proces opadania liści. Po łacinie nazywał się *november*, tj. „dziewiąty miesiąc” (licząc od marca).

GRUDZIEŃ

- 1 W Natalii, Eligiusza
- 2 Ś Balbiny, Pauliny
- 3 C Franciszka, Ksawerego
- 4 P Barbary, Piotra
- 5 S Krystyny, Sabiny
- 6 N Emiliana, Mikołaja**

- 7 P Ambrożego, Marcina
- 8 W Marii, Delfiny
- 9 Ś Leokadii, Wiesława
- 10 C Julii, Daniela
- 11 P Damazego, Waldemara
- 12 S Adelajdy, Aleksandra

13 N Łucji, Otylii

- 14 P Alfreda, Izzydora
- 15 W Celiny, Waleriana
- 16 Ś Albiny, Zdzisława
- 17 C Olimpii, Łazarza
- 18 P Bogusława, Gracjana
- 19 S Dariusza, Urbana

20 N Bogumiły, Dominika

- 21 P Jana, Tomasza
- 22 W Honoraty, Zenona
- 23 Ś Sławomiry, Wiktorii
- 24 C WIGILIA, Ewy, Adama

25 P BOŻE NARODZENIE

26 S Dionizego, Szczepana

27 N Cezarego, Jana

- 28 P Antoniego, Teofila
- 29 W Dominika, Tomasza
- 30 Ś Eugeniusza, Seweryna
- 31 C Melanii, Sylwestra

ROCZNICE

7 XII 1227. Papież Grzegorz potwierdził opactwu benedyktynów w Tyńcu własność wsi Orłowej na ziemi cieszyńskiej. Klasztor w Orłowej istniał już w 1225 r.

2 XII 1447. Książę cieszyński Bolesław przyznał Frysztatowi tzw. „wielki przywilej”.

20 XII 1657. W Cieszynie zatrzymał się król polski Jan Kazimierz uchodząc na Węgry przed najazdem wojsk szwedzkich Gustawa Adolfa.

1 XII 1712. Zakon czeskich jezuitów utworzył fundację (9600 florenów) na utrzymanie w Cieszynie 8 osób stanu szlacheckiego.

19 XII 1777. W Cisownicy urodził się Jerzy Gajdzica — chłop bibliofil, pierwszy na Śląsku pisarz ludowy, autor pamiętnika „Dło pamięci rodu ludzkiego”, posiadacz własnego exlibrisu. Zmarł 16 II 1840 w Cisownicy.

22 XII 1851. urodził się w Żukowie Paweł Morcinek, uczeń i współpracownik T. Dubisza (słynnego twórcy nowoczesnej metody hodowli karpia, wypracowanej w gospodarstwach stawowych Śląska Cieszyńskiego w drugiej połowie XIX wieku), niezmiernie zasłużony i szeroko znany w byłej Austrii, Niemczech a nawet Rosji, hodowca ryb i krzewiciel rybactwa. Szczególnie owocną działalność rozwijał na Śląsku Cieszyńskim gdzie m.in. wykładał rybactwo w latach 1876—80 w szkole rolniczej w Kocobędzu. Członek honorowy wielu austriackich, niemieckich i czeskich towarzystw rolniczych i rybackich, a także członek honorowy Krajowego Towarzystwa Rybackiego w Krakowie, posiadacz kilkudziesięciu złotych i srebrnych medali za swą wieloletnią owocną działalność w rybactwie. Zmarł 25 II 1935 r. w Cieszynie.

5 XII 1852. W Lesznej Górnej urodził się ks. dr Jan Pindór — pastor parafii ewangelickiej w Cieszynie, katecheta, autor zbioru kazań. Zmarł 29 XII 1924 r. w Cieszynie.

20 XII 1852. Pierwsze przedstawienie polskiego teatru amatorskiego w Cieszynie. W sali Czytelni Ludowej odegrano sztukę L. Anczyca „Chłopi arystokraci”.

9 XII 1867. W Bielsku otwarto niemieckie seminarium nauczycielskie.

12 XII 1903. Ukazał się pierwszy numer „Robotnika Śląskiego”, redagowanego przez Tadeusza Regera.

6 XII 1907. Początek nauki w 2-letniej polskiej szkole górniczej w Orłowej kształcącej dozor techniczny. Dyrektorem szkoły został inż. Leopold Szefer.

12 XII 1907. W Cieszynie urodził się Stanisław Gołachowski — muzykolog, profesor Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi, gdzie zmarł 19 I 1951. Pochowany w Warszawie.

Opracował:

JAN WANTUŁA



NOTATKI

Nazwa pochodzi od grudy, tj. zmarzniętego kawałka ziemi. Tak nazywa się on w innych językach słowiańskich, np. serbski *grudan*, ukraiński *hruden*, staroczeski *hruden*; podobnie po litewsku *gruodis menuo*. W językach staropolskim nosił on nazwę *prosień* albo *prosiniec*, np. *stało się to jest miesiąca prosińca*: (Biblia kr. Zofii). Nazwę tę wiążą z czasownikiem *sijati* „świecić, jaśnieć” i pierwotnie oznaczała ona zapewne styczeń, kiedy rzeczywiście staje się jaśniej. Wiązano tę nazwę także z prosem lub prosięciem (od uczt świątecznych), a w gwarach zwany był *godnikiem* albo *jadwentowym* od Godów, tj. Bożego Narodzenia i jadwentu, tj. adwentu. Tak nazywa się też po fińsku: *joulu-kuu* (Joulu = Boże Narodzenie). Białorusini nazywają go *śnieżań*, a starzy Czesi *śniežen* (od śniegu), w gwarach ukraińskich notuje się też *trusym*, „trzęsień”, bo trzęsie śniegiem, a także *studen* (też po polsku *studzień*), bo zimny, wystudzony, i jeszcze *moczarec* i *moczawec*, bo bywa „mokry”. Po łacinie to *december* — „dziesiąty miesiąc”, licząc od marca.

HENRYK JASICZEK

Zostań człowiekiem

Kiedy ci gorycz ściśnie krtań
kiedy zdradzony zostaniesz sam,
zostań człowiekiem.

Gdy z piasku wyjrzą głowy strusie,
krzycząc obłudnie: I ty, Brutusie?
zostań człowiekiem.

Gdy ci przyjaciel napluje w twarz,
przy twoich myślach postawi straż,
zostań człowiekiem.

Kiedy zostaniesz straszliwie sam,
a wokół przemoc, fałsz i kłam,
gdy łez zabraknie opuchłym powiekom,
zostań człowiekiem.

Kronika miasta Cieszyna

FRYDERYK WILHELM

Jego siostry, Elżbieta Lukrecja i Anna Sydonia były zamężne — pierwsza wyszła za księcia Gundakeru Lichtensteinu, druga natomiast za Jakuba hr. Hohenembsa.

W chwili zgonu swego ojca książę Fryderyk Wilhelm był jeszcze małoletni, dlatego wyznaczono mu za opiekunów biskupa wrocławskiego, arcyksięcia Karola, księcia Karola Lichtensteina oraz opolskiego starostę ziemskiego Oppersdorfa. Do 12. roku życia wychowywał i uczył go luterński kaznodzieja, historyk i pastor Baltazar Eksner. Po przejściu swego ojca na chrześcijańsko-katolicką wiarę zwolniono wychowawcę, a młodego księcia oddano do jezuitów w Monachium celem pouczenia go w wyznaniu katolickim, które to wyznanie wkrótce potem przyjął.

Książę ten zbyt krótko samodzielnie panował, ażeby, wzorem swych przodków, zajął się zarządzaniem swej stolicy i księstwa. Panowie opiekunowie, będący gorliwymi katolikami, zaostrzyli, celem usunięcia z Cieszyńskiego wyznania augsburskiego, swe poczynania. Stany protestanckie w oparciu o pismo króla Macieja I, wystawione czeskim stanom, starały się odzyskać odebrane im kościoły, szkoły i miejsca pochówku. Odmawiano im tego i dlatego zwróciły się do protestanckich stanów śląskich we Wrocławiu. Otrzymały od tychże potwierdzenie swego stanowiska pismem z 5 II 1619 wraz z uwagą, ażeby ponownie poprosili panów opiekunów o zwrot obiektów wyznaniowych tłumacząc, że list cesarza dotyczy również ziem Śląska. W wypadku gdyby i teraz prośba okazała się bezowocna mieszczaństwo winni siłą zająć — i tak pusto stojące — kościoły, szkoły, jak też kościółek pogrzebowy, przy równoczesnym uszanowaniu książęcych opiekunów jako przedstawicieli władzy, a swe postępowanie tłumaczyć przepisami zawartymi w piśmie cesarskim.

Podobną prośbę protestanckie mieszczaństwo wysłało do Jana Krystiana, księcia w Legnicy i Brzegu. Jego odpowiedź z dnia 22 III 1619 brzmiała, aby wraz z zebranymi stanami zwrócić się pisemnie do arcyksięcia Karola, biskupa wrocławskiego, z prośbą o uchylenie zarządzenia, ograniczającego protestanckich mieszczan cieszyńskich. Równocześnie odradzał mieszczanom gwałtownych działań, gdyż takie postępowanie nie znajdzie u książąt i stanów aprobaty. Radził równocześnie, ażeby mieszczaństwo w swym stosunku do zwierzchności przejawiali więcej pokory i skromności.

Do tego listu była dołączona petycja skierowana do arcyksięcia biskupa, a podpisana przez księcia i stany ziemskie. Petycję tę Rada Miejska wysłała 1 IV 1619 r. do Nysy. Odpowiedź brzmiała negatywnie i mieszczaństwo, zgodnie z poprzednio otrzymanymi wskazówkami, przystąpiło do czynnej samopomocy. Na czele z primatorem Mateuszem Reissem, burmistrzem Mateuszem Jakelem oraz rajcami Adamem Sarkandrem i Beczjussem (?) siłą zajęło kościół parafialny. W czasie tych wydarzeń wśród motłochu zdarzały się krwawe zajścia.

Gwałty te wkrótce zostały stłumione i sprawcy ukarani. Dzięki zwycięstwu, odniesionemu przez cesarza Ferdynanda II pod Białą Górą koło Pragi, unieważniony i zniszczony został wspomniany wyżej list cesarski. Tym samym odebrano stanom śląskim wszelakie oparcie, a kościoły i szkoły ponownie odebrano protestantom. Wymienionych powyżej przedstawicieli magistratu cieszyńskiego obciążono karą 1.000 talarów. Na ich zażalenie z dnia 19 VII 1626 r., że nie tylko oni, lecz całe mieszczaństwo stało się winnym, księżna Elżbieta Lukrecja pismem z dnia 21 VII 1626 r. oraz z dnia 14 III 1627 r. spowodowała, że wydatkowane przez rajców pieniądze zwrócono tymże z majątku komunalnego.

Mimo takiego postępowania luteranie stanowili w Cieszynie większość, a pokaźniej-

sza część stanów ziemskich była temu wyznaniu przychylna. W czasie prześladowań, jakie teraz w stosunku do ludności ewangelickiej nastąpiły, ludność ta mogła z wrogami cesarza Ferdynada II współdziałać, gdyż księstwo cieszyńskie pozbawione było wojska, a z Węgier zbliżał się Gabor Béthlen, dążący do połączenia się z armią protestancką w Czechach.

Stany ziemskie, jak i miasta, mimo rozłamu religijnego, stały jednakże przy cesarzu. Wszystkie przejścia łączące Węgry ze Śląskiem obsadzone zostały własną załogą. Liczono się z rychłym napadem węgierskich rebeliantów. Mieszczaństwo cieszyńskie uzbroiło się, obsadziło mury i bramy miejskie pilnując je dniem i nocą, jak też wysyłając w bliższą okolicę zwiadowcze patrole. Niestety, czas się dłużył i zmęczenie ogarnęło mieszczan, obawiających się również tego, że szczupłość sił i uzbrojenia nie wystarczą w wypadku najazdu większej liczby wrogów. Rada Miejska zwróciła się pisemnie do starosty ziemskiego, aby tenże uzyskał od królewskiego urzędu główne przydzielenie do miasta, jak i księstwa silnej jednostki wojskowej, gdyż wycieńczone mieszczaństwo było za słabe do obrony murów i innych punktów wojskowych.

Rząd Krajowy w dniu 30 VI 1621 r. zlecił władzom księstwa wysłanie — do chwili, gdy warunki zezwolą na ściągnięcie regularnych wojsk — odrębnego korpusu złożonego z podwładnych i tubylczej ludności opłacanego przez stany ziemskie. Siły te miały obsadzić przejścia koło Jabłonkowa, obserwować poczynania nieprzyjaciela i ewentualnie go powstrzymać.

Z początkiem lipca 1621 r. przybyły w okolice Cieszyna nareszcie konne i piesze wojska neapolitańskie, obsadzając górskie przejścia. Obcokrajowcy ci uważali nasze księstwo za ziemię wroga, zajęli zamek w Polskiej Ostrawie, włamali się do wszystkich pomieszczeń, wszystko zabrali, co znaleźli, wywożąc zdobycz do swej głównej kwatery. Wdarli się nawet do kościoła, wynosząc — jak to wynika z pisma księcia Rudolfa Legnickiego, ówczesnego nadstarosty śląskiego, a skierowanego do stanów cieszyńskich i datowanego 5 VII 1621 r. — całe wyposażenie. Najwyższy rangą ten urzędnik prowincji upominał stany pismem z dnia tegoż miesiąca i roku, żeby polubownie dogadały się z pułkownikiem wojsk neapolitańskich Karolem Spinelli, celem oddalenia zła i niedopuszczenia do wyniszczenia kraju. Wkrótce potem pułkownik zajął zamek i miasto Cieszyn. Na skargę mieszczan odpowiedział nadstarosta śląski pismem z dnia 10 tegoż miesiąca i roku, że zarówno miasto, jak i stany upraszały gorliwie o przysłanie kontyngentu wojska. Tym samym wszelkie dolegliwości z tym związane muszą jedynie sobie przypisać. Ma jednak nadzieję, że wyznaczeni przez niego komisarze Joahim Mettig i Jerzy von Artzt utrzymają wojsko w ryzach, zapewnią mu godziwe utrzymanie, a gdy zapanuje spokój wśród mieszkańców tych ziem, jego cesarski majestat odwoła obcokrajowe wojsko.

Za przeżyte utrapienia, pismem datowanym w Wiedniu w dniu 12 VII 1621 r., znajdującym się w Archiwum Miejskim, jego cesarska wysokość cesarz Ferdynand II wynagrodził miasto tymi słowami: *Ferdynand II, z łaski Boga wybrany rzymskim cesarzem, król Węgier i Czech. Wielmożni urodzeni, wielce honorowi mili poddani. Dowiedzieliśmy się z relacji naszego wysoko urodzonego wuja, księcia i wielce mi milego i oddanego Jerzego Rudolfa ze Śląska, księcia na Bielsku (ma być Legnicy — przyp. tłum.) i Brzegu, naszego Radcy, Podkomorzego jak też Nadstarosty Górnego i Dolnego Śląska, ile od wrogów oraz tam i z powrotem wędrującego narodu doznaliście cierpień oraz ile więcej niż dobrych jak też pożytecznych wiadomości i napomnień, porad i napomknień przyjmowaliście. Z wielką skrupulatnością i troskliwością łaskawie wysłuchaliśmy wszystko uznając tutaj dbałość o kraj naszych wiernych. Dlatego nadal chcemy przyjmować do wiadomości naszej, że będzie się starać — nie szczędząc wysiłku, pilności i wydatków celem zapobieżeniu nieprzyjacielskiemu najazdowi, utrzymując kraj w dobrym bezpieczeństwie, w szczególności zaś do księstwa opawskiego i całego kraju śląskiego ochrony i obrony przystosowani mieszkańcy — którzy jak tylko margrabia, banicją obłożony książę Jerzy z Karniowa (Hohenzollern — przyp. tłum.) wraz ze swoimi zwolennikami zostaną oddaleni, my znowu postanowimy i będziemy łaskawi swą wolę wyrazić, zaopatrując was w wiktualia i inne porzeby, a wszystko to w taki sposób i z ostrożną dokładnością tak będzie dostarczane, jak*

wyście nam, pułkownikowi i opiekunowi waszemu, nieobecnemu księciu zamierzacie przedstawić. My w naszej łaskawości wszystko to zapamiętamy i oddamy. Dane w naszej stolicy Wiedniu, 12 VII 1621 roku. Ferdynand.

Mimo pełnego troski odręcznego pisma cesarskiego bezczelne żądania wojsk neapolitańskich stały się nieznośne. Dlatego stany wysłały niemiecko-czeskiego sekretarza książęcego, Macieja Kałużę do zarządcy nadstarostwa śląskiego, pana Rudolfa do Legnicy, prosząc o usunięcie z Cieszyńskiego tych wojsk, będących bardziej zgubą, aniżeli ochroną kraju. Wojsko to jako żołd otrzymywało dziennie 163 talary i 12 groszy. Równocześnie żądało ono nadmiernych ilości amunicji i prowiantu, niszczyło zamek, a jeśli wszystkiego, czego żądało, natychmiast nie dostarczono, wówczas groziło mieszkańcom represjami, nazywając ich rebeliantami, których należy wytepić ogniem i mieczem. Publicznie zapowiedział to kapitan Fabrizio Bonaccio. Na to pismo mieszczanie otrzymali 12 VIII tegoż roku odpowiedź mówiącą, że ciężary te należy znosić zgodnie z wolą Bożą, w cierpliwości i poddaniu. Zawiadomiono również, że jego cesarski majestat nakazał celem zapobieżeniu grabieży tych ludzi ostrożnie wyprowadzić z kraju, a przejścia nad węgierską granicą obsadzić rodzinnymi wojskami.

Równocześnie ówczesny protektor Moraw, kardynał i biskup ołomuński książę Dittrichstein pismem z dnia 26 tegoż miesiąca i roku skierowanym do stanów księstwa prosił o wykaz szkód wyrządzonych krajowi przez wojska neapolitańskie. Nie zważając na powyższe zarządzenia obcokrajowcy nadal nekali ludność i mieszczan i to mimo trzykrotnego polecenia opuszczenia księstwa. Wynika to z pisma księcia Rudolfa, jak też kardynała Dittrichsteina z 3 i 10 września tegoż roku. Wojska wzbraniały się opuścić Cieszyńskie, a uczyniły to dopiero pod wpływem groźby użycia siły. Stało się to 15 września tegoż roku. Księstwo wywołono nareszcie z „oddziałów pomocniczych”, sprawujących się gorzej niż wojska wroga, kosztując kraj i miasto — bez uwzględnienia zrabowanych majątności — według rachunku z dnia 18 IX 1621 r. talarów 10.989, groszy 18 oraz 6 halerzy. A działo się to w czasie od 7 VII do 15 IX tegoż roku. Zarówno książę jak i stany uznały ten wydatek za opłatę krajową i pismem z dnia 10 IV 1624 r. prosili o odpisanie tej kwoty z ogólnej sumy podatkowej. Z pisma księcia Rudolfa skierowanego do naszego księcia Wilhelma Fryderyka z dnia 9 VI 1624 r. jak też późniejszych wzmianek wynika jednak, iż koszty utrzymania wojsk winno pokryć księstwo z własnych funduszy. Powodem tego było wyżej już wzmiankowane stwierdzenie, że stany z własnej woli prosiły o przysłanie kontyngentu wojska celem obrony granic przed węgierskimi rebeliantami. Cesarz, uwzględniając taką prośbę, przysłał wojska neapolitańskie celem obsadzenia przejść prowadzących z Jabłonkowa na Węgry. Dopiero 25 I 1668 r. zezwolono na wciągnięcie tych wydatków do ogólnej sumy podatkowej.

Ledwo miasto i kraj wyzwoliły się z ciężaru nałożonego przez wojska neapolitańskie, z innej strony ponownie nadciągnęło utrapienie. Wyklęty książę Jan Jerzy z Karniowa wykorzystał otóż moment wycofania wojsk z księstwa opawskiego i w 1622 roku z korpusem wojsk wtargnął na Śląsk Cieszyński. W pierwszym uderzeniu zajął zamek i miasto, obrabował i zniszczył kraj, przegnał katolickie duchowieństwo, oszczędził natomiast miasto, które prawie w całości wyznawało luteranizm. Dzięki niemu protestantyzm na krótki okres czasu wziął górę, lecz wkrótce cesarskie wojska pod wodzą pułkownika Karola Hannibala burgrabiego z Dohna wygoniły go z Cieszyna, a pod Nowym Jiczynem rozbiły całkowicie. Pomoc ta ponownie księstwo dużo kosztowała, a pułkownikowi Karolowi Hannibalowi burgrabiemu w Dohna, panu na Leutenbergu, Policach i Göschitz, c.k. tajnemu radcy i podkomorzemu, prezydentowi Komory Śląskiej i upoważnionemu wójtowi Ziemi Łużyckiej tytułem podatku książęcego wypłacono 18.779 talarów. Wynika to z pisma kredytowego księżnej Elżbiety Lukrecji z dnia 30 III 1629 r., przy czym na pokrycie długu wytypowano majątności Skoczów i Strumięń.

W 1624 r. zjawił się nareszcie młody książę Fryderyk Wilhelm osobiście w Cieszynie i przejął rządy w księstwie. Mianował natychmiast katolickiego dziekana i proboszcza w mieście, a w dniu 15 XII tegoż roku oznajmił Radzie Miejskiej, że w tym celu sprowadził

Wojciecha Gagałkowskiego, proboszcza siewierskiego i dotychczasowego proboszcza w Skoczowie nakazując Radzie przyjęcie nowego dziekana z należytym uznaniem i honorami. Uspokojenie mieszczaństwa było jednak tak zatwardziało, iż nie zważając na zalecenie zwierzchności sprowadzono luteranśkich kaznodziej, przyjmując od nich sakramenty. Skłoniło to księcia do wydania w dniu 9 I 1625 r. Radzie Miejskiej nakazu, że pod groźbą nielaski jak też dokuczliwej kary w czasie jego nieobecności do ślubów, chrztin i innych ceremonii kościelnych nie wolno sprowadzać innego księdza aniżeli tutejszego dziekana.

Z podróży, jaką książę Fryderyk Wilhelm podjął, już nie wrócił, umierając w drodze.

Ledwie wojska cesarskie opuściły nasze okolice, a już hrabia Mansfeld na czele duńskiego korpusu znalazł się w 1625 r. pod Cieszynem, zajmując księstwo i przebywając tutaj do 1627 r. Wynika to z pisma duńskiego podpułkownika Mikołaja Rohra, skierowanego do pułkownika Henryka Wolfa do Baudisa, wystawionego 15 II 1627 r. w Cieszynie.

Większość mieszkańców Cieszyna jak i okolicznych stron wyznawała nadal naukę Lutra, dlatego weszli oni w posiadanie kościołów i szkół, a wypędzonych kaznodziejów ponownie sprowadzono. Mimo panującej drożyzny spowodowanej zniszczeniami dokonanymi przez obce i własne wojska dobrze zaopatrywali swych osowobodzicieli, przez co panowała wśród wojska dobra dyscyplina. Warto wiedzieć, że kwarta ziarna kosztowała wtedy 5 talarów.

Do zwalczenia buntowniczych Czechów, Morawian i Ślązaków cesarzowi Ferdynandowi II przyszedł z pomocą polski król, którego kozacki korpus wtargnął na Śląsk Cieszyński, gdzie w okolicach Skoczowa i Strumienia poczynił liczne szkody do czasu, gdy miejskie wojska wyrzuciły ich z kraju i to z okrwawionymi głowami.

Wszystko to działo się w czasie krótkiego panowania młodego, pełnego talentów i przychylnego podwładnym księcia Fryderyka Wilhelma, który z powodu tych niepokojów nie mógł na stałe zamieszkać w Cieszynie, pozbawionego również — z uwagi na długie wojny i długi — dochodów wpływających normalnie z jego majątków. Zmuszało go to do zapożyczenia się u swoich poddanych (z pisma Rady Miejskiej i cieszyńskich mieszczan z dnia 16 I 1654 wynika, że zmarły już książę winien był Sebastianowi i Andrzejowi Roissom 958 talarów, 3 grosze i 6 halerzy. Będąc w takim położeniu, zmarł książę Fryderyk Wilhelm w wieku 25 lat podczas podróży w dniu 9 XI 1625 r., a wraz z nim wymarł stary piastowski ród, władający księstwem cieszyńskim przez tyle wieków.

W korzystniejszych warunkach stałby się ten książę najbardziej godnym miłości i poważania władcą księstwa. Przemawia za tym jego odrębne pismo, stanowiące odpowiedź na list Rady Miejskiej z dnia 25 II 1620 r, ułożone 8 IV tegoż roku w Monachium. W piśmie tym pociesza Radę Miejską upominając ją, aby ówczesne trudności znosiła z cierpliwością i zaufaniem do Boga, polecając jej również szukanie środków zaradczych do czasu jego przybycia do Cieszyna, środków, które nie dopuściłyby do zwiększenia długów zaciągniętych przez jego ojca.

Innym dowodem jego przychylności jest rozporządzenie skierowane do Rady Miejskiej z dnia 22 II 1624 r., odnoszące się do spraw miasta cierpiącego przez dżumę i toczące się w kraju wojny. W 1623 r. dżuma zgarnęła ponad 1.500 ludzi, przeważnie rzemieślników, a chcąc przyciągnąć do miasta nowych zasiedleńców książę rozporządził, że domów po zmarłych rzemieślnikach i kupcach nie wolno przekazywać szlachcie, posiadającej w mieście i tak już wiele nieruchomości.

Po śmierci tegoż księcia Księstwo Cieszyńskie, jako lenno czeskich królów, przypadło *im prawem kaduka* (jako spadek pozostawiony bez prawnych spadkobierców — przyp. tłum.).

Tłumaczył:
WITOLD IWANEK

Z prywatnego życia cieszyńskich Piastów

W Księstwie Cieszyńskim panowali w latach 1290—1653. Czasami władali jedynie Cieszynem i najbliższą okolicą, czasami uznawali za swoje również Zator, Oświęcim, Siewierz, Pszczynę, Bielsko, Bytom, Głogówek, Niemodlin, Prudnik, Strzelin, Lubliniec, Oleśnicę, Czeladź i Toszek. Współuczestniczyli w wielkiej polityce europejskiej.

Przemysław I zwany Noszakiem, zmarły w 1409 r., posłował z ramienia cesarza Karola IV (twórcy „złotej Pragi”) do Avignonu, Londynu, Norymbergi, Budy na Węgrzech i do Krakowa. Jego „specjalnością” było kojarzenie monarszych małżeństw. Inny Piast, Kazimierz II, zmarły w 1528 r., otrzymał godność naczelnego namiestnika Śląska Górnego i Dolnego.

Książę Wacław Adam (1524—1579) zwany też Pogrobowcem, brał udział w pogrzebie króla polskiego Zygmunta I Starego (1548), jak i w uroczystościach ślubnych ostatniego z Jagiellonów Zygmunta II Augusta z Elżbietą Austriacką (1543). Znamienne są słowa Wacława Adama skierowane do poszczególnych panów w księstwie: *oznajmujemy, żeśmy zostali wezwani przez króla polskiego na wesele do Krakowa, czego odmówić nie możemy. Dlatego żądamy, abyś z nami pojechał w 12 koni, ty i czeladź w stroju czerwonym jako i my...* Ten sam książę Wacław Adam brał udział w uroczystościach koronacyjnych Barbary Radziwiłłówny (1547). Był wysoce wykształcony, zwłaszcza w prawie i medycynie, obdarzony przy tym wrodzoną inteligencją; wiele czytał. Jednocześnie lubował się w zabawach i w używaniu rozkoszy życia. W tym kierunku gest miał tak szeroki, że z biegiem lat musiał pozostawiać i posprzedać niektóre części swego księstwa. Sprzedał więc „państwa” bielskie i frydeckie, a pod naciskiem rodziny zabezpieczył dla najstarszego syna „państwo” frysztackie. Stałe trzymał na cieszyńskim zamku kapelę złożoną z wołoskich cyganów, sprowadzał z ciepłych krajów papugi, utrzymywał dla rozrywki karlice, urządzał wyścigi i turnieje rycerskie. Kiedy jednak w 1570 r. wybuchła w Księstwie Cieszyńskim morowa zaraza, nie tylko z narażeniem życia odwiedzał swych chorych poddanych, lecz osobiście ich leczył. Poglądów był demokratycznych; niejednokrotnie zasiadał do jednego stołu z cieszyńskimi mieszczanami. W 1554 r. wydał rozporządzenie zakazujące osobom stanu rycerskiego i wyższego „pańskiego”, traktować *w sposób pogardliwy* cieszyńskich mistrzów tkackich uznając ich za ludzi uczciwych. Dobrał się do ówczesnych „paskarzy”, spośród kupców cieszyńskich, poruszony skargami na nich rycerstwa i mieszczan *iż nie zachowuje się żadnej miary w przetargu i każdy mając tylko swoją korzyść na widoku, żąda jak najwyższej ceny, przez co w księstwie nastala wielka drożyzna*, polecił zatem trzem przedstawicielom szlachty oraz burmistrzowi zbadać wszystkie zarzuty co do wygórowanych cen i *podyktować ceny sprawiedliwe*.

Podczas swych podróży po Europie władcy cieszyńscy nie unikali splendoru. Np. Adam Wacław (1574—1617) udając się w 1611 r. na zjazd książęcy do Wrocławia miał orszak przypominający orszak pośła polskiego Jerzego Ossolińskiego, gdy wjeżdżał w 1633 r. do Rzymu, znany z ryciny Stefana della Belli. Opis orszaku księcia Adama Wacława opisany został w kronice Alojzego Kaufmanna, w odcinku drukowanym w „Kalendarzu Cieszyńskim” na rok 1991. Z drugiej strony Piastowie potrafili żyć skromnie gdyż ten sam Adam Wacław w obozie wojskowym w Siedmiogrodzie sypiał na gołej ziemi, przykryty końską derką, żywiąc się plackami zwanymi „pogaczami” oraz spiskim piwem.

Długotrwałe podróże odbywali nie tylko Piastowie żywi, lecz i zmarli. Tak np. zmarły

w 1625 r. w odległej Kolonii książę Fryderyk Wilhelm, zabalsamowany i ułożony w zalanej smołą trumnie, przywieziony został do Cieszyna, gdzie spoczął w kościele dominikańskim — obecnie parafialnym, gdzie chowano wszystkich cieszyńskich Piastów.

Nie każdy z Piastów mógł jednak w księstwie panować, szczególnie ich córki. Córka pierwszego udzielnego władcy Cieszyna, Mieszka I, księżna Elżbieta Wiola wyszła w 1305 r. za mąż za Wacława króla Czech, Moraw i Polski; syn Kazimierza I, zmarły w 1391 r. Ziemowit został przeorem Joanitów na Polskę, Morawy i Czechy; jego brat Bolesław, jako kanonik krakowski awansował na proboszcza zamku praskiego i kanclerza cesarza Karola IV; natomiast ich siostry, Elżbieta jako zakonnica klasztoru w Trzebnicy została konkubiną margrabiego morawskiego, a Jolanta-Helena w 1361 r. wybrana została ksienią klasztoru klarysek przy kościele św. Andrzeja w Krakowie. Pewne znaczenie w historii Polski odegrała córka zmarłego w 1477 r. Przemysława II Jadwiga, gdyż z jej małżeństwa z palatynem węgierskim Stefanem Zapolią zrodziła się Barbara, późniejsza żona króla polskiego Zygmunta I Starego.

Dole i niedole życia Piastów cieszyńskich najlepiej uwidaczniają dzieje ostatniej z nich, Elżbiety Lukrecji. Urodzona jako córka Adama Wacława i Elżbiety Kettler Kurlandzkiej w r. 1599, w wieku 19 lat została wydana siłą za księcia Gudnakara Lichtensteina liczącego wtedy 39 lat. Źle traktowana przez męża skarżyła się listownie, że niczym najgorsza służba nie otrzymuje stanu swemu należnego jedzenia, picia oraz utrzymania. Urodziła mężowi syna Hartmanna i córkę Marię Annę, zamężną w r. 1652 z hr. Henrykiem Schlickiem. Awantury małżeńskie wzmagaly się i Elżbieta Lukrecja wykorzystując śmierć swego brata Fryderyka Wilhelma — ostatniego w męskiej linii cieszyńskiego Piasta — wyjednała u cesarza przyznanie jej praw książęcych w Cieszynie. Habsburgowie prawo do dziedziczenia przyznawali wprawdzie tylko linii męskiej Piastów, lecz Elżbieta Lukrecja powołała się na przywilej króla węgierskiego i czeskiego Władysława Jagiellończyka z 1498 r., przyznający dziedziczenie księstwa również linii żeńskiej do 4 stopnia pokrewieństwa. Cesarz zatwierdził Elżbietę Lukrecję tylko dożywotnio, a nie jej dzieci zrodzone z Lichtensteinów. Tym samym odseperowała się od Gudnakara Lichtensteina i do końca swego życia (1653) nie wpuściła go w granice księstwa, nie mówiąc już o wspólnym stole bądź łożu. Nie przeczuwała wtedy, że w przyszłości stanie się pramatką rodu książęcego panującego obecnie w niepodległym państewku na pograniczu Austrii i Szwajcarii. Cieszyńscy Piastowie poprzez żonę Wacława Adama, księżnę Katarzynę Sydonię Sachsen Lauenburg (1567) byli również spokrewnieni z panującą obecnie w Belgii dynastią królewską.

Elżbieta Lukrecja panowała w okresie wojen religijnych, gdy przez Cieszyn przewalały się wojska z Neapolu, Hiszpanii, Szkocji, Siedmiogrodu, Czech, Polski i Szwecji. Księżna chroniła się przed nimi w Jabłonkowie, a skarbiec rodowy i wszelkie kosztowności wysyłała do Kęt. Znała język polski, gdyż listownie korespondowała w tymże języku z jakimś szlachcicem w Kętach (1625). W krótkich okresach pokoju, wzorem swego dziadka Wacława Adama trzymała na swym dworze również trupy aktorskie, zespoły muzyczne i karlice. Z lasów pszczyńskich sprowadzała do swego ograbionego zwierzyńca jelenie, danielę, a nawet łosie. Zwierzyniec mieścił się na terenie dzisiejszej Grabiny i Podobory zwanych wtedy Tiergartenem obok zamczeku myśliwskiego, zburzonego po 1945 r. Nuda na cieszyńskim zamku musiała być przeogromna, skoro kronikarz odnotował, że w zimowe popołudnie wjechał do miasta na saniach syn kupca ostrawskiego, kilkakrotnie okrążył rynek i mostem przez Olzę powrócił do domu. Księżnej Elżbiecie Lukrecji zdarzenie to musiano dokładnie opowiedzieć, gdyż w monotonię szarego dnia na zamku, wprowadziła interesującą odmianę. Zmarła 19 maja 1653 r. jako ostatnia z cieszyńskich Piastów. Na jej pogrzeb nie zjawił się ani mąż, ani jej dzieci, a majątek ruchomy odebrali dla Lichtensteinów radcy Jan Radow i von Wippach. Księstwo przeszło na własność Habsburgów, którzy jako książęta cieszyńscy władali nim do 1918 r.

Nie jest to jednak koniec opowieści o cieszyńskim rodzie piastowskim, gdyż trwał on,

wprawdzie pod innym nazwiskiem, nadal i ma związek ze wspomnianą Elżbietą Lukrecją. W czasach jej panowania mieszkali bowiem w Cieszynie zrodzeni z nieprawego łoża brat Elżbiety Lukrecji Wacław Gotfryd oraz bratanica Maria Magdalena. Ojciec Elżbiety Lukrecji, Adam Wacław, owdowiał w 1601 r. w wieku 27 lat i związał się ze szlachcianką z okolic Karniowa Małgorzatą Kostlich. Ze związku tego narodził się Wacław Gotfryd, prawdopodobnie ok. 1612 r., gdyż wtedy książę podarował Małgorzacie Kostlich zameczek w Markłowicach. Brat Elżbiety Lukrecji, ostatni Piast cieszyński Fryderyk Wilhelm do 22 roku życia wychowany był przez jezuitów w Monachium, a w Cieszynie przebywał w latach 1623—1625. Umarł, jak już wspomniano, w wieku 24 lat w Kolonii. Krótki okres cieszyńskiego pobytu wystarczył jednak, aby spłodzić z nieznaną z nazwiska mieszczką córkę, Marię Magdalenę. I Wacławem Gotfrydem, i Marią Magdaleną zajęła się Elżbieta Lukrecja uzyskując dla nich w 1640 r. tytuł baronostwa Hohenstein, bez prawa dziedziczenia księstwa. Godłem Hohensteinów, czyli nieprawych Piastów stał się orzeł piastowski bez lewego skrzydła, z piersią przebitą okrwawioną strzałą. Testament Fryderyka Wilhelma sporządzony na łożu śmierci w Kolonii nie wspomina o córce, dlatego sądzić można, iż ostatni Piast cieszyński nie wiedział, że pozostawia po sobie potomstwo.



Książę cieszyński Wacław Pogrobowiec (1524—1579). Z galerii portretowej książąt Lobkowiczów w Raudnicach. *Reprod. Dominik Dubiel.*



Księżna Elżbieta Kurlandzka, żona księcia Adama Wacława. Z galerii portretowej książąt Lobkowiczów w Raudnicach. *Reprod.: Dominik Dubiel.*

Wacław Gotfryd, *swobodny pan z Hohenstein*, kupił w 1644 r. przy klasztorze dominikanów w Cieszynie dom od Wacława Pielgrzyma, żeniąc się z nieznaną dotychczas szlachcianką. Syn ich, Ferdynand, ożeniony z urodzoną w 1655 r. Anną Joanną Clozen von Haidenburg zginął jako żołnierz na Węgrzech w 1686 r. w walkach z Turkami. Wiadomo, że w r. 1672 Habsburgowie odebrali mu matczyne Markłowice, wypłacając wzamian roczny ekwiwalent w postaci 400 guldenów. Jego syn, również Ferdynand, urodzony w 1681 r., jako ostatni już w linii męskiej potomek cieszyńskich Piastów, zmarł na padaczkę 3 kwietnia 1706 r. Jego matka Anna Joanna wyszła ponownie za mąż (1693) za Jana Wilhelma Walterskirchen; zmarła w r. 1720.

Maria Magdalena była w r. 1661 żoną Bernarda Ruckiego, gdyż w tym roku ochrzczono ich córkę Ewę Dorotę. Cieszyńskie księgi metrykalne wzmiankują w 1677 r. ślub Anny Marii Hohenstein z Juliuszem Skrawarzem, w 1686 wymieniają jako świadka chrztu Wacława Gotfryda Hohensteina, w 1668 Fryderyka Hohensteina jako świadka chrztu, w 1678 Adama Wacława Hohensteina jako świadka chrztu. Synowi pierwszego Hohensteina, Ferdynandowi i jego żonie Annie Joannie 21 XI 1680 r. urodził się w Cieszynie jeszcze jeden syn, Leopold Honoriusz. Dzieje tego Piastowicza nie są nam jednak znane.

Być może, istnieją rodziny Hohenstein, Rucki bądź Skrawarz, których przodkowie wywodzą się bezpośrednio, bądź byli spokrewnieni lub spowinowaceni ze starym cieszyńskim rodem piastowskim.

Z przysłów ludowych

Cygaństwo przeminie,
a prowda nie zginie.

Co się здо,
to jakby się śniło,
a co sie śni,
to jakby nie było.

Co tam słyhać?
Stare baby nie chcą zdychać.

Co sie godzi
to nie szkodzi.

Co sie odwlecze,
to nie uciecze.

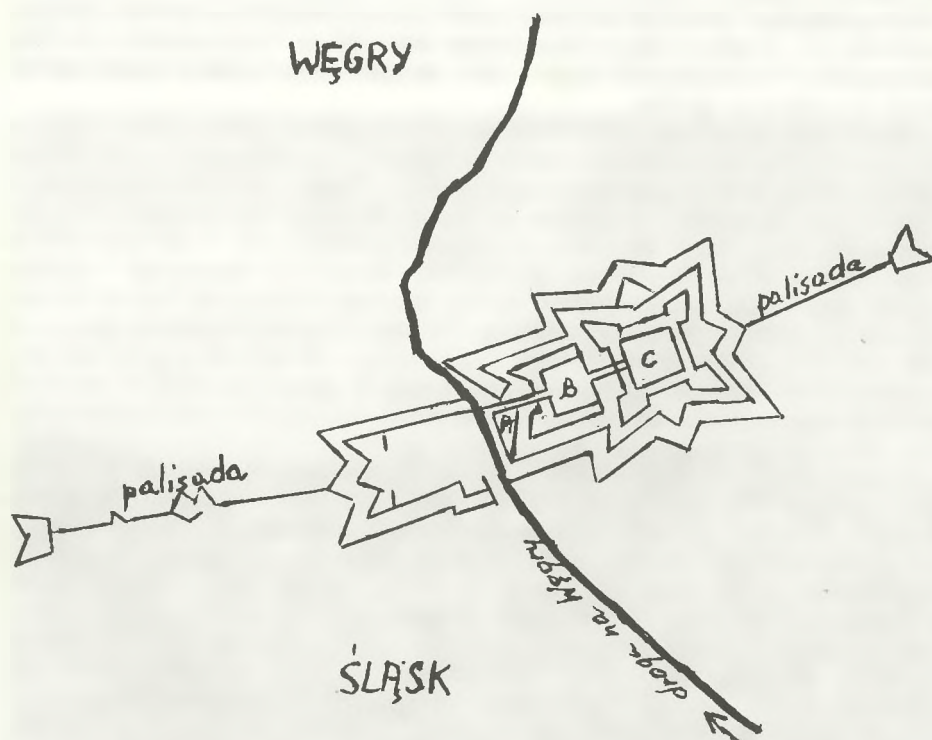
Co piątek ni może,
to niedziela dokoże.

Co po chlubie,
kiedy biyda szkubie.

Najważniejsza twierdza cieszyńska

Dla współczesnego pokolenia Cieszyniaków dawne dzieje miejscowości leżących na Zaolziu stają się coraz bardziej odległe. A przecież ziemie te pozostają nadal integralną częścią historycznego Księstwa Cieszyńskiego, a ich ludność i leżące tam umocnienia wojskowe przez szereg stuleci osłaniały Cieszyn przed obcą inwazją i tym samym warunkowały obecny kształt naszej regionalnej kultury. Tam też, na południowej granicy Księstwa rozgrywały się najbardziej ważne i dramatyczne zmagania o zachowanie jego względnej politycznej i gospodarczej niezależności i pomyślności, w warunkach, w jakich w minionych niespokojnych stuleciach było to w ogóle możliwe.

Najważniejsza dla Śląska Cieszyńskiego twierdza leżała we wsi Mosty za Jabłonkowem. Wieś ta była najbardziej na południe wysuniętą wsią śląską, graniczącą ze Słowacją, prowincją wówczas węgierską. Mosty leżą nad rzeką Osetnicą, dopływem Olzy; ale z południowych przysiółków tej wsi, z okolicznych pagórków, a nawet już z terenów wsi Jaworzynka pomniejsze potoczki i rzeczki spływają na południową stronę Karpat, w dorzecze Wagu i Dunaju. Teren, na którym znajduje się ta wieś, jest ważny od wieków z tego względu, że obejmuje on najniższe obniżenie zachodniego łuku Karpat, tzw.



Plan „Wielkiego Szańca” z początków XVIII wieku. A — wartownia, B — obwarowania przedmurza, C — główna twierdza z 4 wysuniętymi bastionami. Wg szkicu „Historia osadnictwa w Beskidzie Śląskim” Franciszka Popiołka (Katowice 1939) wykonała autorka.

Przełęcz Jabłonkowską. Przełęcz leży na wysokości 551 m n.p.m. Jest to najprostsze połączenie między prowincją śląską a Węgrami, a jednocześnie, w znaczeniu geograficznie szerszym, najkrótsze i najbardziej dogodne połączenie między położonymi nad Bałtykiem handlowymi ośrodkami północnej Europy — Hamburgiem, Lubeką, Gdańskiem — a centrum handlowym południowego wschodu, bizantyjskim a potem tureckim Konstantynopolem (Stambułem).

Droga przez Przełęcz Jabłonkowską znana była od najdawniejszych czasów; w starożytności wiódł tędy jeden ze szlaków „bursztynowych”. W średniowieczu drogę tę zwano „miedzianą”, od miedzi przewożonej z kopalń słowackich do środkowej i północnej Europy, w czasach nowożytnych zaś — Przełęcz nabrała znaczenia przede wszystkim wojskowego i politycznego.

Dla zrozumienia powstałego w tym miejscu w XVI w. niebezpieczeństwa, które stało się przyczyną zbudowania silnego fortu wojskowego, warto przypomnieć niektóre zdarzenia z przeszłości.

W 1526 r. w zwycięskiej dla wojsk tureckich bitwie pod Mohaczem zginął król Czech i Węgier, Ludwik Jagiellończyk; od tego czasu Turcy usadowili się na długo w środkowych Węgrzech. Natomiast na mocy wcześniejszych układów dynastycznych sukcesja zarówno czeskiej, jak i węgierskiej korony przeszła na panującą w Austrii cesarską rodzinę Habsburgów.

Powstała nowa i bardzo dla Śląska niedogodna konfiguracja polityczna: prowincja śląska należała wówczas do Czech, i wraz z nimi przeszła pod zwierzchnictwo Austrii, natomiast od południa, właśnie od strony Śląska Cieszyńskiego, leżała niebezpiecznie blisko obszarów władzy Turków. W walce ze wspólnym wrogiem, tj. z Austrią naturalnymi sprzymierzeńcami Turków stali się węgierscy książęta Siedmiogrodu. Motywem dążenia Turków do podbicia krajów austriackich była zarówno ich polityczna ekspansja, jak i względy religijne, rozszerzanie wiary Allaha; Turcy uważali to za swoje posłannictwo. Pomniejsze, wchodzące w skład ich armii hordy tatarskie nastawione były przede wszystkim na grabież.

Walka Węgrów przeciw Austrii miała również dwojake podłoże; do 1526 r. mieli oni swe własne, niezależne królestwo i jeśli walka przeciw potędze tureckiej byłaby dla nich z góry przegrana, starali się przynajmniej, w oparciu o Turków, utrzymać niezależność od Austrii swych wschodnich terytoriów, tj. właśnie Księstwa Siedmiogrodu. Poza tym ludność Siedmiogrodu, w większości protestancka (kalwini) stała w ostrej opozycji do przywracanego przez Habsburgów katolicyzmu. Dodatkowo opanowanie i złupienie bogatej i zagospodarowanej prowincji śląskiej stanowiło zarówno dla Turków jak i dla Węgrów już samo przez się wielką pokusę. Obrona cieszyńsko-węgierskiej granicy nie była więc tylko lokalną sprawą Księstwa Cieszyńskiego, ale nabrała wagi obrony całej, sięgającej aż za Wrocław i Legnicę prowincji śląskiej. W następnym, XVII w. utrzymanie Przełęczy stało się jeszcze bardziej ważne; dla Austrii była to już sprawa o pierwszorzędnym znaczeniu ogólnopaństwowym.

Ślązacy obawiali się Turków najbardziej; o ich fanatyzmie i okrucieństwach dochodziły wieści z opanowanego przez nich wcześniej Półwyspu Bałkańskiego. W 1541 r. stany śląskie we Wrocławiu poleciły, aby umocnić lub zbudować na nowo twierdze w Jabłonkowie, Cieszynie, Bielsku i w Boguminie. Nadgraniczne załogi przez ponad rok miały być zaopatrywane w prowiant i amunicję. Nakazano również, aby w każdym domu gromadzono wystarczające na rok zapasy żywności i aby, w wypadku inwazji nieprzyjaciela, chłopci nie uciekali do górskich lasów — jak to mieli w zwyczaju — ale aby dołączyli do obrony wskazanego im miasta. Wszystkie leśne ścieżki i przejścia w górach miały zostać zabarykadowane ściętymi drzewami, a znakami do rozpoczęcia kampanii obronnej miały być rozpalone na szczytach górskich ogniska, wystrzały armatnie i bicie w dzwony; jeden z wczesnych historyków cieszyńskich (Albin Heinrich w r. 1818) przytaczał domniemanie, że trzykrotne w ciągu dnia dzwonienie na Anioł Pański wywodzi się właśnie z tego okresu wzmożonej ogólnej mobilizacji; w każdym razie władze zarządziły, aby

dzwony wzywały na modlitwę o obronę przed Turkami, a każdy słyszący dzwonienie odmawiał w tej intencji *Ojcze nasz*.

Obronie granicy sprzyjał fakt, że na Węgry prowadziła jedna tylko przejezdna, zdatna do celów wojskowych droga. Położenia jej nie należy identyfikować z trasą współczesnej szosy z Jabłonkowa do Żyliny; stara droga wiodła od Przełęczy w kierunku zachodnim ku pogranicznemu pagórkowi i dalej w dół, na południe, lasami na stronę słowacką. Była to właściwie tylko nieco szersza przesieka przez gęste lasy, którą, w gorszych dla przejazdu miejscach, moszczono kamieniami i drzewnymi bierwionami.

Z pierwszego okresu obronnych przedsięwzięć 1541 r. pozostał tylko widoczny na starych wojskowych szkicach zarys niewielkiej, drewnianej budowli zamykającej drogę między Jabłonkowem a wsią Mosty, w okolicy porośniętej wówczas lasami. Istnienie straży na tym bezludziu przydało się niewątpliwie podróżującym na tym szlaku kupieckim karawanom. Wyznaczony przez Stany Śląskie stały kontyngent ochrony granicy wynosić miał dla Cieszyna i Jabłonkowa 88 ludzi i 44 konie, utrzymywanych z podatków całej prowincji. W wypadku wojny do tej niewielkiej stosunkowo obsady miała dołączyć wraz ze swymi poddanymi szlachta oraz członkowie cechów miejskich, uzbrojeni w strzelby i pałasze.

Wydawać się może, że tak mała obsada była niewspółmiernie słaba w stosunku do armii tureckiej — i tak miały się sprawy istotnie — ale trzon sił tureckich nie był, na szczęście, skierowany w stronę Przełęczy, lecz na zachód, równinną ziemię w kierunku Wiednia. Przełęcz miała się bronić głównie przeciw kilkutysięcznym zagonom nieprzyjacielskim harcującym w szerokim okręgu od głównej bazy w celu zdobycia żywności, łupów i niewolnika (jeden z takich zagonów dotarł w 1529 r. aż pod Wiedeń).

W 1578 r., na rok przed swą śmiercią, książę cieszyński Wacław podjął budowę nowych szańców położonych za wsią Mosty, przy samej granicy węgierskiej. Była to budowla solidna, otoczona szeregiem palisad z ostro zakończonych pni drzewnych, wałem ziemnym i głębokimi wokół niego wykopami. Wewnątrz, oprócz pomieszczeń dla



Przełęcz Jabłonkowska. Widok od strony „Wielkiego Szańca”. Fot.: Jan Byrtus.

ludzi, sprzętu i żywności mieściły się także studnia oraz drewniana kaplica, w której wojskowy kapelan odprawiał nabożeństwa dla załogi. Wzdłuż całej granicy cieszyńsko-węgierskiej poczyniono w lasach uniemożliwiające jej przejście zasieki.

Przez kilkanaście następnych lat wokół Przełęczy panował względny spokój. Dla okolicznej ludności były to piękne lata! Wdowa po zmarłym księciu Wacławie, regentka Księstwa Katarzyna Sydonia wyszła w 1586 r. powtórnie za mąż za namiestnika Górnych Węgier (tj. Słowacji), hr. Forgacza. Jego rezydencja mieściła się w Trenczynie nad Wagiem. Odtąd przez szereg lat, aż do czasu osiągnięcia pełnoletcia przez księcia Adama Wacława (1597 r.) księżna mieszkła na przemian w Cieszynie i w Trenczynie, a jej paradne orszaki kursowały regularnie przez Jabłonków i Przełęcz; sprawy państwowe wzywały ją do Cieszyna (miejscowa szlachta miała jej bardzo za złe dłuższą nieobecność w Księstwie), sprawy rodzinne — do Trenczyna. W Jabłonkowie księżna miała swój dom; zatrzymywała się w nim dla odpoczynku i przepręgania koni. Można sobie wyobrazić, jak skromne jabłonkowskie mieszcзки przyglądały się wspaniałościom stroju księżnej i jej dworek! Jak bardzo jabłonkowskim mieszczanom, rzemieślnikom i gospodarzom imponował pełen fantazji ubiór towarzyszących orszakowi w drodze powrotnej Węgrów! Nie jest chyba przypadkiem, że najpiękniejszy, najbardziej renesansowym pierwowzorem wierny strój kobiecy zachował się właśnie w tym miasteczku i że miejscowi mężczyźni stroili się odświętnie w paradne ubiory węgierskie z ich najbardziej charakterystycznym elementem — przewieszaną przez ramię mantyczką ze srebrnymi zaponami.

W tych dobrych latach załoga twierdzy przydawała się bardzo do utrzymywania dróg w dobrym stanie i do pilnowania bezpieczeństwa przejazdu zarówno przez górskie lasy Beskidu Śląskiego, jak i przez położone za Przełęczą lasy Słowacji. Można powiedzieć, że Księstwo Cieszyńskie i Górne Węgry połączone były wówczas *sui generis* unią personalną...

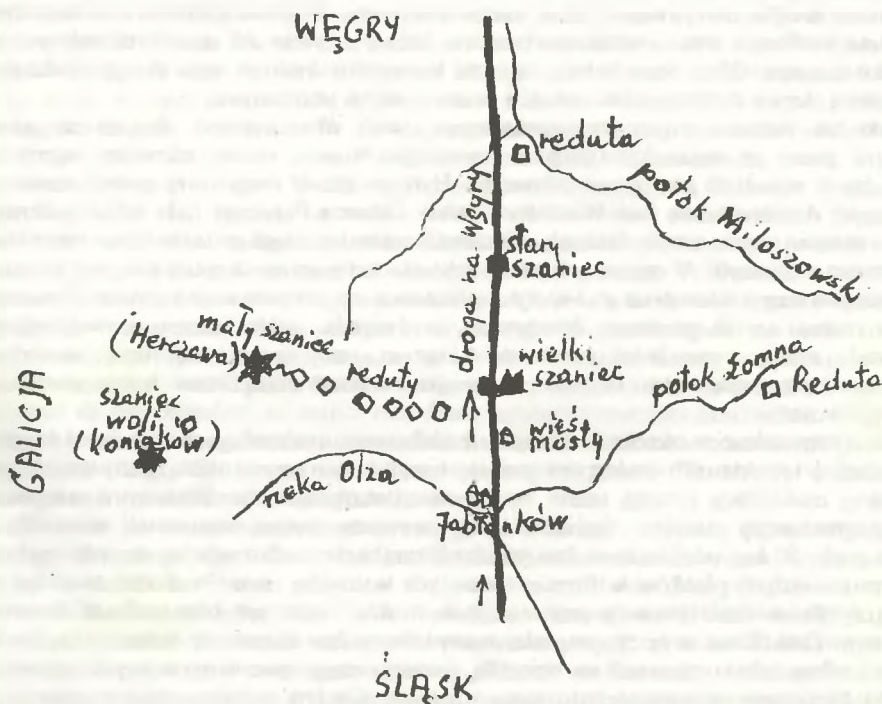
Załogę szaniców stanowili głównie górale z okolicznych wsi, tzw. wybrańcy (*Landmiliz*), zawsze pod dowództwem doświadczonego oficera — komendanta twierdzy. Ponieważ służba wojskowa nie należała do spisanych w urbarzach obowiązków górali, mieli oni otrzymywać żołd. Ale często nie otrzymywali. Dlatego również wybrańcy, aby zdobyć żywność, podejmowali łupieskie wypadki do rolniczych wsi pod Cieszynem i Frydkiem, zabierając gospodarzom bydło i zboże; był to niestety często w ówczesnym wojsku stosowany sposób zdobywania prowiantu.

Syn Katarzyny Sydonii i jej następcą w Księstwie, książę Adam Wacław nie odziedziczył ani zalet matki, ani związanej z nimi wdzięcznej pamięci potomnych. Żyjący ponad stan utracusz zaciągał coraz nowe długi, kasa Księstwa zaś świeciła pustką. Zarówno z potrzeby pieniędzy, jak i dla wojennych przygód młody książę wstąpił w służby cesarskie. Na przełomie XVI/XVII w. toczyły się na Węgrzech ciężkie walki wojsk austriackich zarówno z Turkami, jak i z przywódcami separatystów węgierskich. Przez Przełęcz przeciągały na drugą stronę Karpat najmowane w Europie Zachodniej oddziały zaciężnych wojsk austriackich. Kiedy do powstańców węgierskich i wspomagających ich Turków przyłączył się graniczący już bezpośrednio ze Śląskiem okręg Żyliny (1604), niebezpieczeństwo wtargnięcia wrogów na Śląsk stało się już całkiem realne. W 1606 r. przy samej granicy stanął obozem duży, 4-tysięczny oddział Turków i Tatarów. Z drugiej jednak strony w pogotowiu bojowym czekały konne i piesze wojska Stanów Śląskich pod dowództwem księcia Adama Wacława. Do konfrontacji jednak nie doszło; Turcy, widząc przygotowaną silną obronę granicy odwlekali podjęcie ataku — szczęśliwym zaś trafem doszło wkrótce do zawarcia ugody Turcji z Austrią, co spowodowało, że grasujące przy śląskich granicach zagoni tureckie zmuszone były wycofać się w głąb Węgier.

W XVII w. zawierucha wokół południowej granicy Śląska jeszcze się wzmogła. Wybuch wojny trzydziestoletniej (1618), obok istniejącego dotychczas niebezpieczeństwa inwazji z południa spowodował jeszcze większe dla monarchii austriackiej zagrożenie, jakim była możliwość połączenia się przez Przełęcz jej wrogów — protestanckich wojsk z północy z wojskami tureckimi i węgierskimi. Doprowadziłyby to do okrążenia Austrii

i narzucenia jej wojny na bardzo szerokim i trudnym do obrony froncie, a w konsekwencji do jej prawdopodobnej klęski. unicestwienie tych zamysłów, a więc obrona Przełęczy Jabłonkowskiej stała się jednym z najważniejszych strategicznych przedsięwzięć austriackich.

Na znanej nam już, jedynej drodze ku Przełęczy, nieco bliżej wsi Mosty stanął nowy, większy od poprzedniego szaniec. Mieścił się on na szczycie stromego pagórka, na wysokości 605 m n.p.m., skąd roztaczała się dobra widoczność na okolicę i na położoną poniżej pagórka Przełęcz. O wyglądzie tego nowego szanieca trudno dziś coś powiedzieć; zbudowany był prawdopodobnie z kamieni i grubych pni drzewnych. Na przyczółkach ustawiono przytoczone z Cieszyna armaty. Obsadę żołnierską stanowili nadal „wybrańcy” — w początkowym okresie tej wojny co szósty góral z okolicznych wsi powoływany był do pełnienia tej służby. W sumie było wtedy na szaniecach 382 wybrańców, nie licząc kadry dowódczej, kapelana, chirurga itp. W wypadku bezpośredniego zagrożenia ten garnizon bitnych wprowadzić, ale mało z taktyką wojskową obeznanych górali był jednak ewidentnie niewystarczający, dlatego księżna Elżbieta Lukrecja (córka nieżyjącego już Adama Wacława) zażądała od Stanów Śląskich przysłania zawodowego wojska zaciężnego. Ale zaraz za pierwszym razem, gdy wojska te przysłano (1621), uczucie ulgi, z jakim ich oczekiwano, zamieniło się nie tylko w grozę i gorzkie rozczarowanie, ale wręcz w konieczność walki z tym kolejnym, tym razem występującym pod austriackimi auspicjami nieprzyjacielem. Przysłani żołnierze byli Neapolitańczykami, wobec miejscowej ludności zachowywali się gorzej niż wrogowie. Mieszczanie jabłonkowscy, ratując życie, uciekali przed nimi w góry! Na szaniecach jabłonkowskich Neapolitańczycy przebywali tylko przez kilka letnich tygodni, ale ich zła sława przetrwała u wszystkich późniejszych dziejopisów cieszyńskich. Kolejny krótkotrwały pokój Austrii z Turcją spowodował wycofanie ich z Księstwa.



Plan sytuacyjny obwarowań na Przełęczy Jabłonkowskiej. Wg mapki w „Historii osadnictwa w Beskidzie Śląskim” (Katowice 1939) wykonana autorka

Po tym złym doświadczeniu wysiłki Księstwa szły raczej w kierunku uzyskania od Stanów Śląskich pieniędzy na werbowanie żołnierzy we własnym zakresie. Utrzymanie twierdzy w dobrym stanie, jej naprawy, amunicja, żywność i żołd dla kilkuset ludzi — wymagało dużych bieżących nakładów pieniężnych. Księstwo Cieszyńskie, zrujnowane powtarzającymi się przemarszami obcych wojsk i ich kwaterunkami, nie było w stanie tym wydatkom poddać — a także, prawdę mówiąc, nie miało tego obowiązku, skoro obrona południowej granicy była sprawą całej prowincji, a nawet sprawą państwa. Uzyskano więc obniżenie wysyłanych do Wiednia „cesarskich” sum podatkowych, co starczyło na żołd dla 150 zawodowych żołnierzy pogranicza („hajduków”). Stany Śląskie zaś przyznały dodatkową dotację 1000 talarów rocznie, która to suma miała być rozłożona sprawiedliwie na poszczególne wchodzące w skład prowincji księstwa śląskie. Bogać tam! Jak można było się spodziewać, ociągały się one z płaceniem przypadających na nie części, a główny ciężar wydatków ponosiło nadal położone najbliżej Przełęczy Księstwo Cieszyńskie. W 1644 r. roczne wydatki na utrzymanie szaniców wyniosły 56 tys. talarów; kwota ta przewyższała dwuletni dochód ze wszystkich majątków książęcych! Mimo woli budzi się współczucie dla panującej wówczas na zamku cieszyńskim księżnej Elżbiety Lukrecji, ostatniej z cieszyńskiej linii Piastowiczów. Obarczona tysiącem kłopotów, nieszczęśliwa w narzuconym jej małżeństwie ze znacznie od niej starszym księciem Gundakerem Liechtensteinem — zwolennikiem twardej linii kontrreformacji i reakcjonizmu habsburskiego — żyła z nim w separacji, właśnie na tle zachowania niezależności rządów w swym Księstwie; naciskana do ostrej rozprawy z luteranami — stanowiącymi przecież większość jej poddanych — aż do swej śmierci starała się ich ochraniać; dwukrotnie zmuszona do opuszczenia Cieszyna przed wkroczeniem obcych wojsk wracała, zastawiała swe klejnoty, płaciła kontrybucje, zabiegała, pisała prośby i usprawiedliwienia do cesarza; w życiu prywatnym — opiekowała się pochodzącymi z „nieprawego łoża” swym przyrodnim bratem i bratanicą, starała się zabezpieczyć im zarówno środki utrzymania, jak i status społeczny. Księżna Elżbieta Lukrecja była kobietą wielkiego serca i wielkiego męstwa, której przyszło żyć w najtrudniejszych na Śląsku czasach. Obok swej babki, regentki Katarzyny Sydonii, była drugą władczynią Księstwa, która zyskała sobie miłość i pamięć swych poddanych.

Po zakończeniu wojny trzydziestoletniej (1648) obawa przed okrażeniem granic Austrii przez protestanckie (głównie szwedzkie) wojska ustała, niemniej zagrożenie inwazją z południa jeszcze się wzmogło. Były to czasy szczytowej potęgi tureckiej, złamanej dopiero bitwą pod Wiedniem (1683). Obrona Przełęczy była nadal zadaniem pierwszoplanowym, a w wydatkach na utrzymanie stałej załogi szaniców uczestniczyło też już miasto Cieszyn. W rejestrach cieszyńskiego burmistrza zanotowana jest pozycja: *Zapłacono muszkietierom na Przełęczy Jabłonkowskiej 161 talarów i 6 groszy*. Ówczesny talar równał się 36 groszom. Zważywszy, że dniówka cieśli, liczona od wschodu do zachodu słońca wynosiła w tym czasie 4,5 grosza, aby zarobić cały talar, musiał on pracować przez osiem dni. Daje to pojęcie, jak wielkiem obciążeniem była wymieniona wyżej kwota.

Jak poprzednio, w okresach szczególnie niebezpiecznych załogę wzmacniano posiłkami szlachty i poddanych z całej prowincji śląskiej; tak było np. w 1662 r., kiedy tylko dzięki szybkiej mobilizacji obrony udało się zapobiec wtargnięciu na Śląsk hord tatarskich, które spustoszyły sąsiednie okolice Moraw (nawiasem można wspomnieć, że w oddalonym o ok. 50 km od Cieszyna miasteczku Stramberku zachowała się do dziś tradycja pieczenia małych placków w formie zwiniętych w tulejkę uszu. Pochodzi ona stąd, że Tatarzy obcinali zabitym uszy, pakowali je do worów, i zabierali, jako trofeum, do swych obozów. Zaskoczeni w nocy niespodziewanym wypadem obrońców Stramberka, mieszczań i załogi zamku ratowali się ucieczką, pozostawiając owe wory w swych koczowiskach). Niebezpieczeństwo nie było więc wydumane. Kiedy w pobliżu szaniców pojawiły się tatarskie oddziały, wzmacniano obsadę i wysyłano patrole rozpoznawcze. Twierdza zamykająca kłamrą jedyną drogę na Śląsk strzegła go skuteczniej, niż mury poszczegół-

nych miast. Tureckim i tatarskim zagonom nidy nie udało się jej sforsować. Obawa przed nimi była jednak tak wielka, że na wszelki wypadek, gdyby twierdza padła, także w Cieszynie utrzymywano stały garnizon wojskowy.

Teoretycznie trudna do zdobycia, twierdza mostECKA przechodziła jednak kilkakrotnie we wrogie Austrii ręce. Wydaje się, że decydowały o tym nie tylko obiektywnie większe siły zdobywców, lecz chyba również motywacja, jaką kierowała się załoga szanCów. Turków i Tatarów bano się autentycznie, lepiej więc było zginąć w walce, niż paść pod ich nożami po niedość skutecznej obronie. W czasie wojny trzydziestoletniej sytuacja stała się jednak bardziej skomplikowana.

Pamiętać trzeba, że jeszcze na kilka lat przed wybuchem tej wojny, do 1611 r., luteranizm był na Śląsku religią panującą i powszechnie wyznawaną. Habsburgowie, zwierzchnicy Śląska, uważali katolicyzm za podporę swej dynastii i czynnie popierali zwalczających innowierców jezuitów. Na Śląsku skrzyżowały się więc dwie przeciwstawne postawy: jako poddani autriaccy Ślązacy powinni byli walczyć z wrogami Austrii; natomiast jako protestanci widzieli w wojskach koalicji przeciwhabsburskiej obrońców swego prześladowanego wyznania; szwedzka królowa Krystyna wzięła miasto Cieszyn pod swą szczególną opiekę.

Dalszy ciąg zdarzeń był pochodną wynikłych stąd konfliktów sumień i obowiązków. Po bitwie pod Białą Górą (1620) jeden z przywódców anaustriackiego powstania, margrabia karniowski Jan Jerzy Brandenburski, ewangelik, przybył w 1622 r. ze swymi wojskami do Cieszyna, zajął miasto, zamek, Przełęcz Jabłonkowską, z zamiarem współdziałania stąd z rebeliantami węgierskimi. Jego stosunki z ludnością cieszyńską układały się dobrze. Źle zaczęło się dziać, kiedy do rozprawy z buntownikami Habsburgowie przysłali wierne sobie oddziały austriackie, które rabowały i uciskały miejscową ludność bez względu na jej wyznanie. Jeszcze drastyczniej jednoznaczny wybór ludności i jej opowiedzenie się po stronie wyznania, a wbrew przynależności państwowej wystąpiło w trzy lata później, w czasie przemarszu przez Księstwo wojsk protestanckich pod wodzą hr. Ernsta Mansfelda: szanCów jabłonkowskich nie tylko nie broniono, ale cała ich załoga złożona z 50 muszkieterów i 50 hajduków przeszła na stronę „najeźdźcy”, a co więcej, w czasie przejazdu Mansfelda przez Księstwo wielu ludzi konnych i pieszych dołączyło do jego oddziałów. W tych sprzyjających dla siebie warunkach Mansfeld utrzymał się w Księstwie i na Przełęczy przez cały rok, mając tu punkt styczny z nieprzejednanym wrogiem Habsburgów, księciem Siedmiogrodu Gaborem Bethlenem. Obydwaj robili stąd wypadły na rozlokowane na Morawach i w zachodnich Węgrzech oddziały austriackie, zadając im wiele klęsk. Co prawda Cieszyńscy ponieśli za tę „zdradę” ciężką karę. Przysłane habsburskie wojska generała Wallensteina stosowały wobec ludności najcięższe represje, rabunki i gwałty, nękały ich kwaterunkami doprowadzając do ostatecznej nędzy. Jedynym wyjściem dla prześladowanych była zmiana wyznania, tj. przyjęcie katolicyzmu, co uważane było za deklarację lojalności.

Skoro sprawowanie przez CieszyńskóW pieczy nad państwową granicą austriacką okazało się tak zawodne, na szanice przysłano regularne oddziały austriackie. Utrzymaniem ich obciążono mieszczan cieszyńskich. Każdy wielkomieszczanin miał dawać tygodniowo 9 groszy, a małomieszczanin połowę tej kwoty. Ta wysoka i uciążliwa kontrybucja była dla nich karą dodatkową.

W kilka lat po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, w 1655 r. przejeżdżał przez Przełęcz złożony z 2 tys. ludzi orszak króla polskiego, Jana Kazimierza, który, uciekając przed Szwedami na Śląsk, powracał do wschodniej Małopolski południową stroną Karpat. W czasie podjętej przez Turków wielkiej ofensywy na Wiedeń w 1683 r. przez Przełęcz przechodziły wojskowe posiłki sprzymierzonych przeciw Turkom państw europejskich, złożone z zaciężnych żołnierzy różnych narodowości — Niemców, Szwedów, Duńczyków, a nawet Irlandczyków. Ci ostatni zapisali się w pamięci kolejnych pokoleń szczególnie źle, jako *źli i bezbożni ludzie, których tylko Wybrańcy ze swymi obuszkami byli w stanie utrzymać w cuglach.*

Przegrana Turków pod Wiedniem i w konsekwencji tego stopniowe wycofywanie się ich wojsk ze środkowej Europy odsunęło raz na zawsze niebezpieczeństwo tureckie od śląskiej granicy. W dalszym ciągu jednak fort na Przełęczy zachował swe strategiczne znaczenie. W początkach następnego wieku (1724—1729) na miejscu poprzedniego szzańca przystąpiono do wznoszenia nowej twierdzy. Zbudowano ją z dużych kamiennych bloków; umieszczone na rogach przyczółki nadawały jej kształt gwiazdy; objęty umocnieniami obszar zajmował prawie trzy hektary. Wewnątrz nich wzniesiono trzykondygnacyjne budynki, z tego dwa górne piętra wznosiły się nad ziemią, trzecie, dolne, ukryte było pod powierzchnią. Wokół twierdzy wykopano szerokie i głębokie rowy, również obłożone kamiennymi blokami. Jedyna droga do fortu — i dalej na Węgry — prowadziła przez ufortyfikowane, przetrzucone ponad rowami dwa mosty, które blokowały dojście zarówno od strony południowej jak i północnej. W budynkach mieściły się żołnierskie koszary, składy żywności, amunicji, kaplica, lazaret wojskowy, stacja poczty wraz z szopą do odkażania przesyłek; zabudowania gospodarcze mieściły stajnie dla koni, szopy na furaz, wozownie, drewnitnie itp. Na obszernym podwórzu wykopano studnię. Obowiązujący przy granicy budynek kwarantanny podróżnych lokowany był poza obrębem twierdzy; podobnie, poza jej obrębem, przy pobliskiej drodze polnej usytuowany był żołnierski cmentarz. W 1712 r. ówczesny komendant twierdzy, Jan Spens von Boden ze Stanisławowic postawił tam drugą kaplicę (obecnie istnieje tam okrągła kapliczka wystawiona w 1829 r.). Także piętrowy budynek mieszkalny komendanta mieścił się poza murami.

Jeszcze w drugiej połowie XVII w. pobudowano dodatkowe miejsca obronne, tzw. „Mały Szaniec” we wsi Jaworzynka (w przysiółku Herczawa), oraz w Koniakowie, na granicy Małopolski, tzw. „Szaniec Woli”. Obecnie połączono wszystkie trzy szanice linią dodatkowych mniejszych punktów obronnych, tzw. redut. Były to otoczone palisadami połowe umocnienia ziemne otoczone wałami i głębokimi wykopami, przystosowane do obrony przez niewielką załogę. Linia takich redut ciągnęła się wzdłuż południowej granicy Księstwa od Wielkiego Szańca w Mostach przez Jaworzynkę do Koniakowa. Warto tu wspomnieć, że przysiółek o nazwie „Szańce” istnieje tam do dziś; na przeciw niego leży przysiółek „Legiery”, którego nazwa wywodzi się od niemieckiego słowa *Lager*, tj. obóz (wojskowy). Pierwszymi budynkami w tym przysiółku były chałupy stawiane dla załogi „Wołowego szancia”. Stąd też tak częste w Koniakowie nazwisko „Legierski”, tj. człowiek, którego przodkowie w jakiś sposób — służbą na szanicach lub późniejszym osiedleniem się w tym miejscu — związani byli z tym przysiółkiem. Nazwa szancia „wołowego” może pochodzić od sprowadzanych drogą od Galicji wołów na wyżywienie załóg wojskowych. Nazwa „szańce” utrzymała się też w lokalnym nazewnictwie przysiółka Herczawa.

Dodatkowe reduty pobudowano jeszcze na zachód od Wielkiego Szańca we wsi Łomna oraz w widłach płynącego wzdłuż drogi z południa potoku Miłoszowskiego. Dawny, wysunięty daleko na południe zbudowany jeszcze w 1578 r. szaniec zwany obecnie „starym” miał pełnić pomocniczą rolę straży przedniej.

Prowadzone za czasów cesarzowej Marii Teresy wojny z Prusami o Śląsk przyczyniły się do budowy dalszych umocnień. Wszystkie przejścia między szanicami i redutami połączono podziemnymi chodnikami. Nie przeskoczyło to jednak Prusakom w kilkakrotnym zdobyciu twierdzy; techniką i żelazną dyscypliną górowali oni ewidentnie nad wojskami austriackimi. Nie byli jednak zainteresowani pozostaniem w tym miejscu na stałe.

U schyłku XVIII w. szanice utrzymywały nadal zmniejszoną w czasie pokoju załogę, której używano m.in. do pracy przy robotach publicznych, drogach, mostach, wznoszeniu budynków Komory Cieszyńskiej. Wobec rozwoju techniki wojskowej dawny fort tracił jednak coraz bardziej na znaczeniu. Reduty niszczały, chodniki między nimi zapadały się. Już w 1782 r. zrezygnowano z „małego szancia” na Herczawie, pozwalając poddanym z Jaworzynki pobudować tam sobie chałupy i korzystać z pól i łąk — wzamian za

uiszczany Komorze Cieszyńskiej czynsz i obowiązek obrony przed rabunkowymi napadami pasterzy słowackich. Tak więc ewentualne konflikty graniczne objawiały się już tylko w formie ściśle lokalnych zatargów na tle gospodarczym. Podobnie zanikł pozbawiony załogi „woli szaniec” w Koniakowie; interesującym jest, że w pochodzących z 1838 r. księgach gruntowych obydwu wymienionych wsi nie ma już żadnej wzmianki o niegdyśiejszych szańcach, przeciwnie, zaznaczone jest wyraźnie, że wsie te nie posiadają żadnych godnych wzmianek budowli.

Ostatnie konieczne remonty „Wielkiego Szańca” przeprowadzono w czasie wojen napoleońskich w 1808 r.; wiadomo też, że nieliczną, złożoną z 12 ludzi załogę utrzymywano tam jeszcze do rewolucji 1848 r. Po zniesieniu poddaństwa nie bardzo było komu na szańcach służyć, a utrzymywanie tej placówki z pieniędzy publicznych nie wydawało się już celowe. Nieuchronnym losem starych, historycznych miejsc szaniec opustoszały, mury ich rozsypywały się, a okoliczna ludność brała z nich kamienie na budowę własnych domostw. Formalnie wógrze, na którym stała twierdza wraz z jej zabudowaniami, zostało sprzedane wsi Mosty.

Dziś z dawnego Wielkiego Szańca pozostał jedynie wznoszący się nad okolicą uformowany w zarys gwiazdy stromy pagórek, głębokie, porośnięte gęstymi zaroślami rowy — dawne wykopy, z których tu i ówdzie wygląda kamienny obciosany głaz — zarys miejsc, w których ongiś stały mosty i istniejący jeszcze, choć zredukowany do roli lokalnej drogi polnej dawny trakt wojskowy na Słowację; zachowujące się w Mostach i w Istebnej nazwy poszczególnych dworów „u Turka” (można domniemać, że protoplaści tych rodów byli może jeńcami tureckimi, lub przeciwnie, schwytanymi na podchodach tureckimi zwiadowcami...) oraz przepiękna, przypominana na festiwalach folklorystycznych w Łomnej ludowa ballada wojenna o tej ziemi pogranicznej, w której *niejeden syneček leży — porąbany — z odciętą głową — a konie po nim depczą*. Ostatnią zwrotkę tej ballady zanotował w 1959 r. prof. Jan Tacina w Istebnej: *Oj, nie rąbaj nie siekej — kameradzie, bracie mój — ni masz me cialo — jaworowe drzewo...* Nie ulega też wątpliwości, że jeśli kiedyś na tym miejscu podjęte zostaną badania archeologiczne, przyniosą one znaczące dla lokalnej historii wyniki; ziemia kryje resztki imponujących na owe czasy fortyfikacji, cmentarzyska kości ludzkich, broń, pozostałości ubiorów, sprzętów i naczyń.

Z przysłów ludowych

Moc posłóchej, mało mów,
jesi chcesz, żebyś był zdrów.

Witej, gościu, jeżech ci rod;
coś se przyniósł, bydziesz jod.

We młynie dwa razy powiadają,
a po trzeci chleba ukroć dają.

Widzi Pómbóg z nieba,
czemu kómu trzeba.

Brzuch tłósty
— łeb pusty.

Napad, którego nie było

Zygmunt III nie był najlepszym monarchą. Zdarzało się, że podejmował działania wbrew interesom państwa, niezgodne z uchwałami Sejmu i polską racją stanu. W pamiętnym roku klęski narodu czeskiego pod Białą Górą (1620) wysłał bez zgody Sejmu na pomoc habsburskiemu władcy Ferdynandowi II, który w tym czasie dążył do ostatecznego pogięcia protestanckich Czechów, bandę rabusiów i znanych z okrucieństwa awanturników nazywanych w podręcznikach historii eufemistycznie *lekką kawalerią plk. Lisowskiego, kozakami Lisowskiego* lub po prostu *lisowczykami*.

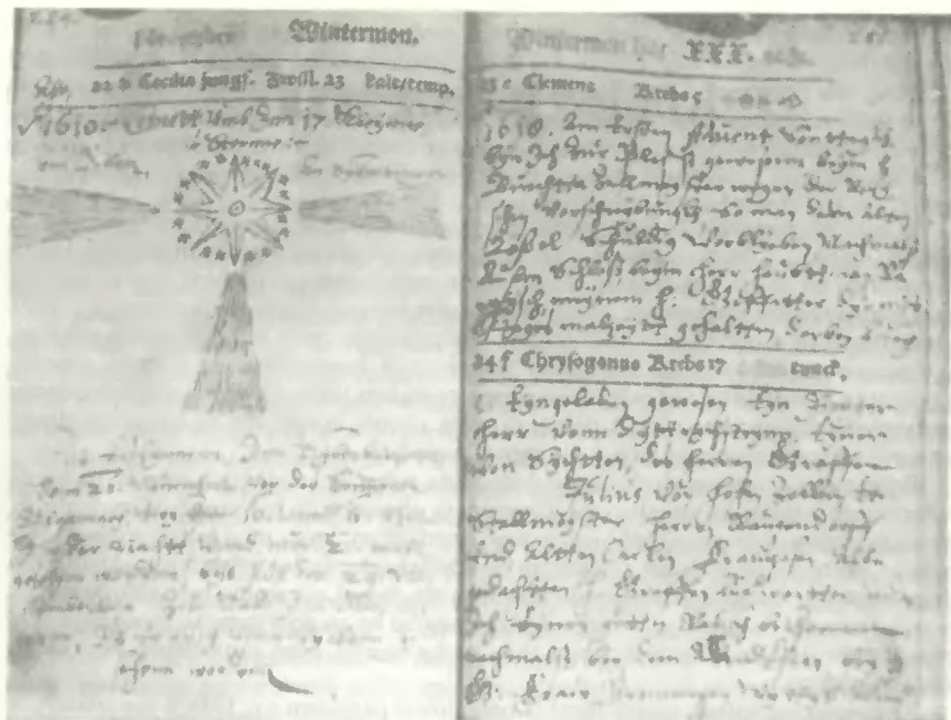
Lisowczycy narobili na Śląsku i Morawach sporo zamieszania. Koło Tarnowskich Gór i Pszczyny złupili przeszło 50 szlacheckich dworów. Szczególnie okrutnie potraktowali podobno Strumień i Skoczów. Zdaniem historyków, *te dwa ostatnie miasta, zamieszkane wyłącznie przez ludność polską, zostały splądrowane całkowicie*.

Więści o spustoszeniach okazują się jednak mocno przesadzone. Nie wszędzie, gdzie stanęła stopa najęźdźcy, musiało dojść do tragedii. Tak np. dzięki udanej interwencji ks. Jana Sarkandra, proboszcza parafii katolickiej, lisowczycy nie splądrowali morawskiego Holeszowa. Odważny proboszcz, z pochodzenia skoczowianin, nie doczekał się jednak za swój czyn pochwały ani nagrody. Odwrotnie, został aresztowany pod zarzutem, że to on sprowadził Polaków na Morawy. Oskarżał go morawski magnat Władysław z Żerotina. W ciągu trzech kolejnych przesłuchań rozciągano księdza na skrzypcu, przypalano płonącymi pochodniami, na koniec oblepiono go pierzem maczanym w mieszaninie oliwy, łój, żywicy i smoły, którą zapalono. Ksiądz żył (raczej męczył się) jeszcze miesiąc i zmarł w ołomunieckim więzieniu 17 III 1620 r., a po 240 latach, w 1860 r. został przez Kościół zaliczony w poczet błogosławionych.

Ze zgola innych niż Holeszów powodów ocalały Skoczów i Strumień. Na pozór oba te miasteczka mogły stanowić łatwy łup dla napastników. Były w tym czasie (początek XVII w.) miastami otwartymi, pozbawionymi wałów, murów i bram wjazdowych. W lepszej sytuacji znajdował się Skoczów, otoczony parkanem, z dobudowaną twierdzą — zamkiem obronnym, zabezpieczającym dojsie do miasta. Strumień nie miał wprawdzie fortyfikacji, natomiast mieszkańcy obu miast uzbrojeni byli w muszkiety, a umiejętność posługiwania się bronią palną należała do obowiązku każdego członka rzemieślniczego cechu. W razie napadu mogli więc zorganizować skuteczną obronę miasta. Lisowczycy, śpieszący w rozproszeniu na Morawy i do Czech nie mieli czasu ani ochoty wojowania z uzbrojonymi w broń palną mieszczanami; łatwiej i z mniejszym ryzykiem można było napadać i łupić pojedyncze dwory; kościoły i chaty wiejskie.

Tak być mogło i przyjmujemy, że tak właśnie było. Może jednak ktoś zapytać: gdzie dowody, które potwierdziłyby tego rodzaju przypuszczenia? Są również dowody. Zachowała się otóż relacja naocznego świadka i uczestnika tych wydarzeń, 46-letniego szlachcica Jana Tilgnera — właściciela folwarku i dworku zwanego „Świderkowskim” oraz domu w Strumienu. Twardy ten protestant, w młodości powiernik i przyjaciel księcia cieszyńskiego Adama Waclawa, prowadził od 1597 r. systematycznie swój *Dziennik*. Opisał też najazd lisowczyków. Oto dosłowne tłumaczenie interesującego nas fragmentu: *Roku 1620, dnia 4 lutego doszło do nagłego i niespodziewanego napadu Polaków na Śląsk. Kozacy Lisowskiego, których było ponad 3.000, w ciągu jednego dnia i jednej nocy przebyli 14 mil. Droga z Krakowa do Pszczyny i Ostrawy znaczone była wielkimi rabunkami, mordem, splądrowano ponad pięćdziesiąt dworów szlacheckich*.

Byli także tu, w Strumienu, koło naszego folwarku „pod Borkiem”. Trzej z nich, wysłani na zwiady do miasta, już doszli do stajni Szprencła, lecz kiedy całe miasteczko stanęło na rynku ze swoimi muszkietami, w bojowej gotowości, uciekali do swoich. Mieszczanie ścigali



Kartka z wrocławskiego kalendarza z 1580 r. z fragmentem „Dziennika” Jana Tilgnera. Ze zbiorów Leopolda Szersznika przechowywanych obecnie w Oddziale Zabytkowym Miejskiej Biblioteki Publicznej w Cieszynie.

ich aż do nowego folwarku, odbili 3 konie, przyprowadzili jednego kozaka z jukami, w których nie mało było łupów, konia zatrzymali, a Polaka wysłali do Cieszyna, gdzie razem z innymi został ścięty.

Byli też w Golasowicach, dwór do czysta okradli i splądrowali, mojego ojca chrzestnego pana Achazego Goszyckiego nie bacząc na to, że im klucze i wszystko oddał i o zmiłowanie na klęczkach błagał, i to nie pomogło, zaraz go postrzelili, a gdy z żalu krzyczał „Jezu”, bez litości okrutnie zamordowali, tak samo jak jego szwagra Samuela Skrzyszowskiego.

Kiedy w tym tumultcie uczestniczyłem, moja żona i dzieci przez 8 dni na ucieczce w lesie w Zarzeczcu, w ostatniej chałupie pod lasem u Kuby Świdra przebywały. Nadto dwoje mi w czarnej izbie z strasznego zimna zachorowało i ledwie przy życiu się utrzymało. Boże, ochroń nas w przyszłości od podobnych i większych nieszczęść!

Dla pewności zajrzyjmy jeszcze do innej XVII-wiecznej kroniki, dzieła anonimowego autora, który mógł być, jak się przypuszcza, urzędnikiem magistratu lub radnym miasta Skoczowa. Kronikarz ten zapisał w r. 1620, że 1. Ferdynand II został koronowany cesarzem i panował 17 lat. 2. Król Fryderyk przegrał bitwę pod Białą Górą. 3. W tym samym roku żołnierze polscy ciagnąc na pomoc cesarzowi napadli we wtorek zapustny na Śląsk i zamordowali pana Achazego z Golasowic. Przeciwko Polakom wystąpił margrabia karniowski. 4. 28 grudnia zmarł młynarz w młynie zwanym „Piekiełko”, koło Skoczowa. Chorował ledwie półtora dnia”.

W oparciu o wiarygodne materiały źródłowe możemy zatem stwierdzić, że ani Strumień, ani Skoczów nie zostały w 1620 r. zniszczone. Wypływa stąd wniosek, że nie można bezkrytycznie wierzyć historykom. Oni też mają prawo od czasu do czasu się pomylić.

Koniec pańszczyzny

W r. 1763 powstała w Simoradzu szkoła, dotąd jeszcze istniejąca na tym samym miejscu, około r. 1780 zbudowana została palarnia, a wskutek patentu śp. cesarza Józefa II powstało też tu gminne *sypanie*. O tym czasie przodkowie tutejsi mieli, oprócz uprawy swej roli na własne utrzymanie, jeszcze odrabianie pańszczyzny w myśl patentu z r. 1775 i niektórzy tylko oddawanie dziesięciny — naprzód na rzecz biskupa wrocławskiego, a wreszcie na *farę* skoczowską, dalej *zsypkę* czyli kontrybucję na gimne *sypanie*; z początku tylko *rustykalni*, ale późniejszym patentem także i *dominikalni* gospodarze; utrzymanie nauczyciela (*płat* i *kolęda*), słowem, obrotu dosyć, aby na wszystkie strony starczyć i przy bezustannej pracy nie zginąć z głodu.

Była jeszcze w tutejszych okolicach dziesięcina polna, tj. każdy 10-ty snop zboża z pola chłopskiego należał się dziedzicowi. Gospodarz obowiązany był skosić dojrzałe zboże, powiązać i *zmondelować* go i dać o tym znać dziedzicowi, który miał prawo wybrać sobie *mondel*, który mu się podobał, i zwieźć go do folwarku, kiedy mu się chciało; a dotąd, póki dziedzic swego *mondela* dziesięciny do folwarku nie zwoził, nie wolno było chłopu swoich *mondeli* zwozić; bo gdyby je zwoził, a pański *mondel* by na polu zamokł, to dziedzic miał prawo wybrać sobie w stodole chłopu inny suchy *mondel*, a ten zaniedbany, zamoczony zostawił chłopu.

Tę dziesięcinę jednak cesarz Józef II uregulował patentem z r. 1786 w ten sposób, że chłop wprawdzie powinien był uwiadomić dziedzica, aby sobie wybrał *mondel* ale potem już nie musiał ze sprzętem swego zboża czekać na niego, ale zwozić jak było suche, a pańską dziesięcinę zostawić na polu. Nie wiem jednak, o ile ta dziesięcina miała w Simoradzu zastosowanie, bo nigdzie w aktach nie znalazłem wzmianki o niej.

Co do pańszczyzny, to patentem z dnia 7 września 1775 cesarzowej Maryi Teresy podzieleni byli włościanie na klasy, stosownie do *dawki*, ile kto z dzierżanego gruntu podatku na utrzymanie wojska płacił. Jeden cały łan opodatkowany był r. 1775 *dawką* 66 złr 27 kr.

Stosunki, jakie się z rozprzedażą gruntów *uobywatelily*, zdaje się, że na schyłku I połowy bieżącego, XIX stulecia dokuczyły ludziom do szpiku kości. Wszędzie i u wszystkich widoczne są usiłowania, jakoby się otrząść z tej starodawnej zmy — pańszczyzny. Chłop powoli przez te częste „regulacje” i odnowiania, a tym samym i zrywania pańszczyzny r. 1735, 1775, 1780 przychodził do przekonania, że pańszczyzna nie jest jakimś wiecznie nienaruszalnym, nietykalnym bożyszczem. Jakiego rząd aż do ostateczności bronić postanowił; ale owszem, że jest urządzeniem, które by przez inne, łagodniejsze zarządzenie zastąpić się dało, dziedzic zaś z pańszczyzny nie miał wiele korzyści. W patencie z r. 1775 było postanowione, aby czas, który robotnik przepędził w drodze, idąc albo jadąc z domu na pańskie albo z pańskiego do domu powinien być wliczony do pracy. Toż nie dziw, że *pańszczorz* do roboty nie bardzo się śpieszył, a w południe lub wieczór wcześniej schodził z roboty, aby na oznaczoną godzinę i minutę zdążyć do domu. Jakoż przysłowie z onego czasu powiada: *Na pańskie chodź krokiem, z pańskiego — galopem*. W pracy robotnik także nie był zbyt gorliwy: *Pański zbęde — próżny będę*; tzn. próżny zadania i troski.

Mimo tego krytycznego położenia, tej niedoli przodków naszych sprzed 100 laty nie splamili oni swego chrześcijańskiego ani obywatelskiego sumienia żadnym wybrykiem. Pamięć ludzka nie zarzuca im żadnego rokосу, żadnego oporu, buntu, krwi przelewów, rabunku lub tym podobnej zbrodni. Okazali w tym przodkowie nasi heroizm cierpliwości i wytrwałości, przed którym godzi się schylić czoła.

Ale w tym tak okropne nieurodzone nawiedziły świat, srożąc się przez kilka lat 1846—1850, że ludzie na tyfus głodowy ginęli jak muchy. Żniwo nie wystarczało na przeżimowanie i zasiew, tak biedniejsi, nie tylko chałupnicy lub komornicy, ale i siedlacy, z wiosny, na przednówku żywili *ogniszczem*; a nierzadko tutejsza siedlaczka Pilch nr 47 zawitała do mych rodziców z garnkiem na kapuste, perswadując niby sobie na otuche: My tam jako my, ale ci, co już ani na raz do garnca kapusty nie mają! Czym chciała niby dokazać, że ma wszystkiego dosyć, choć w rzeczywistości było tam setnie krucho. Toteż na wiosnę każdego takiego roku było można z góry zawyrokować o człowieku, który był kandydatem bliskiej śmierci, bo był żółty jak ogorzały pergamin i zwykle takiego zaskoczyła śmierć nagle, bardzo często przy borówkach w lesie.

Z powodu tedy i pańszczyzny i nędzy gdzie niegdzie w innych krajach powstawały zaburzenia, niepokoje; aż w ostatnim roku 1848 panowania cesarza Ferdynanda dobrotliwego zebrała się Rada Państwa, która uchwaliła ustawę pod datą 7 września 1848, że pańszczyznę należy pod wykupieniem znieść. Zgodnie z tą ustawą wydał następnie najjaśniejszy pan ces. Franciszek Józef I pod datą 4 marca 1849 patent; a rozporządzeniem ministerialnym z 12 lipca 1849 ustanowione były komisje krajowe i powiatowe, które śledziły, jak wielka i jakiego rodzaju i wartości była ta pańszczyzna, a ustanowioną cenę za to musieli gospodarze ze swych gruntów zapłacić.

Gdy się to rozniosło, że pańszczyzna w zasadzie jest przez ustawę zniesiona, zebrali się też któregoś dnia w końcu października 1848 tutejsi gospodarze wszyscy aż do jednego, a wszedłszy do *kanclarie*, poświadczył fojt Paweł Ciemala imieniem całej gromady *verwalterowi* Ferdynand Szewczyk, że od 1 listopada tr. „pańszczyzny” więcej odrabiać nie będą, których „zwierzchność” z rezygnacyjnym spokojem wysłuchiwała. Zrobiwszy swoje, tatulkowie nasi również cicho, spokojnie i poważnie jak przyszli, wynieśli się za drzwi.

W r. 1850 ustało więc wreszcie w naszym Simoradzu (jak również w całej Austrii) urzędowanie tutejszego dziedzica jako dotychczasowej „zwierzchności”. Wszelkie tedy urzędowe czynności i odnoszące się do nich akta i księgi oddała tutejsza zwierzchność przez *verwaltera* Ferdynand Szewczyk na ręce nowo utworzonego ces. kr. *Bezyrksamtu* i urzędu podatkowego w Skoczowie i c.k. starostwa powiatowego w Bielsku. Tylko zarządzanie *sypanim* gminnym, kontrybucyjnym oddane było uczestnikom tego *sypania*, którzy do tego zarządu wybrali tzw. *Kontributions Koernerfonds-Verwaltungs-Ausschuss*. Do tego komitetu kontrybucyjnego należał zwyczajnie każdorazowy *fojt* i 2 członkowie wydziału gminnego. Skończyło się jednak urzędowanie i tego komitetu, gdy z powodu nadmiernych reparatur tego *sypania* c.k. ministerstwo rozporządzeniem z dnia 1 października 1862 zamiast reperować to *sypanie*, wraz ze zbożem sprzedać i raz na zawsze znieść nakazało. (*Z rękopiśmiennego „Pamiętnika gminy Simoradz” XIX-wiecznego wójta gminy Simoradz, Jerzego Raszki wybrał i do druku podał:*)

Do druku przygotował:
EMIL FIEDOR

Autor, Jerzy Raszka, był w minionym Stuleciu wójtem gminy Simoradz. Pozostawił po sobie napisany w języku polskim *Pamiętnik gminy Simoradz*, który przechowuje rodzina. Fragmenty *Pamiętnika* drukowaliśmy już w Kalendarzu Cieszyńskim na rok 1988 i 1990. REDAKCJA.

Pierwsi wśród wybranych

Ważną, a wciąż zapoznaną rolę odegrała w historii Cieszyna ludność pochodzenia żydowskiego, która na przełomie XIX/XX w. stanowiła ok. 10% populacji miasta. Znaczenie tej grupy narodowościowej było jednak znacznie większe, gdyż w jej rękę znajdowała się znaczna część cieszyńskiego handlu i przemysłu, wielu Żydów parało się wolnymi zawodami i odgrywało dużą rolę w duchowym i społecznym życiu Cieszyna.

Szczególną pozycję odgrywała zawsze wśród żydowskiej ludności Cieszyna rodzina Singerów, których protoplasta w 1 poł. XVII w. jako pierwszy Żyd uzyskał zgodę na stałe osiedlenie się w nadolziańskim grodzie. Nie znaczy to, że nie było tutaj Żydów wcześniej. Wielokrotnie opisywane kamienne nagrobki z 2 poł. XIV w. dowodzą, że przebywali tutaj już w okresie średniowiecza, z powodu jednak skierowanych przeciwko nim zarządzeń królów czeskich w XV i XVI w. musieli miasto opuścić. Sporadycznie spotykamy Żydów w Cieszynie w XVI w., m.in. Jakuba, który w 1531 r. posiadał dom przy obecnej ul. Srebrnej, nadwornego szklarza Markusa, któremu w 1575 r. książę Wacław Adam zezwolił na kupno domu w Cieszynie, a w 1 połowie XVII w. poborców myta Izaaka i jego syna Jakuba. Istnieją zresztą przypuszczenia, że wszyscy oni pochodzili z rodziny Singerów, ale hipoteza ta wymaga jeszcze sprawdzenia.

Zgodę na stały pobyt w Cieszynie uzyskał dopiero Jakub Singer z Ivančic k. Brna, który od lat trzydziestych XVII w. pełnił funkcję dzierżawcy książęcego myta. Zachował się ciekawy dokument z 1644 r., w którym księżna Elżbieta Lukrecja za sumę prawie 2,5 tysiąca złotych śląskich wydzierzała Jakubowi i jego synowi Hirschlowi pobieranie myta w miastach Cieszynie, Skoczowie, Strumieniu i Jabłonkowie na okres kolejnych trzech lat. Załączona do dokumentu instrukcja zawiera dokładne stawki podatkowe, według których mieli oni myto pobierać. Jakub Singer już wcześniej, bo w 1637 r. nabył w Cieszynie, za zgodą władz miejskich, cieszyńskich cechów i księżnej dom od spadkobierców szlachcica Adama Mitmajera. Mieścił się on przy ul. Polskiej (obecnej Głębokiej). W 1640 r. kupił od Jerzego Kalusa drugi dom, tym razem przy ul. Niemieckiej (obecnie Menniczej), musiał więc być człowiekiem stosunkowo bogatym. Z obu domów miał ponosić wszystkie ciężary na rzecz miasta, zwolniony został tylko z obowiązku kwaterunku wojska, za co miał wносить do kasy miejskiej odpowiednią opłatę. W domu przy ul. Niemieckiej, za zezwoleniem cesarza, mógł otworzyć także sklep i handlować różnymi towarami, co prawda tylko do końca życia. Ponieważ nie było w Cieszynie drugiego takiego sklepu, mieszczaństwo było z działalności Jakuba Singera zadowolone, tym bardziej, że mogło u niego pożyczać pieniądze pod zastaw, na co miasto wyraziło zgodę w 1638 r.

Jakub Singer miał dużo dzieci, w tym czworo synów: wspomnianego Hirschlą, Samuela, Józefa i Lazara. Zgodnie z ówczesnym ustawodawstwem dyskryminującym Żydów i zezwalającym na ich działalność tylko na podstawie osobistych przywilejów majątek Jakuba Singera mógł dziedziczyć tylko jeden z synów. Został nim Samuel; pozostali bracia po otrzymaniu należytnej odprawy przenieśli się do Strażnicy i Nikolsburga w Czechach. W 1659 r. Samuel rozpoczął starania o potwierdzenie ojcowskich uprawnień do posiadanych w Cieszynie domów i sklepu, co mu się udało osiągnąć w dwa lata później dzięki przywilejowi cesarza Leopolda I. Podobnie jak ojciec pełnił funkcję dzierżawcy książęcego myta, jak on miał czworo synów, którym starał się zapewnić podstawy dalszej egzystencji. Dla jednego z nich (zapewne najstarszego, Jakuba) wynajął dom, w którym ten sprzedawał książęcą wódkę, inni pomagali mu w prowadzeniu handlu, który nie ograniczał się do samego tylko Cieszyna. Wiadomo np., że miał kontakty ze słowacką Żyliną. Wynajął nawet pomieszczenia w sąsiednich domach mieszczańskich-chrześci-

jan. Pomagali mu także zięciowie, którzy w ten sposób powiększali liczbę zamieszkałych w mieście Żydów. Z córek Samuela wyróżniła się zwłaszcza Rebeka, która wychodziła trzy razy za mąż, co wśród wyznawców judaizmu, przynajmniej w tamtym czasie, było rzadkim zjawiskiem.

Rozrastanie się rodziny Singerów oraz coraz większy zasięg prowadzonego przez nich handlu wzbudziły niezadowolenie mieszczan, czemu dali wyraz na zgromadzeniu gminnym w 1672 r. Samuelowi zarzucono rozszerzanie handlu wbrew otrzymanemu przywilejowi ze szkodą dla interesów miasta i zażądano ograniczenia go tylko do własnego domu. Nie zadowoliło to cieszyńskich kupców inspirujących, jak się wydaje, całą akcję, którzy byli Singerowi szczególnie niechętni ze względu na konkurencję. Zwrócili się oni w 1674 r. do cesarza z żądaniem całkowitego usunięcia Żydów z miasta powołując się na niedawny przykład Wiednia. Cesarz Leopold I nie uwzględnił jednak ich postulatu i zezwolił w 1675 r. Samuelowi na prowadzenie w Cieszynie dwóch sklepów z możliwością przekazania ich jednemu albo dwom synom, których miał wyznaczyć cieszyński starosta. Zastrzegł jednak, że prawo to przysługiwać im będzie tylko do końca życia, zabronił też Żydom wykonywania obrządków religijnych, o co oskarżali ich przeciwnicy.

W tymże roku spośród czterech synów Samuela Singera cieszyński starosta Jan Fryderyk hrabia Larisch wybrał na jego następców Józefa i Hirschla. Objęli oni po śmierci ojca żydowskie domy i sklepy w Cieszynie. Z dwóch braci Hirschl żył dłużej i prowadził handel w domu przy ul. Niemieckiej jeszcze w 1720 r.; wtedy to budynek spłonął w czasie wielkiego pożaru miasta. Józef Singer zmarł wcześniej, a o spadek po nim starali się w 1696 r. synowie: Mojżesz, Jakub i Wit (Veit). Zwrócili się oni do cesarza z prośbą o zgodę na objęcie ojcowskiego domu oraz prowadzenia w nim sklepu, a także o możliwość prowadzenia drugiego sklepu w wynajętym lokalu. Tej ostatniej prośbie przeciwstawiły się jednak zarówno władze miejskie, jak i ziemskie, stąd też została przez cesarza odrzucona.

Jednym z powodów niechętnego stanowiska władz miejskich wobec próśb synów Józefa Singera był stały wzrost liczebności ludności żydowskiej w Cieszynie, co wzbudzało obawy przed ich konkurencją w tych bardzo ciężkich czasach. W 1691 r. rodzina Singerów liczyła już 38 osób i stale się powiększała. W posiadanych przez nich domach było oczywiście bardzo ciasno, stąd stale ponawiane prośby o zgodę na objęcie dalszych lokali. Na początku XVIII w. Mojżesz Singer wraz ze swoją ciotką Rebeką (wtedy żoną Simona Goldschmieda) zwrócili się do cesarza z prośbą o zgodę na prowadzenie przez nich drugiego sklepu w wynajętym chrześcijańskim domu; mieli handlować w nim m.in. sukniem, a przywilej miał się rozciągać również na męża Rebeki. W 1720 r. Mojżesz rozpoczął starania o nabycie kolejnego domu w Cieszynie korzystając z faktu, że po pożarze w tymże roku wiele spalonych domów i parcel stało pustych. Poparł go w tym cieszyński magistrat, któremu zależało na szybkiej odbudowie miasta i spodziewał się z odbudowanego domu otrzymywać stosowne podatki. Wystawił przy tym Singerowi pozytywną opinię stwierdzając w piśmie do władz, że rodzina Singera sprawuje się porządnie, kłopotów miastu nie sprawia, pomaga natomiast w wielu sprawach. Cesarz jednak był innego zdania i do prośby Singera się nie przychylił. W kilkanaście lat później również władze Cieszyna zmieniły stosunek do żydowskiego kupca, skarżąc się cesarzowi, że nie chce on ponosić kosztów kwaterunku wojska. Singerowie byli od tego ciężaru zwolnieni z racji piastowania funkcji dzierżawcy myta, tym zaś Mojżesz Singer przestał być w 1722 r.

Mojżesz miał także wiele kłopotów z własną rodziną. Był dwukrotnie żonaty i miał liczne potomstwo, przy czym synów z pierwszego małżeństwa stopniowo uposażał w miarę osiągnięcia przez nich pełnoletności. Najstarszemu Witowi przekazał prawa do 1/4 domu, inni np. Jakub i Maciej otrzymali stosowne sumy pieniędzy. Protestowała przeciwko temu w obronie interesów swoich dzieci druga żona Mojżesza Lea (Elżbieta), córka wymienionej Rebeki i jej pierwszego męża. Trwający długi spór, w którym

zasięgano m.in. opinii czeskich i niemieckich rabinów, znalazł swój epilog dopiero przed sądem. Dużo czasu, a zapewne i pieniędzy straciła Lea na zabezpieczenie swych dzieci: syna Hirschla i córki Edel spadku po Mojżesz, który zmarł na początku 1742 r. Prosiła bowiem nie tylko o potwierdzenie praw syna do ojcowskiego domu i sklepu, ale także o możliwość przekazania drugiego sklepu przewidywanemu (a wkrótce rzeczywistemu) mężowi Edel — Jakubowi Oppenheimerowi. Za wyrażeniem zgody opowiedział się cieszyński magistrat, gdyż Oppenheimer, prowadząc sklep w czasie małoletności Hirschla Singera, dał się poznać jako kupiec rzetelny i sprzedający taniej od innych. Z protestem przeciwko temu wystąpił natomiast inny cieszyński uprzywilejowany Żyd i kupiec Józef Simon Goldschmied, przyrodni brat Lei. Jego pismo, w którym powoływał się na ustawy zakazujące roszczenia żydowskiego osadnictwa, a którego prawdziwą przyczyną była obawa przed konkurencją nie wpłynęło jednak na decyzję cesarzowej Marii Teresy. W 1754 r. zatwierdziła ona przejęcie domu i jednego sklepu Mojżesza przez Hirschla Singera, zaś drugiego przez Oppenheimera.

Oprócz sporów rodzinnych sytuację Singerów komplikował w XVIII w. fakt przechodzenia niektórych jej członków na katolicyzm. Trudno powiedzieć, na ile te nawrócenia były szczerze, na ile stał za nimi nacisk władz państwowych i kościelnych oraz agitacja jezuitów, na ile zaś ich przyczyną była chęć wyrwania się z żydowskiego getta i zrobienia osobistej kariery. Niektórym w każdym razie się to powiodło, m.in. wspomnianemu już Maciejowi, synowi Mojżesza Singera. Przyjął on chrzest na początku 1739 r., a ponieważ nawrócenie Żyda świętowane było bardzo uroczyście, rodzicami chrzestnymi były nie lada osobistości, mianowicie Krzysztof Jakub de Pfütschner, zarządca Komory Cieszyńskiej oraz baronessa Helena Skrbeńska na Hřiste i Szonowie. W 1745 r. Maciej Singer otrzymał prawa miejskie w Cieszynie, trudnił się handlem i nabył potem wielkomieszczański dom na rynku. W późniejszym okresie był nawet właścicielem szlacheckiej posiadłości na Bobrku. Miał tutaj dość uciążliwego sąsiada, mianowicie miejskiego kata, który na swoim placu wypróbowywał broń czyniąc przy tym szkody w bydło sąsiadów. Maciej, podobnie jak inni, np. ówczesny burmistrz F.A. Zwilling, protestowali przeciwko temu (1765), ale bezskutecznie. W 1770 r. Maciej został także wpisany w skład członków Sodalicii Łacińskiej założonej w Cieszynie przez Leopolda Gottlieba Polzera, dziadka Szersznika, a skupiającej większość wykształconych ludzi z Cieszyna i okolicy.

Synem Macieja i jego żony Marianny był Józef Singer; jedna z dwóch osób pochodzenia żydowskiego, której biogram zamieścił Szersznik w gronie cieszyńskich pisarzy i uczonych w swoich *Nachrichten von Schriftstellern und Künstlern aus dem Teschner Fürstentum* z 1810 r. W latach 1761—67 uczęszczał do cieszyńskiego gimnazjum, następnie udał się na studia medyczne do Trnawy, gdzie uzyskał stopień doktora farmakologii, tutaj też wydał w 1775 r. rozprawę pt. *Dissertatio inauguralis medica sistens Morbum Nigrum Hippocratis*. Następnie powrócił do rodzinnego miasta, gdzie prowadził prywatną praktykę lekarską i cieszył się dużym zaufaniem i uznaniem współobywateli. Po jakimś czasie wyjechał jednak do Galicji, gdzie zakończył życie.

Po wydaniu edyktu tolerancyjnego przez cesarza Józefa II w 1781 r. czasy zmieniły się dla Żydów na lepsze. Mogli już zrobić osobistą karierę pozostając przy swojej religii. Przykładem jest wnuk Mojżesza a syn Hirschla Singera Zachariasz Gerson Singer. Utworzył on w latach siedemdziesiątych XVIII w. „kompanię”, czyli spółkę zajmującą się rozprowadzaniem tytoniu i tabaki, zaś w 1775 r. otrzymał prawo składu tego szybko wchodzącego na rynek towaru na całe księstwo cieszyńskie. Handlem tytoniem zajmowali się w tym czasie także inni przedstawiciele rodziny; większość poprzestawała na dzierżawieniu karczem i handlu alkoholem. Na przełomie XVIII i XIX w. rodzina Singerów była już tak liczna, że niekórzy jej członkowie, zapewne dla odróżnienia od pozostałych, zaczęli używać nazwiska Glesinger. Powstało ono, być może, z połączenia słów „Glas” (szkło) oraz Singer i nawiązuje do profesji dalekiego przodka, który na dworze księcia Wacława Adama pełnił obowiązki szklarza. Przez następne

prawie 150 lat przedstawiciele rodziny Glesinger odgrywali rolę w życiu społeczności żydowskiej Cieszyna.

W tym okresie, nie bez przeszkód oczywiście, nastąpiła stopniowa integracja ludności żydowskiej z pozostałymi mieszkańcami miasta, a lepiej sytuowani Żydzi, kształcący swoich potomków z reguły w Wiedniu, niemal całkowicie zasymilowali się ze skłaniającym się do kultury niemieckiej cieszyńskim mieszczaństwem. Żydzi otrzymali także możliwość religijnego i społecznego samorządu, a ich interesy reprezentowała Izraelicka Gmina Wyznaniowa z wybieralnym zarządem i prezesem na czele. W I poł. 19 w. funkcję prezesa pełnił dłuższy czas *Marcus Glesinger*, który w największym stopniu przyczynił się do stworzenia podstaw regularnego życia religijnego cieszyńskich Żydów. W dużej mierze jego zasługą była budowa synagogi w Cieszynie, którą ukończono w 1838 r., on także zabiegał o stworzenie posady stałego rabina. Już po upływie niecałych 40 lat cieszyńska synagoga okazała się za małą dla potrzeb stale rosnącej ludności żydowskiej, stąd powstała konieczność jej rozbudowy. Przeprowadził ją inny członek rodziny *Bernard Glesinger*, który pełnił wtedy (1878) funkcję prezesa Izraelickiej Gminy Wyznaniowej. Jego zasługą było także powołanie w 1876 r. do życia (wraz z *Maurycym Fasalem*) stowarzyszenia „Talmud-Thora” (Talmud-Thora-Verein), które prowadziło m.in. szkołę dla dzieci żydowskich.

Na przełomie XIX i XX stulecia największą rolę w życiu społeczności żydowskiej Cieszyna odgrywał wielki przemysłowiec i znany filantrop *Józef Filip Glesinger* (J. Ph. Glesinger). Był synem *Markusa Glesingera* i *Józefy Lobenstein*, urodził się w Cieszynie w 1838 r. W latach 60. XIX w. założył firmę zajmującą się pozyskiwaniem i handlem drewnem, która rozpoczynała działalność od piły w *Harbutowicach* oraz składu drewna w *Sibicy*. W ciągu kilkunastu lat firma *Glesingera* rozrastała się w duże przedsiębiorstwo składające się z kilkunastu zakładów położonych w południowej Galicji i ówczesnych Górnych Węgrzech, czyli wzdłuż dzisiejszej granicy polsko-słowackiej. Dochody z handlu drewnem uczyniły *Glesingera* jednym z najbogatszych, jeśli nie najbogatszym człowiekiem w Cieszynie i umożliwiły podjęcie na szeroką skalę działań charytatywnych. W dużym stopniu wspierał wiele miejscowych inicjatyw; na jego filantropię mógł liczyć każdy, bez względu na wyznanie, sponsorował nawet budowy katolickich kościołów. W najszerszym stopniu jednak hojność *Glesingera* kierowała się w stronę współwyznawców. Zakupił i własnym kosztem urządził nowy cmentarz żydowski przy ul. *Hażlaskiej*, wiele innych przedsięwzięć realizował już jako prezes Izraelickiej Gminy Wyznaniowej, którym został w początku lat 90 ub. stulecia. Realizację innych planów przerwała śmierć w r. 1909 w uzdrowisku *Bad Reichenhall*, gdzie udał się na kurację.

Zasłużoną na polu działalności charytatywnej była także jego córka *Karolina*, żona *Jakuba* (*Jacquesa*) *Silbersteina*, cesarskiego radcy, cieszyńskiego kupca i bankiera. Zastąpił on teścia na stanowisku prezesa, a po jego rychłej śmierci w 1912 r. godność tę objął jego syn, dr *Leopold Silberstein*. Był on także jednym z udziałowców rodzinnej spółki. Przejął ona w posiadanie firmę *J.Ph. Glesingera*, w której skład wchodził także jego brat dr *Rudolf Silberstein* oraz synowie założyciela *Zygmunt* i *Emil Glesingerowie*. W okresie międzywojennym firma nadal rozszerzała działalność; zatrudniała tysiące pracowników i prowadziła handel niemal z całą Europą. Kres jej funkcjonowaniu przyniósł dopiero wybuch II wojny światowej, na początku której została zajęta przez hitlerowców. Zły los dotknął także jej właścicieli. *Emil Glesinger* zmarł w czasie wojny w *Budapeszcie*, *Rudolf Silberstein* został aresztowany i po wielomiesięcznych przesłuchaniach wysłany do obozu koncentracyjnego. Jego brat *Emil* zmarł kilka lat po wojnie w *Genf* (*Zygmunt Glesinger* zmarł jeszcze przed wojną).

Piekielko w Międzywiciu

Prastara osada obronna Gołęszyców, odkryta w Międzywiciu, należy do nielicznych na Podbeskidziu, które nie może poszczycić się bogactwem wczesnośredniowiecznego osadnictwa. Główną tego przyczyną są bardzo trudne warunki bytu, jakie napotykali twórcy osad na tym terenie. Grody mogły powstawać tylko w miejscach bliskiego sąsiedztwa szlaków umożliwiających kontakt ze współplemioncami, rzek, których urwisty brzeg mógł być naturalnym zabezpieczeniem, w okolicach, gdzie występowały duże ilości zwierzyny, gdzie istniały dobre warunki zbioru, a w okresie późniejszym również hodowli roślin. Tak było również w Międzywiciu, gdzie gród zajmował teren w dolinie rzeki Bładnicy, po jej zachodniej stronie.

Miejscowi i okoliczni mieszkańcy przez całe wieki zachowali pamięć o „Piekielku”. W końcu pamięć ta została wynagrodzona. W lecie 1933 r. podjęto prace badawcze w Zachodniej Małopolsce i na Śląsku. Wykonano zdjęcia 8 grodzisk i zamczysk, m.in. w podkoczowskim „Piekielku”. Dr J. Żurowski, który znał ten teren już ze swych obserwacji w 1926 r. na podstawie wstępnych prac badawczych (np. planu pomiaru terenu, który wykonał Wiktor Karger) umieścił ten obiekt w rejestrze grodzisk pierścieniowatych. Uwieńczeniem wysiłków wybitnego konserwatora, współpracującego z całym sztabem archeologów i kartografów, było umieszczenie międzywieckiego grodziska w wydany w 1939 r. *Atlasie grodzisk i zamczysk śląskich*. Określono w nim dokładnie położenie osady, dokonano szczegółowego opisu terenu, podjęto nawet próbę określenia chronologii dziejów grodziska.



Wał ziemny w „Piekielku”.



Tam, gdzie rosną obecnie drzewa, istniał przed wiekami gród Gołyszyców.

Dalszą penetrację stanowiska prowadzono już po wojnie, w 1954 r., siłami Karpackiej Stacji Archeologicznej. W 1959 r. rozpoczęto systematyczne badania wykopaliskowe, które trwały do 1963 r. Ustalono, iż teren grodziska przypomina kształtem trójkąt równoramienny. Zachodnia część została zabezpieczona wysokim wałem ziemnym o nikłych wzmocnieniach konstrukcyjnych. Pozostałe dwa boki osady, przylegające do krawędzi stromych stoków o wysokości 25 m, otaczał niższy wał ziemny wzmocniony w górnej części konstrukcją drewnianą.

Obecność materiału kulturowego na dosyć dużej przestrzeni poza grodem wskazuje na ślady zamieszkiwania również na terenie otaczającym osadę oraz na istnienie wokół grodu osad otwartych, stanowiących bazę gospodarczą dla jego mieszkańców. Owocem trudu sztabu archeologów było odkrycie śladów zabudowy mieszkalnej, na którą składały się prawdopodobnie chaty zrębowe i słupowe. Natrafiono również na szczątki urządzeń hutniczych i stanowiący ogromną rzadkość trójkomorowy piec kopulasty, który znajdował szerokie zastosowanie, m.in. w produkcji broni. Ważne znaczenie miało odnalezienie wielu elementów tzw. ruchomego inwentarza. Odkryte prząsłiki gliniane i kościane szydła świadczą o rozwoju rzemiosła tkackiego i umiejętności wyprawiania skór. Ślady kamieni pochodzących z nierotacyjnych żaren dowodzą przeróbki zboża w grodzisku, zaś znaczne nagromadzenie zwierzęcych kości skłania do hipotezy, że wczesnośredniowieczna społeczność prowadziła szeroko zakrojoną działalność łowiecką, skutecznie wspieraną pierwszymi próbami hodowli. Wykorzystywano również do celów konsumpcyjnych złowione w okolicznych zbiornikach wodnych ryby, czego dowodzi m.in. odnaleziony haczyk wędkowy.

Na szczególną uwagę zasługują skorupy naczyń glinianych. Są one przykładem ceramiki lepionej całkowicie ręcznie, obtaczanej w górnej części. Takie garnki i dzbany wykonywano z gliny z dużą domieszką piasku i zdobiono zespołami prostych i falistych linii, bardzo niestarannie jeszcze wyrytymi. Zostały również odnalezione naczynia

wykonane w okresie kultury łużyckiej, co wskazuje na fakt, iż teren ten był zamieszkały przed czasami wczesnego średniowiecza, ok. V w. Niestety nie zebrano dotychczas takiej ilości materiałów, na podstawie których można byłoby powiedzieć coś więcej o osadnictwie i warunkach życia mieszkańców Międzyzławia w tych bardzo odległych czasach.

Gdy wykonano wykop, który przecinał częściowo wysypisko wału obronnego, okazało się, że pod fortyfikacjami zalega jeszcze jedna warstwa osadnicza. Odkrycie to dowodzi dwu faz rozwoju osady. W pierwszej miała ona charakter otwarty, nie była otoczona żadnymi rozbudowanymi konstrukcyjnie fortyfikacjami. W drugiej fazie gród był już ufortyfikowany; zgodnie z zasadami wczesnośredniowiecznych wymogów otaczały go wały obronne. Geograf Bawarski wspomina o plemieniu *Golemici* posiadającym pięć *civitates*. Najprawdopodobniej były one rozmieszczone na północnym przedpolu Bramy Morawskiej. Grodem najbardziej wysuniętym na wschód w tym systemie była osada w „Piekieleku”, strzegąca przeprawy przez płynącą w pobliżu Wisłę. Mniej więcej na przełomie IX i X w. nastąpiła prawdopodobnie wielka ekspansja plemienia Wiślan na terytoria zajmowane przez Gołyszyców. Pociągnęło to za sobą błyskawiczną interwencję zbrojną Rzeszy Wielkomorawskiej, co doprowadziło do utraty niepodległości politycznej Wiślan. Być może, w toku działań zbrojnych zniszczony został również gród w Międzyzławiu. Nie zdołano go już odbudować. Jerzy Szydłowski twierdzi: *Możliwe też, że stanęła temu na przeszkodzie okupacja najeźdźcy, który wołał nie dopuścić do odbudowy punktu oporu.* Nagłego przerwania dziejów grodu dowodzą odnalezione przez archeologów elementy spalonej konstrukcji drewnianej (belki) oraz niedokończone prace przy dodatkowym wale zewnętrznym. Kres grodziska Gołyszyców nie wpłynął jednak w znaczący sposób na rozwój wiejskiego osadnictwa na naszym terenie. W wiekach XI i XII, szukając dogodnych warunków dla handlu i gospodarki rolnej osadnicy skoncentrowali się tuż przy przejściach przez Wisłę, na miejscu dzisiejszego Skoczowa.

Rozważyć, co jesteśmy

„Nam, Ślązakom przychodzi samym o sobie myśleć, rozważyć, co jesteśmy podług narodu, co jest nasz cel i co nam będzie najkorzystniejsze. Żeby się z Morawą złączyć, to ani nie jesteśmy Morawcami, ani nie mówimy po morawsku, nadto obudza się u ludu naszego wielka niechęć ku złączeniu się z Morawą, iżby to był krok ku złączeniu się z Czechami...”

PAWEŁ STALMACH
(1848 r.)

Spółdzielczość rolniczo-pieniężna

Spółdzielczość rolniczo-pieniężna odgrywała na Śląsku Cieszyńskim od drugiej połowy XIX w. do II wojny światowej poważną rolę. Warto spojrzeć na to zagadnienie pod kątem stosunku władz państwowych do niego, jego miejsca w spółdzielczości ogólnopaństwowej oraz w stosunkach miejscowych na Zaolziu.

Ogólnie można powiedzieć, że władze państwowe były przychylnie ustosunkowane do ruchu spółdzielczego od jego początków. Uświadamiały sobie jego dobroczynne oddziaływanie na podnoszenie ogólnego wieśniaczego stanu i w ogóle prostego ludu roboczego. Najważniejszą formą oddziaływania państwa na spółdzielczość było ustawodawstwo. Ustawa i statut były prawnymi podstawami, na których opierały swoją działalność spółdzielnie.

Ustawa, która całkowicie zrewolucjonizowała ruch spółdzielczy i umożliwiła jego szybki rozwój w różnych przejawach, ukazała się w 1873 r. O jej wysokim poziomie świadczy fakt, że jej postanowienia służyły bez zmian aż do 1938 r. Została wydana w czasie wielkiego kryzysu gospodarczego, kiedy wszystkie warstwy, a w szczególności tzw. stan średni znajdowały się w bardzo ciężkim położeniu. Rząd starał się przyjąć ludności z pomocą nie tylko w jej interesie, ale także we własnym, bowiem zdawał sobie sprawę z tego, że państwo jest tylko wtedy silne i niezależne, gdy jest zamożna i zadowolona ludność. Myśl spółdzielcza w tym czasie zaczynała już przynosić w niektórych krajach europejskich pierwsze owoce (Anglia, Francja, Niemcy). Pierwotne założenie ustawy — podnieść ludność gospodarczo — w następnych latach sprawdziły się. Tak więc doszło w Monarchii Austro-Węgierskiej w 1873 r. do wydania ustawy o spółkach zarobkowych i gospodarczych. Ustawa wprowadziła nową, zupełnie prostą formę prawną, przez co znacznie ułatwiła zakładanie spółdzielni. Wymagała, by osoby mające zamiar założyć spółdzielnię zgodziły się na statut pisemny, zgodny z ustawą. Statut musiał być wpisany do rejestru w sądzie okręgowym, w którego obrębie miała spółdzielnia siedzibę. Co najważniejsze to fakt, że sąd nie mógł odmówić zapisu, o ile statut odpowiadał przepisom ustawy. Zaletą ustawy było wprowadzenie przepisów o nabywaniu, względnie pozbywaniu się członkostwa w spółdzielni. Członkowie mogli po spełnieniu statutowych przepisów dobrowolnie wstępować lub występować, przez co jednak prawnego bytu i istnienia spółdzielni nie zmieniali, ani nie naruszali. Dalszą zaletą ustawy było wprowadzenie prawnego zabezpieczenia w stosunkach spółdzielni tak wewnątrz, jak na zewnątrz, wobec osób trzecich. W spółdzielni zrzeszały się zazwyczaj jednostki gospodarczo słabsze, by utworzyć silną całość. Poczucie bezpieczeństwa i pewności dodawała solidarna poręka wszystkich członków za zobowiązania spółdzielni. Poręka mogła być ograniczona lub nieograniczona i podnosiła zaufanie wierzycieli oraz osób trzecich do spółdzielni. Było wiadomo, że za zobowiązania spółdzielni ręczył nie tylko jej własny majątek, ale również wszyscy członkowie, stosownie do rodzaju i wysokości poręki w spółdzielni. Dalej ustawa postanawiała, że każda spółdzielnia musi mieć zarząd (dyрекcję), który miał prawo występować i działać w jej imieniu. Rejestr sądowy był publiczny. Członkowie zarządu ponosili w razie nadużyć konsekwencje jako członkowie spółdzielni. Statuty i wszystkie zmiany i uzupełnienia w nich musiały być uchwalane przez walne zgromadzenie i wpisane do rejestru sądowego.

Później pojawił się szereg ustaw regulujących działalność ruchu spółdzielczego. Przytoczmy najistotniejsze. Ustawa z 10.6.1903 r. wprowadzała obowiązek przeprowadzania rewizji gospodarki poszczególnych spółdzielni przez wyznaczone organy. Ważną rolę odegrała ustawa z 24.10.1924 r. o zakładaniu funduszy sanacyjnych, pomagających przezwyciężyć trudności finansowe spółdzielni w następstwie I wojny światowej. Bodajże

w najtrudniejszym dla ruchu spółdzielczego okresie, podczas kryzysu gospodarczego w pierwszej połowie lat 30. władze wydały kilka ustaw z zadaniem udzielenia pomocy spółdzielniom w ich działalności, lecz w specyficznych warunkach Zaolzia często przynosiły odwrotny skutek. Były to: ustawa bankowa z kwietnia 1932 r., ustawa z 17.2.1934 r. o obniżeniu wartości waluty czechosłowackiej, ustawa o odroczeniu egzekucji przeciw rolnikom z 1933 r., ustawa z 14.3.1934 wprowadzająca w życie Czechosłowacki Zakład Redyskontowy i Lombardowy, ustawa z 1933 r. o zakazie zakładania jakichkolwiek instytucji pieniężnych, rozporządzenie rządowe z 21.12.1935 r. o ponownym obniżeniu stopy procentowej, rozporządzenia rządowe z 21.12.1935 r. przewidujące różne udogodnienia w spłaceniu pożyczek, rozporządzenie rządowe z 31.3.1936 r. o wyrównaniu rolniczym, ustawa z 9.10.1936 r. o ponownej dewaluacji Kcz, ustawa z 13.5.1936 r. o obronie państwa, ustawa z 1937 r. zaprowadzająca uciążliwy dodatek do podatku dochodowego, ustawa z 1937 r. wprowadzająca dalszy dodatek na obronę państwa i nowy podatek z nadzwyczajnych zysków, rozporządzenie rządowe z 1937 r. regulujące na nowo niektóre przepisy o Funduszu Specjalnym utworzonym w 1924 r. oraz o Funduszu Ogólnym, ustawa z 16.4.1938 r. o obowiązkowym posiadaniu pożyczek państwowych przez różne instytucje gospodarcze.

Władze państwowe wspierały ruch spółdzielczy również finansowo. Czyniły to wspierając w trudnych lub nadzwyczajnych momentach cały ruch spółdzielczy, względnie też udzielając znacznych subwencji na rozwój niektórych rodzajów spółdzielni. W pierwszym wypadku uwidocznili się to najwyraźniej w połowie lat 20, kiedy spółdzielnie wskutek wymiany waluty poniosły znaczne straty, w drugim zaś były to znaczne subwencje dla spółdzielni drenarskich i elektryfikacyjnych. Podczas kiedy subwencje dla spółek drenarskich były aktualne jeszcze przed I wojną światową, subwencje na spółdzielnie elektryfikacyjne dopiero od drugiej połowy lat 20.

Na koniec rozważań nad stosunkiem władz państwowych do spółdzielczości rolniczo-pieniężnej należy podkreślić, że zatwierdzenie statutu nowo utworzonego polskiego Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w 1921 r. odbyło się m.in. dzięki interwencji ówczesnego wodza czeskich agrariuszy, Antonína Svehli. Od 1922 r. Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, zrzeszający wszystkie polskie spółdzielnie o charakterze rolniczym i pieniężnym na Zaolziu, rozwijał się w ramach ogólnopolskiego związku spółdzielczego z tego zakresu. W tym roku polski Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych wstąpił do Zjednoczenia Związków Spółdzielni Rolniczych w Pradze, spółdzielni zarejestrowanej z ograniczoną poręką, zwanej potocznie „Centrokooperatywą”. Centrala ta obejmowała w 1927 r. następujące związki:

Związek	Rok założenia	Liczba członków
Ustrědní jednota hospodářských družstev w Pradze	1896	2681
Svaz hospodářských družstev československých w Pradze	1909	436
Zentralverband deutscher landw. Genossenschaften w Pradze	1896	992
Ustrědní svaz českých hospodářských společenstev w Brnie	1899	1046
Ustřední jednota českých hospodářských společenstev úvěrních w Brnie	1897	713
Zentralverband deutscher landw. Genossenschaften w Brnie	1893	629
Jednota českých hospodářských společenstev w Opawie	1901	174
Verband deutscher landw. Genossenschaften w Opawie	1894	204
Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w Cieszynie Czeskim	1921	77
Ustredné družstvo w Bratysławie	1919	1582
Svaz rolnických vzájomných podkladnic w Bratysławie	1924	15
Zemský družstevní svaz w Užgorodzie	1925	212

Wszystkie związki Centrokooperatywy rozwijały się w okresie międzywojennym pomyślnie, np. największy z nich, Ustřední jednota hospodářských družstev w Pradze, zrzeszał w 1937 r. — 4.129 różnych spółdzielni.

Stosunek kierownictwa Centrokooperatywy do Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych (od 1932 r. Związku Spółdzielni Polskich) był w ciągu całego okresu jego istnienia poprawny, można nawet powiedzieć — przyjazny. Przejawiało się to nie tylko we wzajemnych udziałach przedstawicieli obu ciał w walnych zebraniach i innych akcjach, ale również w pomocy finansowej, którą Centrokooperatywa w trudnych okresach udzielała Związkowi Spółek Zarobkowych i Gospodarczych. Np. przewyciężenie kłopotów finansowych w pierwszej połowie lat 20. udało się pokonać przede wszystkim dzięki życzliwemu poparciu Centrokooperatywy. Umożliwiła ona wykorzystanie tzw. Funduszu Sanacyjnego, utworzonego na mocy ustawy z 24.10.1924 r. oraz popierała i wyjednała dla Związku możliwe największe wsparcie. Za pomoc i opiekę należało się Centrokooperatywie tym większe uznanie, że Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych zrzeszał ludność polską, która nie była przyzwyczajona do traktowania jej obiektywnie i bez uprzedzeń.

Inaczej kształtowała się sytuacja stosunku władz państwowych i niektórych miejscowych organizacji czeskich, które nawet w ruchu spółdzielczym szukały możliwości czechizacji miejscowej ludności polskiej. Najwyraźniej uwidaczniało się to w wypadku Spółdzielczych Kas Oszczędności i Pożyczek (Raiffeisenek) i innych instytucji pieniężnych. Do podziału Śląska Cieszyńskiego w 1920 r. oprócz gęstej sieci instytucji pieniężnych polskich istniało na terenie byłych powiatów politycznych Cieszyn i Frysztat zaledwie kilka czeskich spółdzielni pieniężnych. Lecz w latach 1920—1938 zaczęły rodzić się na tym terenie liczne spółdzielnie czeskie tak, że w 1938 r. istniały w powiecie czeskokieszyńskim 22 a w powiecie frysztańskim działały 23 czeskie spółdzielnie pieniężne (Raiffeisenki — po czesku Kampeliczki), nie wliczając w to innych czeskich instytucji pieniężnych w miastach oraz spółdzielni spożywczych i rolniczo-handlowych. Np. jeśli chodzi o czeskie Raiffeisenki, założono ich tu w latach 1920—1930 aż 15, w latach 1931—1937 cztery i w 1938 roku sześć.

W 1933 r. wydano ustawę zakazującą zakładania wszelkiego rodzaju instytucji pieniężnych bez pozwolenia rządu. Według przepisów ustawy mógł takie zezwolenie udzielić rząd względnie kompetentne ministerstwo jedynie w wypadkach zasługujących na specjalne uwzględnienie. Okazało się, że według władz zasługiwało na nie Zaolzie. Bowiern przepisy ustawy nie przeszkodziły w założeniu w 1936 r. czeskiej Kampeliczki w Oldrzychowicach, a po przygotowaniach poczynionych w 1937 r. założono na podstawie zezwolenia władz czeskich Kampeliczki w Piotrowicach, Bukowcu, Karpętnej, Łomnej Dolnej, Nawsiu, Trzanowicach i w Żukowie Górnym. Należy podkreślić, że we wszystkich tych miejscowościach istniały polskie Spółdzielcze Kasy Oszczędności i Pożyczek, założone już przed I wojną światową i dobrze prosperujące. Protest Związku Spółdzielni Polskich w Czechosłowacji przeciwko udzieleniu zezwolenia na założenie wymienionych Kampeliczek przez Ministerstwo Rolnictwa został załatwiony odmownie, a nowe spółdzielnie czeskie zostały wpisane do rejestru sądowego. Jednakowoż do rozwinęcia szerszej działalności w spółdzielniach tych nie doszło wskutek wydarzeń monachijskich i zajęcia Zaolzia przez Polskę.

Nie trzeba podkreślać, że takie postępowanie czechosłowackich władz naczelnych z inicjatywy miejscowych organizacji czeskich nie tylko rozdrabniało i osłabiało ruch spółdzielczy, rolniczo — pieniężny, ale równocześnie godziło w interesy polskiej grupy narodowej w Czechosłowacji i spełniało poważną rolę w przyspieszaniu jej nienaturalnej asymilacji, czy wręcz czechizacji.

Centrokooperatywa nie brała pod uwagę narodowości ani przynależności do partii politycznych. Załatwiała wszystkie sprawy spółdzielcze i gospodarcze bezstronnie i tylko pod spółdzielczym kątem widzenia.

Czy na Zaolziu przygotowywano powstanie?

Decyzja o podziale Śląska Cieszyńskiego, podjęta przez Radę Ambasadorów 28 VII 1920 r. w Spa, w całej Polsce przyjęta została z ogromnym wzburzeniem i rozgoryczeniem. Przyznanie Czechosłowacji 3/5 spornego obszaru, który zamieszkiwany był przez prawie 140 tys. Polaków i na którym skoncentrowana była większość cieszyńskiego potencjału ekonomicznego, potraktowano jako rozwiązanie rażąco niesprawiedliwe, brutalnie gwałcące prawo mieszkańców Śląska Cieszyńskiego do samostanowienia. Samą decyzję uznano za „cios w plecy” zadany Polsce w sytuacji, gdy z najwyższym tylko trudem odpierała ona sowiecką kontrofensywę. Wiele emocji wzbudziły też pogłoski na temat wpływu, jaki na kształt rozstrzygnięcia wywrzeć miały intrygi kół wielokapitalistycznych i nieludność polskiej dyplomacji.

Konsekwencją takiego przyjęcia decyzji o podziale Śląska Cieszyńskiego była niemożność jej zaakceptowania, uznanie jej za rozwiązanie o charakterze wyłącznie prowizorycznym. To zaś, w naturalny sposób, prowadziło do wytworzenia się nastrojów rewanzystowskich. Rodziło przekonanie o konieczności podjęcia działań na rzecz zmiany ustalonej w Spa granicy. Poglądy te były najbardziej rozpowszechnione wśród polskiej ludności Śląska Cieszyńskiego. Najdobitniej sformułował je chyba poseł Paweł Bobek, który przemawiając 4 VIII 1920 r. na ostatnim posiedzeniu Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego stwierdził, iż: *Ugiąć się musimy, ale z tą pewnością, że odbijemy to, co nam zabrano*. Poglądy te znalazły poparcie także u części członków naczelnych władz Polski. Obok Sejmu, na którego forum sprawa cieszyńska była raz po raz podnoszona, największe zainteresowanie dla niej przejawiało Ministerstwo Spraw Wojskowych, a ściślej — jego II Oddział. Wynikało to zapewne stąd, że MSW w akcję pomocy dla Śląska Cieszyńskiego włączyło się już kilka miesięcy wcześniej i obecnie, dysponując na jego obszarze podległymi sobie strukturami i mając doskonałe rozeznanie w panujących tam warunkach czuło się — w sytuacji gdy kwestia cieszyńska wydawała się pozostawać otwarta — zobligowane do rozpoczęcia działań, które ułatwiłyby przeprowadzenie ewentualnej akcji rewindykacyjnej. Nie bez znaczenia była tu oczywiście także specyfika roli spełnianej przez Oddział II oraz jego duży — w ówczesnych warunkach — samodzielność, pozwalająca na podejmowanie inicjatyw wyprzedzających nierzadko decyzje władz wyższego szczebla.

* * *

Śląsk Cieszyński w sferze bezpośredniego zainteresowania US Wojsk. znalazł się w październiku 1919 r., w następstwie ogłoszenia na jego obszarze plebiscytu. Wówczas to, utworzona przy Departamencie II Ministerstwa (na przełomie 1919 i 1920 r. Departament II przekształcono w Oddział II), Sekcja Plebiscytowa oddelegowała do Cieszyna por. Bolesława Ostrowskiego. Powierzono mu zadanie stworzenia konspiracyjnej organizacji wojskowej, opartej na wzorze POW. Jej bazę rekrutacyjną stanowić mieli oficerowie i żołnierze pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego, których rozkazem US Wojsk zdemobilizowano na czas plebiscytu z wojska (przede wszystkim z 10 Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej i armii Hallera). Poprzez utworzenie tego typu organizacji zamierzano osiągnąć dwa cele. Przede wszystkim chodziło o zapewnienie ludności polskiej ochrony przed czeskimi atakami terrorystycznymi. Po wtóre zaś, strona polska rezerwowała sobie w ten sposób możliwość sięgnięcia po rozwiązanie siłowe na wypadek niekorzystnego dla

niej rozwoju wydarzeń, np. porażki w plebiscycie lub czeskiej akcji zbrojnej, podjętej z analogicznych pobudek. Proces budowy organizacji trwał do marca 1920 r. Po tym okresie Tajna Organizacja Wojskowa, bo taką jej nadano nazwę, była w pełni przygotowana do wypełniania postawionych przed nią zadań. Jej placówki pokrywały całość obszaru plebiscytowego, były doskonale uzbrojone (rewolwery, karabiny, karabiny maszynowe, granaty) i w razie konieczności mogły zmobilizować do walki kilka tysięcy bojowców.

Ten znaczny, jak na cieszyńskie warunki, potencjał militarny nie został jednak wykorzystany. Zdecydowały o tym dwa czynniki. Po pierwsze, w obawie przed przedwczesną dekonspiracją TOW nie zaangażowała się w znaczący sposób w akcję zwalczania czeskich grup terrorystycznych. Por. B. Ostrowski zadanie to scedował na utworzoną w marcu 1920 r. i ściśle z TOW związaną Konfederacją Śląską — siedemdziesięcioosobową grupę o ściśle dywersyjnym charakterze. Ta jednak skoncentrowała się na dokonywaniu odwetowych zamachów na działaczy czeskich, co w efekcie doprowadziło jedynie do zintensyfikowania antypolskiego terroru. Z kolei przyjęta przez Warszawę taktyka rozgrywania konfliktu cieszyńskiego zablokowała możliwość użycia TOW do działań na większą skalę, mogących przybliżyć ostateczne rozstrzygnięcie sporu. Jedyna próba przeprowadzenia tego rodzaju akcji, podjęta 11 III 1920 r. w odpowiedzi na trwające wówczas w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim antypolskie zamieszki i obliczona właściwie tylko na oczyszczenie terenu plebiscytowego z czeskich bojówek i żandarmerii, została przerwana na skutek interwencji delegata rządu polskiego w Cieszynie, Jana Zamorskiego. Ostatecznie 14 VII 1920 r., a więc cztery dni po zadeklarowaniu przez Polskę i Czechosłowację zgody na oddanie sprawy cieszyńskiej pod osąd Ententy, US Wojsk. wydał kpt. B. Ostrowskiemu (do sierpnia 1920 r. B. Ostrowski awansował do stopnia majora!) kategoryczny zakaz podejmowania jakichkolwiek działań zbrojnych. Rozkaz ten, podyktowany katastrofalnym położeniem militarnym Polski i jej trudną sytuacją na arenie dyplomatycznej, oznaczają całkowite skrepowanie inicjatywy TOW w chwili dla Śląska Cieszyńskiego przełomowej, a więc wtedy właśnie, gdy sprawnie przeprowadzona akcja zbrojna mogła w istotny sposób zawążyć na jego losach. W następstwie rozkazu przygotowywani od wielu miesięcy do walki żołnierze i ofierowie — członkowie TOW zmuszeni byli w zupełnej bierności obserwować dalszy rozwój wydarzeń i obrady Konferencji Ambasadorów, podjęcie przez nią decyzji, tymczasową delimitację granicy, a wreszcie — wkroczenie wojsk czechosłowackich na Zaolzie...

Po 28 VII 1920 r. mjr. B. Ostrowski nadal pozostawał w Cieszynie. Pełniąc tu funkcję komendanta placu, miał z rozkazu US Wojsk. zajmować się likwidacją struktur Tajnej Organizacji Wojskowej i tworzeniem w oparciu o jej członków ochotniczego pułku do walki na froncie bolszewickim. Jego sytuacja była niesłychanie skomplikowana. Obarczany przez swoich podwładnych winą za zaprzepaszczenie szansy na zbrojne opanowanie Śląska Cieszyńskiego musiał ponosić konsekwencje wynikłe z nieodpowiedzialnego kroku kilku oficerów, którzy na własną rękę podjęli próbę sprowokowania wybuchu powstania na przyłączonym do Czechosłowacji obszarze (wydarzenia te opisał obszernie, choć zapewne nie bez koloryzacji Klemens Matusiak: *Walki o ziemię cieszyńską w latach 1914—1920. Pamiętniki*, Cieszyn 1930, s. 254—258). Z drugiej strony, mjr B. Ostrowski — podobnie jak jego cieszyńskie otoczenie, był przekonany, iż pogodzenie się władz polskich z utratą zachodniej części Śląska Cieszyńskiego ma charakter wyłącznie koniunkturalny. Żywił nadzieję, że wcześniej czy później Polska upomni się o swoje prawa do tego obszaru. Z tym też większym niepokojem obserwował zachodzące tam zjawiska: załamywanie się nastrojów wśród miejscowych Polaków, ich pogłębiającą się apatię oraz wzrost na tym tle wpływów komunistycznych. Obawiał się, że tendencje te ułatwią czechizację Zaolzia i przyspieszą proces jego zrastania się z resztą terytorium państwa czechosłowackiego.

Obawy te skłoniły go do działania. Już w sierpniu 1920 r., chcąc ograniczyć odpływ z terenów przyłączonych do Czechosłowacji najbardziej patriotycznie nastawionego

elementu polskiego, rozkazał 37 pochodzącym stamtąd oficerom (byli wśród nich m.in. Jan Cieślars, Jan Głombek, Józef i Teofil Gabzdylowie, Paweł Kantor, Sylwester Madecki, Jan Micza, Paweł Rykała, Jan Szarowski, Jan Wałach) pozostać w swoich miejscach zamieszkania. Uzasadniając powyższą decyzję w piśmie skierowanym 24 VIII 1920 r. do MS Wojsk. stwierdził, iż oficerowie ci, będący w większości nauczycielami z zawodu, mogą poprzez swój autorytet i stosunki w lokalnych środowiskach powstrzymać je przed upadkiem na duchu. Sugerował jednocześnie, aby traktować ich poufnie jako oficerów rezerwy i wypłacać im połowę uposażenia.

Ta ostatnia propozycja zdaje się wskazywać, iż decyzja o pozostawianiu na Zaolziu kilkudziesięciu polskich oficerów podyktowana była nie tylko chęcią wzmocnienia tam żywiołu polskiego, ale stanowiła część szerszego zamysłu. Miała najprawdopodobniej związek z rodzącą się już wówczas koncepcją utworzenia na Zaolziu tajnej organizacji, która inspirując tam polski ruch narodowy mogłaby jednocześnie wykonywać zadania o charakterze wojskowym. Mjr B. Olszowski, który był najprawdopodobniej autorem tej inicjatywy, tak oto w piśmie skierowanym do II Oddziału MS Wojsk. uzasadniał jej celowość: *W ten sposób moglibyśmy paraliżować wynaradawiającą akcję czeską i niwelować wrogie państwu polskiemu tendencje komunistyczne oraz być przygotowanymi na wszelkie wypadki, które przynieść może rosnący z dnia na dzień rozkład wewnętrzny państwa czeskiego.*

Zamysł utworzenia na Zaolziu konspiracyjnej organizacji o charakterze polityczno-wojskowym realnych kształtów nabrał w październiku 1920 r., po zaakceptowaniu go przez II Oddział MS Wojsk. Z polecenia szefa Oddziału, płk. Bogusława Miedzińskiego sprawą tą zajął się kpt. Scyfried. Jego cieszyńskim pełnomocnikiem, a jednocześnie kierownikiem mającej powstać organizacji mianowano kpt. Jana Wadonia. Do tej ostatniej nominacji przyczyniła się niewątpliwie wcześniejsza działalność kpt. J. Wadonia, w trakcie której zdobył on odpowiednie doświadczenie zarówno w pracy społeczno-politycznej, jak i wojskowej. Na działalność tę składały się (chronologicznie): udział w akcjach Organizacji Bojowej PPS na terenie Kongresówki, później — praca w środowisku cieszyńskiego proletariatu, praca w charakterze redaktora „Robotnika Śląskiego”, służba w Legionach, a wreszcie — sprawowanie jednej z kierowniczych funkcji w Konfederacji Śląskiej!

W listopadzie 1920 r. kpt. J. Wadoń opracował plan, który, po zatwierdzeniu jeszcze w tym samym miesiącu przez Oddział II, stał się podstawą, w oparciu o którą przez najbliższe dwa miesiące zamierzano organizować polską akcję na Zaolziu. Miała się ona rozwijać w dwóch kierunkach. Po pierwsze, chodziło o przygotowanie gruntu pod zbrojne wystąpienie miejscowej ludności polskiej. Zakładano przy tym, że okazję do takiego wystąpienia stworzy nasilająca się już od dłuższego czasu w Czechosłowacji fala rewolucyjna. Po wtóre zaś, zamierzano pobudzać rozwój polskiego ruchu narodowego oraz moderować, zgodnie z bieżącymi celami akcji, działalność polskich partii politycznych. Ponadto planowano stworzyć na Zaolziu siatkę wywiadowczą, która zajmowałaby się gromadzeniem informacji dla potrzeb kierownictwa akcji.

Głównym instrumentem służącym realizacji powyższych celów miała być organizacja o ściśle wojskowym charakterze, którą zamierzano stworzyć w oparciu o byłych członków Konfederacji Śląskiej i TOW. Od urzeczywistnienia tego zamiaru powstrzymały jednak kpt. J. Wadonia obawy, że organizacja tego typu może zostać łatwo rozpracowana przez czeskie służby wywiadowcze (że nie były to obawy bezpodstawne świadczy cykl artykułów opublikowany w marcu i kwietniu 1921 r. na łamach „Obrony Śląska”, w których szczegółowo omówiono działalność plebiscytową... Konfederacji SL i TWO). Z tych względów zdecydowano się na przyjęcie innego rozwiązania. Postanowiono mianowicie wykorzystać dla potrzeb akcji działające na Zaolziu legalnie i jak dotąd nie wzbudzające podejrzeń ze strony władz czeskich, struktury „Siły” i „Sokoła”. W efekcie 600 członków pierwszej z tych organizacji i 400 z drugiej (wywodzących się w większości z TOW) zaczęło traktować jako potencjalną kadre dla przyszłej insurekcji i przystąpiono do opracowywa-

nia planu ich szkolenia. Pracą tą mieli zajmować się w terenie nauczyciele i zdemobilizowani oficerowie. Zadbano oczywiście również o uzbrojenie. Składało się na nie 600 karabinów i 400 rewolwerów, które przechowywane były w prywatnych posesjach. Ich wydanie mogło nastąpić tylko na wyraźny rozkaz kpt. J. Wadonia.

Odrębną strukturę tworzyła siatka wywiadowcza. Tu, jak się wydaje, postęp prac organizacyjnych był szybszy. Już w grudniu 1920 r. w każdej zaolziańskiej gminie działał mąż zaufania, który zbierał, a następnie przekazywał kpt. J. Wadoniowi do Cieszyna informacje na temat nastrojów ludności, polityki lokalnych władz czeskich, rozmieszczenia oddziałów wojskowych, sytuacji wewnątrz polskich organizacji. Informacje te wykorzystywane były do kierowania akcją. Częściowo również udostępniono je polskiej prasie.

Szczupłość funduszy, przyznanych kpt. J. Wadoniowi przez US Wojsk. uniemożliwiła realizację kolejnego punktu planu akcji zaolziańskiej, tzn. wspierania rozwoju polskiego ruchu narodowego poprzez dofinansowywanie działalności towarzystw kulturalno-oświatowych, teatrów amatorskich, bibliotek itp. Pomyślnie natomiast przebiegały działania na płaszczyźnie politycznej. Udało się mianowicie nawiązać ścisłą współpracę z Komitetem Obwodowym PPS we Fryszacie, który ze swej strony zobowiązał się przeciwdziałać czeskim wpływom w związkach zawodowych i zwalczać komunizującą Polską Partię Socjalno-Demokratyczną. W przyszłości PPS, licząc na subwencje z Warszawy, planowała wydawać nielegalny miesięcznik. Oparcie akcji zaolziańskiej na ugrupowaniach w głównej mierze socjalistycznych (PSS, „Siła”), wynikało stąd, iż kierownictwo akcji starało się w ten sposób zapewnić sobie wpływ na najliczniejszą a zarazem — co pokazały wydarzenia z lat 1918—1920 — najbardziej zaangażowaną w obronę polskiego stanu posiadania na Śląsku Cieszyńskim grupę społeczną-robotników. Nie bez znaczenia były tu oczywiście również sympatie polityczne kpt. J. Wadonia i jego współpracowników, którzy w większości swój polityczny rodowód wyprowadzali z nurtu niepodległościowego socjalizmu.

Powyższa rekonstrukcja przebiegu akcji zaolziańskiej w okresie listopada—grudnia 1920 r. oparta została na sporządzonej 18 XII 1920 r. relacji zastępcy kpt. J. Wadonia, ppor. B. Piątka. W relacji tej podano informację, iż na styczeń 1921 r. zaplanowana była w Warszawie konferencja z udziałem przedstawicieli II Oddziału US Wojsk., Naczelnego Dowództwa, Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz delegatów ze Śląska Cieszyńskiego, na której zamierzano poddać ocenie poczynania II Oddziału w sprawie Zaolzia (jak dotychczas samodzielne) i określić plan działania na przyszłość. Nie udało się niestety ustalić, czy konferencja ta rzeczywiście miała miejsce i jakie były jej postanowienia. Pewne jest jednak, że nie mogły one stać w sprzeczności z polityką rządu. Ta zaś nastawiona była już wówczas na poszukiwanie drogi wiodącej do porozumienia z Czechosłowacją. Zadecydowały o tym, z jednej strony, naciski Francji, która starała się doprowadzić do uregulowania stosunków pomiędzy swoimi wschodnimi sojusznikami, z drugiej zaś — dążenie Polski do zapewnienia sobie przychylności Pragi w sprawie górnego Śląska. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych warunkach kontynuowanie przygotowań do zbrojnej rewindykacji Zaolzia nie było już możliwe. Ostatecznie jednak sprawa ta została zamknięta najprawdopodobniej w czerwcu 1921 r., gdy polskim ministrem spraw zagranicznych został Konstanty Skirmunt, który — w wyraźny już sposób — zmierzał do osiągnięcia pełnego zbliżenia w stosunkach z Czechosłowacją.

Wszystkie te zmiany nie były jednak równoznaczne z zakończeniem misji kpt. J. Wadonia. Pozostawał on nadal w Cieszynie, pełniąc funkcję „referenta dla spraw zaboru czeskiego”, co w praktyce oznaczało prowadzenie działalności kontrwywiadowczej. Korzystając z informacji dostarczonych mu zapewne przez zaolziańską siatkę wywiadowczą sporządzał raporty dla potrzeb II Oddziału MS Wojsk. Raporty te dotyczyły takich problemów, jak: polityka władz czeskich wobec Zaolzia, położenie i nastroje ludności polskiej na tym obszarze, ruch komunistyczny (w tym np. przemysł bibuły komunistycznej do Polski), polityka Pragi w sprawie Ukrainy, działalność emigrantów ukraińskich

w Czechosłowacji, a przede wszystkim — słowacki ruch separatystyczny. Na zainteresowanie się kpt. J. Wadonia tym ostatnim problemem niewątpliwy wpływ wywarła obecność w Cieszynie grupy słowackich emigrantów, którzy prowadząc tu niezwykle aktywną działalność wchodzili często w porozumienie z miejscowymi politykami i działaczami. Pomocy udzielał im m.in. Franciszek Barteczek, który wcześniej zaangażowany był we wspomnianą już próbę wywołania na Zaolziu insurekcji. Wszystko to budziło niepokój władz czeskich. Zdając sobie zapewne sprawę z roli, jaką odgrywał w Cieszynie kpt. J. Wadoń, obawiały się one, że jego działania obejmują również pomoc dla słowackich niepodległościowców. Z tych też względów dyplomaci czescy systematycznie zgłaszali pod adresem polskiego MSZ żądanie, aby kpt. J. Wadoń został z Cieszyna odwołany. Po pewnym czasie pogłoski na temat tych zabiegów dotarły do samego zainteresowanego. Starając się oczyścić z zarzutu współpracy ze Słowakami kpt. J. Wadoń napisał wówczas oświadczenie, w którym stwierdzał, iż: *Oдноśnie do справ словачких otrzymałem од М.С. Војск. розказ бы не мѣшати ся в жаднѣ, еwentуалнѣ конспирacyjнѣ роботѣ словачкѣ — oraz instrukcje, by utrzymać stosunek kurtuazyjny z emigrantami słowackimi, celem otrzymywania od nich informacji porzeбnych dla kontrwywiadu wojskowego i orientowania się М.С. Војск. в справах словачких. Знајась докладне емиграцѣ словачкѣ в Цешыні, стверджам, же не prowadzi она жадных прац конспирacyjных загрожаяcych Republice Czeskiej, nie utrzymuje жадных тайных организации војсковых*".

Kpt. J. Wadoń ze stanowiska „referenta dla spraw zaboru czeskiego” odwołany został pod koniec 1922 r. Jest wysoce prawdopodobne, że stało się to właśnie pod wpływem czeskich żądań, którym władze polskie mogły ulec, aby w ten sposób uniknąć podejrzeń o sprzyjanie słowackiemu separatyzmowi i okazać swoją dobrą wolę. Jest w każdym razie pewne, że likwidacja cieszyńskiej placówki kontrwywiadowczej była znakiem, iż Warszawa całkowicie rezygnuje już z myśli o rewizji granicy na Olzie. Sprawa ta odżyła na nowo dopiero w połowie lat 30., w całkowicie zmienionej sytuacji. Wówczas też czynniki wojskowe powróciły do koncepcji utworzenia na Zaolziu tajnej organizacji wojskowo-politycznej. Sięgnięto także po ludzi, którzy w akcji zaolziańskiej zaangażowani byli w latach 20. Jest to już jednak zupełnie inny problem.

Z przysłów ludowych

Wczora była niedzieliczka,
już pyndzialek nastoł;
porachuj, porachuj,
coś wczora przechlastoł.

Tyn sie nie boi,
gdo złego nie broi.

Bogatymu cielątko,
a biydnymu dzieciątko.

Sprawy słowackie nad Olzą

W kształtowaniu się politycznej i kulturalnej struktury Śląska Cieszyńskiego pewną rolę odegrało pogranicze polsko-słowackie, czyli w bezpośredniej bliskości leżące Czadeckie a także Spisz i Orawa.

Czadeckie, czyli żupaństwo trenczyńskie zamieszkiwane było głównie przez Ślązaków — potomków uciekinierów przed pańszczyzną, których część wyjechała z czasem na Bukowinę. Na Orawę uciekali górale żywieccy, na Spisz Podhalanie, tworzący obok Niemców, Słowaków, Rusinów mozaikę etniczną należącego do Polski w latach 1412—1769 późniejszego żupaństwa spiskiego. Działalność słowackich księży oraz brak kontaktów z resztą ziem macierzystych nie pozwoliła wytworzyć podstaw do budzenia się świadomości narodowej.

Śląsk Cieszyński ma ze Słowakami wiele wspólnego. Należy wspomnieć chociażby reformację i działalność Trzanowskiego, czy Pauliniego. Ze Słowakami kontaktował się Stalmach, wielu słowackich nauczycieli uczyło w cieszyńskich szkołach. Wielu też uległo polonizacji. Pisał o tym przed wojną w broszurze *O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego* Wacław Olszewicz.

Problem pogranicza polsko-słowackiego pojawił się w 1918 r. Działacze narodowi skupieni wokół Podhala, opierając się na badaniach językoznawców, domagali się przyłączenia do Polski 13 osad w Czadeckiem (np. Makowa, Gorelicy, Skalitego, Czarnego, Oszczadnicy, Turzówki, Świerczynowca), na Orawie (np. Suchej Góry, Głodówki, Mutnego, Trzciany, Twardoszyna, Namiestowa), na Spiszu (Jaworzyny, Żdziaru, dorzecza Popradu). Mówiło się więc o Kieżmarku, Lewoczy, Spiskiej Starej Wsi itd. Decyzją Rady Ambasadorów uzyskano jedynie okolice Jabłonki na Orawie i skrawek Gónego Spisza. Granica ukształtowała się w 1924 r., po fiasku polskich starań o Jaworzynę. Miała ona przebieg podobny do dzisiejszego. Akcentem cieszyńskim w tych zmaganiach była chociażby akcja wojskowa w Czadcy por. Jerzego Szczurka w listopadzie 1918 r., czy też pomoc Cieszyna w akcji plebiscytowej.

Po wyroku Rady Ambasadorów polska polityka względem Słowacji wiązała się nierozłącznie z relacjami na linii Warszawa-Praga. Chętnie patrzono na silny ruch antybeneszwowski, starający się uzyskać pomoc w Warszawie. Kontakty te hamowały jednak perspektywiczne plany wspólnej granicy Polski z Węgrami, których Słowacy się obawiali. W pierwszym okresie wspierano więc działającą w Polsce emigrację słowacką, której czołowymi postaciami byli ks. Jehlička i Franciszek Unger. W 1921 r. utworzyli oni nawet rząd słowacki w Krakowie. Później przenieśli się do Cieszyna, gdzie wydawali „Wiadomości Polsko-Słowackie” i „Slovaka”. Czasowo gościny udzielił im także Franciszek Barteczek w Jaworzu. Placówka słowacka istniała także w Żywcu. W Cieszynie pomagał im kpt. Jan Wadoń. Gazetki i ulotki słowackie przemycano przez Zaolzie na Słowację. Oddźwięk pracy Ungera był jednak mizerny. W marcu 1929 r. miał nawet miejsce zamach na drukarnię H. Nowaka, w której drukowano pisma Ungera.

W drugiej połowie lat 20. a zwłaszcza od 1932 r. Warszawa zwróciła się w kierunku ks. Hlinki, popierając jego dążenia autonomistyczne. Wzrosło zainteresowanie Słowacją. Powstało Towarzystwo Przyjaciół Słowaków im. L. Stura, którego prezesem został Feliks Gwiżdż. Jego oddział powstał w Cieszynie. Szczególną aktywność przejawiał wojewoda M. Grażyński, skupiając wokół siebie grono działaczy społecznych i turystycznych. Od 1931 r. odbywały się w Katowicach stałe narady w sprawach słowackich. Działały: Towarzystwo Kresów Południowych, później Związek Obrony Kresów Zachodnich, Śląski Komitet Pomocy Polakom w Czechosłowacji i inne. W naradach tych uczestniczyli także Polacy z Zaolzia.

Zainteresowania polskie objęły także Spisz, Orawę i Czadeckie. Było to pewną niekonsekwencją, biorąc pod uwagę podejrzliwość Słowaków i emocjonalne podchodzenie do kwestii granic. Chodziło o uświadomienie narodowe górali polskich. Rej wodził zwłaszcza prof. Władysław Semkowicz z Krakowa, prezes Towarzystwa Kresów Południowych, opiekun studentów słowackich. Działały w tym kierunku Związek Podhalań, Towarzystwo Przyjaciół Spisza i Orawy, Związek Spisko-Orawski, w którym był ks. Machay.

Logiczną konsekwencją kontaktów polsko-słowackich na szczeblu międzypaństwowym były kontakty Polaków ze Słowakami na Zaolziu. Zbliżeniu sprzyjała wspólna świadomość, że Praga nie wywiązuje się z konstytucyjnych zobowiązań względem nieczeskich narodowości. W 1935 r. doszło do utworzenia wspólnego bloku wyborczego zaolziańskich Polaków z partią ks. Hlinki, czyli z Ludakami i Rusinami z Zakarpacia. Dzięki temu do parlamentu w Pradze wszedł dr Leon Wolf, prezes Związku Śląskich Katolików. Do spotkania przedwyborczego z udziałem Hlinki doszło 9 V 1935 r. w sali hotelu „Polonia” w Cz. Cieszynie, na którym zgromadziło się prawie 2 tys. osób. Była to wielka manifestacja przyjaźni polsko-słowackiej.

Wolf wielokrotnie spotykał się jeszcze z ludakami, omawiając sprawę wspólnej strategii w parlamencie praskim (był hospitantem w klubie poselskim autonomistów słowackich). Rzecz jasna, kontakty z Hlinką były uzgadniane z konsulem RP w Morawskiej Ostrawie. Trzeba jednak stwierdzić, że wspólne zblokowanie się zaolziańskich Polaków ze Słowakami przyniosło wiele pozytywnych rezultatów. Partia Hlinki stanowiła przecież realną siłę. Rozwijala się także współpraca kulturalna. Szczególnie serdeczne więzy łączyły polską i słowacką młodzież ewangelicką.

Polityczne kontakty zaolziańsko-słowackie nasiliły się w pamiętnym 1938 r. Chodziło głównie o uzgodnienie wspólnej taktyki wobec Pragi.

Na Zaolziu interesowano się także sprawami spisko-orawskimi, o co usilnie zabiegali zwłaszcza kręgi krakowskie, nie widzące po latach niepowodzeń w bezpośredniej akcji na pograniczu słowackim innych szans dotarcia do ludności polskojęzycznej na Spiszu i Orawie, jak tylko przez działaczy zaolziańskich. Dzięki stypendiom ZOKZ, Macierzy Szkolnej i pomocy Grażyńskiego od 1931 r. zaczęli napływać do orłowskiego gimnazjum uczniowie ze Spisza i Orawy, często po wcześniejszej obecności w Nowym Targu. Mieli oni stanowić przyszłe kadry inteligencji polskiej na słowackim pograniczu, z czego zdawał sobie jednak sprawę nawet polonofil Sidor.

Do dość ciekawych inicjatyw należały organizowane przez Koła Samokształceniowe Macierzy Szkolnej wycieczki na interesujące Polaków tereny. Wycieczki te były poprzedzone starannymi przygotowaniem i miały na celu m.in. dokonanie współczesnych badań faktycznego stanu ludności polskiej na Słowacji. W latach 1929—31 objechano Czadeckie, stwierdzając, że mieszkańcy Czarnego mówią gwara cieszyńską, Skalitygo żywiecką, Świerczynowiec był wsią o języku mieszanym, polsko-słowackim. Odwiedzono także Liptów, Spisz i Orawę. Na Spiszu za polskie uznano okolice Starej Lubowli, Kieżmarku, Jaworzyny, Żdziaru itd., na Orawie przede wszystkim Głodówkę i Suchą Górę. Dość typowym spostrzeżeniem było, że mieszkańcy tamtejszych wsi dokładnie wiedzą o różnicach między sobą, nazywając jednych bądź „Polakami”, bądź „Słowakami”. Często zdarzało się także, iż polskie wsie były otoczone Słowakami. Były to np. dawne osady budowane przy hutach szkła. Stąd nawet w głębi Słowacji występowały polskie wyspy językowe. Oprócz wycieczek studenckich na Spiszu koncertowały także zaolziańskie chóry, głównie związane z „Jednością”.

W sumie jednak akcja prowadzona z Zaolzia również nie przyniosła większych rezultatów. Najgorzej było z Czadeckiem, mimo iż leżało ono w zasięgu możliwości częstych odwiedzin. Region ten należał zresztą do najbardziej zacofanych w całej Słowacji; szerzyło się zwłaszcza pijaństwo. Dojeżdżający do Karwiny górale nie wiązali się z Polakami i polskimi organizacjami. Pewną pomoc w próbach dotarcia w Czadeckie świadczyła także parafia w polskim Zwardoniu, położona tuż nad granicą. Ze względu na

szczelność granicy nie przyniosła ona jednak efektów. Stosunkowo najlepiej język polski zachował się na Spiszu i stamtąd też rekrutowało się najwięcej uczniów chcących uczęszczać do gimnazjum w Orłowej. W 1931 r. ukazał się specjalny „Kalendarz Góralski” przeznaczony dla kresów spiskich i orawskich, lecz jego rozprowadzanie szło słamazarnie. Na przyszłe wydania planowano więc używanie czcionki słowackiej, do której górale byli przyzwyczajeni i nie podawanie miejsca wydania, aby nie wzbudzać podejrzeń.

Okazuje się, że pomimo w miarę dobrych opracowań, trudno było ustalić dokładną liczbę tamtejszych Polaków. Ogólnie mówiło się o 8 tys. w Czadeckiem, 15 tys. na Orawie i 25 tys. na Spiszu.

Decydującym dla przyszłości stosunków polsko-słowackich nie tylko na Śląsku, ale w całej Polsce był oczywiście rok 1938. W gorącym dla Czechosłowacji okresie narastania kwestii sudeckiej problem równouprawnienia dla Słowaków nabrał nowych treści. Polacy nadal popierali autonomistów, lecz na konkretne pytania grupy Sidora co do ewentualnego związku z Polską odpowiadano wymijająco. Warszawa nie chciała podejmować wiążących decyzji bez konsultacji z Budapesztem, co z kolei budziło podejrzenia w Bratysławie. Jednocześnie Beck ostro reagował na każde próby zbliżenia Słowaków do Pragi. W Polsce nie doceniono także wzrastającego zainteresowania Słowacją ze strony hitlerowskich Niemiec. Na poparcie Hitlera w próbach osiągnięcia wymarzonej granicy z Węgrami. Polityków słowackich nie traktowano do końca poważnie, co wynikało po części z ich emocjonalnego stosunku do zagadnień politycznych i nie liczenia się z rzeczywistością.

W maju 1938 r. przez Polskę przejeżdżała delegacja Kongresu Słowaków w Ameryce, której Polacy zgotowali huczne przyjęcie. Wiązało się to z 20-leciem umowy pittsburskiej. 5 czerwca ks. Tiso, ulegający coraz bardziej wpływom orientacji proniemieckiej, wygłosił w parlamencie mowę na rzecz nowego projektu autonomii Słowacji. To, co miało odłączyć Czechy ze Słowacją, to tylko decyzje w sprawach wojny i pokoju. Związek z Pragą miał być zachowany. Projekt, jak zwykle, nie przeszedł. 16 sierpnia umarł ks. Hlinka, nie wyznaczając następcy. Został nim ks. Tiso, a nie, jak w Polsce przypuszczano, Sidor. Kierunek polityki słowackiej wyraźnie zaczął zwracać się ku Berlinowi, czego polskie władze długo jeszcze nie będą rozumieć. Błędne koło polskich poczynań względem Słowaków miało swoje apogeum podczas wrześniowego napięcia w Czechosłowacji, na krótko przed konferencją monachijską. Sidor przedstawił wtedy Polakom projekt unii z Polską. Zdezorientowani i zakłopotani Polacy nie mogli mu jednak udzielić wiążącej odpowiedzi. I to był koniec wspólnej polsko-słowackiej drogi.

Wkrótce po zmianie granicy na Śląsku Cieszyńskim prasa polska zaczęła pisać o Spiszu i Orawie. Ten nagły zwrot od razu zauważono w Bratysławie. Tym razem chodziło o rzeczywiste pretensje względem sąsiada zza Tatr. W specjalnie opracowanym memoriale prof. Semkowicz sugerował podjęcie starań o północną część Czadeckiego, pasa wsi na Orawie (Półgóra, Mutne, Głodówka, Sucha Góra itd.), Jaworzynę, Żdziar, Spiską Starą Wieś, okolice Lubowli itd. na Spiszu oraz o korekty nad Popradem. Wszystko miało być umotywowane strategicznie i etnograficznie. 90% ludności mówiło po polsku. Wśród polityków słowackich wybuchła panika. Na nic nie zdały się uspokajające słowa Warszawy, że wszystkie postulaty są do przedyskutowania i chodzi raczej o przyjacielskie wyrównanie i drobne korekty, niż o chęć zaboru ziemi słowackiej. Kroki polskie uznano jednoznacznie za zdradę. W ciągu kilku tygodni praca wielu oddanych Słowacji polskich społeczników poszła na marne. Lata zbliżenia z Bratysławą nie zdołały przygotować gruntu pod rewindykację terytorialną, jak to sobie w Warszawie i Krakowie wyobrażano. Pomylił się sam Semkowicz, który też nie zrozumiał przywiązania Słowaków do własnej ziemi. Sam Sidor, zaniepokojony, zapytywał Warszawę, czy ma jakieś pretensje wobec Słowacji, uspokajając przy tym w prasie wrogo Polsce nastawionych rodaków. Niewiele to pomogło.

25 października przedstawiono Słowakom polskie propozycje zmiany granic. Choć nie było tam konkretnych żądań, ludzie Tisa uznali je za ultimatum. W tym czasie chodziło już tylko o linię kolejową z Mostów do Skalitego przez Świerczynowiec,

Jaworzynę Spiską, Żdziar, kilka wyrównań w dolinie Popradu, między Żegiestowem a Piwniczną, koło Cisnej w Bieszczadach, gdzie 300-metrowy odcinek wąskotorówki szedł po stronie słowackiej, mimo, że stacje leżały po stronie polskiej. O Orawie nie wspomniano. Wkrótce na pogranicze polsko-słowackie wyruszyły ekipy ekspertów. W Orawskim Podzamoku autobus z Polakami obrzucono kamieniami. Górale manifestowali wszędzie swą niechęć do Polski. Jak się okazało, wieloletnia praca i nakłady okazały się niewspółmierne do osiągniętych korzyści.

Ostatecznie do Polski przyłączono ok. 220 km² z 4,5 tys. ludności. Były to przeważnie góryste tereny na Spiszu (Jaworzyna), Orawie (Głodówka, Sucha Góra), odcinek szlaku turystycznego pod Babią Górą, wspomniana kolejka w Bieszczadach, Leśnica w Pieninach, okolice Lackowej w Beskidzie Niskim, niewielki obszar nad Popradem i jeszcze kilka bardzo „kosmetycznych” wyrównań. Zmian dokonano też w bezpośrednim sąsiedztwie Śląska Cieszyńskiego. Uzyskano postulowaną wcześniej linię kolejową za Mostami ze Świerczynowcem, Czarnem, Skalitem. W ten sposób zamknięto koło połączeń kolejowych. Z Cieszyna można było odtąd jeździć do Żywca przez Zwardoń z pominięciem Bielska. Komisja pracująca w regionie czadeckim miała czasowo siedzibę w Cieszynie. Głównym jej przedstawicielem był Marian Gotkiewicz. Okręg Świerczynowca przyłączono do powiatu cieszyńskiego. Polsko-słowackie porozumienie graniczne podpisano 30 XI 1938 r. w Zakopanem, a więc w tydzień po porozumieniu z Czechami w sprawie Zaolzia, podpisanym w Mistku.

Zmiany na korzyść Polski przyjęto na Słowacji zdecydowanie wrogo. Wielu polonofilów przeszło na pozycje antypolskie. Sidor wyjechał do Watykanu jako ambasador. Prasa słowacka zaczęła drukować artykuły negujące sens jakichkolwiek stosunków z Polską. Sam Semkowicz wycofał się z działalności społecznej. Postępowanie Polski oceniano gorzej nawet od werdyktu arbitrażu wiedeńskiego, który pozbawił Słowaków 2 XI 1938 r. 10 tys. km² urodzajnej ziemi na południu. Polskie „zdobycze” wynosiły mniej niż 1/6 terenów wymienionych w memoriale Semkowicza.

Po opadnięciu pierwszych emocji Warszawa starała się spacyfikować antypolskie nastroje. Przywrócono stypendia dla studentów słowackich. W styczniu senator RP Gwiżdż zorganizował w Cieszynie konferencję polsko-słowacką dla oczyszczenia atmosfery. Zrobiła ona dobre wrażenie, choć nie było mowy o powrocie do dawnych stosunków. Zaufanie musiano budować od nowa. Rozmawiano więc o wymianie kulturalnej i turystycznej. Na Słowacji trwała już jednak akcja niemiecka, która skutecznie wyparła wkrótce resztki wpływów polskich na tyle, że osiągnięta wreszcie w marcu 1939 r. wspólna granica z Węgrami była już przysłowiową „musztardą po obiedzie”. Po zajęciu Pragi przez Hitlera i powstaniu niepodległej Słowacji Polska została dodatkowo oskrzydłona od południa przez oddziały niemieckiej 14 armii.

We wrześniu 1939 r. wraz z wkraczającym do Polski *Wehrmachtem* na wsie południowej Polski najechało kilka jednostek słowackich. Wcześniej, 26 maja miał miejsce incydent graniczny w Mostach k/Jabłonkowa, kiedy to na Zaolziu wtargnęła ze Słowacji grupa dywersyjna por. A. Herznera. Tereny zajęte przez Polskę w 1938 r. powróciły do państwa tiszowskiego. Oprócz tego do Słowacji przyłączono na podstawie porozumienia z Niemcami z 21 XI 1939 r. polską Górną Orawę i Spisz, uzyskany w 1920 r. Wraz z kilkoma jeszcze wsiami Podhala stanowiło to ok. 770 km².

W latach II wojny światowej polski rząd na emigracji zalecał w stosunkach ze Słowakami, będącymi w opozycji do ks. Tiso, obcywanie zwrócenia im wszystkich nabytków z 1938 r. i ustanowienie granicy w myśl porozumień z 1924 r. Stąd też kiedy Armia Krajowa planowała na Zaolziu akcję przejęcia władzy po ustąpieniu Niemców, okręg czadecki ze Świerczynowcem nie był brany pod uwagę. W 1945 r., po czasowych nieporozumieniach granica polsko-słowacka powróciła do linii z 1924 r.

Żelazna kurtyna, rozciągnięta na granicy polsko-czeskiej, okazała się być jeszcze szczelniejsza na granicy polsko-słowackiej. Dziś o Słowakach, ich historii, języku i kulturze wie się w Polsce niewiele i odwrotnie.

Nie jestem szowinistą

Znany jest udział Rady Obrony Śląska Zaolziańskiego oraz Komitetu Zaolziańskiego w staraniach o zachowanie państwowej przynależności zachodniej części Cieszyńskiego do Polski. W staraniach tych aktywną rolę odegrał Karol Musioł. W okresie stalinowskim był w związku z tym przesłuchiwany. Przedmiotem zainteresowania UB były m.in. jego kontakty z Alojzym Targiem, Aleksandrem Bocheńskim i ks. Ferdynandem Machajem. Latem 1952 r. K. Musioł sporządził *Notatkę z działalności w obronie Śląska zaolziańskiego*, której tekst udostępnił nam nieżyjący już Leonard Guziur z Katowic. Notatka była próbą samoobrony autora. Na uwagę zasługuje swoista samokrytyka i powołanie się na Stalina.

* * *

Świętochłowice, 16 VII 1952

W rozmowach nielicznej grupy Cieszyniaków: prof. Franciszek Popiołek, Paweł Pszczółka, Szczurek i podpisany, przebywający w Krakowie w czasie okupacji, wyłoniła się myśl utworzenia organizacji Zaolziaków, mającej na celu przygotowanie materiałów do obrony polskość Śląska zaolziańskiego i w konsekwencji wywalczenia tej ziemi dla Polski. W parę tygodni po rozmowach utworzona została organizacja pod nazwą: Rada Obrony Śląska zaolziańskiego (ROS) w Krakowie w składzie: historyk prof. Franciszek Popiołek, literat Paweł Kubisz, inż. Baranek i podpisany. Pierwsze zebranie tej organizacji nastąpiło jesienią roku 1942 lub 1943 (dokładnie roku nie potrafię ustalić).

Organizacja była apolityczna (bezpartyjna), nie związana z żadną organizacją w kraju ani z zagranicą, nie dysponowała żadnymi środkami finansowymi z zewnątrz.

Celem tej organizacji było zbieranie wszelkich dostępnych materiałów, jak: zestawień statystycznych, źródeł i broszur z dziedziny narodowościowej, kulturalnej, ekonomicznej i politycznej, badanie, w miarę uzyskiwanych kontaktów, stanowiska ludności polskiej na Zaolziu do okupanta, sondowanie i prostowanie opinii polskiej, gdyż niewłaściwe załatwienie tej sprawy w r. 1938 wypaczało i osłabiało istotny sens tego problemu.

Celem wysondowania opinii w sprawie zaolziańskiej u ówczesnych przedstawicieli ruchu konspiracyjnego w kraju skontaktowałem się w kilka miesięcy po zorganizowaniu ROS-u (luty, marzec 1943 lub 1944) z ob. Alojzym Targiem, jako zastępcą pełnomocnika tzw. rządu londyńskiego na Śląsku. O kontakt ten nie było trudno, gdyż stworzony przez ten rząd aparat administracyjny był tak bardzo liczny i reprezentowany przez równie liczne ugrupowania polityczne, że łatwo było się dowiedzieć, kto i jaką ma przydzieloną funkcję. Kontakt ten powtórzył się jeszcze 2—3 razy, kiedy ob. Targ sprowadził się do Krakowa po powstaniu warszawskim. Z kontaktów tych wynioskowałem, że sam ob. Targ, jako Cieszyniak, był nastawiony przychylnie do tej sprawy tzw. rządu londyńskiego, z rozmów tych wynikało jednak, że było ono rozbieżne i na ogół mało przychylnie. Po zakomunikowaniu o tym kolegom organizacyjnym tym bardziej upewniliśmy się co do obronnego kierunku naszej pracy, by przygotować materiał dowodowy o Śląsku zaolziańskim celem przedstawienia go legalnym władzom polskim po ustaniu okupacji.

To też zaraz z początkiem r. 1945 (kwiecień?) przedstawiliśmy memoriał w sprawie Śląska zaol., podpisany przez kolonię Cieszyniaków, znajdujących się na terenie Krakowa, przedstawicielom Władz Państwowych w osobach majora Wendego jako zastępcy ministra S.Z. i marszałka Żymierskiego. Memoriał wraz z protokołem audjencji, w którym wspomniano i o sprawach KOS-u, i o ułatwieniu tej audjencji przez Orawiaka Ks. Machaja z Krakowa, został później z Cieszyna przekazany do MSZ.

Na marginesie zaznaczyć wypada, że w czasie prac KOS-u nie utrzymywałem żadnych

kontaktów z Ks. Machajem (miejsce jego pobytu było mi nieznane), a jedynie wykorzystałem znajomość z nim jako działaczem Spisza i Orawy i zapytywałem o kontakt z Władzami w sprawie Śląska zaol. już po ustaniu okupacji.

Druga faza pracy nad obroną Śląska zaol. jest właściwie znana czynnikom państwowym, gdyż wszystkie materiały dostarczane były bieżąco do naszych Władz, a całokształt sprawy znajduje się w MSZ.

Pracę tą rozpocząłem w Cieszynie w połowie maja 1945 r. sam, zgłaszając się nasamprzód u ówczesnego kierownika UB (nazwiska nie pamiętam), któremu i towarzyszącemu mu majorowi radzieckiemu wręczyłem memoriał i protokół z audyencji krakowskiej, prosząc kierownika UB, by zechciał zwiedzić Śląsk zaolziański i przekonać się, jaka tam ludność zamieszkuje.

Następnie zgłosiłem swą zamierzoną pracę sekretarce PPR, ob. Pawlakowej, która skontaktowała mnie z Władzami Wojewódzkimi. Wreszcie przedstawiłem problem zaolziański Pułkownikowi garnizonu radzieckiego, prosząc, by zechciał stan sprawy naświetlić u swych miarodajnych czynników, bowiem stan polityczny był wtenczas tego rodzaju, że w większych ośrodkach zaolziańskich władzę ujęli w swe ręce Polacy i kwestia przynależności tej ziemi uchodziła za chwiejną. Pułkownik z żywym zainteresowaniem przyjął informację, zalecając cierpliwość w rozwiązaniu problemu. Szczegóły te wspominam raz dlatego, że nie były one podane w raportach pisemnych do władz (nie było jeszcze Komitetu), a po wtóre, aby naświetlić istotne nastawienie i linię rozpoczętej pracy.

Praca Komitetu zaolziańskiego powstałego w Cieszynie z końcem czerwca 1945 r. ograniczała się jedynie do rozpracowania samego terenu Śląska zaol. i polegała na gruntownym badaniu losów i stosunków tamtejszej ludności i w okresie okupacji, i w okresie powojennym, kiedy nad historią tą ciążył we wszystkich dziedzinach życia czeski szowinizm nacjonalistyczny pod rządami prezydenta Benesza. Fakty te notowaliśmy i podawaliśmy do wiadomości naszych władz oraz do prasy wszystkich ówczesnych partii politycznych w Kraju poprzez korespondentów, którzy często odwiedzali nasz Komitet. Między innymi odwiedził nasz Komitet dwa razy wspomniany wyżej ob. Targ, który naonczas pacował w Katowicach i jak mnie informował, ujawnił swą działalność z okresu okupacji, pisywał w prasie o Śląsku pod okupacją. Dałem mu wówczas, jak i innym publicystom fragmenty materiałów, dotyczących krzywd i losów polskiej ludności zaolziańskiej z okresu okupacji i chwili bieżącej. W rozmowie zwróciłem mu uwagę na wręcz nieżyczliwe stanowisko w tej sprawie tzw. rządu londyńskiego, czego potwierdzenie uzyskiwałem od wracających etapami z Anglii Cieszyńiaków, oraz na pogardliwe o Polakach wyrażenie Churchila.

Wyraziłem przy tej sposobności swe głębokie przekonanie, że korzystnego rozwiązania problemu zaolziańskiego możemy się spodziewać jedynie od obecnego rządu polskiego za wstawiennictwem ZSRR i że ten kierunek, przekonanie i działalność reprezentujemy solidarnie wszyscy w Komitecie.

Kontakty z ob. Targiem były bardzo rzadkie: dwa razy w Cieszynie i tyleż w Katowicach, tj. znacznie rzadziej niż z innymi dziennikarzami np. z „Życia Warszawy” (Klekow i dziennikarz nieznanego mi dziś nazwiska), „Trybuną Robotniczą” (ob. Krajewska) i ograniczyły się jedynie do spraw zaolziańskich, którymi żyłem bez reszty aż do połowy 1946 r., kiedy ustały zupełnie. Jakakolwiek inna działalność polityczna ob. Targa była i jest mi nieznana dotąd.

W r. 1945 odwiedził mnie w Komitecie dr Bocheński, urzędnik UNRRA. Była to raczej wizyta grzecznościowa z racji znajomości ze Śląska zaol. w r. 1939 i po jego ożenieniu się w Cieszynie z ob. Szuścikówną, córką dobrze mi znanej rodziny ze Śląska zaolziańskiego od młodych lat. W czasie pierwszych odwiedzin dr Bocheński interesował się problemem zaolziańskim, postawą ludności polskiej, stosunkiem władz czeskich do tej ludności oraz nastawieniem naszych Władz do tego problemu. Co do ostatniej sprawy poinformowałem go zgodnie z faktycznym stanem, że nastawienie to jest życzliwe. Dr Bocheński przyrzekł wtedy, że przy następnej bytności złoży mi swoje opracowanie

zagadnienia zaolziańskiego. Referat ten przywiózł dr Bocheński w parę miesięcy później (marzec, kwiecień 1946) i złożył go w biurze Komitetu. Do spotkania ze mną nie doszło. Referat ten nie wniósł niczego do sprawy — powtarzał argumenty już uprzednio przez Komitet bardziej szczegółowo opracowane. Winien być w aktach MSZ. Do obydwu odwiedzin dr. Bocheńskiego nie przywiązywałem żadnego znaczenia, gdyż nie wносиły do sprawy nic nowego i niczym nie zwróciły na siebie uwagi. Ponieważ w sprawie tej zostałem zainterpelowany, nie wykluczam kontaktu dr. B. z innymi postronnymi i niekompetentnymi jednostkami, które tworzyły najróżniejsze fantastyczne pomysły i bajki koło problemu zaolziańskiego.

Na zakończenie powyższych wyjaśnień pozwolę sobie na parę osobistych uwag: w czasie okupacji ścigany przez gestapo za działalność przedwojenną, podjąłem się pracy w obronie mej ziemi rodzinnej i jej patriotycznego ludu o wielkich wartościach i starych demokratycznych tradycjach w najlepszej wierze, że służę dobrze Polsce. Po wojnie, bez cienia osobistych korzyści a raczej ze szkodą dla siebie, oddałem się z całym zapalem tej samej sprawie w duchu nowej rzeczywistości, w myśl zasad kształtującej się demokracji. Postępowałem rzetelnie i uczciwie. I czy to chodziło w samych początkach o ratowanie jedynej polskiej gazety komunistycznej „Głos Ludu”, wydawanej w Czeskim Cieszynie, czy o wybory do Sejmu czeskiego w r. 1946 i oddanie głosów polskich na listę komunistyczną, przełamywałem osobiście, szczególnie wśród starszej generacji, wstrzeźliwość i rezerwę, uzasadniając i dowodząc, że jedynie z partią komunistyczną znajdziemy porozumienie i zgodę.

Mogłem w swej pracy popełnić drobne uchybienia, ale nigdy świadomie, a w żadnym wypadku z intencją szkodenia Polsce Ludowej.

Po zawarciu sojuszu polsko-czeskiego w r. 1947 i po zdaniu całej roboty do MSZ odsunąłem się kompletnie w pracy w stosunkach polsko-czeskich. Zwalczając szowinizm nacjonalistów czeskich z obiektywizmem, gdyż Naród czeski dla Jego wielkich zalet wysoko cenię. Mnie zaś samego przed zarzutem szowinizmu niech obroni wiedza i głęboka maxyma, wypowiedziana przez Józefa Stalina: „Szowinistą jest nie ten, kto broni swych praw, lecz ten, który mi je odbiera”.

mgr inż. górnik Karol Musioł

Z przysłów ludowych

Dej kurze miejsce na grzędzie,
to powiły, że wyży wyndzie.

Dobro boleść,
co do pojeść.

Czym dziwniejszy,
tym modniejszy.

Czym więcej w pysku,
tym więcej zysku.

Z tajnych raportów NSDAP

Chodzi tutaj o tajne raporty cieszyńskiego Kreisleitiera dr Drohberga, składane okresowo (co tydzień, później co miesiąc) na ręce szefa NSDAP (Niemieckiej Narodowo-Socjalistycznej Partii Robotniczej) rejencji katowickiej. Część tych raportów, obejmująca okres od lipca do grudnia 1941 r. zachowała się w Archiwum Państwowym w Katowicach (obecnie w AP w Opolu), stanowiąc dość ciekawy materiał informacyjny o stosunkach panujących w tym okresie na okupowanym terenie Śląska Cieszyńskiego, włączonym do Rzeszy. Spośród wielu spraw poruszanych w tych raportach interesować nas będą szczególnie te, które dotyczą stosunków narodowościowych i nastrojów panujących wśród tamtejszego społeczeństwa, widziane oczami Niemca przybyłego z Rzeszy, a więc nie związanego z tym terenem.

Powiatowa organizacja NSDAP została utworzona w dniu 26 IX 1939 r. z siedzibą w Cieszynie. Obejmowała ona swoim zasięgiem działania powiat Cieszyn (*kreis Teschen*), w którego skład wchodziły zaolziańskie powiaty frysztacki i czesko-cieszyński (z kilku gminami powiatu frydeckiego) oraz dawny powiat cieszyński (polskocieszyński). Funkcję szefa tej organizacji (*Kreisleitiera*) pełnił początkowo przez krótki czas niejaki Fischer-Rothenburg, po czym na dłuższy czas objął ją osławiony Albert Smagon (urodzony 11 V 1897 w Karwinie). Był to zagorzały hitlerowiec, który w okresie przedmonachijskim zbiegł do Rzeszy, gdzie zabiegał u władz centralnych o wcielenie Zaolzia do Rzeszy już w pierwszym okresie rozbioru Czechosłowacji. Po skierowaniu go na odpowiedzialne stanowisko w poselstwie niemieckim w Bratysławie urząd *Kreisleitiera* objął dr Drohberg, na którego raporty się powołujemy.

Wspomniana seria raportów zaczyna się od sprawozdania za okres od 22 VI do 7 VII 1941 r. Jak wiadomo, w dniu 22 VI nastąpiło zerwanie przez Hitlera paktu Ribbentrop — Mołotow i napaść na Związek Radziecki. Wydarzenie to odbiło się głośnie echem wśród społeczeństwa Zaolzia, a zwłaszcza wśród ludności polskiej, budząc nowe nadzieje:

Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej wywołał w określonych kręgach tutejszej „międzywarstwy” (w oryginalne Zwischenschicht, którym to określeniem Niemcy nazywali ludność znajdującą się, w ich mniemaniu na drodze do wynarodowienia poprzez przyjęcie tzw. volkslisty — przyp. autora), odpowiednią reakcję. I tak, w niektórych gminach, poprzednie zainteresowanie wpisem do niemieckiej listy narodowościowej znacznie ostygło. Ludzie, którzy przed dniem 22 czerwca prosili o wciągnięcie ich na niemiecką listę narodowościową, po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej nie czynili nic, aby ich wniosek został załatwiony pozytywnie. Niektórzy z nich nawet wystąpili o to, aby przzerwano rozpatrywanie ich wniosków o nadanie volkslisty.

Wybuch wojny na wschodzie miał też dodatkowo skutki uboczne:

Już w ubiegłym tygodniu były szerzone pogłoski o likwidacji kart odzieżowych (Kleiderkarten), co powodowało napór ludzi na sklepy z towarami tekstylnymi. Ponieważ się mówiło także o dalszej redukcji przydziałów chleba, a także o dewaluacji pieniędzy, powstała także pogłoska, że kartki na mięso będą wydawane tylko dla mężczyzn. Te pogłoski powodują, że ludność skupuje wszelki osiągalny drób.

W raporcie za okres od 15 VII do 18 VIII 1941 r. czytamy:

Ponieważ sprawozdania naczelnego dowództwa wojskowego (Oberkommando der Wehrmacht) od kilku dni nie zawierały nic konkretnego, a mówiły tylko ogólnikowo o sukcesach bojowych, odzywały się nawet u obywateli niemieckich głosy, że chyba ofensywa się załamała. Były również pogłoski o prawdopodobnie wysokich stratach wojska niemieckiego. Jest możliwe, że pogłoski, zwłaszcza te, które sugerowały iż ofensywa się załamała, były wspomagane meldunkami dowództwa wojskowego, które nic nie mówiły o tym, że armie

w rejonie Smoleńska zostały zniszczone, a po ośmiu dniach donosiły, że w rejonie Smoleńska trwają decydujące boje, których celem jest zniszczenie sowieckiej armii. Niektóre więc z tych meldunków były dla niezorientowanych ludzi niezrozumiałe. Zalecalibyśmy, aby w przypadku gdy w meldunkach pomija się pewne szczegółowe informacje, obywatele byli informowani za pomocą radia o przyczynach, które tego rodzaju informację uzasadniają. Jest rzeczą znamionną, jak rychło niektóre grupy niemieckich obywateli tracą wiarę w ostateczne zwycięstwo.

W tym samym raporcie czytamy dalej:

Na ocenę zachowania się letników w ośrodkach ruchu wypoczynkowego powiatu cieszyńskiego nie można znaleźć dość ostrych słów. Specjalnie brzydko zachowują się berlińczycy. Niedostają, że szemrają z powodu braku niezbyt potrzebnych potraw, których nie dostają w odpowiedzi na swe żądania, to jeszcze starają się po lichwiarskich cenach wykupywać wszelkie artykuły żywnościowe, jakie tylko są do dyspozycji, tak, że można było stwierdzić przypadki poważnych braków artykułów żywnościowych w Wiśle, Ustroniu itp. Kiedy ich wymagania nie były spełniane, grozili właścicielom pensjonatów. Taka postawa świadczy o brakach w ich narodowo-socjalistycznym światopoglądzie.

A oto wyjątki z raportu z dnia 4 IX 1941 r.:

W rocznicę przyłączenia Zaolzia (Olsagebiet) do Wielkiej Rzeszy zorganizowano w dniu 1 IX 1941 r. wielkie uroczystości w sześciu miejscowościach powiatu cieszyńskiego. Kiedy zaczęła się propaganda na rzecz tych sześciu wielkich manifestacji, ujawniła się na to reakcja miejscowej ludności nieniemieckiej. Konfidenti policji państwowej donosili, że zwłaszcza Polacy chcieli zakłócić przebieg tych uroczystości. Niektóre z tych informacji donosiły nawet, że manifestacje zwłaszcza w Cieszynie i Boguminie, na których miał przemawiać kreisleiter, były podobno zakłócone użyciem materiałów wybuchowych.

I dalej czytamy:

O tym, że osoby obcej narodowości nie były zadowolone z manifestacji zarządzonych przez kreisleitera, świadczy plakat, który pojawił się w miejscowości Trzanowice przed dniem 31 sierpnia 1941 r. Ten plakat, napisany po polsku, dołączam w niemieckim przekładzie. Rzeczywiście, zgodnie z wezwaniem tego plakatu, groby dwóch polskich lotników (Żwirki i Wigury — przyp. autora), którzy zginęli w katastrofie, zostały ozdobione różami o barwach byłego państwa polskiego.

A oto treść owego plakatu:

Polacy, Polki!

W związku z dwuletnią rocznicą napadu Hitlera na nasz drogi polski kraj nakazujemy:

W dniu 31 sierpnia — w dniu poprzedzającym wybuch wojny:

- 1) Powstrzymywanie się od wszelkich wycieczek i imprez!
- 2) Całkowity bojkot wszystkich gazet!
- 3) Bojkot wszystkich restauracji i lokali rozrywkowych!
- 4) Bojkot wszystkich kin i teatrów!
- 5) Bojkot wszystkich środków komunikacyjnych (koleje, omnibusy, tramwaje itp.)!
- 6) Udekorowanie biało-czerwonymi kwiatami wszystkich
 - a) grobów poległych polskich żołnierzy
 - b) grobów rozstrzelanych względnie zmarłych w więzieniach i obozach koncentracyjnych za pracę i niepodległość Polski
 - c) wszystkich miejsc, gdzie stały polskie pomniki, które zostały zniszczone przez gestapo!

7) Wszyscy Polacy, Polki, winni stawić się między godziną 14 a 15 na ulicach miast i na placach!

8) Wszyscy Polacy, Polki, winni w godzinach między 17 i 18 wstrzymać się od wychodzenia na ulice!

9) Zakazujemy brania jakiegokolwiek udziału w zebraniach organizowanych przez naszych morderców, Niemców!

Z tej obszernej odezwy, wydanej przez cieszyńskie środowisko Związku Walki

zbrojnej, której pełny tekst można znaleźć m.in. w książce Ludwika Kohutka pt. *Gdy drzewa szubienic wyrosły*, poświęconej masowej egzekucji 24 Polaków-członków ruchu oporu, która miała miejsce w dniu 20 III 1942 r. w Cieszynie „Pod Walką”, cytujemy dalej tylko jeden z jej ustępów:

Każdy robotnik czy robotnica winien starać się, aby nie przynieść żadnego pożytku, owszem wyrządzić szkodę. Uszkadzanie narzędzi pracy, produkowanie materiałów niezdatnych do użytku itp. Każdy Polak, Polka, powinni uważać za swój obowiązek, aby w tym dniu postarać się przyjść z pomocą polskim niezamożnym rodzinom. Pieniądze, które mielibyście wydawać na judaszowe kina i lokale, dajcie biednym i nędznie ubranym sierotom!

W tym samym raporcie z 4 IX 1941 r. kreisleiter donosił o sabotażach dokonanych w hucie w Trzyncu, polegających na sypaniu piasku do maźnic osi maszyn i urządzeń oraz skarżył się na niesforność Polaków, utrudniających życie prawdziwym Niemcom, pisząc:

Autobusy przeznaczone do ruchu lokalnego są stale przepełnione i wiele osób nie może się do nich dostać i często musi odbywać piechotą długą drogę. Tak się zdarza, że obywatele polskiej narodowości zajmują miejsce, podczas gdy Niemcom z powodu braku miejsca odmawia się przejazdu. Polscy podróżni nie reagują na zwrócenie im w języku niemieckim uwagi, że miejsc nie ma i wchodzą do autobusu udając, że nie rozumieją, o co chodzi, i zajmują miejsca i nikt im tego nie zabrania. Kiedy obywatele niemieccy protestują przeciw apelom kierowcy, aby nie wsiadali, bo jest przepełnienie, ten oburza się w sposób bardzo arogancki, mówiąc np.: „Rozumiecie przecie po niemiecku, więc powinniście zrozumieć, że miejsc wolnych nie ma”. W ten sposób Polacy mają pierwszeństwo i mogą zawsze jechać. Byłoby celowe pouczyć obsługę autobusów, aby dawali przede wszystkim pierwszeństwo podróżnym narodowości niemieckiej, a Polaków zabierać tylko wtedy, gdy jest dosyć miejsca.

W raporcie z dnia 1 X 1941 r. Drohberg znajduje dalszy powód do uskarżania się:

Dalszy przykład, który budzi rozgoryczenie: W rejencji górnośląskiej obowiązuje zarządzenie, w myśl którego obywatele mają czyścić ulice. Czyszczenie i utrzymywanie ulic jest w Rzeszy o ile wiem, sprawą właścicieli domów i spełnia tam dobrze swoją rolę. Na ziemiach włączonych do Rzeszy tego rodzaju zarządzenie wydaje się nam nieodpowiednie. Wiadomo, że wielka liczba domów, których właścicielami byli Polacy, została skonfiskowana. Zatem Niemcy, którzy mieszkają w tych domach, muszą czyścić ulice, podczas gdy Polacy, Czesi i Żydzi przyglądają się jak „pan tej ziemi” czyści ulice. Uważam, że na naszym terenie problem czyszczenia ulic powinien być rozwiązany tak, aby Polacy, Czesi i inna zbieranina mieli nakazane przez zarząd miasta czyszczenie ulic, a koszty z tym związane miałyby być rozłożone na wszystkich obywateli.

Dalszym utrapieniem Kreisleitera były polskie dziewczyny, objadające — jego zdaniem — niemieckie rodziny. Pisz o tym w raporcie z dnia 5 XI 1941 r.:

Z powodu niedostatecznej liczby Niemców zatrudnionych w gospodarstwach domowych zostały przydzielone polskie dziewczyny do tych prac. Dziewczęta te, otrzymujące kartki żywnościowe z nadrukiem „P”, są pozbawione niektórych przydziałów żywnościowych. Ponieważ te polskie pracownice są żywione w niemieckim gospodarstwie domowym, Niemcy muszą je częściowo żywić ze swoich przydziałów żywnościowych, przez co są poszkodowani. Należałoby się zastaowić, czy w tych przypadkach, na specjalny wniosek głowy gospodarstwa domowego, nie należałoby przyznawać polskim pracownikom domowym takich przydziałów żywnościowych jak dla Niemców.

Pan kreisleiter miał kłopoty nie tylko z tymi Polakami, którzy pozostali na ziemi cieszyńskiej, ale również z tymi, którzy zostali wysłani przymusowo na roboty w głąb Niemiec. Oto co pisze w raporcie z 28 XI 1941 r.:

Aczkolwiek w rejencji górnośląskiej (do której należał Śląsk Cieszyński —przyp. autora) staramy się wszystkimi środkami stojącymi do naszej dyspozycji o zniemczenie nadających się do tego celu obywateli w Rzeszy postępuje się z ludźmi, których uznaliśmy za nadających się do zniemczenia, często w sposób zgola osobliwy. To, że ludzie ci, przychodzący z tutejszego terenu często mówią łamanym językiem niemieckim lub z początku w ogóle bardzo mało mówią, doprowadza wielką część niemieckiego społeczeń-

wa w Rzeszy do przekonania, że musi tutaj chodzić o Polaków. I w ten sposób, na podstawie takich naskórkowych obserwacji, robi się ludzi narodowości niemieckiej Polakami i daje się ich do pracy i poza pracą razem z polskimi robotnikami. Zdarza się, że wielka część naszych obywateli, którzy zostali wysłani do Rzeszy jako nadający się do zniemczenia, wraca po miesiącach do domu rozgoryczona z powodu dziwnego traktowania, które musieli znosić. Ludzie, którzy na tutejszym terenie używali jakiegś polskiej mieszaniny językowej, wracają po kilku miesiącach mając opanowany polski język literacki. Zwracam uwagę na to, że wspólna praca i życie z ludźmi z Generalnego Gubernatorstwa prowadzi do nauki poprawnego języka literackiego.

Ale nie tylko z Polakami miał dr Drohberg kłopoty. Utrapieniem jego — może jeszcze większym — byli Czesi, a raczej pseudo Czesi, ludzie, którzy ze względów bytowych za Czechów się podawali. O nich pisze w raporcie z 28 XI 1941 r. w ten sposób:

Powiat Cieszyn ma kłopoty nie tyle z problemem polskim, co z Czechami. To, że postępujemy z Czechami pod wielu względami lepiej niż z Polakami, powoduje, że wielu ludzi stara się, aby zostali uznani za Czechów a nie za Polaków. Jak wiadomo, Czesi nie muszą płacić ze swoich zarobków 15-procentowego podatku wyrównawczego (płaconego przez Polaków — przyp. autora), ani też nie podlegają innym ograniczeniom, jak np. przy przydziałach żywnościowych i in. Z tego, że Czesi nie muszą płacić składek na DAF (niemieckie związki zawodowe — przyp. autora) oraz innych składek, wynika, że praktycznie wychodzą na tym finansowo lepiej niż Niemcy. Nie jest także możliwe występowanie przeciwko Czechom przy wewnętrznych przesiedleniach celem zapewnienia mieszkań dla Niemców lub przeprowadzania wywłaszczeń czeskich rolników. Stoje na stanowisku, że na tutejszym terenie nie ma czystych Czechów, z wyjątkiem tych, co się tutaj przyprowadzili z ziem znanych jako czeskie bastiony w Protektoracie. Największą część obywateli podających się za Czechów należałoby traktować na równi z obywatelami przyznającymi się do narodowości polskiej.

Wśród przywilejów, jakimi cieszyli się obywatele narodowości czeskiej, Drohberg nie wymienił tego najważniejszego: możliwości nie służenia w *Wehrmachcie*. Polacy też nie musieli służyć w wojsku niemieckim, rezygnując z ubiegania się o *volkslistę*, ale za jakże straszliwą cenę wysiedleń, ponieważ i obozów.

Pod Klimczokiem

W okresie międzywojennym Brenna należała do najuboższych gmin w całym powiecie cieszyńskim. Gospodarka sałasznicza chyliła się ku upadkowi. Miejscowa ludność znajdowała zatrudnienie w 5 kamieniołomach, w lasach państwowych, należących dawniej do arcyksiężęcej Komory, oraz przy regulacji rzek.

Przed I wojną światową działała tylko Kasa Raiffeisena, założona w r. 1897. Po wojnie najwięcej członków miała Kasa Spółdzielcza, ale pracowały również Kółko Rolnicze, Ludowa Spółka Spożywcza oraz Chrześcijańska Spółka Spożywcza. Ta ostatnia zakupiła w 1928 r. nieruchomość przylegającą do kościoła (został zbudowany w 1796 r.), na której znajdowały się sklep, gospoda i poczta. (c)

Jak Feniks z popiołów...

Wtorkowy ranek, 1 maja 1945 r. wstawał nad Skoczowem wśród grzmotów, huku dział artyleryjskich i terkotu broni maszynowej. Budził się piękny, słoneczny dzień. W akompaniamencie silnego ostrzału spoza Wisły ruszyła, ostatnia na ziemi cieszyńskiej ofensywa radziecka. W ostatnich dniach kwietnia linia frontu utrzymywała się na przedpolach Skoczowa u granic Pogórza i Bajerek, biegnąc na południe w stronę Górek.

Po wyparciu resztek niemieckich sił, w godzinach rannych, wojska rosyjskie wkroczyły do miasta, a w ciągu dnia front przesunął się na linię Ogrodzona-Dębowiec. Skoczów był wolny. Most na rzece był zniszczony, toteż przemieszczanie taboru wojskowego przez rzekę, chociaż płytką, było utrudnione. Saperzy przystąpili do budowy prowizorycznego, pontonowego mostu, który w ciągu niespełna doby był gotów. Do prac angażowano również osoby cywilne. Był wśród nich także mój ojciec. Gdy wczesnym rankiem 2 maja wybrał się z Kisielowa, gdzie byliśmy ewakuowani, do Ochab, aby przygotować nasz dom do powrotu, został zatrzymany w Skoczowie przez wojskowy patrol i skierowany do prac przy moście. Do Ochab dostał się okrężną drogą dopiero nazajutrz, z pominięciem Skoczowa.

Wraz z armią przybyli do miasta przedstawiciele lokalnej administracji. W ratuszu objął urządowanie, z upoważnienia Rządu Tymczasowego, pierwszy burmistrz miasta Cyryl Popiołek.

Wracali też skoczowianie, których losy wojny porozrzuciły w różne strony, nieraz bardzo dalekie. Już 2 maja wrócił z wojennej tułaczki skoczowski artysta malarz Edward Biszorski, który od razu przystąpił do utrwalania na rysunkach odniesionych przez miasto zniszczeń. W dniu 3 maja odbył się na rynku wiec ludności z okazji wyzwolenia miasta oraz rocznicy Konstytucji. Przemawiali: sekretarz PPR Józef Szewczyk, przedstawiciele stronnictw politycznych, władz cywilnych oraz wojskowy komendant miasta.

5 maja grono strażaków reaktywowało Ochotniczą Straż Pożarną. Przystąpiono do uporządkowania i odrestaurowania zniszczonej remizy stażackiej. Komendantem OSP został Franciszek Oborny. Tegoż dnia sekretarz sądowy Karol Roik otrzymał od burmistrza polecenie zorganizowania sądu grodzkiego i biura notarialnego. Zebrała się też grupa działaczy w celu reaktywowania drużyny harcerskiej im. Pawła Stałmacha. Już w dwa dni później harcerze wyruszyli na pierwszą wycieczkę, do Wisły.

Dnia 10 maja, o godz. 12, na rynku odbył się wielki wiec ludności Skoczowa i okolicy z okazji zakończenia wojny. Przemawiali przedstawiciele władz, partii politycznych, związków zawodowych oraz wojska. Przedtem odbyły się w kościołach nabożeństwa dziękczynne. W tym samym dniu nadeszła z Dachau wiadomość, że żyje Gustaw Morcinek.

Skoczowianie włączyli się spontanicznie do przywracania normalnego życia. Pracownicy spieszyli do swych zakładów, od wielu tygodni unieruchomionych, aby je uporządkować i przygotować do produkcji. Najbardziej ucierpiała Garbarnia, którą w nocy z 30 kwietnia na 1 maja zniszczył pożar. W innych zakładach zniszczeń notowano mniej, ale maszyny były zdewastowane i uszkodzone.

W rynku kilka kamienic zostało zburzonych, w tym tzw. „Gałgonkówka” oraz narożnikowy dom u wylotu do ul. Ustrońskiej. Zniszczone zostały parterowe chałupy przy ul. Ustrońskiej. Wskutek bombardowań mocno ucierpiała remiza strażacka. Pożar zniszczył dworzec kolejowy. Wysadzone zostały obydwa mosty — drogowy oraz kolejowy. Zniszczeń o mniejszej skali było więcej. Rozpoczęła się praca przy odgruzowywaniu, naprawie dróg i ulic. Przygotowywano do nauki budynki szkolne, które, na szczęście, za bardzo nie ucierpiały. Organizowano administrację, handel i zaopatrzenie.

Pracowano dosłownie za bochenek chleba. Czynne w magistracie Biuro Apropowizacji wydawało pracującym jako zapłatę po dwukilogramowym bochenku chleba. Kierownikiem Biura Apropowizacji był Karol Niesyt. Zlecenie na wydanie chleba zwykle podpisywał burmistrz lub jego zastępca. Dla osób zatrudnionych w organizujących się zakładach i instytucjach z zapotrzebowaniem na chleb zwracał się kierownik danej jednostki, przedkładając listę pracowników. Uruchomiono również miejską stołówkę. Posiłek w stołówce był także ekwiwalentem za pracę. Przydziały chleba lub posiłki w stołówce otrzymywały także osoby nie pracujące, zwłaszcza starsze, niepełne i bez środków do życia. Z jednego z zachowanych dokumentów dostawczych wynika, że w dniu 11 maja Wydział Apropowizacji wydał dla stołówki miejskiej m.in. 727,5 kg chleba, 133 kg cukru, 310 kg mąki, 50 l ogórków i 31 kg marmolady.

Chleb i inne towary na zaopatrzenie przejmowano od prywatnych piekarzy i właścicieli sklepów. Znaczna część pochodziła ze składów poniemieckich. Z zachowanych potwierdzeń odbioru dowiadujemy się, że np. 4 maja „przejęto” na potrzeby apropowizacji: od piekarza Józefa Pilicha 360 kg chleba, od Sikory 127 kg chleba a od Jana Wojnara ponad 1,5 tony różnych towarów spożywczych. Jeszcze w czerwcu żywność stanowiła ekwiwalent za pracę. 9 czerwca wydano chleb dla pracowników organizującej się spółdzielni. 17 czerwca „zdejęto i zdeponowano” od ob. Matuszka 300 kg towarów spożywczych — chleba, grysiku, mąki, cukru, marmolady i in.

Z zaopatrzeniem w żywność nie było w Skoczowie widocznie źle, skoro „tymczasowy przewodniczący Rady Gminnej” w Zebrzydowicach Henryk Białończyk, powołując się na wcześniejsze uzgodnienia z burmistrzem Popiołkiem, zwrócił się 14 maja z prośbą o udzielenie pożyczki żywnościowej w postaci 300 kg mąki żytniej, 100 kg mąki pszennej i 100 kg cukru. Magistrat prawdopodobnie pożyczki udzielił.

W pierwszych dniach maja zorganizowana została administracja miejska i milicja. Zastępcami burmistrza byli Józef Kosowski i Karol Brzóska. 8 maja pracowało w magistracie, łącznie z burmistrzami ok. 50 osób. Istniały następujące biura czyli wydziały: biuro apropowizacyjne, mieszkaniowe, powiernicze, budowlane, przemysłowo-handlowe, ewidencji ruchu ludności, personalne, wojskowe, informacji i propagandy, oraz kasa i sekretariat. Działała również milicja miejska, licząca ok. 15 osób. Jej zadaniem była przede wszystkim ochrona mienia obywateli oraz zakładów.

Dnia 2 maja przy współudziale komendanta wojsk radzieckich mjr. N. Czuchnowa utworzono posterunek Milicji Obywatelskiej. Pierwszym komendantem został Jan Krehut. Do milicji zgłaszali się ochotnicy z miasta i okolicy. Było wśród nich również 3 przedwojennych podoficerów Wojska Polskiego. Według stanu na dzień 20 maja komenda liczyła 3 plutony po 22 i 23 osoby — łącznie 71 funkcjonariuszy.

Dnia 17 maja na zebraniu, w którym wzięło udział ok. 100 osób, ukonstytuowała się 16-osobowa Rada Narodowa. Nie było wyborów; radni zostali desygnowani przez PPR, PPS i PSL oraz związki zawodowe. W skład pierwszej rady weszli: Rudolf Karch i Florian Cierniewski (PPS), Daniel Olszewski (PSL), Józef Grzegorz (PPR), Karol Raszyk (PPS), Karol Urbańczyk, Karol Klimek (PPS), Wilhelm Adamczyk, Władysław Johaczy, Ferdynand Śliwka, Roman Chyra, Wincenty Pońc, Józef Namysłowski, Stefan Christman, Jak Krehut, Wojciech Szelong. Na pierwszym posiedzeniu Rada wyłoniła 4 komisje problemowe: budowlaną, sanitarną, rewizyjną i opieki społecznej.

* * *

Stopniowo uruchamiano też inne instytucje oraz zakłady pracy. 15 maja w trudnych warunkach rozpoczęły naukę dzieci w szkole nr 1, przy ul. Kolejowej. Sale szkolne były w opłakanym stanie, brakowało pomocy szkolnych. Już w czasie nauki, wykonywano dalsze prace porządkowe. 23 maja w szkole nr 2 naukę rozpoczęło 389 dzieci. Szkoła posiadała początkowo 5 etatowych nauczycieli. Przy szkołach powstały komitety rodzicielskie, które organizowały dożywianie dla dzieci szkolnych oraz dla przedszkola.

30 maja powołano społeczny komitet pomocy dla rodzin, których domy zostały w czasie działań wojennych spalone.

Jednym z pierwszych zakładów, uruchomionych z początkiem maja była drukarnia ludowa. Funkcję kierownika pełnił Stefan Christman.

W połowie maja cieszyński Urząd Telekomunikacyjny nawiązał po raz pierwszy łączność telefoniczną ze Skoczowem. Natomiast od chwili zorganizowania, 17 maja, oddziału listowego w Urzędzie Pocztowym w Cieszynie przesyłki pocztowe wysyłano do Skoczowa posłańcem na rowerze. Jak wspomina Andrzej Raszka, późniejszy naczelnik Urzędu Pocztowego w Cieszynie, było tak do 17 października 1945 r., kiedy to oddano do użytku naprawiony odcinek linii kolejowej Cieszyn-Bielsko. Wówczas wprowadzono na stałe połączenie pocztowe z Cieszynem przez uruchomienie ambulansu na tej trasie.

Z dniem 1 czerwca rozpoczęła działalność Spółdzielnia Ludowa Stowarzyszenia Spożywców w Skoczowie. Ukonstytuował się zarząd w osobach: Józef Grzegorz, Franciszek Koźdoń i Rudolf Żertka oraz rada nadzorcza, której przewodniczącym został Franciszek Brudny z Nierodzimia. Spółdzielnia posiadała na początku 2 sklepy w Skoczowie oraz sklepy w Brennej, Górkach, Harbutowicach, Nierodzimiu, Ochabach, Pierścicu i Pogórze. Posiadała też piekarnię na Małym Rynku w Skoczowie. Kierownicy sklepów sami sprowadzali towar i rozliczali się z kartek żywnościowych. 6 czerwca spośród miejscowych działaczy społeczno-kulturalnych utworzono zarząd Domu Kultury. Na siedzibę DK przeznaczono budynek Gołysznej pod nr 19 na rynku. 16 czerwca Organizacja Młodzieży TUR urządziła pierwszy po wojnie festyn w mieście. Organizatorem i pierwszym przewodniczącym OMTUR był Marian Papiernik. W tydzień później 24 czerwca, Ochotnicza Straż Pożarna zorganizowała pierwszy festyn strażacki. W połowie czerwca aresztowany został pierwszy burmistrz miasta Cyryl Popiołek, oskarżony o kolaborację z okupantem. 18 czerwca burmistrzem został Rudolf Żertka, działacz PPR oraz Spółdzielni Ludowej. 25 czerwca rozpoczęła pracę Śląska Fabryka Koców, przedwojenny zakład Heilperna.

Dnia 17 lipca z udziałem władz miejskich nastąpiło otwarcie biblioteki Domu Kultury. Księgozbiór, liczący w dniu otwarcia 273 pozycje, pochodził głównie z prywatnych zbiorów ocalałych w czasie okupacji. Zapotrzebowanie na książki było duże. Po zakończeniu uroczystości wypożyczono w ciągu godziny 266 książek; w szafach pozostało zaledwie 7 egzemplarzy. W wakacyjne miesiące ożywiła się działalność młodzieży harcerskiej. Harcerze zorganizowali w lipcu pierwsze po wojnie ognisko, a także festyn. W sierpniu delegację drużyn harcerskich — męskiej i żeńskiej — wzięły udział w Zlocie Chorągwi Śląskiej. Drużyna żeńska wyjechała na obóz do Ustronia. Z okazji Święta Odrodzenia Szkoły Polskiej 20 sierpnia odbył się w Skoczowie duży festyn z udziałem młodzieży. 21 sierpnia na ręce burmistrza miasta wpłynął list przebywającego we Francji Gustawa Morcinka, który pytał o los siostry Teresy i domku przy ul. Ustrońskiej. Równocześnie zawiadamiał, że w porozumieniu z przedstawicielem Rządu Tymczasowego RP w Paryżu pozostanie we Francji do jesieni, po czym ma zamiar powrócić do Skoczowa.

W sierpniu wprowadzano reorganizację władz gminnych. Dotychczas każda miejscowość posiadała swoje lokalne władze — przełożonego gminy, radę gminną, posterunek milicji. W myśl zarządzenia starosty powiatowego z 31 lipca 1945 r. w Skoczowie utworzono gminę zbiorową obejmującą okoliczne miejscowości. Powstała — oprócz miejskiej rady — gminna rada narodowa Skoczów-Wieś, czyli gmina zbiorowa. Weszły do niej Bładnice, Harbutowice, Nierodzim, Wilamowice, Międzywiecie, Wiślica, Ochaby, Pierściec, Pogórze. W miejscowościach tych odbywały się posiedzenia tamtejszych rad w sprawie włączenia do gminy zbiorowej Skoczów. I tak, np. w Międzywiciu odbyło się posiedzenie 17 sierpnia, w Nierodzimiu 20 sierpnia itd.

W dniu 3 września rozpoczął się nowy rok szkolny 1945—46. 15 września otwarto Gminną Szkołę Rolniczą.

Dnia 1 października burmistrzem miasta został Franciszek Brudny, dotychczasowy wójt Nierodzimia, działacz spółdzielczy, członek PPR. Dotychczasowy burmistrz Rudolf Żertka oddelegowany został do KP PPR w Cieszynie. 17 października została oddana do użytku linia

kolejowa Bielsko-Cieszyn przez Skoczów. Ruszył pierwszy pociąg na tej trasie. W początkowym okresie odchodziło z Cieszyna do Bielska 5 pociągów dziennie. 27 października grupa pracowników skoczowskiej Fabryki Kapeluszy „Hueckla” wyjechała do Raciborza po maszyny z demontażu tamtejszej zniszczonej fabryki.

* * *

Minęło pierwsze pół roku od zakończenia wojny. Życie stopniowo stabilizowało się. Ale jednocześnie toczyła się walka o władzę. Np. 22 lipca zginął w śródmieściu zastępca komendanta posterunku MO Józef Powada. W dniu 21 października zginął, w lesie wiślickim wracając z Ochab, Franciszek Koźdoń, członek zarządu Spółdzielni Ludowej. Wojna domowa o kształt ustrojowy Polski miała toczyć się jeszcze długo, miało się jeszcze przelać wiele krwi. Ale to oddzielny temat...

Wieś Bogusza

Wieś **Boguszowice**, obecnie dzielnica Cieszyna, była początkowo posiadłością rycerską. Jej powstanie opisano w następujący sposób:

„Książe opolski Mieszko, chcąc wynagrodzić Bogusza za wierną służbę, oddaje mu w dziedzictwo 10 łanów frankońskich, kupionych od myncarza Fryttona, leżących w pobliżu Cieszyna. Oprócz tego przyznaje mu prawo używania obu brzegów Olzy, stawiania młynów, łowienia ryb, polowania, osadników zaś, których Bogusz ma osadzić na tych łanach, uwalnia od wszelkich obowiązków na rzecz swoją i od sądownictwa dworskiego, grodzkiego, a także miejskiego. Dziesięcinę z Boguszowic pobierał zapewne proboszcz cieszyński, bo zresztą ta wieś cała stała się własnością miejską. Nadanie powyższe dało początek Boguszowicom”.

Jak wynika z dokumentu sporządzonego w 1425 r., wieś stanowiła majątek szpitala a właściwie przytułku, który zbudowano poza murami miejskimi Cieszyna, przy kościółku św. Jerzego. Tak było przez kilka wieków. Majątkiem szpitalnym zarządzał wyznaczony przez radę miejską „wójt żebraków”. Jeszcze w okresie międzywojennym znajdowała się w Boguszowicach gospoda, która należała do kościółka; mówiono o niej „Do Farorza”.

Boguszowscy rolnicy, których pola były położone nad Olzą i Bobrówką, eksploatowali żwir i piasek, które nazywano „boguszowską pszenicą”. Nazwa miała uzasadnienie, gdyż wydobywanie i sprzedaż kruszywa była bardziej opłacalna niż uprawa ziemi. (c)

Babcia

*Tam, gdzie kwitną stare jabłonie,
owocują kolczaste krzaki agrestu
i wschodzące marchewki
czas odmierzają
na spracowanej grządce,
Ty, zmęczonymi dłońmi
rozdajesz wokół
uśmiechniętą modlitwę
kochającego serca.*

*Wieczorem,
siedząc przy oknie
patrzysz na cząstkę świata,
w który odeszły
dzieci,
wnuki
i błogosławisz im
samotnym krzyżem
wiary
nadziei
i miłości.*

O cieszyńskich elementarzach

Rozwój szkolnictwa polskiego na Śląsku Cieszyńskim, sięgający połowy XIX w., wymagał zapewnienia dzieciom i nauczycielom podręczników. Dotyczyło to zwłaszcza szkół elementarnych, które wprowadzały uczniów w podstawy literackiego języka polskiego. Z tego względu działacze oświatowi w Księstwie Cieszyńskim od samego początku zabiegali o dostarczenie uczniom odpowiednich elementarzy. W latach 1848–1939 pojawiło się wiele elementarzy i abecadników, ale ograniczę się do omówienia kilku.

Jednym z pierwszych był *Elementarz do używania w szkołach miejscich cesarsko-królewskich państw dziedzicznych* z 1848 r., wydany w Wiedniu. Brak wzorów pisma świadczy o tym, że służył przede wszystkim do nauki czytania. Każdy tekst, niemal każde zdanie było pouczeniem wychowawczym. Treść obejmowała wychowanie patriotyczne, moralno-społeczne, rodzinne, religijne i zdrowotne, jak również wiadomości z różnych dziedzin. Oprócz części, które dotyczyły głosek i reguł zgłoskowania, elementarz zawierał takie rozdziały jak: *Części ciała, Części domu, Sprzęty domowe, Odzienie, Pięć zmysłów, Zachowanie się w szkole* i inne.

Kolejny elementarz, to wydana w 1908 r., również w Wiedniu *Książka do czytania dla austriackich szkół ludowych pospolitych*. Autorami byli: W. Terlitza, J. Kubisz i A. Pacuła. Podręcznik ten zasadniczo różnił się od swego poprzednika. Występowały w nim wzory pisma, uwzględniał zatem naukę pisania. Ponadto elementarz został zilustrowany. Ryciny były czarno-białe i nie zamieszczono ich zbyt wiele. Występowały w zasadzie tylko przy wprowadzaniu nowej litery, dla zilustrowania wyrazu podstawowego. Książka była podzielona na trzy

główne części: w pierwszej wprowadzano kolejne litery wraz z wzorami pisma, w drugiej uczniowie poznawali drukowane odpowiedniki znanych już liter pisanych, zaś trzecia pełniła rolę czytanki. Wiele tekstów zawierało treści o charakterze wychowawczym, dotyczące różnych dziedzin. Zostały przekazane w formie przysłów, przysказаń, pouczeń albo też stanowiły morał, naukę wynikającą z treści czytanki. Część czytankową rozpoczynały modlitwy i pieśni, które przewijały się również w dalszej części.

Oparty niemal na tych samych wzorach podręcznik ukazał się w 1924 r. *Elementarz* ten ułożyli K. Buzek i J. Kubisz, a wydany został nakładem cieszyńskiej księgarni „Kresy”. Podobnie jak *Książka do czytania*, podręcznik ten wychodził od zaznajomienia uczniów z wzorami pisma, przy czym były to te same wzory, co w podręczniku z 1908 r. Posiadał też liczne ilustracje, w większości czarno-białe, ale pojawiły się w nim też dwie ilustracje barwne. Jako jedyny spośród omawianych elementarzy ten posiadał także ilustracje na okładce. Przedstawiała kobietę w stroju cieszyńskim oraz dwoje dzieci czytających elementarz. W tle znajdowała się Wieża Piastowska. Powtórzone część tekstów, które występowały już w elementarzu z 1908 r. Pod pewnymi względami te dwa podręczniki zasadniczo się jednak różniły. W elementarzu cieszyńskim część czytankową rozpoczynały nie modlitwy i pieśni religijne, ale hymn narodowy (*Boże, coś Polskę*), *Rozmowa polskich dzieci, Pieśń o Wiśle*. Zostało uwzględnione wychowanie zarówno religijne, jak i pozostałe dziedziny wychowania.

Na Śląsku Cieszyńskim był również używany *Elementarz i pierwsza książka do czytania* tych samych autorów, wydany dwukrotnie (1928, 1930) przez

Spółkę Wydawniczą „Katolik” w Bytomiu. Nie różnił się on zbyt od podręcznika cieszyńskiego. Rozpoczął naukę od tych samych wzorów pisma, zawierał niemal te same czytanki i ilustracje. Posiadał natomiast piękne, kolorowe ilustracje w części elementarzewej. Innowacją było także wprowadzenie tekstów o charakterze ściśle regionalnym. Były to przeważnie podania, np. *Cudowny dzwon we*

Fryszacie, Czarna Księżna, O złotogłowcu i kilka innych tekstów związanych ze Śląskiem. Niemal te same teksty, które rozpoczynały część czytankową w elementarzu cieszyńskim, kończą elementarz bytomski. Są to: *Hymn narodowy* i *Rozmowa polskich dzieci*. Wśród tekstów o charakterze patriotycznym znajdują się również wiersze *Co to Polska? Mały dobosz, Co kochać*.

Ostatnia wyprawa

Po załamaniu się ofensywy Napoleona pod Moskwą cesarz Francuzów rozpoczął odwrót. Niedawni sojusznicy zaczęli go opuszczać. Groziło mu okrażenie i całkowita klęska. Wiosną 1813 r. ruszył mu na pomoc do Saksonii książę **Józef Poniatowski**. Towarzyszył mu w podróży poeta **Kazimierz Brodziński**, wówczas oficer artylerii, który spisał swoje wrażenia.

W dniu 11 maja wojska dotarły do wsi **Stare Bielsko**, gdzie zatrzymały się na dwudniowy odpoczynek. Poeta odnotował, że w okresie zaledwie kilku dni dezercje objęły ok. 600 osób. Zwiedził **Bielsko**, które spodobało mu się z powodu porządku. Zauważył, że mieszkańcy posługują się językiem polskim. Następny postój wypadł w **Pogórze k. Skoczowa**, skąd w dniu 14 maja wojska pomaszerowały przez **Ogrodzoną** do **Bobrku k. Cieszyna**. Tam, pisał K. Brodziński, „gospodarz przyjął nas na kwaterze najuprzejmiej. Rządność, gościnność tego człowieka tak mi się podobały, że chodziłem za nim i przysłuchiwałem się gospodarskim jego rozporządzeniom. Deszcz cały dzień kroił. Spocząwszy wspomniałem sobie na słowa Chateaubriada (z *Atali*):

„Szczęśliwy, kto na własnej osiadłszy zagrodzie,
Nie chodzi w świat o swojej i o cudzej szkodzie.
Ten może obcego posilić w swym domu,
Stu zobowiązał, sam nic nie winien nikomu.”

Podczas gdy K. Brodziński nocował w Bobrku, książę spał w hotelu „Pod Jeleniem” w **Cieszynie**. Tak by w każdym razie wynikało z napisu na tablicy umieszczonego przy wejściu do hotelu, gdzie figurowały nazwiska wybitnych gości, m.in. Józefa Poniatowskiego. Wojska przemaszerowały przez stolicę księstwa w dniu 14 maja 1813 r. K. Brodziński nazwał miasto pięknym, ale go nie zwiedził. Być może, spowodował to padający deszcz.

Była to ostatnia wyprawa księcia J. Poniatowskiego, który zginął w dniu 19 października 1813 r. (c)

Z zapomnianych kart twórczości Jana Łyska

Postać Jana Łyska jest mało znana szerszemu ogółowi społeczeństwa cieszyńskiego, pomimo że jedna z ulic nadolziańskiego grodu nosi imię tego zasłużonego dla regionu nauczyciela-legionisty. Urodzony w 1887 r. w Jaworzynie w rodzinie góralskiej ukończył szkołę ludową w Istebnej, następnie wstąpił najpierw do gimnazjum polskiego w Cieszynie, zaś w 1904 r. przeniósł się do otwartej w tym samym roku polskiej paralelki przy niemieckim seminarium nauczycielskim w tym mieście. Od 1908 r. pracował jako nauczyciel w Datyniach Dolnych, Suchej Średniej i w Jaworzu (od 1912 r. na stanowisku kierownika). Był aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, brał udział w amatorskim ruchu teatralnym (m.in. niezapomniana rola głupiego Maćka w *Zaczarowanym kole* Lucjana Rydla). Należał do drużyn wojskowych „Sokoła”, odbył kurs wojskowy w Skolem, w 1914 r. zorganizował ćwiczenia śląskich drużyn legionowych. Uczestniczył w walkach Legionów Polskich w stopniu podporucznika, potem porucznika. Poległ 5 XI 1915 r. w walkach nad Stryjem na Polesiu. Jego prochy sprowadzono w 1929 r. do Cieszyna i pochowano obok ewangelickiego Kościoła Jezusowego, zaś po II wojnie światowej przeniesiono na cmentarz ewangelicki.

Jeszcze mniej znany jest literacki dorobek Jana Łyska, na który składają się wiersze, utwory dramatyczne i opowiadania. Nie jest to twórczość w pełni oryginalna, widać w niej bowiem wyraźne wpływy pisarzy młodopolskich, w których młody nauczyciel i społecznik się rozczytywał. Patronują jej również wieszczowie romantyczni.

Są jednak w utworach Łyska elementy, które stawiają go w rzędzie nieprzeciętnych poetów regionalnych. Siła odczuwania Beskidów i ich folkloru, związanie się z życiem górali beskidzkich, z ich przeszłością i terażniejszością, pasja zaangażowania się poety-górala w sprawę wyzwolenia społeczno-narodowego, wreszcie szczerza i urzekająca ambicja wprowadzenia do literatury gwary istebniańsko-jaworzyńskiej oraz regionu, z którego poeta wyszedł — oto cechy twórczości Łyska, wyznaczające mu poczesne miejsce w literaturze Śląska, pomimo że owa twórczość jest dość skromna pod względem ilościowym.

Nie sposób w niniejszym szkicu omówić wszystkie utwory Łyska, dlatego ograniczyć się wypada do przypomnienia całkowicie dziś zapomnianych jego utworów prozaicznych.

Debiutu literackiego Łyska należy szukać w jego monologach góralskich, wykonywanych przez samego autora najpierw w bursie Macierzy Szkolnej, a następnie na posadzie nauczycielskiej w różnych miejscowościach powiatu cieszyńskiego i Zagłębia Karwińskiego. Łysek opublikował tylko dwa monologi: *Jako gorol leczyl prosię i Chłopski dowczup* — obydwą pod pseudonimem Jana Obuszka. Dwa inne odtworzył z przypomnienia na łamach „Zarania Śląskiego” (1930, nr 4) Paweł Zawada (pseud. Sęk).

W tym samym roku, w którym Łysek kończy seminarium nauczycielskie (1908), publikuje w „Zaraniu Śląskim” (1908, nr 4) artykuł pt. *Strój góralski. Jest to szczegółowy opis męskiego i kobiecego ubioru, zarówno powszedniego jak i od święta. Autor wylicza tu nazwy części stroju, podkreśla jego zalety i celowość, a przede wszystkim wskazuje na jego piękno. Niechętnie patrzy na tych górali,*

którzy z miasta przywożą czarne surduty, kamizelki, spodnie i buty. W naśladownictwie mody miejskiej widzi poważne niebezpieczeństwo dla pięknej tradycji góralskiej, która w tym regionie wytworzyła w ciągu wieków prawdziwą atmosferę niepowtarzalnej swojskości. Dlatego z zalem kończy Łysek:

Podoba się góralom kołnierzyk — nie widzą niebezpieczeństwa, że ten biały kawałek stwardniałego płótna będzie „stryczkiem”, który ściśnie ich grube szyje i wydusi dawnego ducha, dawną sielskość, śpiewność i wesołość, a zarazi lud polityką.

Wartość poznawczą i wychowawczą tej rozprawki ocenił należycie Karol Biela, który włączył ją w 1929 r. do *Wypisów polskich*, podręcznika dla polskich szkół ludowych w Czechosłowacji.

Podobny cel przyświecał Łyskowi w artykule pt. *Beskidy*. Jest on poetyckim studium, zawierającym syntezę całego regionu beskidzkiego z podkreśleniem bogactwa piękna krajobrazu, życia ludzi, folkloru i twórczości ludowej. Oto jak Łysek rozpoczyna swój artykuł:

Coś niepojętego jest w górach. Zdaje się na nich siedzieć jakaś potęga tajemnicza i panować od wieków w tym królestwie lasów, przepaści, hał, skał i potoków. Gdy spojrzysz z wierzchu między załomy stoków, w których snują się korowody mgieł, podobne do chust podartych, gdy spojrzysz w wąwozy, w których widać sine wstęgi potoków i strumyków, gdy się wsłuchasz w gwar lasu i gwizd wiatru halnego, zdaje ci się, żeś przyszedł na inny świat. Troski twoje ulatują, wzrok podnosi się śmiało w górę, a piersi chciałyby zrzucić ubranie i wydrzeć się na wolność. Tam czujesz, iż nic ci nie zawadza, że uśmiecha ci się swoboda, jakiej nigdzie indziej nie spotkasz. Toteż każdy, kto chce po trudach codziennych odpocząć, spieszy w góry.

Takim urokiem odznaczają się nasze Beskidy.

Następnie autor kreśli topografię swojej ziemi rodzinnej, jej florę i faunę, legendy sięgające odległej przeszłości, zwłaszcza legendy o zbójnikach Ondraszku i Juraszku, o Motyce, którego uczyni bohaterem późniejszego dramatu. O nich też napisze, że *wszyscy oni odznaczeni się niesłychanym męstwem, pogardą życia, nadprzyrodzoną siłą i zręcznością, umiłowaniem muzyki, pieśni i tańca. Były to orły piękne, silne, odważne, ale drapieżne i łakome krwi.*

Autor pochwała tu również pracowitość i zmysł gospodarski górali, ich zamięłowanie do ładu. Podkreśla też ich wielką wrażliwość artystyczną, zwłaszcza muzyczną: *Kto widział górala tańczącego przed „gajdoszem” i skrzypkiem stary taniec góralski, ten dopiero wiedział, co znaczy siła i zdolność życia.*

Cały ten utwór przepojony jest gorącą miłością do ziemi rodzinnej, do wszystkiego, z czym autor związał się „w kraju lat dzieciennych”. Oto jak sugestywnie kończy Łysek swoją pochwałą Beskidów:

Słuchasz też z zapartym oddechem, kiedy siedzisz między gromadką górali, a najstarszy z nich zacznie opowiadać dziwy o zaklętych skarbach w ziemi, o wojsku śpiącym w Czantorii, o różnych przygodach z dzikim zwierzem albo zbójnikami. Oto na niebie, niby na jakim sałachu, rozrzucone tysiące gwiazd, jak tysiące owiec, a spoza góry wychyla się księżyc jak baczka, który opuścił kolibę i kroczy z powagą między swoje stado. W taką cichą noc często z daleka idzie smutny głos jakiejś pieśni, a na progu chaty góralskiej siedzi gromada gazdów i gawędzi. Snuje się baśń za baśnią, legenda za legendą, klechda za klechdą — najprostsza, najpiękniejsza, najczystsza poezja, a lasy szumią modlitwy wieczorne.

Wyraźnie młodopolski charakter posiada utwór *Stary Zwączor*. Jest to nastrojowe opowiadanie o starym zbójniku, który niegdyś, będąc w pełni sił, był postrachem w całej okolicy. Paralelne przedstawienie losów Jury Zwączora i starego niedźwiedzia uwydatnia tragizm starego zbójnika, który sterany wiekiem grzeje się przy piecu w góralskiej chacie. Jednak ci dwaj władcy gór mimo zbliżającego się kresu życia ciągle się jeszcze nienawidzą:

— Hehe! Terosz się? — (mówi przez szybę do niedźwiedzia Zwączor) — Tak nóm — widzisz — na starość przypadło. Mnie ogień na nolepi — hale ogień! Watra, jak wtedy w nocy na sałaszu, dyś to kole nas szeł... Haha! jeszcze! puścić? Dyś się w lesie upląg, to se tam zdechnij! He, he (...)

Pełne nastroju są również impresjonistyczne opisy przyrody:

Ziemia leżała otulona w śniegi. Od owych pólów Zwączorowych, aż po ostatnie, niewidziane, w sinym jasno-błękiecie ukryte kresy polany, po ostatnie miraże mgieł mroźnych. Straszliwą władczynią — o bezgranicznej mocy — zdawała się być właśnie owa cisza, którą pozostawił po sobie wiatr — tułacz węgierski (...) Między szopami zaskrzypiały rozchwieutane spojenia belek. Potem jakby w ogrodzeniu przysiadło coś w zakątkach i zachichotało śmiechem, wydartym z głębi aż do ostatniej łzy splakanej duszy, w której już ino rozpaczliwy a pusty śmiech z samej siebie zostaje (...)

Ten sam ton melancholii występuje w opisie zbliżającej się śnieżycy czy w medytacjach zbójnika o dawnych czasach. Potrafi też Łysek kreślić obraz zwierzęle, wprost lapidarnie, lecz zawsze ostro i wyraźnie:



Nagrobek z urną mieszczącą prochy Jana Łyska na cmentarzu ewangelickim w Cieszynie. Fot.: Archiwum.

Stary zbój ciągle wзираł oknem. Promień księżycy świecił na ten łeb, wyspany przez wiek i niesłychane trudy (...)

Stary Zwączor jest najlepszym utworem prozaicznym Łyska. Ów temat opracowywał wielokrotnie, lecz żaden z rękopisów nie zachował się.

Zapowiedź — to tytuł opowieści, opartej na legendzie, sięgającej dawnych czasów, kiedy to Słowacy prowadzili z góralami śląskimi krwawe zatargi o granicę w Beskidach. Stąd też, jak głosi legenda, ziemia graniczna opustoszała i nazwano ją „zapowiedzią”. Utwór posiada charakter wyraźnie tendencyjny. Łysek bowiem wzywa zwaśnionych górali do zgody, gdyż tylko ona może przynieść oczekiwane zjednoczenie, a w konsekwencji przeciwstawienie się przemocy obcego panowania, którego ucisk odczuwało się dotkliwie po obu stronach Beskidów. Symbolem tej zgody jest mogiła dziewczyny, córki Słowaczki i Polaka, która zginęła z rąk własnych braci — Polaków i Słowaków. Kiedy sędziwy Poleśnik (symbol rozsądku i mądrości ludowej, echo mickiewiczowskiego Halbana-Wajdeloty) ją grzebał, ona otworzyła oczy i przemówiła:

Poleśniku! strzeż mię! Matka Słowaczka i mój ojciec Polak, noże nawzajem na swych braci bruszą, rosną mogiły, ziemia krwią przesiąka, lasy oplecie gęsta sieć pajaka, ale się kiedyś mogiły pokruszą, ockną pobici i w grobach się ruszą — tylko wam pług! — ach pług, nie noża... Ja pługą czekam, skoro pług się znajdzie, to wstanę i znowu obejdę tę ziemię rodziców i zrobię ją plenną i tak urodzajną, że wszystką działwę potomną wyżywi (...)

Górale porzucają pod wpływem poleśnika swary i rozlew krwi, zamieniają oręż na pługi, „zapowiedź” staje się znowu uprawną ziemią, a lemiesz wyzwała z mogiły żywą córkę obu narodów — Zgodę.

Baśń pt. *Jurek i gniazdko czyżyka* ma charakter dydaktyczny. Napisana też została z myślą o najmłodszych czytelnikach. Bohater utworu, Jurek, bezlitośnie wybiera z gniazda młode ptaszki, gdyż chce za wszelką cenę osiąść czarodziejski kamień, który ma mu przynieść bogactwo i szczęście. Ów czarodziejski kamień ma w dodatku uczynić posiadacza niewidzialnym dla otoczenia. Jurek zostaje za swoje zuchwalstwo srodze ukarany: z nikim nie może rozmawiać, czuje się osamotniony, w dodatku jego matka z powodu braku wieści o synu umiera. Nieszczęśliwy Jurek musi prosić czyżyka o oddalenie czarodziejskiego działania.

Do utworów napisanych prozą należy również opowiadanie pt. *Strachy*. Jest to rodzajowy obrazek, w którym autor kreśli zabawną przygodę parobka góralskiego, wracającego po pijanemu przez miejsce, gdzie według wierzeń ludowych pojawiają się strachy. Kiedy przerażony i oczywiście już trzeźwy parobek przybiega do karczmy i opowiada o zajściu z duchami, sprawcy tej „niezwykłej” przygody wyjawiają całą prawdę ku wielkiej ucieście zebranych.

Prozaiczne utwory Jana Łyska wskazują na dość rozległe zainteresowania literackie: od humorystycznych monologów, gawęd i obrazków, utworów publicystycznych poprzez nastrojowe opowiadania do baśni dydaktycznych. Nie jest to dorobek obszerny, świadczy jednak o poszukiwaniach formy tego ambitnego poety, który odczuwał wewnętrzną potrzebę wypowiadania się w utworach literackich i w górach beskidzkich upatrywał źródło swego natchnienia. Na miano poety zasłużył sobie jednak w swym bardzo krótkim okresie twórczym lat 1908—1915 poezją liryczną (*Wakacyjne pieśni*, *Miłość*, *Kąpiel duszy*, *Sen w czasie wesela*), przede wszystkim zaś dramatyczną (*Jasiyń* — 1909, *Dusza z ziemi* — 1909, *Śpiący zastęp* — 1910, *Śpiący rycerze* — 1914).

Międzywojenna Macierz w Skoczowie

Podstawowym źródłem informacji o działalności skoczowskiego koła Macierzy Szkolnej jest zachowana szczęśliwie do naszych czasów księga protokołów z posiedzeń „wydziałów”, czyli zarządów koła oraz z corocznych walnych zebrań. Zachowane protokoły rysują obraz wszechstronnej działalności tej organizacji, zwłaszcza zaś stanowią świadectwo zasług działaczy Macierzy w kształtowaniu świadomości narodowej i rozwoju życia kulturalnego w germanizowanym od wieków miasteczku. Stały się też podstawowym materiałem źródłowym, na którym oparł się autor artykułu.

Skromne początki

W 4-tysięcznym Skoczowie nie było do 1919 r. właściwie ani jednej polskiej szkoły. W dwóch szkołach ludowych i w szkole wydziałowej językiem wykładowym był język niemiecki, jedynie w niżej zorganizowanej, dwuklasowej szkole ludowej „na Kępie”, przeznaczonej dla dzieci z okolicznych wiosek, a będącej na utrzymaniu gminy Międzyświecia, nauka odbywała się w języku polskim. Dzieci wychowywane były jednak w duchu antynarodowym. Kierownik tej szkoły Józef Koźdoń, twórca i czołowy działacz separatystycznego ruchu „ślązakowców”, nie szczędził starań, by zaszczerpić wychowankom przekonanie o wyższości niemieckiej kultury i pogardę dla wszystkiego, co polskie.

Sytuacja zmieniła się po zakończeniu wojny światowej. Skończyły się w mieście rządy mniejszości niemieckiej, a komisarycznym burmistrzem miasta został mianowany Polak, miejscowy lekarz Marian Szenker. Lata germanizacji pozostawiły jednak w świadomości miejscowego społeczeństwa niezatarty ślad; sporo było ludzi otumanionych koźdoniowską propagandą. Obok autentycznych Niemców sporo było takich, którzy, chociaż nie znali języka niemieckiego, uważali się za Niemców i postanowili nadal wysyłać dzieci do szkół niemieckich. Została zatem podjęta szeroko zakrojona akcja repolonizacyjna. Skierowany do Skoczowa nauczyciel z Zaolzia Jan Żebrocz zorganizował od podstaw polską szkołę ludową i wydziałową. Rozpoczął też starania o utworzenie koła Macierzy Szkolnej. Tak się bowiem złożyło, że mimo olbrzymiej popularności Macierzy w całym cieszyńskim regionie w zniemczonym Skoczowie organizacja ta była nieznana. J. Żebrocz powołał komitet przygotowawczy, który zwrócił się do wszystkich polskich związków i organizacji z prośbą o współudział w zorganizowaniu koła i z propozycją współpracy. W odpowiedzi na ten apel Czytelnia Katolicka, Polski Związek Zawodowy Robotników Chrześcijańskich, Związek Chrześcijańskich Robotników Włókienniczych i Związek Niewiast Katolickich przesłały do Komitetu list zbiorowy, w którym kategorycznie odmówiły wszelkiej współpracy uważając założenie Koła Macierzy Szkolnej za *chybione celu i podejrzone*. Zebranie założycielskie odbyło się jednak w przewidzianym terminie, dnia 14 maja 1922 r. Wzięło w nim udział ok. 100 osób. W dyskusji wystąpił m.in. burmistrz M. Szenker, który z uwagi na sprzeciw wymienionych związków chrześcijańskich radził zebranym wstrzymać się z założeniem Koła. Mimo to w sali pozostało 69 osób, które podpisały deklaracje członkowskie, uiściły roczne składki i wybrały członków zarządu. Pod koniec 1922 r. koło liczyło już 100 członków i stało się najliczniejszą organizacją społeczną w Skoczowie.

W następnych latach liczba członków systematycznie wzrastała; w 1935 r. osiągnęła 167 osób.

Program działania przyjęty przez członków — założycieli sformułowany został lapidarnie i rzeczowo. Wytyczał dwa cele ogólne: umacnianie świadomości ludności polskiej i popieranie szkolnictwa polskiego na Zaolziu oraz 4 zadania szczegółowe: utrzymywania z własnych funduszy polskiej ochronki (przed-szkola), roztoczenia opieki nad działalnością szkolną, założenia publicznej biblioteki polskiej oraz szerzenia uświadczenia narodowego poprzez stosowanie takich form, jak odczyty, przedstawienia amatorskie, koncerty itp. Systematyczna i konsekwentna realizacja tego programu przyniosła spodziewane efekty, czym nie omieszkał pochwalić się prezes J. Żebrok w podsumowującym dorobek 10 lat pracy koła sprawozdaniu na walnym zgromadzeniu w dniu 28 lutego 1932: *Założone 14 maja 1922 r. Koło, powstałe po znacznych przeszkodach, położyło wielkie zasługi około rozbudzenia ducha narodowego w naszym miasteczku. Pokost niemiecki, jaki posiadał Skoczów przed 10 laty, znacznie odpadł, a pierwotny polski charakter miasta przybiera na sile. W okresie tym zlikwidowana została niemiecka szkoła powszechna i wydziałowa z powodu braku dzieci niemieckich. Uświadczenie narodowe wzrosło, a stosunek społeczeństwa Skoczowa do Państwa uległ radykalnej zmianie, co nie jest wyłączną zasługą Koła (...), ale jego znacznym przyczynkiem. Pięknie rozwinęło się czytelnictwo dzięki bogatej bibliotece Macierzy, około której założenia i rozwoju położył nasz literat Morcinek wiele starań. Poza tym walnym środkiem uświadczenia naszym ludność to scena polska szerząca skutecznie zamiłowanie do słowa, sztuki i kultury polskiej. Z urzędzeń scenicznych i krzeseł korzystają prawie wszystkie polskie stowarzyszenia Skoczowa i goście przyjezdni. Przedstawienia Macierzy mają tutaj wyrobioną swą markę i cieszą się wielkim powodzeniem.*

Biblioteka

W działalności kulturalnej pierwszoplanowe zadania spełniała biblioteka. Założona u zarania koła, w 1924 r. dysponowała już 520 książkami, a korzystało z niej 60 stałych czytelników. W 1939 r. miała 1443 tomy i 147 czytelników, z czego ²/₃ stanowili pracownicy fizyczni. Założył ją i prowadził do 1931 r. Gustaw Morcinek. Jego starania były doceniane. Tak np. w protokole z walnego zebrania z dnia 6 marca 1927 czytamy: *Biblioteka dzięki niestrudzonej pracy bibliotekarza p. Morcinka bardzo dobrze prosperuje i prawie sama z 5 gr. opłat się utrzymuje.* Następcą Morcinka był nauczyciel-polonista Paweł Pszczółka, zastępowany okresowo przez Jana Plachego, który był z zawodu księgowym. Po objęciu przez Pawła Pszczółkę funkcji sekretarza w 1937 r. bibliotekę przejął mistrz formierski Karol Broda.

Scena polska

Teatr amatorski traktowano poważnie. Reżyser, podobnie jak bibliotekarz i dyrygent chóru, wchodził automatycznie w skład zarządu. Teatr prowadził działalność od początku istnienia koła, mimo braku odpowiedniej sali i urządzeń scenicznych. W 1926 r. kosztem 1.600 zł zbudowano w sali gimnastycznej szkoły wydziałowej i wyposażono scenę, z której korzystały również inne organizacje i związki. Wystawiano tam co roku do 3 sztuk scenicznych dostosowanych do możliwości wykonawców i potrzeb widzów. Reżyserami byli nauczyciele; wiele sztuk opracował J. Żebrok, w latach 1928—34 głównym reżyserem był Rudolf Kukucz, od 1935 do 1938 r. Leopold Foltyn, w 1939 r. Otton Chlebek. Spośród aktorów największym wzięciem cieszył się Gustaw Morcinek.

Odczyty

Znaczną popularnością cieszyła się akcja odczytowa. O jej powodzeniu decydowały staranny dobór wykładowców i interesująca, aktualna tematyka. Kolejni sekretarze nie notowali nazwisk wykładowców i tematów, mamy więc tylko informację o referatach i odczytach wygłaszanych podczas corocznych walnych zebrań. Referentami byli: Jan Bolek, Ludwik Skrzypek, Jan Żebrok, Jerzy Karch, Franciszek Popiołek, Kazimierz Popiołek, Alojzy Gembala, Ludwik Brożek, Gustaw Morcinek, dr Tomiczek, Józef Kret, Aleksander Kamiński.

W 1938 r. zarząd koła zorganizował Uniwersytet Powszechny. Brak o nim w protokołach bliższych danych.

Chóry i orkiestra

Muzyka i śpiew cieszyły się w Skoczowie zawsze wielkim powodzeniem. Przed założeniem Koła istniał już chór niemiecki oraz chóry kościelne (katolicki i ewangelicki). Chór Macierzy zorganizował Leopold Janicki. Z czasem oprócz chóru mieszanego powstał chór męski. Oba te chóry występowały na organizowanych przez Macierz akademiach i imprezach, urządzały też własne wieczorki. Po odejściu ze Skoczowa L. Janickiego chór zorganizował na nowo w 1932 r. nauczyciel Karol Urbańczyk, który kierował nim do 1938 r. Ostatnim dyrygentem był nauczyciel Dudek. Karolowi Urbańczykowi pomagali w prowadzeniu chóru Paweł Tendera i Jacher.

W 1938 r. działała orkiestra Macierzy pod dyрекcją Gustawa Wentruby — nauczyciela muzyki, który sam występował często jako skrzypek.

Opieka nad młodzieżą

Do pierwszoplanowych zadań Koła należały: *opieka moralna i finansowa nad polską dżiatwą w Skoczowie*, pomoc materialna uczniom szkół średnich oraz pomoc szkolnictwu polskiemu za granicą. Poważny procent dochodów przeznaczało koło na urządzenie tradycyjnej „gwiazdki”, z okazji której zaopatrywano dzieci w książki, przybory szkolne, a uboższych uczniów w buty i ubrania. Co roku organizowano festyny szkolne, które stały się prawdziwymi świętami dzieci. Na program tych imprez składały się występy dzieci, pokazy gimnastyczne, zabawy. Każde dziecko otrzymywało łakocie i wyżywienie. Organizowano też w miarę możliwości w szkole dożywianie. Koło pokrywało koszty wycieczek młodzieży szkolnej do Krakowa, w myśl założenia, że każdy uczeń w czasie swego pobytu w skoczowskiej szkole musi przynajmniej raz zobaczyć najważniejsze zabytki przeszłości i kultury polskiej.

Koło pomagało też skoczowskiej młodzieży uczęszczającej do szkół średnich w Bielsku i w Cieszynie. Pomoc wyrażała się w pokrywaniu kosztów przejazdów, zwrocie opłat szkolnych, w przyznaniu stałego stypendium, zakupie odzieży i obuwia. Pomoc była systematyczna i stała.

Koło opiekowało się polskim przedszkolem w Dąbrowej na Zaozliu przeznaczając na ten cel kwoty od 100 do 400 zł rocznie. Wyplacało też część zysków z imprez Zarządowi Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji z przeznaczeniem na utrzymanie szkół polskich.

Fundusze

Dochody koła pochodziły ze składek członkowskich, (wynosiły początkowo 200 marek, później 2 zł rocznie), z czego połowę odprowadzano do dyspozycji

Zarządu Głównego w Cieszyńcu, oraz z imprez. Największe zyski przynosiły festyny. W 1929 r. czysty zysk z festynu wyniósł 2160 zł, z czego na potrzeby koła przeznaczono 500 zł, resztę zaś na gwiazdkę dla dzieci. Był to zysk rekordowy. W innych latach uzyskiwano mniej, ale większą część dochodu przeznaczano nieodmiennie na organizowanie „gwiazdki”. Tak np. w 1932 r. z ogólnego czystego zysku w wysokości 1.525 zł na gwiazdkę przeznaczono 1.100 zł, 200 zł na cele Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji, a resztę pozostawiono do dyspozycji zarządu koła. Stosunkowo mniejsze były wpływy z zabaw towarzyskich, przedstawień, bali itp. imprez organizowanych często wspólnie z innymi miejscowymi związkami i organizacjami. Budżet koła był więc dość skromny, np. w 1925 r. wynosił 1.689 zł, w 1930 — 4.319, w 1936 — 1.885.

Do końca swej działalności koło nie dysponowało własnym lokalem i korzystało z pomieszczeń wynajętych w domach prywatnych, pomieszczeń szkoły i świetlic innych organizacji. Zakup nawet najbardziej potrzebnego sprzętu stanowił nie lada problem. Budowa własnej sceny trwała kilka lat, a używane pianino udało się zarządowi zakupić dopiero w 1936 r. (za 849,80 zł). Z powodu braku pieniędzy musiano zrezygnować z zakupu diaskopu do wyświetlania przeźroczy.

W 1928 r. Macierz dysponowała majątkiem wartości 6.392 zł, na który składały się: 1 maszyna do pisania, 2 szafy, 1 stół, 1 obraz, wyposażenie sceny, 80 krzeseł, 50 kufli do piwa, 20 szklanek do herbaty, 16—20 kieliszków. W r. 1936 majątek koła szacowano na 7.415 zł, a w r. 1938 na 8.002 zł.

Zarządy i członkowie

W protokole z walnego zebrania odbytego w dniu 28 lutego 1932 r. ówczesny sekretarz koła Jerzy Karch pisał: *Macierz Szkolna przez swoją żmudną i systematyczną pracę, bez pogoni za oklaskami zjednywa sobie sympatię ludzi różnych zapatrywań i ugrupowań społecznych. Na specjalne podkreślenie zasługuje harmonia, w jakiej pracują wszyscy członkowie Zarządu i w ogóle członkowie Macierzy, co głównie przypisać należy zaletom duchowym i taktowi p. dyr. Żebroka jako prezesa Koła.*

Zasługi założyciela i długoletniego prezesa koła są rzeczywiście bezsporne, ale dotyczy to także jego współpracowników, aktywistów koła, członków Zarządu. Prezesami byli: Jan Żebro (dyrektor szkoły), Gustaw Morcinek (nauczyciel), i Jerzy Karch (nauczyciel), a zastępcami prezesów: Józef Pieter (mistrz ciesielski), Andrzej Macura (dyrektor Komunalnej Kasy Oszczędności), Kazimierz Cholewka (naczelnik Sądu Grodzkiego), Olszakowa (żona burmistrza miasta), Paweł Pszczółka (nauczyciel). Funkcje sekretarza pełnili: Paweł Nowak (kier. spółdzielni), Farnik, Antoni Janicki (mistrz garbarski), Gazurek, Jerzy Karch (nauczyciel), Paweł Wdówka (nauczyciel), Paweł Pszczółka (nauczyciel), Alfons Kozłowski (nauczyciel), zaś funkcje skarbników: Antoni Janicki (mistrz garbarski), Aleksander Krpetz (nauczyciel), Władysław Jamroz, Karol Santarius (urzędnik bankowy), Godzież (urzędnik budowy), Hauser (mistrz ślusarski), Domański i Pastyka. Wszelkie funkcje pełniono honorowo, w ramach pracy społecznej, często przez długie lata. Powodem rezygnacji były najczęściej: zmiana miejsca zamieszkania, choroba, śmierć. Pracę w Macierzy uważano za zaszczyt. Większość członków koła nie ograniczała się do pełnienia wyłącznie funkcji z wyboru. Tak np. prezes J. Żebro występował na scenie, był reżyserem, śpiewał w chórze, przygotowywał i wygłaszał referaty, wykonywał tysiące prac wynikających z aktualnych potrzeb koła. G. Morcinek oprócz absorbującej pracy w bibliotece był aktorem, organizował loterie fantowe na festynach, wykonywał i rozwieszał afisze i plakaty, organizował wycieczki, opracowywał

przemówienia itp. W tym stylu pracowali wszyscy działacze, którzy poświęcali dla Koła swój wolny, przeznaczony na odpoczynek czas.

Doniosłą rolę spełniały w Zarządzie kobiety. Ich domeną były imprezy; organizowały „gwiazdki”, dożywianie dzieci, bufety na festynach i balach. Przygotowanie 800 paczek dla dzieci na „gwiazdkę”, z uwzględnieniem faktycznych potrzeb dziecka, czy przygotowanie 800 porcji własnego wypieku kołaczy, tyleż filizanek kakao, porcji parówek i herbaty dla dzieci na festynie szkolnym nie było rzeczą łatwą.

Różne, często zaskakujące formy przybierała ofiarność członków Koła. Nauczyciel Karol Praus przeznaczał na cele koła cały dochód z wystaw obrazów (w 1925 r. — 100 zł, w 1926 r. — 130). Janasek — ślusarz i bibliofil — wspomagał bibliotekę koła swoimi książkami, np. w 1929 r. ofiarował ich 200. W 1934 r. długoletnia członkini Zarządu Maria Chomowa przeznaczyła w testamencie na cele Koła 200 zł i dwie portiery.

Kres działalności koła Macierzy położyła inwazja Niemiec na Polskę. W dniu 2 września 1939 r. hitlerowcy opanowali miasto. Jedną z pierwszych ofiar terroru stał się G. Morcinek, aresztowany przez gestapo 6 października. Wielu macierzowców zginęło, a nieliczni, którym udało się przeżyć, nie byli już w stanie, w zmienionych warunkach społeczno-politycznych, reaktywować związku. Nowe koło powstało dopiero w 1970 r., po reorganizacji Macierzy, jako miejscowy Oddział Macierzy Ziemi Cieszyńskiej Towarzystwa Miłośników Regionu.

Tysiąc reńskich

W 1901 r. przeprowadzono korektę granicy między Cieszynem a Pastwiskami, w wyniku czego niektóre nieruchomości pastwiszczan znalazły się w Cieszynie, zaś nieruchomości niektórych cieszyńian przyłączono do Pastwisk. Cieszyn musiał wypłacić gminie Pastwiska odszkodowanie za drogi, które wyniosło 1 tys. reńskich i za cmentarz komunalny. Ponieważ Pastwiska nie zastrzegły sobie wspólnego użytkowania cmentarza, musiały zbudować nowy, z którego zaczęto korzystać w tymże 1901 r.

W 1909 r. założono w gminie Kasę Raiffeisena, w 1912 r. straż pożarną w Boguszowicach, a w 1924 r. Ochotniczą Straż Pożarną w Pastwiskach. W dwa lata później powstało koło Macierzy Szkolnej, a w 1928 r. Kółko Rolnicze. (c)

„Kujawia” w Cieszynie

Cieszyn był w okresie międzywojennym jedynym śląskim miastem, które posiadało wyższą uczelnię. Była nią Państwowa Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego, działająca od 1922 r. W 1950 r. została przeniesiona do Olsztyna, gdzie wraz z Wyższą Szkołą Gospodarstwa Wiejskiego z Łodzi stworzyła bazę do utworzenia Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. W Cieszynie PWSGW miała siedzibę w budynkach na ul. Kraszewskiego, w których znajduje się obecnie Zespół Szkół Rolniczo-Technicznych. W latach 1922—1939 istniało w uczelni kilka apolitycznych organizacji studenckich, a mianowicie: Stowarzyszenie Bratniej Pomocy, Polska Akademicka Młodzież Ludowa, Zjednoczone Koło Cieszyńiaków, Akademicki Związek Sportowy oraz Korporacja „Kujawia”.

Ta ostatnia była organizacją elitarną, zrzeszającą młodzież męską, głównie młodych ziemian. Zasadniczym celem, jakie stawiało sobie zrzeszenie, było *dokształcanie się dla osiągnięcia wysokiego poziomu wiedzy rolniczej, podnoszenia ducha w tradycji mickiewiczowskich filomatów*. Wzory te zaczerpnięte zostały ze stowarzyszeń mieszczących się na krańcach wschodniej Rzeczypospolitej — z „Konwentu Polonia” w Doparcie oraz z „Arkonii” i „Welecji” w Rydze. Innymi celami, jakie przyświecały członkom korporacji, były: wychowanie patriotyczne, poczucie odpowiedzialności za losy kraju i uczelni, honor kolegów i własny, organizowanie życia towarzyskiego, przygotowywanie do życia społecznego, wpajanie zasad kultury życia codziennego oraz wychowanie fizyczne przez sport i turystykę. Do tradycji należało m.in. noszenie na zebraniach czapeczek (tzw. *dekli*) i rapierów zawieszonych na ramionach przy pomocy barwnych szarf, według dawnych

zasad rycerskich, oraz gotowość do obrony honoru z bronią w rękę.

Początki Korporacji „Kujawia” sięgają 1892 r., kiedy to na Wydziale Agronomicznym Uniwersytetu w Lipsku polscy studenci założyli stowarzyszenie (*corporatio*), czyli korporację studencką pn. „Unitas”. Od 1896 r. ze względów politycznych „Unitas” działała jako organizacja tajna. Trudne, konspiracyjne warunki spowodowały, że organizacja przekształciła się w legalne Kółko Rolnicze „Ceres” (Ceres — w mitol. rzymskiej bogini plonów). Prezesem kółka został student Mochacki. Jednym z członków „Ceresu” był Andrzej Piekarski, prekursor „Kujawii”, profesor WSGW w Cieszynie. On to przewiózł w 1917 r. archiwum „Unitasu” i „Ceresu” z Lipska do Poznania, gdzie w 1919 r. na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego zostało zorganizowane Koło Rolników „Kujawia”. Wzięło nazwę od żyznej i bogatej ziemi kujawskiej.

W tym samym roku z inicjatywy A. Piekarskiego rozpoczęła działalność Akademia Rolnicza w Poznaniu. Jeszcze w 1919 r. została przeniesiona do Bydgoszczy, a w 1922 r. jako już Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego, do Cieszyna. Tu kontynuowała też działalność „Kujawia”, która 25 kwietnia 1923 r. przekształciła się w Korporację „Kujawia” (K! K!). Swą odbudowę stowarzyszenie zawdzięczało 10 osobom. Byli to: J.E. Baywer, S. Mierzejewski, J. Byszewski, S. Hulanicki, W. Paszczyński, K. Rytzel, Z. Reinhard, E. Różycki, Z. Starorypiński i R. Zebrowski. W tym samym roku cieszyńskie stowarzyszenie zostało członkiem nadzwyczajnym Związku Polskich Korporacji Akademickich, a na Zjeździe ZPKA we Lwowie w 1928 r. zostało przyjęte na członka zwyczajnego.

W rok później, 8 lutego, w kościele parafialnym w Cieszynie został poś-

więcony sztandar Korporacji. Rodzicami chrzestnymi byli hr. de Thun i Tadeusz Kossak, brat Wojciecha, autora *Panoramy Racławickiej* (obydwaj byli synami wybitnego akwarelisty Juliusza Kossaka). Poświęcenie sztandaru miało miejsce podczas IV Wielkiego Komerszu, jednego z wielu organizowanych przez cieszyńskie stowarzyszenie korporacyjne. Były na nie zapraszane korporacje z innych uczelni, z którymi łączyły cieszyńską organizację więzy towarzysko-koleżeńskie np. korporacja „Arkonia” z Warszawy. W balach i komersach brała też udział młodzież z okolicznych domów ziemiańskich, np. pani Zofia Kossak, znana pisarka.

Przybyła do WSGW z całej Polski młodzież razilo, że miejscowa ludność posługuje się czasami językiem niemieckim, że dwujęzyczne były napisy informacyjne i nazwy ulic. Korporacja „Kujawia” i Stowarzyszenie Bratniej Pomocy zaczęły wywierać na miejscowe władze presję, by zmienić tę sytuację. Apele studentów nie dały jednak pozytywnych rezultatów. W 1928 r. niemieckie bojówki pobiły w Opolu polskich artystów przybyłych na gościnne występy do rodaków za kordonem. Incydent ten spowodował, że cieszyńscy studenci przystąpili do likwidacji niemieckich napisów, w rezultacie czego miasto szybko przybrało polski wygląd. W uznaniu tych zasług Związek Polskich Korporacji Akademickich nadał w styczniu 1930 r. Korporacji „Kujawia” dyplom honorowy za ugruntowanie polskości Śląska Cieszyńskiego. Natomiast prof. dr. A. Piekarski — *filister honoris causa K!L!* — otrzymał Złotą Odznakę ZPKA za zasługi dla rozwoju ruchu korporacyjnego.

Korporacja „Kujawia” posiadała statut, zredagowany w 1924 r. przez Jerzego Edgara Bayera. Statut zawierał m.in. schemat organizacyjny K!K!. Najwyższą władzą korporacji były konwenty. Konwent juniorów (*comilitonów*) był dla *junioratu* instancją ustawodawczą, wyborczą, administracyjną, kontrolującą, apelacyjną i sądowniczą. Konwent seniorów grupował *filistrów*. Najwyższą

instancją dla senioratu i junioratu był konwent komerszowy, który składał się z filistrów i *comilitonów*. Stopień filistra otrzymywało się po ukończeniu studiów. Był to tytuł dożywotni, którego pozbawić mógł tylko konwent „Kujawia”, za popełnienie czynu hańbiącego. Natomiast tytuł filistra honorowego (*honoris causa*) był najczęściej przyznawany profesorom uczelni. Wraz z tytułem *honoris causa* otrzymywało się prawa, które przysługiwały innym filistrom.

W rozdziale trzecim statutu korporacji zostały wymienione znaki, barwy i hasła kujawiaków. Dewizą było: *Potęga w braterstwie, honor na ostrzu miecza*, hasłem *Vivat, crescat, floreat K! Kujawia* (Niech żyje, niech się rozwija i kwitnie K! Kujawia), zaś zasadą: *Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego*. Kujawia posiadała swój herb, sztandar, cyrkiel — monogram hasła oraz pieczęcie i hymn.

W dniu konwentu i zebrań, w święta narodowe i korporacyjne oraz 1, 10 i 20 każdego miesiąca wszyscy korporanci mieli obowiązek „bycia przy barwach”, co oznaczało noszenie dekla, bandy i cyrkla (dekiel — granatowa czapeczka z lakierowanym daszkiem, banda — szafirowo-srebrzono-czerwona, zakładana z prawego ramienia na lewy, co oznaczało, że korporanci dawali satysfakcję na białą broń, cyrkiel — monogram hasła). „Bycie przy barwach” zobowiązywało do nienagannego zachowania.

Korporacja „Kujawia” istniała do września 1939 r. Po wojnie jej działalność nie została wznowiona ze względu na to, że była organizacją „paniczyków”, a więc nie mieściła się w modelu nowego państwa. Mimo to filistrzy kontaktują się do dzisiaj organizując spotkania i podejmując się wspólnie różnych zadań. Dowodem tego jest m.in. tablica wmurowana w Kościele św. Anny w Warszawie (Krakowskie Przedmieście), ufundowana przez filistrów. Na tablicy widnieje pod herbem Korporacji „Kujawia” napis: *Korporantom Cieszyńskiej Akademickiej Korporacji Kujawia, którzy życie oddali Bogu i Ojczyźnie — koledzy filistrzy*.

Impreza sprzed 60 lat

Śląsk Cieszyński to najbardziej rozśpiewany region Polski. Jako datę rozpoczęcia polskiego śpiewactwa chóralnego na tym terenie — poza zbiorowym jednogłosnym śpiewem w kościołach, na weselach, pogrzebach, przy pracy — należy przyjąć rok 1848. W tym roku powstała Czytelnia Polska jako towarzystwo cieszyńskie dla wydoskonalenia się w języku polskim, która poza normalną pracą urzędzała co tydzień zabawy składające się z deklamacji, czytania ciekawszych utworów z dzieł polskich i śpiewu chóralnego. Od tego czasu prawie wszystkie organizacje młodzieżowe mające w swym programie szerzenie kultury i oświaty organizowały zespoły śpiewacze. Ważną rolę w szerzeniu kultury śpiewaczej odegrały chóry: Macierzy Szkolnej, Nauczycielski, Towarzystwa „Sokół”, „Jedności”, organizacji młodzieży ewangelickiej, katolickiej, Stowarzyszenia „Siła” i wiele innych. Najpoważniejszymi trudnościami w powstawaniu i działalności chórów były braki wyszkolonych dyrygentów, ale wszędzie tam, gdzie udało się ich pozyskać, tworzyły się zespoły śpiewacze, które z biegiem lat rozrastały się i osiągały coraz wyższy poziom artystyczny.

Śpiewałem od dziecka, najpierw w domu z kancjonału — gdy się nie szło w niedzielę do kościoła — przy pasaniu krów, w szkole, nieraz z nauczycielem Matulą na porzebach w Ustroniu. W prawdziwym chórze rozpocząłem śpiewać w r. 1930 w kole „Siły” Ustroń-Goje, a ze względu na dolegliwości gardłowe zakończyłem je w r. 1957 w chórze spółdzielczym w Ustroniu.

Gdy brzemię lat zaczyna przygniatać, człowiek coraz częściej zagląda w labirynt wspomnień. Dziś zatrzymam się na jednym — pozostałym mocno w pamięci — występie. Był rok

1932. Wypadły w nim: 60-letnia rocznica urodzin i 40-lecie społecznej działalności narodowego, politycznego i robotniczego na Śląsku Cieszyńskim Tadeusza Regera. Dla uczczenia tej rocznicy został powołany przez wszystkie organizacje robotnicze o podłożu klasowym tj. Polską Partię Socjalistyczną, Związki Zawodowe, Stowarzyszenie „Siła” i spółdzielnie spożywców specjalny „Komitet Jubileuszowy”, który postanowił zorganizować z tej okazji uroczystą akademię w cieszyńskim teatrze, a wykonanie części artystycznej powierzono Stowarzyszeniu „Siła” z obydwu stron Olzy. Dla „Siły” ze strony polskiej ustalono występ silnego i dobrego zespołu śpiewaczego. Ponieważ najlepsze chóry znajdowały się wówczas w kołach powiatu cieszyńskiego, postanowiono że sąsiadujące ze sobą zespoły utworzą tzw. chór wspólny. Pomysł polegał na tym, że członkowie uczyli się tych samych pieśni w poszczególnych kołach, a przed występem zbierali się na próby wspólne. Do utworzonego chóru wspólnego weszli członkowie z kół: Ustronia, Golezowa, Cieszyńska-Bobruku, Cisownicy i Ustronia-Gojów. Był to chór męski. Rozpoczęły się regularne próby w Ustroniu (pod dyrygenturą Leona Zahraja), w Ustroniu-Gojach i Cisownicy (Jerzego Herdy), w Golezowie (Badury), w Cieszyńsku-Bobruku (Karola Sabeli). Wspomniane koła dysponowały dobrym materiałem głosowym. Duma, że będziemy występować w teatrze, ciekawość oglądnięcia nieznanego a podobno pięknego jego wnętrza oraz zadowolenie, że możemy się przyczynić do upiększenia uroczystości działacza będącego dla nas rzeczywistym autorytetem spowodowały, że frekwencja na próbach była znakomita. Lekceważenie prób groziło skreśleniem z zespołu. Próby wspólne odbywały się

w wynajętym lokalu „Siły” w Goleszowie. Były to lata przesilenia gospodarczego, większość członków stanowili bezrobotni, a przemierzanie piechotą kilku kilometrów na próby wspólne, nieraz z wesołymi przygodami, były dla nas młodych przyjemnością.

Nadszedł ustalony dzień uroczystości, 29 czerwiec 1932. Nasz zespół, liczący około 120 osób, zrobił w umundurowaniu związkowym jeszcze przed imprezą próbę generalną na scenie teatru. Godzina 17, sala wypełniona do ostatniego miejsca od parteru aż do tzw. „jaskółki”. Masowo przyjechała „Siła” oraz delegacje organizacji robotniczych z Czechosłowacji oraz działacze tych organizacji z polskiej części Śląska Cieszyńskiego od Wisły po Bielsko i Czechowice wreszcie przedstawiciele organów centralnych w Warszawie. Piękne wnętrze teatru, które oglądaliśmy po raz pierwszy, wywarło na nas duże wrażenie.

Reger zajął wraz z żoną miejsce w łozy po prawej stronie, a w parę minut po godz. 17 otwarła się kurtyna. Blisko trzygodzinny program rozpoczęło występowanie orkiestry „Siły” z Trzyńcą utworem marszem z opery *Prorok* Meyerbera. Orkiestra trzyniecka pod dyrygenturą Edwarda Schoupala — występująca w teatrze w składzie 26 osób — uzyskała pierwszą nagrodę w konkursie orkiestr Śląska i Moraw w Berlinie. Uroczystość zagał i powitał zebranych poseł do Sejmu Śląskiego Józef Machej. Po ponownym występie orkiestry z uwerturą z opery Kollera *Święcenia kościelne* wygłosił przemówienie okolicznościowe, w którym przedstawił wszechstronną działalność i niełatwe życie jubilata byłych poseł ze Śląska Cieszyńskiego do Sejmu Austriackiego z ramienia PPSD i najbliższy współpracownik Regera w okresie zaboru, dr Ryszard Kunicki z Warszawy, w imieniu Zaolzian polski poseł do Zgromadzenia Narodowego w Czechosłowacji Emanuel Chobot, wreszcie w imieniu organizacji robotniczych w Bielsku Jan Lukas. W dalszej części programu odegrano *Menuet*

Ignacego Paderewskiego, Franciszek Piszczalla z Bielska wygłosił deklarację okolicznościową w języku niemieckim zaś chór męski koła „Siły” Karwina I wystąpił z pieśniami robotniczymi. Po kolejnym wystąpieniu orkiestry z uwerturą z opery Mozarta *Wesele Figara* pokazał się na scenie nasz chór. Z nieodłączną w takiej chwili treścią, która nie była niczym innym jak poczuciem odpowiedzialności za to, co wystawiamy, ustawiliśmy się według głosów a podnoszona powoli kurtyna pokazała nam całą widownię. Zespół pod batutą Karola Sabeli odśpiewał trudne, ale piękne pieśni: M.O. Żukrowskiego *Polonez Jubileuszowy* oraz *Jubilate* Ludwika van Beethovena.

Śpiewaliśmy z niebywałą werwą i zaangażowaniem, staraliśmy się uwydatnić wszystkie cieniowania głosów. Było to 60 lat temu, a jeszcze dziś brzmiały mi w uszach słowa, melodie i te najlepsze tenory, którymi dysponował Goleśzów, a szczególnie odpowiednio silne ustronkie basy, które najbardziej przyczyniły się do tego by każda sylaba *Jubilate* imitowała uderzenie dzwonu. Występ chóru wywołał nie tylko na przepełnionej sali, ale także na zespole, nie przyzwyczajonym do owacji, imponujące wrażenie. W następnym punkcie programu orkiestra wystąpiła z utworem Lesletzbergera *Wiązanka pieśni polskich*.

Po przewie potrzebnej do uzupełnienia prawie że pustej ciemnej sceny koło „Siły” z Orłowej Zaolzie wystawiło obszerne fragmenty *Wyzwolenia* Stanisława Wyspiańskiego, w których występowało 46 amatorów. Dekorację sceny i kostiumerię wypożyczoną w większości z teatrów zawodowych przygotował Gustaw Sikora z reżyserem Władysławem Horaczkiem. Chociaż autor dał sztuce tytuł *Wyzwolenie*, pełno w niej ironii, pustki moralnej, wszystko jakieś opętane, napozór wyzwolenia nie wróżyło. A jednak, kto znał trochę historię Polski porozbiorowej, czasy współczesne autorowi, ten odczuł w spektaklu źródła bezmierne-

go dążenia do wolności. Tyle lat ubiegło od tej uroczystości, a dziś jeszcze widzę i słyszę słowa ruchliwej Eryinii, a przede wszystkim Konrada. Przygniatająca większość audytorium oglądała na scenie utwór Wyspiańskiego pierwszy raz. Dla niektórych spektakl mógł być za trudny do pełnego zrozumienia treści, ale na wszystkich wywarł duże wrażenie. Koło orłowskie posiadało najlepszy zespół artystyczny spośród wszystkich kół „Siły” Zaolzia.

Po przedstawieniu zaprezentowano poloneza *A-dur* Szopena, a chór mieszany „Siły” z Zaolzia zaśpiewał *Hymn robotniczy* Czerwińskiego. Uroczystość zamknęła orkiestra marszem Blankenbergera *Pożegnanie gladiatorów*. Zapelniona sala entuzjastycznie reagowała na każdy punkt programu.

Zauważyłem, że nie za bardzo skłonny do okazywania uczuć Reger ze wzruszeniem przyjmował hołd składany przez wychowanków jego 40-letniej, pełnej poświęcenia działalności na Śląsku Cieszyńskim. Natomiast dla zespołów impreza była zachętą do dalszej pracy. U podpisanego pozostała w pamięci na całe życie.

Z okazji jubileuszu OKR PPS Śląska Cieszyńskiego wydał broszurę *Tadeusz Reger Jednodniówka jubileuszowa*, w której zamieszczono życiorys Jubilata, wspomnieniami dzielili się: Ignacy Daszyński, Emanuel Chobot, dr Ryszard Kunicki, Piotr Kornuta, Józef Machej, dr Henryk Kłuszyński, Alojzy Bonczek, Wiktor Sembol, Józef Biłko i autor tego artykułu.

Z przysłów ludowych

Czym bardzy dokuczy,
tym rychli oduczy.

Czym bliży ku starości,
tym bardzy trzeba ogibać kości.

Czyja zguba, tego zysk,
gdo nie oddo, tego w pysk.

Czy kulawy, czy garbaty,
byle jyny był bogaty.

Człowiek sądzi,
Pómbóg rządzi.

Smętne stulecie

Przy północnym krańcu Cieszyna, tam gdzie kończy się ulica Przepilińskiego, dożyła stu lat stara gospoda „Na Piketach”. Jej rodowód faktycznie sięga lat jeszcze dawniejszych, bo uprzednio stała tam również gospoda starej bobreckiej rodziny Budzińskich, ale zużytą już budowlę kupił Adam Wybraniec, gruntownie przebudował w 1891 r. i sam zaczął prowadzić życie gospodzkiego, zdobywając z czasem szeroką popularność; razem z nim zdobywała ją także jego gospoda.

Skąd jednak wzięła swoją nazwę? Mieszkająca w Cieszynie córka Wybrańca, Matylda, powtarza historię zasłyszaną od ojca. Oto żołnierz austriacki, po burzliwej kłótni ze swoją dziewczyną, zakłął ją w pobliżu gospody piką, czyli lancą, od tego wydarzenia nadano miano gospodzie. Choć taki wypadek mógł się rzeczywiście zdarzyć, a opowieść o nim krążyć wśród okolicznych mieszkańców, to jednak ta ludowa etymologia wydaje się mieć nader kruchą podstawę, bo od piki do gospody językowa droga jest bardzo daleka, a poza tym czy w XIX wieku żołnierze mieli jeszcze piki? Mógłby to być co najwyżej bagnet. O wiele bardziej rzeczowe zdaje się być drugie wytłumaczenie. Otóż w tamtym czasie na obrzeżu miasta, właśnie między gospodą a tzw. Bożą Męką, znajdowały się masywne, niskie budowle mające nawpół charakter bunkrów. Były to wojskowe magazyny prochu i amunicji cieszyńskiego garnizonu. Resztki jednego z tych zabudowań stoją tam jeszcze do dziś. Rzecz jasna, te prochownie były pilnie strzeżone dniem i nocą przez wojskowe stráže, a ponieważ takie niewielkie wysunięte patrole nazywano pikietami, czujkami, cały pobliski teren zaczęto nazywać Pikietami; dziś żołnierskich pikiet już nie ma, ale nazwa zadomowiła się na stałe.

Gospoda „Na Pikietach”, a raczej „Na Piketach”, bo upowszechniła się tak zasymilowana forma, nie była zwykłą *putyką*, gdzie w dymie, alkoholowym zaduchu i nieustannym gwarze podchmielony tłum zerka spode łba na każdego, kto odbija od swojskiego otoczenia. Nie była też areną, na której podochoceni parobczacy lub przychodnie, nałogowi rozrabiacze łukli się po pyskach. Co prawda czasem w czasie zabawy doszło do jakiejś *szarpaczki*, ale były to przypadki rzadkie, rychło i stanowczo tłumione przez gospodzkich. W Cieszynie i okolicznych wsiach sporo było gospód rozsławionych bójkami; jeśli ogłaszały zabawy nieomal z góry było wiadomo, że dojdzie tam do bijatyki, a nawet kogo z kim, ale gospoda „Na Piketach” do tej grupy nie należała. Nie sprzyjała temu ani jej tradycja, ani postawa gospodarzy, ani wreszcie charakter miejscowej ludności stanowiącej przecież większość wśród gości.

Prócz tego miała i inne walory. Przede wszystkim była pięknie położona, nie zasłonięta domami, na równej, otwartej przestrzeni, w otoczeniu miedz oraz pól uprawnych; do zabudowań z jednej strony przylegał owocowy sad, pod którego drzewami stały długie deskowe stoły i ławy. W letnie pogodne dnie, zwłaszcza zaś w sobotnie i niedzielne popołudnia rozsiadali się na nich goście — stateczni okoliczni gospodarze, rzemieślnicy, trochę dorosłej młodzieży, a często także sporo mieszkańców Cieszyna, którzy przy pogodzie wybrali się na dłuższy spacer poza miasto. Stary Wybraniec, „Jadam”, z nieodłączną długą fajką, a w późniejszych latach nowy gospodzki Alojzy Kocman krążył wśród nich roznosząc piwo, lemoniadę dla kobiet i dzieci, kanapki, tu i tam podał parę kieliszków z czymś mocniejszym, zamienił to tu, to tam parę zdań, witał życzliwie nowych nadchodzących gości i tak współtworzył tę osobliwą, pełną

pogody atmosferę gospody „Na Piketach”. Nic też dziwnego, że skupiało się tam w znacznym stopniu życie towarzysko-kulturalne okolicy — wesela, dożynki, odpusty, amatorskie przedstawienia teatralne wszystko to mniej lub więcej łączyło się z Piketami.

Trzeba tu zauważyć, że wpływało to w znacznej mierze ze specyfiki ówczesnych czasów. Nie było w Cieszynie stałego teatru, a na jego sporadyczne przedstawienia chodziły w przeważającej części sfery mieszczańsko-inteligencje, kina pojawiły się dopiero w ostatnich przedwojennych latach, podobnie i aparaty radiowe, nie było domów kultury, telewizji, dyskotek, nie istniały dość liczne dzisiaj świetlice zakładów pracy, spółdzielni, ogródków działkowych itp., zaś dom a także samo miasto nie dostarczały takich możliwości rozrywek jak dziś, a przy tym wszystkim — choć zabrzmi to paradoksalnie na tle dzisiejszego głodu mieszkaniowego — ludzie mieli o wiele mniejsze mieszkania niż mają dzisiaj. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji gospoda ze swą salą taneczną rozwiązywała wiele problemów, spełniając w licznych przypadkach pożyteczne funkcje społeczne, kulturalne i towarzyskie. Oczywiście, wiele zależało od tego, jaka to była gospoda, jednakże okrzyknięcie wszystkich gospod ośrodkami wyłącznie pijatyk i bijatyk to absurd.

* * *

Gospodę „Na Piketach” już przed pierwszą wojną światową myśliwi wybrali na swą *Sammelstelle* — punkt zborny, od którego zaczynano i kończono łowy. No, z tym zaczynaniem to było nader skromnie, po prostu czekając, aż się bractwo zbierze, ten czy ów gołnał sobie jedną głębszą i z większą werwą wyruszał potem do akcji. Znacznie głośniejsze było po zakończeniu. Od opowiadań o sukcesach aż wrzało, Jadam żywo nalewał, z niejednej głowy lekko się zakurzyło, natomiast łup nie zawsze odpowiadał opowiadaniom. Poza tym działy się czasem rzeczy dziwne. Zające i inne trofea leżały zwykle przed gospodą na trawie, a jeden z myśliwych ich pilnował. Widocznie jednak i on nie zawsze potrafił się oprzeć urzekającemu zapachowi przeciekającemu z szynku, bo bywało, że czasem jakiś zając uciekł. Długo opowiadano zwłaszcza o tym, jak to stary Gawron (choć wtedy nie był jeszcze taki stary) założył się z kimś spoza myśliwych, że jednego z tych martwych zające upoluje.

— Ho ho, to ci się nie udo — twierdził oponent i pokazał głową na strażnika — dyć tyś nie ci stela nie ruszy!

— Uwidzimy!

Nie wiemy dziś, jak się to właściwie stało, ale kiedy przed rozejściem się zaczęto zające liczyć, jednego brakowało. Myśliwi zerkali podejrzliwie na Gawrona, ten jednak stał koło płotu z miną równie niewinną, co zdziwioną i wyrażał wątpliwość, czy uprzednio dobrze zające policzono.

Tradycyjne *góny*, a więc i pikeckie spotkania, pełne wesołości, gwaru i dowcipów utrzymywały się aż do czasu, kiedy decyzję, kto może być myśliwym, a kto nie może, przejął urząd bezpieczeństwa. Wtedy to nieomal całą „kadre” myśliwych zaczęli tworzyć ubowcy, sekretarze partyjni oraz ci dyrektorzy różnych zakładów i instytucji, którzy byli bliżej związani z reżimem. Przykład pod tym względem szedł zresztą z góry.

* * *

Dożynki — to święto dla całej wsi, dla okolicy, oddanie czci pracy i jej owocom, a jednocześnie przejaw ludowej kultury i tradycji. Pikety do tego celu nadawały się szczególnie. Położone, jak już wspomniano, na równej, otwartej



Orszak dożynkowy z 1931 r. przed gospodą na Piketach. W środku siedzą gospodarze dożynek: Przywarowa i Kordula. *Reprod.: Dominik Dubiel.*



Orszak dożynkowy z 1933 (?) r. W środku gospodarze dożynek: Banotowa i Branny. *Reprod.: Dominik Dubiel.*

przestrzeni, blisko głównej drogi do Zamarsk, dawały możliwość łatwego uformowania bądź rozwiązania dożynkowego pochodu. Przed samą gospodą znajdował się obszerny trawiasty plac, idealny dla głównego obrzędu, oddzielony od ogrodu płotem a od pola uprawnego długą barierą z żerdzi. Uczestnicząca w dożynkach banderia konna, rozpoczynająca końcowy galop kilkadziesiąt metrów od gospody, a kończąca go przed placem, do tej właśnie bariery przywiązywała później konie (z wyjątkiem bardziej narowistych), podobnie jak na dzikim zachodzie przed *saloonem*.

Ta banderia była jedną z największych atrakcji. Już na długo przed dożynkami bobrecy młodzieńcy czyścili siodła (czasem pożyczone), pastowali i glancowali popręgi, polerowali metalowe części, żeby wypaść możliwie najbardziej atrakcyjnie, zwłaszcza jeśli wśród dziewcząt była ta wybrana, a nierzadko przecież tak bywało.

Gospodarzem dożynek nie mógł zostać byle kto; wybierano najzaciejszych rolników, których zresztą to wyróżnienie dosyć biło po kieszeni.

Nikt nie prowadził rejestru, nie można więc podać dokładnie wszystkich, którzy „gospodarzyli” na pikeckich dożynkach, jednakże pamięć starszych bobreczan przechowywała niektóre nazwiska, warto je zatem utrwalić, bo niedługo nikt ich już pamiętać nie będzie. Byli więc gospodarzami m.in: Kordula z Przywarową, Mrózek z Liszkową, Widenka z żoną, Boruta z żoną, Branny z żoną, Stańko z Nawratową, Branny z Banotową, Kajzar z Borutową, Szelaż z żoną. Prawie wszyscy to byli stateczni gospodarze, powszechnie szanowani, wysoko notowani w bobreckiej opinii.

Druga wojna światowa przerwała piękny zwyczaj dożynkowy. Usiłowano go co prawda wskrzesić, ale z dość miernym wynikiem. Najlepiej jeszcze wypadły po wojnie dożynki „Na Piketach”, których gospodarzem był znany bobrecki rolnik Paweł Kajzar z żoną. Ludzie, pogrążeni przez pięć lat w wojennej atmosferze napięcia, strachu, restrykcji, wyrzeczeń i braku rozrywek odczuwali nieomal żywiołowo potrzebę uciechy i zabawy, i to stało się chyba siłą napędową tych dożynek. Ludzi zebrało się co niemiara — pełna była sala taneczna, pełny ogród, co młodszy obywatel się nawet bez miejsc siedzących; długą wiązaną ludową pieśń cieszyńską, nie słyszanych od pięciu lat, przygotowaną i odśpiewaną przez chór młodzieży bobreckiej z towarzyszeniem orkiestry dętej Kałużów przyjęto z powszechnym aplauzem i wołano „jeszcze, jeszcze”. Dożynki się udały, ale po pewnym czasie do organizatorów przeciekły wiadomości, że bezpieka weszła, kto je organizował, co to za ludzie, dlaczego właśnie ci itp. I tak zwyczaj dożynkowy w Bobrku wiadł, aż uwiadł, bo nie mogły go zastąpić namiastki będące właściwie festynami instytucji uspołecznionych. Zresztą te same przyczyny doprowadziły do upadku i gospodę „Na Piketach”.

* * *

Jak urządzać wesela bez tańca? I jak urządzać tańce w przeważnie ciasnych domach? Jedynym rozwiązaniem jest, a przynajmniej była w dawniejszych czasach gospoda, nic też dziwnego, że ku Piketom kierowały się nieomal wszystkie okoliczne weseliska: Leopold Budziński z Hyrnikówną, Franciszek Budziński z Walicówną, Matuszek z Kałużanką, Parchański z Chlebkówną, Józef Branny z Budzińską, Gustaw Branny z Budzińską, Toboła z Suchankówną i wielu innych; przecież wszystkich nie sposób tutaj wymienić.

Zabawy weselowe, czyli tzw. *czakaczki* dostępne były również dla postronnych uczestników, na ogół miejscowych, ale nierzadko i z sąsiednich wiosek, tak więc każdego wesela oczekiwała szersza okolica z radością i z nadzieją na dobrą zabawę. I tak też zwykle bywało. Orkiestra, najczęściej Kałużów lub Danelów,

dęła pełną piersią walce, polki, szotyszki, spocły niejedną twarz, toczyły się „kółeczka” dla młodej pary, dla starostów, družbów i dla kogo tam jeszcze, częstowano rozolkami, a najczęściej warzonką, sala taneczna wrzała i huczała, a zapas wrażeń rósł na wiele, wiele lat. Rzecz jasna, zabawy „Na Piketach” odbywały się nie tylko z okazji wesel; równie dobrą przyczyną mógł być odpust w pobliskim kościele, dożynki, *poświęcki* itp., a nawet matura — „Na Piketach” mieli swój komers absolwenci cieszyńskiego (dawniej bobreckiego) Liceum Pedagogicznego z 1945 r.

* * *

W ostatnich dziesięcioleciach wyraźnie osłabł amatorski ruch teatralny. Dawniej większość zabaw wiejskich poprzedzało przedstawienie, czasem amatorsko wystawiały sztuki różne związki religijne, kulturalne, młodzieżowe, szkolne kółka teatralne itp., ale największą aktywnością pod tym względem wyróżniały się koła Macierzy Szkolnej. Bogaty repertuar teatru ludowego służył więc rzeczywiście ludowi. Warto jednak dodać, że ten czy ów zespół wykazywał większe ambicje i sięgał po sztuki stanowiące reperutuar teatrów zawodowych. Najczęściej na afiszach pojawiały się takie tytuły jak *Mąż podupadły* (nieznanego autora), *Pogadanka przy kawie 12 mężatek i 1 wdowy* przełożona z niemieckiego przez T. Sitka, *Pogoń za ptaszkami* Cobela, *Posąg w kominie* J. Górskiego, *Powrót nieboszczyka* J. Hołubowicza, ale bywał również wystawiany J. Chociński — autor wielu niezłych sztuk; popularny był *Anczyc*, a zwłaszcza jego *Błazek opętany* i *Kościuszek pod Racławicami* oraz Kamieński i jego *Skalmierzanki*. Kto to dzisiaj wystawia? Cały bogaty popularny repertuar teatrów ludowych leży odłogiem, nie dochodząc do swego widza i nie mając swych aktorów. A przecież kształtowały te utwory w jakimś stopniu kulturę teatralną widzów. Zresztą, na scenach teatrów ludowych pojawiali się i Bałucki, i Skarbek, i Fredro, Zapolska, a nawet Ibsen.

Bobrek — do 1932 r. osobna gmina, a potem dzielnica Cieszyna — posiadała własne koło Macierzy Szkolnej i ono właśnie przygotowało większość sztuk wystawionych w gospodzie „Na Piketach”. Trudno tutaj zamieścić ich bibliografię, jednak warto wspomnieć, że na tych przedstawieniach sala była zawsze wypełniona po brzegi. Duszą całej działalności był żyjący jeszcze Robert Wiszczor, ówczesnie student szkoły handlowej a później wieloletni urzędnik bankowy w Cieszynie. Z nim jako reżyserem współpracowali szczególnie Alojzy Sznepp, podobnie jak Wiszczor student a potem urzędnik bankowy, oraz szeroko później znany ksiądz Jerzy Marekwica. Zespołowi aktorów niezwykle ofiarnie pomagali państwo Kopaczowie. Było to bezdzietne małżeństwo nauczycielskie, więc nieco zaabsorbowane w domu, rozpisujące role, wykonujące dekoracje i wszelkie inne prace, które się z przedstawieniami łączyły. Młody zespół aktorski, składający się w przeważającej części z gimnazjalistów, obeznany był nieco z historią literatury i ona dostarczała mu pewnych wzorów. Przejęto m.in. zasadę antycznego teatru greckiego, że po sztuce o silnym a przyniatającym ładunku uczuciowym należy dać widzom coś weselszego, by nie odeszli do domu przynębieni. Kiedy więc wystawiano np. sztukę *Skazaniec*, pełną syberyjskich ponurych akcentów, dawano po niej zwykle komedię *Kukusia podlotkiem*. Wiszczor grał w niej rolę męża, zaś żoną była popularna Emma Gawronówna, podobno niezrównana w roli Kukusi. Repertuar pikeckiej sceny był urozmaicony; choć najczęściej pojawiały się tam komedie (zwłaszcza pogodny *Młynarz i kominiarz*), znalazło się miejsce także na *Genowefę* (wystawianą czasem pod tytułem *Żywot świętej Genowefy*) — sztukę nie pozbawioną anachronizmów, ale nasyconą silnym ładunkiem moralno-uczuciowym, a nawet na *Jasełka*. Wspomi-

nając te przedstawienia warto nadmienić, że jeśli bobreckie macierzowe występy dawały dochód, a przeważnie tak było, odprowadzano go do kasy Zarządu Głównego.

* * *

Przez dziesiątki lat gospoda „Na Piketach” pełniła swe wielorakie funkcje i byłaby je pełniła dalej, gdyby nie nadeszła druga wojna światowa. Nie spowodowała ona, co prawda, zamknięcia, ale zupełnie stłumiła tętniące tam poprzednio życie. Po polsku mówiono dyskretnie, a gdy tylko wśród obecnych osób nowy — od 1936 r. — gospodźki Alojzy Kocman dojrzał kogoś obcego, onieswojskim wyglądem, mrugał ukradkiem i wszyscy cichli lub też, kto potrafił, próbował przejść na swą z reguły kiepską niemczyznę pochodzącą jeszcze z czasów austriackich. Kocman był człowiekiem spokojnym, życzliwym dla ludzi, bezkonfliktowym, toteż jego aresztowanie przez gestapo wywołało przygnębiającą konsternację. Długo ludzie nie potrafili się oswoić z myślą, że ten cichy gospodźki z Piket uczestniczył w ruchu oporu. Niestety nie wrócił już do domu; zmarł w niemieckim więzieniu w październiku 1942 r. Żona borykała się z życiem, jak mogła, i chyba przeżyła to wszystko dzięki temu, że znalazła podporę w swej rodzinie, a szczególnie w ojcu Pawle Kłodzie, zasłużonemu gospodarzowi i działaczowi społecznemu w Puńcowie. Ale gospoda „Na Piketach” już nigdy nie wróciła do swej świetności. Zniszczyły ją ostatecznie powojenne upaństwowienia, które chyba nie dały spokoju ani jednej gospodzie.

Tak więc wszystko przeminięło. Wdowa po Kocmanie, Wanda, przez jakiś czas wynajmowała większe pomieszczenia na magazyn fabryki „Olza” lub na skład mebli; później budynek pozostał pusty i tak stoi po dziś dzień — samotny, nie zadbany, nie odnawiany, bo z czego? A szkoda! Gdyby było inaczej, podeszła już wiekiem właścicielka mogłaby żyć lepiej i spokojniej, a stara, zasłużona gospoda „Na Piketach” przeżywałaby bardziej godziwie i radośnie swoje stulecie. Nie daje już — choć nie z własnej winy — ludziom tego, co dawała dawniej, ale starzy bobreczanie, którzy pamiętają czasy jej świetności, wspominają ją dotąd z ciepłym sentymentem.



Zofii Kossak przestrogi dla Polski

Po prawie 12 latach pobytu w Anglii Zofia Kossak powróciła wraz z mężem Zygmuntem Szatkowskim do kraju 21 lutego 1957 r. Pisarka podróżowała wtedy wiele po Polsce, spotykając się z czytelnikami. Podkreślała znaczenie problematyki zachodniej. Artykuł omawia właśnie te kwestie. Obejmuje lata 1957—1959.

MEMENTO

Odczyt ten opracowała Z. Kossak w związku z Tygodniem Ziemi Zachodnich. Doceniała znaczny rozwój budownictwa, przemysłu i oświaty na tych ziemiach. Również społeczeństwo, jej zdaniem, ma świadomość znaczenia, jakie dla przyszłości Polski posiada jej powrót w granice Chrobrowe. W chórze głosów optymistycznych nie powinno jednak braknąć głosów przypominających błędy przeszłości po to, by ich nigdy nie powtórzyć.

Autorka sięga głęboko wstecz, do początków naszej ery, kiedy to Słowianie zajmowali całą środkową Europę. Pisarze starożytni, charakteryzując Słowian pisali, że są oni gościnni, uczciwi, przywiązani do tradycji. Cechują się zamiłowaniem do płasów i śpiewów. Stale przytaczana była jednak skłonność do swarów. Na zachodzie Drzewianie i Obodryci graniczyli bezpośrednio z Sasami i Frankami. Od nich zaczął się wielowiekowy konflikt słowiańsko-germański. Dzielnicy Obodryci, będący równocześnie śmiałymi żeglarzami, wykruszały się w zaciętych walkach, które przeniosły się na prawy brzeg Łaby. Ich miejsce zajęli Wieleci, Ranowie i inne plemiona, zrzeszone w potężny Związek Wielecki — dobrowolną federację, która przez długi czas stanowiła skuteczną zaporę. Plemiona te uporczywie trwały przy pogaństwie odrzucając chrześcijaństwo, które kojarzyły z Germanami. Niemcy uważali, iż z nową wiarą niosą Słowianom niemiecką kulturę, która przenikała coraz dalej na wschód. Związkowi Wieleckiemu nie dali rady Sasi, nie złamali go Brandenburczycy. Rozpadł się w XI w.; rozsadziła go wewnętrzna niezgoda. Zaślepienie polityczne sprawiło, że pojedyncze plemiona zrywały unię, walcząc to z wrogiem, to między sobą, sprzymierzając się dla pognębienia sąsiada z nieprzyjacielem. Pożarcie tych skłóconych drobów przez Germanów było tylko kwestią czasu, krótkiego zresztą.

Zniknęli z widowni wspaniali Słowianie połabscy, zostawiając po sobie cmentarz rodzimie brzmiących nazw. Lecz za murem minionych wieków, za murem obodryckich i wieleckich tarcz zdążyli dojrzeć, okrzepnąć i skupić się w całość siedzący dotychczas bezpiecznie w głębi puszczy Polanie, Wiślanie, Ślężanie, Mazowszanie. To oni przejęli z kolei wartę na nowe tysiąclecie nad brzegami nie Łaby już, lecz Odry.

Bolesław Krzywousty, zwany przez kronikarzy *synem Marsa i wilczycy*, był ostatnim władcą Polski, który uważał ziemie nadodrzańskie za fundament swojego panowania. Gdy go nie stało, rządzący w Szczecinie i Wołogoszczy Piastowie daremnie oczekiwali od Polski pomocy w razie zagrożenia, daremnie zabiegali o ścisły z nią związek. Za Jagiellonów ten brak zainteresowania Pomorzem Zachodnim zamienił się w zupełną obojętność. Ekspansja potężnej Rzeczypospolitej kierowała się wyłącznie na wschód, na wyludnione przez Tatarów ziemie ruskie.

Zdaniem autorki *Krzyżowców*, droga najmniejszego oporu jest przeważnie

drogą mylną. Polska nie zdołała pozyskać dla swej kultury dziedziny naddnieprzańskich. Pozostawione zaś bez obrony Pomorze Zachodnie i Śląsk stały się prowincjami niemieckimi. Polska przeoczyła też problem morskiego wybrzeża. Tylko wierność etniczną ludzi ubogich i prostych oraz poczucie przynależności plemiennej sprawiły, że gdy skorupa germańska znikła, prochy ożyły i ziemia ongiś słowiańska stała się znowu słowiańską.

Z. Kossak uważała, że społeczeństwo winno znać te odległe sprawy, mieć je ciągle przed oczyma, biada bowiem narodowi, gdyby historyczne błędy miały się kiedykolwiek powtórzyć.

POMORZE

Problematyce zachodniej poświęciła też Kossak odczyt o Pomorzu. Uważała ona, że tak jak Flandria i północna Italia Pomorze jest miejscem ścierania się różnych ras i kultur. Pomorze to ziemia słowiańska identyczna rasowo i kulturalnie z ludnością ziem centralnej Polski. Identyczna co do mowy, obyczaju, wiary i tradycji.

Śląsk był niezbędny dla istnienia Polski podobnie jak niezbędne jest dla człowieka ramię. Pomorze stanowiło zawsze dla Polski jej głowę. Polska bez Pomorza stanowiła kadłub z trudem vegetujący, łatwy łup dla zaborcy. Sąsiedzi o tym doskonale wiedzieli. Płynące ze wschodu na zachód Warta i Noteć rozgraniczały rodzonych braci. Szczególnie Noteć, o brzegach podmokłych, bagiennych, trudna była do przebycia. Kontakty plemion zamieszkujących Pomorze odbywały się wzdłuż Wisły i Odry. Autorka *Krzyżowców* przedstawiła szczegółowo zmagania z Niemcami o Pomorze za Mieszka I i jego syna, Chrobrego. Po śmierci tego ostatniego reakcja pogańska, podsycana przez Duńczyków pragnących zatrzymać polski pochód, zmiotła polskie rządy. Bolesław Śmiały, uwikłany w wojny ruskie, nie miał czasu zająć się Pomorzem. Dopiero Krzywousty poświęcił całe życie jego odzyskaniu. Dzieła swego dopiął i stał się sławny na całym zachodzie. Cesarz Lothar ofiarował mu podstępnie w lenno Rugię, by wpłatać go w konflikt z Dunami. Skorzystali oni z rozbitcia Polski po śmierci Krzywoustego i na 40 lat zagarnęli całe Pomorze. W 1225 r. Niemcy wzięli do niewoli Waldemara II, króla duńskiego. Załamała się wskutek tego ekspansja Dunów na Pomorze.

Lecz w skromnym gródku dobrzańskim osiadł już przyszły zaborca i kat tej ziemi — Krzyżacy. Ten wpuszczony do owczarni wilk był nie tylko drapieżny i zachłanny, lecz również przerażająco mądry. Słowiańskiej dobroduszości przeciwstawił umiejętność wschodniej dyplomacji, wielkie wpływy w Stolicy Apostolskiej, brak skrupułów, umiejętność fałszerstw i świadomość wagi pisanych dokumentów. Wielki mistrz w Wenecji planował posuwać się z Dobrzynia wzdłuż Wisły i opanować Gdańsk. Drugi kierunek ekspansji biegł na zachód; miał na celu połączenie się z Marchią Wschodnią. Zdobyte ziemie zostały obwarowane twierdzami. Pomorze na wieki zostało odcięte od Polski. W 1308 r. Krzyżacy zdradziecko stali się panami Gdańska, a w 1336 r. zajęli Pomeranie z Elblągiem i całą Warmią.

Na 150 lat Zakon osiadł mocno na lewym i prawym brzegu dolnej Wisły. Straszliwy Zakon o podwójnym obliczu. Jednym była rycerskość wobec Zachodu, drugim zimne okrucieństwo oraz pycha wobec słowiańskich poddanych. On dał początek znanemu powiedzeniu: *Gdzie Niemiec stopę stawia, tam ziemia sto lat krwawi*. Oni fałszowali dokumenty, krzywoprzysięgali, drwili z wyroków Stolicy Apostolskiej i z kłątwy. Polskie zwycięstwo pod Grunwaldem, na skutek naszego niedołęstwa i niechęci pospolitego ruszenia do dalszej walki, miało znaczenie raczej tylko moralne. Pokój toruński po wojnie trzynastoletniej

przyznał Polsce Pomorze Gdańskie, Ziemię Chełmińską, Michałowską i Warmię. Polska wróciła nad Bałtyk, lecz w ciągu minionych wieków polska szlachta odwykła od morza. Przyszedł straszny rok 1772 — rok pierwszego rozbioru. Pomorze odpadło od Polski do 1920 r. Rozbiory, zdaniem pisarki, były nieuniknioną konsekwencją prywaty, lenistwa i egoizmu klasowego. Upadło wielkie mocarstwo osadzone w sercu Europy, na pomoście łączącym Wschód z Zachodem. Rozpaczliwe zrywy wolnościowe prowadziły do wykrwawiania narodu, ruiny ekonomicznej. Wszystkie nasze siły pochłaniała rozpaczliwa walka o odzyskanie niepodległości. Tymczasem Europa gnała naprzód we wszystkich dziedzinach.

Polska powróciła na Ziemię Odzyskane po II wojnie światowej, gdzie popełniła w pierwszych latach wiele godnych pożałowania błędów. Niemniej dobrze wrosła w świadomość narodu prawda, że Polska bez ujścia Wisły i Odry jest kałużą niezdolnym do życia. Nie ma Polski bez Pomorza.

GRANICA POKOJU

Ten odczyt został opracowany przez pisarkę 15 III 1959 r.

W czasie okupacji wielkorządcą Generalnej Guberni, H. Frank proklamował z komnat wawelskich pragermańskość Krakowa i Wisły. Równocześnie uczeni nazistowscy głosili chóralnie, że Polacy, rasa pozbawiona inteligencji i zmysłu państwowego, mają prawo istnieć tylko jako *knechtenvolk*. W tym samym czasie polscy pisarze tworzyli w podziemiu epopeje i sagi obrazujące wspaniałość państwa Chrobrego, a ścigani zaciekle przez Gestapo historycy polscy gromadzili materiały mające ułatwić w przyszłości Rzeczypospolitej objęcie ziem położonych nad Odrą.

Podróżnicy arabscy, islandzcy skaldowie, sascy kronikarze potwierdzają jednomyślnie tożsamość mowy i obyczaju plemion osiadłych nad Wisłą i Odrą. Piastowskie dynastie rządziły ziemiami nadodrzańskimi od X do połowy XVII w. Gdy opór elementu polskiego osłabł, nieludzko tępiony, pozostała żywa przeszkoda w postaci struktury gospodarczej kraju. Obszar między rzekami Odrą i Wisłą stanowi jedną całość. Porty i miasta wybrzeża potrzebują kontaktu z dorzeczem stanowiącym ich naturalne zaplecze. Dorzecza, by się rozwijać, potrzebują dostępu do portów, swych naturalnych rynków zbytu.

Z chwilą, gdy traktat wersalski przywrócił Polsce niepodległość, wschodnie prowincje niemieckie stały się deficytowe. Darmo rząd Rzeszy nie inwestował, premiował rolnictwo, obniżał podatki. Według oficjalnych statystyk element polski nie istniał już od dawna na Pomorzu. A jednak w prasie niemieckiej pojawiały się alarmujące głosy o polskim niebezpieczeństwie nad Odrą. Skąd to zaniepokojenie?

W 1927 r. prof. M. Wehrmann wygłosił w Stargardzie odczyt: *Zagrożenie polskie Pomorza w przeszłości i teraźniejszości*. Referent nawoływał, aby *Mieć oczy otwarte i nie lekceważyć polskiego niebezpieczeństwa*. W 1928 r. przewodniczący Rady Miejskiej w Szczecinie dr Ahrens przestrzegał: *Nie wolno zamykać oczu na groźbę posuwającej się naprzód Słowiańszczyzny*. Landrat bytowski von Wolff pisał w tym samym czasie o *stałym słowiańskim zagrożeniu*, zaś dr Ramm, badacz stosunków pomorskich, udowodnił w obszernej rozprawie, że za kilkadziesiąt lat zniknie dla Polski zagadnienie korytarza, a powstanie kwestia Odry. Polscy robotnicy sezonowi, bez których rolnictwo wschodniemieckie nie mogło się obejść, poczęli być uważani za *niebezpiecznych agentów polskiego nacjonalizmu*. Określano ich jako *przednią straż polskiej inwazji*.

Skąd brały się te krzyki na trwogę?

Nastąpił odpływ ludności niemieckiej ze wschodu. Rząd nie mógł powstrzymać *Ostflucht*. *Jahrbuch Pommern* z 1929 r. ujawniał na Pomorzu najniższy stan

zaludnienia notowany na obszarach uprawnych w Europie. Dr Ramm pisał, iż w obrębie Niemiec znajduje się już przestrzeń bez narodu, mianowicie rolniczy wschód. Na ten stan rzeczy, zdaniem Z. Kossak, oddziaływała również psychika przybyszów, zaborców nie związanych plemiennie z terenem. Okupantom ziemia parzy stopy. Było to widoczne szczególnie pod koniec II Wojny światowej.

Nastąpił powrót ziem nadodrzańskich do Polski. Urzeczywistniała się *inwazja polska*, zapowiadana przez *landrata* słupskiego Demboisa. Zalała ziemie nadodrzańskie falą nieustępliwą, nie zrażając się trudnościami, falą, która się nie cofnie, która pozostanie. Polska objęła plemienne dziedzictwo w stanie dużego zniszczenia. Po latach dezorientacji i zastoju na Ziemiach Odzyskanych nastąpił znaczny rozwój we wszystkich dziedzinach.



Herb Cieszyzna.

Z działalności księgarni „Ognisko”

Otwarta w dniu 15 lipca 1945 r. Szkoła Spółdzielcza przy ul. Frysztackiej w Cieszynie zorganizowana została pierwotnie w Krasnym Stawie koło Chełma. Była to jedna z pierwszych po wojnie średnich szkół w Polsce, która powstała już w 1944 r. Stamtąd została przeniesiona do Cieszyna wraz z liczną grupą nauczycieli i młodzieży z powiatu chełmskiego i Lubelszczyzny.

W dniu 24 października 1945 r. rozpoczęła działalność w Państwowym Liceum Spółdzielczym Spółdzielnia Uczniowska „Jutrzenka”, która posiadała do dyspozycji pomieszczenie na sklep, świetlicę i biuro. Grono profesorskie szkoły było mocno przepełnione ideałami ruchu spółdzielczego, o czym świadczy obecność w 1947 r, wicemarszałka Sejmu Stanisława Szwalbego, dyrektora departamentu Ministerstwa Oświaty Kwiatkowskiego oraz przedstawicieli Centralnego Związku Rewizyjnego z Warszawy i Katowic.

Należy przyjąć, że między rokiem 1945 a 1947 powstała z inicjatywy nauczycieli i profesorów zrzeszonych w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Cieszynie Księgarnia Spółdzielcza „Ognisko”. Pierwszym jej prezesem został nauczyciel Jan Cinciała, a członkami zarządu Bucewicz i Lipowczan, przewodniczącym Rady Nadzorczej był prof. Wacław Chełstowski, zaś członkami Rady nauczyciele Kuchejda, Foltyn i Potysz. Do Zarządu powołano Józefa Fojkiesia, b. oficera WP internowanego w czasie wojny na Węgrzech, a na księgowego Alojzego Kłosa. Magazynierem został Stanisław Wróbel, z zawodu krawiec, a później Edward Branny.

Początkowo Spółdzielnia Księgarska „Ognisko” zajmowała się handlem półhurtowym, zaopatrywała bowiem sklepiki szkolne miasta i byłego powiatu. Mieściła się w hotelu „Pod Jele-

niem” od strony ul. Szerokiej, gdzie miała duże pomieszczenie na magazyn, oraz dwa sąsiadujące pomieszczenia na biura. W razie potrzeby biura były najmowane odpłatnie na organizowane przez hotel imprezy.

„Ognisko” zaopatrywało sklepiki szkolne spółdzielni uczniowskich w zeszyty, ołówki, obsadki, stalówki, atrament i papier pakunkowy. Z biegiem czasu poszerzono asortyment o inne materiały piśmienne i pomoce szkolne: kątomierze, linijki, ekierki, gumki, farbki, kredki oraz przyrządy do pracowni fizyko-chemicznych: próbówki, kolby, uchwyty itp. Półhurtowa marża wynosiła 5—7 proc. Zaopatrywano także biura i instytucje w takie materiały, jak teczki, skoroszyty, segregatory, księgi rachunkowe, kalendarze itp. Surowiec do wykonywania tych wyrobów kupowała Spółdzielnia w PZGS w Cieszynie, a produkcją zajmowali się cieszyńscy rzemieślnicy: introligator Józef Brańka oraz Karol Staniek. PZGS udzielał marży półhurtowej. Uzupełnieniem asortymentu były także kartki okolicznościowe: naklejki, bibułki, krepa, brokat i bańki na choinkę, które dostarczali ajenci z innych stron kraju.

Wcześniej rozpoczęto zakup i sprzedaż książek — z początku używanych, głównie podręczników szkolnych, a po uruchomieniu Państwowych Wydawnictw Szkolnych, Państwowego Instytutu Wydawniczego i Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” — także książek nowych. Trzeba było po nie jechać pociągiem do Katowic, tam dokonać wyboru, zapakować towar i załadować do wagonu PKP. Na dworcu w Cieszynie należało przesyłkę odebrać i przynieść do magazynu.

Nieco później otwarto także sklep detaliczny, który mieścił się na Rynku, u wylotu ul. Mennicznej (dzisiejszy „Pe-

wex"). Personel sklepu tworzyli Wiktor Kubaczka (kierownik) oraz ekspedientki Magdalena Cieślar, Aniela Suchanek i Jadwiga Giemza. Z czasem otwarto dalsze sklepy w Skoczowie, Ustroniu i w Wiśle oraz intrologatornię w Cieszynie.

Początkowy okres działalności był bardzo trudny. Same udziały członków były zbyt niskie, by pozwalały finansować rozwój, zaciągnięto więc kredyt w Banku Spółdzielczym w Cieszynie. Poręczenie wekslowe musieli składać członkowie Zarządu Spółdzielni imiennie.

W 1949 r., tj. w okresie najwyższego rozkwitu Księgarni Spółdzielczej „Ognisko” w Cieszynie, zarządzono odgórnie połączenie jej z wojewódzką spółdzielnią o tej samej nazwie w Katowicach. W praktyce do tego nie doszło, gdyż na mocy decyzji administracyjnej

spółdzielnie księgarskie „Ognisko” w całym kraju zostały z dniem 1 stycznia 1950 r. upaństwowione. Cały majątek trwały i obrotowy przejął bez odszkodowania „Dom Książki”. Przejęcie poprzedziła pełna inwentaryzacja majątku. „Cenzor” zarządził m.in., by na wykazie książek wycofanych umieścić powieść Jacka Londona *Syn białej niedźwiedzicy*...

Do pracowników Spółdzielni Księgarskiej „Ognisko” w Cieszynie należeli młodzi absolwenci Państwowego Liceum Spółdzielczego w Cieszynie, którzy pełnili kolejno funkcje członków Zarządu. Byli to: Marta Skałka, Franciszek Duda, Rajmund Kuciara. Absolwentami tego samego liceum byli pracownicy: Danuta Gabzdyl, Stanisława Siwek, Bronisława Franek, Eugenia Lipka.

Szkoła dla trójwsi

Przed przyłączeniem do Cieszyna wioski Pastwiska, Boguszowice i Kalembice tworzyły jedną gromadę, wcześniej gminę. W 1884 r. znajdowało się w niej 70 budynków z 560 mieszkańcami.

Pierwszą jednoklasową szkołę otrzymała trójwieś w 1885 r., tj. w tym samym roku, gdy Paweł Stalmach założył Macierz Szkolną. W 1902 r. nastąpiła rozbudowa szkoły, a jednocześnie zatrudniono drugiego nauczyciela. W latach 1885—1912 pełnił funkcję kierownika Jan Klyszcz. Po nim objął to stanowisko jego syn Henryk, który zmarł w 1919 r. Wówczas kierownikiem szkoły został Karol Pacuła — człowiek niezwykle rzutki, aktywny działacz narodowy. Był czynny m. in. w poźarnictwie. (c)

Język polski na Zaolziu umiera

Zjawiskiem naturalnym wydaje się być używanie języka ojczystego we własnym kraju, ale do wielkiego problemu urasta jego funkcjonowanie we wspólnocie językowej, której przyszło żyć w obrębie obcego organizmu państwowego. Zachowanie mowy ojczystej jest wówczas niezbędne dla utrzymania tożsamości jednostkowej i grupowej, a w rezultacie przetrwanie narodu w ogóle. Doświadczyli tego Polacy wielokrotnie i doświadczają nadal ci, którym przyszło żyć poza obecnymi granicami kraju.

Na Śląsku Cieszyńskim żyje dziś na lewym brzegu Olzy ok. 60 tys. Polaków. Ich położenie w ostatnich kilkudziesięciu latach bardzo się zmieniło. Obecnie są nie tylko mniejszością narodową w CSRS, ale również mniejszością na etnicznie swoim terenie. Przygraniczne powiaty: karwiński i frydecko-mistecki, zamieszkane przez polską ludność, stanowią obszar wielojęzyczny. Ten stan spowodowały społeczno-historyczne warunki obcowania nosicieli odmiennych języków, głównie polskiego i czeskiego. Dziś w ramach nawet jednej rodziny, wsi, a zwłaszcza osiedla robotniczego, czy miasta żyją ludzie różnych narodowości. Ma to ogromny wpływ na język polskiej społeczności. W powszechnym użyciu Polaków na Zaolziu jest jeden z dialektów języka polskiego, tj. gwara zachodnio-cieszyńska. Stanowi ona jednak tylko jedną z form mowy, obok literackich języków polskiego i czeskiego. Od ponad 70 lat gwara podlega tutaj odmiennym procesom socjolingwistycznym. Jest powszechnie używana w b. wielu dziedzinach i to przez ludzi w różnym wieku, o różnym wykształceniu i pochodzeniu społecznym. To zjawisko było zresztą charakterystyczne dla całego obszaru Śląska Cieszyńskiego od wieków, na co wskazywał już Kazimierz Nitsch.

Jaka jest pozycja języka polskiego, jak szeroki zakres jego używania na Zaolziu obecnie?

Częściowej odpowiedzi na to pytanie udzielają wyniki obserwacji, wywiadów oraz sondażowych badań ankietowych, przeprowadzonych na przełomie lat 1988 i 1989. Badaniom zostało poddanych 80 osób narodowości polskiej i ich rodziny. Respondenci pochodzili przede wszystkim z Trzyńca, Hawierzowa, Karwiny, Czeskiego Cieszyna, Orłowej i Bystrzycy. Byli to w znacznym stopniu ludzie młodzi, co wydaje się być w pełni uzasadnione tym, iż oni właśnie w przyszłości będą kształtować oblicze językowe tej ziemi. Część materiału uzyskanego z kontaktów bezpośrednich, tzn. „twarzą w twarz”, ilustrują poniższe tabele.

Kontakty codzienne

Sytuacje, w których realizuje się język	gwara polska	j. polski	j. czeski	gwara czeska
I. krąg rodzinny				
— kontakty językowe pomiędzy pokoleniami (dziadkowie—rodzice—dzieci)	94%	6%	—	—
— kontakty językowe pomiędzy dorosłymi domownikami (dziadek—babcia, ojciec—matka)	98%	2%	—	—
— kontakty językowe pomiędzy dziećmi	98%	2%	—	—

Sytuacje, w których realizuje się język	gwara polska	j. polski	j. czeski	gwara czeska
II. krąg towarzyski				
— kontakty dorosłych w gronie przyjaciół z znajomych	93%	5%	2%	—
— kontakty dzieci w gronie kolegów	98%	1%	1%	—
— kontakty dorosłych w gronie sąsiadów	90%	1%	9%	—
— kontakty dzieci z rówieśnikami z podwórka	97%	1%	2%	—
III krąg zawodowy				
— kontakty ze współpracownikami	80%	6%	4%	10%
— kontakty dzieci z rówieśnikami w szkole	97%	3%	2%	—
IV krąg kontaktów lokalnych				
— kontakty ze współpasażerami w środkach komunikacji	63%	6%	12%	15%
— kontakty z innymi petentami klientami w miejscach użyteczności publicznej	53%	7%	24%	16

W sferze kontaktów codziennych dominującą formą mowy jest gwara zachodniocieszyńska, która pozostała do dziś pierwszym językiem większości polskich rodzin. Jest ona podstawową formą mowy w kontaktach z członkami rodzin i bliskich. Nieważne są role społeczne kontaktujących się osób. Znaczenie odgrywać mogą jedynie chwilowo pełnione role: ojca, matki, syna, córki. Rodzice „narzucają” dzieciom język zgodnie z własnym statusem społecznym i narodowościowym. W zdecydowanej większości polskich rodzin językiem, w którym odbywają się codzienne kontakty, jest jeden z dialektów języka polskiego.

Literackiego języka polskiego oraz jego odmian stylistycznych używa tutaj tylko niewielka część społeczności. Są to głównie osoby pochodzące z jednolitych pod względem narodowościowym, polskich rodzin inteligenckich z wykształceniem średnim i wyższym, które z racji swoich zainteresowań, wykonywanego zawodu (np. działalność społeczna albo praca w polskich placówkach kulturalno-oświatowych), bądź z pobudek patriotycznych używają na codzień języka polskiego. Posługują się oni mową ojczystą konsekwentnie nie tylko w kręgu swoich współpracowników i kolegów w miejscu pracy, ale i we własnych rodzinach oraz w kręgu kontaktów lokalnych, a nawet oficjalnych, bez względu na narodowość rozmówcy. Wyjątek stanowi krąg towarzyski. Nawet Polacy na codzień posługujący się językiem polskim dla wzajemnego zrozumienia i podtrzymania znajomości uwzględnić muszą narodowość sąsiada, znajomego czy przyjaciela. W uprzemysłowionym okręgu ostrawsko-karwińskim nastąpiło przemieszczenie ludności różnych narodowości, w kontaktach z sąsiadami Polacy coraz częściej zmuszeni są więc używać języka czeskiego.

Podobnie jest w kontaktach na płaszczyźnie zawodowej, a zwłaszcza lokalnej. Dużą rolę odgrywa jeszcze gwara, ponieważ znaczna część ludności także innych narodowości, które mieszkają na Śląsku Cieszyńskim od dłuższego czasu, również posługuje się lokalną gwarą. W miarę jak członek polskiej społeczności wychodzi poza krąg bliskich i znajomych, w miarę jak wzrasta anonimowość jego rozmówców, począwszy od kręgu zawodowego aż do kontaktów na płaszczyźnie lokalnej, coraz częściej przychodzi używać mu języka czeskiego.

Pomijając małą grupkę osób konsekwentnie używających języka polskiego znaczna część społeczności polskiej (dotyczy to głównie ludzi młodych pochodzących z większych miast) używa poza swoją rodziną wyłącznie języka czeskiego. Natomiast ci którzy użycie odpowiedniej formy mowy uzależniają od narodowości

ci swego rozmówcy, wybierają tylko pomiędzy gwara a językiem czeskim (na korzyść tego ostatniego), z całkowitym pominięciem języka polskiego.

Z różnych przyczyn (postępujący proces asymilacji, chęć zapewnienia możliwości awansu społecznego) część dzieci po osiągnięciu wieku szkolnego jest posyłana do szkół czeskich. Mimo iż dzieci te wynoszą z domu znajomość gwary, jednak w szkole przyswajają sobie język czeski, który staje się podstawową formą ich mowy już w kontaktach codziennych (poza rodziną, w której dalej posługują się gwara). Należy się spodziewać, że z czasem gwarę traktować będą jako swego rodzaju „archaizm”, nieodłącznie związany wyłącznie z domem rodziców, natomiast w założonej przez siebie rodzinie używać będą języka czeskiego.

Lokalne kontakty językowe wprowadzają wyraźnie w sferę kontaktów oficjalnych. Rozmówców nie łączą bowiem żadne więzi emocjonalne, a ich anonimowość znacznie wzrasta. Szczególnie ekspansywny jest język czeski. Zwłaszcza młodzi ludzie coraz chętniej go używają, aby być dobrze zrozumianym, lepiej odbieranym.

Dziedziny oficjalne użycia języka

Rodzaje sytuacji językowych	gwara polska	j. polski	j. czeski	gwara czeska
1. Kontakty językowe z przełożonymi w pracy	31%	26%	10%	11%
2. Kontakty językowe z personelem	35%	14%	26%	25%
3. Kontakty językowe z pracownikami lokanej komunikacji	49%	5%	31%	15%
4. Kontakty językowe z personelem sklepów i placówek usługowych	52%	2%	30%	16%
5. Kontakty językowe z urzędnikami poczty	48%	7%	31%	—
6. Kontakty językowe z funkcjonariuszami milicji i wojska	22%	4%	74%	—
7. Kontakty językowe z urzędnikami administracji teren. i państw.	18%	12%	55%	15%
8. Kontakty językowe z pracownikami	—	13%	97%	—

Na płaszczyźnie kontaktów oficjalnych duże znaczenie odgrywają role społeczne. Jeden z rozmówców (np. przełożony w pracy, urzędnik czy ekspedientka) występuje w roli społecznie uprzywilejowanej. Z tej racji jest ona zazwyczaj w stanie narzucić podwładnemu lub petentowi sposób i formę kontaktów. Różny jest stopień oficjalności kontaktów pomiędzy pracownikami a przełożonymi w zakładach pracy. Zależy to od środowiska, wielkości zakładu i jego charakteru, od miejsca zwierzchnika w hierarchii zakładowej, od cech pracownika lub całych zespołów pracowniczych oraz wielu innych czynników. Do najczęstszych, a w wielu przypadkach do jedynych należy kontakt z bezpośrednim przełożonym. Duże zastosowanie znajduje gwara. Kierownicy różnych szczebli dostosowują swój język do tego, którym posługują się na codzień całe zespoły pracowników, a sami często pochodzą od pokoleń z tej ziemi. Są to przede wszystkim mieszkańcy Czeskiego Cieszyzna oraz miejscowości takich, jak Stonawa, Cierlicko, Bystrzyca. Natomiast osoby pochodzące z miast takich jak Trzyniec lub Karwina i pracujące w wielkich zakładach pracy, kopalniach używają języka polskiego, ponieważ część wykształconej, specjalistycznej kadry pracowniczej na tym terenie stanowią Polacy. W pozostałych wypadkach, zwłaszcza w uprzemysłowionych wielkich miastach członkowie polskiej społeczności zmuszeni są używać wobec przełożonych języka czeskiego.

Różnie też kształtują się kontakty językowe Polaków na Zaolziu z personelem medycznym. Polska gwara ma jeszcze zastosowanie w małych miejscowościach, w przychodniach rejonowych, bądź w maleńkich szpitalach w starych częściach miast i to wobec personelu wywodzącego się z tych stron. Języka polskiego używa się wyłącznie wobec lekarzy narodowości polskiej. Natomiast w kontaktach ze służbą medyczną w dużych miejskich szpitalach lub z personelem innej narodowości panuje język czeski.

Wzrasta zastosowanie gwary w kontaktach z personelem sklepów, punktów usługowych, poczty oraz z pracownikami lokalnej komunikacji. Wynika to z faktu, że pracownicy tych instytucji, jak i korzystający z ich usług, pochodzą zazwyczaj z tego samego terenu. W kontaktach z kierowcą lub ekspedientką użycie gwary jest jednak możliwe tylko wtedy, gdy chodzi o pracowników starszych, pochodzących z Zaolzia. W pozostałych przypadkach pasażerom, bądź kupującym został narzucany wyraźnie język czeski. Coraz częściej użycie języka polskiego w tego typu kontaktach oficjalnych pociąga za sobą różnego rodzaju sankcje. Zaolziacy stwierdzają to wprost: *Jeśli mówię po polsku lub gwarą, to kierowca zmusza mnie do mówienia po czesku lub mnie ignoruje (Stonawa). Rozmawiam z kierowcami po czesku, bo inaczej nie odpowiadają (Hawierzów). Kierowcy nie chcą rozmawiać po polsku, udają że nie rozumieją (Sucha Górna). Gdy mówię po polsku, spotykam się z niechęcią ze strony sprzedawcy (Stonawa). W niektórych sklepach mówię po polsku, w innych gwarą, by nie narazić się na trudności w zakupach (Czeski Cieszyn).* Na pytanie, czy to, jakiego języka używasz, ma wpływ na rezultat zakupów?, aż 45% respondentów odpowiada twierdząco.

Kontakty językowe z funkcjonariuszami milicji i wojska, urzędnikami administracji państwowej i terenowej oraz z urzędnikami różnych instancji wymiaru sprawiedliwości odbywają się w zdecydowanej większości w języku czeskim. Tylko niewielki procent ludzi starszych posługuje się gwarą wobec urzędników i funkcjonariuszy niższych szczebli, będących również osobami ze starszego pokolenia i pochodzących z Zaolzia. Rozmowy w języku polskim podejmowane są w tych kręgach kontaktów przeważnie przez osoby konsekwentnie posługujące się językiem ojczystym na codzień, także w miejscu pracy lub wobec wykształconych Polaków piastujących niektóre stanowiska w administracji i sądownictwie. Polacy często zostają pozbawieni możliwości posługiwania się w tych kontaktach oficjalnych jakąkolwiek formą języka ojczystego. *Niektórzy młodzi urzędnicy nie rozumieją języka polskiego, ani nawet gwary, denerwują się, więc trzeba z nimi rozmawiać po czesku (Karwina). Używam jednego z języków w zależności od tego, czy urzędnik jest Polakiem, czy Czechem (Trzciniec). W większości urzędów mówią po czesku (Nydek). Używając języka polskiego nie załatwi się sprawy (Sucha Górna).* Na pytanie, czy to, jakiego języka użyjesz w urzędzie lub sądzie, ma wpływ na załatwienie twojej sprawy, aż 60% respondentów odpowiada twierdząco.

Ogólnie sprawę ujmując gwara zarezerwowana jest dla kontaktów codziennych, język polski dla komunikatów oficjalnych na terenie zamieszkiwanym przez polską mniejszość narodową, zaś język czeski dla kontaktów oficjalnych poza obszarem Śląska Cieszyńskiego. Jednakże ten etnicznie polski teren jest już zamieszkiwany w większości przez Czechów. Ich zróżnicowanie językowe (język czeski i jego odmiany) podlega podobnym prawom. W ten sposób na tym małym obszarze pewne języki lub ich odmiany zaczynają pełnić podobne funkcje. Niemożliwością jest utrzymanie obu, zwłaszcza w sferze kontaktów oficjalnych. Tu czeski język większości wypiera skutecznie język polski. Ten drugi jest spychany do rodzin i małych wspólnot lokalnych. Tak jest zwłaszcza w uprzemysłowionym powiecie karwińskim, gdzie występuje coraz silniejsza tendencja używania wyłącznie języka czeskiego.



Zuzanna Kawulok z Koniakowa jako gajdoszka. Fot.: *Marian Koim.*

Madonna z kwiatem mlecza w dłoni

*Maciczko Kończycka, zachowaj nas,
z Twym miłym Synaczkiem opatruj nas*

Kiedy otrzymałem od przyjaciela kolorową pocztówkę przedstawiającą obraz Matki Bożej Kończyckiej, odczułem, że obcuję ze zjawiskiem cudownym. Malowidło to różni się zdecydowanie od oglądanych w kościołach statycznych przedstawień świętych. Matka Boska z ołtarza głównego w Kończycach Małych emanuje wewnętrznym spokojem i żywym światłem tajemnicy...

Pochodzenie obrazu jest bliżej nieznane. Przypuszcza się, że został sprowadzony z Czech, powstał natomiast między XV i początkiem XVI w. Jak pisze ks. Józef Londzin, obraz *ten uważany był przez lud w XVII i XVIII wieku za cudowny, stąd też ludność umieszczała na nim liczne wota srebrne i nazywała Matką Boską Kończycką. Przekonanie o cudowności tego obrazu utrzymuje się dotychczas*. Do obrazu pielgrzymowali pątnicy m.in. z pobliskich Zebrzydowic, Kończyc Wielkich, Pruchnej, Ruptawy, Jastrzębia, parafii zaolziańskich które po 1920 r. pozostały po czeskiej stronie, a także z pruskiej części Śląska. Potwierdzają to niektóre kroniki parafialne, a także relacje ustne, które dowodzą, że Święta Maria była uważana za pocieszycielkę strapionych i chorych, stąd nazywano ją również Matką Bożą Kończyką Uzdrowienia Chorych.

Najstarsze informacje o obrazie pochodzą z 1679 r. Wizytujący dekanat cieszyński ks. dziekan Al. Klaybor napisał wówczas, że *główny ołtarz wyróżnia się obrazem błogosławionej Dziewicy (...), do którego pobożności i wdzięczności nieszczęściem dotkniętych w uznaniu doznanej opieki srebrne wota przyprowadziła*. Najstarsze wota nie dochowały się do naszych czasów, w probostwie przetrwała natomiast pewna ilość wotów w formie ozdobnych serduszek i innych, które pochodzą z okresu międzywojennego. Zanotowano wówczas ponowne ożywienie kultu w związku z 25-leciem parafii w Kończycach Małych. Mieszkanka Kończyc, p. Władysława Grygierek, wspomina: *Jak daleko sięgam pamięcią, kult do Matki Boskiej Kończyckiej był wielki. Tak pozostało do dziś. Msze święte zamawiano w dużej części do Opatrzności Bożej i Matki Boskiej Kończyckiej. W okresie adwentowym były i są odprawiane godzinki do Najświętszej Marii Panny. W okresie międzywojennym co niedzielę odprawiano nabożeństwa popołudniowe do Matki Boskiej Kończyckiej z litanią loretańską i pieśniami maryjnymi. W odpust, który przypada na 8 września, Narodzenie NMP, ściągały z Pruchnej, Zebrzydowic i Kończyc Wielkich procesje z chorągwiemi i muzyką. Z relacji kościelnego z Pruchnej, Floriana Gabrysia dowiadujemy się, że proboszcz z Kończyc Małych witał nadchodzącą procesję, a po wejściu do świątyni śpiewano pieśń *Gdybyśmy przyszli do kościoła, Królowo*. Zwyczaj ten istniał jeszcze po II wojnie światowej, jednak w latach 50 zanikł*.

W 1919 r. miała miejsce wizyta biskupa sufragana, Eliasza Daniela v. Sommerfelda, który dokonał poświęcenia nowo wybudowanej świątyni w Kończycach Małych. W uroczystości konsekracyjnej uczestniczył również ks. Leopold Tempes, jeden z najwybitniejszych misjonarzy jezuickich. Przyczynił się on w dużej mierze do rozślawienia kultu kończyckiego obrazu Świętej Madonny.

Dzisiaj zjeżdżają do Kończyc Małych głównie ludzie młodzi, zafascynowani tajemnicą nadprzyrodzonej mocy kończyckiej ikony. Nie są to już jednak tłumy, czemu trudno się dziwić, skoro uwagę Polaków bardziej pochłania doganianie zachodniego dobrobytu, niż życie religijne i duchowy rozwój.



Malowidło na drewnie. Dookoła nimbu napis „Regina coeli letare, alleluja, quiaquem mernisti portare”. Obraz jest utrzymany w stylu późnogotyckim.

Liryk nadzieja

Po drugiej stronie rzeki
Chłopcy noszą w kieszeni wiatr
Dziewczyny wielkie oczy
Niebo stanęło w drzwiach
Wahadłowych miłości

Po drugiej stronie rzeki
Matki pakują walizki
Ojcowie szukają słów
Za ścianą puszczyk huka
Księżyc pomału wchodzi w nów

Po drugiej stronie rzeki
Dzieci bawią się z cieniem
Jabłonki marzą sad
Wiadomo znowu że kamienie
To tylko pył opadły z gwiazd

Po drugiej stronie rzeki
Chłopcy noszą w kieszeniach wiatr
Dziewczyny wielkie oczy
Niebo stanęło w drzwiach
Wahadłowych miłości

Ropicki proboszcz i działacz

W dniu 15 listopada 1931 r. a więc przed dziewięćdziesięciu z górą laty, zmarł na atak serca podczas akademii na cześć św. Stanisława Kostki (w budce suflerskiej), którą sam przygotował i prowadził, ks. Franciszek Moroń, proboszcz ropicki.

Franciszek Moroń urodził się 29 września w Grzawie, powiat Pszczyna na Górnym Śląsku, w rodzinie rolniczej. Rodzice przeznaczili go do pracy na roli. On chciał się uczyć. Nie został jednak przyjęty do pruskiego gimnazjum w Pszczynie ani w Opolu. Dzięki pomocy ks. Antoniego Wojciecha, proboszcza w Żorach oraz ks. Józefa Londzina dostał się do polskiego Gimnazjum w Cieszynie. Gimnazjum to ukończył z odznaczeniem w 1911 r., po czym podjął studia teologiczne w Wiedniu. Z tego okresu zachował się osobisty dzienniczek młodego teologa, nazwany przezornie *Noli me tangere*, w którym notował swe rozterki na temat, czy jest godzien zostać sługą bożym. Rzecz jest pisana piękną polszczyzną i świadczy o wrażliwości młodego człowieka.

Prymicyjną mszę świętą odprawił w kościele Zwiastowania Najświętszej Marii Panny w Ropicy 1 sierpnia 1915 r. Pierwsze dwa lata pracował jako wikary w Jabłonkowie, kolejne trzy lata w Istebnej i jeszcze dwa lata w Trzyńcu i 30 kwietnia 1922 r. został proboszczem w Ropicy.

Jego krótkie życie było ofiarne i owocne, w zakresie szerzenia wiary i sprawy narodowej. Ks. Franciszek Moroń patronował Stowarzyszeniu Młodzieży Katolickiej (męskiej i żeńskiej), działał w Związku Niewiast Katolickich, w Kongregacjach Mariańskich, zakładał świetlice na farze, organizował pielgrzymki i wycieczki do Polski, urządzał misje itp. Wygłaszał prelekcje na tematy religijne, ogólnokształcące, na temat historii i literatury polskiej, przemawiał podczas poświęceń sztandarów związkowych, krzyży przydrożnych, polskich szkół itp. Pisał też artykuły do „Na-



Ks. Franciszek Moroń. Reprod.: Kazimierz Jaworski.

szego Kraju”, „Gwiazdki Cieszyńskiej”, redagował „Kalendarz Katolicki” itd. Do książki R. Tomanka *Kościół cierpiący* (Cieszyn 1922) ułożył melodie (ks. Fr. Moroń: *Melodie antyfon, psalmów, kantyków*, (Dziedzictwo, Cieszyn 1923). Na swój własny użytek pisał nadal swój intymny dziennik duchownego.

Oprócz tego był aktywnym działaczem społecznym i narodowym. Przez 7 lat był sekretarzem Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej. Szereg lat pracował też nad rozwojem Spółki Rolniczo-Handlowej „Ziemia”, jako członek Rady Nadzorczej i Komisji Rewizyjnej. Od 1924 r. był członkiem, a od 1926 przewodniczącym Rady Nadzorczej Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w Czeskim Cieszynie. Pracował też aktywnie w Związku Śląskich Katolików i Robotników Chrześcijańskich.

Zakładał chóry, którymi sam dyrygował, reżyserował przedstawienia teatralne, organizował akademie na różne okazje. Był człowiekiem powszechnie lubianym jako zwolennik zgody międzywyznaniowej

i międzypartyjnej. Za całokształt swej pracy i działalności został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Ks. Franciszek Moroń jest pochowany na cmentarzu przykościelnym w Ropicy.



Cieszyński strój dodaje kobietom urody. Fot.: Zenon Żybertowicz.

Szwajcarski tłumacz Zofii Kossak

Przyjęło się twierdzić, że w krajach niemieckojęzycznych twórczość Zofii Kossak nie wzbudziła zainteresowania, wręcz przeciwnie, osoba i książki pisarki przyjmowane były z krytyczną rezerwą lub nawet polemicznie. Przekonanie to jest tylko częściowo prawdziwe i odwołuje się wyłącznie do opinii rozpowszechnianych przez nacjonalistyczną (hitlerowską) prasę w okresie międzywojennym. Natomiast badacze nie zauważyli dotąd, że już w początkach lat 30, a potem w pierwszym dwudziestoleciu powojennym w Australii, Szwajcarii i Niemczech znaleźli się entuzjaści pisarstwa historycznego Zofii Kossak i m.in. oni spowodowali, że w języku niemieckim ukazały się książki: *Legnickie pole* (w przekładzie znakomitego wiedeńskiego polonofila Ottona von Forst-Battaglia, 1931), *Beatum scelus* (1947), wszystkie człony trylogii: *Król trędowaty* (1969), *Krzyżowcy* (1961—1962) i *Bez oręża* (1949), dalej *Przymierze* (1958, 1959 i 1960), *Szaleńcy Boży* (1956, 1961) oraz *Oblicze Matki* — książka, której polski oryginał prawdopodobnie zaginął i która znana jest tylko ze szwajcarskiego wydania (1948).

Zwłaszcza w latach 60. w obu państwach niemieckich, w Szwajcarii i Austrii czytano utwory Zofii Kossak i komentowano je w licznych recenzjach i artykułach. Ten okres popularności pisarki w niemieckojęzycznych krajach przygotował dr Alfred Loepfe z Luzerny. Jemu i jego powiązaniom z autorką *Przymierza* poświęcony jest ten szkic.

Alfred Loepfe — von Ah (1913—1981), wywodzący się ze starej szwajcarskiej rodziny, był dużym erudytą i poliglotą. W latach 1932—1938 we Fryburgu Szwajcarskim, Heidelbergu i Monachium studiował filologię klasyczną, germanistykę i slawistykę. W każdym z wymienionych zakresów ukończył studia z oceną *summa cum laude* lub *magna cum laude*, jak oceniono pracę doktorską ze stylistyki greckiej (1938, druk 1940). Poza tym znał języki francuski, angielski, nieco słabiej — włoski, szwedzki, rosyjski. Znakomite opanowanie języka polskiego sprawiło, że jego profesor z Fryburga — Edward Cros (notabene Polak, urodzony w Kijowie, któremu Loepfe poświęcił napisany



Alfred Loepfe. Zdjęcie z 1973 r., publikowane po raz pierwszy.

w języku polskim biogram) postarał się dla niego o stypendium i w roku akademickim 1938—1939 dr Loepfe był stażystą-stypendystą na uniwersytecie w Warszawie.

Po powrocie do Szwajcarii podjął pracę nauczyciela gimnazjalnego i temu zawodowi pozostał wierny do 1972 r., kiedy z powodu choroby musiał przejść na emeryturę. W latach wojny organizował kursy języka niemieckiego dla internowanych polskich studentów, był sekretarzem Crosa, który wówczas jako rektor prowadził uniwersytet dla Polaków we Fryburgu. Przede wszystkim jednak zaczął popularyzować literaturę polską, pisząc o niej artykuły i różnego rodzaju szkice (przedmowy, posłowania do książek itp.) oraz tłumacząc dzieła dawnych i współczesnych autorów znad Wisły. Na język niemiecki przełożył m.in. utwory Bolesława Prusa (*Faraona*), Henryka Sienkiewicza (*Quo vadis*), Jana Parandowskiego, Czesława Miłosza, ks. Jana Twardowskiego, Władysława Tatarskiewicza i in., a na łacinę — *Litanie do Marii Panny* Jerzego Lieberta, który to przekład recytował w Warszawie 8 października 1965 r. na zakończenie obrad międzynarodowego kongresu tłumaczy. Jak stwierdza Jerzy Starnawski, *Loepfe jako tłumacz literatury polskiej nie pracował „na zamówienie”, [ale] miał swych ulubionych autorów i im oddawał najwięcej trudu translatorskiego*. Do tych ulubionych autorów, obok Bolesława Prusa, należała przede wszystkim Zofia Kossak.

Trudno ustalić, kiedy oboje poznali się. Możliwe, że Zofia Kossak spotkała swego tłumacza w 1939 r., kiedy bawił w Polsce. Na podstawie zachowanej korespondencji wiadomo jedynie, że w 1947 r. pisarka przebywała w Szwajcarii z cyklem odczytów, które wraz z przyjacielem zorganizował Loepfe i że od tego czasu autorka *Błogosławionej winy* wymieniała z nim listy co najmniej do 1957 r., a więc do czasu, gdy wróciła do kraju. Chociaż korespondencja dotyczy przede wszystkim tłumaczeń, przygotowywanych do druku przez Loepfego i związanych z nimi praw autorskich, cztery listy Loepfego do Zofii Kossak (z 1947 i 1950 r.) oraz osiem pism pisarki do tłumacza (z 1948, 1949, 1950, 1955 i 1957) zawierają kilka wiadomości o życiu prywatnym, np. o kłopotach Szatkowskich na Trossel Farm i in. i zaświadcza, że obie rodziny łączyła nie szacunek i przyjaźni, wykraczająca poza zwykłe kontakty zawodowe. Nie ulega wątpliwości, że listów było (lub jest) więcej, ale tylko wymienione były dostępne autorowi tego artykułu.

Pierwszą pozycją z dorobku Kossak, którą przełożył Loepfe, była powieść z czasów baroku pt. *Beatum scelus*. Nad tłumaczeniem tej książki pracował on w 1946 r. Był już wówczas znanym tłumaczem z literatury polskiej, ogłosił nie tylko wspomnianego *Faraona* Prusa (1944), ale też opowiadania i artykuły różnych autorów polskich w szwajcarskiej prasie i w antologii *Ritter der Freiheit*, ilustrującej tekstami m.in. Prusa walki powstańcze w 1848, 1863 i 1905 r., opublikował też tękę grafik: *Ars Polona* (1946).

Beatum scelus wydał pod niemieckim tytułem *Frommer Frevel* w Walter Verlag w Olten (1947) i zaopatrzył w przedmowę oraz słownik terminów rzeczowych i obcych. Rzetelnie i pieczołowicie przełożony tekst, z drobnymi zmianami, uzgodnionymi z Zofią Kossak, zamyka informacja, że *Beatum scelus* ukończyła pisarka w Górkach Wielkich w dniu 8 grudnia 1923 r. Wydanie tej książki w Szwajcarii było możliwe dzięki zgodzie, jakiej udzieliła firma Roy Publishers z Nowego Jorku, będąca w posiadaniu praw edytorskich.

W przedmowie Loepfe przedstawił Kossak jako najwybitniejszą polską pisarkę współczesną, nakreślił jej życiorys wojenny w oparciu o autobiograficzne wypowiedzi, scharakteryzował jej dorobek literacki i przedstawił dzieje *Matki Boskiej Kodeńskiej*. Przy okazji ujawnił zupełnie zapomniany szczegół, że w 1939 r. było ukończone tłumaczenie całej trylogii *Krzyżowcy*, które jednak w czasie wojny zaginęło. Wielkość polskiej pisarki dostrzegł w tym, że *posiada dar wydobywania z historii tych wątków, które noszą znamieńce zrzędzenia losu*.

Powieść, wydana w Olten, została bardzo przychylnie oceniona przez krytykę literacką. *Doniosłość artystyczna utworu polega na umiejętności wczucia się pisarki w kulturę i w religijny rozwój polskiego charakteru narodowego czasów baroku* — pisał recenzent „Luzerner Neueste Nachrichten”, a recenzent „Die Tat” z Zurychu dodał, że


Beatum scelus ukazuje mistrzostwo w zakresie opisu i prezentowania dawnych epok. Chwalono też wielokrotnie przekład, jak np. w piśmie „Das Aufgebot”, w którym utwór Kossak określa się jako *mistrzowską powieść, której przekład na język niemiecki, dokonany przez dra Loepfe, godny jest jej treści*.

Sukces książki Formmer Frevel sprawił, że Loepfe wyraził chęć przełożenia kolejnej książki Zofii Kossak. Ponieważ Roy Publishers prawdopodobnie robił trudności, pisarka zaproponowała tom obrazków z dziejów Polski, nigdzie dotąd nie publikowany. Z korespondencji wynika, że skracała i przerabiała tekst wielokrotnie i sukcesywnie przysyłała tłumaczowi fragmenty pisanego utworu (*bez chybnienia będę Panu co tydzień przysyłać ca 10 stron maszynopisu* — list z 24.07.48), który w przekładzie Loepfego ukazał się w Zurychu pt. *Das Antlitz der Mutter* (Oblicze Matki). *Bilder und Gedanken zur Geschichte Polens* w niezwykle szybkim tempie pod koniec 1948 r. Jest to pozycja rzadko spotykana w bibliotekach, prawdziwy „biały kruke”, choć wg Jerzego Starnawskiego poziom tej książki nie jest wysoki. Zgodnie z jego opinią *Oblicze Matki* można zestawić z książką *Bursztyny*, na którą złożyły się czytanki pisane dla wypisów szkolnych Juliusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego. Jedyny fragment z *Oblicza Matki* ukazał się po polsku w „Słowie Powszechnym” pt. *Dana od Boga* (1957). Na treść niemieckiej książki składają się opowiadania charakteryzujące różne fragmenty dziejów od czasów chrystianizacji Polski do XIX w.

Trzecią książką Zofii Kossak przełożoną przez Alfreda Loepfe była ostatnia część trylogii — *Bez oręża*. Nad przekładem tego utworu pracował już w 1947 r., ale ostatecznie ukazał się on w Otto Walter Verlag w Olten dopiero w 1949 r. Znów bodaj na przeszkodzie stanęły pertraktacje z wydawnictwem Roy w Stanach Zjednoczonych. Loepfe zatytułował utwór *Der Held ohne Waffe*, a okładkę zaprojektował Antoine Rawicz. O recepcji tego utworu w Szwajcarii i w innych krajach niemieckich nic nie wiadomo.



Zdjęcie archiwalne z 1974 r., wykonane w Warszawie. Od lewej: prof. Władysław Tatarkiewicz, Alfred Loepfe i Jan Parandowski.



ZOFIA KOSSAK

Frommer Frevel

BEATUM SCELUS ERZÄHLUNG
AUS DEM BAROCKZEITALTER



WALTER VERLAG OLTEN

Karta tytułowa książki „*Beatum scelus*” Zofii Kossak, którą tłumacz, Alfred Loepfe, wydał pod niemieckim tytułem *Frommel Frevel*”. Wyszła w Niemczech w 1947 r.

Przypuszczalnie trudności w przekazywaniu praw autorskich szwajcarskiemu wydawnictwu (Kossak pisze w listach o tym, że ze względu na koszty musi zrezygnować z procesu) spowodowały, że Loefe pod koniec lat 40. zrezygnował z dalszych przekładów dzieł pisarki z Górek, choć śledził dalszy jej rozwój i szczerze zachwycił się np. *Przymierzem*, które chciał przełożyć na język niemiecki. W długim liście z 19 lutego 1950 r. (jak zawsze pisanym w języku polskim) przeprowadził wnikliwą analizę tego utworu, który z teoretycznego punktu widzenia był dla niego *opowieścią biblijną, opowieścią, parafrazującą św. Pismo naszym nowoczesnym zasobem pojęć, obrazów, możliwości literackich, intepretującą, co dla nas już jest niezrozumiałe, uzupełniając według ducha epoki i Pisma św., co pominięto, zapomiano lub zdaje się być źle zrozumiane. Jednym słowem: opowieść — komentarz, zarazem naukowy i artystyczny*.

Loepfe nie ukrywał zastrzeżeń i krytycznych uwag, odnoszących się np. do postaci Nergal Sara i Melchisedecha, podnosił jednak równocześnie wielkie wartości poznawcze, artystyczne i ideowe, które czynią z *Przymierza* jedno z najważniejszych dzieł w całym dorobku pisarki. *Pani doskonale udało się sprowadzić wiele cudownych zdarzeń do zdarzeń naturalnych. (...) Bóg posługuje się jak najdłużej środkami naturalnymi — to zasada według której Pani rozwiązała najtrudniejsze zagadnienia tematu biblijnego. A nieco później dodaje: Pani umiejętność tworzenia postaci żywych, konkretnych sytuacji i scen dramatycznych oraz owej niewypowiedzianej atmosfery, którą jedni nazywają napięciem, inni nastrojem, trzeci — modnym słowem „zgeszczeniem” i w tej powieści nie zawiodła.*

List Loepfego o *Przymierzu* jest ważnym źródłem historycznoliterackim o recepcji tego dzieła w świecie. Loepfe — jak powiedziano tego utworu nie przetłumaczył i w języku niemieckim ukazał się on dopiero w przekładzie Waltera Krause w 1958 r. w NRD, a w 1959 i 1960 (wyd. drugie) w RFN.

Pisząc o powiązaniach Zofii Kossak ze szwajcarskim tłumaczem należy jeszcze podnieść kwestię, która nie jest zarejestrowana w bibliografiach (np. w pracy Fazana i Nawrockiego: *Katowickie środowisko literackie w latach 1945—1967*) i wymaga dopiero zbadania. Z dostępnych źródeł wiadomo jedynie, że w 1949 r. Jan Błażej Nowakowski ostro zaatakował pisarkę w prasie londyńskiej. Nikt ze znajomych i przyjaciół Zofii Kossak nie stanął w jej obronie. Uczynił to natomiast Alfred Loepfe, który w „Wiadomościach” ogłosił wnikliwy szkic, poświęcony twórczości autorki *Krzyżowców*, którego wymowa była wymierzona w Nowakowskiego.

Loepfe — jak można przyjąć na podstawie jego wypowiedzi i działań — cenił Zofię Kossak jako wybitną pisarkę, obdarzoną dużym talentem epickim. Ponadto przemawiała do niego religijna wymowa jej dzieł. Z tych samych powodów autorka *Dziedzictwa* była też akceptowana przez czytelników w krajach niemieckojęzycznych. To tłumaczy, dlaczego po niemiecku ukazały się przede wszystkim te utwory, które mogą być zaliczane do literatury katolickiej, w których chrześcijańska inspiracja ideowa jest wyrazista. Jest to m.in. ciekawe ze względu na protestancki (kalwiński lub luterański) charakter niektórych regionów tego obszaru.

Zofia Kossak natomiast, jak wielu innych polskich pisarzy (np. Jan Parandowski, Czesław Miłosz, ks. Jan Twardowski, Władysław Tatarkiewicz) bardzo wysoko ceniła pracę translatorską Alfreda Loepfego. W liście z 3 lutego 1950 r. pisała do niego: *Mam więcej zaufania do współpracy z Panem, niż z Mr Steen (...). Uchodzi on za najlepszego tłumacza z języków słowiańskich w Wielkiej Brytanii, ale wydaje mi się bardzo sztywny. Ponad te walory — jak inni — pisarka stawiała jednak bodaj jego walory osobiste. Wskazują na to niektóre aluzje w korespondencji. Bo faktycznie: Alfred Loepfe był człowiekiem olbrzymiej wiedzy, wielu talentów, a przy tym niezwykle skromnym, życzliwym, szlachetnym. Był humanistą i wielkim polonofilem.*

Polski król na Puńcowie

To, jakim człowiek był dla innych i co wszystko dla nich zrobił, jest — ze społecznego punktu widzenia — jednym z najważniejszych kryteriów jego oceny. Bowiem chociaż osiągnął nawet wysokie stanowiska, doszedł do majątku i dobrobytu, zdobył władzę itp., jakież to może mieć znaczenie, jeśli nikomu nie przyniosło to pożytku? Praca nie tylko dla siebie, ale i dla drugih — oto co współtworzy z człowieka harmonijną, wartościową całość.

Powyższe twierdzenie daje się wyjątkowo trafnie odnieść do człowieka, któremu poświęcamy niniejsze wspomnienie. Był nim Paweł Kłoda z Puńcowa pod Cieszyńem, rolnik o szerokich zainteresowaniach i aktywności daleko wykraczającej poza jego własne gospodarstwo.

Urodził się 9 maja 1879 r. jako syn Jana i Marianny z Bolków, właścicieli gospodarstwa rolnego. Szczęście nie gościło jednak długo w tej młodej rodzinie: Jan Kłoda uległ wypadkowi w gospodarstwie i zmarł, żona została sama z trojgiem dzieci, z których najstarsze, właśnie Paweł, miało trzy lata. Na 20-hektarowym gospodarstwie! W tej sytuacji było zupełnie naturalne, że wyszła powtórnie za mąż, za Pawła Salomona, z którym dochowała się zresztą jeszcze pięciorga dzieci.

Do szkoły chodził Paweł w Puńcowie. Była ona nisko zorganizowana, miała zaledwie jedną klasę, ale posiadała ważną cechę, szczególnie istotną w tamtych czasach: jej nauczyciel, Karol Szotkowski, był polskim patriotą i on to właśnie wykształcił w młodym chłopcu świadomość polskości i poczucie patriotyzmu, które w nim pozostało na całe życie.

Kiedy władze austriackie w późniejszym czasie przeniosły Szotkowskiego za działalność patriotyczną do Mnisztwa, gdzie narodowo wydawał się być mniej niebezpieczny, polskość Puńcowa nie została zagrożona. Pozostał w nim Kłoda.

Od młodości rozwijał działalność na

kilku niejako terenach. Jako najstarszy z dzieci stał się następcą swego ojca na gospodarstwie i — po zawarciu w 1903 r. małżeństwa z Marią Franek z Krasnej — rozpoczął jego ulepszanie. Choć jego ulubioną lekturą były powieści historyczne, dużo czasu poświęcał czytaniu czasopism rolniczych znajdując w nich szereg wskazówek praktycznych dla rolników, które starał się potem zastosować. Jako jeden z pierwszych w Puńcowie nabył siewnik rzędowy, kosiarkę konną, młocarnię czyszczącą, pompę do gnojówki, zbudował nowoczesną gnojownię i zbiornik na gnojówkę, zaś kierat zastąpił silnikiem benzynowym.

Założył pierwsze sztuczne pastwiska o przemyślanym zestawie nasion, podzielone na kwadraty i ogrodzone drutem kolczastym. Starał się też założyć wzorowy sad, radząc się w tym względzie znanego sadownika, dyrektora Franciszka Bogocza, jednak kilkakrotne próby nie udały się. Choć dobrano najlepsze odmiany, drzewa otoczone siatkowym płotem celem zabezpieczenia przed zającami, zbiory były mierne. Obaj nie wzięli pod uwagę faktu, że mikroklimat nad Puńcówką drzewom owocowym nie sprzyja.

Choć małżeństwo Kłodów było wzorowe i oboje starali się pracować jak najlepiej, niełatwo było żyć — rolniczy stan nie przeżywał wtedy pomyślnej koniunktury. Aby podnieść zarobki, młody gospodarz zawarł umowę o dostawę cegły i wapna z Lesznej Górnej do Frysztatu. Było to ciężkie zadanie; nawierzchnie dróg były kamieniste, źle utwardzone, wozy posiadały koła o żelaznych obręczach twardo skaczących po kamieniach, a kontrakt wymagał co najmniej dwukrotnego wyjazdu w tygodniu (przy odległości około 30 km w jedną stronę). Zapewnienie rodzinie bezpiecznej egzystencji trzeba było okupić twardą harówką. Na szczęście, żona — Maria z Franków — dzielnie wypełniała

swoje zadania. Całe życie gospodarowała oszczędnie, pamiętając o starym przysłowiu, że żona potrafi więcej wynieść w fartuchu, niż mąż przywiezie w drabiniastym wozie. Nie załamała się i później, gdy mąż musiał wyjechać na wojnę i została sama z kilkorgiem dzieci.

W swoich staraniach o unowocześnienie gospodarki Kłoda nie zapomniał i o wsi. W połowie lat dwudziestych jako prezes w tym celu założonej spółki drenażkiej przeforsował i przeprowadził meliorację gruntów Puńcowa; prace odwodnieniowe objęły wtedy niemal całą wieś. Ledwie uporał się z gruntami, zabrał się do elektryfikacji. Nie było pod tym względem zgody, rozgorzały spory w radzie gminnej, ale Kłoda parł naprzód; mimo oporu kilku radnych rozpoczęto prace i u tych mieszkańców, którzy do akcji nie przystąpili, w 1929 r. zabłysło światło elektryczne. Przyniosło to także i inną korzyść: umożliwiło zastosowanie silników elektrycznych. Ponieważ były one wówczas drogie, a dochody rolników niewielkie, Kłoda namówił siedmiu gospodarzy i założyli spółkę. On sam pojechał do Czechosłowacji i zakupił najnowocześniejszą młocarnię z podwójnym czyszczeniem ziarna, workownikiem i prasą do słomy. Pod nowy elektryczny silnik wykonano specjalny wózek z daszkiem. Ta spółka, choć nieformalna trwała bardzo długo; zakończyła żywot dopiero w Polsce Ludowej.

Przy tym wszystkim Kłoda znalazł czas, by uczestniczyć w wycieczkach organizowanych przez Śląską Izbę Rolniczą czy Związek Kółek Rolniczych do wzorowych gospodarstw na Śląsku i w Wielkopolsce, zwiedził też w 1929 r. Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu (przekształconą w późniejszym czasie w Targi Poznańskie).

Terenem szczególnej aktywności była dla Pawła Kłody Ochotnicza Straż Pożarna. Był jednym z jej twórców (tej z polskojęzyczną komendą) na terenie Śląska Cieszyńskiego. W puńcowskiej straży zaczął jako trębacz, później został naczelnikiem, a po pewnym czasie również naczelnikiem okręgowym (okręg pokrywał się mniej więcej z powiatem). W wyniku jego

starań straż w Puńcowie jako jedna z pierwszych w okolicy nabyła sikawkę z silnikiem benzynowym.

Lokalnych straży pożarnych było w okręgu dużo, toteż naczelnik miał zajęta większość niedziel; ponieważ nie istniała autobusowa komunikacja, trzeba było jeździć bryczką konną. Polowała na nią zawsze orkiestra: wysiadającego naczelnika witano marszem, ten dziękował za powitanie wzmacniając je potem warzonką. Rzecz jasna, na tego rodzaju wydatki nie było żadnych pieniędzy ani w budżecie gminy, ani straży. Przy każdej takiej okazji trzeba było wygłosić przemówienie; Kłoda wygłaszał je zawsze doniosłym głosem, daleko słyszonym bez kartki.

Najróżniejsze uroczystości strażackie (*poświęcka* sztandaru, otwarcie nowej remizy, zakup nowego sprzętu itp. wiążące się zwykle z festynami i wbijaniem gwoździ do tablic pamiątkowych) miały na celu zdobywanie funduszy na działalność statutową, a więc na uzupełnienie i unowocześnianie sprzętu bojowego, umundurowanie. Otrzymanie gwoździa z wyrytym nazwiskiem, małego lub dużego, zobowiązywało do ofiarowania odpowiedniej sumy na określony cel; czasem był to spory wydatek, a Kłoda jako naczelnik okręgu otrzymywał zawsze gwóźdź duży.

Umiłowanej działalności strażackiej Kłoda poświęcał się przez większą część swojego życia — naczelnikiem Straży Pożarnej w Puńcowie był przez 27 lat, a naczelnikiem okręgowym przez lat 15.

Ale działalność w Ochotniczej Straży Pożarnej nie wypełniła bez reszty życia tego niezwykle aktywnego człowieka. Paweł Kłoda pracował w Macierzy, ruchu spółdzielczym, wspierał amatorski ruch artystyczny (w jego domu odbył się wieczór artystyczny z okazji rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego), stał się siłą sprawczą połączenia dwóch szkół wyznaniowych — katolickiej i ewangelickiej — w jedną i wybudowania dla niej nowego budynku, przede wszystkim zaś wykorzystywał wszystkie okazje i możliwości, by podkreślać polskość zarówno swoją, jak i swojej wsi. To on był autorem hasła „Nie ma Polski bez Puńcowa”, a kiedy po I wojnie ten Puńców został podzielony granicą, Kłoda



Paweł Kłoda (pierwszy z prawej) na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r. *Reprod.: Dominik Dubiel.*



Paweł Kłoda u schyłku życia w otoczeniu krewnych i znajomych na cieszyńskim rynku. *Reprod.: Dominik Dubiel.*

przeprowadził nową numerację domów części polskiej, do dziś obowiązującą i ułatwiającą pracę urzędowi, zwłaszcza pocztę. Nic tedy dziwnego, że określono go powszechnie przydomkiem „król polski”, nadawanym tylko nielicznym, najbardziej załужonym działaczom społecznym. Kiedy w 1929 r. do Puńcowa zjechał król Cyganów, Kwiek, i rozbił namioty na łączce Kłody, „Gwiazdka Cieszyńska” pisała — przypominając takie puńcowskie nazwiska jak Salamon, Dawid, Koenig — iż w Puńcowie doszło do spotkania pięciu królów.

W trakcie ustalania granicy polsko-czeskiej był członkiem komisji granicznej, w 1919 został komendantem milicji, a później pierwszym wójtem. Stanowisko wójta piastował również później, w latach 30, a także w Polsce Ludowej, ale tylko przez kilka dni, bo „władzy z woli ludu” rychło przestał odpowiadać.

Niestety, ani jego niezłomna polskość, ani wytrwała praca rolnicza i społeczna nie znalazły po II wojnie zasłużonego uznania. Zapomniano też, bo chyba chciano zapomnieć, że córce i synowi dał szczerze polskie imiona Wanda i Tadeusz, wówczas na wsi

prawie zupełnie nie spotykane, że kiedy po I wojnie (z której wrócił 75-procentowym inwalidą) dowiedział się, że rentę inwalidzką będzie mu wypłacał rząd polski, rzekł się tej renty, że wreszcie kiedy w czerwcu 1941 r. został wezwany na Gestapo, ostrzeżony przez kogoś życzliwego nie poszedł tam, lecz zaczął się ukrywać i z trudem tylko przetrwał wojnę. Przed tą wojną uhonorowano go Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Niepodległości i najwyższymi odznaczeniami strażackimi, po wojnie ani jednym. Po 1945 r. otrzymał rentę z tzw. starego portfela, z której — mówiąc metaforycznie — nie można było ani żyć, ani umrzeć. Żadne odwołania nie pomogły.

Sterany pracą i schorowany osiadł u córki Wandy Kocman, której mąż — członek ruchu oporu — zginął w hitlerowskim więzieniu w 1942 r. ona była mu podporą w ostatnich latach życia. Zmarł 29 grudnia 1968 r. dożywszy sędziwego wieku niespełna 90 lat, a pochowano go obok żony, zmarłej 7 lat wcześniej, w grobie rodzinnym w Puńcowie. W pamięci tych wszystkich, którzy go znali, żyje jednak nadal jako wzorowy rolnik, ofiarny strażak, prawy Polak i zacny członek puńcowskiej społeczności.

Wzorowy sałasz

W okresie międzywojennym w Brennej istniało jeszcze 11 sałaszy, które coraz bardziej jednak podupadały. Tam, gdzie było dawniej po 600 owiec, pozostało zaledwie ok. 200. W związku z tym przystąpiono do rekultywacji pastwisk górskich. Na Kotarzu powstał pierwszy sałasz doświadczalny, nad którym przejęła opiekę Śląska Izba Rzemieślnicza. Przewodniczący spółki sałaszniczej z Kotarza odbył 3-miesięczny kurs w Szwajcarii, zapoznając się tam z metodami użytkowania pastwisk górskich. (c)

Jan Sztwiertnia

Byliśmy zgraną paczką: Wojnar, Trombik, Kramer i ja. Wszyscy w tym samym wieku i na tym samym wydziale fortepianu, jako przedmiotu głównego u prof. Aleksandra Brachockiego, amerykańskiego pianisty, ucznia Ignacego Paderewskiego. Jan Sztwiertnia był *homo novus*, spoza paczki. Był od nas starszy o 8 lat, dojeżdżał do Cieszyna na lekcje z Wisły, a jego głównymi przedmiotami były kompozycja i pedagogika. U prof. Brachockiego czasem bywał, ale jego głównymi pedagogami byli prof. Prejzner, Szabelski i Kulczycki. Budził jednak naszą sympatię i zainteresowanie, bo był jakiś dziwny, jakby zagubiony, potrzebujący pomocy czy przyjaźni. Skrajnie skromny, jakby zastraszony, lękający się czegoś czy kogoś, lekko przygarbiony, szczupły, a może nawet chudy o pociągłej twarzy na wydatnym cienkim i ostrym nosie, na którym spoczywały okrągłe okulary — powiększające wyraz zdziwienia i jakby niepokoju w jego oczach. Był zarazem zamknięty w sobie i poważny, co czyniło go jeszcze starszym niż był naprawdę. Do naszej paczki odnosił się początkowo jakby z lękiem i niedowierzaniem: co oni właściwie wyprawiają! Siadaliśmy bowiem we dwójkę albo w czwórkę i na cztery ręce lub osiem rąk na dwóch fortepianach — grali jakieś wariacje improwizowane na różne tematy, co trochę zalaatywało dżezem — a to rąbanie w klawiaturę, co zresztą przypominam sobie z pewnym sentymentem, migotliwe i technicznie dobre kończyło się jakby uciął z chwilą wejścia na salę profesora. Z nieodłączną fajką stawał w drzwiach i czasem, jak go coś zainteresowało, mówił: *go on! Proszę sobie nie przerywać!* Czasem sam siadał jeszcze do fortepianu i włączał się do zabawy. Było w tym coś ze stylu Marka i Wacka późniejszych lat. Sztwiertnia nigdy nie brał udziału w tej zabawie, ale w milczeniu słuchał siedząc skromnie w kącie sali na połowie krzesła. W naszych lekcjach brał udział jako hospitant. Czasem Brachocki coś mu doradzał, ale raczej poza zakresem swoich obowiązków.

— Kto to jest? — zapytał któregoś dnia Kramer, jakby go teraz dopiero przyjął do wiadomości.

— Jak wynika ze spisu na tablicy w holu i rozkładu lekcji, nazywa się Jan Sztwiertnia. Dojeżdża z Wisły, gdzie jest nauczycielem w szkole powszechnej. Jest na kompozycji...

To wszystko, co wiedziałem.

— Czy ktoś taki nieśmiały, jakby zagubiony, może być kompozytorem? — zastanawiał się Wojnar — do tego trzeba chyba ikry i gazu, nie?

— Bo ja wiem? Schubert był też pono skromny i zagubiony.

— Ale Bach był zadziorny, siedział nawet w kryminale.

— To było bezprawie ze strony jego pracodawcy księcia pana...

— A Mozart też niewąsko rozrabiał...

— Czego wy się go czepiacie? Skromny biedny nauczyciel, może jest nawet głodny...

Nie wiem dlaczego przyszło mi to do głowy. Wyglądał na zbiedzonego. Uwaga Wojnara jednak zaczęła mnie korcić do bliższego poznania starszego kolegi. My dobijaliśmy do matury w „klasyce” on usiłował nas dognać na instrumencie, ale co reprezentował w kompozycji, nikt na razie nie wiedział. Dopiero przypadek otworzył nam oczy, a raczej uszy. Widocznie śpieszył się na pociąg, bo zapomniał tekturową teczkę z napisem „Jan Sztwiertnia” na fortepianie. Z ciekawości zajrzałem do środka. Były tam jakieś szkice nutowe i jedna kompozycja napisana wyraźnie — choć ołówkiem — ale nie ukończona. Pismo ładne, czytelne, sympatyczne, choć nieczytelne. Zaskoczeniem była jednak informacja dotycząca tempa i charakteru kompozycji „*Allegro con fuoco*...! Jak człowiek skromny, głodny, zbiedzony, zagubiony, nieśmiały, (oczywiście w naszym błędnym pojęciu) mógł napisać coś takiego jak *ALLEGRO CON FUOCO*!/? Raczej

normalne byłoby jakieś *andantino cantabile* czy *tranquillo con dolore* albo *contano misterioso*... ale *CON FUOCO?* (z ogniem?). Do sali (pustej) wszedł Janek Wojnar.

— Janek, posłuchaj, Sztwiertnia zapomniał tu nuty.

— No to co?

— Ale to jego kompozycja! Wiesz, pisze *Con Fuoco!*? — „FF”!

— On?

— No przecież!

— Pokaż!

Spojrzał mi przez ramię na nuty.

— Jak Boga kocham! Jak to się mieści w jego charakterze?

— Poczekaj. Przegrajmy to sobie.

Usiadł koło mnie. Rozłożyliśmy nuty na pulcie i na cztery ręce *a vista* — pojechaliśmy, jak z bicia strzelił.

Po kilkunastu taktach, gdy kartka się skończyła — spojrzeliśmy jednocześnie na siebie.

— To jest coś! Cholera!!! — zawołał kolega i nagle zrewidował swój pogląd na charakter Sztwiertni.

— Zagrajmy to jeszcze raz!

Do sali wszedł Kremer. Cekał na korytarzu, teraz, zwabiony muzyką, wszedł do sali. Zagraliśmy to raz jeszcze. Mocne akordy. Równoległe kwinty wbrew „zasadom klasyki”, ale zdrowe jak wszyscy diabli, zagrzniały *fortissimo*. Kremer usiadł przy drugim fortepianie i intuicyjnie włączył się do gry. Było w tym coś — nowego, otwartego, zdrowego jak opalona twarz bacy idącego po *gróniu* z *kłobukiem* zasuniętym na tył głowy, aby słońeczko świeciło. Ciupaga w ręce, krok elastyczny i mocny.

— Co to jest? — zapytał Kramer — To jest mocne!

— Nieomal zbójckie — dodałem — w tym czuć góry!

Do sali wszedł nieśmiało Sztwiertnia. Okrągle okulary. Okrągle ze zdumienia oczy. Zaskoczenie. Przerwaliśmy grę.

— Chłopie! Jesteś genialny! — zawołałem spoza klawiatury. Podskoczyłem do niego. Zacząłem mu ścisnąć rękę, gratulując.

— Przepraszam, że się ośmieliliśmy, ale leżało na wierzchu...

— Nutki zapomniałem, nutki... — potrząsał głową zawstydzony.

— Ale jakie nutki! — zawołał Kramer.

— Co to jest? — zapytał Wojnar.

— „Suita Beskidzka” — powiedział Sztwiertnia cicho, zamiast huknąć jak gorol — Ale to jeszcze nie gotowe... Zaczęte...

— A gdybyśmy tak... — zacząłem jeszcze pod wrażeniem rzeczy — a gdybyśmy tak całą paczką, jak jesteśmy, założyli coś w rodzaju grupy, tak jak np. „Skamander” w literaturze... Coś charakterystycznego. Np. twoja inwencja i nasze dziwactwa, które wyczyniamy na fortepianach? Co?

Uśmiechał się zakłopotany, poprawił okulary, a potem zaczął skrzętnie zbierać swoje nuty i układać w teczce.

— To jest dobra myśl — powiedział Wojnar.

— Bo ja wiem... — mówił niepewnie Sztwiertnia — ja i grupa? Ja jestem bardzo sam... Tak lubię sobie sam rozmyślać, słyszeć... kombinować... studiować...

— Słuchajcie, kolego — zaczął protekcjonalnie Kramer, który grał z nas najlepiej i przymierzał się do Konkursu Chopinowskiego — wy macie naprawdę talent.

Nikt w naszej grupie nie był zawistny, koledzy się wzajemnie dopingowali, a nie zwalczali.

— No, byłoby fajnie — dorzucił Wojnar.

— Wy macie inne plany... ja też... — odpowiadał Sztwiertnia.

W samej rzeczy. Nam rola się wtedy kariera wirtuozowska, pianistyczna. Paderewski był naszym idolem, w czym pomagał nam na pewno Brachocki, monografia Landaua,

i film *Sonata księżycowa*. Ja jeszcze dodatkowo interesowałem się jego działalnością polityczną i wahałem się, czy zostać pianistą jak Paderewski, czy premierem jak Paderewski. W tym celu wybrałem po maturze socjologię na Uniwersytecie Warszawskim uważając naiwnie, że aby zostać mężem stanu, trzeba mieć odpowiednie wykształcenie. Sztwiertnia jednak konsekwentnie szedł po wytyczonej linii muzycznej i słusznie. Miał szansę, aby być równie wielkim jak Szymanowski. Tak mi się przynajmniej zdaje. Rozwój jego talentu, studia dalsze w konserwatorium katowickim, wreszcie pierwszy kompozytorski koncert publiczny w maju 1939 roku świadczą, że mogła go czekać europejska kariera artystyczna, gdyby wszystkiego nie przerwała wojna.

Nasza paczka się dramatycznie rozpadła. Kramer zginął w Oświęcimiu. Trombik pono przedostał się do Szwajcarii. Wojnara spotkałem na robotach w Wiedniu, a potem, po wojnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie miał jakąś własną orkiestrę rozrywkową. Janek Sztwiertnia zginął z wycieńczenia w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen. Wakacje 39 roku spędzał w Wiśle. Komponował. Tam zastała go wojna. Ten skromny, najmniej niebezpieczny dla kogokolwiek a zwłaszcza dla Wielkiej Rzeszy człowiek, wielki talent z przeczuwalną tylko wielką przyszłością traci życie, a Polska jedną z nowych możliwych pereł swojej kultury. Mógł uciec, ale się spóźnił. W 1940 r. miał dziwny sen, który opowiadał przed aresztowaniem. Oto widział korowód trumien, a sam znajdował się w jednej z nich. Słyszał dźwięk kajdan, które swymi zgrzytami zbudziły go z koszmarnego snu. Postanowił uciekać, ale nie zdążył. Jego żona wywieziona została do obozu w Birkenau (Auschwitz).

Był moim kolegą najpierw w Szkole Muzycznej im. I. Paderewskiego w Cieszynie, a później filii Konserwatorium Śląskiego w Katowicach, a jednak znałem go mało. Dopiero po wojnie zacząłem zbierać niektóre wspomnienia o nim, jak cząstki rozbitej rzeźby, aby je próbować poskładać. Moje zainteresowania jednak nie miały charakteru muzykologicznego. Raczej było w tym coś osobistego. Usiłowałem w pamięci odtworzyć jego postać — skromną, szczupłą, nieśmiałą, tak kontrastującą z jego muzyką, i lepiej ją zrozumieć. Przypomnę te szczegóły biograficzne o których czasem wspominał gdy czekaliśmy razem na lekcję, albo na połączenie kolejowe w Goleszowie, na drodze z Cieszyna do Wisły.

Dowiedziałem się więc, że urodził się 11 VI 1911 pod znakiem astrologicznym „bliźniąt”, podobno jak Ryszard Wagner, Robert Schuman, Ryszard Strauss, Offenbach... Ojca nie znał. Matkę wcześniej utracił. Jako sierota przygarnięty przez wuja, robotnika z Ustronia, wychowuje się w Hermanicach czas jakiś, razem z... hersztem rozbójników beskidzkich Oskarem Sztwiertnią. Chyba się nie przesłyszałem, ale może stąd niektóre akcenty w jego muzyce?). Inflacja, bezrobocie i głód 1921 r. powodują, że przyjęty dobrowolnie obowiązek utrzymania chłopca przerasta siły robotnika, który od listopada tegoż roku oddany zostaje do ewangelickiego domu sierot w Ustroniu. Po ukończeniu 7 klas szkoły powszechnej z bardzo dobrym wynikiem zdaje egzamin do Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie, które kończy w 1930 r. i obejmuje posadę nauczyciela w góralskiej szkółce ludowej pod Baranią w Wiśle (Równie). Z dala od świata, na pustkowiu, otoczony lasami i wierchami komponuje ze słuchu, intuicyjnie wiele utworów, a jedynym bodźcem to skromna dawka zasad muzyki uzyskana w Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie (Bobrku), gdzie wykładał mój ojciec, oraz radiowy kontakt z salami koncertowymi za pośrednictwem małego kryształowego detektora. Poza tym życie Sztwiertni jest niemal pustelnicze. Sam ze swoimi smutkami i radościami, nieznanymi, pełen tęsknot i pragnień, których wyrazem były jego szerokie zainteresowania i jego muzyka, komponowana często w nocy, w świetle lampy naftowej, przy akompaniamentie górskich wichrów świszczących poprzez szpary drzwi. Instrumentu nie posiadał, pisał ze słuchu. Pamięć muzyczną miał fenomenalną. Potrafił cały utwór przemyśleć w czasie samotnych wędrówek po górach, a po powrocie zapisywał go w takiej samej formie i układzie harmonicznym prawie bez błędów.

Zdawał sobie sprawę ze swoich teoretycznych braków, to też ucząc dzieci góralskie

czytania i pisanie uczy się sam intensywnie z rozmaitych podręczników harmonii, instrumentacji, kontrapunktu. Utwory z tego okresu są na ogół proste, nie wykraczające poza utartą diatonikę Dur i Moll, wykazują pewne braki pod względem formy i stylu, ale każdy z nich jest swoistym wyrazem osobowości utalentowanego kompozytora, który z początku poomacku piął się ku wyżynom twórczości wsłuchany w echa swoich lasów i gór. W 1936 r. zapisuje się do Szkoły Muzycznej im. Paderewskiego w Cieszynie, podniesionej później do rangi filii konserwatorium katowickiego. Tam doszło do naszego spotkania i koleżeńskej przyjaźni. Po maturze i uzyskaniu dyplomu konserwatorium wyjechałem na studia uniwersyteckie do Warszawy, a Sztwiertnia na studia kompozytorskie do Katowic. Jego harmonika i warsztat ulegają wzbogaceniu o nowe formy polifoniczne, zbliżają się do struktur dźwiękowych Hindemitha i impresjonistów. W całości zdążył napisać 619 stron rękopisów różnych pozycji, z których ledwie część ocalała. Po zajęciu Wisły przez Niemców utwory kompozytora, zapakowane w drewnianą skrzynię, zostały wywiezione na Baranią Górę do rodziców żony Sztwiertni. Po jej aresztowaniu przez gestapo i wywiezieniu do obozu koncentracyjnego w Brzezince-Oświęcimiu skrzynię przewieziono do Skoczowa a stamtąd, jak mi opowiadał prof. Jerzy Drozd, przyjaciel Sztwiertni, znalazły się w niezrozumiały sposób we Francji. Te zaś, które ocalały, znalazły się w Bibliotece Głównej Akademii Muzycznej w Katowicach oraz w niektórych zbiorach prywatnych. Jest to wszystko jednak zaledwie cząstka tego, co być mogło — i co byłoby niewątpliwie, gdyby twórczego życia biednego kompozytora z Wisły nie złażała zbrodnicza przemoc.

Tablice pamiątkowe, pomnik kompozytora, artykuły, monografie prace magisterskie utrwalają jego pamięć.

Dla mnie był jak krzemień, niepozorny górski kamień z Białej Wisłki. Na pozór zwyczajny, choć trochę inny od innych, ale gdy go skrzesać, lecą iskry.

Boża Męka

W Pastwiskach, w ogrodzie przylegającym do sklepu spożywczego Gminnej Spółdzielni znajduje się murowana budowla zwana „Bożą Męką”. Podanie mówi, że została postawiona na miejscu bitwy, stoczonej tam 21 kwietnia 1647 r. między wojskami cesarskimi (austriackimi) a Szwedami, podczas której zamorscy żołnierze zostali pobici. Poległych pochowano na miejscu, a na pamiątkę wzniesiono „Bożą Mękę”. (c)

Portret poetki

Emilii Michalskiej poświęcam

w literackim areopagu
portret poetki
talentem z źródła Hipokrene
obdarzonej
szeleści liściem
poetyckich tomików
gromadząc przygody życia
uchwycone
sylabami ludu

niesiona Pegazem
po urokach
ziemi cieszyńskiej
spija rosę traw i zbóż
ożywia pocałunkiem
omszały szafir lasu
gór wierzchołki
i zaklęty skarbów czas

malowane w płótnie
mądrości pełne oczy
zasnuwają się
melancholii echem

wojenny kir
dusi wysuszone gardło
puls serca przyśpiesza
rodzi łyż i łkanie

odzyskana wolność twarz uśmiechem zdoła
spracowanym dłoniom
przywraca promienisty blask

Podwieczorek u arystokratów

Pszczyna była w latach dwudziestych uroczym, pięknie położonym w gaju drzew liściastych miastem. Może dlatego polskie arystokratyczne rody kształciły swych synów w pszczyńskim gimnazjum. Umieszczono ich w specjalnej willi, która znajdowała się wśród drzew w malowniczej części miasta. Był to niejako internat, ale przeznaczony wyłącznie dla młodzieży pochodzącej z arystokracji. Kierownikiem, a także głównym wychowawcą był hr. Iwanowski, gospodynią zaś pewna wdowa po naczelniku stacji, która sprawowała przede wszystkim dozór nad kuchnią. Hr. Iwanowski miał do pomocy jednego stałego wychowawcę, który mieszkał w willi, a także profesorów dochodzących, którzy przed południem uczyli w gimnazjum, a po południu, gdy młodzież odrabiała lekcje byli zatrudnieni w willi.

Był styczeń 1923 r. Mieszkałam wtedy u rodziców w Rychwałdzie, który po I wojnie światowej przypadł Czechosłowacji. Byłam bez zajęcia i jakichkolwiek perspektyw na przyszłość. Obydwie polskie szkoły zostały zamknięte. Mało tego, codziennie musiałam wysłuchiwać czeskich piosenek, które było słyhać ze szkoły — dawniej polskiej, do której uczęszczałam jako dziecko, a w której potem, jeszcze niedawno uczyłam jako nauczycielka pomocnicza. Zamiast modlitwy, którą się w szkołach polskich rozpoczynały lekcje, teraz słyhać było śpiew: *Udzielaj koleczko, moja galaneczko...* Składały się na to dwa aspekty Czeska inteligencja chępiła się otóż ateizmem, więc uważała, że nie należy poprzedzać lekcji modlitwą. Po wtóre, należało nauczyć dzieci jak najprędzej języka czeskiego, którego dotąd nie znały, gdyż w domu mówiło się narzeczem polskim.

W połowie stycznia otrzymałam od wujka dra Ludwika Króla (brata mojej matki, który był lekarzem w Chybiu, a więc w Polsce) — list zapraszający mnie w swoim i żony imieniu na dłuższy u nich pobyt. Oznaczało to wyjazd za granicę, więc pierwszą sprawą było wyrobienie paszportu, co wtedy nie przedstawiało żadnych trudności. Wizę na paszport do Polski otrzymywało się w poskim konsulacie w Morawskiej Ostrawie. Wszystko to odbyło się szybko i łatwo.

Bardzo się cieszyłam, że jadę do Polski zostawiając za sobą gorzkie wspomnienia takich wydarzeń, jak wyczyny czeskich bojówek towarzyszące usuwaniu polskiej ludności, szczególnie z Podlesia, zamknięcie obu szkół polskich, a ostatnio — zajęcie kościoła katolickiego i wygnanie proboszcza, ks. Ferdynanda Niemca oraz wikarego. Kościół zajęli husyci, którzy odprawiali tam teraz swoje nabożeństwa. Katolicy chcący uczestniczyć we mszy świętej musieli jechać koleją do kościoła w Orłowej lub do Bogumina. Kogo nie było stać na kolej, musiał iść piechotą. Nic więc dziwnego, że mój pobyt u wujostwa w Polsce wydawał mi się rajem. Moja piękna, elegancka i obyta w wielkim świecie wujenka Maryla także się cieszyła, że ma we mnie coś w rodzaju damy do towarzystwa.

Wujek miał ordynację w Chybiu, ale ponieważ mieszkanie dla rodziny było tam wilgotne i dosyć ciasne, zakupił parcelę w Mnichu, oddalonym o kilometr od Chybia, gdzie wybudował dużą willę w stylu zakopiańskim, z drzewa. Na prośbę żony, która mudziła się na wsi, parter willi przeznaczył na pracownię wełnianych kilimów. Zakupiono warsztaty, sprowadzono z Krakowa instruktorkę, która znakomicie nauczyła miejscowe dziewczęta całej techniki tkania kilimów. Wełnę sprowadzano z Bielska, z fabryki Grossa. Ważne było dobranie właściwych kolorów w kilimach, co Maryla, mając pewne wrodzone zdolności artystyczne, czyniła tak znakomicie, że zdobyła nawet na wystawie kilimów pierwszą nagrodę.

Oprócz tych obowiązków wujenka Maryla nie zaniedbywała życia towarzyskiego. Wyjeżdżała czasem do Pszczyny, do swojej dobrej znajomej, znanej z piękności pani Piotrowskiej, żony sędziego, który był z kolei przyjacielem wujka. U niej spotkała profesorów gimnazjalnych, którzy pełnili także funkcję wychowawców w willi hr. Iwanowskiego. Oni to, dowiedziawszy się o tej kilimiarni w Mnichu, postanowili ją zwiedzić razem ze swoją podopieczną arystokratyczną młodzieżą.

Maryla zgodziła się na ich przyjazd i ustalono termin. Podróż miała odbyć się koleją, ale aby nie tracić czasu na maszerowanie ze stacji piechotą do Mnicha, wujenka zamówiła u dzierżawców okolicznych dworów pojazdy konne, przeważnie bryczki. Wiedziała także, że młodzi z Pszczyny mieli wyjeżdżać zaraz po lekcjach, postanowiła więc przyjąć ich obiadem. Nakryłyśmy pięknie stół w jadalni. Obok każdego talerza położyłyśmy na serwetce małe bukietki z niezapominajek, co wyglądało bardzo pięknie.

Przybyłych gości, tj. młodzież ze znanymi nam już dwoma profesorami przywitaliśmy na parterze. Następnie wujenka zaprowadziła wszystkich na pierwsze piętro przez pokój klubowy do salonu. Ja jednak bawiłam tam krótko, musiałam bowiem zejść na dół do kuchni, by zadysponować serwowaniem obiadu. Maryla tymczasem przeszła z gośćmi do pokoju stołowego, gdzie wszyscy usadowili się na wskazanych miejscach przy stole.

Gdy wróciłam z kuchni i wszłam do jadalni, zauważyłam, że wszyscy chłopcy mieli przypięte w butonierkach, po lewej stronie owe bukietki z niezapominajkami. Służące przyniosły dwie wazy z świetnym rososem i francuskimi kluskami. Na drugie danie podano kotlety panierowane, jarzyny i deser. Chłopcy musieli być naprawdę głodni, bo jedli z apetytem.

Po obiedzie nastąpiło zwiedzanie kilimiarni. Przy krosnach, czy raczej przy warsztatach siedziały przystojne, schludne dziewczęta z Chybia, Mnicha oraz Zaborza i z uwagą wykonywały powierzone im prace. Każda miała przed sobą wzór kilimu, który musiała przetworzyć na wełnie w odpowiedni deseń. Wzory te projektowali artyści malarze z Krakowa. Sporządzali je na małych kawałkach kartki rysunkowej czy białego wielkości zwykłej widokówki, a czasem nawet mniejsze, malując odpowiednimi kolorami projektowane wzory. Kazali sobie za to dość słono płacić. Taka mała karteczka kosztowała 600 złotych, co równało się wtedy trzymiesięcznej gaży młodego nauczyciela.

Lecz to był dopiero początek. Taki wzór trzeba było powiększyć i przerysować go na duży arkusz, a raczej na pozlepiane zwykłe arkusze kratkowanego papieru w jeden duży, gdyż według ilości krutek liczyła się ilość kładzionych wełnianych włókien. Początkowo powiększał te wzory znajomy nauczyciel Kocur, który wyjechał później na kresy. Przez jakiś czas nie miał kto wykonywać tych powiększeń, ale gdy przyjechałam, widząc zatroskaną wujenkę wzięłam się do powiększania przysyłanych przez artystów wzorów, co mi się nadspodziewanie udawało. Praca w kilimiarni mogła odbywać się dalej zwykłym trybem.

Młodzież z wielkim zainteresowaniem patrzyła, jak zręczne palce kilimiarek podsuwały pomiędzy nitki krosien — osnowy — pasma wełny należytego koloru. Gdy cała linia pozioma była wypełniona, przyciskały nogą pedał, który wprawiał w ruch odpowiednie struny. W ten sposób niejako ścieśniały cały materiał, przyciskały nowo założoną wełnę, aby kilim był gładki. Objasniono również gości, że praca zaczyna się o godzinie ósmej i wtedy przychodzi szefowa (czyli wujenka), by „złożyć” każdej kilimiarence kolory do powierzonego jej do opracowania wzoru. Pracownic było kilkanaście, a każda pracowała przy jednym warsztacie. Jeżeli chodzi o technikę pracy, to były dwa sposoby tkania: w kratkę lub na wskos, ale używano przeważnie tego na wskos, gdyż wtedy linia konturów biegła równo,

podczas gdy z pierwszego sposobu wychodziła linia „zębata”. Zaciekawionym chłopcom pytającym o różne szczegóły chętnie wszystko wyjaśniano.

Okazało się później, że hr. Iwanowski był bardzo zadowolony z tej wycieczki swoich wychowanków i chcąc się zrewanżować za miłe — jak się chłopcy wyrazili — przyjęcie, zaprosił nas do ich willi na podwieczorek.

Zaskoczyło nas to zaproszenie, ale „rewizyta” doszła do skutku. Ale najpierw zastanawianie się: jak tu się ubrać? Maryla, która uchodziła za damę światową i miała pewne rozeznanie w *savoir vivre*, orzekła, że wypada ubrać się na czarno; przecież to będzie spotkanie z arystokracją. No więc ubrałyśmy się w eleganckie, niedawno uszyte w „Salonie mód” w Białej czarne suknie z jedwabnej krepy i pojechaliśmy do Pszczyny. Tam czekali nas na dworcu nasi znajomi profesorowie Chwierut i Kotowicz, którzy zaprowadzili nas do willi, gdzie mieszkała wspomniana młodzież.

Pan hr. Iwanowski — jako gospodarz — przyjął nas z wielką atencją. Miał prawdziwie arystokratyczny wygląd: był wysoki, szczupły i bardzo szarmancki w obęściu. Poprosił nas do salonu, gdzie zaczął rozmowę od podziękowania wujence za bardzo sympatyczne — jak twierdziła młodzież — przyjęcie jej w Mnichu. Zafrapowało mnie w jego wymowie *grasejowanie*, tj. wymawianie spółgłoski „r” nie jako przedniojęzykowo-dziąsłowej, ale jak „h”, co było często spotkaną cechą u arystokratów. Można się w tym doszukać wpływów francuskich; to Paryż przecież nadawał ton kulturze dworskiej i sferom arystokratycznym. Po dalszych dosyć oficjalnych krótkich rozmowach przeszliśmy do pokoju stołowego.

Tam znajdowali się wszyscy wychowankowie, których hrabia zaczął nam po kolei przedstawiać. Padały nazwiska polskich arystokratów, znane mi z historii, ale byli również nieznanie. Potem zasiedliśmy wszyscy do podwieczorku.

Teraz można się było lepiej przypatrzeć wszystkim podopiecznym hrabiego, których było ze dwudziestu albo i więcej. Siedzieli wszyscy przy długim stole, a raczej było to chyba ustawionych na długość kilka stołów. Na samym końcu było na szerokości stołu miejsce tylko na dwie osoby. Widocznie musiało to być „najwyższe” honorowe miejsce, bo zajmowali je dwaj ośmioklasiści (mający w czerwcu zdawać maturę): książe Janusz Radziwiłł i Stanisław Czetwertyński. Cała reszta siedziała po obu stronach tego długiego stołu. My natomiast z hrabią i profesorami siedzieliśmy przy osobnym stoliku, nakrytym innym obrusem, ale przysuniętym do długiego stołu, tak że Radziwiłł z Czetwertyńskim byli *vis a vis* nas, co było świetną okazją do obserwacji. Otóż Janusz Radziwiłł był jak gdyby wiernym odbiciem swego przodka, opisywanego w *Potopie* przez Henryka Sienkiewicza. Siedział sztywny, z dumnie podniesioną głową, nawet nie bardzo raczył się uśmiechać. Zupełnym jego przeciwieństwem był Stasio Czetwertyński: wysoki, bardzo piękny szatyn z pięknymi ciemnobłękitnymi oczyma, z świeżą, prawie dziewczęcą cerą, bardzo uśmiechnięty, bez żadnej sztucznej pozy. Był tam także jego młodszy brat, również ładny i sympatyczny, siedzący wśród młodszych rówieśników oraz cała reszta, której nie sposób tu wymienić. O jednym z nich, zdaje się że o Zamojskim — profesorowie opowiadali, że ma talent literacki, pisze bowiem pięknie i ciekawie wypracowania szkolne, np. w zadaniu na temat — Jak spędziłem wakacje? — opisuje w sposób bardzo humorystyczny pobyt w jakimś starym zamku, gdzie gnieździły się sowy i myszy.

Pięknie nakryty stół był zastawiony półmiskami z szynką, wędlinami, pasztetem. Pamiętam, że był także salceson. Następnie były wypieki ze słodkiego ciasta, z których słynęła wtedy Pszczyna. Po skonsumowaniu tych przysmaków, na koniec przyjęcia młodzi biesiadnicy poprosili o lody, motywując to tym, że przecież już jest ciepło na dworze, więc czas na lody. Rzeczywiście był maj i panowała słoneczna pogoda.

— No to musicie poprosić ciocię — powiedział hrabia. „Ciocią” młodzież

nazywała gospodynię. Była właśnie obecna, bo przyszła zapytać, czy nam smakowało i czy jeszcze czego nie potrzeba.

Oczywiście, że Ciocia się zgodziła i poszła do kuchni, by wydać odpowiednie polecenia. Trzeba było tylko jakiś czas poczekać. Służba zaczęła sprzątać ze stołu, a my tymczasem rozmawialiśmy. Aby wprowadzić trochę urozmaicenia, Maryla przeszła do pianina, które znajdowało się w tym pokoju i grała różne znane i modne wtedy piosenki, niektóre nawet śpiewała.

Wreszcie lokaj przyniósł z kuchni dużą białą miednicę pełną apetycznie wyglądających kremowych śmietankowych lodów. Drugi lokaj przyniósł talerzyki deserowe i małe łyżeczki. Ciocia z jednym lokajem nakładali na talerzyki porcje lodów, a drugi lokaj je roznosił. Gdy wszyscy już otrzymali przysmak, zabraliśmy się do konsumowania. Nabrałam pełną łyżeczkę, podniosłam do ust, lecz nie dało się tego przełknąć, bo kucharz się pomylił i zamiast miękkiego cukru — wysypał soli!

Można sobie wyobrazić konsternację hrabiego-gospodarza, który częstuje gości lodami z solą! A także rozpacz gospodyni, odpowiedzialnej przecież za kuchenne wyczyny. Obydwie z Marylą starałyśmy się ułagodzić i zbagatelizować całą sprawę tłumacząc, że my jako kobiety obeznane z kuchnią, wiemy, że takie rzeczy się zdarzają.

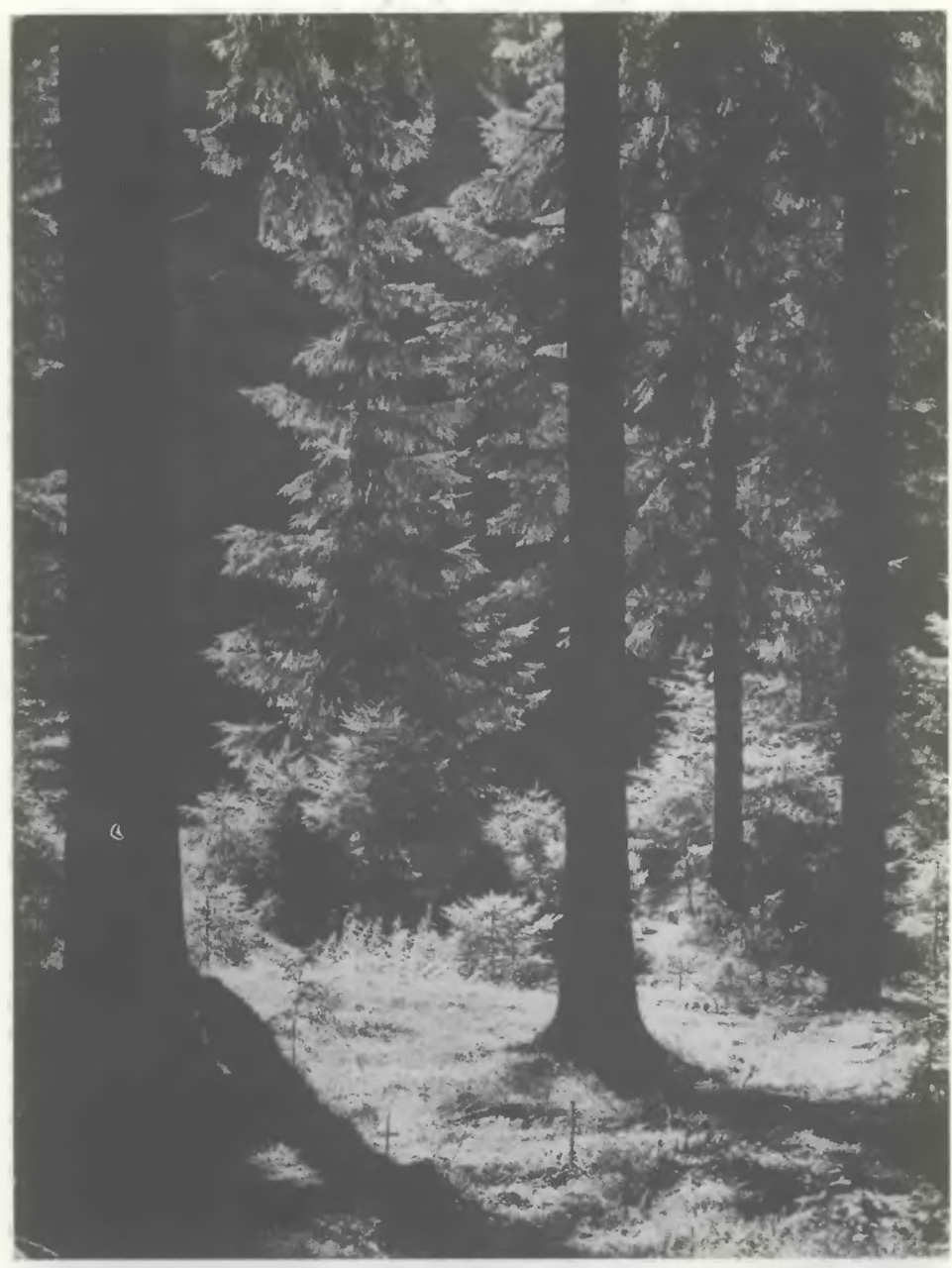
Wstaliśmy od stołu dziękując, ale bez praktykowanego ówczesznie *cercle*, jako że ogół biesiadników nie był pełnoletni, no i było ich za dużo.

Aby uprzyjemnić nam wizytę poproszono nas do pięknego ogrodu, gdzie kwitły już wiosenne kwiaty. Tutaj, w otoczeniu przyrody młodzież zachowywała się swobodnie, ale kulturalnie nawet w najmniejszym stopniu nie dając nam odczuć, że nie jesteśmy z ich sfery. Nawet książę Janusz uśmiechał się wesoło. Przyszło mi wtedy na myśl, że widząc go przy stole niesłusznie oceniłam jego minę jako wyraz pychy. Mógł to być wyraz powagi, z czego należy wysunąć wniosek, by nie oceniać charakteru człowieka od pierwszego wejrzenia i wrażenia.

Wujenka Maryla usiadła z hr. Iwanowskim i profesorami na ławce ogrodowej, mnie zaś otoczyła młodzież wskazując krzaki pięknego szlachetnego bzu. Nawet nie wiem, skąd młodzież zaopatrzyła się w ogrodowe nożyce, którymi najstarsi tj. Janusz Radziwiłł i Staś Czetwertyński poczęli obcinać gałązki różowego i ciemnofioletowego oraz białego o pełnych kielichach bzu. Dodali do tego wiązkę białych narcyzów i uformowali piękny bukiet, który mi wręczyli z umiechem wymawiając przy tym jakieś grzecznościowe formuły w sposób bardzo szarmancki. Bardzo się ucieszyłam, bo zawsze lubiłam kwiaty no i serdecznie im podziękowałam, bo byłam naprawdę wdzięczna za ten kurtuazyjny gest. A w ogóle tutaj w ogrodzie można było sobie swobodniej z nimi porozmawiać, tym bardziej, że byliśmy prawie w równym wieku — byłam nie bardzo wiele od nich starsza.

Trzeba przyznać, że całe przyjęcie było nad wyraz sympatyczne, miłego nastroju nie popsuky nawet słone lody, wręcz przeciwnie: w rozmowach w ogrodzie ewenement ten był powodem żartobliwych uwag i śmiechu. Nasi gospodarze robili wszystko, abyśmy mogły zachować miłą o nich pamięć. I tak się rzeczywiście stało: wracałyśmy z pięknym pachnącym bukietem i miłymi wspomnieniami. Kwiaty wprawdzie zwiędły, ale pozostały wspomnienia...

THE JOURNAL OF THE ROYAL ANTHROPOLOGICAL INSTITUTE



Dlaczego zginął pułkownik

Przyczynił się do tego Józef Ostafin, o którym trzeba powiedzieć kilka słów. Człowiek ten urodził się w chłopskiej rodzinie, w podkrakowskiej miejscowości. Nie korzystając z czyjejkolwiek pomocy ukończył akademię rolniczą w Dublanach. Jako inżynier rolnik objął kierownictwo szkoły rolniczej w Krośnie. Zajął się także polityką i został wybrany posłem ziemi krośnieńskiej. W sejmie spotkał się ze swoim kolegą, ślepym posłem Wagnerem, który poprosił Ostafina, by mu służył za przewodnika. Inżynier nie odmówił. Wkrótce przyzwyczajono się do tego, że ślepego Wagnera prowadzi Ostafin.

Pewnego popołudnia w marcu 1939 r. Wagner zatelefonował do Ostafina prosząc, by ten natychmiast przyszedł do niego. Pokazał Ostafinowi zaproszenie na spotkanie organizowane przez pułkowników o północy w podziemiach Banku Gospodarstwa Krajowego, którego gospodarzem był zaprzyjaźniony z pułkownikami generał. Obydwaj posłowie postanowili udać się na spotkanie, choć Ostafin nie miał zaproszenia. Na szczęście kontrolujący wchodzących przyzwyczaili się, że Wagner i Ostafin chodzą razem i wpuścili ich. Zebraniu przewodniczyli pułkownicy Matuszewski i Modzelewski. Przekonywali, że Hitler szykuje się do ataku na Polskę, a rządząca ekipa jest za słaba, by się niebezpieczeństwu przeciwstawić. Należy zatem ująć ster władzy w silne, pułkownikowskie ręce. Może to zapewnić zamach stanu. Mościckiego winien zastąpić Sławek, zaś premierem należy uczynić Modzelewskiego. Konkretnie plany postanowiono przechować u pułkownika Sławka, który w zebraniu nie uczestniczył, ale do którego postanowiono się udać nazajutrz.

Posłowie wrócili zbulwersowani tym, co usłyszeli. Wagner zwrócił się do Ostafina. Wymienił nazwę kościoła, w którym o szóstej rano zasiada w konfesjonale ks. Humpola, kapelan prezydenta. Poprosił, by Ostafin poszedł do niego i poinformował go o wydarzeniach minionej nocy. Tak się też stało. Ks. Humpola był zaskoczony dziwnym petentem i chciał go skontaktować z prezydentem, lecz Ostafin odmówił uważając, że może być śledzony.

Mościcki, dowiedziawszy się, co zaszło, odwiedził marszałka, mimo że byli z sobą poróżnieni. Postanowiono zrobić u pułkownika Sławka rewizję. Po ujawnieniu dokumentów pułkownik, czując się skompromitowanym, popełnił samobójstwo. Natomiast Ostafin został odznaczony; wiele osób dziwiło się, za co.

W dniu 6 września 1939 r. tenże Ostafin udał się do premiera Sławoja-Składkowskiego. Spotkał go powracającego z narady z marszałkiem Śmigłym. Zapytał, co będzie. „Pakujemy się” — usłyszał w odpowiedzi. Premier wydał polecenia i pojechał do domu. Wrócił po chwili samochodem, w którym siedziała jego żona, trzymająca na kolanach klatkę z kanarkiem. Po chwili cała kolumna ruszyła na wschód. Ostafin udał się samochodem do Lwowa, Stanisławowa i Tarnopola rozpytując tamtejszych wojewodów, jak są przygotowani do wyżywienia milionów ciągnących na wschód ludzi. Powiedzieli, że nie mają żadnych instrukcji. Wyśmiał ich, że w takiej sytuacji czekają na papierki, co skłoniło ich do działania.

Ostafin przyłączył się do akcji gen. Tokarzewskiego i został wspólnie z nim aresztowany przez NKWD. Przysłuchującego radzieckiego oficera zdołał jednak przekonać, że akcja jego i Tokarzewskiego ma na celu zmontowanie bloku słowiańskiego przeciw germańskiemu i został wypuszczony na wolność. Na Boże Narodzenie 1939 r. znalazł się w Krakowie, u rodziny, którą tam pozostawił. Z początkiem 1940 r. przyszedł do mojego kolegi, mgr. inż. Karola Czernera,

z którym się przyjaźnił od czasu odzyskania Zaolzia. U tegoż K. Czenera, nabrawszy do mnie zaufania, Ostafin powierzył mi swoją tajemnicę związaną ze Sławkiem upoważniając do jej ujawnienia w czasie, który uznaję za stosowny. Zginął chyba w r. 1949, po ucieczce Mikołajczyka.

Ponieważ rozpocząłem 88 rok życia, pora pomyśleć o tym, by przekazać to, co wiem, potomnym. Wybrałem do tego celu „Kalendarz Cieszyński”. Ręczę za prawdziwość relacji.



Ślązaczka. Rzeźba Henryka Nitry. Fot.: Franciszek Bałon.

Wspomnienia z karwińskiej Barbary

I

Mój związek z kopalnią Barbara, największym zakładem Towarzystwa Górniczo-Hutniczego w Karwinie był poniekąd naturalny. Wywodziłem się bowiem z rodziny górniczej, tu pracował mój ojciec, starszy brat i wielu sąsiadów z mojej wioski. Prawda, że rodzice wymarzyli sobie dla swoich synów inny los, ale marzenia o gimnazjum prysnęły w dniu 1 września 1939 r. i niedługo okazało się, że dla mnie, młodego Polaka istnieją dwie możliwości: czekać na wywózkę do Rzeszy, względnie zatrudnić się w kopalni. I tak zostałem górnikiem.

Pierwsze kontakty z kopalnią i górniczym środowiskiem łączyły się z wielu stresującymi sytuacjami. Pierwszą było spotkanie się z *kąpielem*, czyli kopalnianą łaźnią i szatnią. Ów *kąpiel* to była ogromna hala pełna swoistych oparów i gołych mężczyzn, wśród których spotykało się swoich szacownych sąsiadów i osoby bliskie w stroju adamowym. Obrażały poczucie przyzwoitości rzędy niczym nie maskowanych i publicznie eksploatowanych ustępów, podobnie jak brutalny język twardej, męskiej społeczności. W sumie za dużo wrażeń dla piętnastoletniego chłopca wychowanego w atmosferze wiejsko-parafialnej. A trzeba było w tym tłumie obcych, ciągle spieszących się ludzi wykazać się pewną odpornością i przebojowością. Należało zdobyć wolny wieszak, przebrać się, zabezpieczyć ubranie i zgłosić się w miejscu pracy. Dobrze, że znaleźli się życzliwi ludzie, którzy w sposób skuteczny pomogli.

Zgontę z obowiązującymi zasadami nowoprzyjęty, młody górnik pracował przez trzy dni na powierzchni, by zapoznać się z tą częścią swojego zakładu i przygotować się do zjazdu w jego podziemia. Pierwszą szychtę, w dniu 17 grudnia 1940 r. spędziłem w magazynie oddziału technicznego pod opieką pana Brzeziny, porządnego majstra, przyjaciela ojca. Segregowałem śrubki, czyściłem trocinami bańki po oliwie. Na zakończenie odbyła się rozmowa z kierownikiem oddziału maszynowego sztygarem Tomanem — jedyna rozmowa ze zwierzchnikiem o charakterze informacyjno-wychowawczym w czasie mojej pracy w kopalni.

Drugi dzień pracowałem na placu drzewnym. Przenosiliśmy belki z kolejowych wagonów na stosy, ładowaliśmy drewno ze stosów na kopalniane wózki. Grupa robotników na składzie drewna zdominowana była przez młodych, polskich inteligentów z Karwiny i okolicy. Rozmawiano tu najczęściej językiem literackim, a nie gwarą, tematyka rozmów też zdradzała inteligenckie zainteresowania. Postacią znaczącą w tym zespole był Ernest Sembol, po wojnie prezes Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji, poseł do parlamentu w Pradze. Jako wychowawca z prawdziwego zdarzenia zainteresował się dwoma przybyłymi chłopcami i podszedł do mnie oraz do towarzyszącego mi Zbigniewa Chlebika. Pytał nas o losy nauczycieli z naszej gminy, w tym ojca mojego kolegi Zbysia oraz o Erwina Wajnera, znanego Sembolowi z seminarium nauczycielskiego. Niestety, nie mieliśmy dobrych wiadomości: Robert Chlebig zginął w Gusen, zaś Erwin Wajner, śmiertelnie chory, zwolniony został z obozu koncentracyjnego i niedługo umarł.

Trzecią szychtę wypełniło bezsensowne pętanie się po warsztatach, co przy braku umiejętności dekowania się z naszej strony doprowadziło do przykrego starcia z warsztatowym majstrem, który poza obraźliwymi uwagami, na nic więcej się nie zdobył.

Od czwartej zmiany pracowałem już na dole. Po przeczytaniu listy górników w olbrzymiej cechowni szychtmajster Michnik przydzielił mnie do grupy robót kolejowych. Likwidowaliśmy zniekształcenia torów wskutek ruchu górotworu, jak i uszkodzenia wynikające z wykojeń. W naszym kilkunastoosobowym zespole panował swojski, przyjazny klimat, do którego jednak nie bardzo przystawał nasz brygadzysta Rudolf. Sam robotnik, wyprosił zamiast lampy górniczej typowy dla sztygara reflektor i grał rolę *sztajgra* w każdym calu. Na powierzchni paradował w brązowym mundurze SA. Jego sąsiedzi z robotniczego osiedla stwierdzali, iż w jego *olmaryji* znajduje się też mundur czeskiego sokoła i polskiego strzelca.

W kwietniu 1940 r. skierowano mnie do ściany w pokładzie 29. Można to było uznać za włączenie młodego pracownika do najważniejszego w kopalni rodzaju pracy, a więc do bezpośredniego pozyskiwania węgla. Jednak ową nowotworzoną ścianę nazywano *ścianą polską*. Panowały tam bardzo niedobre warunki geologiczne, pełno było uskoków utrudniających wydobywanie. I właśnie tam, zgodnie z powstałą wtedy polityczną modą w górnictwie całego Górnego Śląska postanowiono stworzyć oddział, którego celem miało być szykanowanie górników posiadających odwagę przyznawania się do narodowości polskiej. Ciężkim warunkom pracy towarzyszyć miały głodowe płace, atmosfera nagonki politycznej i technik znanych SS-manom.

Załoga *polskiej ściany* składała się prawie wyłącznie z kadrowych górników oraz z miejscowej młodzieży wdrożonej już w rytm górniczej pracy. Taki zespół dobrze sobie radził nawet w trudnych warunkach. Wyodrębniona grupa polskich górników dobrze czuła się w tym zespole, znała swoją zawodową wartość i narodową godność. Jej samopoczuciem nie mogło zachwiać kilku szowinistycznych agitatorów. Tymczasem okazało się, że przerzucenie ponad dwu setek kadrowych górników do *ściany polskiej* spowodowało istotne ograniczenie zdolności wydobywczych innych oddziałów i osłabiło produkcyjny potencjał kopalni.

Latem 1941 r. rozpoczęły się walki na froncie wschodnim. Wobec gwałtownie wzrastających potrzeb wojennych władze niemieckie, musiały zrezygnować z politycznych intryg, nieporządnie jątrzących i obniżających potencjał wydobywczy kopalń. Po latach znalazłem w katowickim archiwum pismo z centralnych władz w Berlinie, zalecające wycofanie się z tworzenia takich oddziałów jak *polska ściana*. Argumentacja autorów pisma odwoływała się do podanych wyżej racji.

Moje spotkanie ze ścianą, a więc oddziałem wydobywczym, w którym w sposób najpełniejszy ujawniała się istota górniczego trudu, stanowiło kolejny szok. Grozę budziło już samo środowisko — otchłań o długości około dwustu i szerokości około dziesięciu metrów, wypełniona tumanami pyłu, przez który mimo wszystko jakoś przebijало światło licznych, dodatkowo zainstalowanych lamp, ciągły grzmot ponad trzydziestu młotów pneumatycznych oraz ryk kilku turbin napędzających przenośnik, składał się na pierwsze, paralizujące wrażenie. Owa otchłań wypełniona była dziesiątkami czarnych od pyłu i wilgotnych od potu mężczyzn miotających się w szalonym rytmie pracy wśród nieznanymi mi urządzeń.

Zaopatrzone mnie w łopatę i polecono ładować węgiel na przenośnik. Praca była jednostajna i męcząca, tym bardziej, że przenośnik znajdował się na wysokości mojej głowy. O odpoczynku, a nawet o rozprostowaniu się nie było mowy. Działał system ciągłego utrzymywania rytmu pracy, pilnowany nie tyle przez sztygarów, którzy w tej sprawie obojętnymi nie byli, co raczej przez rębaczy i sąsiadów odpowiedzialnych za wykonanie wyśrubowanych zadań i wybrania węgla z powierzonego im odcinka pokładu. Niewywiązujący się automatycznie przerzucał

swoje obciążenia na innych, stąd nie było sentymentów. Przy czym nie była to cecha *polskiej ściany*, ale pracy w oddziale wydobywczym w ogóle. Słabeuszy nie tolerowano, a ponieważ nim byłem, nie było lekko. Twarde realia nie przeszkadzały w nawiązywaniu znajomości, a nawet bliskich przyjaźni. W tej ścianie poznałem, Alfreda Ożanę, później prokuratora w Cieszyńsku oraz szereg innych kolegów, spotykanych po wojnie w okresie studiów i przy okazji innych kontaktów po obu stronach Olzy.

Po oficjalnym odcięciu się kopalnianych władz od pomysłu tworzenia *polskiej ściany* i proklamowaniu jej równouprawnionym oddziałem przedsiębiorstwa, załogę dawnej *polskiej ściany* przesuwano do innych oddziałów, a część, wzmocnioną przybyszami z zewnątrz, pozostawiono w pokładzie 29. Również mnie, pewnie w lipcu 1941 r., przemieszczono i skierowano *pod szachtę*. Być może, zadecydował o tym przepis prawny zabraniający eksploatacjom młodzieży poniżej osiemnastego roku życia w oddziałach wymagających największego wysiłku fizycznego.

Pod szachtą, bo tak nazywano oddział organizujący wydobywanie pod szybem głównym zostałem po kilku przymiarkach do różnych stanowisk roboczych pomocnikiem w obsłudze kopalnianej lokomotywy. Zajęcie to, oceniane przez ścianowych górników jako forma dekowania się przed ciężką pracą, wiązało się z mnóstwem bieganiny, ze spinaniem i rozpinaniem kopalnianych wozów, przekładaniem zwrotnic, przetaczaniem składów i związaną z tym sygnalizacją, funkcją hamulcowego, wreszcie z likwidowaniem wcale nierzadkich wykolejeń.

Z maszynistami Guziurem, Siąkałą, Krzempkiem, Łamaczem i Halamą odbywaliśmy kilkukilometrowe kursy po węgiel do urządzeń zsypowych pod ścianami, rozwoziliśmy materiały do obudowy. Czas, rozliczany nie w tysiącach jednostajnych machnięć łopata, ale w ilości zaliczonych kursów, mijał szybko. W czasie postoju były okazje do gawęd, w których ważne miejsce zajmowały wydarzenia wojenne, w tym wieści o sprawie polskiej pochodzące najczęściej z radiowego nasłuchu.

Stopniowo wrastałem w kopalnianą społeczność, zyskiwałem sympatię i przyjaźń kolegów, wyzbywałem się naiwnej łatwowierności. O swoich zwierzchnikach wiedzałem niewiele. Wiadomo było, że jest *betriebsführer* — najwyższa władza w kopalni, ale już jego nazwisko podobnie jak nazwiska i tytuły innych figur z kierownictwa znane nie były, zbyt wielki dystans dzielił ich od szeregowego robotnika. Z konieczności znany nam był *betriebsobmann* — szef DAF — Niemieckiego Frontu Pracy — hitlerowskiego związku zawodowego. Nazywał się Warcecha (czytaj Warcecha), pochodził z Rybnickiego i w skomplikowanych sytuacjach wygłaszał do nas w cechowni przemówienia, zaczynające się z reguły od słów: „Kamracio, dejcie se pozor...” Oceny tych mów przez górników ze względów cenzuralnych przytoczyć nie mogę. Ten rzekomy nasz przedstawiciel był funkcjonariuszem niemieckiego państwa i cechował się typowym dla tej kategorii ludzi brutalnością.

Podobne cechy posiadał *sychtmaister* Michnik, decydujący na codzień o obsadzeniu stanowisk pracy. Na pewno był jednym z inicjatorów intrygi pod nazwą *polska ściana*. Z pochodzenia Karwiniak, był oddanym Niemcom naganiaczem. Włączał się również do konkretnej działalności politycznej. 22 czerwca 1941 r. zapowiadał rychłe załamanie się *kolosa na glinianych nogach* na wschodzie. Gromił mojego ojca, kiedyś austriackiego żołnierza, z racji odrzucenia *volkslisty*. Ten sam wątek, pewnie w ramach zorganizowanej akcji, podejmował też mój bezpośredni zwierzchnik — przybyły z Rzeszy sztygar Fritsch, paradujący na powierzchni w mundurze SS. Nakłaniał mnie, w długiej mowie pełnej rzekomej troski o mój los, do napisania pisemnego sprzeciwu wobec decyzji ojca, gdyż jego zdaniem konsekwencją odrzucenia *volkslisty* będzie skazanie mnie po wojnie na nędzną wegetację w polskich bagnach.

Spośród pozostałych sztygarów zachowały się w mojej pamięci dwie postacie. Byli to odsunięci na boczny tor dwaj *szichtmajстры* — Polacy Chmiel i Przeczek. W ich działaniach widoczny był brak pośpiechu, rozważa połączona z fachowością i poczuciem odpowiedzialności za ludzi, kopalnię, pracę, budzili respekt i zaufanie. Obaj, podobnie jak sztygarzy Ożana, Wójtowicz i inni wywodzili się z polskiej szkoły sztygarów w Dąbrowej.

III

Urozmaiceniem mojej robotniczej egzystencji była obowiązkowa nauka w Górniczej Szkole Zawodowej. Mieściła się ona w przedwojennym Domu Proletariusza w okolicy szpitala górniczego w Karwinie. Spotykaliśmy się co dwa tygodnie w ponad 30-osobowym zespole młodych górników z Barbary, Gabrieli i Hohenegger. Przeważali Polacy i Czesi, gdyż niczym nie różniących się od nas posiadaczy *volkslist* bezlitośnie wchłaniał *Wehrmacht*. Na zajęcia przychodziliśmy chętnie, gdyż dzień tu spędzony gwarantował zdrową kość, a więc odpoczynek od fizycznej harówki. Powstawała też możliwość dłuższego snu, gdyż do szkoły chodziło się na godzinę ósmą, a nie na piątą.

Kadra szkoły, poza doraźnie dochodzącymi z Gabrieli nadsztygarami, którzy prowadzili zajęcia z zakresu eksploatacji kopalń, składała się z czterech osób — kierownika, dwu nauczycieli i trenera. Postacią centralną był kierownik wyszkolenia (*ausbildungsleiter*), sztygar z wałbrzycha Hans Mücke, Niemczykso wierzące szczerze w misję hitleryzmu. Poza nauczaniem elementów geologii i teorii górnictwa, Mücke wytrwale zabiegał o pozyskanie nas dalekich od niemieczyny, dla zamierzeń III Rzeszy. Robił to inteligentnie, bez pruskiej buty. Kreślił wizję nowego porządku w Europie, wyrażał szacunek dla naszego trudu, przekonywał, iż po wojnie i nam, w zamian za rzetelną pracę będzie dane uzyskanie praw Niemców. Za przykład stawiał naszych kolegów służących w *Wehrmachcie*. Symptodem nowego ładu był dla niego odznaczony Żelaznym Krzyżem I klasy *freiterze* Stonawy. Postacią zaś szkodliwą, destrukcyjną — Czech, fryzjer z Pietwałdu.

Kolejnym wykładowcą był *oberlehrer* Kubaczka, Polak, który dzięki *volkslist*cie jakoś uniknął obozu koncentracyjnego, a ponieważ w czasach austriackich ukończył niemieckie seminarium nauczycielskie, uczył języka niemieckiego. Odczuwaliśmy, że niedobrze mu w tej roli, tym więcej, że opracowywana tematyka obojętną politycznie nie była. Z racji jego wewnętrznych oporów wobec tej tematyki, nam też właściwych, był nam bliski.

Inaczej było z *hauplehrerem* P. — ślązakowcem spod znaku Koźdonia, który w sposób natrętny starał się nam imponować *byczym okiem*, czyli odznaką hitlerowskiej partii. Jego przedmiot to *Reichs und Heimatkunde*, a więc nauka o Rzeszy i rodzinnych stronach. Brak mu było wychowawczego taktu Hansa Mücke, a pewnie też jego wiary oraz złudzeń. W lokalnej hitlerowskiej partii P. był jakimś *leitrem* niższego szczebla i nie miał pewnie powodów do zachwycania się zbrodniczymi dokonaniem ruchu, któremu służył.

Całość ekipy uzupełniał *sportleiter* Malina — z zawodu działacz sportowy, Czech, pewnie z jakąś *volkslistą*. Podzielał nasze niezadowolenie z faktu wyeliminowania z karwińskiego klubu piłkarskiego — Matejki — popularnego bramkarza karwińskiej „Polonii”, ze względu na polską narodowość. W parku przed szpitalem górniczym, jak i w małej salce gimnastycznej wprowadzał w razie niepogody nas Malina w arkana lekkoatletyki oraz boks. Chętnie i ciekawie teoretyzował na temat piłki nożnej.

O poziom naszych umysłów oraz wiedzy zawodowej specjalnie się nie troszczo-
no; większe sukcesy w tym zakresie utrudniała nasza mierna na ogół znajomość

języka niemieckiego. Za najważniejszą sprawę uważano polityczną indoktrynizację. Na zakończenie dwuletniej z nami pracy *hauptlehrer* P. tak ujął istotę potrzebnej nam wiedzy politycznej. Życie jest piękne i warto żyć, stąd lepiej interesować się dziewczynami, a nie polityką. Znając zaś rzeczywistość kierować się trzeba nie romantycznymi fikcjami, lecz starym wojskowym powiedzeniem austriackim: *Maul halten weiter dienen*, czyli trzymać mordę i służyć.

Natomiast Hans Mücke złudzenia, co prawda prawomyślne, kontynuował. U schyłku czerwca 1943 r., z okazji zakończenia dwuletniej nauki, zgromadził nas opodal wieży wyciągowej Barbary i w atmosferze nawiązującej do stanowych tradycji górniczych żegnał się z nami, wręczając nam dyplomy kwalifikowanych górników. Otrzymali je posiadacze *volkslist* oraz Czesi; Polakom musiał wystarczyć uścisk dłoni oraz zapewnienie, że dyplom na nich czeka i zostanie nam wręczony po uzyskaniu *volkslisty*. Ponieważ nigdy ten zaszczyt mnie nie spotkał, wśród moich dyplomów brak tego, który stwierdza moje górnicze kwalifikacje zdobyte w karwińskiej *Bergmännische Berufsschule*.

IV

Prowadzona przez III Rzeszę wojna rodziła ogromne zapotrzebowanie na węgiel. Pod naciskiem racji wojennych lekceważono wymogi techniczne, nie liczone się z ludzkim zdrowiem i życiem, czego drastycznym przykładem była zbrodnicza eksploatacja biologicznych sił radzieckich jeńców wojennych i robotników ze wschodu określanych łącznie jako Ukraińcy. Cel był jeden — węgiel, dużo węgla i to w tej chwili.

Skutki owej rabunkowej eksploatacji przejawiały się w gwałtownym pogorszeniu technicznych warunków pracy, co dla mnie przejawiało się głównie w postaci zrujnowanych chodników i torów kolejowych. Piętrzącym się zniszczeniom nie były w stanie sprostać ekipy remontowe. Mnożyła się ilość awarii, coraz więcej czasu spędzaliśmy na likwidacji skutków wykolejeń. Coraz więcej było szpiclów dopatrujących się we wszelkich zaburzeniach rytmu pracy świadomego sabotażu, który miał miejsce, jednak nie tam, gdzie go szukano. Generalnie sprzyjało mu powszechne lekceważenie technologii eksploatacji złóż, będące wynikiem pogoni za wydobyciem większym niż możliwe. Mnożyły się nieszczęśliwe wypadki.

W piątek 13 października 1943 r. na popołudniowej zmianie odwoziliśmy z Augustem Halamą węgiel z pokładu 31. Prowadzący do zlokalizowanej w tym pokładzie ściany przekop południowy w wyniku stosowanej techniki zamulania wyrobisk metodą podsadzki płynnej oraz w konsekwencji braku urządzeń odwadniających przypominał koryto płynącej rzeki. Brodziłem w tej wodzie pilnując prawidłowości ustawienia zwrotnic kolejowych, nieraz przewracałem się i wpadałem w błotnistą topiel. Pracowaliśmy w takich warunkach szereg miesięcy. Jednak w ów fatalny piątek trzynastego poślizgnąłem się na podwodnej skarpie i upadłem tak, że prawa stopa została zmiażdżona przez lokomotywę i nieoczekiwanie znalazłem się w górniczym szpitalu w Karwinie. Ów szpital, mieszczący się w starym, wyeksploatowanym i mocno zapluskwionym budynku miał charakter uniwersalnej środowiskowej lecznicy, ale dominowała w nim chirurgia, z przewagą chirurgii urazowej, o czym decydował napływ ofiar z licznych nieszczęśliwych wypadków w karwińskich kopalniach. Dyrektor dr Sitka, cieszył się ponurą sławą lekarza-hitlerowca. Największym autorytetem wśród pacjentów i personelu cieszył się doktor Bienias, Polak z Żywiecczyny. Miłą postacią był student krakowskiej medycyny Marciniak, jak i dzielne siostry Elżbietanki. Gościem szpitala był kapitan *luftwaffe* Hartmann, chirurg, który w Karwinie widocznie miał większą możliwość kontaktu z połamancami niż wśród lotników. To jemu powierzono poskładanie i pozszywanie mojej stopy. Okres szpitalnego leczenia po wypadku

trwał prawie trzy miesiące, następne trzy przebyłem w domu. Na kopalnię wróciłem wiosną 1944 r. z nieodłączną łaską w dłoni. Próbowano mnie zatrudnić na dawnym miejscu pracy, ale skończyło się kolejnym wypadkiem, tym razem był to uraz głowy. Po kolejnych okresach leczenia osadzono mnie w kopalnianym warsztacie, gdzie przetrwałem do końca wojny.

W czasie pobytu w szpitalu obserwowałem przywożone tu ofiary nieszczęśliwych wypadków. Były urazy głowy z trwającym tygodniami stanem utraty przytomności, były zgony. Widziałem straszliwe w skutkach złamanie kręgosłupa i trwającą w wyniku tego wielomiesięczną wegetację, zmiażdżenia miednicy i związane z nimi wielomiesięczne męki ludzi zawieszonych na wyciągach, urazy kończyn i towarzyszące im amputacje. Drogo płaciliśmy za miliony ton węgla wydzierane naszymi rękami z naszej ziemi nie dla naszej sprawy. Do tego jest pewne, że w sumie jeszcze większe spustoszenia, niż górnicze urazy czyniła codzienna, systematyczna eksploatacja witalnych sił załóg, wyrażająca się w szalonym rytmie pracy, dniu pracy, trwającym łącznie z wymuszonymi dodatkowymi godzinami i dojazdami, grubo ponad 12 godzin, praca bez niedzielnego wypoczynku w rytmie dwutygodniowym, często bez wolnej niedzieli w ciągu miesiąca, przy niedostatecznym wyżywieniu. Rujnujące skutki tego wyniszczenia ujawniły się po wojnie. Wielu moich towarzyszy pracy przedwcześnie padło ofiarą chorób, najczęściej zawałów serca.

V

Trzon załogi Barbary, mimo spędzonego z całej prawie Europy tłumy przymusowych robotników i niewolników, zawsze stanowiła wspólnota miejscowych górników. Związek z tą swoją społecznością mocno odczuwało się w sytuacjach trudnych, w czasie masowych aresztowań w Karwinie i okolicy, mordów w Żywociach, Suchej, Łąkach. Sam doznawałem przejawów solidarności we wrześniu 1943 r., kiedy i moja rodzina została dotknięta akcją wysiedleń. Kopalnia i jej górnicze środowisko umożliwiły po tym ciosie szybkie odzyskanie równowagi.

W tej wspólnocie przeżywaliśmy agonię panowania okupantów, reagujących czasem w sposób agresywny. Za przykład może służyć moje spotkanie z *betriebsobmannem* Warzechą. Chciał mnie rozliczyć z ponad rocznego z przerwami pobytu w szpitalu oraz na zwolnieniach lekarskich. Używając obelżywych dla mnie wyrazów „leń” i „bumelant” groził równocześnie, wspierającemu się na lasce i zagrożonemu utratą wzroku dwudziestolatkowi stojącemu do dyspozycji tego „związkowego działacza” obozem koncentracyjnym w Łazach. Na mój wynikający z poczucia krzywdy emocjonalny wybuch, w sposób słowny w ogóle nie wyartykułowany, Warzecha zareagował wymierzoną w moją głowę serią ciosów bokserskich i wiązką przekleństw. Jednak później chyba się uspokoił, bo w Łazach nie wylądowałem.

Inną, ale też wynikającą ze słabości reakcją były działania łagodzące, głównie o charakterze socjalnym. Tak np. w 1943 r., zimą, zafundowano nam gorącą kawę zbożową z kranu, jesienią tego roku grochówkę po przystępnej cenie, wreszcie jesienią 1944 r. specjalny pociąg, który zabierał dojeżdżających górników z dworca kolejowego i zawoził kopalnianymi torami pod szyb na Barbarze, a po szychcie odwoził na dworzec. Dzięki temu nieporzebnym był pośpiech i kilkukilometrowe biegi do przystanków tramwajowych, można było pomyśleć o grochówce.

Ostatnią fazę rządów niemieckich zapoczątkowała w styczniu 1945 r. ofensywa na wschodzie, kiedy to będąc już w toku ewakuację niemieckich władz przerwał zatrzymanie się frontu pod Strumieniem i Skoczowem. Zimą i wiosną obserwowaliśmy z peronów karwińskiego dworca transporty rannych żołnierzy niemieckich przywożonych z frontu lokalną kolejką z Pietrowic. Dojazdy pociągami do pracy

stawały się coraz to bardziej ryzykowne, gdyż lotnicy atakowali je rakietami i małymi bombami. Kopalnia wyludniła się. Już w styczniu odbył się eksodus radzieckich jeńców. Szlak ich marszu znaczony był krwawymi śladami pomordowanych. Wśród Niemców górę wzięły nastroje ponure, znane mi z okazjonalnych spotkań z frontowymi żołnierzami w pociągu, czy w rodzinnej wsi. Przepadł gdzieś mój sztygar, SS-man Fritsch, nie tak krzykliwy był *szychtmajster* Michnik. Pochodzący z Karwiny nadsztygar Peschke, zawsze dumny z niemieckiej potęgi i ładu, którego symbolem były państwowe mundury, załamał się całkowicie, kiedy wezwano go do *volkssturmu* w jego własnym cywilnym ubraniu, z jego własną myśliwską strzelbą. To ja mam być partyzantem, zirytował się w obecności górników, wcale nie Niemców.

Pracując w warsztacie, słuchałem poufnych zwierzeń frontowego *feldfebla* wobec ślusarza — Niemca. *Feldfebla* gnębiła perspektywa Syberii, może śmierci. Jednak najboleśniej ranili jego samopoczucie SS-mani, zaczajeni za frontem i strzelający do cofających się pod naporem Rosjan żołnierzy.

Wobec paraliżu transportu kolejowego kurczyło się zapotrzebowanie na węgiel, stąd wykorzystywano górników do budowy fortyfikacji. W lutym i marcu wysłano ekipy do Makowa Podhalańskiego i słowackiej Oszczadnicy. W kwietniu, już w ramach normalnych zmian kopaliśmy rowy w okolicach Bogumina, wreszcie w samej Karwinie.

Jako pracownik warsztatu brałem udział w przystosowaniu kopalnianych ciężarówek do celów ewakuacyjnych. Wypełniono je wszelkim dobrem w nadmiarze. Mój majster, ślusarz — Polak z Karwiny, posiadający dobre wyobrażenie o wykonanej przez siebie konstrukcji z satysfakcją stwierdzał: daleko nie zajadą.

Jednym z ostatnich sygnałów zbliżającej się katastrofy był pożar pałacu hrabiego Larysza w karwińskiej Solcy. Obserwowaliśmy płonąca jak pochodnia rezydencję arystokratyczną z okien pociągu, wracając z popołudniowej zmiany. Było oczywiste, że pełen oficerów obiekt nie zapalił się przypadkowo, do tego płomieniem wskazującym na podłożenie materiałów palnych, a więc na celowe wzniesienie pożaru. Kończyła się trwająca kilkaset lat era dominacji Laryszów w naszych stronach. Ich świat walił się razem z III Rzeszą Adolfa Hitlera.



Bum, bum, bum, bum!...

W maju 1991 r. pielgrzymował po większych miastach Polski piętrowy autobus angielski z delegacją Polskiej Sekcji Radia BBC. Można było rozmawiać z delegacją na temat audycji radiowych Londynu, można było oglądać wystawę pamiątek związanych z historią nadawania audycji. Autobus nazwano „piętrusem”, a tłok do tej obwoźnej wystawy był pokaźny. Byli i tacy, którzy wypierali ukradkiem łzy, ponieważ przypomnieli sobie różne wydarzenia z okresu wojny. Niech mi wolno będzie opowiedzieć kilka takich właśnie wydarzeń.

Do Skoczowa przybyłem jako wikary w lecie 1940 r. Proboszcz ks. Karol Kałuża był już aresztowany i znajdował się w obozie w Dachau. Parafią administrował ks. Augustyn Pohl, urodzony we Wędrynie na Zaolziu, długoletni katecheta w Bielsku, Polak, człowiek o złotym sercu. Nastrój na plebanii był raczej przygnębiający, ponieważ pozostała rodzina aresztowanego ks. Kałuży rodzice w bardzo podeszłym wieku, siostra i inni krewni boleśnie przeżywała utratę swego wspaniałego członka i nie widziała sposobu na jego uratowanie. Dobrych wiadomości nie było żadnych. Wieczorem po zajęciach gromadziliśmy się w pokoju ks. Pohla na wieczorną pogawędkę o bieżących sprawach. Zastanowiło mnie, że o pewnej stałej porze Ks. Pohl sprawdzał zegarek i obwieszczał, że kończy się posiedzenie: „Drzystu chlastu aż ku miastu, pójdźmy spać.” Wychodziłem pierwszy, jako najmłodszy i udawałem się do mojego „gołębnika” na drugim piętrze. Tak właśnie kończył się każdy wojenny dzień. Aż pewnego wieczoru dowiedziałem się, że można dzień zakończyć zupełnie inaczej. Oto pewnego wieczoru, gdy ks. Pohl wyciągnął zegarek i obwieścił że już jest czas zakończyć „posiady”, dodał do tego następujące objaśnienie: „A te

raz się nie zlekniście, panie paterku, bo usłyszycie: „Bum, bum. bum — tu mówi Londyn”. Ale się nie chwalcie, że tu mamy coś takiego, bo byśmy wszyscy poszli do lagru”. Po tym ostrzeżeniu zgasił światło, otworzył szafę, coś tam pogrzebał, coś pokręcił i spomiędzy koszul, piżam i płaszczy dał się słyszeć głos: „Bum, bum, bum, bum” tu mówi Londyn”. Usiedliśmy wszyscy jak najbliżej szafy, głowa przy głowie, aby nie uronić żadnego słowa. To było najpiękniejsze zakończenie dnia. Szedłem szczęśliwy po schodach do mojego „gołębnika”. Szczęście brało się z dwóch powodów: Po pierwsze, z wiadomości wolnego radia, a po drugie z faktu, że wspólnota plebanii uznała mnie nareszcie za człowieka pewnego, godnego zaufania.

W 1942 r. przeniesiono mnie do Istebnej. Tam nie było żadnych wieczornych „posiadów” przy radiu. Ks. administrator Jerzy Juroszek posiadał radio w swoim pokoju, do którego się nigdy nie wchodziło. Wszystkie sprawy załatwiała się w ogromnej kuchni, dawnej sali szkolnej. Wiadomości przynosili nam górale pracujący w Trzyńcu lub inni ludzie, którzy mieli możliwość dotarcia do źródeł wiedzy zakazanej. Słuchałem radia m.in. u brata ks. Juroszka, który mieszkał w Koniakowie. Paweł Juroszek, emerytowany kierownik szkoły miał bardzo prymitywny aparat radiowy, który często się psuł i tylko on, Paweł Juroszek umiał się nim posługiwać. Większość dnia spędzał pan Paweł przy aparacie. Irytował się bardzo, gdy aparat zawodził.

Pewnego dnia znajomi zrobili mu figla. Podczas audycji Londynu, siedzieliśmy wszyscy przy aparacie. Pan Paweł cieszył się jak dziecko i mówił: proszę, proszę, jak go dobrze nastawiłem, jak mówi wyraźnie, prawda?” Nagle aparat zupełnie zamilkł. To ukryty

za oknem chłopak przerywał dojście anteny do radia, potem znowu je podłączał i na nowo przerywał. Pan Paweł denerwował się bardzo, kręcił, łączył, wyłączał, a gdy wreszcie aparat znowu się uspokoił i zagrał normalnie, pan Paweł oświadczył: „Ja, teraz gra dobrze, ale trzeba umieć ten aparat należycie przyrządzić”. Dodam, że rodzony brat Pawła, ks. Jerzy Juroszek nie potrafił pewnego razu obsłużyć nawet swojego aparatu, na którym słuchał Londynu całą wojnę. Było to wiosną 1945 r. Katowice były już dawno wyzwolone, a do Istebnej zbliżył się front. Na plebanii w Istebnej zamieszkali niemieccy oficerowie i widząc w pokoju ks. Juroszka aparat radiowy poprosili go, aby go uruchomił, ponieważ chcą słyszeć: *Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt*”. Biedny ks. Jerzy kręcił gałką radia, zamieniał fale, pocił się, denerwował i żadną miarą nie mógł znaleźć owego komunikatu. Jeden z oficerów podszedł do aparatu i jednym ruchem nastawił na ów nieszczęsny komunikat. Wszyscy oficerowie chłonęli wiadomości, zaś ks. Juroszek zszedł na parter do kuchni i nie mogliśmy go poznać: on, uosobienie spokoju chodził nerwowo po kuchni, zapalał papierosa za papierosem i nie mógł ze siebie wydobyć odpowiedzi na nasze pytanie: „co się stało?”. Wreszcie opowiedział wszystko i dodał: „Gdyby mi powiedzieli: „proszę nastawić Londyn”, zrobiłbym to w ułamku sekundy. Ks. Juroszek nie słuchał nigdy niemieckiego radia i nigdy nie opuszczał audycji Londynu.

W Istebnej regularnie słuchał Londynu doktor Raszyk. Przekazny doktor jechał do chorych na każde zawołanie, w dzień czy w nocy. Był jedyną instancją medyczną w Istebnej, i to od wielu lat. Leczył, operował. Nikt nie miał z nim żadnych nieporozumień o pieniądze. Jak mu ktoś dał, to podziękował, a jak nie dał, to pan doktor jako człowiek wierzący uważał, że mu za to kiedyś dobrze zapłaci Najwyższy. Bardzo często jeździliśmy razem, ponieważ górale uważali, że za jednym wezwaniem załatwią sprawy zdrowia ciała i duszy. Pan doktor też był za tym, bo uważał, że po spowiedzi górale nie będą go *cyganić*, lecz powiedzą prawdę.

Pewnego razu jechaliśmy na Jaworzynkę, a po drodze poproszono doktora, by dodatkowo wstąpił do nie zgłoszonego chorego. Doktor zgodził się, chorego wysłuchał, opukał, założył mu termometr i czekając aż termometr wskaże ciepłotę patrzył przez okno na pobliskie wzgórza. Nagle spojrzał na zegarek. „No, to z Panem Bogiem” — powiedział i zabierał się do wyjścia. Chory jęknął: „Moja głowa, moja głowa, a dyć żeście, panie doktorze, ani na termometr nie popatrzyle. Moja głowa!”...

Doktor jeszcze coś powiedział, termometr zabrał, a na wozie mówi mi: „Musimy się śpieszyć, aby zdążyć na audycję z Londynu”. Uśmiechnąłem się i pytam: „Bum, bum, bum, bum”? „Tak, to najprzyjemniejsza melodia” — potwierdził dr Raszyk.

Skromne początki

Wczasowo-turystyczne walory **Brennej** zostały wykorzystane szerzej dopiero po II wojnie światowej. Ale początek został zrobiony już w okresie międzywojennym. Spore znaczenie miała modernizacja drogi ze Skoczowa. Otrzymała ona twardą nawierzchnię.

Położenie na skrzyżowaniu atrakcyjnych szlaków turystycznych oraz bliskie sąsiedztwo schronisk na Klimczoku, Błatniej i na Równicy zaczęło być doceniane. Pierwsze wille zbudowali we wsi starosta powiatowy dr **Kisiała** oraz cieszyński kupiec i kolekcjoner **Bruno Konczakowski**. (c)

Żandarm, ale człowiek

W czasie okupacji krążył po domach taki wierszyk:

*Grüss Gott, przysłali nas tu z Hajot,
Czy ni macie starych szmot;
A jak macie, a nie docie,
To powiym w HaJocie,
Że po polsku godocie.*

Rymowanka dowodzi, jakim językiem posługiwali się mieszkańcy. Na ziemi cieszyńskiej, wyjąwszy ludzi najstarszych, pamiętających zabór austriacki, nikt nie znał języka niemieckiego. Toteż po domach mówiło się w czasie okupacji po polsku. No i czytało się wyłącznie książki polskie. Drugi obieg — jak byśmy dziś powiedzieli — działał bardzo sprawnie. W naszej piwnicy było trochę woluminów majora Brachaczka, oprawionych pięknie w brązowe płótno, a oprócz nich jeszcze książki zebrane przygodnie. Wszystkie krążyły gęsto po wsi. Czytało się przeważnie wieczorami, przy dobrym *verdunklunku*, czyli szczelnie zasłoniętych oknach. Świeciła karbidówka. Przy naszej Nowej Drodze, dziś ul. Słowackiego poprowadziło linię elektryczną dopiero po wojnie Wojsko Polskie. Do naszego domu prąd trafił za dwa litry wódki; pewnie był to bimber. A załatwiła to moja mama! Bo tatko, pomny na honor przedwojennego podoficera, odmówił pertraktacji.

Wracam jednak do czasów okupacji. Zdarzyło się to mniej więcej w połowie 1944 r. nasz spokojny dom odwiedził wówczas niespodziewanie żandarm niemiecki. A na oknie leżały *Dzieła wybrane* Adama Mickiewicza (po latach kupiłam synowi takie same w antykwariacie — nawet nie wie, że na pamiątkę tamtego zdarzenia). Żandarm wziął książkę do ręki, przetrząsnął, przewertował i spytał ojca (matka nie umiała po niemiecku ani słowa), czy mamy tego towaru dużo i... odjechał. Tatko z piwnicy książek nie wyniósł, bo i dokąd. Oczekiwaliśmy więc rewizji. Wiem, że rodzice chodzili niespokojni, ale najbardziej niespokojna byłam ja. Kilka miesięcy wcześniej, w sklepie kolonialnym Niemca Goebła przysięgałam wobec dwu pań, że będę bronić Ojczyzny przed Niemcami i Sowietami. Tekstu przysięgi nie pamiętam. Od tej pory gromadziłam na strychu opatrunki, plastry, jodynę i wszystko, co mi panie dawały. Była tego spora apteczka, upchana w starym kuferku. Gdyby przy rewizji rzecz odkryto, byłby niezły „pasztet”. Po wojnie wyjawiałam rodzicom tajemnicę, z której byłam taka dumna. Ojciec poklepał mnie po ramieniu, a mama się rozplakała. W wiele, wiele lat po wojnie zwróciłam się do jednej z dwu pań z propozycją weryfikacji tamtej sprawy (druga z pań mieszka poza Zebrzydowicami, ale na ziemi cieszyńskiej). Odmówiła stanowczo. Stwierdziła, że ona tylko towarzyszyła, że nie pamięta, że należy się udać do tej drugiej. Sądzę, że dziś, kiedy strach przestał ludzi paraliżować, może któraś z tych pań zdecyduje się zabrać głos? Wszak to też historia i to nie tylko Zebrzydowice. Boć nikt nie uwierzy, że dwie młode kobiety i jedna dzierlatka stanowiły autonomiczną jednostkę walki zbrojnej. Było to ogniwo. Ogniwo we wsi Zebrzydowice. Wszak jeden z mych dalekich krewnych Emil Drapa (matka ojca była z domu Drapa) położył głowę za udział w partyzantce. Tak się złożyło, że po drugiej wojnie światowej w II Liceum Ogólnokształcącym w Cieszynie, gdzie rozpoczynałam naukę, wydrzucono z piwnicy zeszyty z klasówki. Wśród ich sterty odkryłam z radością i zdumieniem zeszyt właśnie Emila Drapy. Były to klasówki z języka polskiego. Zeszyt długo hołubiłam;

niestety podczas jakiegoś remontu uległ wraz z innymi szkolnymi akcesoriami zaprzepaszczeniu.

Rzadko mi się zdarza wracać pamięcią do okupacyjnego epizodu sprzed prawie pół wieku. Ale gdy to czynię, wspominam dobrze starego Niemca w mundurze *feldgrau*. Przecież mógł donieść i spowodować rewizję. Nie uczynił tego.

PS. Jeszcze o ruchu oporu. Nie jestem „w temacie”, jakby powiedział pewien Elektryk. Być może opracowano już działalność ruchu oporu w Cieszyńskim i w Zebrzydowicach lub okolicy. W takim razie niech to będzie tylko wspomnienie a nie hasło wywoławcze.



Spotkanie legendarnych braci Bolka, Leszka i Cieszka. Medal Jana Raszki wydany z okazji 1100-lecia Cieszyna.

Prawdziwy koniec wielkiej wojny

Kiedy front zbliżył się w styczniu 1945 r. do Cieszyna na odległość 15 km Niemcy przygotowywali się, by bronić jego przedpola. Sprowadzili z głębi Czech sporą grupę młodzieży, która kopała umocnienia bojowe i rowy strzeleckie w okolicach miasta. Kwaterę dla tej młodzieży z okolic Pragi urządzono w szkole opodal kościoła protestanckiego. Sporadycznie krążyły nad Cieszynem nieduże samoloty, raczej zwiadowcze, nazywane „kukuźnikami”. Niemcy mówili o nich *Nähmaschine* (maszyny do szycia), dlatego, że ich warkot przypominał terkotanie takiej maszyny. Nocami samoloty te zrzucały bomby. Jedna spadła na dom mieszkalny (zginęli panna Trąbik i Bierowski), inna na dom przy zbiegu ul. Głębokiej i Zamkowej. Ta druga nie wyrządziła wielkich szkód i nikogo nie zabiła. Jedna z bomb uderzyła w szkołę, w której kwatrowali Czesi, i zabiła 11 chłopców. Niemcy urządzili im uroczysty pogrzeb, podczas którego przemawiał burmistrz, hitlerowiec Koperberg. Gdy wracałem po pogrzebie powozem, na rynku zatrzymała mnie para małżeńska Czechów, która nie zdążyła na pogrzeb syna, gdyż pociągi kursowały nieregularnie. Kobieta podbiegła do powozu i zwróciła się do mnie z pytaniem: czy syn umarł zaopatrzony sakramentami świętymi? Odpowiedziałem, że nie, bo nikt nas nie powiadomił o wypadku. Oboje zasmucili się ogromnie. Następnego dnia przystąpili do spowiedzi i uczestniczyli we mszy świętej. Byłem zbudowany ich postawą, bo panowało przekonanie, że Czesi są obojętni religijnie.

Po zajęciu przez wojska radzieckie w dniu 27 stycznia 1945 r. Katowic Niemcy likwidowali różne urzędy. Zelżał też terror. Przyznali większe swobody jeńcom włoskim, którzy mogli w dowolnym czasie opuszczać obóz w Cieszynie Zachodnim. Odwiedzał nas wtedy włoski kapelan wojskowy Emo Noci, były gwardian Franciszkanów z Sienny. Rozmawialiśmy z nim tylko po łacinie, gdyż ja i ks. Romuald Rak władaliśmy językiem polskim i niemieckim, a Franciszkanin włoskim i francuskim. Po kilku dniach wydoskonaliśmy się w łacinie, do tego stopnia, że potrafiliśmy w tym martwym języku nawet żartować, zwłaszcza ks. Rak.

Z cieszyńskiego więzienia wypuszczono na wolność także ks. Alojzego Wrankę (1907—1972), co mi było na rękę, gdyż zastąpił w duszpasterstwie brakującego kapłana. Ks. Wranka był rodowitym cieszyńczykiem. Zaprosił nas w lutym na kolację do swej siostry p. Kaletowej, która mieszkała powyżej Winogradu. Zastaliśmy tam też innego więźnia, prof. Figurę, pochodzącego z Radzionkowa. Opowiadali o okropnych torturach, jakie przeszli w lagrze w Mysłowicach i w innych więzieniach. Gdy zapytałem prof. Figurę, co będzie dalej robił, oświadczył, że jutro przedrze się przez front do rodziny na Górny Śląsk. Byłem zdziwiony, bo mówił o tym zamiarze, jakby to była zwykła wycieczka. Wyprawa się jednak nie udała; złapali go Rosjanie i wywieźli. Wrócił z Kazachstanu dopiero na Boże Narodzenie.

Na przyjęciu opowiadano o ślicznej dziewczynie, która dotarła przez front w Cieszyńskie i mówi o gwałtach, jakich dokonuje radzieckie żołdactwo na Górnym Śląsku. Na pytanie, czy i ona doznała pohańbienia, rezolutnie odpowiedziała, że się nie dała.

W dniu 7 lutego ks. Romuald Rak obchodził imieniny. Zaprosiłem na tę uroczystość ks. Wrankę i wspomnianego już Emo Noci. Włoch był wysoki, szczupły, wesoły i nadzwyczaj przystojny. Na uroczystym obiedzie zwróciłem się do niego po łacinie:

— Jesteś piękny jak Lucyfer!

Podniósł rękę, jakby mnie chciał uderzyć.

— Ante condemnationem! — dodałem, tzn. przed potępieniem. Jego oblicze rozjaśniło się.

Pewnego razu Zuzka, moja dochodząca sprzątaczką dokonała gruntownego czyszczenia w moich pokojach, pięknie umeblowanych przez ks. Gerarda Mainkę, który mebli jeszcze nie zabrał. Znalazła naczynko z pomadką do ust. Na to wszedł właśnie Emo Noci. Otworzył je, a zobaczywszy zawartość pogroził mi grożąc doniesieniem biskupowi, że przyjmuję u siebie *donny*. Tłumaczyłem, że mój poprzednik ma siostry, które go odwiedzały, ale Emo pastwił się nade mną nadal. Niepostrzeżenie wsunąłem naczynko do kieszeni jego munduru. Pomyślałem przy tym: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada”. I istotnie, kiedy pewnego razu kapelan szedł z włoskim lekarzem, sięgnął do kieszeni i trafił, zdziwiony, na naczynko. Doktor był zgorszony i na serio tłumaczył krajanowi, że osoba duchowna powinna zachowywać czystość i nie spoufalać się z paniami. Gdy po trzech dniach Emo przyszedł do mnie, wyrażał mi piściami. Przypomniałem, że najpierw to on mnie podejrzewał, więc jesteście mi kwita. Naturalnie, nasza przyjaźń jeszcze bardziej się przez takie kawały umacniała.

Ks. Rak i ks. Wranka prowadzili ze mną obowiązki duszpasterskie z wielką gorliwością. Ks. Rak podjął się nawet wygłoszenia na nabożeństwach wielkopostnych cyklu kazań. W pewien piątek odprawiałem w godzinach przedpołudniowych nabożeństwo Drogi Krzyżowej. Gdy byliśmy przy XII stacji, do kościoła w mundurze i czapie wpadł *policajmeister* Puckmann, człowiek przeraźliwie chudy, i krzycząc z całych sił, kazał mi przerwać dalsze nabożeństwo z powodu alarmu lotniczego. Dokończyliśmy nabożeństwa po cichu. W maju Puckmann strzelił sobie z powodu przegranej wojny w głowę.

W dniach od 22 do 24 marca głosiłem rekolekcje dla dzieci. Na tablicy ogłoszeń powiesiłem afisz z obrazem cieniowanym matki myjącej córeczce włosy i zaprosiłem dzieci do obmycia duszy przez rekolekcje i spowiedź świętą na Wielkanoc. Dzieci przyszły wypełniając cały kościół. Mówiłem do nich żargonem polsko-niemieckim. Dzieci mnie rozumiały i przychodziły chętnie, tym bardziej, że szkoły były zamknięte (pod Pruchną toczyły się walki frontowe).

W parę dni później zjawiała się u nas staruszka z prośbą:

— Ojcowie duchowni, nie uciekajcie i nie zostawiajcie nas samych!

— Ależ babciu, dokąd mamy uciekać? Przecież jesteśmy Polakami! — uspokoiłem staruszkę.

Tymczasem sytuacja stawała się coraz krytyczniejsza. Ofensywa na miasto mogła ruszyć lada dzień. Dowiadaliśmy się o radzieckich spadochroniarzach, którzy lądowali w okolicy. Wiem o jednym, którego pewna panna ukrywała w podziemiach kamienicy; na wypadek gdyby skoczka złapano, przygotowała sobie truciznę. Na Zaolziu ksiądz Franciszek rodem z Cierlicka ukrył dwóch spadochroniarzy. Jeden z nich był po wojnie wysokim funkcjonariuszem NKWD w Warszawie. Ponieważ ks. Franciszek był fanatycznym Polakiem, więc musiał z Zaolzia uciekać. Dostał się do Lesznej Górnej. Czuł się tam nieswojo, bo obawiał się, że Czesi mogą napaść na probostwo i wtrącić go do więzienia. Prosił o przeniesienie do parafii bardziej odległej od granicy i w końcu został duszpasterzem akademickim w Rokitnicy koło Bytomia. Lecz enkawudysta nie zapomniał o nim. Wezwano go do Warszawy i z rewolwerem przy skroni przeszkolono na szpiega. Wyznaczono mu zadanie, aby udał się do Francji i wywołał komunistyczny ferment wśród księży-robotników francuskich. Ksiądz popadł w taką rozterkę sumienia, że udał się cichaczem do biskupa Golińskiego w Częstochowie, opiekuna kapelanów akademickich, prosząc o radę. Biskup, słysząc o zagrożeniu życia, radził mu udać się na Zachód i przedstawić sytuację arcybiskupowi Gawlinie w Rzymie. Przerzucony do RFN ks. Franciszek wpadł w ręce Amerykanów, którzy torturowali

go jako szpiega. Nie uwierzyli mu, że jest księdzem. Dopiero podczas konfrontacji z biskupem Ferchem wyszło na jaw, że ks. Franciszek jest kapłanem, którego on osobiście wyświęcił. Amerykanie przeprosili go i chcieli mu wynagrodzić cierpienia, ale ks. Franciszek niczego nie chciał przyjąć. W końcu pozostał w RFN. Czesi skazali go zaocznie na 15 lat więzienia.

Tymczasem Sąd Wojenny funkcjonował bardzo sprawnie. Wciąż wzywano nas do więzienia, bo wojska niemieckie ulegały demoralizacji, szerzyła się dezercja. Musieliśmy na żądanie skazanych na śmierć żołnierzy spieszyć z posługą kapłańską. W sumie wzywano nas około 15 razy. Wcale częste były też dezercje rodaków, którzy znając język polski potrafili ukryć się wśród Polaków i w ten sposób stali się prawie nieuchwytni. Ale żołnierze z Hannoveru, z Nadrenii czy z Westfalii, nie znający języka polskiego, wpadali zazwyczaj szybko w ręce żandarmerii. Początkowo rozstrzeliwano ich w Cieszylinie, później wieszano w strefie frontowej.

W samym Cieszylinie sporo Polaków nie wróciło z urlopu na front. Ukrywali się w okolicy. Jedna kobieta, zamieszkała przy ul. Przepilińskiego, ukryła męża i syna. Całej rodzinie groziła w razie wpadki śmierć, ale pomimo rewizji dezertów nie znaleziono. Nawet w więzieniu ojciec trzymał na strychu syna dezertera. W okolicy Istebnej jeden z tamtejszych mieszkańców ukrył się w czasie urlopu. Wiedziała o tym sąsiadka, wrogo ustosunkowana do tej rodziny. Napisała do Gestapo, że Hitler nie może wygrać wojny, jeśli tacy, jak sąsiad, nie wracają po urlopie do wojska. Na pocztę urzędniczą zainteresowała się listem prostej kobiety piszącej do Gestapo. Łamiąc pocztowe przepisy otworzyła pismo i spaliła. Sąsiad przeżył wojnę...

O jednej egzekucji chciałbym szerzej opowiedzieć. Wieczorem 15 marca 1945 r. zjawił się na probostwie służbowo sierżant, zastał mnie z ks. Rakiem. Oznamił, że jeden z duchownych musi natychmiast z nim jechać i udać się do więzienia, aby zaopatrzyć na śmierć dezertera, który ma być rozstrzelany jeszcze przed zachodem słońca. Właściwie przypadła kolej na mnie, ale byłem w cywilnym ubraniu, a ks. Rak w sutannie. Poprosiłem, aby mnie dla zaoszczędzenia czasu zastąpił. Minęła więcej niż godzina, nim wrócił i opowiedział mi przebieg egzekucji.

Musiał czekać przed więzieniem, bo skazaniec znajdował się jeszcze w siedzibie Gestapo w Cieszylinie za Olzą. Ale wkrótce nadjechało auto i przywiozło pod eskortą więźnia w cywilu. Był w dobrym nastroju. Podając rękę ks. Rakowi powiedział: „to ja jestem”! Weszli do celi, w której z pokorą przyjął sakramenty święte. Tymczasem pluton egzekucyjny już odmaszerował na wzgórze straceń. Skazańcowi kazano wsiąść do samochodu; obok niego musiał usiąść ksiądz. Młody człowiek zachowywał się niemal tak, jakby jechał na wesele. Tryskał humorem. Zapytał ks. Raka, skąd pochodzi. Gdy się dowiedział, że ze Śląska, powiedział: „Szkoda że nie wiedziałem, bo byłbym się spowiadał w języku polskim”. Następnie wskazał na gmach szkolny: „Tutaj chodziłem do gimnazjum”.

Zapytał, czy będzie pochowany po katolicku, ale ksiądz nie wiedział, więc spytał siedzących z tyłu oficerów, ale nie otrzymał odpowiedzi. Skazany zdjął z palca pierścionek i rzekł: „ofiara na kościół”. Na miejscu straceń czekał pastor ewangelicki, gdyż władze nie wiedziały, jakiego wyznania jest skazaniec, przeto powiadomiły duchownego ewangelickiego. Skazaniec podszedł do pastora, podziękował mu, ale oświadczył, że jest katolikiem. Usiłowano go przywiązać do słupka, ale poprosił, by tego zaniechano. Odczytano wyrok. Ks. Rak podszedł do skazańca i podał mu krzyż, który on ucałował i podał księdzu rękę ze słowami: „Dziękuję księdzu”! Następnie usiłowano skazańcowi zawiązać oczy, ale nie pozwolił mówiąc: „Jestem oficerem, sam dam komendę do strzału”. Następnie zwrócił się do żołnierzy:

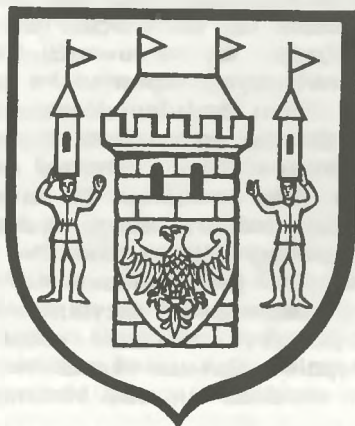
— Chłopcy, jako oficer będę dowodził egzekucją. Zbliźcie się dwa kroki i strzelajcie celnie.

Poczem zakomenderował „Feuer”! i padł.

W drodze powrotnej oficerowie opowiadali ze zdumieniem o pogardzie śmierci tego zdolnego oficera. Mówili, że władał dziesięcioma językami.

Opowiadałem kiedyś o tym zdarzeniu fryzjerowi podczas strzyżenia włosów. Twierdził, że znał tego oficera, który nazywał się Antoni Kewericz i był Jugosłowianinem, ale spolszczonym. Jego brat mieszka na Zaolziu i odwiedza jego lokal. Obiecał mi, że brat skontaktuje się ze mną. Istotnie, po dziesięciu dniach zjawił się u mnie brat straconego. Powiedział, że jego brat był człowiekiem nieprzeciętnie uzdolnionym. Krótco po wybuchu wojny zdał maturę, a ponieważ nie było profesorów, zatrudniono go w tym samym gimnazjum, aż do momentu powołania go do wojska. Ponieważ poznano się na jego zdolnościach językowych, przeszkolono go na funkcjonariusza wywiadu. Z tytułem oficerskim przerzucono go w mundurze rosyjskiego oficera poza front sowiecki. Ale on, jako Polak, zdradził Niemców, choć rzekomo uciekł Sowietom. Potem zrzucono go w mundurze amerykańskiego oficera w Anglii, ale i tam działał na szkodę Niemców. Gdy znów wrócił do Niemiec, niemiecki kontrwywiad odkrył zdradę. Gdy agent wyczuł, że mu się pali grunt pod nogami, uciekł. Szukano go wszędzie, wreszcie Gestapo złapało go u narzeczonej we Frydku.

Należałoby jeszcze wspomnieć, że pod koniec wojny Gestapo dokonywało egzekucji na cmentarzu żydowskim, gdzie skazańcy sami musieli wykopywać sobie doły, a następnie zabijano ich kulą w potylicę. Po wojnie odbyła się ekshumacja zwłok, które pochowano na Cmentarzu Komunalnym. W uroczystym pogrzebie tych ofiar brałem, jako duszpasterz parafii Cieszyn, osobisty udział.



Herb Skoczowa

Wracać, czy nie wracać?

Za mało było tragedii wrześniowej, nie starczyło rozczarowania po haniebnej czerwcowej kapitulacji naszej zarozumiałej sojuszniczki, Francji. By dopełnić kielicha goryczy, musiał nastąpić jeszcze dalszy cios. I nastąpił.

Byliśmy wprawdzie pełni podziwu dla bohaterstwa i sukcesów Armii Czerwonej, ale ten podziw nie był wolny od goryczy. Fala czerwonoarmijców, prąc bezustannie ku zachodowi, zalewała Polskę. Zastanawialiśmy się, czy nie sprawdzą się aby złowieszcze słowa marszałka Tuchaczewskiego z pamiętnego roku 1920: *Droga do światowej pożogi prowadzi przez trupa Polski*. Tym bardziej, że zachodnie mocarstwa z coraz to większym dystansem, ba, nawet ze wrastającą nieprzychylnością traktowały sprawę polską. Dyplomaci angielscy i amerykańscy prześcigali się w staraniach, by nakłonić Rząd RP w Londynie do przyjęcia warunków dyktowanych przez Stalina, a w pierwszym rzędzie do uznania przyszłej granicy Polski na linii Curzona.

W tej sytuacji większość naszego obozu była zdania, że powrót do Polski nie wchodzi w rachubę. Taką jednoznaczna postawę zajęli przede wszystkim ci spośród nas, których lansowana przez Wschód i Zachód granica na Bugu odcinała od rodzinnych gniazd. Znikoma była ilość tych, którzy po tajemnych spotkaniach i naradach poza obozem byli zdecydowanymi zwolennikami powrotu. Mimo to rozpoczęły intensywną działalność nie tylko werbunkową, lecz również ideologiczną. Ich akcja nie dała jednak spodziewanych wyników, bo poza zwolennikami czy to „Komitetu Lubelskiego”, czy też lewiczy londyńskiej mało kto był łasy na honory, medale, stanowiska lub poniemieckie posiadłości. A właśnie tym wszystkim hojnie szafowali przyszli włodarze Polski.

Mimo to każdego z nas dręczyło

bezustannie pytanie: „Wracać, czy nie wracać...?” Tam była nasza ojczyzna, rodzice, rodzeństwo, nieraz żony, dzieci, narzeczone, sympatie; wszyscy oni z niecierpliwością i z utęsknieniem oczekiwali naszego powrotu, nieraz pomocy. Ale była też tam zalewająca kraj lawina, która niosła na ostrzach bagnatów i na gąsienicach radzieckich czołgów, nowy „ład i porządek”! Tam ważyły się losy wolności, tutaj losy każdego z nas.

Upływały tygodnie i miesiące, a nic nie wskazywało na to, by istniały widoki na polepszenie się sytuacji politycznej. Wręcz przeciwnie, mimo inwazji i oczywistych sukcesów zachodnich armii sprzymierzonych!

Nasz obóz, podobnie jak i inne obozy internowanych, zaczął się raptownie kurczyć. Jeszcze na długo przed oficjalnym zakończeniem internowania nastąpił masowy eksodus żołnierzy 2 DSP do Francji, a dowódcy plutonów czy kompanii prawie codziennie meldowali braki w szeregach. Większość uciekinierów rekrutowała się spośród tych, którzy — odrzucając zdecydowanie ideę powrotu — szukali rozwiązania w odradzającej się wolnej Francji. Zbiegli. W jakim celu? By walczyć? Za kogo? Przecież sprawa polska już była przesądzona. By nareszcie skończyć ze zmorem internowania? Wszystko mogło wchodzić w rachubę, nawet zobowiązania wobec płci pięknej były nieraz powodem „ulatniania się”!

W przERVEDZONYM obozie w Herisau zjawił się pewnego pięknego dnia mieszkający w Szwajcarii minister Adam Rose. Pragnął wygłosić odczyt na aktualne problemy, zwłaszcza gospodarcze. Zagajając właściwy wykład zahaczył o sprawy natury politycznej. Był zdania, że Polska powinna się pogodzić z faktami dokonanymi; w pierwszym rzędzie powinna zrezygnować z roszczeń do

ziem wschodnich, gdzie Polacy nie byli w stanie stworzyć solidnych i szczyrych sprzymierzeńców. Tragiczna polityka pacyfikacyjna w latach międzywojennych doprowadziła do tego, że na rubieżach Rzeczypospolitej doszło do zmobilizowania wrogich Polsce elementów. Na płaszczyźnie gospodarczej dojdzie w Polsce do zasadniczych przeobrażeń i całość polityki gospodarczej zmierzającej ku odbudowie krańcowo wyniszczonego kraju musi uwzględniać przeobrażenia, jakich już jesteśmy świadkami. Minister Rose zaznaczył jednak wyraźnie, że na system komunistyczny w Polsce nie ma i nigdy nie będzie miejsca. Podczas krótkiej dyskusji doszło do ostrego starcia pomiędzy zwolennikami „nowego ładu” i „reakcjonistami”, dla których wywody ministra nie były bynajmniej przekonujące.

— A jakie są pana ministra w tej nowej sytuacji? — padło pytanie z grona słuchaczy.

— Proszę panów — odpowiedział spokojnym głosem minister Rose — wyniszczona ojczyzna potrzebuje do pracy zarówno rąk, jak i głów. Gdyby doręczono mi dziś depeszę wzywającą mnie do powrotu, bym wniósł wkład do odbudowy zrujnowanego kraju, to choćbym wiedział, że po dwóch, trzech latach stanę jako oskarżony przed sądem i zostanę skazany chociażby na najwyższą karę — wróciłbym!

Stanowisko ministra nie pozostawiało żadnych niejasności. Rose dotrzymał zresztą słowa i wrócił.

* * *

W niecałe trzy lata później byłem zmuszony wyjechać do Polski, by załatwić tam osobiście sprawę rozwodu, gdyż sądy szwajcarskie orzekły, że brak im do tego kompetencji. Bawiąc przez kilka dni w leżącej jeszcze w gruzach Warszawie miałem okazję złożyć wizytę ministrowi Rose. Jego gabinet znajdował się chyba przy ulicy Asfaltowej. Minister poznał mnie natychmiast.

— Pan też powrócił?

— Przyjechałem na krótko, przede wszystkim by załatwić sprawę rozwodową, a przy okazji zorientować się w sytuacji, jaka panuje w Polsce. W Szwajcarii rozpoczęła się ostra nagonka na pozostałych tam jeszcze byłych internowanych. Wielu z nich, między nimi i ja, zastanawia się nad opuszczeniem ziemi Helwetów. Kilku moich przyjaciół, wiedząc, że udaję się do kraju, prosiło mnie o rozeznanie rozmiarów ryzyka ewentualnego powrotu do Polski. W związku z tym byłbym panu ministrowi, jako zorientowanemu w obecnej sytuacji, w Polsce, bardzo zobowiązany za opinię w tej sprawie.

Minister wyprostował się za swoim biurkiem, zmarszczył krzaczaste brwi, przeleciał lekko dłonią po nieskazitelnie uczesanych włosach i po chwili namysłu rzekł:

— Zastanawiam się, co mam odpowiedzieć. Najlepiej chyba będzie, jeżeli zreferuję panu zdarzenie, jakie miało miejsce kilka miesięcy temu. Podczas jednego z moich służbowych pobytów w Paryżu zgłosili się otóż u mnie przedstawiciele naszego duchowieństwa żyjącego we Francji z prośbą o przekazanie kardynałowi Hlondowi ich zapytania, czy mają wracać. Po powrocie do Polski skontaktowałem się natychmiast z księdzem kardynałem i przedstawiłem mu prośbę polskich księży. „Panie ministrze — odrzekł kardynał — jak pan znów będzie w Paryżu, niech pan powie przedstawicielom polskiego duchowieństwa, że my tutaj musimy pracować z najwyższymi 50 procentami przedwojennego stanu duchownych. Brak księży daje się nam mocno we znaki i każdy powracający duszpasterz będzie przyjmowany z otwartymi rękami. Ale jeżeli nasi księża we Francji są zdania, że mają tam ważne zadania do spełnienia, niech pozostaną!

Taka była odpowiedź ministra-dyplomaty na moje delikatne pytanie. Niedługo potem, będąc ponownie w celach służbowych we Francji, minister Rose skorzystał z nadarzającej się okazji, może ostatniej, i więcej do Polski nie wrócił.

Czas edukacji

Nareszcie po czterech latach tułaczki znalazłem się w domu. Było tu wspaniale, ale należało myśleć o przyszłości. Miałem osiemnaście lat i jedyne co umiałem, to doskonale paść krowy i mniej doskonale furmanić. Byłem przygotowany do prymitywnej pracy w rolnictwie. Gdybym miał kontynuować ten zawód, do którego zostałem przez okupantów przymuszony, nie posiadając przy tym własnego gospodarstwa, skazałbym się świadomie na degradację społeczną, przynajmniej w oczach otoczenia. Chciałem się uczyć. Studiować. Rodzice rozumieli to moje pragnienie, choć jego spełnienie oznaczało dla nich wyrzeczenia. Gdybym poszedł np. do pracy w hucie, to by im od razu ulżyło finansowo, a było im ciągle bardzo ciężko. Nowe władze traktowały nas, Polaków, jako grzeszników niewiele mniej-szych od Niemców. Zarzucano nam, że Polska zajęła Zaolzie w tym samym czasie, kiedy Hitler wkraczał do Sudetów.

Ojcu inwalidzie było znowu trudno o zatrudnienie. Wkrótce musiał zresztą zupełnie zaniechać pracy murarskiej na skutek długotrwałego leczenia gruźlicy kości w kolanie, zakończonego w r. 1953 amputacją nogi. Miał bardzo skromną rentę inwalidzką sprzed wojny, po urazie kręgosłupa, którą mu Niemcy jako Polakowi kilkakrotnie obniżyli, a władze czechosłowackie jeszcze przez rok po wojnie wypłacały mu ją w tej okrojonej wysokości i nigdy mu tego nie zwrócono.

Pomimo to ojciec, będąc latem 1945 r. w Polsce (szukał tam śladów zamordowanego przez Niemców brata Andrzeja), zapisał mnie do Liceum Spółdzielczego w Cieszynie. To już było coś. Od tego czasu przestałem się przejmować tym, co z sobą zrobić, i zacząłem się kłopotać, jak się do tej wymarzonej szkoły dostać. Nie chciano mi bowiem wydać przepustki.

W domu Pod Zorolnym miałem się różnych okazjnych zarobków, czy raczej prac... Trochę chodziłem za końmi u miejscowego gospodarza Sikory, nie mającego akurat parobka, trochę chodziłem kosić na „pobaby”. Powożenia i w ogóle pracy z końmi za bardzo nie lubiłem, bo nie zdążyłem się tego porządnie nauczyć. Natomiast koszenie, uważane za bodaj najcięższą pracę w rolnictwie, bardzo mi odpowiadało. Opanowałem bowiem tę umiejętność doskonale. Dzięki wrodzonej i posiadanej wówczas kondycji zadziwiałem nawet najbardziej doświadczonych kosiarzy, którym często deptałem po piętach, choć początkowo przypuszczali, że to oni będą mnie, młokosa, napędzać. Z przyjemnością słuchałem uwag nie mogącego nadążyć przede mną ze swoim pokosem kosiarza, w rodzaju: „na dyc tak, synku, nie dziwocz, dyc to naroz nie urosło”.

Bawiłem się również w drwala, zbierając na zimę drewno. Razem z braćmi ścinaliśmy suche buki i świerki w wyznaczonym przez gajowego rejonie lasu i układali w gromady potem, po ich wycenie i zapłaceniu, zwoziliśmy do domu. Był to tzw. „zbiyr”, bardzo tani opał. Czynność tę powtarzałem potem corocznie podczas wakacji, zapewniając rodzicom dostatek opału. Chałupa Pod Zorolnym bywała otoczona gromadnicami drewna.

Do szkoły wyprowadziłem się w trudnych okolicznościach, bo przepustki nie otrzymałem. Wyruszyłem zatem do szkoły w Polsce nielegalnie. Wyruszyłem w dniu uroczystego otwarcia szkoły. Było to z początkiem września 1945. Z domu wyszliśmy wraz z ojcem, który mnie odprowadził do granicy, około trzeciej nad ranem. Chciałem zdążyć na dziewiątą, a czekała mnie ponad dwudziestokilometrowa wędrówka przez góry i lasy. Miałem ogromną walizę, ciężką i nieporęczną, ale nie było wiadomo, kiedy i jak dostanę się znów do rodzinnego domu... Do granicy

Nydku z Górną Leszną doszliśmy jeszcze w całkowitych ciemnościach. Dopiero kiedy rozstałem się z ojcem i kierując się tylko swoim góralskim instynktem powędrowałem do Cieszyna, zaczynało się rozwidniać.

Po drodze przeżyłem chwile grozy, kiedy znalazłem się nagle znowu na granicy i to na punkcie kontrolnym, niejako przecinającym drogę, po której szedłem. Było to na przejściu granicznym w Lesznej Górnej, z którego korzystają głównie robotnicy chodzący z Polski do pracy w hucie trzynieckiej. Nadrabiając miną ominąłem wopistów, kierując się w stronę Dziegiełowa. W końcu, niezmiernie zmęczony — waliza ważyła ze 20 kg, wyposażano mnie przecież na długo — dotarłem do Cieszyna. Dopiero w samym mieście trochę pobłądziłem i do szkoły, ulokowanej w budynkach byłego domu poprawczego przy ulicy Frysztackiej, przyszedłem z nieznacznym spóźnieniem. Uroczyste otwarcie już się rozpoczęło. Okrutnie mnie to martwiło. Ciągle się tłumaczyłem. Nikt nie chciał wierzyć, że mogłem taką drogę przebyć z takim bagażem...

Potem ulokowałem się w internacie, znajdującym się na najwyższym piętrze głównego gmachu, w którym mieściła się także szkoła. Wśród mieszkanków żeńskiego internatu była moja kuzynka, Ania Brzeżkówna z Gutów. Dowiedziałem się od niej, że także jej brat Janek jest w Cieszynie w Liceum Pedagogicznym.

Całkiem dobrze zrobiło mi się po południu, kiedy poszedłem do starostwa prosić o przepustkę graniczną do rodziców i na poczekaniu ją otrzymałem. Zaraz też odszukałem w internacie na Bobrku Jana Brzeżkę i razem z nim i z jego kolegami poszliśmy do Czeskiego Cieszyna. Granicę przekraczałem w tym dniu po raz drugi z nie mniejszymi emocjami niż w porannych ciemnościach na zboczu Czantorii. Ciągle się bałem, że czescy strażnicy będą mnie wypytywać, skąd się wziąłem w Polsce, jakim prawem mam polską przepustkę itd. Były to obawy śmieszne, bo któż mógł mnie znać na cieszyńskim moście granicznym? Także Janek i obaj jego koledzy mieli polskie przepustki do rodziców w Czechosłowacji.

Granice przeszliśmy oczywiście bez jakichkolwiek trudności i poszliśmy prosto do gospody. W knajpie okazało się, że koledzy dysponują sporą gotówką. Zaraz mi też wyjaśnili, że życie w Polsce jest dla nas, Zaolziaków, bardzo tanie. Za internat z pełnym utrzymaniem płaciliśmy po kilkaset złotych miesięcznie. Tyle, ile można było dostać za czeskie wieczne pióro, nabyte za kilkadziesiąt koron, czyli za jedno — czy dwugodzinowy zarobek trzynieckiego hutnika. Zaś przeschmuglowanie pióra nie przedstawiało żadnego ryzyka; można je było przecież przy sobie nosić albo nie nosić. Uprawialiśmy więc drobny szmugiel, który zapewniał nam wyższy standard życiowy od tego, który mieli koledzy z Polski, a co najważniejsze, zwłaszcza w moim wypadku, niezależnienie się finansowe od rodziców.

Właśnie Janek z kolegami wtajemniczali mnie przy tej mojej pierwszej „dorosłej” bytności w porządnej restauracji w arkana tego specyficznego bytowania. Już nie pamiętam, czy jeszcze tego samego dnia pojechałem do Nydku uspokoić rodziców, czy uczyniłem to w dniu następnym. W każdym razie przybyłem pod Zorolny w znakomitym nastroju, jako człowiek urządzony w mieście, uczeń szkoły średniej mający zapewniony byt, a jeszcze rano opuszczałem dom rodzinny wystraszonego, niepewnego, podejmującego ryzykancką wyprawę w nieznane.

Po pewnym czasie mój entuzjazm nieco ostygł, kiedy się zorientowałem, że jestem uczniem tak zwanego jednorocznego przysposobienia spółdzielczego. Do takiej klasy czy kursu mnie bowiem ojciec zapisał. W tym czasie były w prawie każdej szkole zawodowej tego rodzaju kursy, sposobiące na szybko kadry do przemysłu, handlu, a nawet nauczycielstwa, czy służby zdrowia. Ludzie trochę zaledwie przysposobieni do zawodu obejmowali ważne i odpowiedzialne stanowiska. Ojciec chciał dobrze; uważał, że rok obciążenia rodzinnego budżetu jakoś wytrzymamy, a ja zdobędę upragniony przez niego zawód kupiecki.

Nauka szła mi dobrze. Stosunkowo szybko zdobyłem opinię jednego z najzdol-

niejszych i w miarę pracowitych uczniów, która towarzyszyła mi do końca cieszyńskiej edukacji. Edukacja ta nie zakończyła się zresztą po roku, lecz po ukończeniu klasy przysposobienia spółdzielczego przeszedłem, za zgodą rodziców oczywiście, do tzw. klasy wstępnej, przygotowującej uczniów do liceum, także zresztą skróconego. Gdybym był zaraz w roku szkolnym 1945/46 rozpoczął naukę od owej klasy wstępnej, to już w roku szkolnym 46/47 byłbym się dostał do jednorocznego liceum i zdobył maturę. Od roku 47/8 przedłużono już naukę w liceum do dwóch lat i strata jednego roku w klasie przysposobienia spółdzielczego pociągnęła za sobą stratę dalszego roku. Liceum spółdzielcze ukończyłem zatem dopiero w r. 1949, jako 22-letni już młodzieniec. Wśród kolegów było wielu jeszcze starszych. Byli też i młodszy, wśród nich mój o 3 lata młodszy brat Adam, który po ukończeniu szkoły wydziałowej w Bystrzycy poszedł równocześnie ze mną do jednej z klas wstępnych.

Oprócz brata sprowadziłem do szkół w Cieszynie także niektórych moich kolegów z Nydku; byłem więc swego rodzaju pionierem wśród młodzieży nydeckiej, edukującej się w Polsce. Jeszcze przedtem, w czerwcu 1945, zaczęli dojeżdżać do liceum ogólnokształcącego w Cieszynie bracia Tadeusz i Jan Rucy, synowie nauczyciela. Ich matka Anna i brat Stanisław zostali zamordowani przez hitlerowców. Może dlatego, a może ze względu na to, że o przepustki zabiegali niemal zaraz po wyzwoleniu, nie mieli kłopotów z uzyskaniem takich dokumentów.

Liceum Spółdzielcze było czymś w rodzaju technikum handlowego, przygotowującego kadry dla uspołecznionego handlu. W pierwszych latach po wyzwoleniu spółdzielczość bardzo popierano. Była to prawdziwa spółdzielczość, organizowana na zasadzie dobrowolnego zrzeszenia się konsumentów względnie wytwórców. Szkołę taką ulokowano zaś w Cieszynie, bo właśnie na Śląsku Cieszyńskim, zwłaszcza w jego części zaolziańskiej, były znakomite tradycje spółdzielcze jeszcze z czasów austriackich, utrzymujące się także w latach międzywojennych. Potem, przy budowie tzw. gospodarki socjalistycznej, spółdzielczość przejmowała coraz większe obszary działalności gospodarczej, zwłaszcza na wsi, ale działało się to metodami administracyjnymi. Prawdziwi działacze spółdzielczy byli wypierani przez ludzi nowych, tzw. nomenklaturę. Przedsiębiorstwa spółdzielcze upodabniały się do zakładów państwowych.

Moim kolegą z Liceum Spółdzielczego przyszło działać w takim właśnie czasie. Ideały i wiedza nabyte w szkole okazały się w zetknięciu z życiem mało przydatne; decydowała umiejętność dostosowywania się do nieustannie zmieniających się warunków.

Nasze liceum było placówką całkowicie nową, jakiej nigdy przedtem nie było nie tylko w Cieszynie, lecz w ogóle w Polsce. Większość nauczycieli przybyła spoza regionu i dopiero się zżywała z nieznanym jej środowiskiem, stojącym z reguły cywilizacyjnie wyżej od ich rodzinnych stron na wschodzie i w głębi Polski. Podczas kiedy w innych, tradycyjnych szkołach cieszyńskich stara kadra profesorska szybko asymilowała nowych pedagogów, wdrażając ich do wysokich wymagań swej placówki, w naszej szkole dopiero się z przypadkowo skompletowanego grona i w podobny sposób zgromadzonych uczniów tworzyła szkoła.

Uczniowie naszego Liceum zjechali bowiem również z całej Polski. Była wśród nich liczna, kilkudziesięcioosobowa grupa młodzieży z Lubelskiego, dużo też było Zagłębiaków. Byli uczniowie z Kieleckiego, Łódzkiego, a najwięcej oczywiście ze Śląska. Mniej więcej jedna czwarta ogółu uczniów przybyła z Zaolzia. Była to młodzież ogromnie zróżnicowana. Szokowały nas poglądy niektórych przybyszów ze wschodu, wśród których przeważali synowie i córki zamożnych rolników, wywodzących się ze szlachty zaściankowej. Niektóre panny z Krasnystawskiego uważały nas, zwłaszcza ewangelików, za nędzny plebs. Stosunkowo szybko

znaleźliśmy jednak wspólny język. Jak w każdej szkole, o pozycji ucznia wśród kolegów zaczęły decydować jego zdolności, walory osobiste, a nie poglądy i przyzwyczajenia wyniesione z domu, czy w ogóle ze stron rodzinnych. Okazało się, że młodzież zgromadzona w naszej świeżo skleconej „budzie” zwanej poprawczakiem, jest niezła.

Ukształtowało się również niezłe grono. Znakomity był pierwszy dyrektor mgr Ludwik Stolarzewicz. Budził szacunek wiekiem i wiedzą. On był twórcą „Spółdzielczoka”. Od 1947 r. dyktował mgr Adam Mazurkiewicz — człowiek nieco mniejszego formatu od poprzednika, ale nie mniej wartościowy.

Z profesorów najmocniej utkwiał mi w pamięci Stanisław Chełchowski, zwany Piłą. Uczył nas księgowości, przedmiotu dosyć trudnego i bardzo potem potrzebnego w pracy zawodowej. Był niezmiernie wymagający. Gnębił nas na lekcji, a na zadania domowe zadawał więcej niż pozostali nauczyciele łącznie. Za każde uchybienie wrzepiał bezpardonowo dwóję. Był nieubłagany, ale nauczył. Absolwenci „poprawczoka” byli potem rozchwytywani jako księgowi, o ile nie stracili wszelkiej ochoty do uprawiania zawodu, do którego sposobiono ich niemalże w męczarniach. Piła rozsiewał bowiem strach. Już nie pamiętam w jaki to czynił sposób, choć mógłby wystraszyć samym wyglądem. Niezmiernie chudy, bardzo jasny blondyn z bladymi, zimnymi, oczyma...

Byłem jednym z najlepszych uczniów i łatwo pojmowałem prawie wszystkie przedmioty. Poza matematyką. Na ogół się nudziłem, kiedy nauczyciele wyciągali z kolegów wiadomości, względnie powtarzali stary materiał. Także księgowość pojmowałem szybko, ale to nie wystarczało. Musieliśmy na lekcjach oraz w domu (w internacie) wykonywać wiele bardzo czasochłonnych ćwiczeń. Nudziło to, męczyło i denerwowało. Nie lubiłem więc Piły w odróżnieniu od profesora Drozdowicza, naszego matematyka, którego nie można było zresztą nie lubić.

Mgr St. Drozdowicz uczył matematyki także w innych szkołach cieszyńskich. Myśmy mieli matematyki niewiele i nie przykładano do niej większej wagi. Ważniejsza była arytmetyka handlowa, a przede wszystkim księgowość. Może dlatego jakoś nie zawsze nadążałem, tracąc wątek, choć w nydeckiej szkole uchodziłem za specja także z matematyki. Zbyttnio się zresztą nadążać nie starałem, zadawałając się stopniami „państwowymi”. Za Drozdowiczem natomiast przepadałem. Oprócz matematyki zajmował się także muzyką prowadząc znakomity kwartet rewelersów, w którym pierwszym tenorem był kolega ze „spółdzielczoka”, wielce urodziwy Bronek Badura. Nasz matematyk mi jednak nie imponował kulturą muzyczną, bo nie mam słuchu muzycznego, ale dowcipem. Sposobem życia. Nazywał nas panami dyrektorami, podkreślając skromnie, że również takim dygnitarzom, jakimi my po ukończeniu „spółdzielczoka” zostaniemy, nie zaszkodzi mieć nieco pojęcia o matematyce.

Najmilej wspominam jednak polonistkę Bronisławę Buławową. Była Cieszyńczyką pochodzącą z Zaolzia, bodajże z Karpętnej (z tej małej wioszczyny między Wędrynią i Oldrzychowicami pochodzą także Stanisław Hadyna i Karol Daniel Kadłubiec). Bardzo elokwentna, życzliwa, bezpośrednia, dowcipna. Poza tym wykładała przedmiot, który najbardziej lubiłem. Były to czasy, kiedy dużo czytałem, nie omijając zalecanej lektury.

Niemniej lubiany był inny Zaolziak, E. Bubik, który uczył nas śpiewu i gimnastyki. Niczego nie zadawał, nie wymagał. Przynosił radość i odprężenie, dobry nastrój. Kiedy mnie spotykał, mówił: „cześć”. Zapewne tak odpowiadał na pozdrowienia również innym uczniom, ale ja wówczas uważałem, że widocznie dostrzegł we mnie przyszłego geniusza i stąd ta poufałość. W okresie międzywojennym był jednym z najlepszych piłkarzy „Polonii” Karwina, najlepszego polskiego klubu piłkarskiego poza Polską. Piłkarze karwińscy byli wiele lat w czołówce czechosłowackiej dywizji (II ligi) piłkarskiej i nierzadko kandydowali do ligi.

Dopiero po latach dowiedziałem się, że był on przyjacielem mojego wujka z Pragi, brata matki, Jerzego. Bubik zmarł po długiej chorobie na klinice w Pradze i tam właśnie mój wujek wspólnie z żoną, ciocią Isią, umiłał przyjacielowi ostatnie chwile.

W gronie profesorskim naszej szkoły były dwa małżeństwa: państwo Gawlikowscy i państwo Buławowie. Profesor Gawlikowski był inżynierem. Uczył nas chemii i bodajże fizyki. Był to znakomity fachowiec. Wcale nam nie przeszkadzało, że nie ma przygotowania pedagogicznego. Jak tylko mu się udało, to wywoził nas na wycieczki, zwane ekskursjami i wodził po fabrykach. Zapamiętałem dwie takie wycieczki: do Chorzowa i do Dębowca. Podczas tej pierwszej najbardziej utkwiła mi w pamięci parująca kadź z ciekłym azotem o temperaturze poniżej 200° C. Zaś podczas wycieczki do Dębowca, gdzie właśnie odkryto złoża gazu ziemnego, podziwialiśmy, z jaką siłą wydobywał się z świeżego otworu metan. Rzucaliśmy różne przedmioty nad otwór, a niewidoczny, choć potężnie szumiący gaz wynosił je z wielką szybkością bardzo wysoko.

Pani Gawlikowska uczyła nas historii. Zapamiętałem z jej lekcji jeden epizod, którego byłem ofiarą. Było to w początkach mojej edukacji. Siedziałem w jednej z ostatnich ławek z Lolą Godulą, który dojeżdżał codziennie do szkoły z Suchej Górnej i podobnie jak inni Zaolziacy uprawiał drobną kontrabandę. Miał niedużą „piersiówkę”, w której przenosił do Czechosłowacji różnorakie trunki. Towar przechowywał u którejś z koleżanek w internacie żeńskim. Nam, kolegom, w tej materii raczej nie ufał. Podczas którejś z ostatnich przerw „zatankował” i czasem w klasie wyciągał spod pachy flaszczynę proponując mi łyk. Właśnie podczas lekcji pani Gawlikowskiej podsunął mi w tym celu cichaczem ową flaszkę. Schowałem się za plecy siedzącego przede mną kolegi i zdrowo pociągnąłem... spirytusu. Strasznie się zakrztusiłem, oczy wylażyły mi na wierzch i w tym momencie pani profesor oświadczyła: powie nam to Janek Rusnok. Wstałem z wykrzywioną głową i załzawionymi oczyma przyznając się przerywanym głosem, ciągle łapiąc oddech, że nie wiem, co mam powiedzieć, bo nie uważałem. Pani Gawlikowska stwierdziła, że to nawet po mnie widać, bo ciągle nie mogę opanować wesołości. Dobrze że ta bardzo kulturalna pani nie nastawała, żebym poinformował klasę, co mnie tak rozbawiło, musiałbym bowiem łączyć nie mogąc wkopać kolegi, choć mnie tak szpetnie urządził. Każde zaś kłamstwo na temat wyimaginowanych przyczyn mego krztuszenia się wzbudziłoby ogromną i wielce podejrzaną wesołość klasy, zorientowanej lepiej od pani profesor, czym to naprawdę się krztusiłem. W końcu poinformowano mnie, o czym była mowa na lekcji, i mogłem się salwować swoimi wiadomościami z historii, skierowując uwagę na sprawy merytoryczne.

Drugim małżeństwem, zaangażowanym w naszą edukację, byli państwo Buławowie. Mgr J. Buława był dyrektorem banku w Cieszynie. Nie miał wykształcenia pedagogicznego, co było dosyć widoczne. Uczył nas organizacji i techniki handlu. Miał kiepską dykcję. Mówił, jakby miał pełne usta, wypuszczając równocześnie ze słowami hausty powietrza. Był mało zaangażowany w nasze sprawy, ale na rzeczy się znał. Jego żona, mgr Jadwiga Buławowa, z pochodzenia bodajże Kirgizka, niska, drobna, subtelna, śniada i skośnooka, uczyła nas języków rosyjskiego i francuskiego. Była to wielka dama, wymagająca od nas głębokich ukłonów i w ogóle sygnalizowania naszej grzeczności, zwłaszcza na ulicy. Byłem pod tym względem zawsze niewprawy i gburowaty i podpadłem, stając się obiektem jej surowej krytyki. Na szczęście inni nasi nauczyciele nie dzielali jej obiekcji i jakoś to przeżyłem. Niezależnie od tego była to zacna i sympatyczna pani.

Geografii uczył nas jeden z młodszych nauczycieli, prof. Franciszek Banach. Nauczył mnie przypisywać decydujące znaczenie gospodarce i bogactwom naturalnym przed innymi walorami poznawanych krajów. Był dobrym pedagogiem i mocno zainteresował mnie geografiją. Biologii w klasie wstępnej uczyła nas

drobna, subtelna, bardzo nieśmiała, młoda jeszcze pani Jadwiga, zapomniałem nazwiska. Początkowo nie mogła sobie poradzić z naszą zgrają. Raz koledzy umówili się i wszyscy patrzyli jej uporczywie na nogi, bardzo zresztą zgrabne. Biedaczka się rumieniła, wierciła i z trudem dotrwała do dzwonka. Szybko jednak zaniechałszy tych brzydkich wybryków. Ujęła nas całkowicie swoją dobrocią i bezbronnością.

Jeśli już mowa o incydentach, to muszę się przyznać do jeszcze jednej wpadki. Otóż na lekcji warzywnictwa (bo i taki przedmiot mieliśmy przez czas jakiś), którego uczył nas Wanic, będący wykładowcą u „wozignojów” (w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego), bawiłem się wypuszczaniem przy pomocy gumki i zębów kulek papierowych, którymi raziłem niektóre koleżanki i przy wystrzeleniu kolejnego pocisku trafiłem zamiast koleżanki uczzonego pedagoga. Od razu wstałem ze spuszczoną głową, bo mi się zrobiło bardzo głupio, i musiałem wysłuchać takiej mniej więcej reprimendy: „Jeszcze chorągiewkę z przodu i chorągiewkę z tyłu, nocniczek, grzechotkę i mały Jasiu gotowy”. Strasznie mnie zdeptał tym małym Jasiem, któremu koszulina wystaje w formie chorągiewek z przodu i z tyłu, miałem już bowiem znaczny autorytet wśród kolegów, nawet w starszych klasach. Sam sobie nadałem pseudonim „Chłop”, a ponieważ koledzy też chcieli uchodzić za chłopów, więc zostali ponumerowani. Numer 2 miał Karol Rożek z Rybnika. Tu tymczasem na oczach całej klasy przyrównano chłopca nr 1 do małego Jasia.

Wspomniani „wozignoje”, cieszyńscy akademicy stanowili oczywiście arystokrację wśród wielotysięcznej rzeszy młodzieży uczącej się w nadolziańskim grodzie. Przed wojną było wśród nich także sporo prawdziwych arystokratów, paniców z ziemiańskich rodzin z całej Polski. Ówczesni panowie studenci jeździli po małym Cieszynie dorożkami, wysiadali w najdroższych restauracjach, imponowali gestem, łatwością wydawania rodzicielskich pieniędzy. Ogromnie się różnili od swoich kolegów ze Śląska, także Zaolziańskiego, wywodzących się z zamożnych rodzin chłopskich, tzw. siedloków. Oszczędnych, praktycznych, pracowitych. W moich czasach, po wojnie pozostało już niewiele owego szlachetko-siedlaczego kolorytu cieszyńskiej uczelni, ale było go jeszcze znać, choćby w postaci traktowania nas, licealistów, jako smarkaterii. Pod koniec lat czterdziestych przeniesiono WSGW z Cieszyna do podolsztyńskiego Kortowa, całkowicie przecinając jej międzywojenne tradycje. Na wyższą uczelnię wyrosło natomiast ówczesne Liceum Pedagogiczne, obecnie Filia Uniwersytetu Śląskiego.

Jeszcze jednego naszego pedagoga nie mogę nie wspomnieć, mgr. M. Hołubca. Uczył nas ekonomii i nauki o Polsce i świecie. Dzięki fenomenalnej znajomości przedmiotu potrafił w prosty sposób wytłumaczyć najbardziej skomplikowane zjawiska filozoficzne, ekonomiczne, polityczne. Ocenilem to zwłaszcza potem na studiach w Pradze, kiedy niektórzy młodzi wykładowcy popisywali się nadmiarem obcych słów i skomplikowanymi przykładami przy wyjaśnianiu rzeczy prostych i oczywistych.

Niemal od początku swej cieszyńskiej edukacji włączyłem się do pracy społecznej. Wstąpiłem do Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, podkreślając swe wiejskie, góralskie pochodzenie, podbudowane pracą na roli w okresie okupacji. Jako delegat z Cieszyna uczestniczyłem nawet w konferencji wojewódzkiej w Katowicach w 1946 r. Na konferencji toczyła się walka między liczniejszymi zwolennikami Mikołajczyka i lewicowymi radykałami, popieranymi przez władze „Wici” z prezesem Ignarem, obecnym zresztą na konferencji.

Wkrótce potem przeniósłem swe zainteresowania społecznikowskie na Zaolzie, gdzie w 1947 r. powstało Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, w którego działalność się zaangażowałem, zostając przewodniczącym grupy miejscowej w Nydku. W tym czasie zostały uregulowane nasze sprawy graniczne; po prostu władze czechosło-

wackie dały nam przepustki i zaproponowały, żeby te polskie oddać władzom polskim. Niektórzy koledzy nie skorzystali z tej oferty; przyjęli obywatelstwo polskie i zadomowili się w Polsce. Nieraz żałowałem, że nie postąpiłem podobnie. Żałował także brat Adam, wytypowany na studia do Związku Radzieckiego, ale przy pierwszej eliminacji odpadł bo nie posiadał obywatelstwa polskiego. Na studia w Kijowie dostał się natomiast nasz kuzyn, Janek Brzeżek, który zamiast o czeską przepustkę ubiegał się o polskie obywatelstwo. Tak się złożyło, że obaj byliśmy przyjęci na Akademię Nauk Politycznych w Warszawie, a ostatecznie on znalazł się w Kijowie, a ja w Pradze, bo tym razem odmówiono mi z kolei paszportu.



Pomnik Pawła Stalmacha przed Liceum Ogólnokształcącym na placu J. Słowackiego w Cieszynie. Fot.: Henryka Tomaszczyk.

Po rozmowie z Franciszkiem Świdrem

*Wściekam się i darzę przekonaniem
że jeden Kubisz i jeden Świder
Odrzucam i przywołuję
lata ku nadziei
Wszystko ze wszystkim się kuma a tyle
po drodze zamilkłych chwil
promienieje Boże jak on
nie bierze co dawno
postanowił Odpala przyjaciół
by go obalali Powtórnie Żebroka
przyjmuje za swego stąd
jeszcze większy w sztuce żal*

*Gdzież zresztą te lata po dwukropku
Karwina sama w sobie
ofiara w ramie własnej
i sztuka dla ofiar
dla cichej prywatnej zniewagi*

Cztery pory odkupienia

(fragment)

*W nużącej pielgrzymce wieków, świątyń, fortec,
Ludzkich i boskich losów, utrudzonych dróg,
Rozdzielających puszcze, góry i pustynne talerze —
Cieszyn objawił się nagle wśród wszystkich świętych miast.*

*Schodząc z wysokich świtów Gniezna i Poznania
Dotarł, potykając się o kości męczenników, poza
Wrocław Wenedów, ciesielskie Opole i srebro Bytomia
Aż na przedpoła Krakowa i Wiślicy, gdzie przechadzają się
Oracze słowa Bożego: utrudzeni Cyryl i Metody.*

*Niepokojąca góra nad Olzą — tytaniczna i spękana
Od wewnątrz, od gotującej się w niej historycznej lawy...
Zastalem miasto jak gdyby z ręką przy ustach:
Przytłumione, zaskoczone, że zostało moim domem.
Z okna widzę kłębowisko cegieł, jakże bliskie pysze
Świątyń, pałaców, biczowników tnących powietrze wiary.
Ten gród domaga się znaku, który by go przybliżył
Do mistycznej tajemnicy rodzącego owocu sławy.*

*Gwar unosi się nad prawdą podzielonego miasta
U księcia Przemysława, co ręce ma bielsze od kobiet
I dwa języki: u burmistrza gnącego się wśród zegarów,
U Karpińskiego „Pod Jeleniem” wieszczącego w mrocznej izbie*

*Z dymu świec, z kresowych rymów, w salonach księcia
Pepi obracającego zawzięcie drżące ciała niewiast,
Wreszcie przy krosnach drukarskich Pawła Stalmacha,
Kubiszów i Oszeldów.*

*Wiatr przedzie jałowo. Nie miesza już żadnych złudzeń —
Starzec siedzący okrakiem na drzewie wiadomości
raczej dalszych niż bliższych.
Cóż wobec tego miasta*

*Jest piękne lecz ulotne zwierzę sztuki? Cóż historia?
Idzie się przez nią wykrotami. Czasem zajęczką ścieżką
Wśród wilczych dolów. Krętymi tunelami bez gwiazd
za to z licznymi upustami, które kuszą nas fałszywym blichтром*

*Podkuwa nas często szowinistyczną nadzieją,
Stając się dwuznacznością — sprzedając kapłanką.
W chwili słabości ofiaruje prawdę, którą się dławimy —
Tak wspaniałomyślne roztacza wówczas krajobrazy,
Choć podnosi się nad nimi symfonia armat, staccato bagnetów
Sperforowana grzybnia filozofów i artystycznych dyrdymalów,
Na fidaszowych katafalkach — ciała bohaterów o stu imionach.*

*Podnoszą się firany miasta i nagle widać drepzczący
W miejscu jednakowo okutany tłum o wypatrzonych oczach,
Udający się na poszukiwanie dwu ojczyzn, dwu ucieczek
Przez nieznane i znane życiorysy.
Czekam na krok
Pierwszy i dalsze. Na zaczyn. Na powszechne uśmierzanie.*

*Czarna księżna mówi do mnie po niemiecku:
In ihren Wahnsinn sind Sie sogar interessant.
To opętanie trwa we mnie od wieków, od epoki zdrady.
Potęguje się w tym odnalezionym przeze mnie mieście,
Które jest rzeką, górami, drogą, kamieniem budującym
I kamieniem burzącym. Miasto spoza firan czasu.
Każde obląkanie porafi zjednać obfite rzesze
Zwolenników, każdy zachwyt — nie odwzajemnioną miłość.*

*Gnädige Frau, ich bin in Sie verliebt
Und in die Worte, die ganz aus schwarzen
Oder goldenen Zeiten geflochten sind.
Konie podniosły kopyta i powóz runął w tarczę horyzontu,
Gdzie ongiś zrodziło się pierwsze słowo podzielonego Śląska,*

*By pod Cierlickiem zapaść się w bezgłośnym jęku.
Zawirowało powietrze, poszła obłokiem struga ognia.
Zabłąkany, krążący ład opadł na samolot Żwirki i Wigury,
Który ściał wierzchołki trzech przydrożnych jodeł,
Pogrzebał księżnę i zszedł do korzeni miasta cierpiącego na zawał piękna.*

Rozmowa polska latem 1984 roku

— Czy już pani słyszała,
co się zdarzyło w nocy
przy ulicy Bobreckiej?
Do jednej starszej pani,
co akurat wróciła
od swych krewnych w Monachium
włamali się rabusie.
Przywiązali ją sznurem
do kuchennego krzesła
i, żeby nie krzyczała,
udusili poduszką.
O, zgroza! Zgroza! Zgroza!
Do czego to dochodzi?!

Dotąd jednak milicja
nie złapała morderców!

— O, co za okropieństwo!
Do czego to dochodzi?!

A, proszę pana, znowu
sprzedawca rurek z kremem,
ten, co miał kiosk na rynku
i grywał na klawercie,
struł się płynem borygo,
tym razem już na amen.
Ale może to lepiej,
bo on podobno strasznie
dęczył swą starą matkę
i teraz ona będzie
miała więcej spokoju.

— Może to nawet lepiej,
ale tak sobie myślę,
że spokoju nie będzie,
bo wczoraj rano znowu
w parku koło muzeum
leżała na trawniku
zalana prawie w trupa
nie najmlodsza niewiasta
przyodziana zaledwie
w jedną brudną skarpetę.
Na plecach, na pośladkach,
na piersiach i na łonie
ktoś jej powypisywał
czerwonym długopisem
przeróżne sprośne hasła.

Co rok...

*Co rok jesteśmy młodszy,
bo młodość przychodzi z wiekiem.
Co rok jesteśmy prostsi
i pokłóceni z pośpiechem.*

*Co rok jakieś marzenie
wynosimy na cmentarz.
Co rok otwiera wiosna
nadziei elementarz.*

*Co rok jesteśmy mądrzejsi,
smutniejsi równocześnie,
bo mądrość przychodzi za późno,
a siwe skronie — za wcześnie.*

Wiersze

POWOŁANIE

*ja?
nieufająca w wierze
niewytrwała w nadziei
niepokorna w miłości
dlaczego mnie
wybrałeś?
nie wiem
i nie rozumiejąc
tak bardzo Cię
kocham*

KAPŁAN

ks. Walterowi Wrzółowi

*Jeden z wielu
nielicznych
za krzyżem
idzie
w procesji swych dni
niosąc ludziom
Sakrament
Słowo
błogosławieństwo.
I pochylając się
nad człowiekiem
nad ołtarzem
pomiędzy świętością a codziennością
sprawuje
nieustającą
liturgię godzin.*

NA OBJAWIENIE PAŃSKIE

*Mędrcy świata, monarchowie
dokąd dążycie —
z wysokości złotych tronów
potęgi i tyranii,
wśród kadzidlanych dymów
pochlebstw i nienawiści —
rozdając narodom
mirrę?
Oto śpieszy do nas Chrystus
ofiarowując
Prawdę.
Czy chcecie widzieć Dziecię?*

JASKÓŁKA

*W geometrycznej przestrzeni katedry
zagubiła się maleńka
jaskółka.*

*Pomiędzy
koloraturą światłocieni witraży
i
strzelistą kontemplacją ascetycznych kolumn
kreśliła piórkiem
znaki zapytania.*

*Aż złożyła skrzydła
przed Ofiarą Ołtarza...*

OPOWIEŚĆ O MARII MAGDALENIE

*Przyszła ze świata,
wśród sędziów
upadła.
(A oni, zgorszeni, szydzili i kpili.)
On milczał.
Ona,
spojrzenia zakrywszy
włosami,
u stóp Jego złożyła:
łzy ciężkie jak
grzech,
pragnienie droższe
niż wonne oleje,
i
miłość
mędrszą
od wszystkich nauk faryzeuszy.
On
wiedział.
Przebaczył.
pobłogosławił.
Spojrzała w Jego twarz,
powstała
i
poszła pod krzyż
by ujrzeć
Zmartwychwstanie.
On
pozostał jeszcze
z niespodziewanie oskarżonymi.
(A oni, zdumieni — umilkli.)*

Wiersze

PRZEMIJANIE

*czerwona linia
na widnokręgu życia
cienka niczym nić topika
wypluwającego w morze
barwny płyn*

*granica istnienia
jaśnieje
żarzy się
to znów zanika
aby zabłysnąć ostrzem harpuna
ukłuć rozpaloną igłą
pulsującej krwi
lub zapchać tchawicę
wytłoczymi serca*

SYMFONIA Z MINUSEM

*bukiet rodzinnych kwiatów
zespolony uczuciem jedności
związany krwi szarfą
jasnością zaszczytów
nadziei zielenią
tkwi w pniu rodowym
miodem miłości wypełnionym
ornament pamiątek
skaleczony lekką rysą*

Pięć wierszy dla dziewczyny o smutnych oczach

I

Gdy dłoń twa chłodna
otworzyć się zdoła
cisnę ja do niej
blask tęczy
i słońce
i wtedy usta
podasz mi bezwiednie
i oczy otworzysz
i ciało gorące

II

Dlaczegoś taka smutna
dziś panienko
co zasłoniło kryształ
twojej duszy
nie pokochasz świata
kiedyś jak ziarenko
które jeszcze
nie wzeszło
pozwól je poruszyć

III

Czy widzisz
że przyjaźń nasza
jest jak drzewo
które wiatr raz kołysze
to do ziemi zgina
lecz nie pytaj się drzewa
i wiatru
dlaczego
bo one nie wiedzą
jaka jest przyczyna

IV

Pragnę iść z tobą
nie na koniec świata
lecz tam gdzie
zima taka jest
jak wiosna
i tam gdzie wdychasz ze wszystkim
kwitnienie
tam chcę ciebie porwać
więc może być poszła?

V

Ty nie zapominaj
żeś z posiewu światła
i że twoje życie
nie po stronie cienia
i w bezruchu nie trwaj
co nic nie ułatwia
nawet człek nieszczęśliwy
lepszy od kamienia

Pogryb

*Jak mie kiedy poniesiecie
W tróhelce do pola,
Pamiętajcie, zaś chowiecie
Jednego gorola.*

*Gronie mie wykołybały,
Olza myła głowę,
Mama śpiywać nauczyla
Naszą śląską mowę.*

*Pod głowiczke mi też dejcie
Moją starą gunie,
Głęboko mie nie chowejcie,
Bych mógł widzieć gronie.*

*Dwa ramiynia brzozowego
Krzyża mi wystarczą.
I nie płaczcie. Bo na świecie
I tak dość je płaczu.*

Na cieszyńską nutę

PRZEZ ISTEBNĄ

*Przez Istebną cesta cymbrowano,
stoi tam dziyweczka, moja galaneczka
uplakano.*

*Nie płacz ty, dziyweczko, nie starej się,
uwij se wióńeczek, uwij se wióńeczek,
a wydej się.*

*Jako by jo sie też wydowała,
kiedy ni móm owsa, kiedy ni móm owsa,
kóniom siana.*

*Niedaleko cesta od miasteczka,
nakupiyemy owsa, nakupiyemy owsa
i sianeczka.*

PO PUŃCOWSKIEJ ROLI

*Chodziła dziewczeczka po puńcowskiej roli,
bardzo ustarana, bardzo uplakana,
że ją głowa boli.*

*Nie płacz, ma dziewczeczko, nie narzykej na mie,
siądę na koniczka, pozdrowię taticzka,
weznę cie do siebie.*

JUŻ JA WIĘCEJ...

*Już ja więcej przez granicę
maszerował nie będę.
Miłowałem szwarne dziewczę,
miłować już nie będę.*

*Już mam pinkiel spakowany,
już mi leży na stole,
wynieś mi go, moja mila,
wynieś mi go na pole.*

*Nie wyniosę, nie wyniosę,
nie będę wynaszala,
lepiej bym cie, mój syneczku,
lepiej bym cie nie znała.*

MAMULKO MOJA

*Mamulko moja, boli mnie głowa,
odeszedł mnie mój syneczek,
pociecha moja.*

*Nie doł mi płakać ani się smucić,
obiecoł mi za trzy lata
znowu powrócić.*

JETELINKA

*Jetelinka w lesie
ta się dobrze niesie.
O, jak piękno ta dziyweczka,
kiero się uplecie.*

*Uplecie, umyje,
pięknie się ustroi,
a jak przyjdzie do karczmiczki,
przed swym miłym stoi.*

TAŃCUJCIE, TAŃCUJCIE

*A tańczujcie, tańczujcie,
jyny pieca szanujcie,
pieć się przydo na zime,
nie każdy mo pierzyne.
Gdo mie dziśka wytańczy,
tymu się to oplaci.
Gdo mie dziśka polechce,
tyn dostanie, co zechce.*

GORZAŁA LIPKA

*Gorzala lipka, gorzala,
pod nią dziewczeczka leżała.
Iskierki na nią padały,
Jankowe oczka płakały.*

*Janickowi ji było żol
I swoją guńką ją odzioł.
A choćby guńka zgorzała,
coby dziewczeczka została.*

Granica

Z pewnej odległości wyglądali poniekąd komicznie. Szli trzymając się za ręce. Duży i mały. Wysoki barczysty mężczyzna był dziadkiem tego drugiego, dwunastoletniego szczupłego chłopaka, Janka. Dla chłopca zaś ten sześćdziesięciodwuletni dziadek Jan był po trosze ojcem, którego zabrała mu wojna. Toteż z ufnością trzymał rękę w olbrzymiej dłoni dziadka, słuchając jego opowieści o nieznanym mu bliżej ludziach, mieszkających w mijanych domach.

Chłopak znał wszystkie te historie z kilkakrotnych opowiadań dziadka, ale tym razem słuchał ich jak gdyby z większą powagą. Miał na sobie nowe ubranie, które uszył mu krawiec Kulig, mieszkający nad Kępą, do którego dwukrotnie chodził z matką do przymiarki.

Dzień ten był szczególny w jego życiu. Oto po raz pierwszy miał zobaczyć wujka Józefa, brata dziadka, o którym tyle rzeczy się nasłuchiwał i po raz pierwszy w życiu miał przekroczyć granicę.

— Dziadku — przerwał wywody dziadka snute o jego dawnych pieszych wycieczkach do Brennej przez Leszną, Golezów i Skoczów — co to właściwie jest ta granica?

Starszy przystanął, wypuścił dłoń chłopca, poprawił płócienny kapelusz na głowie, wziął chłopca ponownie za rękę i ruszając dalej, powiedział:

— Jak ci to wytłumaczyć? To taka linia na ziemi dzieląca dwa państwa, której ludziom nie wolno przekraczać bez przepustek.

— A czy to dobrze, że jest granica? Chyba nie — odpowiedział sam sobie — bo nie możemy iść do wujka, kiedy nam się zechce.

— Tak, tak, masz rację — odparł ten duży z zadumą.

— To dlaczego ludzie nie zburzą granicy?

— Niełatwa to sprawa, skoro już raz ją zbudowali...

— Dziadku, a czy ty też ją budowałeś?

— Nie, ja nie.

— A może wujek Józef ją budował?

— Nie, on także nie.

— To kto w takim razie?

— Państwo, żołnierze...

— A dlaczego oni nie zbudowali jej gdzie indziej?

— Tak kiedyś zdecydowano i tak już pozostało. Trudno. Ale dziś już zobaczysz wujka...

— I jego krowy, owce...

— Tak, i zjesz prawdziwą bryndzę, domowe masło oraz miód z pasieki nad młaką.

W miejscu, gdzie droga przecinała tory kolejowe, ten większy pociągnął chłopca w lewo.

— Pójdziemy łęgim, po co mamy drzeć buty na asfalcie.

Chłopak zgodził się chętnie. Było to normalne: dziadek zawsze lubił chodzić ścieżkami i miedzami.

Ścieżka polna oddzielona od torowiska mokradłem zarośniętym trziną i tatarakiem biegła wzdłuż pól, gdzie wynajmowali skrawek od spółdzielni.

— Przy okazji — kontynuował dziadek — zobaczymy, jak rosną ziemniaki...

— Resztę jego słów zagłuszył łoskot przetaczającego się pociągu towarowego wiozącego węgiel do huty w Trzyńcu.

Mogli naturalnie jechać pociągiem, ale ten duży chciał tę swoistą pielgrzymkę na ojcowiznę odbyć częściowo na piechotę. Były to jego pierwsze po latach odwiedziny brata, z którym nie widział się od czasów wojny. Kiedy pociąg zniknął wraz z łoskotem, zaczął raz jeszcze wszystko tłumaczyć wnukowi.

— Z Cieszyna pojedziemy pociągiem do Skoczowa, a stamtąd pójdziemy pieszo przez Górki do Brennej.

— W Górkach urodziła się babcia — ucieszył się chłopak, że wie co nieco o tamtym zagranicznym świecie.

— Tak — przytaknął dziadek. — W Skoczowie kupimy kielbasy i bułek. Takiej kielbasy jeszcze nie jadłeś. Zjemy ją nad Wisłą.

— To i Wisłę dziś zobaczę? — zainteresował się chłopak. — Niedawno uczyliśmy się o niej w szkole.

Doszli do miejsca, gdzie Olza zbiega się z torami, wdrapali się na nasyp i mostem kolejowym przeszli na drugi brzeg rzeki, ruszając wzdłuż Olzy do ulicy Jabłonkowskiej.

— Teraz musimy iść drogą do Ropiczanki — zastrzegł dziadek — gdzie za mostem skręcimy w prawo. Idąc wzdłuż potoka dojdziemy do Olzy, która w tym miejscu jest już granicą.

— To dziwne, dziadku — powiedział wnuk, kiedy dotarli do Olzy-granicy — że nasza Olza nagle staje się granicą. Chociaż — zastanowił się na chwilę — u nas też jest troszeczkę granicą. Przecież nasza paczka wcale nie bawi się z chłopakami zza Olzy. Tylko Karola z klasy dopuszczamy do siebie.

Szli teraz wzdłuż rzeki-granicy, minęli Park Sikory i idąc dalej nabrzeżem dotarli do przejścia granicznego.

Chłopak, uwolniony z opiekuńczej ręki dziadka, który szukał w portfelu przepustki, poczuł się nieswojo. A może ci żołnierze nie wpuszczą ich za granicę? Jakaż to ostatecznie granica? Zwyczajny most ze szlabanami, jak na przejeździe kolejowym.

— Skąd, dziadku, idziecie? — zapytał żołnierz zwracając mu dokumenty.

— Z Końskiej.

— A daleko idziecie?

— Do Brennej. Do brata.

— To szczęśliwej drogi — zsalutował żołnierz.

Mały na wszelki wypadek poszukał ręki dziadka i ruszyli przez miasto na dworzec kolejowy.

„Nie taka straszna ta granica, pomyślał, ale po co ona ludziom?”

Nie zdążył sobie odpowiedzieć, bo dziadek zaczął przypominać mu opowieści, też już znane, jak to kiedyś, jeszcze przed pierwszą wojną światową, pracował jako palacz w Cieszynie, jak i gdzie poznał Marysię, babkę chłopaka.

Słuchając tych opowiadań nagle uświadomił sobie, że oto jest w Polsce, za granicą, w obcym kraju... Naprawdę w obcym? Przecież tu wszyscy mówią prawie tak samo jak u nich w domu, może nieco mniej po naszemu. A napisy na sklepach są tylko polskie.

Niebawem widmo granicy rozwiało się w nadmiarze nowych wrażeń.

Gromniczna

Na żółtej ścianie dzieciennego pokoju wisiał mały, ciemny obrazek. Łypały na mnie z niego co wieczór złe, wilcze oczy. Przymróżone, skośne ślepia napawały lękiem, ale równocześnie koił dziecięcy strach blask świecy w rękach dobrej Pani. Straszliwe oczy wilków łagodniały w tym blasku, pokorniały. Oślaniała przed wiatrem chybottliwe światło małą delikatną dłonią o pięknych palcach. Znad blasku wyłaniała się z mroku w leciutkiej aureoli ponadziemska, dobra twarz Matki Gromnicznej. Na małego człowieka patrzyły każdego wieczora troskliwe oczy Matki Matek.

Przewalało się życie, twarde i złe. Pokój przestał być dzieciennym, a mały człowieczek zbyt szybko wydorósł. Wojna szerzyła zwyczaj, wobec których wilcze prawa bezlitosnej walki o byt zdawały się beztroską zabawą. Przez świat odbywała triumfalny marsz filozofia zbrodni. Zabijanie za kolor skóry lub kształt nosa stało się niemal sportem. Dogorywały resztki społeczności żydowskiej w moim mieście. Tylko nieliczni ukrywali się jeszcze u litościwych, nie baczących na ryzyko śmierci ludzi. Wielu litościwych zginęło w publicznych egzekucjach. Na miejscowym cmentarzu było słyszeć strzały, przybываło też pod cmentarnym płótem świeżych blizn.

W zimę tego roku mróz skuł ziemię, a wiatr potęgował jego siłę. Optymiści pocieszali się, że rasa panów odmraża się na polach pod Moskwą, tudzież na innych mało gościnnych ziemiach bezkresnej Rosji. Moje paletko swobodnie przepuszczało podmuchy wściekłego wiatru. Gnałem więc do domu, widząc ratunek w szybkich nogach.

Przebiegając koło kościoła zauważyłem grupkę kobiet i mężczyzn, wpatrujących się w ciemność otwartych drzwi. Widziałem strach na twarzach kobiet i tępe z beziły twarze chłopów. Zatrzymałem się. Coś się w kościele działo. Usłyszałem, że z ciszy wnętrza dochodził rechot niemieckiej mowy, przerywany bełkotliwym śmiechem. Było słyszeć odgłos ciężkich podkutych butów. Jacyś ludzie wychynęli z kościoła. Wśród spasionych, grubo odzianych żandarmów i żołnierzy trzymana potężną łapą za nędzną chuścinę szła mała, chudziutka żydowska dziewczynka. Nie płakała. Przerażona obejmowała cienkimi rączkami rozchyłającą się chustę i opadającą spodnicę.

Patrzyłem bezsilny w jej twarzyczkę. Spotkały się nasze oczy. To było łagodne, smutne spojrzenie Madonny z dzieciennego pokoju. O ileż straszliwsze od oczu wilków były źrenice ludzi patrzących spod siodłatych czapek.

Cisza zaległa przykościelne podwórze. Grupa zbirów z małym zbiegiem skierowała się do terenowego samochodu, który wkrótce ruszył z miejsca. „Uciekła do kościoła” — szeptały kobiety. „Ktoś zdradził”. „Aby z piekła nie wyrżał, przeklęty”! „Mordercy bez serca i litości”!

Złorzeczenia wypowiadano półgłosem; śmierć była przecież tuż, tuż. Zataczając się biegłem do domu. Padłem na łóżko płacząc bez łez. Po długiej chwili spojrzałem na ukochany obraz. Skamieniałem. Znad zgasyłych ślepi wilków patrzyła na mnie bezbarwna twarz o pustym spojrzeniu. Madonna odeszła i koila zapewne białą, dobrą dłonią rozstrzelane serce dziecka.

Miłosierny pan Alfred

Pan Alfred, wspomóżyciel samotnych staruszek. Jeszcze nie stary, ale już nie młody. Dziarsko i z uśmiechem wkraczający w jesień swojego żywota. Dziarsko i z uśmiechem śpieszący z pomocą strapiionym emerytkom, zrzedliwym rencistkom, opuszczonym matronom. Nie, nie, pan Alfred nie był natrętny. Nie narzucał im swej pomocy, raczej nieśmiało, jakby mimochodem ją proponował, lecz one rychło wyczuły, że jest gotowy na każde ich wezwanie, szybko spostrzegły, że jest posłuszny każdemu ich skinieniu. Grzeczny aż do granicy ironii skrupulatnie wykonywał najdrobniejsze polecenia. Życzliwy i akuratny gorliwie wypełniał wszystkie prośby. Ba, podszeptował im nawet kaprysy i zachcianki, które później ochocho spełniał. Wystawał dla nich w kolejkach, kupował mleko, pieczywo, parzył im zioła, pastował podłogi, nakręcał zegary, mył okna, podlewał kwiaty, reperował zepsute zamki. Karmił podwórzowe koty, wynosił śmieci, plewił w ogródku, trzepał dywany, nosił węgiel i palił w piecach. Odprowadzał je na nieszpory, czytał im gazety, nawlekał igły, obierał ziemniaki, wysyłał listy, robił przepierki, nosił firanki do prężenia. Służył swym damom zgoła po rycersku, cierpliwie jak Lancelot, odważnie jak święty Jerzy, niezłomnie jak Zawisza. Tak, jakby go trawił nieugaszony płomień, przenikała niepokromiona pasja.

Jego bezinteresowność i uczciwość gwarantowane były stanowiskiem, które od dawna zajmował. Pracował bowiem jako intendent w przytułku i szpitalu bonifratrów. Widać zajęcie to nie wyczerpywało jego energii, a przeciwnie, potęgowało w nim potrzebę niesienia innym czynnego miłosierdzia, skoro cały swój wolny czas poświęcał samotnym, sędziwym paniom. Hm, posada intendenta w przytułku i szpitalu bonifratrów na pewno nie dawała mu dość zadowolenia, chyba budziła w nim niejakie wątpliwości i zastrzeżenia, być może, nawet mąciła spokój jego sumienia, więc postanowił otoczyć dyskretną, systematyczną opieką kilka starszych, samotnych kobiet. Pozwalał mu na to jego stan — od kilku lat był samotnym wdowcem. Żonę, która nie obdarzyła go potomstwem, pochował w kilka lat po ślubie. Z tego faktu ktoś może również wywodzić głębsze motywacje jego późniejszej działalności charytatywnej. Tak czy inaczej, w tych trudnych, coraz trudniejszych czasach postanowił wspierać swoją pomocą kilka nieszczęsnych staruszek.

Jego ciemny, sfatygowany od codziennego noszenia garnitur budził ich zaufanie. Jego sprężysty, miarowy chód podoficera rezerwy dodawał im otuchy. Jego głos — mocny, lecz stonowany tenor — sprawiał, że zapominały o garbie swych lat. Uwielbiały go słuchać, kiedy z nimi gwarzył, kiedy dzielił się z nimi nowymi plotkami, kiedy żartował, ho, ho, nawet pikantnie, ale nigdy nie przekraczając, nie zawsze przecież wyczuwalnej, granicy stosowności. Działał na nie zbawiennie. Kiedy był z nimi, ich uszy słyszały lepiej, a oczy widziały wyraźniej. Swoją obecnością poprawiał krążenie krwi w ich wapniejących żyłach. Jego wizyty były jak niespodziewane otwarcie okien w zapomnianych, od dawna nie wietrzonych pokojach. Świeży powiew, który szedł za nim, niweczył zawieszisty zaduch starych wnętrz, rozrzedzał mgławicę postępującej sklerozy.

W starcze, zwieńczone, schorowane ciała wracała ochota do życia. Suche, upstrzone wątrobowymi plamkami dłonie o ptasich palcach częściej sięgały po grzebień. Lustra ze złością budziły się z letargu, gdy nagle przejrzały się w nich suche jak papier, lecz uróżowane policzki, zwieńczone wargi pokryte karminową

szminką, czarną kredką poprawione brwi. Jakże zjadliwie skrzypiały drzwi przedwojennych szaf, gdy z ich mrocznych wnętrzości wyciągano sukienki, o które nikt nie upominał się od pokoleń. Jakże szyderczo zgrzytały komody, gdy z ich dolnych pokładów wydobywano bluzki z koronkowymi kołnierzami, których urodę nagle, po tylu latach, przywracano do łask. Drwiącym chrząkaniem wtórowały im ciężkie szuflady, gdy z ich zanadra wyjmowano naszyjniki i broszki pamiętające dni chwały nieodżałowanego Franciszka Józefa. Nagle jak gong rozbrzmiewało zagubione gdzieś złote echo młodości.

Sąsiedzi i znajomi pana Alfreda wiedzieli, że wspomaga on stare baby, lecz nie myśleli o tym ani nie szeptali zbyt wiele, aby nie wyrwać z drzemki własnych sumień. Skłonni byli raczej uważać go za dziwaka, a jego dziwactwo wolili tłumaczyć pobożnością, samotnością lub czymś, co nazywali nawykiem zawodowym. Tak jakby posada intendenta w przytułku i szpitalu bonifratrów rozwijała cnotę miłosierdzia. Zresztą niektórzy twierdzili wręcz że wspomaganie starych, samotnych kobiet należy do zwykłych obowiązków intendenta. Jedni więc chwalili jego skromność, wyolbrzymiali cnoty i podziwiali anielskość jego wdowiej duszy, inni zaś pokpiwali sobie z niego, ponieważ przypadkiem słyszeli, z jaką czułością wyraża się o nim ta czy tamta z jego leciwych podopiecznych. Rzecz jasna znaleźli się również i tacy, którzy za jego plecami znacząco pukali się palcem w czoło, głównie po to, aby rozwścieczyć tych, którym się zdawało, że widzą promienną aureolę wokół jego głowy.

Nie dziwota zatem, że on, wirtuoz miłosierdzia, wspomóżyciel sędziwych, opuszczonych matron, opiekun zrędliwych emerytek, pocieszyciel strapiionych, próchniejących rencistek zaskarbił sobie ich dożgonną wdzięczność. W kilka tygodni po pogrzebie jednej z nich, emerytowanej nauczycielki, nagle okazało się, że został jej jedynym spadkobiercą. Siedemdziesięcioczeroletnia pani zapisała mu w testamencie dom i działkę na przedmieściu. Mniej więcej pół roku później śmierć zabrała inną jego podopieczną, która zamieszkiwała w kamienicy przy ulicy Armii Czerwonej i była właścicielką całego trzeciego piętra. W takim mieście jak nasze ściany mają uszy bardzo wrażliwe i niewiele można utrzymać w tajemnicy na dłużej. Ostatnia wola zmarłej wzbudziła wkrótce niejaką sensację. Cały majątek samotnej staruszki odziedziczył pan Alfred i ci, którzy za jego plecami pukali się palcem w czoło, nagle przestali to robić.

Jednakże wiosną, wiosną tego roku zdarzył się przykry a zarazem dziwny w swym okrucieństwie wypadek, który ukazał osobę pana Alfreda w nowym, niemiłosiernym świetle i na zawsze chyba położył kres jego dobroczynnej działalności. Otóż w kamienicy przy ulicy Dzierżyńskiego, tam, gdzie kiedyś znajdowała się pracownia fotografa Prochaczka, mieszkała samotnie w dwóch pokojach z kuchnią pewna starsza pani, do której również od czasu do czasu zaglądał pan Alfred. W pewien ciepły, kwietniowy dzień, mniej więcej o tej porze, kiedy polskie radio nadaje hejnał, sąsiedzi tej sześćdziesięciodziewięcioletniej rencistki usłyszeli dobiegające z jej mieszkania histeryczne wołanie o pomoc. Rozpaczliwe „ratunku! ratunku!” przeplatane maniackim „Janeczko! Janeczko! obudź się!” zelektryzowało ich tym bardziej, że krzyczone było nie kobiecym, zachrypniętym altem, lecz wyraźnie męskim, mocnym jak dzwon tenorem. Śpieszącym na pomoc broniły dostępu zamknięte na klucz drzwi, ale oczywiście natychmiast znaleźli się dwaj krzepcy panowie, którzy bez większego trudu je wyważyli.

Histeryczne wołanie o pomoc dochodziło gdzieś z głębi mieszkania. Ci, którzy pierwsi dopadli progu sypialni, stanęli na nim jak wryci. Oczy rozszerzyły im się nagle ze zdumienia, a ich otwarte usta oniemiały na chwilę. Na łóżku, na białej pościeli, nagie ciało mężczyzny uwięzione było jak w imadle przez starcze, białe, chude uda kobiety, która właśnie umarła.

Przygoda z panią Kowalską

Poznałem panią Kowalską przez mego mistrzowickiego przyjaciela i kolegę z ławy szkolnej, Gustawa. Miał w sobie coś ujmującego, dzięki czemu zjednywał sobie łatwo ludzi, szczególnie płęć piękną. Niejedna panna, rozwódka, wdowa, a nawet mężatka roniła z jego powodu łzy.

Za kawalerskich czasów on był kierownikiem sklepu mięsnego, a ja biednym urzędniczyną. Nieraz zachodziłem do jego sklepu, by kupić kawałek kielbasy czy salcesonu. Podziwiałem, z jaką elegancją i gracją obsługiwał klientki. Jego sklep uzyskiwał więc największe obroty. Pewnego razu Gustaw uległ ciężkiemu wypadkowi, co wymagało długotrwałego leczenia. Straciłem z nim kontakt. Po mniej więcej dwu latach spotkałem go całkiem przypadkowo w hotelu „Piast” w Czeskim Cieszynie. Nie uszło mojej uwadze, że Gustaw musi być w zażyłych stosunkach z piękną kelnerką, która nas obsługiwała. Świadczyło o tym niedwuznacznie ich zachowanie. Zresztą, kiedy zagadnąłem o to Gustawa, wcale się z tym nie krył.

— Już nie mieszkam z rodzicami — zwierzył mi się. — Wynajmuję mieszkanie u pewnej wdowy na Brandysie, chętnie ci je pokażę.

Poszliśmy. Okazało się, że podnajmuje pokój w piętrowej kamienicy z całą pewnością z minionego jeszcze stulecia. Miał do dyspozycji właściwie całe mieszkanko, składające się z kuchni, łazienki i eleganckiego saloniku. Meble były stare, ale w bardzo dobrym stylu. Na ścianie wisiał potężny, sięgający od stropu aż do podłogi zegar. Zwrócił też moją uwagę obraz pięknej, młodej kobiety. Nie mogłem od niego oderwać wzroku, co nie uszło uwagi Gustawa.

— Podoba ci się? — spytał.

— Bardzo. Kto to?

— Właścicielka tej kamienicy, pani Kowalska. Straciła męża na wojnie i mieszka na parterze.

Podejrzywałem, że ma romans z tą panią Kowalską, skoro uwiódł tyle innych. W kilka tygodni później, wracając z pracy spotkałem Gustawa na dworcu w Czeskim Cieszynie. Odniosłem wrażenie, jakby specjalnie na mnie czekał. Poszliśmy do „Piasta” na kawę. Rozmowa nie bardzo się kleiła, bowiem kawiarnia ziała pustkami i kelnerka, z którą Gustaw utrzymywał nadal bliskie stosunki, zatrzymywała się raz po raz przy naszym stoliku. W pewnej chwili zaskoczył mnie dziwną propozycją.

— Wiesz, jutro wyjeżdżam na cały miesiąc do sanatorium. Mogę ci dać klucze od mego mieszkania. Będziesz mi podlewał kwiaty, a poza tym rób sobie tam, co chcesz. Panią Kowalską, naturalnie, uprzedziłem, że podczas mej nieobecności zamieszka w mym mieszkaniu dobry kolega. Była z tego nawet zadowolona i nie będziesz miał z nią żadnego kłopotu. Tu są rezerwowe klucze.

To mówiąc mrugnął porozumiewawczo, jak gdyby chciał powiedzieć: „baw się dobrze”.

Nazajutrz, palony ciekawością, udałem się z pracy wprost do mego nowego, przejściowego mieszkania. Deszczowa pogoda wczesnej jesieni niosła z sobą nastrój przygnębienia i smutku. Postanowiłem się wykąpać i z książką w ręku udać się do łóżka. Kiedy po kąpieli wychodziłem z łazienki, do drzwi mieszkania ktoś zapukał. Zanim zdążyłem się dostatecznie ubrać, w drzwiach pojawiła się sędziwa staruszka z laseczką w ręku. Musiałem zrobić głupią minę. Spodziewa-

łem się, że w drzwiach pojawi się piękna młoda pani Kowalska, a tymczasem nachodzi mnie jakiś starucha.

— Czego sobie pani życzy?

Z kolei odmalowało się zakłopotanie na twarzy staruszki

— Jestem Kowalska, właścicielka tego domu; czy Gustaw tego panu nie powiedział?

— Powiedział, tyle że pani może być co najwyżej jej bacią. Przecież mąż pani Kowalskiej poległ na wojnie. Czyżby pani miała aż tak młodego męża?

Na twarzy staruszki pojawił się uśmiech.

— Tak, to prawda. Mój mąż zginął, ale podczas pierwszej wojny światowej. Nie na froncie, ale w wypadku przy pracy bo na żołnierza był już za stary; liczył wtedy 55 lat. Ja tak, jak na tym portrecie, wyglądałam, kiedy miałam 30 lat. Jest to prezent od męża z okazji dziesiątej rocznicy naszego ślubu. Obchodziliśmy ją w roku 1900.

Byłem wściekły nie tylko na Gustawa, ale i na siebie — za swoją naiwność i łatwowierność. Przeprosiłem staruszkę za nietaktowne zachowanie, zwalając całą winę na Gustawa.

Atmosfera napięcia się rozładowała. Poczułem do staruszki sympatię, bo przypominała mi moją niespełna 90-letnią, niedawno zmarłą babkę. Podałem pani Kowalskiej krzesło i powiedziałem, że bardzo lubię słuchać opowiadań o dawnych czasach. Staruszka była wyraźnie zadowolona. Usiadła i zaczęła swoją opowieść:

— Tu, w tym małym przytulnym mieszkaniu, przeżyłam 30 lat swego życia. Przedtem, od roku 1911 do 1920, mieszkała tu ze swoim mężem moja jedyna córka. Potem wyprowadzili się do Wiednia, gdzie mieszka cała moja rodzina. Po śmierci mego męża, który był mistrzem stolarskim, sprzedalam w roku 1916 jego warsztat i uzyskane w ten sposób pieniądze wystarczyły nam na jakiś czas na utrzymanie. Kiedy wyprowadziła się córka, wynajęłam swoje dotychczasowe obszerne mieszkanie na parterze, meble posprzedawałam i przenieśliśmy się tu, do tego małego mieszkania. Do dziś dnia żyję tylko z czynszu od pięciu lokatorów, którzy mieszkają w tym domu. Przed dwoma laty owdowiał pan Szrubarz, który wynajmował nasze dawne mieszkanie na parterze. W zeszłym roku przeprowadziłam się do niego, a to mieszkanie wynajęłam pańskiemu koledze, Gustawowi. Coś mnie tu jednak przyciąga, więc często zaglądam.

— Jako wiedeniaczka świetnie pani mówi po polsku.

— Mąż był Polakiem a mama krakowianką. Chociaż w domu rozmawialiśmy po niemiecku, coś niecoś od niej jako dziecko podchwyciłam.

W ten sposób zaczęła się moja znajomość z panią Kowalską, typową cieszyńską mieszczką z przełomu wieków. Odwiedziła mnie jeszcze dwa albo trzy razy. Z przejęciem opowiadała o rodzinnym Wiedniu, o cesarzu Franciszku Józefie i o jego synu arcyksięciu Rudolffie, którego rzekomo poznała osobiście na jakimś balu, kiedy miała 18 lat.

Mniej więcej po dwu tygodniach naszej znajomości dowiedziałem się od pana Szrubarza, że pani Kowalska choruje i nie wstaje z łóżka. Następnego dnia udałem się do kina i powróciłem dosyć późno. Kiedy kładłem się do łóżka, usłyszałem, że ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem. W drzwiach stała zmieniona nie do poznania pani Kowalska. Nie odezwała się ani słowem. Podpierając się laseczką weszła do pokoju. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swój portret, poczem skierowała wzrok na zegar. Patrzyła tak chyba z minutę, może i dwie, dopóki zegar nie wybił godziny 23. Odchodząc rozejrzała się jeszcze raz po pokoju i bez słowa podała mi na pożegnanie rękę. Zadrżałem, bo była zimna jak lód. Chciałem jej pomóc zejść po schodach, ale nie pozwoliła, odprawiając mnie skinieniem ręki.

Długo nie mogłem zasnąć. Zegar wybił już północ, potem godzinę pierwszą, a ja ciągle nie spałem. W końcu zmorzył mnie sen, ale na krótko. Obudziłem się, kiedy zegar wybijał godzinę drugą. Po paru sekundach rozległ się w zegarze mocny trzask, jak gdyby ktoś mocno uderzył płazem linijki w blat stołu i w tej samej chwili zegar zatrzymał się.

Rano, kiedy szedłem do pracy, w mieszkaniu pana Szrubarza panował zupełny spokój. Wracając z pracy, spotkałem go w sieni. Zauważył mnie chyba przez okno i wyszedł mi na przeciw.

— Zmarła nam pani Kowalska, dziś w nocy, o godzinie drugiej.

— Na miłość boską, przecież o godzinie 11 była jeszcze u mnie!

— Wiem o tym. Musiałem jej pomóc wejść po schodach, a potem czekałem na nią za drzwiami.

Poszliśmy do mnie na górę i patrzyli w zegar, który przez dziesiątki lat niezmordowanie odmierzał upływające godziny, a teraz zatrzymał się dokładnie w chwili śmierci pani Kowalskiej. Przypadek? A może jednak są rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło?



W 1910 r. Cieszyn obchodził uroczyste 1100-lecie legendarnego założenia miasta. Wydano z tej okazji medal, którego autorem był Jan Raszka.

Z podróży do Jałty

Celem mej podróży była Jałta, owe krymskie czarnomorskie uzdrowisko pamiętne z niesławnej konferencji trzech mocarzy świata: Roosvelta, Stalina i Churchilla. Tam właśnie w dniach 4 II—11 II 1945 r. uzgodniono wspólne kroki w celu ostatecznego pokonania hitlerowskich Niemiec, zdecydowano o losach Europy, o organizacji państw Europy wschodniej, o utracie ziem wschodnich Polski o łącznym obszarze około 180.000 km² na rzecz Związku Radzieckiego, co zresztą było konsekwencją tajnego układu Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 r.

I oto znajdujemy się na podmoskiewskim lotnisku Wnukowo w oczekiwaniu na „srebrnego ptaka”, który ma nas przenieść do Symferopola. Sam port lotniczy przedstawia się okazale: wnętrza przykuwają wzrok jasnością i czystością urządzeń. Samo lotnisko przeznaczone było do obsługi samolotów wewnętrznych linii Aeroflotu, stąd przy wejściu na peron lotniczy nie obowiązywała odprawa ani celna, ani paszportowa. Czas przed odlotem skracamy sobie rozmową z uczestnikami wycieczki „Orbisu”. Od nich właśnie dowiadujemy się, że turbodoładowiec leci na dużej wysokości bardzo równo, za to start, a zwłaszcza lądowanie wywołuje u wielu osób dotkliwy szum w uszach i nieznośny ból głowy. Kończymy akurat picie znakomitej kawy, gdy z głośnika padają słowa wzywające pasażerów do zajmowania miejsc w oczekującym nas odrzutowcu. Pouczeni przez współtowarzyszy siadamy na fotelach w przedniej części kadłuba, gdzie huk silników jest słabiej słyszalny. Na specjalnej tablicy pojawiają się napisy świetlne w kilku językach: „zapiąć pasy, nie palić”. W ślad za tym słyszymy ogłuszający huk startującej maszyny. Przez okienko obserwujemy gwałtownie malejące

szczegóły na ziemi, wreszcie wszystko znika, nawet najdłużej widoczne drobne kontury rzek i jezior.

Kiedy samolot osiągnął właściwy pułap, tj. wysokość 8000 metrów, lot jego stał się istotnie idealnie równy. Okoliczność tę wykorzystało wiele osób, które na podręcznym stoliku czyniły sobie różne zapiski, załatwiały korespondencję lub po prostu pisały pamiętnik z odbywanej podróży. Większość pasażerów korzystała z czasopism, ilustrowanych tygodników czy miesięczników. Wszystkie były w języku rosyjskim. Podawany kruszon nie wylewał się z postawionych na stolikach lotniczych kubków. Przyjemny lot urozmaicony był informacjami dotyczącymi ważniejszych miast, rzek czy gór, ponad którymi przelatywaliśmy.

Sytuacja zmieniała się przy lądowaniu; lekki zamęt w głowie zmienił się w narastający ból w uszach. Tylko niektórzy mogli zachwycić się wspinałą panoramą rześkie oświetlonego lotniska w Symferopolu. Zeszliśmy z pokładu o godz. 21. Byliśmy mile zaskoczeni temperaturą powietrza (20°). Od tej pory opiekę nad nami przejął nowy pilot „Intouristu” mówiący świetnie po polsku. Zajęliśmy miejsca w radiofonizowanym autokarze, który miał do pokonania 100-kilometrowy odcinek drogi prowadzącej w bardzo urozmaiconym terenie, niestety, z powodu panujących ciemności słabo widocznym. Jak wynikało z relacji naszego pilota i słabych doznań wizualnych, jechaliśmy początkowo przez stopy, potem droga zaczęła się wznosić serpentynami wyżej i wyżej, aż na wysokości ok. 1000 m minęliśmy dobrze znaną z *Sonetów Krymskich* górę Czatyrdah.

Słuchając interesującej pogawędki nawet nie spostrzeżliśmy, że po prze-

byciu najwyższego szczytu Gór Krymskich zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Aż tu nagle pojawiła się wspaniale oświetlona *Ałusztą w nocy*, ta sama którą przed 166 laty oglądał i opisał A. Mickiewicz. Mimo woli poderwaliśmy się z wygodnych foteli. Specjalny nastrój wytworzyła deklamacja w wykonaniu jednego ze współtowarzyszy podróży, który — jak się później okazało — był polonistą i znał na pamięć wszystkie sonety krymskie.

Dalsza droga wykuta w skałach, przebiegająca falisto i wężakowato wzduż brzegów Morza Czarnego, usposabiała raczej do odpoczynku nocnego. Aż tu naraz słyszymy głos pilota: dojeżdżamy do Jałty. Pryśło zmęczenie i znużenie, ulotnia się rzewny romantyzm. Szeroko otwartymi oczami wypatrujemy zapowiedziane miasto. Nie ma już wątpliwości: morze światła migocących, gasnących i zapalających się to cel naszej uciążliwej i bogatej we wrażenia podróży: Jałta. Mijamy ostatnie strome zakręty i wjeżdżamy do centrum miasta-kurortu usytuowanego na górskich stokach, opadających stromo w kierunku morza. To wspaniałe położenie powoduje, że Jałta wygląda nocą jak coś nierealnego, zgoła fantastycznego.

Z uderzeniem godziny 12 w nocy stajemy przed 4-piętrowym hotelem „Krym”. Uderza nas wzmożony ruch i gwar uliczny przeplatany muzyką i śpiewem z okolicznych kawiarni — normalne zjawisko dla tego miasta o tej porze. Pochodzi to stąd, że jedynie wczesnym rankiem utrzymuje się chłodniejsza temperatura, po czym szybko podnosi się i osiąga 30° C, a nierzadko przekracza 35° C, co nie sprzyja spacerom a nawet dokonywaniu zakupów; to też sklepy, zwłaszcza żywnościowe, czynne są do godz. 21 a także otwierane we wczesnych godzinach rannych. Nagrodą za słabo przespaną noc były nowe, silne wrażenia doznane rankiem dnia następnego.

Idąc całą grupą główną aleją nadmorską na śniadanie do luksusowej restauracji „Tauryda” mieliśmy okazję

podziwiać urok najpopularniejszego w ZSRR nadmorskiego uzdrowiska. Szczególne wrażenie robiły palmy i inne drzewa flory podzwrotnikowej, tworzące długie aleje; skąpane w promieniach porannego słońca stwarzały iście egzotyczny obraz. Do ekskluzywnej restauracji, której imię pochodzi od archaicznej nazwy Krymu, wchodzimy po marmurowych schodach wyłożonych puszystymi chodnikami. Podawane tego dnia i w dniach następnych potrawy były smaczne, obfite i bardzo urozmaicone. Były typowymi daniami kuchni rosyjskiej, bądź ukraińskiej. Może brakowało nam tylko owoców, ale te w bogatym wyborze nabywaliśmy tanio w kołchoźnickim bazarze, położonym w centrum miasta.

Dla kontrastu należałoby wspomnieć o doznaniach natury intelektualnej czy rozrywkowej. Pominę tutaj dobre zespoły jazzowe, a zatrzymam się przy jałtańskich teatrach. Jeden z nich to teatr im. Czechowa. Jak wiadomo, Antoni Czechow, lekarz i pisarz w jednej osobie, spędził ostatnie lata życia w Jałcie, we własnym drewnianym domku. Stało się to w związku z wykryciem u niego zaawansowanej gruźlicy płuc, której leczenie zalecono mu na Krymie. Wyjechał w r.1898 do Jałty, gdzie poza umiarkowaną praktyką lekarską poświęcił czas pisarstwu i organizowaniu amatorskich zespołów teatralnych, których zadaniem było wystawianie sztuk scenicznych napisanych przez samego Czechowa. Tak powstały i wystawione zostały m.in. *Trzy siostry*, *Wiśniowy sad* i *Czajka*. Tak więc zamiast leczyć się i leżakować w swoim ogrodzie w cieniu przepięknych cyprysów, sekwoi i laurowiśni Czechow prowadził ożywioną działalność pisarską, reżyserską i wreszcie lekarską, co w sumie musiało przyspieszyć jego zgon, który nastąpił w 44 r. życia. Dla upamiętnienia zasług wybitnego pisarza zbudowano w Jałcie z początkiem XX w. teatr i nazwano jego imieniem. Tam właśnie oglądaliśmy *Trzy siostry* w wykonaniu miejscowych aktorów.

Natomiast teatr Letni, którego widownia na 1000 miejsc, znajduje się pod gołym niebem, przeznaczony jest do wystawiania lżejszych sztuk teatralnych, rewii czy music-hallów. Wobec ciepłego klimatu i bardzo rzadkich opadów teatr ten cieszy się dużym powodzeniem, zwłaszcza że bilety wstępu są przystępne. Z przyjemnością obejrzelismy w nim balet *Fontanna z Bakczyseraju* z muzyką Chaczaturiana.

Do rozrywek niewątpliwie atrakcyjnych należy linowy wyciąg krzesełkowy usytuowany w śródmieściu a prowadzący po stromym stoku do górnej granicy miasta. Tuż obok końcowej stacji kolejki znajduje się mauzoleum utworzone z dziesięciu 5-metrowej wysokości segmentów żelazobetonowych z wyrytymi nazwiskami radzieckich bohaterów. Stamtąd, jak również z górnej stacji wyciągu krzesełkowego rozciąga się przepiękny widok na całą Jałtę. W olbrzymim basenie portowym, otoczonym molami i falochronami widać duże statki oceaniczne, a także liczne tramwaje wodne i wodoloty kursujące między Jałtą a Sewastopolem.

W zachodniej części miasta nad portem znajduje się muzeum, w którym wyodrębniono 4 działy, dotyczące przyrody Krymu, historii okresu antycznego, historii okresu radzieckiego i literatury radzieckiej. Szczególne wrażenie robi jednak Muzeum Czechowa z bogatym księgozbiorem dzieł pisarza w języku rosyjskim i tłumaczenia tychże w wielu obcych językach. W sąsiedztwie znajduje się drewniany dworek, w którym Czechow spędził ostatnie lata swego życia. Po jego śmierci w dworku pozostała matka, której zawdzięczamy to, że całe urządzenie wnętrz zachowało się w stanie niezmienionym. Wśród eksponatów oglądamy biurko a na nim używane przez pisarza-lekarza receptariusz, przybory do pisania, słuchawkę lekarską, fragment rękopisu i inne drobiazgi. Na wieszaku wisi płaszcz, charakterystyczny kapelusz i laska, z którą się

nie rozstawał w czasie spacerów. W sypialni łóżka zaścienione, w szafie ubrania i bielizna, a w jadalni nakryty stół. Odnosi się wrażenie, że autor *Wiśniowego sadu* wyszedł na chwilę do swego ulubionego ogrodu i zaraz powróci. Pietyzm, z jakim otaczają Czechowa Rosjanie, wyczuwalismy z ust oprowadzającej nas przewodniczki, która mówiła o nim z takim uwielbieniem, jakby była córką szczącą się swym ukochanym ojcem. Spojrzeniem na wykonane z alabastru popiersie Czechowa, ustawione w ogrodzie pełnym kwiatów, żegnamy pisarza, którego sztuki nierzadko bywają wystawiane także na scenach teatrów polskich.

Jadąc do Jałty miałem nadzieję skorzystania z tamtejszej plaży, ale spotkał mnie zawód. Usytuowana tuż obok miasta plaża, wyłożona grubym żwirem przeznaczona jest w zasadzie dla Rosjan. Panuje tam zawsze tłok, a kąpiel w basenie portowym, zanieczyszczonym smarami i olejami, jest niemożliwa. Prawdopodobnie z tych względów przygotowano dla nas plażę w miejscowości Simeiz, oddalonej o 30 minut drogi od Jałty, dokąd dojeżdżaliśmy codziennie tzw. tramwajem wodnym.

Podobnie jak wszystkie krymskie plaże była pokryta okrągłymi, nieco spłaszczonymi gładkimi kamieniami. Leżenie bezpośrednie na plaży było zgoła niemożliwe, bo te „okrągłaki” gniotły i parzyły, nagrzane od żaru słonecznego. Ale były do dyspozycji drewniane prycze, na których można było opałać się lub po prostu odpocząć.

Godziny popołudniowe przeznaczone były na zwiedzanie piękniejszych zakątków Krymu. Należy do nich niewątpliwie Nikicki Ogród Botaniczny. Założony w 1812 r. przewidziany był jako placówka naukowo-badawcza zajmująca się m.in. aklimatyzacją roślin na półwyspie krymskim. Obejmuje około 300 ha ziemi z tysiącami gatunków drzew, krzewów, egzotycznych roślin i kwiatów. Opuszczamy ogród i płyniemy dalej na wschód,

mijając uzdrowisko Gurzuf poświęcone pamięci Aleksandra Puszkina. Obecnie znajduje się tam międzynarodowy obóz turystyczny zwany Sputnikiem. Jeszcze niepełne dwa km i zatrzymujemy się w Arteku, gdzie mieliśmy okazję zwiedzić Instytut Astronautyczny. Na bardzo skomplikowanych aparatach zademonstrowano nam badania amatorów kosmonautyki. Z obiektów o charakterze historycznym obejrzałyśmy dawny pałac carski „Livadia” usytuowany na stokach na pn.-zach. od Jałty. Obiektem zasługującym na uwagę jest też pałac hr. Woroncowa w miejscowości Ałupka. Budowano go przy udziale kilku tysięcy robotników przez 18 lat i ukończono w 1846 r. Pałac ten, zbudowany w stylu gotycko-mauretańskim, obejmuje 150 sal, w których obecnie umieszczono galerie najpiękniejszych obrazów wybitnych malarzy a poza tym liczne rzeźby, artystyczne wyroby z brązu i porcelany, a także przepiękne stylowe meble. Pałac ten, przeznaczony obecnie na Muzeum Sztuk Pięknych znajduje się w ogromnym 40-hektarowym parku, w którym spotykamy płynące kaskadami strumyki, stawy z egzotycznymi rybami oraz cudowne kwiaty, krzewy i okazy drzew z wszystkich kontynentów świata. Słusznie zaliczany jest do najpiękniejszych krymskich parków, którego urok podnosi tło w postaci urwistych skał z najwyższym szczytem Aj-Petri (1233 m) na czele.

Zwiedzając urocze zakątki Krymu odnieśliśmy wrażenie, że napisane przez Mickiewicza sonety cudownie odzwierciedlają piękno orientalnej

przyrody, niezwykle czar falującego morza i pesymizujący nastrój samotności poety. Oddzielną grupę stanowią sonety poświęcone Bakczyserajowi, dzisiaj zachód od Symferopola. W peryferyjnej części miasta natknęliśmy się na dobrze zachowany pałac chanów, zbudowany przed 470 laty. Obecnie, jako Muzeum im. Suworowa, przedstawia bezcenny eksponat z okresu chanatu krymskiego. Wśród zabudowań pałacowych duże zainteresowanie budził harem z kukłami, stanowiącymi plastyczny obraz dawnych mieszkanki. Dalej oglądaliśmy meczet z minaretem, symbol panowania turecko-tatarskiego, i cmentarz dynastii krymskich Girejów. Zatrzymujemy się przed usytuowaną na wzgórzu kapliczką-rotundą, zbudowaną przez chana dla umiłowanej, legendarnej branki polskiej Marii Potockiej. Po jej śmierci rozpacz chana kazała mu wykuć w marmurze słynną „fontannę łez”. Przez wyżłobione w białej płycie marmurowej otworki woda spada kroplami powoli, na podobieństwo spływających z ludzkich oczu łez. Oprowadzający nas przewodnik całą tę legendę ubrał w barwne i sugestywne słowa, tak jak to uczynił Puszkina w swym obszernym poemacie oraz Mickiewicz w znanym sonecie „Bakczyseraj”.

Pełni zadumy opuszczamy ten wspaniały zakątek Krymu przeświadczeni, że odbyta podróż, długa i uciążliwa, nagrodzona została obejrzeniem tego, co nam przekazała jakże bogata historia minionych wieków półwyspu taurydzkiego.

Miasteczko Pyrczyce

Było downi na świecie taki małe miasteczko, a nazywało się Pyrczyce. Czy jeszcze dziśka się tak nazywo, tego już nie wiem, ale myślę, że ni, bo była gańba, jak gdo powiedział, że je z Pyrczyc, abo że się w Pyrczycach urodził. Już go isto ci pyrczycanie dali przekrzcić. Ale downi, jak jo jeszcze był chłopcem, to się godnie o tych Pyrczycach powiadało, a to wycie, że nic porządnego. Co gdo wywiód jaką gupote na świecie, to to wszystko zwalali na ty Pyrczyce. Jak mi moja nieboszczka starka opowiadała, to w tych Pyrczycach mieszkali sami szewcy, a nie wiem, czy abo ty bóty złe szyli, abo ich drogo przedowali, dość na tym, że ludzie mieli na nich złość i kaj jyny mógli, tam im dożyżdżali. I tóż bych se ani nie dziwił, gdyby to swoje miasteczko dali przekrzcić, aby tej ostudzie zrobili kóniec. Jo się wóm prziznóm, żech tam nigdy nie był i że mi ci pyrczycanie nic złego nie zrobili, ale to, coch słyszoł od swoji starki, to wóm też powiym, abyście wiedzieli, co złość ludzko może i jaki ty ludzki gęby są niemoreśne.

A zacznę zaroz od tej rady gminnej.

Tóż tyn burmister nosił bezmali przy kabocie dębowe, a ci radni bukowe knefle, a każdy tyn knefel był wielki jako talyrz.

Roz wóm w tych Pyrczycach chcieli zrobić studnie, bo w całym mieście nie było wody. Tak se napytali studniorzi od nas, ze Śląska, wychladali miejsce na postrzodku rynku, ale teraz była wóm biyda, kaj tą wykopaną glinę dować. W mieście nie było miejsca, a za miasto się im też tego nie chciało wozić, bo to było dość daleko. I tóż rozmyślali, co z tym zrobić.

Jak se już tak porządnie głowy nasuszyli, prawi naroz jedyn radny:

— Nale panie burmister, jo już wiem, kaj tą glinę dómy! Wykopiymy oto wedla taką wielką dziurę, a tu bedymy tą glinę sypać!

Jakosik za dwa tydzie studnia była gotowo i było trzeba studniorzóm zapłacić, a że to było kontraktowane od metra, tak było trzeba studnie zmierzić. Studniorze uwiązali na szpagat kamyń, spuścili do studnie, a namierzili siedym metrów. Cóż, kiedy burmister a radni nie chcieli tymu wierzić i że se to mierzą po swojemu. Ale jako? Colsztoka takigo dłógigo ni mieli, ląjsnie też ni, tak tyn burmister kozoł sie wszystkim radnym przemierzić od głowy aż po pięty, a sóm się też dwa razy zmierził. Pótem doł na poprzyk tej studnie taki okragłe drzewo, sewlyk kabot, chycił się w postrzodku, a spuścił nogi do studnie. Jak już tak wisioł nogami na dół, zawołoł na piyrszego radnego:

— Ty, Francek, lyż za mną, a chyc się mie za nogi!

Francek ściepoł kabot i bóty, a spuszczoł się po burmistrzowi do studnie. Potym to samo mioł zrobić i tyn drugi radny. Ale jak tyn wloz na dół, zaczęło burmistra uciskać w ręce i woło:

— Francek, dierz się dobrze, bo muszę spluwnąć do rąk.

Puścił drzewo i wszyscy trzo spadli naroz do studnie. Na szczęści tam było tej wody mało, tak ich ci studniorze wiadrym wyciągli na wyrch.

A teraz wóm opowiym, jako w tych Pyrczycach rukali kościół na kopieczek. Tóż mieli wóm taki piękny drzewianny kościółek. Cóż, kiedy stoł w dolinie i nie było go z daleka widać. A to ich strasznie bolało, że go sąsiedzi nie widzą. I tóż tyn burmister z tą radą gminną uchwolili, że tyn kościółek muszą ruknąć na kopieczek. Na drugi dziyń zegnali z całego miasta wszystkich chłopów, ustawili ich po jednej stronie kościoła, a po drugi, na kopieczku, kaj chcieli mieć tyn kościół, położyli kozuch. A teraz tyn burmister mioł nad tymi chło-

pami kómando. Kozoł się im oprzić plecami o ściane kościoła a zaczął wołać:

— Hej, ruk! Hej, ruk!

Jak już tak z pół godziny hejrukowoł, prawi jedyn chop:

— Panie burmister, idą się podziwiać, daleko my już zajechali.

— Mosz prowde — prawi burmister — trzeba się nóm podziwiać.

Poprawił galaty, a szeł na drugą strónę kościoła. Ale jak tak rukali prziszeł złodziej i tyn kozuch im ukrod. I tóz tyn burmister, jak obeszeł tyn kościół, a nie widzioł tego kozucha, tak lecioł hnet naspadek a woło:

— Chłopi dość! Nie rukać, bo my już na tyn kozuch wjechali!

Od tego czasu pyrczyczenie myślą, że jejich kościół stoi na kozuchu.

A żebych nie zapómnioł, tak wóm jeszcze opowiem o jednym studniorzu ze Ślaska, co w tych Pyrczycach też tą studnie kopoł. Tak roz w sobote jechoł do domu, bo mioł doma zabijaczke, a jak wracoł w pyndzialek do Pyrczyc, tak se nabroł z domu na wieczere takich wielkich czornych jelit z krupami. A jak tak wczas rano szeł przez ty Pyrczyce, to mu jedno jelito wypadło, a zostało leżeć na ulicy. A wtedy jeszcze w Pyrczycach jelit nie znali i jak szeł za chwile policajt z bębny cosik ogłaszać, a uwidzioł taki półmetrowe jelito ze szpilkami na ziymy leżeć, tak se myśłoł, że to je jakisi straszne zwyrze, co mo dwa pyski z fusami. Zaroz lecioł budzić burmistrza i meldowoł mu, że na ulicy leży dziwne zwyrze i że może ludzi pogryźć. Jak to burmister usłyszoł, hnet rownymi nogami wyskoczył z łózka i kozoł wszystkich radnych z flintami zwołać, a na tej ulicy się zebrać. Potem sóm tam z flintą prziszeł, radnych poustawił dookoła, a kozoł do tego zwyrza strzylać. To wycie, że to było strzylanio jak na jakich kajzermanebrach. I tóz w pore minutach to jelito na drobno rozstrzylali. Dookoła leżały same wielki krupy, a tyn burmister się im przigłodoł, przigłodoł, a potem prawi:

— Chłopi, to my mieli szczęści! Podziwiejcie się, co to je wajec! A co by to było młodych! Isto by nas były wszystkich pożeżyrały!

Jakosik niedłogo potym namnożyło się w tych Pyrczycach tela myszy, że nie szło ani przez ulice przyńść. I już sie nie wiedzieli ci pyrczyczenie rady, co mają z tymi myszami robić, bo kocurów jeszcze nie znali. Tóz gdo ty myszy wykatrupi? I tu wóm jednego dnia prziszeł do tych Pyrczyc taki niewielki ryszawy człowiek i przyniośł na ramiyniu jakisik strokate zwyrzătko z długim kwostym. Zaroz się zameldowoł u tego burmistrza i prawił mu taką łómaną beblaniną — bo to był Niymiec — że jak mu dobrze zapłaci, to im przedo to zwyrzătko, kiere im wszystkie myszy wydusi i pożeżyro.

Burmister był rod, ale nejprzód chcioł zrobić próbę. Tak wieczór zamkli kocura do gminnej kancnaryje, a niechali go tam przez noc samego. Rano, jak prziszli się podziwiać, uwidzieli na delinach same pozagryzane myszy. Byli strasznie radzi i tóz tego kocura kupili, a tymu wandrownymu dobrze zapłacili. Chłop kocura po grzbiecie pogłoskoł, pyrczyczanóm za piniądze podziękowoł, a broł się wandrym dali. Ale tak za godzine przileci jedyn radny do burmistrza a prawi:

— Panie burmister, dyć my się zapómnili spytać, co bedzie to zwyrzătko zrało, jak mu tych myszy chybi!

— Toć prowda — prawi burmister. — Leć, Józef, hónym za nim, spytej się go, co to zwyrze jeszcze króm tych myszy żere.

Radny wypod z tej kancnaryje, a lecioł za tym wandrownym. Po godzinie uwidzioł go już z daleka pod lasym i zaczął na niego wołać:

— Hej, wy, panoczku, skozoł się pón burmister spytać, co jeszcze to zwyrzătko króm myszy żere?

A tyn wandrowny dobrze nie rozumioł, bo był Niymiec, i odkrzyknał:

— Was?

Radny, jak to usłyszał, o mało ze strachu na ziym nie spod, hónym sie obrócił i uganiół ku miastu. Cały udyszany wpod burmistrzowi do kancnaryje, a meldowół:

— Panie burmister, wiedzą, co tyn wandrowny prawil? Że jak to zwyrze wszystkie ty myszy w mieście pożeżyro, to potym bedzie żrało nas!

Burmistrza aż zaraziło. Hnet kozół policajta zawołać i to zwyrze zabić. Od tego czasu miały myszy w Pyrczycach raj.

No, ale to jeszcze ni ma wszystko o tych Pyrczycach. Jeszcze wóm opówym, jako tam stawiali fabryke, bo ich strasznie mierziało, że wszędzi mają jakąsik fabryke, a óni nic. I tóż się dali do tego stawiano. Wystawili wielką chałupę, a wedła kumin. Cóż, kiedy zapómnili w tym kuminie zrobić dziure. I tóż co teraz? Fabryka gotowo, a pod kotłami nie szło hajcować, boby sie strasznie kurziło. I tóż burmister zebroł całą rade gminną i zaczęli radzić, jako tą dziure w tym kuminie dorobić. Jedni radzili, aby zrobić taki wielki świder, a tą dziure tam wywiertać, drudzy, aby kumin zbulać, a postawić nowy. Ale burmister się nie chciół na to zgodzić, że to by moc kosztowało. I tuż zdało się, że ci pyrczycanie z tej fabryki nie będą mieli nic. Aż tu się trefił między radnymi taki mądrala:

— Jo już wiy, jako to robimy!

— No jako? — pyto się burmister.

— Ale to je proste, a dość łacne. Przewrócimy cały kumin, a zakopimy go do gnoja, a poczkómy, aż w nim dziura wygnije!

— Nale toć prawda — prawi burmister — ty mosz, Jędrys, głowe na karku! Nie nadarmo my cie wybrali tym radnym!

I też tak zrobili. Kumin piłą oderznęli, przewrócili, a do gnoja zakopali. Jak długo na tą dziure czakali, tego już nie wiy.

A abyście nie myśleli, że tego więcej o tych Pyrczycach nie było, tak wóm jeszcze opowiy o jednym chłopie, co też miał taką smołę, ale dość szykownie się to skóńczyło. Tóż to było tak:

Był roz jedyn tyn pyrczyczan ciężko nimocny, a że ni móg chodźć, tak se posłał swoją babe z moczym do jednego mądrego doktora. A tóż baba jako baba — zababulała się do hacki, flaszke z moczym wziyna do kapsy, a szła do tego doktora. A jak tak idzie, a dziwo się na wszystkie stróny, zakopła do kamiynia, przewróciła się i tyn mocz wyłała. To wycie, że ją to mierziało, bo już była dość daleko od chałupy, a chłop by się był wadził. Tak rozmyślała, co mo teraz zrobić. Stoi, stoi na tej cęście, a tu wóm widzi, jak niedaleko na łące krowa się rozkroczyła i zaczęła polywać trawę. I tóż długo nie rozmyślała, jyny hónym leciała, a ta prózną aptykorkę podstawiła. To wycie, że hnet była pełno. Potym ją zaspuntowała, a szła do tego doktora. Myślała se:

— Mocz jako mocz. Taki dobry doktór, to po każdym moczu musi poznać, co chłopu chybio.

Jak prziszała do tego doktora, to mu powiedziała, kaj tego chłopu boli i podała mu tą aptykorkę. Doktór się pod światło na mocz podziwoł, głową pokiwoł i uśmichnął się:

— No babko, tymu waszemu tak do kupy nic ni ma, jyny się wóm za miesiąc ocieli.

Jak to baba usłyszała, tak praskła do dwyrzi, a leciała ku chałupie i wszystko tymu chłopu powiedziała, co tyn doktór mówił. Borok chłop, jak to usłyszał, z łóżka wyskoczył, choć bardzo ni móg, i zaczął rozmyślać, jako z tej gańby wyłyć. Ale baba dycki na taki rzeczy je chytrzejszo. Poradziła mu, aby sie szel za sztyry tydzie do taki dziedziny ocielić, kaj go nie znają. Chłopu sie ta rada spodobała i też hnet wyzdrowioł. A jak sie już kończył tyn sztworty tydziń, tak se napakowół pełną swaczyniorke jedzynio, a szel na wander.

Idzie, idzie już tak cały dzień, aż tu ku wieczoru widzi w lesie pod jednym drzewym leżeć dość dobre bóty, a w nich ludzki nogi. Isto jakisik dziwoki zwyrz zeżroł człowieka, jyny ty nogi ni mógł z tych bótów wygrzyść. Chłopu było bótów żoł, bo były dość dobre, tak ich związoł szpagatym, a chynał przez ramię. A że się już cmiło, a czasu było mało, tak ty nogi w tych bótach niechoł.

Już było ćma, jak prziszeł do jednej chałupy. Za stołym siedziol gazda, a pojodoł kiszke ze zymiókami. Chłop pięknie pozdrowił i pytoł o noclyg. Gazda był dobry i tóż mu kozoł iść wedla do kumorki, a legnać na słómie, co tam była na zymi rozścielano. To wyicie, że chłopa nie było trzeba dwa razy pytać. Ściepoł jyny kabot, doł se go pod głowe, wyciągnął nogi i już społ jako zabity.

Ale nie spała gaździno, kiero już od wieczora siedziała w chlywie przy krowie, co się prawie miała ocielić. Dziepro po północy był piękny byczek, a aby go krowa nie zdeptała, wziyna go do chałupy, a położyła po ćmi do kumory na słóme.

Jakisik nad ranym się tyn chłop obudził, podziwoł się dookoła, a tu widzi wedla siebie leżeć pięknego byczka. Hnet se przypómnioł, że sie miał ocielić, i tóż był isty, że to je jego. Hónym wyskoczył na nogi, porwoł kabot i uciykł przez okno. Ale w tym gwołcie zapómnioł w tej kumorze ty bóty z tymi nogami.

Troche nieskorzi się obudziła gaździno a zaczęła warzić śniodani. Naroz gazda woło na nią z łózka:

— Ty, staro, dej też tam tymu wandrownymu jaki śniodani!

— Jakimu wandrownymu? — pyto się gaździno.

— Na tymu, co prziszeł wczora wieczór, a leży tam w kumorze.

Gaździna aż pichło przy sercu, jak usłyszała, że w kumorze, kaj dała ciele, leży jakisik wandrowny. Hónym tam leci, dziwo się, dziwo, a tu wóm zamiast chłopa widzi jyny bóty z nogami leżeć na zymi. Hnet se pomyślała, że to tyn byczek tego wandrownego zjod. Szła to powiedzieć swojemu chłopu, a tyn ji zakazoł, aby żodnymu o tym nic nie prawila, bo by ich jeszcze mógli zamknąć. I tóż nie było nic! Żodyn o niczym nie wiedziol, a ty bóty z tymi nogami hnet pod blache wciśli a spolili.

Przeszło pore miesięcy, a byczek rós jako na drożdżach. Gaździno se po cichu myślała, że to isto ludzki mięso tak pumógło. I byłby byczek długi roki żył szczęśliwie, gdyby nie to, że na dachu, na tym drzewiannym kościele, zaczęła rość trowa, co strasznie tych pyrczyczanów mierzało. Ale żodyn nie chciol iść z kosą, bo dach był dość strómy. Aż tyn gazda, co miał tego byczka, prziszeł do burmistra i prawil mu, że jego byczek tą trowe na tym dachu spasio, gdyby go tam jako wyciągli.

Burmister był rod i zaroz kozoł prziniyść taki długi porwóz, uwiązać tymu byczkowi kole karku, a drugi kóniec przeciągnąć kole wieże. Potym trzo chłopi ciągli za tyn porwóz po drugi strónie kościoła, a byczek jechoł do góry. Jak już był w połówce, zaczoł się dusić i wyciągać język. Ludzie, co tam stoli dookoła, zaczęli wołać:

— Widzicie, jaki mo smak na tą trowe. Już język wypięzio!

Ale byczek trowy nie żroł, bo był uduszóny. Takiego smutnego kónca sie doczkoł.

A teraz jeszcze jedno na zakóńczyni.

Tak roz szli w tych Pyrczycach dwo oźrali chłopi o północy do chałupy. A jak tak szli przez ławke nad rzyką, naroz tyn jedyn uwidziol we wodzie odbity miesiączek. Żduchnął do tego drugigo, a prawi:

— Ty, Jozef, podziwej się, miesiączek się nóm utopił! Gdo nóm teraz bedzie w nocy świycił, jak pujdymy z gospody?

Zastarali się obo i zadziwali do wody. Naroz tyn Jozef się spamiętoł, bo był miyni oźrały i krzyczy:

— Ty, Francek, lećmy hónym po ty fajerhoki do depa, aby się nóm ganc nie utopił, bo by była ostuda. Jakosik go wyciągnymy!

Porwali sie obo po ty fajerhoki, ale że ławka była wąsko, wpadli do wody. Niż się z wody wyszkrobali, miesiącek zaszeł za chmury i już go nie było widać we wodzie. Francek stanął mokry na brzegu i prawi z płaczem:

— Widzisz, Jozefku, tak my to dorobili, że już ani miesiącka nie bedymy mieć. Na co będą teraz psy w nocy szczekać?

I zaczęli obo płakać. A w tym słyszą, jako żaby zaczynają nad wodą regotać: „karopik”, „karopik”, „karopik”! A upłakany Jozef na to:

— Słyszysz, Francek, ty niemoreśnice! Miesięczek się utopił, a óny jeszcze w karty grają!



Gazda Marekwica z Andziółówki. Reprod. Henryka Tomaszczyk.

Rok po ślubie

Kiedy przyszedł z roboty, Justyna przywitała go z odewrziłą gębą.

— Kajżeś ślęczoł telki czasy? Nie wiesz, że dzisiaj sobota i w chałupie cie czako robota?

Kareł nie powiedział ani słowa. Uśmiechnął się ciyrpko i we fuseklach włoż do kuchni, siód ku stołu i czakoł na obiad.

— A co, panie hrabio — ciepła szorstko znad „Przyjaciółki” — móm ci jodło pod nos styrczyć?

Wstoł uharowany, pogrzeboł w trąbie i puścił się do jedzynio. Wodziónka była bez szmaku, sięgnął do solniczki.

— Już zaś kręcisz kinolskym? Maszkiecisz jak smarkocz. Roz wodziónka niesłono, po drugi zymiołki niedowarzóno, po trzeci babka mazgłato, a jo sie móm na twoji maszkiecyni dziwać — dziubła go ostrym języczkym.

Chłop ściapuszył obiad i szasnął sobą o kanape.

— Za tobą słódzy będą skludzać? Niczego cie też ta mamulka nie nauczyła!

Kareł pomył garce i sięgnął po „Głos Ludu”.

— Zaś ty gazeciska? — rozpajedziła się baba — A parkety to jo móm drzić?... Tóz chytej się, skibo, roboty.

Nie wydzierzoł.

— A co by sie stało, jakbyś ich tak roz ty wydrziła, królewno. I tak cały dziyń nic nie robisz. Boisz się, że se lak z pazurków zedrzesz, prowda?

Zaczyna się wojna. Jak uwiidziół w jejich oczach lży, skapitulowoł. Zasukoł se rękowy i doł się do roboty.

Kiedy wieczór legła wedla niego w sylónowej koszuli, była szwarno jak Wenus wykapano w kozim mlyku. Czym deli się na nią dziwoł, tym bardzy popuszcziała go złość i toła, jak śniyg na ciepłym słónecku.

— Musisz być dobry dło ni — mówilo mu sumiyni. — Dyc to taki delikatne kwioteczko. Trzeba ji pomóc w robocie. Sómżeście dziepro rok po ślubie, musicie się lepi sprzągnąć i mieć się radzi. Dyc całe žyci mocie przed sobą.

Spómnioł se na piyrsze dni małżyństwa. Tela w nich było szczęście, ciepła i nadziei. Kaj sie to wszystko podziało? Musisz ją rozumieć. Dóma mama ją ciałkała, nie pozwoliła robić, bo była piekurno i jedynaczka. Musisz ji przeboczyć i wychować cieplejszym słówkym.

Myśli, ty dziwaczne pajaki, zaczynny prześć strzybne nitki nadziei. Przez szyby ji miesięczek całowoł białe czoło. Na zogłowku, jak rozwiązany okłócek zdrzałej pszynice, złociły się její włosy. Pod krepinami koszule falowała pierś. Sięgnął ręką i nieśmiało pogłoskoł.

— Justynko — szeptnął trzęsącym głosem...

— Co zaś chcesz? — burkła pod nosym.

— Co gdybymy zaczęli tak pięknie jak downi... wiesz, jak wtedy po ślubie...

— Czego sie ci zachciywo, capie. Jo chcę spać... — odciepła jego ręce i obróciła się ku niymu plecami.

Chłop westchnął i poczuł, że sie cosi w nim złómało. Dziepro ku ranu zawrził oczy.

— Stowej, bisago, trzeba iść po mlyko — obudził go chmurny głos.

W mlyczarni był ogónek aż na pole. Ni míoł czasu zjeść śniodanio, polecioł do roboty. Kamraccio poznali po nim, że mu cosi chybio. Nie mówił wiele, ani się nie śmioł, robota mu nie szła. Po szychcie go porwoł Boguś Holeksa do gospody na

pilznera. Wypili po kryglu, dali se po borowiczce. Zaczyno im być dobrze. Holeksa mu odewrził serce. Polutowoł się na babe, z kierą się rozwodzi, bo mu do chałupy ściągała chacharów.

Od tego dnia Karel sie stoł jego najlepszym kamratym. Po robocie stawiali się dycki na kieliszek i na karty. Zamiast posłóchać babskiego brąblowania, w gospodzie naszeł ciepły kąt i wesołych kumpli.

Justyna z początku robiła z nim cyrkus. Kiedy widziała, że chłopisko się popsnił i nie myśli się naprawić, pozbiyrała swoji pieczki i uciykła ku mamie. Ta husowała na chłopą.

— Ty mu, Justynko, nie śmiesz popuścić opraty, ani kroku ustąpić. Szak ón na kolanach się przczołgo za tobą.

Miesiące uciekały, a chłop jakosi nie przichodził. Baba lotała po dziedzinie, wykładała o krzidwie, łoła pumyjami plotek na Karłową głowę. Kiedy to nic nie pumógło i z piniędzy się wyszypłała, zażądała o rozwód.

— Niech płaci to howado, aż beje czorny — mówiła mama. — Za twoją niewinność dziwiczą, za te poniewyrke i gańbe, niech płaci...

Stanęli przed sądną stolicą bladzi i szpatnie się na siebie dziwali. Óna miała osiymnoście, a ón dwiadwacet roków. Odewržitym oknym z pola wlatował wesoły śpiyw skowrónka, z ogrodów niósła się wón kwitnących trześni...



Przysłowia i porzekadła ze Śląska Cieszyńskiego

Dawna wieś cieszyńska miała charakter rodzinno-sąsiedzki. Stosunki między-ludzkie oparte były na kontaktach osobistych, a potrzeby kulturalne zaspokajano we własnej wioskowej społeczności (wesela, chrzciny, uroczystości rodzinne i wioskowe, wspólne prace, jak szkubaczki, łuskanie fasoli). To wszystko stawało się znakomitą okazją do utrwalania folkloru, do tworzenia nowych jego form, a stykanie się z innymi regionami kraju pozwalało na przenoszenie wątków i wypowiedzi.

Rodzimy folklor i twórczość artystyczna spełniały w dawnej wsi ważną rolę. Nie tylko bawiły, ale i uczyły, dostarczając wzorców postępowania i pokazując w sposób obrazowy skutki różnych sytuacji życiowych.

Jednym z najtrwalszych przejawów kultury ludowej są przysłowia i porzekadła. Forma ich, mająca często charakter rymowanki, znakomicie przechowuje zawartą w nich wiedzę. Są odporne na postępy cywilizacji i trwają nienaruszone, mimo iż często zawarta w nich mądrość nie przystaje już do współczesności.

Materiał, którym się posługuję, był gromadzony we wsiach okolicieszyńskich w ciągu wielu lat i został przekonsultowany z przedstawicielami najstarszego pokolenia cieszyńiaków w osobach m.in. Emilii Wentruby ze Skoczowa, Marii i Jana Bisoków z Cieszyna (oboje pochodzą z Kostkowic) oraz Karola Szczurka z Kostkowic. Korzystałam również ze zbiorów ostatniego z wymienionych — niezmordowanego zbieracza i entuzjasty cieszyńskiej mowy.

KOBIETA, STOSUNKI MAŁŻEŃSKIE I POZAMAŁŻEŃSKIE

Wyrażeń mówiących o kobietach nie jest zbyt dużo, nie są też one w większości zbyt pochlebne: *Lepi, co sie diabol za stodołom łokoci, niż co sie dziółcha łurodzi. Do szternostego roku chesz, do łosimnostego strzeż, a potym dopłóć kómu, co by ci wziół diabła z dómu. Jako matka, tako cera — łód jednego Lucyfera.*

Powołanie kobiety, to role pomocnicy męża, gospodyni i matki: *Nie rośnie dziółcha do kółka, jyny do pachółka. Na podziwani chłop baby nie potrzebuje, jyny do roboty. Grónt bez gaździny — jako człowiek bez prawej rymki. Kaj dobro gaździna warzi, tam sie dycki dobrze darzy. Ni ma Jadamowi samociónż, dy z Jewkóm cióngnie. Co dobry gazda na wozie przywiezie, to zło gospodyni we fortuchu wyniesie. Dorota — czako na cie robota!*

A oto ideał kobiety: *Każdo dziółcha mo mieć sześć P — być piekno, pilno, poćciwo, porzónndno, posłószno a piniynżyto.*

Ciekawe są dwa przeciwstawne wypowiedzenia: *Biere Hane, a nie ściane* oraz *Nie bier ściane, jyny Hane* — użyte w znaczeniu: „patrz, jaką bierzesz dziewczynę, a nie jaki ma majątek” i równolegle występujące: *Nie bier Hany, jyny ściany*. Zawarto tu myśl, że ważne są majątek i posag, a mniej sama kobieta.

Uroda kobiety to jej schludność, czystość: *Jako pani, tako koszula na ni. Gorki łuskipane, a dziywki łusmarkane to je jedno. Podziwejsie! Ni ma cie gańba? Dyć chodzisz jak jako szlónndra. Rozczochranóm dziółche mijej z daleka.*

Równocześnie miejskie panie, pachnące i delikatne, są oceniane źle: *Fajnidółko z miasta nie zjy z łowsa ciasta. Jagby drogeryja kole nas przeszła. Całość podsumowuje chyba: Jak chcesz szumnóm babe mieć, na dziedzine po nióm jedź.*

Nie brak starań o urodę i kobietom wiejskim. Stąd narzekania: *Ni móm sie razinku do czego łoblyc. Lepi chować jako szacić. Nie pumoże mydło, woda, jak je dziółcha nieuroda, nie pumoże parfón z róż, kiej smykuła staro już. Jo je szwarno, jak stojym sama, a jak przydym między insze, to zaś drugi sóm piekniejsze.*

W wypowiedziach o kobiecie spotykamy dużo porównań. Wiele z nich ma dodatnie zabarwienie emocjonalne, pozytywnie określa dziewczęta i kobiety: *Dziółcha jak aniołek (iskra, malina, łobrozek, świyeczka)* w znaczeniu: prosta, wysmukła, pestka, (zdrowa, jędra), rzepa, szustka (dużo warta). Porównań negatywnych jest mniej i dotyczą one bądź wrodzonych wad, bądź niechłujstwa: *Dziółcha jak ciućka (niechłujna), świdrato, bulato.*

Gorzej oceniane są cechy charakteru kobiety. Na czoło wysuwa się przede wszystkim gadatliwość, plotkarstwo, kłótniwość, złośliwość: *Gymba ji jedzie jako kołowrotek. Dwie baby a jedna gynś, gotowy jermak. Babsko rzecz, gor nic wert. Toć ty baby fułajóm a fułajóm, a na nic się to nie godzi. Plecie a drzisto jak niezdrowo dupa. Plecie jak staro baba w lecie. Plecie po dwie, po trzi, a po żodnej nic. Gdoce, jakby wajca zniósła. Bydzie deszcz, bo sie baby schodzóm. Bydzie padać, bo sie baby wczas rano wadzóm. Nie rzóndź mi tu takich breweryji. A już leć z ciepłym (prędko odpowiedz). Leć, zakiel to je ciepłe! Ta, to sie też musi ku każdej kapliczce stawić. (musi o wszystkim wiedzieć). Nie ró b rzeczy między ludziami (nie ró b plotek). Dorota — zawrzy gymbe a wrota. Drze sie jak potargane gacie. Drze się jak smrodlawo rzić. Baby, nie róbcie tela krawału. Toć mosz wyszczekanóm tóm babe, ani sto psów jóm nie przeszczeko. Toć mo te szczekaczke! Ale mo tyn pysk! Lepszy zgodzić sto chłpów, jako trzi baby. Nie trzeja mu psa, bo go baba łobszczeko. Łóna musi mieć dycki łostatni słowo. Baby to ani diabol nie przeszczeko. Łóna by mu aji do dupy włazła, coby sie dowiedzieć, jako mu tam smerdzi. Łóna też wszyndzi nos styryknie. Ni ma miynsa bez kości, a baby bez złości. Łóna sie nadowo jyny na łocet. Baba je gorszo, jako dziesiynć chłapców. Co diabol ni może, to baba dokoże, a co diabeł nie skusi, to baba zmusi. Lepi co piynta siedym razy łodbiyro, jako co sie babie roz zachce.*

Inne wypowiedzenia mówią o kobiecie, że: *Chłop mo dziesiynć sił, baba jyny jednóm, a to jeszcze na społy z blechóm. Baby to ani diabol nie łocygani. Podziwejcie sie! Siedła se jako w niedziele po połedniu! (rozsiadła się, a pracować nie ma komu). Je szykowno, jako z piynći mior póńczocha (niezgrabna). Jak dziółcha gwiżdże, to sie siedym kościołów wali i trzynsie. Pluła baba do popiołu, narobiła knedli, napytała muzykantów, coby ji to jedli. Mo cyl, jak babski ryl. Baby a ryby głosu ni majóm.*

Nawet jeżeli kobieta zasługuje na pochwałę, należy z nią poczekać: *Dziyń się chwoli wieczór a babe po śmierci. Nie chwol pogody przed wieczorym a baby przed śmiercióm — ponieważ tak jak pogoda, kobieta jest często zmienna, zawsze może zrobić coś nie tak, jak trzeba.*

Dość bogaty, choć jednostronnie oceniający jest zbiór wypowiedzeń mówiących o małżeństwie, stosunkach pomiędzy mężczyzną a kobietą. Nie spotkałam wypowiedzeń mówiących o miłości, wierności. To mężczyzna występuje tu jako ten, który jest pożądanym, a kobieta musi czekać, aż mężczyzna zechce ją wziąć. Staropanieństwo jest klęską, uleganie zmysłom obciąża tylko dziewczynę i tylko ona za nie płaci. Brak skromności i stateczności to hańba dla dziewczyny. Wyraźnie zaznacza się tu wpływ purytańskiej, surowej i nie uzewnętrzniającej swych uczuć moralności ewangelików śląskich. Oto przykłady: *Chłopczy na wybranóm, dziółchy na czakanóm. Jak przydzie syn, zamykej przed nim siyń, a jak przydzie ziyńć, łupiyecz placzków piynć. Dziywka się rodzi, pacholek za płotym chodzi, a jeszcze sie ji godzi (dziewczyna może być dużo młodsza od*

przyszłego męża). Jeszcze nie płakała ta, co się wydała, jyny ta, co zastała. Chałupa bez płota, a baba bez chłopca to je jedno. Jaki taki chałapała, bych se jyny poskokała (na zabawie). Ale i: Lecyjaki chałapała, bylech jyny chłopca miała. Choćby był ło jednym łoku, byle jyny tego roku. Czy kulawy, czy garbaty, byle jyny był bogaty. Byle kiery, byleby jyny był. Do łognia bych za nim skoczyła.

Jednak nie zawsze dziewczęta są tak mało wymagające, o czym świadczą i inne wypowiedzenia: *Za jednego strzapatego dziesiynć poczosanych*. Choćby mi Pónbóczek zaroz wszystkie grzychy łodpuścił, to bych go nie chciała. Ani po ćmoku bych z tobóm nie szła. Jak ci się nie podobóm jako stojym, to cie łosmolym jak się wystrojym.

Mężczyźni są jednak pewni siebie, dbają o własne interesy i raczej nie bawią się w sentymenty. Dość dobrze określa to przysłowie: *Chłop prawi ło chlebie, baba mu ło fijołkach*. Mamy tu bardzo charakterystyczne przeciwstawienie chleba, jako wartości najwyższej, koniecznej do życia i folków, które wprawdzie są ładne i pachną, ale w ciężkim, zapracowanym życiu rolnika nie stanowią większej wartości.

Małżeństwo, to także dodatkowe obowiązki i wydatki: *Gdo sie chce łožynić, musi se kapse wymiynić*. *Gdo sie żyni, dobrze czyni, a gdo sie nie żyni, jeszcze lepszy czyni*. *Pies galaty łoblecze, a też się łožyni*. Bob dość — nie bydziesz ty, bydzie jinszo. Toć mu się zachciywo — łobabił sie na stare roki.

Ale i mąż czasami uśmiechnie się do żony: *Pódź, dobro pusa spod fusa*. W małżeństwie jednak różnie bywa: *Nikiedy słómiany chłop dostanie złotóm babe*. To ci przóndek! *Baba w galatach a chłop w sukni* (w małżeństwie, w którym głos decydujący ma żona). *Chłopa nie lza łocyganić, jyny mu też wszystkiego nie trza prawić*. *Błogostawiono baba, co chłopca bije, ale przeklynty chłop, co sie ji do*. To je tako pora — *kiej łón heta to łóna cihi*. (każde ciągnie w inną stronę, postępuje po swojemu — nie ma jedności w działaniu). *Łón je leki, a łóna do łuftu*. *Czubióm sie jak dwa kokoty*. *Łóna mo ś nim gotowe piekło*. *Łóna je meter na niego* (uszczypliwie, gdy żona jest wyższa od męża). Jednak na koniec powiedzmy: *Podziwejcie sie, jak se pięknie jidóm pod paże, a jako jim to pasuje!*

Nie do pozadzroszczenia jest los starych panien skazanych dawniej na samotność i usługiwanie innym: *Staro dziywka aji z chodniczkami mamrze, a z kamiyniami na ceście sie wadzi*. *Łóna bydzie mieć wiesieli, jak bydóm warzechy kwiść*. *Łóna bydzie mieć wiesieli na trzynosty miesiönc*. Moc chcocy, mało broczy (dużo chętnych do flirtu, mało do ożenku).

Młodzi żyją swoimi problemami, bez doświadczenia i rozważgi starszych. Trudno ich upilnować: *Nie pumogóm ludzki gany, kiej przydzie tyn łobiecany*. Równocześnie: *Nie pumoże żodno gana, kiedy przydzie ta wybrana*. *Pryndzy łuwachujesz kope blech, niż młodóm dziółche*. *Rónczyczku jich z łoka spuścisz, już sie żgajóm*. Mężczyźni, młodzi i starsi, mają także inne problemy. Sądzą że: *Przi jednej dziurze aji kocur by zdechnół*. *Rozpolił sie, jak prawiczka*. *Miyndzy dwiema młodymi ni mo co robić trzeci*. Jednak *Dy sie dwo jednacy zapómnóm, baba je dycki gorszo*, ponieważ: *Pónbóczek doł Jewce, a Jewka kómu chce*. *Jewa dała, Jadam wziön*. *Dej pusy, dyć ci nie ubydzie*. Choć dosz pusy, to ci ji tak gymbulka — lub — gymbiczka na jedzyni zustanie. *Mamo — chłopcy na mie gabióm*. — *Chłapcy, przestóńcie!* — *Chłapcy, gabejcie zaś, mamulka sie nie dziwajom*.

Skutki bywają dość jednoznaczne: *Dzisiaj dy-dy-dy, jutro dość biydy*. *Poszła na słóžbe, wysłóžyla synka*. *Na głowie wiönek, w brzuchu Jónek*. *Łogłoszki do łucha, a ślub do brzucha*. *Dziewczęta nie szanujące się oceniane są jednak surowo: Łóna je wszystkich jedna*. *Je tako majne... majne...* (i w poprzednim wypowiedzeniu i tu: *latawica*). *Je porzónndno łód łostatnigo razu*. Toć ci smykula (smykula). *Ło jednego synka, to jeszcze paniynka* (żartobliwe).

RODZINA, RODZICE A DZIECI

O ile kobieta jako taka występuje w wielu wypowiedzeniach w roli negatywnej, o tyle jej rola jako matki wynosi ją na wysoki piedestał miłości, szacunku i poważania: *Droga to chatka, kaj mieszko matka. Głos matki-głos Boga. Drugi matki nigdzi nie nórndziesz. Do ludzi po rozum, do mamy po koszule. Ni ma słodszeo jabka, jak włośno matka. Jak łu dzieci matka, to aji głowa gładka. Nigdy z głowy nie wychóczy, czego mama roz nauczy. Nie ta matka, co mie miała, ale ta, co wychowała. Baba chłopu nie łumiyro, jyny dzieckóm matka.*

Stosunki w rodzinie kształtowane są na zasadzie posłuszeństwa i szacunku do rodziców: *Gdy nie słócho łojca, matki, bydzie słóchoł psiej skóry. Rodzina to świętość, zgodna rodzina to radość i szczęście jej członków: Kaj rodzina zgodnie, tam dusza pogodno. Domowe łuciski sprawiajóm wieczne zyski. Lepszy dóma chlyb, kapusta, jako kaj inđzi kura tłósto.*

Rodzina to zamknięty klan, jej sprawy nie mogą być wynoszone na zewnątrz ani wobec obcych krytykowane: *Co sie dóma łuwarzi, to sie dóma zjy. Nie paskudź gniazda włośnego, bo nejpjiyrw wylecisz ś niego. Nejgorszy to ptok, co do właśnego gniazda sro.*

Głównym zadaniem rodziny jest wychowanie młodych, wpojenie im odwiecznych obyczajów i zasad. Zasadniczą rolę pełni tu przykład dawany młodym przez rodziców: *Nie łojciec, nie matka, ceruszke, wydaje — robota, ochota, dobre obyczaje. Jako stare woły ryczóm, tak sie młode łod nich łuczóm. Łogibej mie, mamko, pokił mi je Janko — nie łogniesz mie, mammo, kiej mi bydzie Jano. Czym skorupa za młodu nasióńknie (nawre), tym na starość smerdzi. Dómbek trzeja łogibać za młodu, bo na staroś nim nie ruszy. Biyda buczkym na starość łogibać. Czego się Jaś nie nałuczy, tego Jan nie bydzie łumioł. Czego za młodu nie łuzujesz, tego na staroś nie łuwidzisz. Co sie człowiek za młodu nałuczy, to na staroś jakby naszł. Rośnie jako stróm w lesie (nikt się nim nie zajmuje).*

Nie zawsze jednak młodzi płacą za serce i wychowanie dobrą monetą. Nieraz są zgryzotą i zmartwieniem starych rodziców. *Małe dziecka nie dajóm spać, wielki dziecka nie dajóm żyć. Małe dziecka seróm do klina, a wielki na głowe. Co mamine, to cerzine, a co cerzine, do tego mamie nic. Nie ta matka, co mie wychowała, jyny ta, co mi syna dała. Dycki sie nórndzie jedyn w rodzie, co drugim łoczy wybodzie. Przestrzegają też ludowe przysłowia: Biada dómowi, kaj ciele rozkazuje wołowi. Gdóź to kaj widzioł, coby młodo wróna staróm łuczyla? Lepszy co dziecka proszóm łojca, jako coby łojciec mioł dziecka prosić.*

O tym jak wielką rolę przypisuje lud śląski przykładowi, jaki dają rodzice swym postępowaniem dzieciom, mogą świadczyć powiedzenia: *Jakżeś chował syna, tak łón s tobóm poczyna. Jaki drzewo, taki klin, jaki łojciec, taki syn. Jaki chlebuś, tako skóra, jako matka, tako córka. Jaki ziymiok, tako nać, tako cera, jako mać. Nigdy sie daleko jabko łod jabłóni nie łodkulo.*

A oto wypowiedzenia o samych dzieciach. Gdy małe, matka nieraz narzeka: *Szolónce sie (belónce sie) jak mokro koszula miyndzy nogami. Cóż mi tak dzwónisz za piyntami? Na tobie wszystko gore (gdy ubranie za szybko się niszczy). Godej do ni co chesz, jagby groch łó ściane ciepoł. Jo cie tu zaroz nałuczym moresul! Podziwejcie sie smarkowi! Jeszcze mi tu bydzie móndrowo! Rób se błozna z mamulki — tatulek majóm łoposek. Bicie to jednak niedobry środek wychowawczy, ponieważ czyni człowieka tchórzliwym, strachliwym. Stąd opinie: Bitymu psu doś kij pokozać. Bity sie kija boji. Nie dotyczy to oczywiście klapsów mamy, bo: Jak mama wybije, to dziura wytyje — jak cudzy wybije, to dziura wygnije. Gdo nie chce słóchać, musi ciyrpieć.*

Wiele problemów mają rodzice z wychowywaniem dzieci, wiele różnych spraw z nimi związanych. Najlepiej za wiele się dziećmi nie przejmować, bo:

Dziecka mająm płacz a śmiejch w jednym miejscu. Miyndzy dzieckami ni ma fojta. Pozdrowiej każdego chłopca, bo nie wiysz, gdo je twojim tatóm (złośliwie żartobliwie). Gdy dzieci podrastają problemy są już inne: Ni mosz fusów, nie móndruj. Gdo brzuch tuczy, nierod sie łuczy. Młode roki, gupi rozum. Nic se stego nie rób, jeszcze z tego wyrośniesz. Pónbóg zapłać za wyćwike (podziękowanie rodzicom za wychowanie). O niedorostku powiadają: Łón tam jeszcze mało chleba, zjod. Łón tam jeszcze mało śniega pojscoł. Mamulce jić podziynkować za cycek, a na dziółchy nie gabej. Wyrosła pod starczynym fortuchym (o dziewczynie delikatnej, ładnej).

A dorośli członkowie rodzin? Różnie bywa. I oni mają swoje wady, a gdy przyjdzie starość, nieraz nie idzie w parze z doświadczeniem życiowym i życiową mądrością: *Co rok prorok, jak przestympany to dwa. Doł Bóg dziecka, do ji na dziecka. Co łundzie małymu, to nie łundzie starymu. Na staroś głowa siwieje, a dupa szaleje. Je to hrómski żywobycki, jak sie stary młodej chyci. Starzi ludzie, a male dziecka to je jedno! Móndro głowa nie zesiwnie, gupio nie wyłysi.*

Pierwsze było Kółko

Pierwszymi organizacjami społecznymi, które powstały w **Mnichu**, były Kółko Rolnicze i Czytelnia. Obydwie powstały w r. 1883. Po I wojnie światowej Kółkiem kierował wójt, **Ochodek**.

W 1924 r. została założona Straż Pożarna, która już w pierwszym roku działalności zdołała zbudować strażnicę wraz z salą. Z tej ostatniej korzystali nie tylko strażacy, ale także Macierz Szkolna, koło „Strzelca”, Stowarzyszenie Młodzieży i Kasa Spółdzielcza. W 1926 r. powstało Koło Polek, które założyła p. Królowa. (c)

Wiślańskie zwyczaje

Zwyczaje u wiślan są bardzo podobne do zwyczajów ludu wiejskiego w innych częściach Polski. Mają one pewne odrębności w szczegółach, lecz ogólny ich charakter dźwięczy dla nas, jako nuta znana i ulubiona, bo przypomina wielce mazurów i krakowiaków.

Opisuję niżej różne zwyczaje, dotyczące wesel, chrzcin itp. tak, jak mi je opowiadał wiślanin, Jan Chmiel. Nadmieniam, że wiślanie bardzo dbają o to, ażeby przemowy, których nie szczędzą, odznaczały się dowcipem i żartobliwością. Wybierają tedy zwykle na starostów i swatów górali znanych z krasomówstwa. Oni też układają swoje przemówienia, zwłaszcza, gdy przychodzą na *namowy*, tj. prosić o rękę panny, następnie gdy chcą się dostać z gośćmi do domu *młoduchoy*, potem przed udaniem się do kościoła na ślub itp. Szkoda, że takie mowy, pełne humoru i dowcipu, ulatują bez śladu, odbija się bowiem w nich charakterystyka ludu.

W trakcie pisania tego dziełka wpadła mi do ręki świeżo wydana książeczka pod tytułem *Starosta weselny, czyli zbiór mów, używanych przy weselach u ludu polskiego na Szląsku austriackim*. Jest tam kilka takich przemówień, lecz z okolicy bliższej Cieszyzna, a że istnieją pewne różnice zwyczajów między lachami i góralami, więc i te mowy niezupełnie odbijają charakter wiślan.

WESELE

Gdy parobczakowi upodoba się jaka dziewczka, zwykle bywa w domu jej rodziców przez pewien czas, rok i dłużej. Zaprasza potem ze sobą dwóch albo trzech gazdów i, zabrawszy sporą miarkę wódki, udaje się do rodziców obranej dziewczki na *namowę*. Przybywszy do chałupy około dziewiątej wieczorem, przy wejściu mówią: „dobry wieczór”, a stanąwszy w izbie, pytają: „jak się macie?”.

Rodzice na to: „Dzięki Panu Bogu zdrowiśmy. A co byście radzi?”. Gazdowie odpowiadają: „przyśliśmy kupić jałówkę!”. Rodzice im na to: „Mamy ci jedną na sprzedaż”. To znaczy, że zgadzają się na swaty.

Przybysze wtedy częstują domowników wódką, żartobliwie targują się o jałówkę. Ojciec panny chwali jałówkę, że jałówka „szumna”, ma wychowanie, zdrowa i dobra i że z niej będzie krowa użyteczna. Pytają się zaś gazdowie o cenę jałówki. Lecz rodzice nie chcą wymienić ceny, tylko wychwalają żartobliwie wszystkie jej cnoty i zalety.

Następnie konkurent przystępuje do rodziców dziewczki, podaje rękę i mówi: Czy byście chcieli dać mi waszą Zuzię (albo Hanke lub tp.) za żonę?”. A oni na to: „Może to być” albo „chętnie ci ją damy za gaździnę”.

Po tych oświadczeniach młody przystępuje do swojej ulubionej, podaje jej rękę i pyta: „A będziesz mnie chciała za męża?”. Ona mu w odpowiedzi: „Chętnie przyzwalam”.

Potem występuje jeden z przybyszów, zwykle bliższy krewny narzeczonego i pyta rodziców: „Moc też jej dacie? Ile krów? itp. Na to zazwyczaj wymieniają, co córce wyznaczają na posag, np.: „Damy jej trzy krowy, jedno ciele, cztery owce, jednego konia itp.”, pieniędzy moc nie możemy dać, bo ich sami nie mamy wiele, chyba nieskorzej (później)”.

Poczem jeden ze świadków spisuje wszystko, czym rodzice zamierzają wyposażyć córkę. Taką *namowę* podpisuje ojciec panny. Zwykle po spisaniu

namowy raczą się hojnie wódką i około drugiej lub trzeciej po północy wracają do domu świadkowie, parobek zaś zostaje u swojej narzeczonej do rana.

Na drugi dzień zaręczeni sami idą do księdza oświadczając, że chcą przystąpić do stanu małżeńskiego i proszą o zapowiedzi. Po tych formalnościach ksiądz egzaminuje ich z katechizmu i religii, a jeżeli ewangelicy, to i z biblii. Późem zapisuje nazwiska i potrzebne szczegóły, a przez trzy niedziele zapowiedzi wygłaszane bywają.

Na ślub i wesele jeden z krewnych żenicha i młoduchy zapraszają gości, zwykle 30 do 40 par małżeństw.

W dniu ślubu goście schodzą się przed chałupą, gdzie witają ich muzycanci, sprowadzeni przez żenicha, wygrywając marsze; muzycanci to swojscy górale, którzy grają na klarynecie i trąbkach. Goście zresztą obowiązani muzykantów wynagrodzić; dają im za to granie po 20 centów.

„Żenich” ze starostą i družbami chcą wejść do chałupy rodziców „młoduchy” ale cóż! drzwi są zamknięte wewnątrz. Starosta „żenicha” śpiewa wtedy podług śpiewnika kościelnego:

*Przebudź się, duszo,
Ze snu ciężkiego,
Abyś stanęła
Przed Pana swego!*

Potem wali pięścią w drzwi, mówiąc:

— Puście nas, puście!

A starosta „młoduchy”, stojąc w sieni, woła:

— My was nie puścimy, bo z takim trzaskiem idziecie. Boimy się was!

— Jeno nas tam puście, nie bójcie się, my nie tacy szpetni ludzie!

Starosta „żenicha” odzywa się do starosty „młoduchy”:

— Przyszliśmy oglądać, czy tu macie jakie owoce?

Starosta „młoduchy” na to:

— Mamy owoce.

— Przynieście też ten owoc oglądać.

Starosta „młoduchy” idzie do komórki i przynosi na dwóch talerzach kwiatki i chusteczki. Jeden talerz podaje „żenichowi”, a drugi družbie. Kwiatki przypinają sobie do kamizelek, a chustki chowają do kieszeni. Starosta „żenicha” odzywa się następnie:

— Daliście kwiatki, to przykludźcie (przyprawdźcie) i owoc.

Tymczasem przybysze na opróżnione talerze kładą każdy po reńskim w srebrze i oddają te pieniądze staroście „młoduchy”, który na to: „Dziękuję wam pięknie za wasze dary”. I dąży z talerzami do komórki, gdzie znajduje się „młoducha”. Rodzice razem z gośćmi, „żenichem” i starostą siadają około stołów, podczas gdy muzyka przygrywa. Goście ugaszczają się wzajem wódką, której butelkę każdy przynosi z sobą.

Starosta wyprowadza „młoduchę” za rękę z komórki i, dochodząc z nią do starosty „żenicha”, odzywa się:

— Oddawam wam „młoduchę!”

A starosta „żenicha”, przyprowadzając ją do niego, powiada:

— A to ci ją oddawam za żonę, miej ją w uczciwości.

Po tych przemowach, „młoducha” przystępuje z płaczem do rodziców i mówi:

— Przebaczone mi, tatulku, mamulko, wszystko, com przed wami zawiniła! Oni też z płaczem:

— Przebaczymy ci, kochana córko, bądźże szczęśliwą!

Błogosławią jej i odprowadzają ją razem z „żenichem” przed chałupę. Tam na

przygotowane wozy wsiadają wszyscy, oprócz rodziców, którzy zostają w domu. Na pierwszy wóz siadają „młoducha”, starosta, druchna i kilku gości, na drugi „ženich”, starosta, družba i przedniejsi goście. Pozostali godownicy i muzykanci zajmują resztę wozów. „Ženich” i družbowie mają na kapeluszach chochołki (bukiety z sztucznych kwiatów i wstążek kolorowych). Inni mężczyźni posiadają także chochołki, tylko mniejsze. Wszystkie chochołki są darem „młoduchy”. „Młoducha” i družki mają na głowie tkanki (korony z kwiatków sztucznych z pereł i wstążek).

Gdy książdź stanie przed ołtarzem, „młoducha”, „ženich”, družbowie, družki i starostowie ustawiają się odpowiednio. „Młoducha” klęka po prawej stronie „ženicha”. W Wiśle nie ma np. zwyczaju wymieniania obrączek ślubnych.

Po skończonym obrzędzie nowożeńcy opuszczają ołtarz razem, a za nimi družba, druchna i starostowie. Przy dźwiękach muzyki wracają oni do domu rodziców „młoduchy”, którzy przyjmują przybyszów przed chałupą i wprowadzają do izby. Weselnicy posilają się chlebem z serem i kołaczami (plackami z mąki pszennej), pokrajanymi na kawałki, które maczają się w roztopionym maśle, podawanym na misce, a przelewają to jedzenie piwem lub wódką. Teraz zaczynają się tańce, zwykle polki, walce, a niekiedy i kołomyjki i krakowiaki ze śpiewami. Podczas pierwszych tańców przygotowują w drugiej izbie stoły na wieczerzę, do której siadają około stołów na pierwszym miejscu „młoducha”, obok niej „ženich”, a przy nich druchna i družba, potem starostowie, rodzice „ženicha” i reszta gości. Rodzice „młoduchy” wspólnie z kucharkami i służbą roznoszą jedzenie na miskach i talerzach. Naprzód idzie bryndza z chlebem, następnie potrawy z mięsa, zwykle cielęca polewka, podana po jednej misce na każdym stole. Potem na innych miskach mięso cielęce, kapusta okraszona *spyrką* (słoniną), potem polewka ze *szkopowego* mięsa, potem to mięso pokrajane na kawałki, które družba dzieli i kładzie każdemu kawałek na stół. Do mięsa nie używają widelców ani noży. Potem podają *moczkę* (flaki i płuca rozdrobnione w sosie kwaśnym), dalej wołową polewkę z *nudlami* (makaronem) i mięso wołowe, potem kaszę jaglaną, masłem polaną, którą się je łyżkami. A wśród tego jedzenia popijają wódkę lub piwo.

Starosta podczas tej wieczerzy zbiera od gości na biały wieniec, tj. składkę na podarunek dla „młoduchy”. Na ten cel starosta bierze talerz, pokrywa go chusteczką i przybliża do każdego z gości po kolei, którzy składają wedle możliwości od 20 ct. do reńskiego w srebrze. Zebrane pieniądze zostają wysypane na fartuch „młoduchy”.

Na zakończenie wieczerzy przynoszą na każdy stół po 4 kołacze, pokrajane na kawałki i przeznaczone do zabierania przez gości do domu.

Po wieczerzy śpiewają za starostą, przy towarzyszeniu muzyki, najpierw nabożną pieśń ze śpiewnika kościelnego:

*Nuż Bogu dziękujemy
Wszystkimi usty swemi.*

Następnie wszyscy dążą do pierwszej izby na tańce. „Ženich” tańczy zazwyczaj tylko z „młoduchą”, a jeżeli kto inny chce tańczyć z nią, to musi go o to prosić.

Podczas tańców śpiewają z muzyką rozmaite pieśni wesołe. Taki taniec ze śpiewami nazywa się *wolny* i jest w tempie powolnej polki.

Słowa do tego wolnego zaczynają się:

*A tu na tej Wiśle
Pięknie, szumnie,
Po cztery panienki
W jednym domie itd.*

albo:

*Wesoło mi w zimie,
Wesoło mi w lecie,
Jeszcze mi weselej,
Jak dobrze na świecie,*

albo:

*Gąsiczka dziwoka,
Leciała z wysoka,
Nie mogła dolecieć,
Spadła do potoka itd.*

albo:

*Na folwaryi,
Na długim moście,
Wróć się, dziewczeczko,
Masz doma goście itd.*

lub:

*Owczarzu, owczarzu!
W tej czarnej koszuli itd.*

albo wreszcie:

*Wędrowali Turcy,
Przekraśni młodzieńcy,
Wędrowali czasem
Jaworowym lasem itd.*

Tańczą zwykle aż do rana, potem odprowadzają nowożeńców do pokoju „młoduchy”, gdzie „żenich” zostaje.

Okolo południa, następnego dnia, odbywają się *przekładziny*, przeprowadziny, zwykle z muzyką. Przy opuszczeniu domu rodzicielskiego „młoducha” żegna ojców i śpiewa:

*Ach nieszczęsny, zasmucony
Jest dziś dla mnie dzień,
Że już muszę od mych miłych
Odbierać się weń.*

Na jeden wóz, albo jeżeli „młoducha” majątniejsza, na dwa wozy, ładują jej rzeczy i nowożeńcy udają się na nowe gospodarstwo. Tam ich witają rodzice „żenicha” chlebem i solą, a „młoducha” odzywa się:

— Chcecie mnie mieć za niewiastę (synową)?

Rodzice „żenicha” na to:

— Pięknie witamy! Bardzo radujemy się, że nam będziesz pomocą w naszym gospodarstwie!

Tymczasem do izby poschodzili się znów goście weselni. Podają im tedy wódkę z przekąską, a następnie kawę i kołacz. Powtórnie następują tańce; aż do

wieczora z „młoduchą” tańczą same dziewczęta, a potem czepiny, do których „żeńich” dostarcza litr dobrej *rozółki* (likieru). Same „czepiny” odbywają się w komórcie, z wykluczeniem dziewcząt i mężczyzn; biorą w nich udział same tylko mężatki. Starościna ustawia na środku komórki konewkę z wodą, sadza na nią „młoduchę” i zdejmuje jej z głowy *tkankę*, oddając ją jednej z obecnych kobiet; inna kobieta podaje na kapeluszu „żeńicha” *czepiec*, inna zaś zwija włosy „młoduchy”, starościna przykrywa jej głowę *czepcem*, a na to kładzie *szatkę* (chustkę) białą, wyszywaną ozdobnie. Podczas tej ceremonii kobiety przemawiają, jak zachować się ma wobec męża, następnie dzieci itd. Wpuszczają potem „żeńicha”, który podnosi „młoduchę” z konewki i seredecznie całuje, wprowadza ją następnie do wielkiej izby, a za nimi przychodzą i kobiety.

Starościna śpiewa:

*Moi mili goście,
Co na to powiecie —
Straciłam wianeczek
Czy wy o tem wiecie?*

Wreszcie tańczą z „młoduchą” mężatki, a mężczyźni siedzą na ławkach około ściany. Kiedy już wszystkie mężatki z nią przetańczyły tedy dopiero „żeńichowi” wolno ją wziąć do tańca. Dalej następują już ogólne tany. Na tem kończą się uroczystości weselne.

CHRZCINY

Zaraz po rozwiązaniu położnicy schodzą się zameżne sąsiadki i krewne i składają dary pieniężne od 50 ct. do reńskiego, pytając o stan zdrowia jej i dziecka. Dziecko biorą na rękę, wychwalając, że do ojca podobne, że szumne i że rodzice będą mieli radość z tego potomstwa. Szczęśliwy ojciec musi poczęstować takich gości wódką.

Po tygodniu schodzą się tam znowu kumoszki i kmotrzy i po uraczeniu jedzeniem i wódką jedna z kobiet domowych, *noszacza*, zabiera dziecko, zawinięte w pieluchy i w pierzynkę; udając się wraz z rodzicami chrzestnymi naprzd do księdza, dla spisania metryki, prosząc o udzielenie świętego chrztu, następnie do kościoła, gdzie chrzest się odbywa w obecności *kmotrów* i *kumoszek*. Jeżeli chłopiec, to dwaj kmotrowie i jedna kumoszka, a jeżeli dziewczynka, to dwie kumoszki i jeden kmostr.

Po obrzędzie chrztu w kościele całe towarzystwo wstępuje do karczmy, gdzie ojciec nowego chrześcijanina poczęstować je musi piwem i wódką. Przy tem figuruje ogromny *weselnik* (strucel) z mąki pszennej, który po części zjadają w karczmie, a resztę, podzieloną na kawałki, goście zabierają do domu. W karczmie zatrzymują się do wieczora, a wtedy *noszacza* sama z ojcem odnosi dziecko do matki.

Za tydzień (jeżeli są bogatsi) rodzice zapraszają *kumoszki*, *kmotrów* i krewnych na wieczerzę. Zaczyna się przy tym, jak zwykle, wódką, potem jedzenia: chleb z bryndzą, polewki rozmaite, wołowe lub cielęce, potem mięso gotowane i pieczone, kołacz z kawą i na ostatku ryż, masłem polany. Kończy się wieczerza rozdawaniem kołaczów do zabrania ich do domu. *Kmotrowie* składają pieniądze, zwykle po złr. 3 do 5, a inni goście po 1 złr. 1 do węzełka, tj. do tutki z papieru kolorowego, związanej wstążką kolorową. Węzełek napełniony otrzymuje matka dziecka.

IMIENINY

W Wiśle młodzież, tak u katolików, jak i u ewangelików, obchodzi imieniny a nie urodziny. W dzień imienin dziewczucha swemu ulubionemu parobkowi obwiązuje ramię wstążką, za co on ją musi poczęstować wódką. A nawzajem czyni to parobek na imieniny swojej dziewczuchy.

BOŻE NARODZENIE

W wigilię Bożego Narodzenia wieczorem dziewczka, zwykle najstarsza w domu, wymiata izbę i śmieci wynosi na powórze, wysypuje je i klęka na nich, mówiąc pacierze. Czyni ona to dla wymodlenia sobie męża, a podług usłyszanego w danej chwili jakiego odgłosu odgaduje, czem on będzie, np. jeżeli turkot młyna, wtedy młynarzem, jeżeli stukanie, to cieślą, jeżeli dzwonienie, to kowalem itp.

Po zachowaniu przez cały dzień ścisłego postu wieczorem, o zmroku, zasiadają wszyscy członkowie rodziny i domownicy do obrusem przykrytego stołu. Pierwsze miejsce zajmuje gazda, a gaździna obok niego. Wieczera się zaczyna odmówieniem na głos pacierza. Przed każdym z domowników położony jest *pocień*, tj. bochenek chleba, a na misce kawałek masła. Każdy odkroi sobie kawałek chleba i, posmarowawszy masłem, zjada zapijając mlekiem lub maślan-ką. Potem podają kapuste z ziemniakami, a na zakończenie kołacz.

Na drugi dzień, tj. w pierwsze święto, o 4 rano, udają się na jutrznię do kościoła, oświetlonego rzęsiście, bo oprócz płonących na ołtarzu i w *pająkach* świeci się na każdej ławce po kilka świec, osadzonych w żelaznych świecznikach. Po nabożeństwie powrót do domu na śniadanie; kto ma dalej, wstępuje do krewnych lub przyjaciół, gdzie gościnnie bywa przyjęty.

Pierwszy dzień święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy stanowi wyjątek w życiu wiślan, tak, że trzeba owe dni zapisać złotymi literami; nikt w tak uroczyste święta nie wstępuje do karczmy ani nie pije wódki. Na solenne nabożeństwo w kościele schodzą się z całego zboru, kto tylko może, z najoddalniejszych nawet osad.

Drugi dzień Bożego Narodzenia obchodzony bywa też świątecznie.

ŚMIERGUST

W drugim dniu świąt Wielkanocnych, po nabożeństwie parobcy, przygotowawszy *karwacze*, tj. pręciki ze *słodkiego drzewa* (lukrecji) gonią za dziewczkami, chcąc je uderzyć. Te, bawiąc się, wyrywają parobkom owe słodkie karwacze i konsumują. W domu parobcy skrapiają i zlewają dziewczuchy wodą, za co te ostatnie opłacają się sowicie. Sprawia to wszystkim niemałą uciechę.

Jeden i drugi zwyczaj nazywają *śmiergustem*.

1 MAJA

Rano o czwartej, dnia pierwszego maja, muzycanci wiejscy obchodzą zagrody i mieszkania, grając marsze i tańce.

Jeden z nich ma puszkę blaszaną zawieszoną na szyi, do której płyną datki pieniężne. Później następuje ich podział między kapelą.

WIEŃCE

W wigilię św. Jana dziewczęta obchodzą *Wieńce*, tj. zbierają różne kwiaty polne, zwijają w wieńce i przystrajają wstążkami z kolorowego papieru.

Nazajutrz, przed świtem, wieńce zostają zawieszane na zewnątrz domu, nad drzwiami i oknami. Każda dziewczyna ma swój osobny wieniec.

MAICZEK

W drugie święto Wielkiej Nocy mniejsze dziewczęta chodzą od chałupy z *maiczkiem*, tj. z choinką, ozdobioną sztucznymi kwiatami, wstążkami z kolorowego papieru z białymi piórkami. Zwykle bywa dziewcząt trzy albo cztery. Śpiewają przy tej pieśni, ułożone umyślnie na ten cel.

*Przyśliśmy tu, przyšli,
Pod wasze okienko
Pocieszać, pocieszać,
Razem i z gaździnką itd.*

Potem:

*Pójdź, serce me, patrz wesoło,
Na dary Boskie wokoło.
Wabi cię lato śliczne itd.*

Gazdowie przy tej sposobności składają im dary bądź w naturze, tj. kołacz, chleb, jaja itp., bądź w pieniądzu po kilka centów.

POGRZEB

Jeżeli chory już bardzo słaby, kiedy oczy mu bieleją, paznokcie posinieją, wtenczas prawi, że już nie będzie żył, a wówczas domownicy posyłają go po księdza...

Tak mi pewien wiślanin opisał znamiona zbliżającej się śmierci.

Chorego podnoszą z łoża, przyoblekają świątecznie i przeprowadzają do wielkiej izby, gdzie sadzają przy stole przykrytym dużym, białym obrusem.

Wchodząc do izby, ksiądz wita obecnych:

— Daj, Pan Bóg, dobry dzień!

Na to ludzie:

— Pięknie witamy pana tatulka! — i całują go w rękę.

Zwykle z bliższych chałup schodzą się sąsiedzi dla usłyszenia nauki księdza.

Ksiądz przystępuje do chorego i pyta się go:

— Co wam to brakuje?

Z odpowiedzi chorego ksiądz poznaje, czy on jeszcze na tyle przytomny, ażeby mógł przyjąć wieczerzę Pańską; gdy umysł biedaka już jest zupełnie przyćmiony, kapłan odprawia tylko modlitwy, przemawia do obecnych, pocieszając ich słowem Bożem i opuszcza dom żałoby. Jeżeli przeciwnie, chory posiada jeszcze dostateczną przytomność, ksiądz przygotowuje chorego i po odbytej spowiedzi udziela mu komunii, pociesza go i przemawia do obecnych. Po odbytej posłudze religijnej odprowadzają chorego do łóżka i księdzu podają posiłek.

Po śmierci chorego najbliższy krewny udaje się do księdza z oznajmieniem zgonu, a po otrzymaniu kartki, każe wykopać grób na cmentarzu i dzwonić na znak żałoby. Na trzeci dzień odbywa się pogrzeb.

Chociaż gmina jest wielka, bo liczy blisko 5.000 dusz, rozsiadłych na 7 milach kwadratowych, wszystkie ciała zmarłych grzebią na cmentarzach blisko kościołów. Katolicki cmentarz znajduje się tuż pod samym kościołem, a ewangelicki na Groniczku, półwyspie przy połączeniu się potoku Kopydło z Wisłą. Miejsce to romantycznie położone na wzniesieniu pod lasem.

Na pogrzeby katolickie, jeżeli rodzina nieboszczyka majątniejsza, sprowadza ją księdza z Ustronia, lecz zwykle odprawia pogrzeb jeden z gazdów do tej czynności upoważniony. Ewangelickie pogrzeby prawie zawsze odbywają się przy asystencji księdza.

W sam dzień pogrzebu stoły w wielkiej izbie chałupy nakryte są obrusami. Goście schodzą się i zasiadają około stołów, a najbliższy z krewnych zmarłego, żona albo mąż, syn lub córka staje przy pierwszym stole i zaczyna śpiew z kancjonału; goście wtórują mu. Następnie przewodnik nabożeństwa czyta z książki do nabożeństwa odpowiednie ustępy i kończy krótką przemowę i pacierzem. Po pacierzu przewodnik dziękuje gościom za przybycie na pogrzeb i śpiewa z nimi jeszcze jedną pieśń. Następnie stawiają dzbanek z wódką na stole i kładą parę bochenków chleba i bryndzę dla posiłku.

W sieni, w *truchle* (trumnie) otwartej złożony jest nieboszczyk, a od strony głowy świeci się świeca woskowa lub łojowa, osadzona w świeczniku; jeżeli zmarł parobczak lub dziewczyna, świecę przyozdabia bukiet kwiatów. Dalej zabijają trumnę i niosą na barkach do kościoła. Do noszenia trumny ofiarują się sąsiedni gazdowie, jeżeli nieboszczyk był gazdą lub gaździną, a pacholcy, jeżeli był dziewczką lub pacholkiem. Podczas drogi śpiewają pieśni żałobne z kancjonału pod przewodnictwem krewnego lub sprowadzonego umyślnie górala, wprawne-go w śpiewaniu pieśni nabożnych.

Trumnę wnoszą do kościoła, ustawiają przed ołtarzem i otaczają ją czterema zapalonymi świecami. Ksiądz przemawia z kazalnicy. Po odbytem nabożeństwie wynoszą trumnę na cmentarz. Porządek w pochodzie zachowany jest następujący: naprzód postępuje młodzież szkolna z nauczycielem, potem ksiądz, po nim trumna, a za nią krewni i sąsiedzi. Na cmentarzu stawiają trumnę na drążkach nad otwartym grobem, a *pogrzebniki* otaczają grób i księdza. Ten odprawia obrzęd pogrzebowy, a po odśpiewaniu pieśni z kancjonału wszyscy odmawiają pacierz. Potem grabarz zasypuje grób.



Z podań ludowych

KOŚCIÓŁ GÓRECKI

Na ziemiach góreckich rozciągały się dawniej same lasy. Pewnego razu przyjechał do tych lasów jakiś rycerz na polowanie i zabłądził. W zwątpieniu zaczął prosić Boga o pomoc. Obiecał, że jak wyjdzie z tych lasów szczęśliwie, zbuduje w tym miejscu kaplicę.

I wyszedł z tych lasów. Na pamiątkę odnalezienia drogi zbudował kaplicę. A gdy ludzie zaczęli się osiedlać w naszych stronach, rozbudowali kaplicę i powstał kościół górecki.

Opow. JADWIGA BĄK

NA GRODZKIM ZAMKU

Byli panowie Jesionek, Świątoski i Bierowski. Dość bogaci. Ale stale ich napadali nieznanymi rabusie i uciekali ku północy. Raz się zebrali i radzili, jak się przed nimi obronić.

— Dół wykopać, jak na niedźwiedza, i nakryć gałęziami — mówi jeden.

— Szkoda roboty — mówi drugi — bo go przed czasem spozorują.

— Kto pod kim dołki kopie, sóm do nich wpadnie — prawil trzeci.

I nie uradzili niczego. Ale żona Świątoskiego powiedziała:

— Weźcie i ogródźcie swoi pola od pana Grodzieckiego.

Uśluchali jej i zaczęli grodzić, każdy wzdłuż swych granic. Rabusie, jak się dowiedzieli, ruszyli na nich. Ci, co grodzili, uciekli i więcej się nie pokazali. Rabusie postawili jednego ze swoich na miejscu zagrodzonym i przykazali mu pilnować.

— Jak nie pozwolisz dalej grodzić, to to pole będzie kiedyś twoje.

Strażnik jednak się nie doczekał, bo go inny niedługo zabił. Sam zaś Grodziecki, co żył ręką w rękę z rabusiami, mścił się teraz na Jesionku, Świątoskim i Bierowskim. Wybudował sobie zamek na Goruszce (stoi tam do dziś), spokrewnił się z Góreckim w Górkach, zapraszał go i innych sąsiadów do siebie na hulatyki i gry w karty. Jak mu brakło pieniędzy, posyłał do poddanych, aby zaraz spłacili długi. Żony poddanych poszły raz do zamku i prosiły, że nie mają pieniędzy.

— Starajcie się zaraz, bo dostaniecie mores.

W końcu jednak naprawdę już chybiło pieniędzy. Wtedy Grodziecki wezwał swego teścia z Góreckim, swą żonę, sprawcę z Bielowicka i radzili, skąd wziąć pieniądze. Teść mówi:

— Musisz jeszcze barżyj ich nastraszyć.

— Ale czym?

— Bić, a bić, co wlezie.

— Jo tego nie poradzę, bo tu trzeba ludzi mocnych — prawi Grodziecki.

— To nie wiesz, jak to zrobić? — śmieje się żona — Ustruż porządną stolicę na pół metra szeroką a dwa metry długą, przybij silne pasy po bokach i wyznocz mocnego hajduka, co będzie żyłą ludzi wypłacał.

I tak zrobili. Od tego czasu zaczęli w Grojcu wypłacać mores tym, co sie w byle czym panu sprzeciwili, a nie mieli pieniędzy, aby za przewiny zapłacić.

Opow. PAWEŁ MARTYNEK

W Grojcu strasznie katowali ludzi, niż jeszcze hrabia Zamojski przegałganił majątek i sprzedał za ładne pieniądze fabrykantowi Strzygowskiemu z Bielska.

W tym zómku była stolica z pasami. Na nią przypinali każdego oskarżonego i bili żyłą z 50 mietelek. Jak dostał 50 hibów, to miał dość. Więcej ani nie wydzierżół. Inszych zaś przypinali do koła w piwnicy i wyciągali mu ręce ze stawów. Nim jeszcze zaczęli bić na ławie, mówili: „Mów prowde, bo bydzie miała ława wiesieli!”

Jeszcze po dzisio mówią o nieposłósznych: „Pójdiesz po mores do Grojca!”

Opow. JAN KOŁDER

Strzygowski z Grojca, jako pón, jeździł do Bielska hulać i w karty grać. Larysz z Jaworzo np. cały zómek przegroł za jedne noc. A Strzygowski jak siód do kolasy, to dycki sie naszeł przy nim jakisi drugi panoczek, też we fraku i cylindrze jak sóm pón. Nic ale ze sobą przez cały czas nie mówili. Jak wrócili do Grojca, to ten panoczek sie dycki stracił. Ludzie prawili, że to diabeł. I że dzięki niemu Strzygowskiemu sie wiedzie w kartach.

Opow. JAN JAWORSKI

KRZYŻ NA SPOLONEJ

Sądziłi się w Brennej dwo bracio o pole. Jeden z nich chcioł postawić na swoim i zaczął kopać dziure na kopiec graniczny. Przy kopaniu natrafił na gornek ze złotem, a na nim była pokrywka z napisem. Ale cóż, kiedy nie umioł tego napisu przeczytać. Zawołał brata, aby mu to przeczytał. Brat nie dziwoł się na napis, jyny, chciwy złota, zaczął sie wadzić z bratem, że bez jego zezwolenia zaczął kopać. Ze zwady doszło do bijatyki i brat zabił brata.

Od tego czasu stoi na Spólnej, jak sie skrećo do Lipowca, krzyż.

Opow. MARIA DUDA

WILK I PIES

Było to bardzo downo, jak *verwalterem* na majątku w Górkach Wielkich był Bobek. W majątku było wtedy 68 krów i 35 świń. Był przy nich pasterz Jano, co miał psa Azora, o biołych aż do kolan nogach.

Roz paśli na łakach buczańskich krowy. Przychodzi do Azora wilk i pyto sie go:

— Przyjacielu, skądś wziął taki szumne buty?

A Azor mu na to:

— Ukrodech roz Szydzince świnię, odrzył ją, skóre wysuszył, zaniós ją do szewca w Lipowcu i ten mi uszył taki elegancki buty.

— Jo bych też rod mieć taki buty, zrób to jako...

— Jo bych ci już to po znajomości zrobił, ale musisz ze zómeckiego świńszczoka przysmyczyć jedne tłóstą świnię.

Wilk sie zgodził, pognół ku zómeckim chlewkóm i przysmyczył kormika. Azor se z nią siednął w krzokach pod lasem, zeżroł ją całą i zasnął. Społ aż do rana. Rano przychodzi wilk i pyto sie:

— Serwus kamrat, mosz ty moi buty?

Rozespany Azor na to:

— Wiesz co, kolego? Ta świnia miała za mało szpyrki. Skóra sie też skycrzyła i szewc prawil, że sie z ni nie do butów uszyć. Musi być świnia fest tłosto!

— No to dobre, zóndym tam jeszcze roz.

— A wiesz skądby ją wziąć? — doradzo Azor. — Z tego chlewka od masztale, tam jest panów tłóściutki kormik.

Wilk pognął ku pańskim chlewkom. Dogonił go Azor i prawi:

— Teraz tam nie chodź, bo jeszcze je widno i mógłby cie kiery uwidzieć. Skocz tam pod sóm wieczór.

Wilk usłuchał. Pod wieczór przysmyczył nejthłuściejszego kormika. Azor mu pięknie podziękował i kozoł przyjść rano. Potem sie zabroł do jedzynio. Pozjodoł szónki, śwyczke i prawi se: „Gdo je głupi — ten sie do kupić!”

Przyszło rano, przyszedł wilk i pyto sie:

— No co, kamrat, mosz ty moi buty?

— Móm — mówi pies i kludzi go za pańską obore.

Tam stoła beczka z wopnem. Azor mówi:

— Wroź tam nogi, a bydziesz miał taki buty jak jo.

Wilk usłuchnął, wraził nogi do wopna w beczce i wyciągnął. Zadowolony mówi do Azora:

— Pódź, pujdymy ty buty obłoć do Nierodzimia do gospody.

Pies się zgodził. Idą. Doszli ku Brennicy. Wilk mówi do psa:

— Drogi przyjacielu, ty umiesz pływać, a jo ni. Jako jo przyndym?

A pies mu na to:

— Tu ni ma głęboko, to przedziesz!

I wilk wchodzi do wody, a pies za nim. Wychodzą na drugi brzeg, wilk się patrzy, a tu biołych butów ni ma i prawi psu, że ich isto stracił we wodzie. Wrócił sie, aby ich łowić, ale nadaremno. W końcu prosi psa:

— Wiesz, co, kamrat? Jo sie muszę z tobą pobić!

Pies się zgodził. Poszli pod dąb ku harendzie. Wilk poszeł w jedne strone, do zbrojenio, pies w drugą. Wilk wziął se do pomocy niedźwiedzia i dziką świnie, zaś pies kocura i kokota. W takim orszaku poszli na Bucze. Pierwszy tam był wilk. Jak już był na górcie, mówi do niedźwiedzia:

— Wyleż na drzewo i podziwej sie, czy już pies idzie!

Niedźwiedź sie wygramolił na dąb, rozglądo sie i woło:

— Idą, jeden mo szable (myśłoł na kokoci grzebień), a drugi kose (myśłoł na koczury chłost).

Dzik, jak to usłyszol, zakopoł sie ze strachu do liścio, wilk uciekł, a niedźwiedź został na drzewie. Jak pies ze swoimi przyszeł pod dąb, niedźwiedź spod z drzewa i sie zabił, i zabił też swoim ciężarem dzika w liściu. Tak sie Azor i jego kompania mieli czym żywić.

Opow. EMILIA GAWŁOWSKA

O KLIMCZOKU

Klimczok miał swoją kryjówkę na górze koło Bielska, co sie dzisio nazywo Klimczok. Tam był hersztem zbójników. Całą szajką napadali na bogaczy i księcia w Bielsku.

Roz chcieli obrabować młyn, jak samego młynorza nie było. Ale nie mogli sie do niego dostać, bo były potrójne dwiry. Ani oknami nie wylżyli, bo były mocno zakratowane. Zaczyli nocą kopać popod próg. Jak już dziure wykopali, wloz nią nejmlodszy do postrzodka, po nim drugi i trzeci. Hersztowi było jyny dziwne, że każdy, jak wlezie, trzepie nogami. A tam cera młynorza każdymu głowe ucinała, a zabitych wciągała do młyna.

Herszt był ostrożny i nie łoz tam.

Po jakimś czasie przebroł się za babe i przyszedł wieczór do młyna pytać o nocleg. Cera, już wtedy wydano, była dółma. Na nieszczęści sama. Klimczok ji przypómnioł, co to kiejsi zrobiła z jego kamratami i kozoł ji iść ze sobą. Zakłudził ją do lasu, gdzie w małym domku mieszkała jego matka. Pyto sie ji, jak ją ukorać.

— Większej kory ni ma, jak drzozgi ciś ji za pazury, oblywać smołą i polić — mówi matka.

— Tak mi ji pilnuj, a jo idę zrobić ogień.

Marysia ze strachu strasznie zaczęła płakać.

— Nie płacz, jo cie puszcze, boś mi syna nie zabiła! Uciekaj, ale niedaleko. Skryj się na drzewie, bo cie psy wynuchcą.

I uciekła. Po chwili wraco syn i pyto:

— Każ je Marysia?

— Uciekła.

— Czemuś nie pilnowała?

— Trzymałaś ją za warkocz, ale go wyrwała i uciekła.

— Kaj je ten warkocz?

— W piecu go spoliła.

— W którą strone uciekała?

— W prawo!

Syn pognół z psami za Marysią, ale nic nie naszli. Ze złości pozabijoł brytany, potem matkę, ale Marysia szczęśliwie wróciła do domu.

Opow. PAWEŁ MARTYNEK



Bojtki śląskie

A czy masz dwie?

W niedzielę było na nieszpórach w kościele parno, aż dech zapierało. W pierwszej ławie siedziała staruszka i z gorąca podrzemywała, ale, jak to starzy mówią, *oczy w gromadę, a d... w paradę*, no i przydarzyło się staruszce coś zrobić na głos, że się nawet zawstydziła. Ale chcąc od siebie odwrócić uwagę, mruknęła półgłosem zgorszona:

— A któraż to taka niemoreśnica?

Na to złośliwa sąsiadka odpowiedziała półgłosem:

— A czy masz dwie?

Wieleż tych wilii do roku

W Wigilię gotują, jak wiadomo, wszystkie możliwe potrawy, a trzeba z każdej chociaż łyżkę spożyć, inaczej będzie człowiek przez cały rok niedomagał; czasem i dziewięć tradycyjnych potraw znajdzie się na stole wigilijnym, dochodzi więc do tego, że po obiedzie *ani siednąc ani legnąc*, jak starzy ludzie mówią. A jakie jest nad ranem powietrze w izbie, łatwo sobie wyobrazić.

W pewien wieczór wigilijny przyszedł do gospodarza Żydek i prosił o nocleg.

— Dobrze — mówi gospodarz — pójdz do nas do stołu, bo wilia dzisiaj, pojesz se, a potem pójdziesz spać z czeladzią.

Żydek odmówił spożycia kolacji, mówiąc że jest koszer ny, i tylko ślinę łykał, kiedy widział, jak wszyscy smacznie zajadają.

Po wieczery mówi gospodarz:

— A teraz porzykać, a spać, bo jutro młodszy muszą iść na jutrznię.

Poszli spać, nasz Żydek z parobkami i dziewczkami, ale że sobie wszyscy dobrze pojedli, więc była przez całą noc muzyka. No i nasz Żydek ani oka nie zmrużył, kasłał bez ustanku i wyglądał niecierpliwie ranka. Skoro tylko zaczęło szarzeć, wyleciał z czeladnej izby jak z procy, a widząc na podwórzu gospodarza, woła:

— Gazdoszku, a wiele też tych Wilii do roku?

Na co gazda, głaszcząc swój syty brzuch:

— A dyć jeno jedna...

Żydek się wyraźnie ucieszył:

— Dzięki Bogu, że jeno jedna, bo by sie inaczej cały świat zapowietrzył!

Tu mosz, diable roraty

Już od dłuższego czasu namawiała stara góralka swego męża, by chociaż raz poszedł na roraty. By się więc uwolnić od ciągłego *gęglenia* żony, wstał raz wcześniej, ubrał się dobrze i obuł, bo mróz aż się iskrzył, wziął latarkę i powiedziawszy żonie na progu: *Z Bogiem, stara, już już idę na te roraty*, wyszedł. Ucieszona żona odkrzyknęła za nim:

— Boże cie prowadź!

Był do kościoła *szwarny* kąsek drogi, więc góral musiał od czasu do czasu nawet biec, by trochę zagrzać nogi. Ale w końcu zobaczył kościół i mówi:

— Bożyczku, już to będzie, już!

Przed drzwiami chciał otrzepać śnieg z kierpców, ale się poślizgnął i *rymnął*

sobą jak długi, a latarka mu wypadła z ręki *do imentu* się stłukła. Górął wstaje, chwytą się jedną ręką za tyłek i mówi roześlony:

— Tu masz, dioble, roraty!...

Odtąd słów tych używają górale, gdy ich spotka coś przykrego, na przykład gdy się mocno uderzą.

Rorota, jest tam moja Dorota?

Raz się wybierała matka na roraty, rzekła więc do sześćoletniego synka:

— Jureczku, ja idę na roroty, daj pozór na izbę, by się co, nie daj Boże, nie stało, przykładaj pod blachę, by sie kapusta i groch nie przypaliły, a ja się będę śpiechać. A o Ignacku też nie zapomnij!

Pogłaskała chłopca po płowej głowinie i pośpieszyła do kościoła. Chłopak wyszedł za nią na próg, a kiedy zniknęła w ciemności, wrócił do izby, porozglądał się dookoła, usiadł pod piecem i zaczął rozmyślać, po co matka co dzień tak wcześniej rano chodzi do *Roroty*. Wiedział tylko, że chodzi do kościoła, do *jakiejś Roroty*.

Tak się mocno zamyślił, że ani nie zauważył, jak się zaczęło wszystko na *blasze przypalać*, poczał się też wiercić i stękać mały Ignacek. Gdy się Jurek ocknął, nie wiedział, do czego ręce włożyć, bo na *blasze* wszystko *swyrczało* i kipiało, a Ignacek zaczął w niebogłósy wrzeszczeć. Rzucił na plecy *ojców* surdut i tak, jak był, boso i z gołą głową, puścił się do kościoła. A że nie było daleko, więc po chwili stanął zdyszany na progu. Mnogość światła i natłok ludzi onieśmieliły go trochę, ale odzyskał odwagę, gdy sobie tylko przypomniał, co się stało w izbie; rozglądał się chwilę, czy nie zobaczy matki, ale kiedy jej nie dostrzegł, zebrał się na odwagę i z całej siły krzyknął:

— Rorota, a jest tu moja matka Dorota?!

Myślał, że tak, jak jego matkę nazywają Dorotą, tak księdza, który stał przy ołtarzu, Rorotą.

W kościele nastąpiło poruszenie. Matka, słysząc głos syna i widząc go na progu kościoła, dawała mu znaki, by przestał, ale ten znów zaczął wołać:

— Rorota a jest tam moja matka Dorota?!

Matka przepychała się między klęczącymi ludźmi i szeptała cicho: „pst, pst, pst!...”

Wtedy rozgoryczony chłopak krzyknął:

— Psykaj se tak, psykaj. Groch na proch, kapusta do czysta, Ignac sie zesz..., a ty se psykasz!

I pobiegł co tchu do domu, bo się już cały trząsł od zimna...

A wychyńcie tam tego pijaka!

Było to na jutrzni, w kościele. Wtedy, kiedy kolędy były jeszcze na Śląsku nieomal nieznane, poza paroma tłumaczonymi z języka czeskiego. Ale to były nie tyle kolędy, co pieśni bożenarodzeniowe, bez werwy i siły.

Nauczyciele chcieli zrobić swemu proboszczowi niespodziankę, wyćwiczyli więc w tajemnicy parę kolęd, by je zaśpiewać na jutrzni. Po *Gloria* nastąpiła w kościele chwila ciszy, poczem pierwszy tenor zaczął:

Kto to, co to...

Po chwili znów:

Kto to, co to...

Bo tak się zaczynała żwawa kolęda. Ale proboszcz, sądząc, że to jakiś pijak zamąca przebieg nabożeństwa, odwrócił się porywczo od ołtarza i zawołał na cały kościół:

— A wychyćcie tam tego pijaka!

Wkrótce potem spłynęła jednak na kościół chóralna kolęda...

Po asenterunku

Po zaprzysiężeniu przy *asenterunku* wziętych do wojska gucan wypuszczono na rynek. Jeden z nich, drapiąc się za uchem, mówi do drugiego:

— Wiesz co, Jano, ci dochtorzy to jednak bardzo mądre głowy...

— Skąd wiesz? — pyta ten drugi.

— A bo sie mi jedno kozoł zgiąć, podziwał się mi do zadku i zaraz powiedział „z Gut”. Poznał, beskurcja, żem z Gut.

Tymczasem lekarz kazał mu się zgiąć, by zobaczyć, czy nie ma jakiejś skazy w łydkach lub na grzbiecie. Obejrzawszy, powiedział: *s’gut!* tzn. *es ist gut*, po naszymu po prostu: *w porządku!*

Przy spowiedzi

Ksiądz karcie chłopca, że ten opuszcza niedzielne nabożeństwa.

— A portki to mam, a buty to mam? — tłumaczy się chłopak.

Na co ksiądz:

— A nie kradłeś jabłek z ogrodu?

Chłopak odpowiada:

— A bo to kaj są?

* * *

Znany złodziej spowiadał się, że skradł sąsiadowi łańcuch. Proboszcz dał mu rozgrzeszenie, ale zapomniał kazać, by złodziej zwrócił skradziony łańcuch. Widząc więc przy komunii klęczącego, nachylił się nad nim i rzekł pógłosem:

— Ale ten łańcuch zwróć!

* * *

Przed kościołem stało dwóch *holców*, obydwa dopiero co po spowiedzi. Spowiednik, wyszedłszy, zobaczył ich rozmawiających, podszedł więc bliżej i usłyszał, jak jeden z nich mówi drugiemu:

— Ale też to dłuhał i dłuhał! Już się zdawało, że się przyznam, alem się jednak nie dał!...

Na wizytacji

Biskup Anat. Nowak chciał się podczas pobytu w Istebnej dowiedzieć, czy dzieci są przygotowane z nauki religii. Był z odpowiedzi malców zadowolony, bo góralskie dzieci to spryciarze. Po pochwaleniu ich za pilność pyta więc:

— A wiecie wy, dzieci, kim ja jestem?

— Biskupem — odpowiada jeden chłopak.

— Dobrze, a jak się nazywam?

Ten sam chłopak, ośmielony już, mówi:

— Nowak.

— A po czym poznasz biskupa?

— A bo mają kudły w nosie...

Nie pytał już biskup o siebie, a żeby jakoś naprawić sytuację, zaczął mówić o kościele. Spytał, kto jest patronem miejscowego kościoła.

Panbóczku, mignij jeszcze!

Na polach koło kolonii robotniczej w Karwinie nie mogło się nic *obstać* i dojrzeć, ale najwięcej amatorów miała Ośliżłoka kapusta, bo takiej dorodnej kapusty nie było nigdzie w okóło.

Ośliżłok czuwał całymi wieczorami, a nieraz i nocami, ale daremnie.

Raz pod wieczór nadeszła burza i tak się ściemniło, że nie można było nic na krok zobaczyć. Wykorzystali to złodzieje, którzy poszli z workami na Ośliżłok a, kapuścisko. Gdy się błyskało, ścinali najpiękniejsze głowy. Już wszyscy odeszli z pełnymi workami, pozostał tylko najbardziej chciwy, który chciał zabrać jeszcze ze dwie główki na naręczu. Było jednak tak ciemno, że nic nie widział, więc zaczął się modlić:

— Panbóczku, mignij jeszcze!

W międzyczasie nadszedł jednak stary Ośliżłok, a usłyszawszy wołanie, zdzielił złodzieja porządnie przez grzbiet, aż ten jęknął.

— Ale toś mi mignął!...

Z przysłów ludowych

Czego ciało potrzebuje,
tego Bóg nie zakazuje.

Czego panowie nawarzą,
tym się biydni poparzą.

Co mi po honorze,
kie pusto w komórce?



Ziemia albo, albo

Zaolzie
moje ty
sponiewierane
Belko w oku
kłodo pod nogami
Zawsze za Olzą
wiecznie z tyłu
na miejscu
za ostatnim

Zaolzie
nasze ty
rozdarte
Przykrawane na miarę
na sztandary
na całuny
Podnoszone
lub opuszczone
z hukiem

Zaolzie
nasze czy wasze
hydro stugłowa
o dwu językach
ziemio albo-albo
bez alternatywy
Zmiłuj się nad nami
Zaolzianami

Zanim nastały lodówki

Wśród wielu przejawów życia codziennego naszych przodków warto zaznaczyć się ze sposobami przechowywania przez nich pożywienia. Stosunkowo proste sposoby stosowano w miastach. Przede wszystkim były to głębokie piwnice, w szczątkowy sposób stosowane do dziś. Daleko ciekawsze sposoby stosowała ludność wiejska. Jak informują XVI-wieczni kronikarze (np. Marcin Grosser), a także jak podają pracujący w Cieszyńie jezuici w wiekach XVI—XVIII sposób przechowywania pożywienia zależał w głównej mierze od pozycji społecznej mieszkańców wsi oraz od rodzaju pożywienia. Biedniejsze grupy chłopskie, tj. komornicy i zagrodnicy uprawiali najczęściej rzepę, rzodkiew i kapustę. W tym czasie nie znano jeszcze ziemniaków, które są rośliną najłatwiejszą do przechowywania.

Rzepę wysiewano w gospodarstwach chłopskich w dwóch terminach. Tę, którą przetrzymywano w celu spożycia wysiewano dopiero w pierwszej połowie lipca. Dzięki temu można było trzymać ją w ziemi niemal do zimy, a mimo to nie przerastała i nie wyradzała się w zdrewniałe bulwy. Jej zbiór przypadał na drugą połowę października, zaś rzepę przeznaczoną na bieżące spożycie trzymano w ziemi do mrozów.

Sposób przechowywania zależał także od odmiany. Najpopularniejsza, zwaną kolnikiem, posiadającą wprawdzie małe korzenie, lecz bardzo pożywną i mało podatną na gnienie przechowywano na ogół na strychu. Przedtem jednak ją podsuszano, najczęściej pod rozłożystym drzewem, na ogół lipą. W czasie przesypywania bulw używano drewnianych łopatek, by chronić je przed uszkodzeniem. Zapobiegano w ten sposób groźbie gnicia rośliny. Niekiedy po wstępnym osuszeniu przenoszono bulwy na specjalne ażurowe koryto, składające się z kilku połączonych ze sobą beleczek lub okrągłych gałęzi. Przez szpary osypywały się resztki ziemi. Tak przygotowane bulwy można było przetrzymać aż do przednó-

wka a nawet dłużej, tyle tylko że traciły wówczas znacznie na jakości.

Odmianę rzepy zwaną wodną przechowywano inaczej. Ten gatunek był bardzo plenny, jednak zarazem podatny na gnienie. W związku z tym po zbiorach, które przypadały również na połowę października, gromadzono ją w pobliżu domostw, gdzie była podsuszana i znanym nam już sposobem oczyszczana z ziemi. Następnie umieszczano ją w specjalnie przygotowanym dole. Przy jego przygotowaniu przestrzegano kilka ważnych zasad. Przede wszystkim dbano, by był wykopany pod gałęziami rozłożystego drzewa, najlepiej lipy bądź klonu, tak by ich gałęzie zmniejszały opady śniegu na pokrycie dołu. Po drugie, starano się, by dół znajdował się na zboczu łagodnego wzniesienia. Zabezpieczano go w ten sposób przed zalaniem podczas jesiennych deszczów oraz zimowych i wiosennych roztopów. Wreszcie korzystano z usług różdżkarza, by uniknąć żyły wodnej, która mogła spowodować zalanie dołu i gnienie rzepy. Taka sytuacja groziła bowiem rodzinie klęską głodu, a niekiedy nawet jej całkowitą ruiną. W przypadku rodzin komorniczych mogło się to nawet skończyć śmiercią niektórych, zwłaszcza słabszych członków.

Doły często szałowano przez ułożenie dookoła grubszych gałęzi. Następnie pokrywano je deskami lub również gałęziami, aby uchronić rzepę przed zamoknięciem, przesuszeniem przez słońce lub przemrożeniem. Pozostawiano jedynie nieduże otwory, które zapewniały dostęp świeżego powietrza, oraz przez które wybierano rzepę na bieżące potrzeby. Starano się również o zapewnienie dostępu do dołu kotom, które zabezpieczały rzepę przed gryzoniami. Takie otwory zabezpieczano zazwyczaj odrobiną słomy, zaś na deski lub gałęzie narzucano na ogół suszone liście.

Do zapasów z jesiennych zbiorów sięgano dopiero w okolicach lutego i na przednówku. Umożliwiały więc przetrwa-

nie rodzinom najtrudniejszego okresu. Rzepę siano bowiem w dwóch terminach. Po raz pierwszy w końcu marca lub w początkach kwietnia na zbiór wiosenny i letni, oraz na św. Jakuba (ok. 25 lipca).

Unikano przechowywania rzepy w domu, gdzie ze względu na zmiany temperatury szybciej ulegała gniciu. Nadto była tam bardziej narażona na uszkodzenie przez myszy, które zazwyczaj na zimę kryły się w ludzkich domostwach.

Komornicy nie uzyskiwali czasami zgody właściciela zagrody na zbudowanie dołu, zresztą nieraz nie było na to po prostu miejsca. Wówczas budowali nieduże przyzmy na obrzeżu zagrody, w której wynajmowali izbę. Przed założeniem przyzmy znosili z lasu gałęzie drzew iglastych, którymi wyścielali dno przyzmy. Na ogół korzystano z gałęzi świerku. Do pewnego stopnia ich ostre igliwie chroniło przed zagnieżdzeniem się gryzoni. Przyzwyczajano również koty do przebywania jesienią w pobliżu przyzmy. Było to tym łatwiejsze, że koty najłatwiej mogły tam upolować mysz. Ponadto w czasie jesiennych chłodów koty mogły zagrzebać się w pokrywających przyzmę liściach. Przed narzuceniem liści przyzmy zabezpieczano warstwą gliny dbając, by mogło dostać się do przyzmy świeże

powietrze. W tym celu wykorzystywano zazwyczaj otwory służące do wybierania rzepy na bieżące potrzeby. Unikano budowania otworów od północy i wschodu, gdyż wiejące z tej strony wiatry groziły szybszym przemarzeniem rzepy i w rezultacie jej przegnicciem.

Chłopi wykorzystywali nie tylko korzenie rzepy, lecz również nać. Umieszczano ją na specjalnie przygotowanych w tym celu płotkach, lub na opłotkach. Wprawdzie tak składowana była narażona na deszcz (i mniej dla niej groźny śnieg), lecz był to jedyny sposób, by uchronić ją przed gniciem. Ubogie rodziny komornicze wykorzystywały niekiedy nać do gotowania zupy.

Najmniej kłopotów z przechowywaniem sprawiała kapusta. Duże główki umieszczano w dołach, zazwyczaj obok rzepy. Główki mniejsze kiszonno, przy czym sposób kiszenia w zasadzie nie uległ zmianie do dziś. W zamożniejszych rodzinach zagrodniczych przechowywano też kapustę w sieni, dzielącej chałupę na dwie części. Natomiast chłopi najbogatsi, w tym siedlcy większość kapusty kisili. Służyła wówczas nie tylko na własne potrzeby, lecz zimą i wczesną wiosną była cennym źródłem uzupełnienia dochodów.



O krok od gór

Był niegdyś perłą w koronie ziemi, która, jak chce legenda, powstała z uśmiechu Boga. Był wcale nie tak dawno jeszcze, do lat 20. naszego stulecia, letniskiem. Stanowił także bramę wiodącą nie tylko w Beskidy. I ma chyba wszelkie dane, by przynajmniej w tym ostatnim zakresie odzyskać dawną świetność.

Cieszyn leży o krok od gór. Nie tylko tych, które znamy i zwiedzamy, ale także od tej części Beskidów, o której, z powodu granicy zdążyliśmy zapomnieć. Naszemu powrotowi do Europy winno więc towarzyszyć przywrócenie konwencji turystycznej, by góry, które, jak mówi Goethe, są poza Dobrem i Złem, nie dzieliły, lecz łączyły ludzi.

Ktokolwiek wyjeżdża za granicę lub stamtąd powraca — pisze w broszurze informacyjnej o Cieszynie wydanej w 1921 r. i dwukrotnie wznowianej Józef Londzin — powinien zwiedzić Cieszyn i jego piękną okolicę — w drodze powrotnej można wspiąć w Czeskim Cieszynie lub już w Boguminie i przesiąść się do pociągu cieszyńskiego. Po przejściu przez most graniczny na Olzie jest się w 5-ciu minutach w polskim Cieszynie. Jeżeli zaś wraca się zza granicy przez Zebrzydowice — to stamtąd jest się koleją w niespełna 20 minut w naszym mieście.

Cieszyn położony jest nadzwyczaj malowniczo. Dzieli go rzeka Olza na dwie części kraju, a mianowicie na polską i czechosłowacką. Polska część Cieszyna wznosi się amfiteatralnie poczynawszy od Zamku — po wzgórze, na którym wybudowane są koszarzy. Cieszyn posiada wiele pięknych miejsc, nadających się na spacer, jako też i dobrze utrzymane planty, których pozazdrościłyby mu nawet inne miasta. W pierwszym rzędzie wspomnieć należy o wzgórzu zamkowym ze starodawną wieżą piastowską i starszą jeszcze kaplicą, będącą pięknym zabytkiem Cieszyna — dalej o wspaniałym parku zamkowym, chętnie odwiedzanym. Ze wzgórza zamkowego rozlega się (sic!) wspaniały widok na śląskie Beskidy i na rzekę Olzę, płynącą na północy zachód. Jeszcze piękniejszy widok uzyskać można z wieży piastowskiej. Stąd roztacza się wspaniały widnokrąg na wszystkie strony zwłaszcza na góry, pietrzące się po czechosłowackiej stronie i od strony Polski. Widzimy też stąd Łysą Górę (1315 m wysoka), następnie Godulę, Ropicę, Jaworowy, a także morawskie góry ze szczytami Ondřejník, Radušecz itd. Od wschodu wznosi się wielka i mała Czanoria, następnie Równica i góry bielskie. Wzdłuż brzegów Olzy biegną cieniste, w świetnym stanie utrzymane aleje, przegradzane pola plantami na przestrzeni kilku kilometrów, aż po trzeci jaz. Z biegiem rzeki są piękne spacerowe w stronę wioski Boguszowice. Oprócz tego jest wiele parków i tak: miejski, Sikory, Masaryka, Grabina, z których trzy ostatnie są po stronie czechosłowackiej.

Jeszcze w początkach Drugiej Rzeczypospolitej Cieszyn zachwalany był jako letnisko. Nie bez powodów. Położony w umiarkowanym klimacie, charakteryzujący się średnią ilością opadów atmosferycznych, posiadał czyste powietrze, doskonałą sprowadzaną z gór wodę, instalacje i urządzenia kanalizacyjne. Nie bez znaczenia były czysto utrzymane ulice, place, pierwszorzędne hotele, restauracje, kawiarnie, kina, teatr, oświetlenie elektryczne i gazowe. Do dyspozycji przyjezdnych stały tanie i czyste pokoje gościnne. Uzasadnioną dobrą renomę miał cieszyński szpital.

Miasto dysponowało także kąpielami leczniczymi. W nowocześnie urządzonej łaźni można było korzystać z kąpeli kwaso-węglowych, borowinowych, a także z kąpeli sporządzanych z mułu pozyskiwanego w Piszczanach na Słowacji. Leczono w ten sposób reumatyzm, gościec i neuralgię.

Dogodne połączenia kolejowe i autobusowe umożliwiały wycieczki, poznawanie bliższych i dalszych okolic. Dworzec kolejowy po zachodniej stronie Olzy leży przy ważnym trakcie kolei koszycko-bogumińskiej, która stwarza szerokie możliwości wyboru. Beskid Morawsko-Śląski jest dostępny ze stacyjek położonych przy linii kolejowej

Cieszyn-Frydek, Frydek-Frydlant-Frenształ. Z Frydlantu można ruszyć na legendarną Łysą Górę. Ze szczytu, w którąkolwiek by nie spojrzeć stronę, morze szczytów. Można wybrać np. Biały Krzyż, pod którym wije się prześliczna dolina Łomnej, zwana w górnej części Sałajką, okolona puszczańskim praborem Miąższem skrywającym w rezerwacie wiekowe drzewa. Z Gnojnika przez klimatyczne letnisko Ligołkę Kameralną można dostać się na Praszywą, do sławnego z odpustów drewnianego kościółka p.w. świętego Antoniego, dokąd spieszyły dziewczęta, by wymodlić sobie męża. Z Trzycierza przez Rzekę można było wejść na „góre domową” cieszyńian-Jaworowy, dostępną również od głównej linii kolei koszycko-bogumińskiej, jaką jest trakt na Jabłonków, Czacę i Żylinę. Z Czacy wiódł niegdyś do Zwardonia trakt kolejowy, tworzący pętlę łączącą Beskid Morawski-Śląski z Żywieckim. Z Czacy chadzano na Wielką Raczę, skąd, zataczając koło, wracano, jak na klasycznych ludzi gór przystało, inną drogą bo ze Zwardonia przez Koniaków lub Jaworzynkę do Wisły i do Cieszyna (można było wędrować nawet szczytami, ale podczas wycieczki kilkudniowej).

Dookolnym trasom sprzyjała linia koszycka na trasie od Cieszyna po Jabłonków. Wędrując w stronę zachodnią z dowolnej miejscowości na tej trasie od Trzyńca poczynając wstępowało się różnymi drogami na Jaworowy, Ostry, Kozubową, Połomy — Wielki i Mały. Po stronie wschodniej nęciły przeróżne szlaki na Czantorię i Stożek, prowadzące przez urokliwe podgórskie wioseczki. Z Girowej, tajemniczo spiętrzonej nad Jabłonkowem, wiodły ścieżki w Czadeckie, ku Istebnej lub w pasmo Stożka i Czantorii, z zejściem do Wisły lub Ustronia albo do Dziegielowa, Cisownicy czy Lesznej, przez „ogród” roślin chronionych na Tule. Wyjeżdżając z Cieszyna Zachodniego i wędrując górami można było powrócić nawet tego samego dnia od strony Wisły czy Ustronia na dworzec w Cieszynie Wschodnim. Sprzyjała takim śródgórskim wędrownikom nie tylko karta turystyczna, ale także bilety turystyczne, sprzedawane w okresie od 1 maja do 30 września.



Cieszyn chroni przyrodę

Cieszyn należy do miast wielce ciekawych pod względem przyrodniczym. O jego niepowtarzalnym charakterze i specyfice świadczą nazwy osobliwości przyrodniczych, m.in. skał (np. dolne i górne łupki cieszyńskie, wapienie cieszyńskie, ciesznity), zbiorowisk roślinnych (nawapienna buczyna cieszyńska — *Fagetum calcareum cieszyanicum*), czy roślin (cieszynianka wiosenna, będąca symbolem nie tylko Cieszyna, ale całego Pogórza Cieszyńskiego). Szereg cieszyńskich parków zostało wraz z innymi częściami miasta wpisanych do rejestru zabytków województwa bielskiego. O parkach tych pisano m.in. w „Kalendarzu Cieszyńskim” na rok 1989 w artykule *Parki Cieszyna* oraz wielokrotnie w prasie lokalnej. Największą atrakcją, będącą, być może ewenementem na skalę kraju, są trzy rezerваты przyrody, zlokalizowane w granicach tego niewielkiego przecięz miasta. Są to rezerваты „Kopce”, „Lasek Miejski nad Puńcówką” i „Lasek Miejski nad Olzą”. Mimo, iż „Kopce” oddalone są od „Lasku Miejskiego” o kilka kilometrów, występuje między nimi duże podobieństwo, gdyż są one wszystkie związane z doliną Olzy i jej Stromą Skarpą. Ze względu na duże nachylenie zboczy na tych terenach, aktualnie objętych ochroną rezerwatową, stały się one nieprzydatne dla rolnictwa oraz zabudowy miejskiej. Dzięki temu zachowały się tu niewielkie pierwotne fragmenty naturalnych zbiorowisk leśnych. Ich ciekawa szata roślinna, jak i całej ziemi cieszyńskiej, wynika ze specyficznego położenia u wlotu Bramy Morawskiej, stanowiącej szlak migracji roślin oraz dużej żyzości siedlisk nawapiennych.

Pierwszy z rezerwatów — „Kopce”, położony jest w dzielnicy Cieszyna — Markłowicach. Prof. Aniela Kozłowska w latach 30. tak pisała o tym terenie: *W małych skrawkach na Cieszyńskim Śląsku zachowane pierwotne laski liściaste, to nie tylko najpiękniejsze i najbujniejsze zbiorowiska leśne na Śląsku, ale to prawdziwe skarby*

wśród lasów całej Polski. Ich nieprzeparty urok leży w rzadko spotykanej wielkiej ilości gatunków drzew i krzewów, zgromadzonej razem na malej stosunkowo przestrzeni. Wycieczka w połowie maja w okolice Cieszyna, do Markłowic, Bażanowic, Dziegiełowa (...) jest niewątpliwie jednym z piękniejszych przeżyć przyrodniczych w naszym kraju. Leśny rezerwat „Kopce” utworzono 18 grudnia 1953 r. na powierzchni 14,77 ha. Jak już wspomniano obejmuje on fragment stromej skarpy doliny Olzy oraz część płaskowyżu przyległego do niej od strony wschodniej. Pod względem geologicznym podłożem są łupki i wapienie cieszyńskie. Gleby (rędziny brunatne) są bardzo zasobne w węgiel wapnia, co powoduje, że rosną tu określone gatunki roślin wapieniolubnych. Ciekawostką geologiczną są również skały magmowe, tzw. cieszynit, występujący w postaci żył.

W rezerwacie „Kopce” występują trzy naturalne zespoły roślinne. Największą powierzchnię zajmuje grad lipowo-grabowy (*Tilio-Carpinetum*), przy czym najciekawsze jego fragmenty zlokalizowane są na skarpie południowo-zachodniej. Z kolei buczyna karpacka (*Dentario glandulosae-Fagetum*) rozwija się na typowych dla siebie zboczach o ekspozycji północnej, w centralnej części rezerwatu, a jej typową rośliną runa jest różowo kwitnący żywiec gruczołowaty. Trzecim zespołem leśnym jest łęg wiązowo-jesionowy (*Ficario Ulmetum campestre*) występujący na najbardziej podmokłej, źródłiskowej części rezerwatu. Prowadzone ostatnio badania naukowe wykazały, że rośnie tu 11 gatunków roślin chronionych lub rzadkich. Należy do nich kopytnik pospolity, niewielka roślina o skórzastych, zimotrwałych liściach przypominających kształtem końskie kopyto. Trudno zauważalny i niezbyt efektowny kwiat schowany jest zwykle pod liściem. Dość często występuje tu błuszcz pospolity, w tym okazy kwitnące (wspominamy o nim jeszcze w dalszej części artykułu). Bardzo



Rezerwat w „Kopce” — drzewostan. Fot.: *Ludwik Rosner*.



Cieszyńska wioślanka. Fot.: *Ludwik Rosner*.



Skrzyp olbrzymi z pogranicza rezerwatu „Kopce”. Fot.: *Ludwik Rosner*.



Obrazki plamiste. Fot.: *Ludwik Rosner*.

często spotykana jest cieszynianka wiosenna, chluba Cieszyna, choć w Polsce występuje również w innych rejonach, np. w południowej części Opolszczyzny. Jest to niewielka (do 20 cm wysokości), ale bardzo atrakcyjna wiosenna roślina. Jej żółtawe kwiaty zebrane są w kwiatostan, będący baldaszkową główką, podparty pięcioma efektownymi, długimi, zielonymi podsadkami, ułożonymi na kształt płatków korony. Cieszynianka weszła do skarbca folklorystycznego. Według jednej z podaniowych wersji roślina ta „przywędrowała” wraz z wojskami szwedzkimi, które oblegały Cieszyn w 1645 r. Bardziej prawdopodobne „pośrednictwo” w zawleczeniu cieszynianki w nasze okolice należy przypisać wojskom cesarskim gen. Davegi, które odbiły miasto z rąk Szwedów. Cieszynianka bowiem nie rośnie w Skandynawii, a pochodzi z Alp południowo-wschodnich, gdzie występuje od północnych Włoch po Kroację. Roślinę tę po raz pierwszy opisał Baltazar Hacquet, stąd łacińska nazwa to *Hacquetia epipactis Neck*. Bardzo często w runie tego rezerwatu rośnie marzanka wonna. Jest to roślina wieloletnia, o kanciastej, dochodzącej do 60 cm łodydze. Jej liście ułożone są okółkowo wokół łodygi, a białe, pachnące kumaryną kwiaty zebrane są w luźny kwiatostan. Również częstym składnikiem lasów w „Kopcach” są znane nam też z ogródków pierwiosnka wyniosła i konwalia majowa. Warto w tym miejscu od razu zwrócić uwagę, że często rośliny chronione sadzone w ogrodach pochodzą ze stanowisk naturalnych. Są wykopywane i przenoszone w inne miejsce, co jest niedozwolone. Inną, znaną zarówno z wycieczek po Pogórze, jak i z ogrodów, a rzadko rosnących również w „Kopcach” jest wawrzynek wilcze tyko. Ten oryginalny krzew, dochodzący do 1 m wysokości, kwitnie na różowo przed wypuszczeniem liści. Ciekawą, dość częstą tu rośliną są obrazki plamiste. Liście, wyrastające tylko u podstawy łodygi, są strzałkowate. Jednopłciowe kwiaty zebrane w kwiatostany osłonięte są pochwami. Owocami są charakterystyczne i przyciągające wzrok czerwone jagody. Wśród atrakcji tego rezerwatu nie może zabraknąć storczyków. Rosną one rzadko, wręcz pojedynczo. Jest to

kruszczyk szerokolistny, o dużych zielonkawych kwiatach zebranych w luźny kwiatostan oraz gnieźnik leśny, bezzieleniowa roślina o drobnych żółtawobrunatnych kwiatach tworzących gęste grono. Nazwa tego ostatniego pochodzi od „gniazda” utworzonego przez krótkie, grube i poziomo ułożone korzenie. Nie występuje tutaj natomiast storczyk trójzębny, błędnie podawany z „Kopców”.

Wymienione rośliny podlegają prawnej ochronie lub są tak rzadkie czy ciekawe (np. cieszynianka), że nie wolno ich zrywać, niszczyć, wykopywać czy sprzedawać. Tym bardziej, gdy rosną w rezerwacie przyrody. Oprócz nich możemy się cieszyć całą gamą innych roślin nie mniej pięknych, jak zawiłec gajowy, czosnek niedźwiedzi, żywiec gruczołowaty, czworolist pospolity, fiołek leśny, groszek wiosenny i wiele innych.

Rezerwat ten jest jednak zagrożony. W jego sąsiedztwie znajduje się jeden z bardziej znanych naturalnych torów motocrossowych w Polsce. Miłośnikom przyrody nie trzeba tłumaczyć, jakie degradujące znaczenie ma to sąsiedztwo: spaliny, hałas, może czasem „rajdy” w samym lesie, tłumy ludzi na zawodach. Radni Cieszyna podjęli starania, by zlikwidowano ten obiekt. Z punktu widzenia rezerwatu jest to godne całkowitego poparcia.

Dwa następne rezerwaty, Lasek Miejski nad Puńcówką i nad Olzą leżą również w dolinie Olzy, na jej skarpie, lecz dalej na południe. Oba rezerwaty, ciągnące się kilkusetmetrowym pasem od granicy z Czechosłowacją po prawie centrum miasta utworzono 21 października 1961 r. dla ochrony cieszynianki. Są to niewielkie (6,96 ha i 3,23 ha) fragmenty naturalnej roślinności zaliczanej, podobnie jak „Kopce”, do grądów i łęgów, a przedzielone wlotem Puńcówki do Olzy. Wszystkie trzy rezerwaty mają podobny charakter ze względu na podłoże geologiczne, topografię terenu (nachylenie zbocza dochodzi do 50°–60°) i wykształcone zbiorowiska leśne. Dominujący jest tu grąd. W „Lasku Miejskim nad Puńcówką” zajmuje on najbardziej na południe wysunięty fragment, w lasku nad Olzą pokrywa prawie całą skarpe. Drugim zespołem jest łęg jesienowo-wiązowy, występujący na pozostałym



Bluszcz pospolity na cmentarzu żydowskim. Fot.: Wojciech Trzcionka.

terenie. W niektórych miejscach wykształciły się zespoły mieszanne, tj. grądowo-łęgowe. Również analogiczne rośliny zielne rosną w tych rezerwach. Z chronionych lub rzadkich gatunków w „Lasku Miejskim” są to kopytnik pospolity, bluszcz pospolity, cieszyńnianka wiosenna, pierwiosnka wyniosła, marzanka wonna, kruszczyk pospolity, obrazki plamiste. Pojedynczo występują tu również storczyk listera jajowata oraz chroniony krzew kalina korallowa.

Jak wiadomo „Lasek Miejski nad Puńcówką” funkcjonuje we fragmencie jako park miejski i w tej części uległ silnej dewastacji. Podjęto jednak szeroko zakrojone prace, mające na celu przywrócenie całości rezerwatu właściwego wyglądu. Należy przede wszystkim wykonać odpowiednią ilość ścieżek i schodów i należycie o nie zadbać, by pozostały teren nie był wykorzystywany do spacerów „na skróty”. Konieczne jest również takie zabezpieczenie terenu obu rezerwatów, by niemożliwe było wysypywanie śmieci i odprowadzanie ścieków z prywatnych parceli na ich teren. Powoduje to bowiem niszczenie populacji cieszyńnianki i innych roślin runa.

Wiele roślin chronionych występuje w Cieszynie również poza rezerwatami przyrody, jak np. obrazki plamiste na Górze Zamkowej, czy śnieżyce, pierwiosnki, niektóre gatunki storczyków w parku Szpitala Śląskiego. Na szczególną

uwagę zasługuje jednak bluszcz pospolity, nasza krajowa liana. Jest to krzew o płozących się lub wznoszących się na podporach łodygach przyczepiających się powietrznymi korzeniami przybyszowymi. Wytwarza dwa typy pędów: płożące, o liściach zimozielonych, pięcioklapowych oraz kwiatonośne, o liściach całobrzegich, jajowatych. Niepozorne, białozielone kwiaty rozwijają się jesienią, a owoc, czarna jagoda, dojrzewa wiosną. Za naturalne stanowiska bluszcza można uznać okazy z wymienionych rezerwatów przyrody oraz skarpy doliny Olzy stanowiącej część Góry Zamkowej. Na wymienionych stanowiskach rosną kwitnące okazy tego gatunku, co uznane jest za rzadkość, przez co podlegają one prawnej ochronie. Pozostałe stanowiska mają charakter antropogeniczny (związany z działalnością człowieka), co jednak nie obniża ich wartości, a na pewno walorów przyrodniczych. Kwitnące okazy bluszcza rosną na wszystkich cieszyńskich cmentarzach, zarówno komunalnym, jak i ewangelickim i żydowskim. W wielu ogrodach, np. przy ul. 3 Maja lub przy ul. Błogockiej (u państwa Marcinków na miłorzębach) również takie okazy spotykamy. W związku z powszechnością bluszcza pospolitego w Cieszynie należy go uznać, obok cieszyńnianki wiosennej i trzech rezerwatów przyrody, za jedną z atrakcji przyrodniczych naszego miasta.

(W pracy wykorzystano materiały udostępnione przez mgr. Leszka Bernackiego.)



Herb Ustronia

Leki naszych babek i prababek

Do czasu wynalezienia pierwszego leku przeciwgorączkowego i wdrożenia jego produkcji zarówno lekarze, jak i amatorzy leczyli głównie roślinami leczniczymi. Z leczenia pigułkami, czyli z chemoterapii absolutnie zrezygnować nie można m.in. z tego powodu, że związek czynny zawarty w pigułce jest jeden, najwyżej kilka i to w ilościach znacznych w porównaniu z ziołami, w których związków tych jest bez liku, chociaż niektóre występują w ilościach zaledwie śladowych. Stąd uderzeniowe działanie pigułek a wolniejsze ziółek. Jednak leczenie ziołami, na które skazane były nasze babki i prababki, również obecnie godne jest polecenia. Przekonanie o tym skłoniło mnie do opisania doświadczeń moich babek. Podane niżej sposoby postępowania pochodzą sprzed prawie 100 lat i więcej.

OCZY

Częstym schorzeniem był tzw. jęczmień, zaczerwienienie spojówek. Stosowano wywar z suszonego, kwitącego ziela *świetlika*. Z polecenia babki ścinałem nożyczkami rozgałęzione kwitące ziele na wysokości 2—4 cm ponad ziemią. Powiązane w pęczki rośliny suszyliśmy pod strzechą, a następnie przechowywali w miejscu suchym, w papierowych torebkach. Na chore oczy przykładano namoczoną w wywarze świetlika czystą szmatkę. Stosowano też wywar z suszonych szypulek (ogonków) *wiśni* lub mieszanek obu ziół.

SKÓRA

Użądlenia osy lub pszczoły nie należały do rzadkości, zwłaszcza u chłopców. Po usunięciu żądła kładziono na miejsce ukłucia miazgę z roztartych liści *babki szerokolistnej*. Ból i spuchlizna szybko ustępowały.

Czyraki, wrzody były dawniej częste, prawie powszechne. Po miejscowym bolesnym zaczerwienieniu następowało kilku — a często kilkunastodniowe „dojrzewanie”. W celu jego przyspieszenia robiono okłady z *cebuli morskiej*, powszechnie hodowanej w doniczkach. Wybierano liść około 5 cm długi, starannie obmywano i przykładano na zaczerwienienie. Odcinki liści zmieniano co pół godziny, co wybitnie przyspieszało „dojrzewanie” i pęknięcie wrzodu, a w końcu wylewanie się ropy. Gdy wrzód był miękki, wyciskano jego trzpień. Powstałą ranę obmywano wywarem z *rumianku*, *szalwii lekarskiej* lub z *macierzanki*.

Oparzenia były również dość częste. Ból łagodzono okładami z zimnej wody. Za dobry sposób uważano smarowanie oparzonego miejsca *olejem lnianym* lub sadłem drobiowym, czego się dziś nie robi. Dobre wyniki dawało smarowanie tamponem namoczonego w czerwonym winie.

Oparzenia słoneczne leczono przez nakładanie tamponów namoczonych w soku z roztartych i wygniecionych *ziemniaków*. Dokuczliwe pieczenie, zwłaszcza przy oparzeniach głębszych, ustępowało prawie natychmiast.

Były wypróbowane sposoby na stłuczenia, wybroczyny ran, przyspieszenie sprawności kończyn po zwichnięciach i złamaniach. Powszechnie stosowano okłady z rozbitego na miazgę korzenia *żywokostu lekarskiego* (rys. 7) z małym dodatkiem wódki lub czerwonego wytrawnego wina. Wyniki uzyskiwano dobre. Złamania z przemieszczeniem, czy mocne zwichnięcia, były domeną tzw. nastawiaczy, którzy też stosowali te okłady.

Pryszcze młodzieńcze i trądzik zwalczano stosując na twarz okłady z mocno nagrzanego naparu *rumianku*. Maseczkę zmieniano co godzinę. Stosowano też sok



Szczaw tępolistny



Świetlik łąkowy



Żywokost lekarski



Bylica pospolita



Tatarak zwyczajny



Szałwia lekarska



Tysiącznik pospolity



Rdest ptasi

z roztartego *buraka* (czerwonego), lecz zwykle na noc. Po zdjęciu okładu przecierano twarz sokiem z *ogórków*. Uzupełnieniem kuracji było smarowanie pojedynczych pryszczków sokiem ze świeżo wykopanego korzenia *mniszka lekarskiego* (dmuchawca). Kuracji towarzyszyło picie herbaty z mieszanki *krwawnika*, ziela *rdestu ptasiego*, *bratka polnego* i *mięty*.

UKŁAD ODDECHOWY

Kaszel. Babka leczyła go herbatką z kwiatów i liści *podbiału* zmieszanych z korzeniem *ślazu*, kwiatu *bzu czarnego* liści *maliny*. Wszystko w stanie suszonym. Herbatkę podawano kilka razy dziennie, a dzieci kładziono dodatkowo do łóżka dla wystąpienia potów.

Zapalenie płuc. Podstawowym sposobem było robienie okładów z serwatki lub kwaśnego mleka, a nawet z maślanki o temperaturze pokojowej. W miarę wysychania zmieniano okład — nawet częściej niż co godzinę. Według zapewnień matki wyleczono mnie tak dwukrotnie.

PRZEWÓD POKARMOWY

Brak apetytu zarówno u dzieci jak i u starszych leczono odwarem z roztartych suchych kwiatów jęczminkowych *nogietka*. Łyzeczkę suszu naparzano połową szklanki wrzątku i wypijano przed jedzeniem. Niekiedy dodawano kwiat *rumianku* i *mięty pieprzowej*.

Biegunki (rozwołnienia) leczono skutecznie wywarem z suchych łodyg *szczawiu końskiego*. Drobnopokrojone w ilości jednej łyżki stołowej zalewano na noc zimną wodą, a rano zagotowywano. Odwar po przecedzeniu pito 3 razy dziennie. Efekt był stuprocentowy. Dobrym sposobem stosowanym u dzieci było jądanie suszu z *polnych gruszek* i *borówek*.

Przykre są niedyspozycje żołądkowe — odbijanie się, pieczenie w żołądku i przełyku. W takich wypadkach babka ordynowała *czantoryjkę* (*tysięcznik*) i *krwawnik*. Mieszanek w stosunku 1:1, rozdrobnioną, w ilości 1 łyżki stołowej zalewano szklanką wody i w glinianym naczyniu doprowadzano powoli do wrzenia. Krótko gotowano i podawano kilka razy dziennie, zawsze na mniej więcej pół godziny przed jedzeniem.

Innego potraktowania wymagały niedomogi żołądkowe będące skutkiem rodzinnych uroczystości, zwykle dość obfitych i tłustych. Radykalnym i niezawodnym, aczkolwiek paskudnie gorzkim był odwar z *wodnej koniczyny* (*bobrek trójlistny*) i *piołunu*. Łyzeczkę ziela względnie ich mieszanki zagotowano, odcedzono i podawano do picia. Zwykle pomagało już w pierwszym dniu. Niekiedy kurację trzeba było przedłużyć i zrobić świeży napar.

Wrzody żołądkowe. To poważne schorzenie leczono mieszanką trzech ususzonych roślin: *rumianku*, *korzenia żywokostu* i *kłącza tataraku* (stosunek 1:1:1). Stołową łyżkę mieszaniny moczano przez noc w pół litrze zimnej wody. Rano doprowadzano do zagotowania nie dopuszczając do wrzenia. Z chwilą pojawienia się na dnie licznych baniek powietrza naczynie odstawiano do ostudzenia, poczem przecedzano przez szmatkę. Odwar dzielono na trzy części i podawano do spożycia na pół godziny przed posiłkami. Po dwóch tygodniach kuracji bóle zwykle ustępowały. W uporczywych wypadkach kurację przerywano na dwa tygodnie, poczem ją powtarzano. O ile bóle po kilku miesiącach wracały, to kilkudniowa kuracja zapobiegała im na stałe.

Moczeniu nocnemu młodszych dzieci w wieku 6—8 lat przeciwdziałano podając im herbatkę z ziela *dziurawca*. U dzieci starszych dodawano do przyrządzania herbatki ziele *tasznika*, *rdestu ptasiego* i *skrzypu polnego*. Podawano ją przed snem.

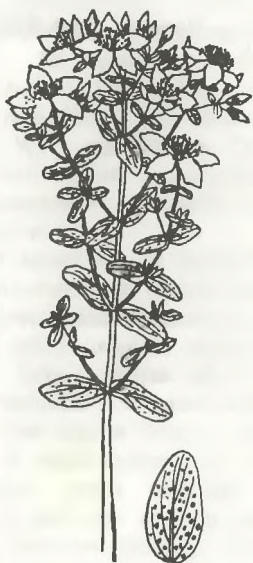
Reumatyzm. W celu jego zwalczania stosowano sposoby drastyczne — obolałe miejsca smagano kilka razy dziennie świeżymi pokrzywami. Najbardziej dokuczliwe było pierwsze smaganie. Wykorzystano także mrówki leśne dotykając chorym miejscem, po zabezpieczeniu reszty ciała, mrowiska. Gdy mrówki zaatakowały, po niedługim czasie je



Fiolek trójbarwny



Krwawnik pospolity



Dziurawiec zwyczajny



Bobrek trójlistkowy

usuwano. Kilka takich kuracji dawało zawsze pozytywny skutek. Do leków stosowanych w formie nacierania służyły nalewki z ogonków *wiśni* z dodatkiem wyciekającej z pnia *wiśni gummy* („żywicy”).

JAK UZYSKAĆ ZIOŁA?

Najprostszym sposobem jest kupienie ich w aptece, sklepie zielarskim lub u zielarki na targu. Posiadacze działek i ogródków mogą sobie niektóre wyhodować. Bardzo łatwe są w uprawie: *nogietek* (stanowi również element ozdobny), *rumianek* (można wysiać ten z apteki, ale nasion nie przykrywać, gdyż kiełkują tylko na świetle. Będzie się sam rozsiewał przez kilka lat). Sadzonki *szalwii lekarskiej* i *mięty pieprzowej* można uzyskać od znajomych lub kupić na targu.

Niektóre zioła można pozyskać z natury, przestrzegając przepisów ochrony gatunków. *Bratek polny* i *trójbarwny* (rys. 1) to chwast zakwaszonych pól. Owoc *bzu czarnego* jest do pozyskania właściwie wszędzie. *Bylicę pospolitą* (rys. 2), *dziurawiec* (rys. 3), *krwawnik* (rys. 4), *rdest ptasi* (rys. 5), *szczaw koński* (rys. 6), *świećnik* — obcinać nie wrywać (rys. 7). *Żywokost lekarski* (rys. 8) znajdziemy na miedzach, przy zabudowaniach na skrajach polnych dróg, a nawet na polach uprawnych. *Tatarak* (rys. 9) był dawniej pospolitszy, ale łatwo zasadzić jego kłącza w powstających lub istniejących stawkach. Dzięki własnej zapobiegliwości możemy mieć bobrek *trójlistny* (rys. 10) i *tysięcznik pospolity* (rys. 11).

Rośliny, których surowcem leczniczym jest ziele, ścinamy ostrym nożem lub nożycami 3—4 cm nad ziemią. Nigdy nie zbieramy wszystkich egzemplarzy; zawsze trzeba pozostawić znaczną ich część na rozmnażanie się! Jest to konieczny warunek niezubożenia ich ilościowego stanu. Jako ostrzeżenie przytoczę fakt, że pospolity niegdyś *tysięcznik* (*czantoryjka*) na skutek nie stosowania się do powyższych wskazań stał się ziołem rzadkim i musiał zostać objęty częściową ochroną gatunkową.

Suszy się zioła w cieniu, w miejscu przewiewnym. Po wysuszeniu najlepiej przechowywać je oddzielnie, w torebkach foliowych, w zakreconych ciemnych słoikach lub w metalowych puszkach. Miejsce przechowywania powinno być suche, ciemne, a temperatura nie powinna przekraczać 30° C.

Rysunki: JAN SZMEK

Sportowcy w kimonach

Mało kto pamięta, że narodowy sport Japonii, jakim jest dżudo, posiada w Cieszyńskim już ponad 30-letnią tradycję. Początki tego sportu sięgają stycznia 1959 r. Wówczas to przybył do Cieszyna Zygmunt Musioł. Przedtem przebywał w Stanach Zjednoczonych, w Nowej Zelandii i na Dalekim Wschodzie. W 1948 r. zdobył w Derby (Anglia) brązową wstęgę dżudo, która była wówczas najwyższym akademickim stopniem wtajemniczenia.

Z. Musioł trafił w Cieszynie na podatny grunt. Na pierwszy kurs dżudo zapisało się 85 młodych sympatyków tego sportu. Trwał on cztery miesiące, a ukończyło go blisko 50 osób. W maju 1959 r. założono sekcję przy ówczesnej Stali Cieszyn. Trenerem został wspomniany Z. Musioł. Uruchomiono też dalsze kursy judo i jiu-jitsu.

Aktywną działalność nowo powstałej sekcji szybko zauważono w Polskim Związku Judo, który powstał w czerwcu 1957 r. Jeszcze w 1959 r. powierzono działaczom z Cieszyna organizację I drużynowych mistrzostw kraju. Na miejsce wyznaczono Teatr im. Mickiewicza. Komitetem organizacyjnym mistrzostw kierował Radosław Rusinek. Mistrzostwa odbywały się w dniach 21—22 listopada, a na starcie stanęło 9 zespołów. Tytuł mistrzowski wywalczyło Wybrzeże Gdańsk. Dżudowcy Stali nie brali udziału w zawodach, natomiast zaprezentowali się publiczności podczas pokazów.

W dniach 20—21 lutego 1960 r. w Pałacu Młodzieży w Katowicach odbyły się I Indywidualne Mistrzostwa Śląska. Generalny sukces odnieśli podopieczni Z. Musioła. Ernest Nemec zdobył dwa tytuły mistrzowskie — w wadze półciężkiej wśród juniorów oraz w średniej w grupie seniorów. W wadze średniej jun. zwyciężył Józef Handzel, przed Karolem Jarosińskim. Wśród seniorów srebrne medale przypadły Edwardowi Cichemu (kat. piórkowa), Franciszkowi Burianowi (lekka) i Józefowi Czyżowi (półciężka), natomiast

brązowe Jackowi Jaworskiemu (kogucia), Ryszardowi Smelikowi (piórkowa) oraz Bolesławowi Guzarowi (półciężka).

Po tych sukcesach nastąpił kryzys. Część zawodników zakończyła czynną karierę, bądź przeszła do innych klubów. Na dodatek zabrakło środków na działalność szkoleniową. Ostatecznie doszło do rozwiązania sekcji Stali.

Nawrót do dżudo nastąpił w Cieszynie w 1969 r., kiedy to z inicjatywy młodych pracowników Wydziału Nawijalni cieszyńskiej „Celmy” założono sekcję dżudo. Patronat nad młodymi dżudokami przejął Zarząd Zakładowy LOK, a prezesem został Jerzy Bednarczyk. Pomimo trudności lokalowych i sprzętowych sekcja wykazała dużą aktywność. Brała udział w letnich spartakiadach sportów obronnych, działacze organizowali turnieje klasyfikacyjne i pokazowe. W dwa lata później sekcja liczyła 30 zawodników. Trenerem był b. zawodnik GKS Wodzisław, zdobywca zielonego pasa — III kyu, Kazimierz Konior. W tym okresie Stanisław Kohutek wykonał skok tygrysi z przewrotem wprzód przez 12 położonych obok siebie zawodników. Skokiem tym wyrównał rekord Polski. Ukoronowaniem aktywnej działalności było powierzenie cieszyńsiakom organizacji XIII Indywidualnych Mistrzostw Śląska Seniorów (1972 r.). W mistrzostwach startowała rekordowa ilość zawodników; impreza była wzorem dobrej organizacji. Do najlepszych dżudoków w tym okresie należeli: Tomasz Perchała, Wiesław Kuchejda, Roman Śpiewak, Andrzej Cholewa, Jerzy Pilch, Ryszard Palica, Roman Mitrega, Mieczysław Matuszek, Franciszek Studencki, Bronisław Kuchejda oraz Adam Sikora.

Z początkiem lat 70. istniała również sekcja dżudo przy AZS Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Najlepszym dżudokiem-akademikiem był Ernest Mazalik.

Po mistrzostwach Śląska wystąpił regres. Trenowano nieregularnie, brakowało

sprzętu i środków. Zawodnicy coraz częściej odchodzili z sekcji. W maju 1974 r. zrezygnowali trener K. Konior oraz kierownik J. Bednarczyk. W tym też czasie patronat nad sekcją przejęło Ognisko TKKF „Celma”. Kierownikiem został Roman Łaszek, a szkoleniem zajął się były zawodnik, Jerzy Pilch.

W połowie lat 70. właściwie rozpoczęto pracę od nowa. Pomimo ogromnych trudności lokalowych i finansowych młodzi zawodnicy żmudnie doskonalili umiejętności. W kwietniu 1979 r. dżudocy otrzymali pawilonik starego lodowiska nad Bobrówką. Gdy wydawało się, że zawodnicy mają już za sobą najtrudniejszy okres, nadszedł r. 1980. Rada Zakładowa „Celmy” zaprzestała dotowania Ogniska TKKF, a tym samym sekcji. Również działacze zakładowej „Solidarności” nie kwapili się do finansowania zakładowego sportu. W tej sytuacji przyszedł z pomocą Piast Cieszyn, przejmując sekcję 24 kwietnia 1981 r. W rok później sekcja została przyjęta do Polskiego Związku Judo.

Dżudocy pod kierunkiem Jerzego Pilcha powoli pięli się w górę. W 1984 r. J. Bardoń wziął udział w mistrzostwach Polski juniorów w Koszalinie, a L. Janota wygrał eliminacje makroregionu i zajął VII miejsce w finale OTK we Wrocławiu. W 2 lata później trenowało w sekcji 57 zawodników. D. Bujok zakwalifikował się do

finału Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży, a S. Ilendo wygrał turniej w Sibiu (Rumunia). W 1987 r. R. Pilch w finale OSM w Elblągu został sklasyfikowany na IX miejscu, natomiast J. Martynek zajął III miejsce w finale OTK w Łodzi. W 1988 r. w finale OSM wystąpili J. Martynek i S. Wiśniowski. Dżudocy Piasta zostali sklasyfikowani na II pozycji w tabeli okręgowej. Niestety, w tym czasie sekcja została znacznie osłabiona. Do Gwardii Bielsko przeszedł T. Rusin, a nieco później J. Martynek i S. Wiśniowski. Osłabienie zespołu nie wpłynęło jednak zbyt na uzyskiwane wyniki. W 1989 r. w finale OTK juniorów R. Pilch zajął IX miejsce, a w mistrzostwach Polski juniorów w Gdańsku ten sam zawodnik został sklasyfikowany również na IX miejscu.

Obecnie w sekcji Piasta trenuje blisko 50 dżudoków, w tym 10 dziewcząt. Szkoleniowcem jest Jerzy Pilch, który wchodzi też w skład Zarządu Okręgu Judo w Bielsku-Białej.

Dżudo uprawia się nie tylko w Cieszynie. Od 1982 r. istnieje sekcja w Skoczowie. Od 2 lat patronat nad dżudokami sprawuje tam Spółdzielnia Mieszkaniowa „Wspólnota”. Coraz silniejszym ośrodkiem staje się Simoradz, gdzie w „Wyzwoleniu” prowadzi zajęcia szkoleniowe Henryk Kubica. Sekcje dżudo, mniej liczne, istnieją również przy Kuźni Ustroń oraz w Cukrowniku Chybie.



Herb Wisły

Egzotyczna kolekcja

Przeszedłszy na zasłużoną emeryturę, **Stanisław Korcz** z Goleiszowa poświęca prawie cały wolny czas kultywowaniu różnych zainteresowań. Jednym z nich jest uprawa roślin. Prowadzi ją nie tylko w ogródku, ale także w domu, którego część została zamieniona przez gospodarza w rodzaj oranżerii.

Wśród wcale licznych okazów mniej lub bardziej egzotycznych roślin zwraca uwagę wcale liczna kolekcja kaktusów. Jedne mają łodygę tak bardzo zgrubiałą, że tworzą kulę, łodyga innych jest walcowata, a jeszcze innych spłaszczona, przekształcona jakby w łuski.

Pan Stanisław jest nie tylko miłośnikiem kwiatów, ale także ich „producentem”. Od zawodowego ogrodnika różni go chyba to tylko, że traktuje uprawę nie jako źródło utrzymania, czy choćby dodatkowego zarobku, ale jako jedno z licznych hobby.



Stanisław Korcz sam na sam w świecie umiłowanych roślin.
Fot. Paweł Czupryna.

Karwina

W tym mieście były kiedyś drzewa
Ale miasto umarło
śmiercią naturalną

W tym mieście
w tym lesie
były kiedyś ptaki
ale przyszli drwale

Ptaki bez gwiazd
skołowały niebo
Tylko echo samoswoje
własny głos posłyszysz

Z jakich win spowiada mnie kara
Kar
winy

Ustawa kombatancka

W dniu 24 stycznia 1991 r. Sejm uchwalił ustawę o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego. Ustawa weszła w życie 1 stycznia 1991 r.

W wojsku i podziemiu

Za działalność kombatancką uznaje się:

1) pełnienie służby wojskowej w Wojsku Polskim lub w polskich formacjach wojskowych przy armiach sojuszniczych podczas działań wojennych prowadzonych na wszystkich frontach przez państwo polskie,

2) uczestniczenie w ramach polskich formacji i organizacji wojskowych w I wojnie światowej, w powstaniach narodowych i walkach o odzyskanie lub utrzymanie terytoriów RP,

3) pełnienie służby w polskich podziemnych formacjach i organizacjach, w tym w działających w ramach tych organizacji oddziałach partyzanckich podczas wojny 1939—1945 r.,

4) pełnienie służby wojskowej w armiach sojuszniczych, a także w sojuszniczych organizacjach ruchu oporu w okresie wojny 1939—1945, z wyjątkiem formacji Ludowego Komisarjatu Spraw Wewnętrznych ZSRR (NKWD) oraz w innych specjalnych formacjach, które prowadziły działalność przeciwko ludności polskiej,

5) pełnienie służby w polskich podziemnych formacjach wojskowych lub organizacjach niepodległościowych na terytorium państwa polskiego w jego granicach sprzed 1 września 1939 r. oraz w granicach powojennych w okresie od wkroczenia armii ZSRR do końca 1956 r., jeżeli były to formacje lub organizacje stawiające sobie za cel niepodległość i suwerenność Rzeczypospolitej,

6) uczestniczenie w walkach z oddziałami Ukraińskiej Powstańczej Armii oraz grupami Wehrwofu.

DZIAŁALNOŚĆ RÓWNOŻĘDNA

Równorzędne z działalnością kombatancką jest:

7) pełnienie funkcji cywilnych we władzach powstań narodowych oraz w administracji podziemnego państwa polskiego podczas wojny 1939—1945, a także w podziemnych niepodległościowych organizacjach cywilnych w latach 1945—1956,

8) udział do 31 grudnia 1945 r. w walkach

o zachowanie suwerenności i niepodległości państwa polskiego w zmilitaryzowanych służbach państwowych,

9) prowadzenie w latach 1939—1945 tajnego nauczania dzieci i młodzieży,

10) zaokrętowanie marynarzy polskich w charakterze członków załogi na statku bandery własnej lub bandery działań wojennych w okresie 1939—1945,

11) uczestniczenie w latach 1914—1945, w walkach o polskość i wolność narodową Śląska, Wielkopolski, ziemi lubuskiej, Gdańska, Pomorza i ziemi kaszubskiej oraz Warmii i Mazur, a także innych ziem zagarniętych przez zaborców.

12) czynny udział w zbrojnym wystąpieniu o wolność i suwerenność Polski w Poznaniu w czerwcu 1956 r., który spowodował śmierć bądź uszczerbek na zdrowiu.

W OBOZACH I WIĘZIENIACH

Do okresów działalności kombatanckiej (pkt 1—6) lub równorzędnej z nią (pkt 7—12) zalicza się również czas przebywania:

13) w niewoli lub w obozach internowanych, spowodowanego działalnością kombatancką, o której mowa w pierwszych sześciu punktach,

14) w hitlerowskich więzieniach, obozach koncentracyjnych i ośrodkach zagłady oraz w innych miejscach zagłady oraz w innych miejscach odosobnienia, w których warunki pobytu nie różniły się od warunków w obozach koncentracyjnych, a osoby tam osadzone pozostawały w dyspozycji hitlerowskich władz bezpieczeństwa, a także w więzieniach i obozach karnego zesłania (lagrach) w ZSRR, w więzieniach i obozach będących pod nadzorem NKWD na terenie Polski, a także w więzieniach i aresztach polskich — spowodowanego działalnością, o której mowa we wszystkich dwunastu punktach.

Z PRZYCZYN NIE TYLKO POLITYCZNYCH

Przepisy ustawy stosuje się również do osób, które podlegały represjom wojen-

nym i okresu powojennego. Represjami są okresy przebywania:

15) z przyczyn politycznych, narodowościowych, religijnych i rasowych: a) w hitlerowskich więzieniach, obozach koncentracyjnych i ośrodkach zagłady; b) w innych miejscach odosobnienia w których warunki pobytu nie różniły się od warunków w obozach koncentracyjnych, a osoby tam osadzone pozostawały w dyspozycji hitlerowskich władz bezpieczeństwa,

16) z przyczyn narodowościowych i rasowych w gettach,

17) z przyczyn politycznych, religijnych i narodowościowych: a) w więzieniach i lagrach ZSRR; b) na przymusowych zesłaniach i deportacji w ZSRR,

18) w więzieniach polskich na mocy skazania w latach 1944–56 — na podstawie przepisów wydanych przez władze polskie przez sądy wojskowe i specjalne albo w latach 1944–1956 bez wyroku, za działalność polityczną bądź religijną, związaną z walką o suwerenność i niepodległość,

19) przepisy ustawy stosuje się także do osób, które jako dzieci zostały odebrane rodzicom w celu poddania eksterminacji lub w celu przymusowego wynarodowienia.

Owych dziewiętnaście punktów oznaczających zakres przedmiotowy i podmiotowy ustawy ma bardzo ważne znaczenie dla całości dalszych rozważań.

Okresy, o których w tych punktach jest mowa, ustala się w miesiącach, a jeśli brakuje po temu danych, przyjmuje się 1 miesiąc.

Przez stowarzyszenia kombatanckie rozumie się stowarzyszenia lub związki stowarzyszeń działające na podstawie prawa o stowarzyszeniach, zrzeszające kombatanów lub ofiary represji wojennych i okresu powojennego.

DŁUŻSZY URLOP

Streszczenie części ustawy poświęconej różnorodnym uprawnieniom musi poprzedzić wstępna informacja, że **przysługują one kombatanom oraz „innym osobom uprawnionym”**. To drugie pojęcie oznacza osoby wymienione w pkt. 7—12 oraz 15—19. O jakie uprawnienia chodzi?

Zwiększenie przysługującego im urlopu wypoczynkowego, jeżeli oczywiście pozostają w zatrudnieniu, o 10 dni roboczych. Zwiększenie jest wykluczone, jeżeli korzystają z urlopu w wymiarze przekraczającym 26 dni roboczych w ciągu roku.

Zaliczenie do czasu zatrudnienia, od którego zależy przyznanie lub wysokość świadczeń przysługujących pracownikom od zakładu pracy (np. dodatek stażowy), okresów wymienionych w pkt. 1—18. Szczegóły określi rozporządzenie ministra.

Uzależnienie rozwiązania stosunku pracy na dwa lata przed osiągnięciem wieku uprawniającego do wcześniejszego przejścia na emeryturę (o czym niżej) od uprzedniej zgody kierownika właściwego urzędu rejonowego rządowej administracji ogólnej. Nie dotyczy to osób zajmujących kierownicze stanowisko obsadzone w drodze powołania oraz osób, które spełniają warunki wymagane do uzyskania emerytury, a także rozwiązania stosunku pracy bez wypowiedzenia z winy pracownika.

EMERYTURY I RENTY

Przejście na wcześniejszą emeryturę, na wniosek zainteresowanego, po osiągnięciu 55 lat przez kobietę i 60 lat przez mężczyznę, jeżeli mają okres zatrudnienia wymagany do uzyskania emerytury. Dotyczy to odpowiednio nabywających prawo do emerytury z innych tytułów niż zatrudnienie.

Zaliczanie okresów wymienionych we wszystkich 19 punktach — w wymiarze podwójnym — do okresu zatrudnienia (ubezpieczenia), od którego zależy przyznanie emerytury lub renty.

Kombatanom będącym inwalidami wojennymi lub wojskowymi oraz pozostałym po nich członkom rodziny przysługują świadczenia pieniężne i inne uprawnienia przewidziane w przepisach o zaopatrzeniu inwalidów wojennych i wojskowych oraz ich rodzin. Dotyczy to również osób zaliczonych do jednej z grup inwalidów, „wskutek inwalidztwa pozostającego w związku z pobytem w miejscach” wymienionych w pkt. 14, 15, 16, 17 i 18 oraz członkom rodzin pozostałym po osobach pobierających w chwili śmierci rentę z tytułu ww. inwalidztwa. Sformułowanie ujęte wyżej w cudzysłowie oznacza inwalidztwo będące następstwem zranień, kontuzji bądź innych obrażeń lub chorób powstałych w związku z pobytem w wymienionych wyżej miejscach. Decyzja w tych sprawach należy do komisji lekarskiej do spraw inwalidztwa i zatrudnienia.

Kombatanom i innym osobom uprawnionym, które nie mają prawa do emerytury lub renty na podstawie przepisów o zaopatrzeniu inwalidów wojennych i wojskowych oraz ich rodzin lub na podstawie innych przepisów, jeżeli nie mają niezbędnych środ-

ków utrzymania, może być przyznana przez prezesa ZUS — w drodze wyjątku:

1) emerytura, jeżeli osiągnęli wiek 55 lat kobieta i 60 lat mężczyzna,

2) renta inwalidzka, jeżeli zostali zaliczeni do jednej z grup inwalidów.

Przepis ten stosuje się odpowiednio do pozostałych po nich członków rodzin, jeżeli spełniają warunki wymagane do uzyskania renty rodzinnej.

Te emerytury i renty, przyznaje się odpowiednio w wysokości najniższej emerytury, renty inwalidzkiej lub renty rodzinnej, określonej w przepisach o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin. Przysługują do nich dodatki: rodzinny, pielęgnacyjny, z tytułu odznaczeń państwowych oraz do rent rodzinnych — dodatek dla sierot zupełnych, na zasadach i w wysokości przewidzianej w przepisach o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin, a także dodatek kombatancki. Również pogrzebowy w razie śmierci wymienionych na początku osób.

JEDEN DODATEK

Wspomniany już dodatek kombatancki należy — rzecz jasna — kombatanom i innym osobom uprawnionym pobierającym emeryturę lub rentę wynosi 30 proc. najniższej emerytury przewidzianej w przepisach o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin. Przysługuje on obok emerytury (renty). Nie jest uwzględniony przy ustalaniu wskaźnika indywidualnego wymiaru świadczenia, określonego w przepisach o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin.

W razie zbiegu prawa do kilku świadczeń o charakterze emerytalno-rentowym przysługuje tylko jeden dodatek kombatancki. Uprawnionemu jednocześnie do dodatku kombatanckiego i dodatku z tytułu tajnego nauczania na podstawie odrębnych przepisów — przysługuje tylko jeden z nich — wyższy lub wybrany przez zainteresowanego.

Tryb postępowania w sprawach dodatku oraz emerytur i rent przyznawanych w drodze wyjątku określi rozporządzenie ministra pracy i polityki socjalnej. Do ustalenia zaś wysokości tych świadczeń oraz w innych sprawach nie określonych w omawianej ustawie, stosuje się odpowiednio przepisy o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin.

Oto kolejna grupa uprawnień kombatanów i innych osób uprawnionych.

WSPARCIE FINANSOWE

Korzystanie ze szczególnej opieki zdrowotnej i socjalnej, a zwłaszcza środowiskowej opieki w miejscu zamieszkania, w uzyskiwaniu miejsc w domach pomocy społecznej oraz skierowań na leczenie uzdrowiskowe. Zachowuje się je, łącznie z prawem do leczenia w zakładach służby zdrowia nabytych podczas pracy zawodowej, po przejściu na emeryturę lub rentę.

Możliwość przyznania doraźnej pomocy pieniężnej dla znajdujących się w trudnych warunkach materialnych oraz w związku z zaistnieniem zdarzeń losowych. Pomoc taka może być również przyznana na częściowe pokrycie kosztów zakupu wózka inwalidzkiego, sprzętu rehabilitacyjnego, dostosowanie pomieszczeń mieszkalnych do rodzaju inwalidztwa, opłacania pomocy pielęgnacyjnej, a w stosunku do niewidomych oraz ciężko poszkodowanych inwalidów — kosztów zakupu innego, ułatwiającego pracę i życie, sprzętu pomocniczego.

Wsparcie finansowe dla pokrycia kosztów ww. pomocy pielęgnacyjnej przyznaje się w pierwszej kolejności tym, którzy przekroczyli 70 lat życia i nie pobierają dodatku pielęgnacyjnego, przewidzianego w przepisach o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin.

ZEZWOLENIA I ULGI

Kombatanom i innym osobom uprawnionym przysługuje:

1) ulga taryfowa w wysokości 50 proc. przy przejazdach miejskimi środkami lokomocji,

2) zniżka w wysokości 10 proc. ceny zakupu od państwa lokalu mieszkalnego lub domu jednorodzinnego na własność.

Kombatanom i innym osobom uprawnionym — emerytom, rencistom i inwalidom — przysługuje ponadto:

1) ulga taryfowa w wysokości 50 proc. przy przejazdach koleją i autobusami krajowej komunikacji samochodowej,

2) zwolnienie z abonamentowych opłat telewizyjnych i radiowych, z opłat za 20 telefonicznych jednostek licznikowych miesięcznie oraz 50-proc. ulga za abonament telefoniczny,

3) ryczałt energetyczny w wysokości 50 proc. taryfowych opłat za korzystanie z energii elektrycznej, gazowej i ciepłej na cele domowe, obliczony na podstawie norm ilościowych ustalonych przez kierownika Urzędu do Spraw Kombatanów i Osób Represjo-

nowanych. Te trzy uprawnienia nadaje się również wdowom lub wdowcom — emerytom i rencistom — pozostałym po kombatantach (innych osobach uprawnionych).

Kombatantom i innym osobom uprawnionym — inwalidom przysługuje również ulga w opłatach rejestracyjnych od pojazdów samochodowych oraz 50 proc. zniżki w opłaceniu składek na ubezpieczenie obowiązkowe pojazdów samochodowych.

Rada Ministrów może rozporządzeniem wprowadzić inne niż tutaj wymienione świadczenia i ulgi, ustalając jednocześnie zakres, wysokość oraz szczegółowe zasady ich przyznawania. Właściwe natomiast organy administracji rządowej oraz organy gmin i związków komunalnych określają szczegółowe zasady stosowania ww. ulg i uprawnień.

KTO JEST GODZIEN

Kolejny temat — to zasady orzekania o uprawnieniach.

Otóż uprawnienia określone w ustawie przysługują osobie, która uzyska decyzję potwierdzającą działalność wymienioną w pkt. 1—12 albo fakty, o których mowa w pkt. 15—19, posiada obywatelstwo polskie lub posiadała je w okresie działalności kombatanckiej bądź w okresie podlegania represjom.

Uprawnienia te nie przysługują osobie, która:

1) w okresie wojny 1939—1945 kolaborowała z hitlerowskim okupantem lub dobrowolnie zadeklarowała odstąpienie od narodowości polskiej,

2) przymusowo pełniła służbę w armii niemieckiej, jeżeli potem do końca wojny nie brała udziału w walce o niepodległość Polski.

3) od września 1939 r. do końca 1956 r. służyła w NKWD albo w innych organach represji ZSRR działających przeciwko narodowi i państwu polskiemu,

4a) była zatrudniona w aparacie bezpieczeństwa publicznego lub informacji wojskowej,

b) w latach 1944—1956 była zatrudniona lub pełniła funkcje w jednostkach organizacyjnych lub na stanowiskach związanych ze stosowaniem represji wobec osób podejrzanych lub skazanych za działalność podjętą na rzecz suwerenności i niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej:

— w organach prokuratury i w prokuraturze wojskowej,

— w sądownictwie powszechnym lub wojskowym,

— w służbie więziennej,

5) uchybiła godności obywatela polskiego, wykorzystując władzę otrzymaną od instytucji stosujących represje do ciemnienia współwięźniów,

6) uchybiła godności obywatela polskiego donosząc władzom komunistycznym o żołnierzach podziemia, legionistach, organizacjach podziemnych, partyzanckich i tych wszystkich, których obejmują pkt. 7—12 i 15—19.

O spełnieniu warunków, o których na początku była mowa, orzeka kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych lub powołani przez niego pełnomocnicy, na podstawie udokumentowanego wniosku zainteresowanego oraz rekomendacji stowarzyszenia właściwego dla określonego rodzaju działalności kombatanckiej lub represji. Rekomendacji udziela się bez względu na to, czy ubiegający się o uprawnienia zgłosił zamiar wstąpienia do stowarzyszenia. Na podstawie decyzji o przyznaniu przez kierownika uprawnienie określonych w ustawie, Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wydaje odpowiednie zaświadczenie. W tym samym trybie wydawane są zaświadczenia potwierdzające uprawnienia wdów i wdowców pozostałych po kombatantach i innych osobach uprawnionych, z tą różnicą, że jeśli zmarły małżonek (małżonka) posiadał potwierdzone uprawnienia, rekomendacja nie jest wymagana.

SKĄD FUNDUSZE

Państwowy Fundusz Kombatantów będzie nadal istniał, a jego dysponentem jest kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Źródłem dochodów funduszu są dotacje z budżetu państwa oraz darowizny. Jego środki przeznaczone są w szczególności na: doraźną pomoc, ulgowe miejskie przejazdy i zniżki przy zakupie mieszkań, zwolnienia z opłat radiowo-telewizyjnych i zniżki za telefon, finansowanie kosztów i domów pomocy społecznej oraz zakładów leczniczych; działalność dokumentacyjną i wydawniczą, dotyczącą walk o odrodzenie Polski i represji wojennych oraz okresu powojennego.

Ze środków budżetu państwa pochodzą wydatki na: ulgi taryfowe na przejazdy PKP i PKS, finansowanie kosztów zadań administracyjnych i opiekuńczych, dokonywanych na rzecz środowiska kombatanckiego zlecanych organizacjom społecznym przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Świadczenia emerytalno-rentowe są wypłacane przez ZUS z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Świadczenia te oraz ryczałt wraz z odsetkami za opóźnienie w ustaleniu do nich prawa lub ich wypłaty oraz koszty obsługi podlegają refundacji na rzecz Funduszu Ubezpieczeń Społecznych z dotacji budżetu państwa.

POZBAWIENI UPRAWNIENI

Ostatnia część ustawy to bardzo istotne przepisy przejściowe i końcowe. Wynika z nich, że osoby, które uzyskały uprawnienia kombatanckie na podstawie dotychczasowych przepisów, zachowują te uprawnienia z pewnym wyjątkiem. Otóż ustawa pozbawia uprawnień kombatanckich następujące kategorie osób, które:

1) podczas wojny 1939—1945 kolaborowały z hitlerowcami lub dobrowolnie zadeklarowały odstępowanie od narodowości polskiej,

2) od września 1939 r. do końca 1956 r. służyły w NKWD albo w innych organach represji ZSRR działających przeciwko Polakom i Polsce,

3) były zatrudnione w aparacie bezpieczeństwa publicznego lub informacji wojskowej,

4) w latach 1944—1956 były zatrudnione lub pełniły funkcje w jednostkach organizacyjnych lub na stanowiskach związanych ze stosowaniem represji wobec osób podejrzanych lub skazanych za działalność podjętą na rzecz suwerenności i niepodległości RP: w organach prokuratury i w prokuraturze wojskowej, w sądownictwie powszechnym lub wojskowym, w służbie więziennej.

Ustawa pozbawia uprawnień kombatanckich również niżej wymienione osoby, jeżeli w wyniku postępowania weryfikacyjnego wykazano im następujące czyny:

1) przymusowe pełnienie służby w armii niemieckiej, jeżeli potem do końca wojny dana osoba nie brała udziału w walce o niepodległość Polski,

2) uchybienie godności obywatela polskiego, poprzez wykorzystanie władzy otrzymanej od instytucji stosujących represje do ciemnienia współwięźniów,

3) uchybienie godności obywatela polskiego poprzez donoszenie władzom komunistycznym o żołnierzach podziemia, legionistach, organizacjach podziemnych, partyzanckich, bądź wszystkich, których obejmują pkt. 7—12 i 15—19.

Pozbawieni są uprawnień kombatanckich także ci, którzy na mocy dotychc

wych przepisów uzyskali uprawnienia wyłącznie z tytułu działalności w latach 1944—1956 w charakterze „uczestników walk o ustanowienie władzy ludowej”.

Podlegają weryfikacji uprawnienia uzyskane od Związku Bojowników o Wolność i Demokrację i Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej po 31 grudnia 1988 r.

Decyzje pozbawiające uprawnień kombatanckich podejmuje kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych; wydawane są one z urzędu lub na wniosek stowarzyszeń kombatanckich albo ministrów: sprawiedliwości, obrony narodowej lub spraw wewnętrznych, a także w wyniku weryfikacji. W razie zaskarżenia decyzji do sądu administracyjnego w czasie toczącego się postępowania, uprawnienia kombatanckie ulegają zawieszeniu.

Szczegółowe zasady i tryb postępowania w sprawach dotyczących pozbawienia uprawnień kombatanckich oraz zasady przeprowadzania weryfikacji określi rozporządzeniem prezes Rady Ministrów.

Osoby pozbawione prawomocną decyzją uprawnień kombatanckich tracą uprawnienia wynikające z ustawy. Tym jednak, którzy w dniu wejścia w życie ustawy pobierali emerytury, renty inwalidzkie lub renty rodzinne, zamiast tych świadczeń przyznaje się od dnia wejścia w życie ustawy, czyli od 1 stycznia 1991 r.:

1) świadczenia na zasadach ogólnych określonych w przepisach o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin lub w innych przepisach o zaopatrzeniu emerytalnym.

2) świadczenia w kwocie najniższej, jeżeli nie spełnią warunków do przyznania świadczeń, o których mowa w pkt. 1.

W okresie przejściowym

Zaświadczenia i legitymacje o uprawnieniach kombatanckich wystawione na podstawie dotychczasowych przepisów, do czasu wydania nowych zaświadczeń zachowują moc, jednak nie dłużej niż do 31 grudnia 1992 r., chyba że została wydana decyzja o pozbawieniu uprawnień.

Sprawy wszczęte na podstawie dotychczasowych przepisów, a nie zakończone do dnia wejścia w życie niniejszej ustawy, podlegają rozpatrzeniu zgodnie z przepisami tej ustawy.

Wspomniany wcześniej dodatek kombatancki (30 proc. najniższej emerytury) przysługuje emerytom i rencistom:

1) od 1 stycznia 1991 r.:

a) uprawnionym w 1990 r. do świadczenia pieniężnego na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów z 3 maja 1989 r. w sprawie świadczenia pieniężnego przysługującego kombatantom — emerytom i rencistom odznaczonym orderem lub tytułem honorowym (Dz. U. nr. 27, poz. 143);

b) pobierającym emeryturę (rentę) przyznaną wyjątkowo.

2) z dniem nabycia prawa do dodatku kombatanckiego, jeżeli prawo to uzyskali po 31 grudnia 1990 r.,

3) przy rewaloryzacji emerytur i rent, o której mowa w art. 28 ustawy z 24 maja 1990 r. o zmianie niektórych przepisów o zaopatrzeniu emerytalnym (Dz. U. nr 36, poz. 206) — uprawnionym do dodatku kombatanckiego przed 1 stycznia 1991 r. — zamiast dotychczasowego dodatku kombatanckiego. W tym wypadku przyznanie dodatku kombatanckiego powoduje ponowne ustalenie wysokości emerytury lub renty (bez uwzględnienia dotychczasowego dodatku kombatanckiego) oraz wysokości wskaźnika indywidualnego wymiaru świadczenia. Ten przepis stosuje się odpowiednio w razie zbiegu prawa do kilku świadczeń o charakterze emerytalno-rentowym.

Wnioski o nadanie orderów i odznaczeń wojennych oraz innych odznaczeń upamiętniających udział w walkach o niepodległość i suwerenność RP przedstawia prezydentowi z własnej inicjatywy lub na wniosek stowarzyszeń kombatanckich:

1) minister obrony narodowej — w stosunku do osób, o których mowa w pkt. 1—12,

2) kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych — w stosunku do osób wymienionych w pkt. 15—19 — na zasadach określonych w obowiązujących przepisach. Nie narusza to uprawnień ministra spraw zagranicznych do przedstawiania wniosków o nadawanie tych orderów i odznaczeń.

Przepisy dotyczące postępowania o nadawanie odznaczeń, nie pozostające w sprzeczności z przytoczonymi tutaj, stosuje się odpowiednio.

Osobom, o których mowa w pkt. 17b, określone w ustawie świadczenia finansowe przysługują od 1 lipca 1991 r.

Do czasub zorganizowania Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych jego zadania wykonuje minister pracy i polityki socjalnej.

Z przysłów ludowych

Czyja zguba, niech się głosi,
bo ji potym nie wyprosi.

Czego się gdo wyrzyko,
ku tymu się pomyko.

Człowiek bez kalyndorza
jak ksiądz bez brewijorza.

Ubezpieczenie społeczne rolników

Ustawa z 20 grudnia 1990 r. o ubezpieczeniu społecznym rolników (Dz. U. nr 7 z 26 stycznia 1991 r.) jest adresowana w zasadzie do wszystkich rolników i ich rodzin, a także do różnych urzędów (np. zarządów gmin), zobowiązanych do wykonania tego aktu prawnego. Z tego względu redakcja „Kalendarza” uznała za celowe spopularyzowanie treści ustawy.

CO PRZYNIESIE LISTONOSZ?

Emerytura i renta rolnicza przysługuje podlegającemu ubezpieczeniu emerytalno-rentowemu rolnikowi, jego małżonkowi oraz domownikom. Rolnikiem jest posiadacz gospodarstwa rolnego o obszarze większym niż 1 ha przeliczeniowy użytków rolnych albo posiadacz gospodarstwa specjalistycznego. Domownikiem zaś — osoba bliska rolnikowi, która ukończyła 16 lat, pozostaje z nim we wspólnym gospodarstwie domowym albo zamieszkuje w bezpośrednim sąsiedztwie i stale pracuje w tym gospodarstwie.

Obowiązkowym ubezpieczeniem emerytalno-rentowym rolników objęte są osoby, których nie dotyczą inne przepisy o ubezpieczeniu społecznym lub emerytalnym i które nie mają ustalonego już prawa do emerytury lub renty. Ubezpieczeniem nieobowiązkowym natomiast, zgłaszanym dobrowolnie „na wniosek”, może być objęta również osoba nie będąca rolnikiem, która w przeszłości podlegała ubezpieczeniu rolniczemu przez co najmniej 50 kwartałów i nie nabyła prawa do emerytury lub renty inwalidzkiej.

Emeryturę rolniczą można otrzymać po spełnieniu dwu warunków: osiągnięcia wieku emerytalnego — 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn — i udowodnieniu okresu podlegania ubezpieczeniu rolniczemu wynoszącemu co najmniej 100 kwartałów.

Istnieje możliwość przejścia na emeryturę o 5 lat wcześniej, jednak trzeba wówczas udokumentować 120 kwartałów ubezpieczenia emerytalno-rentowego, a przede wszystkim zaprzestać działalności rolniczej. Ten ostatni warunek nie jest wymagany przy przejściu na emeryturę w normalnym wieku emerytalnym.

Ustawa przewidziała również sytuację, kiedy zaprzestanie działalności rolniczej spowodowane jest wywłaszczeniem gruntów, ich zbyciem na cel uzasadniający to wywłaszczenie lub trwałym wyłączeniem z produkcji rolniczej z przyczyn niezależ-

nych od rolnika; wystarczy wtedy udokumentowanie 50 kwartałów ubezpieczenia.

Dla otrzymania renty inwalidzkiej rolnik musi spełnić dwa warunki: udokumentować długotrwałą niezdolność do pracy w gospodarstwie i wymagany okres ubezpieczenia emerytalno-rentowego.

Minimalne okresy tego ubezpieczenia są następujące:

- przy długotrwałej niezdolności do pracy powstałej w wieku do 20 lat — 4 kwartały,
- w wieku 20—22 lata — 8 kwartałów,
- w wieku 22—25 lat — 12 kwartałów,
- w wieku 25—30 lat — 16 kwartałów,
- w wieku powyżej 30 lat — 20 kwartałów,
- w razie niezdolności do pracy w rolnictwie będącej wynikiem wypadku przy pracy rolniczej lub rolniczej choroby zawodowej, każdy okres podlegania ubezpieczeniu upoważnia do renty inwalidzkiej.

Rentę inwalidzką przyznaje się jako stałą, jeżeli rolnik osiągnął wiek 55 lat (kobieta) i 60 lat (mężczyzna) i jest inwalidą I grupy. W innych wypadkach rentę przyznaje się do czasu odzyskania zdolności do pracy w gospodarstwie rolnym.

Renta nie będzie się należała, jeśli długotrwała niezdolność do rolniczej pracy powstała później niż w 18 miesięcy po ustaniu ubezpieczenia rolniczego.

Pewne niezrozumienie może wzbudzić warunek podlegania ubezpieczeniu przez 100 lub 120 kwartałów. Oznacza to bowiem 25—30 lat opłacania składek, czego — na razie — nikt nie spełnia, bowiem rolnicy płacą składki na ZUS dopiero od 1977 r. Wyjaśnijmy więc, że do okresów podlegania ubezpieczeniu społecznemu ustawa zalicza także okresy prowadzenia gospodarstwa rolnego przed 1 lipca 1977 r. — pod warunkiem ukończenia 16 lat — oraz zatrudnienia w zakładach pracy i okresy pobierania okresowej renty inwalidzkiej dla rolników.

Emerytura rolnicza składa się z dwóch części: składkowej i uzupełniającej. **Część składkowa** równa się w zasadzie (są wyjątki) 1 proc. emerytury podstawowej za każdy rok podlegania ubezpieczeniu emerytalno-rentowemu.

towemu. Emerytura podstawowa zaś równa jest przeciętnej rocznej emeryturze. Wysokość tej ostatniej podał w swoim obwieszczeniu minister pracy i polityki socjalnej, opublikowanym w M.P. nr 4 z 31 stycznia.

Takim wyjątkiem jest np. podleganie innemu ubezpieczeniu społecznemu (np. pracownicze chłopów-robotników), jeżeli z tego tytułu nie przyznano emerytury lub renty. W takiej sytuacji okres ubezpieczenia przelicza się w wymiarze półtorakrotnym. Albo 0,5 proc. za każdy rok prowadzenia gospodarstwa rolnego lub pracy w gospodarstwie rolnym po ukończeniu 16 roku życia, przypadających przed 1 lipca 1977 r., jednak nie wcześniej niż 25 lat przed ustaleniem prawa do rolniczej emerytury lub renty.

Część uzupełniająca emerytury wynosi 95 proc. emerytury podstawowej, jeśli liczba lat przyjęta do obliczenia części składkowej jest mniejsza niż 20. Każdy pełny rok ponad 20 lat zmniejsza część uzupełniającą o 0,5 proc. emerytury podstawowej. Część ta nie może być jednak niższa niż 85 proc. emerytury podstawowej, zaś suma obu części emerytury nie może być niższa od emerytury podstawowej.

Ważne jest, że obie części emerytury mogą być wypłacane tylko wówczas, gdy rolnik zaprzestał działalności. Jeśli zaś pracuje nadal mimo wieku emerytalnego, można mu wypłacić tylko część składkową.

W rozumieniu ustawy, zaprzestanie prowadzenia działalności rolniczej oznacza, że ani rolnik, ani jego małżonek nie jest właścicielem lub współwłaścicielem gospodarstwa i nie prowadzi gospodarstwa specjalistycznego. Z tego warunku wyłączona jest działka o powierzchni do 0,5 ha lub większej, ale nie przekraczającej 1 ha przeliczeniowego, lasy o powierzchni do 1 ha, grunty wydzielone na co najmniej 10 lat osobie obcej lub dzierżawione od Państwowego Funduszu Ziemi oraz grunty trwale wyłączone z produkcji rolniczej.

Rentę inwalidzką dla rolnika oblicza się tak samo jak emeryturę.

DLA BLISKICH KREWNYCH

Renta rodzinna przysługuje uprawnionym członkom rodziny po zmarłym emerycie lub renciście mającym ustalone prawo do świadczeń oraz po ubezpieczonym, który w chwili śmierci spełniał warunki do uzyskania rolniczej emerytury lub renty inwalidzkiej. O rentę tę mogą się ubiegać dzieci własne i małżonka oraz dzieci przysposobione; przyjęte na wychowanie i utrzymanie

przed osiągnięciem pełnoletności — a także wychowywane w ramach rodziny zastępczej — wnuki, rodzeństwo i inne dzieci; wdowa (wdowiec) oraz rodzice, w tym ojczym i macocha.

Dzieci mają prawo do renty rodzinnej do ukończenia 16 roku życia lub dłużej, jeśli kontynuują naukę. W takim wypadku wiekiem granicznym jest 25 rok życia. Renta rodzinna należy się dzieciom bez względu na ich wiek, jeśli są inwalidami I lub II grupy, a inwalidztwo powstało w wieku uprawniającym do renty. Jeżeli dziecko osiągnęło 25 lat w trakcie nauki na ostatnim roku studiów, prawo do renty rodzinnej przedłuża się do zakończenia roku akademickiego.

Wdowa ma prawo do renty rodzinnej wówczas, gdy w chwili śmierci męża miała co najmniej 50 lat lub była inwalidką, albo gdy wychowuje choćby jedno dziecko (w tym wnuka lub rodzeństwo) uprawnione do renty po zmarłym mężu. O rentę rodzinną może się też ubiegać wdowa, która te warunki spełni dopiero po śmierci męża, ale nie później niż w 5 lat po tym fakcie.

Kobieta rozwiedziona lub wdowa, która nie pozostawała z małżonkiem w wspólnym gospodarstwie w chwili jego śmierci ma prawo do renty rodzinnej, jeżeli prócz spełnienia wymienionych wcześniej warunków, miała prawo do alimentów z jego strony, ustalone wyrokiem lub ugodą sądową.

Wdowiec musiałby dla uzyskania renty rodzinnej spełniać te same warunki, tyle że obowiązuje go wiek 65 lat. Rodzice natomiast zmarłego rolnika mają prawo do renty rodzinnej w tych wypadkach, gdy spełniają te same warunki, które zostały określone dla wdowców, a ponadto świadczył on przed śmiercią na ich utrzymanie.

Na wszystkie uprawnione osoby przysługuje tylko jedna renta rodzinna. Jej wysokość jest następująca:

- gdy uprawnienie do renty ma tylko jedna osoba, jest to 85 proc. podstawowej emerytury plus 50 proc. nadwyżki — ponad kwotę emerytury podstawowej — rolniczej emerytury (renty), jaka przysługiwała zmarłemu w chwili śmierci albo plus 50 proc. części składkowej emerytury lub renty;

- jeśli do tej samej renty jest uprawnionych więcej osób, na każdą osobę następną zwiększa się świadczenie o 5 proc.

- rentę zwiększa się o 10 procent, gdy śmierć osoby ubezpieczonej nastąpiła wskutek wypadku przy pracy w gospodarstwie rolnym lub choroby zawodowej.

Renta rodzinna nie może być niższa od

emerytury podstawowej i jest dzielona między osoby uprawnione w równych częściach, jeżeli zachodzi potrzeba podziału.

Do emerytury i renty rolniczej przysługują dodatki: rodzinne, pielęgnacyjne (dla inwalidów I grupy lub emeryta po 75 roku życia — w wysokości 30 proc. emerytury podstawowej); z tytułu odznaczeń państwowych, dodatek kombatancki lub z tytułu tajnego nauczania; z tytułu pracy przymusowej po 1 września 1939 r. Ten ostatni wypłacony jest w wysokości 2 proc. emerytury podstawowej za każdy pełny rok takiej pracy.

Do renty rodzinnej mogą przysługiwać dodatki: rodzinny, pielęgnacyjny oraz dla sieroty zupełnej (wynosi on 30 proc. emerytury podstawowej).

Należy dodać, że prawo do rent i emerytur rolnych ustalane jest na wniosek osoby zainteresowanej. Wniosek ten składa się w placówce Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego obejmującej swoim działaniem miejsce położenia gospodarstwa rolnego. Dopóki jednak kasy te nie powstaną — wniosek składać należy jak dotąd w urzędzie gminy, a decyzje wydają oddziały ZUS.

ŚWIADCZENIA RODZINNE

Świadczenia rodzinne przysługują zarówno rolnikowi, jak i ubezpieczonemu przez niego domownikowi.

Nowy system ubezpieczeń społecznych rolników przewiduje dwa zasiłki dla rodziny:

- na dzieci pozostające na utrzymaniu ubezpieczonego i

- pielęgnacyjny na dzieci i innych członków rodziny pozostających na utrzymaniu ubezpieczonego, a wymagających szczególnej opieki.

Oba te zasiłki przysługują osobom ubezpieczonym w systemie rolniczym pod warunkiem, że nie są one uprawnione do nich na podstawie innych przepisów (np. pracowników) i nie są emerytami lub rencistami. **Zasiłki te przyznaje się i wypłaca tylko na wniosek zainteresowanego, a nie z urzędu.**

Dość złożone są **zasady przyznawania zasiłków na dzieci.** Przysługują one ubezpieczonemu osiągającemu niskie dochody w przeliczeniu na jednego członka rodziny. Kryterium jest następujące: zasiłek się należy, jeżeli łączna kwota podatku rolnego z danego gospodarstwa podzielona przez liczbę osób nie przekracza stawki podatku rolnego z jednego hektara przeliczeniowego. Do owej „liczby osób” bierze się pod uwagę ubezpieczonego wraz ze wszystkimi osoba-

mi, które są na jego utrzymaniu. Nie zalicza się natomiast do tych osób emerytów i rencistów, ubezpieczonych w innym systemie oraz prowadzących działalność pozarolniczą, od której płacone są podatki.

Wysokość zasiłku na dzieci rolnika jest taka sama, jak na dzieci pracownika (tzn. wynosi 8 proc. przeciętnej płacy krajowej). Od 1 grudnia 1990 r. jest to 84 tys. zł.

Ścisłe określono również warunki przyznawania **zasiłku pielęgnacyjnego** na dziecko ubezpieczonego oraz na innych członków rodziny pozostających na jego utrzymaniu i wymagających szczególnej opieki ze względu na stan zdrowia.

Przed wszystkim trzeba powiedzieć, kto jest — według ustawy — członkiem rodziny ubezpieczonego. Są to: małżonek, rodzice, dzieci własne, drugiego małżonka oraz przysposobione, przyjęte na wychowanie lub utrzymanie przed osiągnięciem pełnoletności — także wychowywane w ramach rodziny zastępczej — wnuki, rodzeństwo i inne dzieci.

Warunkiem przyznania takiego zasiłku na dziecko do 16 roku życia jest stwierdzenie przez zakład społecznej służby zdrowia, że jego zdrowie wymaga stałej opieki ze strony innej osoby. Opieka ta ma polegać na pielęgnacji lub systematycznym współdziałaniu z lekarzem w leczeniu i rehabilitacji. Na osoby powyżej 16 roku życia zasiłek pielęgnacyjny przysługuje wówczas, gdy są inwalidami I grupy. Dzieci otrzymują go także przy II grupie inwalidzkiej, jeśli inwalidztwo powstało w wieku uprawniającym do zasiłku rodzinnego.

Zasiłek pielęgnacyjny może być wypłacany na dziecko także po ukończeniu 16 roku życia, jeżeli kontynuuje ono naukę w szkole — nie dłużej jednak, niż do 25 roku życia. Może go otrzymać także dziecko pozostające w związku małżeńskim, jeżeli jest inwalidą I lub II grupy. Ale pod warunkiem, że zasiłek ten przysługiwał przed zawarciem tego związku.

Wnioski o zasiłki na dzieci należy składać w urzędach gmin (lub miast i gmin) właściwych dla miejsca zamieszkania. Również urzędy te wypłacają przyznane zasiłki. Natomiast zasiłkami pielęgnacyjnymi zajmują się oddziały ZUS, działające obecnie na rzecz rolników z upoważnienia Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego.

W RAZIE CHOROBY I WYPADKU

Nowa ustawa, obowiązująca od 1 stycznia 1991 r., zapewnia ubezpieczenie wypa-

dkowe, chorobowe i macierzyńskie, które gwarantują trzy rodzaje zasiłków: chorobowy, macierzyński z tytułu urodzenia lub przyjęcia na wychowanie dziecka oraz jednorazowe odszkodowanie z powodu stałego lub długotrwałego uszczerbku na zdrowiu albo śmierci wskutek wypadku przy pracy rolniczej lub rolniczej choroby zawodowej.

Ubezpieczeniu podlega — z mocy samej ustawy — rolnik (oraz jego domownik) prowadzący gospodarstwo większe niż 1 ha użytków rolnych lub gospodarstwo specjalistyczne, jeśli ten rolnik (domownik) nie podlega innemu ubezpieczeniu i nie ma ustalonego prawa do emerytury lub renty. Dobrowolne zaś ubezpieczenie „na wniosek” obejmuje rolnika (lub domownika), gospodarującego na obszarze mniejszym niż 1 ha przeliczeniowy i praca ta jest stałym źródłem utrzymania.

Podobnie, jak dotychczas, **zasiłek chorobowy** przyznaje się wówczas, gdy niezdolność do pracy trwała co najmniej 30 dni. Wtedy zasiłek należy się od pierwszego dnia choroby za cały okres niezdolności do pracy, jednak nie dłużej niż przez 180 dni. Stosowne zaświadczenie o okresie niezdolności do pracy musi być wystawione przez lekarza służby zdrowia.

Wysokość zasiłku obliczana jest także według znanych zasad: za każdy dzień po jednej trzydziestej części emerytury podstawowej.

W razie rolniczej choroby zawodowej i wypadku przy pracy rolniczej przysługuje ponadto jednorazowe odszkodowanie. W grę może wchodzić także okresowa lub stała renta inwalidzka wypadkowa.

Jednorazowe odszkodowanie przysługuje: 1. ubezpieczonemu (który doznał stałego lub długotrwałego uszczerbku na zdrowiu) albo 2. jego najbliższej osobie (jeżeli doznała takiego uszczerbku podczas pracy rolniczej, wykonywanej na rachunek ubezpieczonego rolnika, choć nie była jego pracownikiem). Za osoby najbliższe rolnikowi uważa się przy tym następujących członków rodziny: wstępnych (rodziców) i zstępnych (dzieci), rodzeństwo, zstępnych rodzeństwa, powinowatych w tej samej linii lub stopniu oraz wychowanków.

Jednorazowe odszkodowanie należy się też: 3. członkom rodziny ubezpieczonego rolnika, który zmarł w wyniku choroby zawodowej lub wypadku przy rolniczej pracy, a także 4. członkom rodziny osoby określonej w pkt. 2, która zmarła wskutek wypadku przy pracy rolniczej.

Poszkodowany nie otrzyma jednorazo-

wego odszkodowania, jeśli spowodował wypadek umyślnie albo był on konsekwencją jego rażącego niedbalstwa lub w znacznym stopniu przyczynił się do niego będąc w stanie nietrzeźwym.

Wysokość tego odszkodowania jest proporcjonalna do określonego procentowego stałego lub długotrwałego uszczerbku na zdrowiu, jednak nie może to być mniej niż 5 proc. utraty zdrowia. W razie śmierci mówi się o 100 proc. utraty zdrowia. Za każdy procent utraty zdrowia płaci się 66 proc. emerytury podstawowej, uwzględniając zwiększenia przewidziane w przepisach o świadczeniach z tytułu wypadków przy pracy i chorób zawodowych. Warto dodać, że osoba ubezpieczona „na wniosek”, która podlega także innemu ubezpieczeniu lub jest uprawniona do emerytury i renty, może otrzymać jednorazowe odszkodowanie wówczas, jeśli opłacono za nią 1/3 ustalonej składki.

Renta inwalidzka przysługuje rolnikowi długotrwale niezdolnemu do pracy, jeżeli podlegał ubezpieczeniu emerytalno-rentowemu. Nie ma znaczenia, jak długo to ubezpieczenie trwało w razie wypadku przy pracy rolniczej lub choroby zawodowej. Ważne jest natomiast, by niezdolność przypadała w okresie ubezpieczenia lub w ciągu 18 miesięcy od dnia jego ustania. Stałą rentę inwalidzką przyznaje się wówczas, gdy ubezpieczony został zaliczony do I grupy inwalidzkiej lub jest w wieku do 5 lat niższym od emerytalnego. W innym przypadku renta inwalidzka wypłacana jest jako okresowa — do czasu odzyskania zdolności do pracy w gospodarstwie rolnym lub do czasu objęcia go innym ubezpieczeniem społecznym.

Wszystkie kwestie związane ze świadczeniami należnymi z tytułu wypadków przy pracy lub chorób zawodowych załatwia właściwy oddział ZUS, działający z upoważnienia Kasy Rolniczego ubezpieczenia Społecznego. Trzeba tylko pamiętać, że wypadki te należy zgłaszać bez zbędnej zwłoki.

NARODZINY I ŚMIERĆ

Ustawa o ubezpieczeniu społecznym rolników zapewnia dwa świadczenia związane z urodzeniem dziecka — **zasiłek macierzyński i zasiłek z tytułu urodzenia dziecka oraz przyjęcia na wychowanie dziecka w wieku do 1 roku, jeżeli w tym czasie złożony został wniosek o jego przysposobienie.**

Zasiłek z tytułu urodzenia dziecka wypłacany jest w wysokości trzykrotnej emerytury podstawowej (przypomnijmy, że emerytura podstawowa jest równa przeciętnej najniższej emeryturze miesiecznej, której wysokość minister pracy i polityki socjalnej ogłasza w Monitorze Polskim; za 1990 r., wyniosła ona 345 tys. zł — M.P. nr 4 z 31 stycznia 1991 r.).

Ustawa przewiduje, że na wniosek Rady Rolników minister rolnictwa i gospodarki żywnościowej może drogą rozporządzenia określić korzystniejszą wysokość tego zasiłku.

Zasiłek macierzyński natomiast wypłacany jest rolniczce przez 8 tygodni, zaś jego wysokość równa jest zasiłkowi chorobowemu, tzn. wynosi on 1/30 część emerytury w podstawowej wysokości za każdy dzień.

Zasiłek macierzyński wypłacany jest łącznie z zasiłkiem z tytułu urodzenia dziecka. Jeżeli ubezpieczeniu podlegają oboje małżonkowie, i jeden, i drugi zasiłek przysługuje łącznie obojgu małżonkom. Wypłaca je właściwy oddział ZUS działający z upoważnienia Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego.

Zasiłek pogrzebowy przysługuje osobie, która poniosła koszty pogrzebu po śmierci ubezpieczonego rolnika, nawet jeśli podlegał tylko ubezpieczeniu wypadkowemu, chorobowemu i macierzyńskiemu. Wypłaca się go także po śmierci osoby uprawnionej do emerytury lub renty z ubezpieczenia oraz po śmierci członków rodziny ubezpieczonego, pozostających na jego utrzymaniu i spełniających warunki do uzyskania renty rodzinnej. A więc — po śmierci rolnika, domownika i członków ich rodziny oraz po śmierci byłego rolnika, domownika i członków ich rodziny.

Jeśli koszty pogrzebu pokrywało kilka osób, zasiłek dzieli się między nie — proporcjonalnie do poniesionych wydatków. Wysokość tego zasiłku równa jest sześciokrotnej emeryturze podstawowej, a wypłaca go ZUS z upoważnienia KRUS.

SKŁADKI

Składki na ubezpieczenie opłaca za każdą ubezpieczoną osobę rolnik — właściciel gospodarstwa. W odróżnieniu od poprzedniego systemu nie opłaca on już składek za hektary ziemi, którą posiada. Składka za każdego ubezpieczonego jest jednakowa. Jeżeli natomiast działalność rolnicza prowadzona jest na rachunek kilku osób, obowiązek opłacania składek ciąży na nich solidarnie.

Składki na KRUS płaci się obecnie kwartalnie. Obowiązek składkowy powstaje w pierwszym dniu kwartału, w którym powstało ubezpieczenie, a ustaje z ostatnim dniem kwartału, w którym ubezpieczenie ustaje. Termin płatności składki przypada ostatniego dnia pierwszego miesiąca kwartału.

Rolnik płaci obecnie na KRUS dwie składki, ponieważ obowiązują go dwa rodzaje ubezpieczenia: emerytalno-rentowe oraz wypadkowe, chorobowe i macierzyńskie.

Składka na ubezpieczenie emerytalno-rentowe jest równa czwartej części emerytury podstawowej obowiązującej w poprzednim kwartale.

Emerytura podstawowa zaś równa jest najniższej emeryturze określonej w przepisach emerytalnych. Przy czym za ubezpieczonego, z którym rolnik zawarł umowę, jako ze swoim następcą — składkę opłaca się w wysokości 75% ustalonej należności.

Składka na ubezpieczenie wypadkowe, chorobowe i macierzyńskie jest jednakowa za każdego ubezpieczonego, ale jej wysokość ustalana jest na podstawie planu funduszu składkowego. Wysokość tej składki jest ogłoszona przez prezesa KRUS w Monitorze Polskim co najmniej na 14 dni przed początkiem danego kwartału. Wysokość ta może być ustalona kwotowo lub za pomocą procentowego wskaźnika odniesionego do emerytury podstawowej, tj. minimalnej z poprzedniego kwartału.

Wysokość tej składki na I kwartał 1991 r. ustalono na 60 tys. zł, a w II kwartale ma ona wynieść 16 proc. emerytury podstawowej z I kwartału.

Ustawa o ubezpieczeniu społecznym rolników oddzieliła te ubezpieczenia od innych systemów, powołując do ich obsługi **Kasę Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego**. Będzie ona sukcesywnie przejmowała zadania ubezpieczeniowe od Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Prezesa KRUS powołuje prezes Rady Ministrów, a podlega on ministrowi rolnictwa i gospodarki żywnościowej (prezes ZUS podlega szefowi resortu pracy). Interesy ogółu ubezpieczonych reprezentować będzie Rada Ubezpieczenia Społecznego Rolników. KRUS obsługuje ubezpieczonych w zakresie pobierania składek, przyznawania i wypłaty świadczeń, a także obsługuje pracę Rady Rolników. Natomiast orzecznictwo inwalidzkie dla rolników nadal prowadzić będzie ZUS.

Do zadań KRUS należy m.in. działalność na rzecz zapobiegania wypadkom i chorobom zawodowym rolników, określania zasad

bhp na wsi, a także działania mające na celu rehabilitację zdrowotną i pomoc w przekwalifikowaniu oraz zdobyciu nowego zawodu. KRUS ma też inicjować i wspierać rozwój ubezpieczeń dobrowolnych na wsi.

Rada Ubezpieczenia Społecznego Rolników ma się składać z 50 członków — co najmniej 30 powinno podlegać ubezpieczeniu w pełnym zakresie, a co najmniej 10 — pobierać emeryturę lub rentę z ubezpieczenia. Kandydatów do Rady zgłaszają społeczno zawodowe organizacje rolników i ich związki zawodowe o ogólnokrajowym za-

kresie działania, natomiast powołuje Radę spośród kandydatów — minister rolnictwa i gospodarki żywnościowej. Kadencja Rady trwa 3 lata. Ma ona prawo kontrolować i oceniać działalność KRUS, żądać od prezesa wyjaśnień i informacji oraz udostępnienia dokumentów. Prezes zaś ma obowiązek w ciągu 14 dni ustosunkować się do wniosków i postulatów Rady.

Rada opiniuje akty prawne dotyczące ubezpieczeń oraz programy działania i plany finansowe KRUS. W związku z tą pierwszą kompetencją — ma prawo wnoszenia wniosków do Trybunału Konstytucyjnego.



Emerytury i renty po nowemu

W październiku 1991 r. Sejm RP uchwalił ustawę o rewaloryzacji emerytur i rent. Pierwsze wypłaty, obliczone według nowych zasad, nastąpiły w grudniu, ZUS potrzebował bowiem na obliczenie, ile komu się należy, 6 tygodni.

Niżej podajemy tabele z wyliczeniami przykładowych emerytur i rent w opracowaniu eksperta sejmowej i senackiej Komisji Polityki Społecznej Adriana Szklorza. Tekst objaśniający opracowała Jolanta Koral z „Gazety Wyborczej”.

Wysokość nowej emerytury lub renty zależy nie od tego, jaka jest obecnie wysokość świadczenia, lecz od tego, jak długo emeryt lub rencista pracował i ile zarabiał w okresie, z którego wylicza mu się podstawę wymiaru emerytury.

Wyliczenie nowych świadczeń jest bardzo skomplikowane. Można to jednak zrobić samemu, ale trzeba pamiętać o dwóch rzeczach.

Po pierwsze, osoba, która otrzymywała dotąd świadczenia powyżej 800 tys. zł, a z nowego wyliczenia wypadnie jej poniżej tej kwoty — nie dostanie mniej.

Po drugie, podstawa wymiaru świadczenia jest ograniczona — nie może być wyższa niż 250% przeciętnego wynagrodzenia.

Aby obliczyć sobie emeryturę lub rentę, trzeba znać:

- własny staż pracy (to na ogół pamięta każdy emeryt, a jeżeli nie — znajdzie staż w swojej pierwszej decyzji emerytalnej)
- tzw. wskaźnik wysokości podstawy wymiaru, teraz nazywany wskaźnikiem wynagrodzenia pracownika (WWWP). Jest to stosunek własnych zarobków do średniej krajowej płacy w okresie, z którego liczono emeryturę.

Ci, którzy poszli na emeryturę od 1990 r., znajdą wartość wskaźnika na druku pierwszej decyzji emerytalnej.

Pozostali są w gorszej sytuacji — ale mogą obliczyć WWWP w następujący sposób:

- swoje zarobki w momencie przejścia na emeryturę podzielić przez średnią krajową dla danego roku. Średnią w latach 1950—1990 r. podajemy w osobnej tabelce.

I tak ten, kto w 1977 r. zarabiał 4200 zł w momencie przejścia na emeryturę — a średnia wynosiła wówczas 4596 — ma wskaźnik 90, bo jego pensja stanowiła 90 % średniej płacy.

Ten, kto w 1979 r. zarabiał np. 4000 zł — a średnia płaca wynosiła wówczas 5327 — ma wskaźnik 75, bo jego pensja stanowiła 75 % średniej płacy.

Ten, kto w 1981 r. zarabiał 15378 zł — a średnia płaca wynosiła wówczas 7688 zł — ma wskaźnik 200, bo zarabiał dwa razy tyle, ile wynosiła średnia krajowa.

Ten, kto w 1986 r. zarabiał 30 tys. zł — a średnia płaca wynosiła wówczas 24095 — ma wskaźnik 120, bo jego pensja była równa 120 proc. średniej płacy.

Wskaźnik, który „dostaje” każdy ubezpieczony w momencie przejścia na emeryturę lub rentę, jest stały — nie zmienia się np. wraz ze wzrostem średniej krajowej.

Mając wskaźnik można obliczyć wysokość swojej emerytury lub renty. W tym roku wszyscy — stary i nowy portfel, przechodzący teraz na emeryturę są przeliczani według następującego wzoru:

Do 24% aktualnego przeciętnego wynagrodzenia w kraju w 1991 r. dodajemy wynik mnożenia: 1,3% wskaźnika WWWP razy liczba lat pracy. Wynik tego obliczenia mówi nam, jaki procent średniej krajowej z poprzedniego kwartału będzie stanowił naszą emeryturę. Jeżeli np. z tego rachunku wyjdzie nam 80 — oznacza to, że będziemy otrzymywać teraz jako naszą emeryturę 80% średniej krajowej z poprzedniego kwartału.

W tabelach podajemy przykładowe wielkości emerytur i rent — od listopada — kiedy zaczyna się rewaloryzacja — do lutego. Od marca świadczenia zapewne wzrosną — bo będą podniesione do wzrostu płac (tzw. waloryzacja).

Nie wszystko zostało uwzględnione w tabelach. I tak np. ustawa daje prawo rencistom powypadkowym, inwalidom wojennym i wojskowym, osobom z chorobą zawodową do pobierania półtora świadczenia (np. całej emerytury i połowy renty powypadkowej lub odwrotnie).

Uwaga: dane o świadczeniach są orientacyjne. Wszelkie zmiany, np. waloryzacja, wpłyną na zmianę wysokości emerytur i rent.

PRZECIĘTNE MIESIĘCZNE WYNAGRODZENIE PRACOWNIKÓW W GOSPODARCE USPOŁECZNIONEJ W LATACH 1950—1990

1950	551	1965	1867	1980	6040
1951	599	1966	1934	1981	7689
1952	652	1967	2016	1982	11631
1953	920	1968	2106	1983	14475
1954	975	1969	2174	1984	16838
1955	1008	1970	2235	1985	20005
1956	1118	1971	2358	1986	24095
1957	1279	1972	2509	1987	29084
1958	1348	1973	2798	1988	53090
1959	1453	1974	3185	1989	206758
1960	1560	1975	3913	I kwartał	86458
1961	1625	1976	4281	II kwartał	105264
1962	1680	1977	4596	III kwartał	207707
1963	1763	1978	4887	IV kwartał	437506
1964	1816	1979	5327	1990 czerwiec	900685

WYSOKOŚĆ EMERYTURY

Wskaźnik WWWP*	Zarobki w momencie przejścia na emeryturę w przeliczeniu na złotówki IX 1991 r.**	Staż pracy i wielkość emerytury			
		25 lat	30 lat	35 lat	40 lat
40%	0,75 mln	630 tys.	670 tys.	720 tys.	760 tys.
80%	1,5 mln	850 tys.	940 tys.	1030 tys.	1120 tys.
120%	2,2 mln	1070 tys.	1200 tys.	1340 tys.	1470 tys.
180%	3,3 mln	1400 tys.	1600 tys.	1800 tys.	2000 tys.
250% i więcej	4,6mln i więcej	1790 tys.	2070 tys.	2340 tys.	2620 tys.

WYSOKOŚĆ RENTY INWALIDZKIEJ DLA I I II GRUPY

Wskaźnik WWWP*	Zarobki w momencie przejścia na rentę — w przeliczeniu na złotówki IX 1991 r.**	Staż pracy i wysokość renty***				
		5 lat	10 lat	15	20 lat	25 lat
40%	0,75 mln	595 tys.	595 tys.	595 tys.	610 tys.	630 tys.
80%	1,5 mln	690 tys.	730 tys.	770 tys.	810 tys.	850 tys.
120%	2,2 mln	830 tys.	890 tys.	950 tys.	1100 tys.	1070 tys.
180%	3,3 mln	1040 tys.	1130 tys.	1220 tys.	1310 tys.	1400 tys.
250% I więcej	4,6 mln i więcej	1280 tys.	1410 tys.	1530 tys.	1660 tys.	1790 tys.

WYSOKOŚĆ RENTY INWALIDZKIEJ DLA III GRUPY

Wskaźnik WWWP*	Zarobki w momencie przejścia na rentę — w przeliczeniu na złotówki IX 1991 r.**	Staż pracy i wysokość renty***				
		5 lat	10 lat	15	20 lat	25 lat
40%	0,75 mln	460 tys.	460 tys.	460 tys.	460 tys.	470 tys.
80%	1,5 mln	520 tys.	550 tys.	580 tys.	610 tys.	640 tys.
120%	2,2 mln	620 tys.	670 tys.	710 tys.	760 tys.	800 tys.
180%	3,3 mln	780 tys.	850 tys.	910 tys.	980 tys.	1050 tys.

WYSOKOŚĆ RENTY RODZINNEJ (DLA 1 OSOBY UPRAWNIONEJ)

Wskaźnik WWWP*	Ostatnie zarobki zmarłego — w w przeliczeniu na złotówki IX 1991 r.**	Staż pracy zmarłego i wysokość renty			
		10 lat	20 lat	30 lat	40 lat
40%	0,75 mln	595 tys.	595 tys.	595 tys.	650 tys.
80%	1,5 mln	620 tys.	690 tys.	800 tys.	950 tys.
120%	2,2 mln	750 tys.	860 tys.	1020 tys.	1250 tys.
180%	3,3 mln	960 tys.	1110 tys.	1360 tys.	1700 tys.
250% i więcej	4,6mln i więcej	1200 tys.	1410 tys.	1760 tys.	2220 tys.

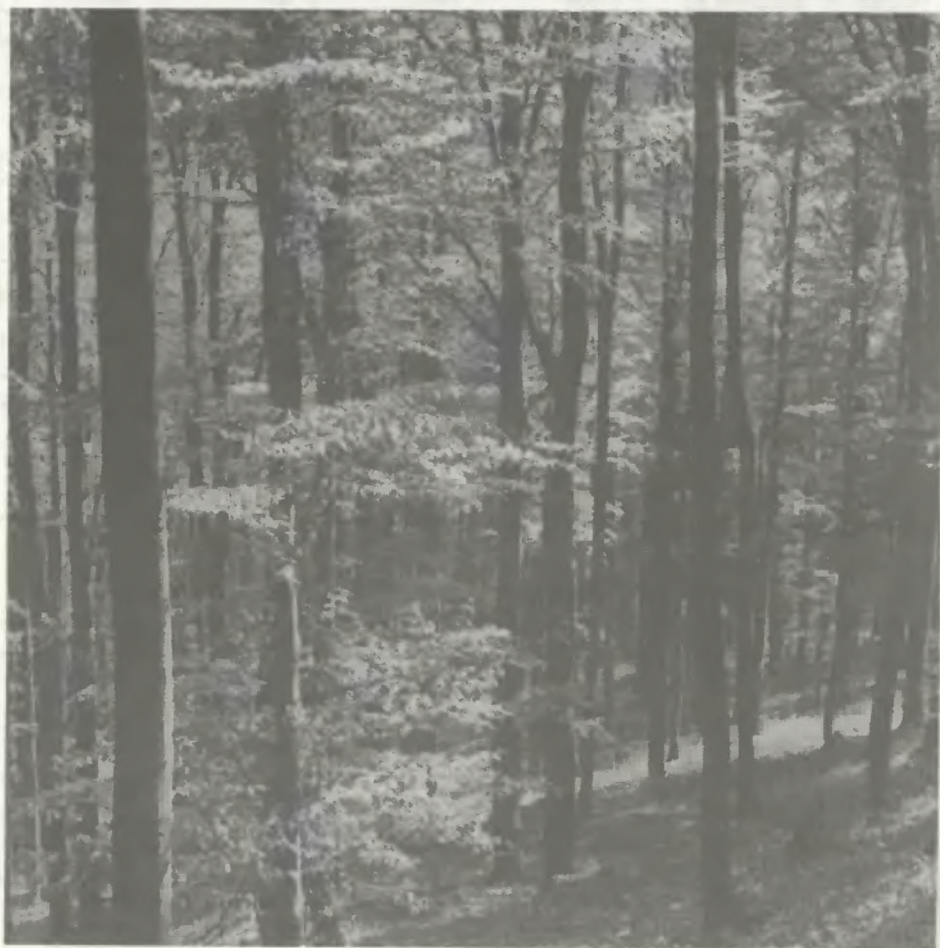
RENTY POWYPADKOWE (+ CHOROBY ZAWODOWE)

Wskaźnik WWWP*	Zarobki w momencie przejścia na rentę — w przeliczeniu na złotówki IX 1991 r.**	Jeżeli po wypadku (chorobie zawo- dowej) przyznano grupę inwalidzką	
		I lub II***	III***
40%	0,75 mln	595 tys.	460 tys.
80%	1,5 mln	1090 tys.	820 tys.
120%	2,2 mln	1630 tys.	1220 tys.
180%	3,3, mln	2450 tys.	1840 tys.
250% i więcej	4,6 mln i więcej	3400 tys.	2550 tys.

PRZYKŁADOWE ŚWIADCZENIA GÓRNICZE

Wskaźnik WWWW górnika*	Zarobki w momencie przejścia na emeryturę — w przeliczeniu na złotówki IX 1991 r.**	Emerytura****	Renta rodzinna dla 1 osoby
120%	2,2 mln	1470 tys.	1250 tys.
180%	3,3 mln	2000 tys.	1700 tys.
250% i więcej	4,6 mln i więcej	2620 tys.	2220 tys.

- * wskaźnik ten jest stosunkiem własnych zarobków do średniej krajowej w okresie przejścia na emeryturę lub rentę
- ** wyliczone przez pomnożenie wskaźnika WWWW przez średnią krajową w poprzednim kwartale bieżącego roku.
- *** renciści I, II i III grupy po wypadkach przy pracy mają liczony tzw. staż hipotetyczny, czyli do ich lat faktycznie przepracowanych dodaje się tyle, ile brakuje im do 55 roku życia.
- **** po 30 latach pracy, w tym 20 pod ziemią.



Szanuj zdrowie należycie...

CO JEŚĆ W CHOROBAH REUMATYCZNYCH?

W Polsce cierpi na nie co trzecia osoba, w tym duża liczba dzieci.

W chorobie reumatycznej konieczne jest dostarczanie większej ilości witamin B₁, B₂, A, D, a szczególnie witaminy C, której niedobory przyczyniają się do ogólnego osłabienia organizmu, bólów mięśni i kości. W celu zaspokojenia zapotrzebowania ustroju na te witaminy należy podawać większe ilości owoców i warzyw, szczególnie w postaci surowej, pieczywo wysokiego przemiału i drożdże (przedtem zalane gorącym mlekiem). Ważnym składnikiem pożywienia w chorobie gośćcowej jest białko zwierzęce, które jest niezbędne do wytwarzania ciał odpornościowych. W związku z tym zwiększyć należy w codziennym pożywieniu ilość twarogu, serów, drobiu, ryb, mięsa i jaj. Jednym z objawów przewlekłego gościca jest odpawianie kości, dlatego osoby cierpiące na tę chorobę muszą wypijać przynajmniej 1 l mleka dziennie (może być w postaci kefiru, jogurtu lub zwiększonej ilości twarogu). Tłuszcze w diecie podaje się w normalnych ilościach, jednak ze względu na dużą zawartość witaminy A najlepiej używać masła.

A jakie składniki pożywienia należy ograniczyć? Co do tego lekarze są zgodni: węglowodany i sól. Węglowodany powiększają stan uczulenia, w jakim znajduje się organizm, natomiast sól jest czynnikiem sprzyjającym powstawaniu stanów zapalnych. Szczególnie niewskazane są słodkie.

GDY SIĘ PRZEZIĘBIMY...

Dosyć często spotykamy osoby, które mimo kataru i kaszlu chodzą do pracy lub odwiedzają znajomych. Nie jest to żadne bohaterstwo, a po prostu, delikatnie mówiąc, głupota.

Znacznie lepiej jest zostać dwa—trzy dni w domu i „wyleżeć” zwykłe przeziębienie, stosując tradycyjnie aspirynę, witaminę C (w zwiększonej ilości) i pijąc herbatki ziołowe niż narażać się na długotrwałą, dość niebezpieczną dla starszych i dzieci chorobę.

Jedną z przypadłości zimowych jest nieżyt oskrzeli: objawia się on zmianami zapalnymi tchawicy, wywołuje uczucie drapania lub pieczenia za mostkiem, męczący kaszel i stany podgorączkowe. W cięższych przypadkach ostry nieżyt oskrzeli rozpoczyna się dreszczami, uczuciem ogólnego rozbicia i przebiega z gorączką, bardzo dokuczliwym kaszlem, bólami w klatce piersiowej, zadyszką. Oprócz przyjmowania leków zalecanych przez lekarza, dobrze jest w pokoju chorego rozwiesić wilgotne prześcieradła lub postawić naczynie z wodą na kaloryferze. Nie wolno palić papierosów, pić trzeba znaczne ilości płynów. Dobrze jest robić inhalacje (np. z sody zmieszanej z równą ilością soli kuchennej). Praktycznym sposobem przeprowadzenia takich inhalacji jest wsypanie do termosu (najlepiej takiego z szerszym otworem) dwóch łyżek stołowych soli i takiej samej ilości sody. Zmieszaną sól i sodę zalać wrzątkiem i podać ostrożnie choremu do wdychania unoszącą się z termosu parę.

Co polecają nasi zielarze „na przeziębienia”?

Chorobom gardła zapobiega herbata „Kaszubska” z kwiatu bzu czarnego, ziela szałwii, liści podbiału, owoców jarzębiny i korzenia prawoślazu. Właściwości ogólnie wzmacniające ma herbata „Wawel” z dużą ilością wit. C.

Ponieważ w jej skład wchodzi też kwiat lipy i owoc bzu czarnego, można ją również stosować jako łagodny środek napotny. A ponadto mamy Pyrosan działający napotnie, przeciwgorączkowo i uspakajająco, Pectosan i Neopectosan — środki wykrztuśne, odkazające drogi oddechowe. Nieoceniony jest Aliofil, otrzymywany z czosnku. Stoją też do naszej dyspozycji Pectosol, Septosan, Azulan, Propolan, wyciąg tymiankowy, nalewka z nagietka.

Nowym preparatem, zalecanym szczególnie przy zmniejszonej odporności na infekcje, schorzeniach górnych dróg oddechowych i osłabieniu jest Bioaron i Bioaron C. Jest to syrop aloesowo-aroniowy. Wyciąg z liści aloesu, który wchodzi w skład tego syropu, zawiera m.in. kwasy organiczne, witaminy oraz znaczne ilości soli mineralnych (cynk, magnez, miedź). Związki organiczne zawarte w soku pobudzają i regulują mechanizm obronny organizmu człowieka. Sok z aronii wzbogaca go w witaminy i mikroelementy. Korzystnie wpływa na poprawę ostrości widzenia.

Również nowym preparatem jest sok z jeżówki purpurowej *Succus Echinaceae* — środek profilaktyczny przy skłonnościach do infekcji, także w infekcjach bakteryjnych i wirusowych. Wspomaga również siły obronne organizmu przy konieczności podawania przez dłuższy czas antybiotyków. Warto poza tym skorzystać z następujących rad:

- jedz kilka razy dziennie po 1—2 ząbki czosnku, najlepiej drobno posiekanego, którym można posypać kanapki, albo pij gorące mleko z czosnkiem;
- staraj się jeść jak najwięcej cebuli lub pij syrop z niej (pokroić drobno cebulę, włożyć do słoika, zasypać cukrem i zostawić pod przykryciem; cebula puści sok, który pije się 3—4 razy dziennie po łyżce);
- pij w ciągu dnia napar z owocu dzikiej róży;
- włóż na gołe ciało ostry wełniany sweter i noś go tak długo, dopóki nie miną najmniejsze nawet oznaki przeziębienia. Sweter pozwala pocić się do woli — co w chorobie jest objawem pożądanym — bez ryzyka pogorszenia stanu chorobowego, gdy tymczasem koszula bardzo szybko zmienia się w zimny mokry okład, powodując wtórne przeziębienie;
- jeśli dokucza ci katar, rozetrzyj na miazgę dwa plasterki cebuli, zawiń w niewielki kawałek gazy i włóż do każdej dziurki w nosie starając się jak najmocniej wciągać ostry zapach cebuli. Po kilku lub kilkunastu minutach należy waciki wyjąć i dokładnie oczyścić nos. Zabiegi takie można powtarzać wielokrotnie w ciągu dnia;
- pamiętaj również, by w czasie kataru używać zawsze jednorazowych chustek do nosa lub ligniny.

NA KŁOPOTY Z ŻOŁĄDKIEM

Zmiany w układzie przewodu pokarmowego często prowadzą u ludzi starszych do zmniejszonego wydzielania soku żołądkowego oraz zwolnienia ruchów robaczkowych jelit, co powoduje przewlekłe zaparcia. Zmniejsza się również wydolność wątroby. Na te normalne zmiany zachodzące w organizmie ludzkim nakładają się czynniki zewnętrzne, jak siedzący tryb życia i niewłaściwy sposób odżywiania się. Dla złagodzenia tego typu dolegliwości polecam stosowanie ziół i leków roślinnych.

Czynności żołądka pobudza kłącze tataraku, owoc kminku, kwiat rumianku i liście mięty. Z mieszanki tych ziół (po 5 dkg każdego) sporządzić odwar (1 łyżka ziół na szklankę wody) i pić 2—3 razy dziennie. Można również kupić gotową mieszankę z 6 ziół *Digestosan*, która pobudza wydzielanie soków trawiennych,

ułatwia trawienie i znosi wzdęcia. Żółciotwórczo i żółciopędnie działa też sok ze świeżych korzeni mniszka. Ponadto poprawia on apetyt i jest zalecany w niedomogach czynności wątroby.

NAGIETEK

Jest rośliną jednoroczną, bardzo popularną w ogrodach i na działkach. Uprawiany jest jako roślina ozdobna i lecznicza. Surowcem zielarskim są kwiaty zbierane w koszyczkach lub pojedynczych płatkach. Ważne jest, by susząc kwiaty nie przekroczyć temperatury 4° C. Nie mogą stracić pomarańczowej barwy. Kwiaty zawierają: karotenoidy, olejek, śluz, związki żywicowe, związki gorzkie, witaminę C oraz sole mineralne z dużą zawartością manganu.



Nagietek stosowany bywa wewnętrznie w stanach zapalnych przewodu pokarmowego, w chorobie wrzodowej żołądka, schorzeniach wątroby i przewodów żółciowych. Stosowany jest w nowotworach złośliwych. Napary z kwiatów działają uspakajająco na system nerwowy, obniżają ciśnienie, wzmagają czynności serca. Zewnętrznie nagietek stosowany jest jako środek przeciwzapalny i gojący do płukania jamy ustnej i gardła, do okładów na rany, oparzenia, odmrożenia, liszaje, brodawki, odciski, jęczmień, ukąszenia owadów, pęknięcia skóry. Przy zapaleniu spojówek przemywa się oczy naparem nagietka. Napar: Łyżkę płatków nagietka zalać szklanką wrzątku i zostawić pod przykryciem na 10 minut. Odcedzić. Pić dwa razy dziennie pół szklanki płynu. Odwar do okładów (kompresów): 4 łyżki płatków zalać szklanką zimnej wody i gotować 20 minut, odcedzić. Kompres przykładać pod ceratkę.

MACIERZANKA PIASKOWA

Roślina często spotykana na suchych pastwiskach, słonecznych wzgórzach, przy drogach lub na brzegach sosnowych lasów. Wyrasta do 15 cm, tworząc duże, gęsto ulistnione kępy. Kwiaty fioletowe, czasami białawe. Cała roślina ma bardzo

przyjemny, mocny zapach. Surowcem zielarskim jest ziele macierzanki, a głównym składnikiem ziela macierzanki jest olejek lotny zawierający różne składniki, w tym sole mineralne. Działa antyseptycznie, ściągająco, przeciwzapalnie, pobudzająco, wykrztuśnie i moczopędnie. Polecana w niezżytach górnych dróg oddechowych, przy uporczywym kaszlu, a także w zaburzeniach przewodów pokarmowego. Macierzankę stosuje się w postaci naparu w stanach zapalnych miedniczek nerkowych, pęcherza i schorzeniach wątroby. Zewnętrznie stosuje się do płukania jamy ustnej i gardła w postaci okładów, przy bólach reumatycznych, neuralgicznych przy zapaleniu skóry i oczu, na wrzody, rany i stłuczenia. Od dawna znane i zalecane są kąpiele wzmacniające aplikowane dzieciom, rekonwalescentom i osobom starszym.

Napar: łyżkę ziela macierzanki zalać szklanką wrzątku, trzymać pod przykryciem 10 minut, odcedzić. Pić 1—2 razy dziennie po pół szklanki płynu.

Napar do użytku zewnętrznego: 5 łyżek ziela macierzanki zalać szklanką wrzątku i przykryć. Po 10 minutach rozparzone ziele zawinąć w płótno i przykładać na chore miejsce.

Do kąpieeli: 200 g suszonego ziela zagotować w 3—4 litrach wody, a gdy odwar naciągnie, przecedzić do wanny tylko w połowie napełnionej wodą.

LIPA

Lipa występuje dziko w lasach i jest powszechnie wysadzana jako drzewo użytkowe i ozdobne. Surowcem leczniczym są kwiaty, które zawierają niewielkie ilości olejku eterycznego, garbniki, śluz, pektyny, kwasy organiczne, substancje o działaniu podobnym do witaminy F oraz sole mineralne, w tym sole manganu.

Korę i liście lipy stosowano w medycynie ludowej na schorzenia oczu. Obecnie w medycynie kwiat lipy stosowany jest przede wszystkim jako środek napotny, w chorobach przebiegających z podwyższoną temperaturą ciała, przeziębieniach, zapaleniach oskrzeli, zaflegmieniu górnych dróg oddechowych. Ponadto jako lek moczopędny i rozkurczający w schorzeniach nerek i pęcherza. Zewnętrznie napar z kwiatu lipy stosuje się do płukania jamy ustnej i gardła oraz do kąpieeli, zwłaszcza dla dzieci nerwowych, mających trudności z zasypianiem.

ZAMIAST SMALCU — OLEJ

Zainteresowanie fizjologów nienasyconymi kwasami tłuszczowymi rozpoczęło się w latach trzydziestych, ale poglądy co do ich leczniczych właściwości nie były jednoznaczne. Stwierdzono jednak, że w niektórych schorzeniach ich pozytywne działanie jest bezsporne. Za najcenniejsze źródło nienasyconych kwasów tłuszczowych uznano oleje: słonecznikowy, sojowy, kukurydziany i arachidowy. Są one zalecane przez specjalistów od żywienia do stosowania w gospodarstwie domowym zamiast tłuszczów zwierzęcych zawierających nasycone kwasy tłuszczowe.

Zupełnie nowego fizjologicznego znaczenia nabrały nienasycone kwasy tłuszczowe z chwilą poszerzenia wiedzy o prostaglandynach — związkach wytwarzanych przez niektóre organy u ludzi i działających jako swoiste hormony tkankowe. Otrzymanie tych związków w stanie czystym pozwoliło na zbadanie ich struktury chemicznej, która okazała się podobna do struktury nienasyconych kwasów tłuszczowych. Dalsze badania wykazały, że nienasycony kwas gamma-linolenowy jest prekursorem jednej z prostaglandyn, tj. prostaglandyny E₁. Hormony te w bardzo małych stężeniach hamują objawy alergiczne, wzmagają wydzielanie insuliny, hormonów przysadki mózgowej i tarczycy, podwyższają kurczliwość

mięśnia sercowego, hamują gromadzenie się kwasów tłuszczowych w tkankach, zwiększają przepuszczalność naczyń krwionośnych.

Liczne badania prowadzone na świecie udowodniły, że nasiona wiesiołka stosowane w małych dawkach profilaktycznie lub w większych dawkach w stanach chorobowych są skutecznym lekiem w schorzeniach skóry, przy podwyższonym poziomie cholesterolu, ciśnieniu krwi oraz, co bardzo ważne, zwiększają ogólną odporność organizmu.

GŁOWĄ W DÓŁ

Południowoafrykański lekarz dr Morgan Barber skonstruował specjalne urządzenie umożliwiające pacjentom zawisnięcie bez większego wysiłku głową w górę. Twierdzi on, że taki „zwis” poprawia przemianę materii, usuwa bolesne napięcia szyi i karku. Dr Barber jest też przekonany, że codzienne parominutowe zwisanie głową w dół może zwolnić proces starzenia się naczyń i mięśni.

Coś w tym jest. Patron lekarzy, Hipokrates, niekwestionowany reformator medycyny antycznej, miał w swoim ogrodzie wkopaną w ziemię drabinę, na której też umieszczał głowę w dół (na krótko) pacjentów skarżących się na bóle w krzyżu. Może spróbować?



Spróbój upichcić

BEZY

Białka z 6 jajek, 25 dk g cukru pudru (lub mialkiego), cukier waniliowy.

Białka ubić na sztywną pianę, po czym stopniowo dodawać cukier, nadal ubijając. Na końcu dodać cukier waniliowy lub parę kropel zapachu waniliowego, albo — jeśli ktoś lubi — parę kropel zapachu cytrynowego. Blachę wyłożyć papierem (lub folią aluminiową), lekko posmarować tłuszczem (margaryna, masło roślinne) i metalową łyżką kłaść kupki. Piec (a raczej wysuszyć) w le-dwie ciepłym (najmniejszy płomień) piekar-niku, aż beziki zaczną różowieć. Można nimi ubrać mak, można jeść same, można przekła-dać jakimś kremem i składać po dwa.

Jeśli ktoś ma więcej białek (z 9 lub 12 jajek) — zamiast małych bezików można upiec w trzech tortownicach (albo w jednej po kolei, ale wówczas trzeba oddzielnie ubi-jać pianę na każdy krążek — bo opadnie) trzy krążki bezowe. Przełożone kremem kawo-wym i ubrane z wierzchu, dadzą nam wspa-niały tort mocca. Można taki tort posy-pać z wierzchu garsteczką posiekanych wło-skich orzechów.

SZARLOTKA TRADYCYJNA

1/2 kg mąki, 1/4 kg tłuszczu (margaryna, masło roślinne), 10—12 dk g cukru, łyżeczka octu, 2 łyżki śmietany, pół łyżeczki proszku do pieczenia, szczypta soli, cukier waniliowy; 1,5 kg jabłek (antonówka lub szara reneta), cukier do smaku, cukier waniliowy; 3 łyżki tartej bułki.

Z podanych składników zagnieść kruche ciasto, zawinąć w ściereczkę i włożyć do lodówki. Obrąć jabłka, kracząc w kawałki, odrzucając gniazda nasienne, włożyć do ron-dla, podlać kilkoma łyżkami wody i rozgoto-wać. Gdy się rozleją, dodać do smaku cukru, cukru waniliowego i jeszcze chwilę dusić. Tortownicę nasmarować tłuszczem, wysy-pać tartą bułką, ułożyć połowę kruchego ciasta na grubości ok. pół centymetra, aby przykryte było dno i boki do połowy wysoko-ści tortownicy. Nakłuć w kilku miejscach widelcem i wstawić do bardzo gorącego piekarnika. Kiedy ciasto zacznie się rumie-nić, wyjąć. Posypać tartą bułką i rozłożyć równą warstwą na cieście jabłka, znów posy-pać tartą bułką, przykryć jabłka plackiem z pozostałego ciasta, przyklejając brzegi do wystających boków. Piec, aż wierzch się zrumieni.

SZARLOTKA — SYPANKA I

1 szklanka kaszy manny, 1 szklanka cukru, 1 szklanka mąki, 1 mały proszek do piecze-nia (lub pół dużego), 1 kg jabłek, 3 łyżki cukru do jabłek, cukier waniliowy, pół kostki margaryny (lub masła roślinnego — ok. 12 dk g).

Wszystkie sypkie składniki (kasza, mąka, cukier i proszek do pieczenia) wymieszać. Jabłka zetrzeć na grubej, jarzynowej tarce, dodać cukier i cukier waniliowy. Tortownicę wysmarować tłuszczem, wysypać tartą buł-ką, po czym wysypać 1/3 mieszaniny równą warstwą na dno tortownicy, na to położyć połowę startych jabłek, znów wysypać 1/3 mieszaniny i przykryć resztą jabłek. Ostatnią warstwę stanowi sypka mieszanina (przypo-minamy: 3 warstwy mieszaniny i 2 jabłek), na którą rozkładamy płatki margaryny. Wsta-wić do niezbyt gorącego piekarnika (200° C) i piec 45—50 minut. Ładnie zrumienioną wyjąć z piekarnika i posypać cukrem pud-rem wymieszanym z cukrem waniliowym.

SZARLOTKA — SYPANKA II

„Sypanka”, która może się składać z mąki, kaszy manny, kaszki ryżowej, wiór-ków kokosowych, mielonych orzechów — w różnych proporcjach, byle by tego były 2 szklanki — wymieszanych z 1/2 — 1 szklanką cukru, 1 kg jabłek (najlepsze są bojkeny lub landsberskie) utartych na grubej tarce jarzynowej z dodatkiem cyna-monu lub wanilii oraz pół kostki margaryny i tarta bułka.

Średnią tortownicę dobrze wysmarować tłuszczem i obsypać grubo tartą bułką i ukła-dać warstwami „sypankę” i jabłka: pierwszą i ostatnią warstwą powinna być „sypanka”. Na wierzch dajemy wiórki lub płatki marga-ryny; można posypać cukrem. Wstawiamy do gorącego piekarnika (200—220° C) i piecze-my 45 minut.

Można jeść i na ciepło, i na zimno.

CIASTO W PÓŁ GODZINY

2 szklanki mąki, 1 jajko, pół kostki tłuszc-zu, 1/2 szklanki cukru, płaska łyżeczka proszku do pieczenia, zapach, 1 łyżka alko-holu lub 2 łyżki śmietany czy kwaśnego mleka.

Wszystkie składniki posiekać nożem, po-tem ciasto wyrobić ręką. Wyłożyć cienką warstwą na wysmarowaną tłuszczem i posy-paną tartą bułką brytfankę. Ciasto nakłuwa-

my widelcem; jest bardziej kruche. Na wierzch położyć owoce z kompotu (osączone), mrożone lub zetrzeć jabłko na grubej tarce. Posypać cukrem (najlepiej cukrem pudrem), cynanonem, cukrem waniliowym lub dodać wiórki kokosowe. Włożyć do nagrzanego piekarnika.

Przygotowanie ciasta wymaga 15 minut, pieczemy kwadrans.

CIASTO Z OWOCAMI

3 jajka, 1 szklanka cukru, 1—1,5 szklanki mąki, zapach, 1—1,5 łyżeczki od herbaty proszku do pieczenia, 1—1,5 kg jabłek (mogą być inne owoce, nawet z kompotu).

W wysmarowanej tłuszczem i wysypanej tartą bułką tortownicę układamy jabłka pokrajane w grube plastry lub ćwiartki. Całe jajka z cukrem roztrzepujemy, najlepiej przy pomocy miksera, przez parę minut. Dodajemy pozostałe składniki: mąkę, proszek, zapach i mieszamy, aby powstała jednolita dość gęsta masa, którą polewamy ułożone w tortownicy owoce. Pieczemy w średnio gorącym piekarniku lub prożu 30—40 minut.

Ciasto ma tę zaletę, że robi się je bardzo szybko, jest dobre zarówno na gorąco, jak i na zimno, a poza tym można je robić przez cały rok wykorzystując różne owoce.

PLACEK Z TRUSKAWKAMI

1 13/4 szklanki mąki, 12 dkg (pół opakowania) margaryny, 3/4 szklanki cukru, 4 jajka, 1 łyżeczka proszku do pieczenia, cukier waniliowy, 7 łyżek mleka, 3/4 kg truskawek, cukier puder do posypania ciasta, tłuszcz do wysmarowania blachy, bułka tarta do wysypania.

Mąkę wymieszać z proszkiem do pieczenia i cukrem waniliowym. Blachę wysmarować tłuszczem (margaryną) i wysypać tartą bułką. W makutrze ucierać margarynę z cukrem na pianę. Ucierając dalej dodawać na przemian 1 łyżkę mąki, 1 żółtko i łyżeczkę mleka, aż do wyczerpania składników. Z białek ubić sztywną pianę, dodać do utartego ciasta i lekko wymieszać. Wylać ciasto na blachę i równą warstwą wysypać na wierzch umyte i osączone z wody truskawki. Piec w średnio gorącym piekarniku ok. 40 min. (sprawdzić patyczkiem, czy dobrze wypieczone).

Gorący placek posypać cukrem pudrem, wymieszanym z cukrem waniliowym. Po przestygnięciu krajać ciasto w kwadraty i wyłożyć na półmisek.

KRUCHY PLACEK Z TRUSKAWKAMI

Na ciasto: 1/2 kg mąki, 1/4 kg margaryny lub masła roślinnego, 3/4 szklanki cukru, 1 łyżka soku cytrynowego, cukier wanilio-

wy, 1 łyżka śmietany. Ponadto 1/2 kg truskawek (poziomek lub malin), półtorej szklanki kremu ze śmietanki (gotowego, kupionego w cukierni) lub 1 szklanka śmietanki, 2 łyżki cukru pudru wymieszanego z cukrem waniliowym.

Z podanych składników zagnieść szybko kruche ciasto, wstawić do lodówki na pół godziny. Tortownicę średniej wielkości wysmarować tłuszczem (margaryną), wysypać tartą bułką, wyłożyć na dno cienką warstwą ciasta, okleić brzegi wałeczkiem ciasta, aby powstał wyższy rant. Wstawić do nagrzanego piekarnika i upiec na jasny kolor. Upieczone ciasto wystudzić, przełożyć na półmisek lub tackę do tortu. Tuż przed podaniem ułożyć na cieście umyte i osączone z wody, pozbawione szypulek truskawki, posypać cukrem pudrem wymieszanym z cukrem waniliowym i polać kremem ze śmietany (gotowym lub ubitym ze śmietany i cukru).

ZAPIEKANKA Z CZERWONYCH OWOCÓW

0,5 kg owoców mieszanych (porzeczki, maliny, wczesne wiśnie — szklanki lub lutówki), oczyszczonych z szypulek i wystekowanych, 15 dkg cukru; ponadto: 20 dkg mąki, 12,5 dkg cukru, 12,5 dkg masła (roślinnego, margaryny).

Masło posiekane na maleńkie kawałeczki wymieszać z cukrem (12,5 dkg) i mąką. Przesiekać, aż utworzy się jakby kaszka. Umyte, oczyszczone owoce wymieszać z cukrem (15 dkg). Przełożyć owoce na lekko posmarowaną tłuszczem tortownicę (średnicy 22 cm) lub do żaroodpornego szkła, posypać ciastem i wstawić do nagrzanego piekarnika (220° C — 6 na termostacie) na 30—40 minut. Zapiekanek jest gotowa, kiedy wierzch się lekko zrumieni.

Podawać ciepłą. Można do niej podać oddzielnie śmietanę ubitą z cukrem i cukrem waniliowym.

ZAPIEKANKA — DESER

3/4 kg jabłek, 3 pełne łyżki cukru, cukier waniliowy, pełna łyżka masła i tarta bułka do formy; 4 duże jajka, 6 czubatych łyżek mąki, 4 łyżki cukru, zapach waniliowy lub cytrynowy, płaska łyżeczka proszku do pieczenia.

Żaroodporne naczynie wysmarować dokładnie i obficie masłem, wysypać tartą bułką. Jabłka umyć, obrać, odrzucić gniazda nasienne, pokrajać w cieniutkie plasterki. Z białek ubić bardzo sztywną pianę, następnie — nadal ubijając — dodawać po trochu cukier, żółtka, parę kropel zapachu cytrynowego (lub waniliowego), wreszcie mąkę wymieszaną z proszkiem do pieczenia. Do przygotowanej formy włożyć jabłka, przesypując je cukrem z cukrem waniliowym, i zalać ciastem. Wstawić do nagrzanego piekarnika

(200° C) i piec 30—35 minut. Podawać lekko ciepłe w naczyniu, w którym się piekło, lub przewrócone do góry dnem na półmisku.

WIŚNIE ZAPIEKANE W CIEŚCIE

0,5 kg dojrzałych wiśni (najlepiej czarnych), pół szklanki cukru pudru, 4 łyżki mąki, 2 jajka, szklanka mleka, 3 łyżeczki masła, pojedyncza porcja cukru waniliowego, szczypta soli, cukier puder do posypania.

Wiśnie opłukać i oberwać szypułki, po czym wydrylować za pomocą specjalnej maszynki lub małej agrałki. Całe jajka i cukier ubić za pomocą sprężyny do ubijania białka lub w mikserze, po czym dodawać do nich stopniowo mąkę i układać. Na koniec dodać mleko, cukier waniliowy i sól. Uzyskane ciasto powinno być gładkie, o gęstości zbliżonej do ciasta naleśnikowego. Żaroodporne naczynie grubo wysmarować masłem, ułożyć wydrylowane wiśnie, zalać przygotowanym ciastem. Na wierzchu położyć grudki pozostałego masła i piec w średnio nagrzanym piekarniku (ok. 150° C) do zarumienienia (ok. 20 min). Po wyjęciu posypać ciasto obficie cukrem pudrem.

TANI TORCIK ORZECHOWY

6 jajek, 15 dkg cukru, 18 dkg orzechów, 2 łyżki tartej bułki, cukier waniliowy.

Utrzeć żółtka z cukrem do białości. Dodać zmielone orzechy i tartą bułkę oraz cukier waniliowy. Dobrze wymieszać z utartą masą, podzielić ciasto na 2 równe części i upiec w wysmarowanej tłuszczem i wysypanej tartą bułką tortownicy 2 placki. Wystudzić. Przełożyć jakimś kremem lub następującą masą: utrzeć na pianę 20 dkg masła (roślinnego) z 10 dkg cukru, wbić (po jednym) 3 żółtka, stale mieszając, dodać kilka łyżek czarnej kawy. Ucierać, aż powstanie jednolita masa. Można na wierzchu posmarować częścią kremu i przybrać orzechami. Można polukrować.

TORT MAKOWY

Na ciasto: 30 dkg maku, 30 dkg cukru, 8 jajek, 3 łyżki kaszy manny, 1 łyżka tartej bułki, 1 łyżeczka proszku do pieczenia, cukier waniliowy.

Mak sparzyć i odsączyć z wody. Przepuścić dwa razy przez maszynkę do mielenia. Z żółtek i cukru ukroić kogel-mogel. Stale ucierając (można ubijać mini-mikserem), kolejno dodawać pozostałe dodatki. Na końcu dodać oddzielnie ubitą na sztywno pianę z białek. Lekko wymieszać. Wylać ciasto na wysmarowaną tłuszczem i wysypaną tartą bułką tortownicę, wstawić do nagrzanego

piekarnika i piec na niedużym ogniu ok. 40 minut. Następnego dnia przekrajać ostrym nożem ciasto na 3 plastry. Nasączyć ponczem (herbata lekko osłodzona z dodatkiem soku cytrynowego i zapachu rumowego lub odrobiny alkoholu) i smarować kremem jak każdy tort. Najlepszy krem waniliowy lub kawowy. Ubrać siekanymi orzechami.

PIEROGI DLA LENIWYCH

Ten przepis wymyśliła pani, której rodzina uwielbia ruskie pierogi, tyle tylko, że sama nie lubiła ich robić. Wpadła więc na pomysł robienia ruskich pierogów w naleśnikach. Naleśniki to dla gospodyni żaden problem, przypominamy tylko proporcje: **2 jajka, 1/2 litra mleka, kefiru lub jogurtu, ok. 2 szklanek mąki, łyżka roztopionego masła, szczypta soli i szczypta cukru.** Nadzienie: **1 kg ugotowanych kartofli utrzeć na tarce lub gniesć widelcem, 30 dkg twarogu, sól, pieprz i majeranek do smaku, przysmażona na drobno posiekana cebula.** Wykonanie: na naleśniki nakładamy „ruskie” nadzienie, zakładamy boki do środka, zwiijamy w rulonik i smażymy na rumiano, najlepiej na oleju.

ŚLEDŹ NA ZIELONO

Holenderskie przysłowie mówi: „Śledź w domu — choroba z domu”. Śledzi mamy w bród, warto więc częściej niż ze świątecznych czy imieninowych okazji stawiać je na stół. To rzeczywiście jedna z najwartościowszych ryb i zawsze dostępna. Postarajmy się zatem o mniej znane, mniej banalne przepisy na potrawy ze śledzi. Spróbujmy, zamiast — lub obok — tradycyjnego śledzia w śmietanie, w oleju czy rolmopsów, podać „śledzia na zielono”.

Pokrajane w dzwonka **śledzie** układamy na półmisku, a na „zielono” potrzeba: **2—3 średniej wielkości, obrane ze skórki ogórki kiszzone, pęczek zielonego szczypiorku, pęczek zielonej dymki, kilka marynowanych grzybków.** Wszystko to drobniutko siekamy, dodajemy oleju, pieprzu, maggi, soli do smaku i nakładamy na śledzie. Półmisek dekorujemy czerwoną papryką i jajkami na twardo.

KALMARY

Około 1 kg kalmarów (porcje na 3—4 osoby) gotujemy w dużej ilości wody. Dodajemy **suszone lub świeże liście selera, lubczyk, czosnek**, gdyż kalmary mają ostry zapach. Solimy pod koniec gotowania. Kalmary są miękkie, gdy wchodzi w nie widielec (ok. 1 godz.). Odcedzamy, myjemy i kroimy w paseczki lub dzwonka. Przyrządzamy do nich sosy:

1. **Półtorej szklanki wody, sól, 2—3 łyżki tartego chrzanu** gotujemy kilka minut, dodajemy **kwasek cytrynowy**. Po połączeniu kalmarów z sosem zaprawiamy **śmietaną z łyżką maki**.

2. **Marchew** utartą na grubej tarce, pokrojoną **cebulę, 2 mrożone pomidory** dusimy w małej ilości wody. Zamiast pomidorów możemy dodać przecieru pomidorowego. **Sól, pieprz i tymianek do smaku**. Potem łączymy z kalmarami i kilka minut gotujemy.

3. **Posiekaną cebulę, pory** pokrojone w pierścionki dusimy w małej ilości wody i 2 łyżkach oliwy lub oleju sojowego. Dodać **mieloną czerwoną paprykę, sól, pieprz**. Połączyć z kalmarami i zagotować.

DUSZONY OZÓR

Z ozoru wołowego oddzielić część mięsistą, której się zwykle używa do duszenia, odłożyć zaś nasadę, która się nada do zrobienia doskonałego rosółu. Stopić w żelaznej rynience **słoninę** w niewielkiej ilości **masła**; gdy będzie tak gorąca, że skwarki zaczną schnąć, wyjąć skwarki a do dymiącego tłuszczu włożyć ozór i przyrumienić. Powierzchnia pokryta perlistą, twardą skórką zrumieni się, ale to nie szkodzi. Dodać **kilka cebul i marchewek** pokrajanych w plastry; niech wszystko nabierze koloru. Posolić niewiele, popieprzyć, dodać skwarki i **ok. 12 dkg wędzonego boczk**u, pokrajanego w kawałki, podlać **kieliszkiem białego, wytrwanego wina**, nakryć i gotować 1 godz. na wolnym ogniu. Skosztować. Uważać, aby nie przesolić, gdyż boczek jest zwykle dość słony; dodać jeszcze **kieliszek madery lub porto** i trochę rosółu i gotować przez dalsze 4 godz. na wolnym ogniu.

SURÓWKI

Z KAPUSTY

5 filiżanek poszatkowanej kapusty cukrowej, 2 łyżeczki soli, majonez z dodatkiem małej ilości śmietanki słodkiej.

Kapustę włożyć do salaterki, przykryć i wstawić do lodówki na co najmniej 2 godziny. Tuż przed podaniem wyjąć, posolić, zalać majonezem ze śmietaną, wymieszać. Podać natychmiast.

ZE SŁODKIEJ KAPUSTY Z MARCHWIĄ

Kawałek (ok. 40 dkg) kapusty, 20 dkg marchwi, 1 ząbek czosnku, 1 łyżka octu winnego (owocowego), 4 łyżki oleju, 1 łyżeczka miodu, 3 łyżki jogurtu (lub kefiru), sól do smaku.

Kapustę cienko poszatkować, posolić, wymieszać i odstawić na 1/2 godziny. Lekko odcisnąć, dodać utartą na drobnej tarce marchewkę. Z pozostałych składników zrobić zalewę, dodając do niej rozgnieciony czosnek. Zalać sosem kapustę, wymieszać.

Z MARCHWI Z JABŁKIEM

30 dkg marchwi, 2 jabłka, 1/3 szklanki śmietany, cukier-puder do smaku, siekany koperek (mrożony).

Marchew wyszorować, obrać, zetrzeć na drobnej tarce. Jabłka obrać, zetrzeć na jarzynowej tarce, wymieszać z marchewką, dodać śmietaną wymieszaną z koperkiem i podprawioną cukrem-pudrem.



Doniczka i okolice

DOKARMIANIE ROŚLIN

Dobłą odżywką dla naszych zielonych pupilków jest woda, którą płukana była butelka albo plastikowa torebka po mleku — podobnie jak woda, w której płukaliśmy mięso wołowe lub cielęce (w żadnym przypadku wieprzowe) i... woda z akwarium. Pamiętajmy o cennych skorupkach jaj; drobno zmielone, zmieszane z odrobiną cukru-pudru należy wysypać na lekko wzruszoną, np. widelcem, ziemię w doniczce. Podobnie zasilają rośliny fusy od herbaty i kawy.

Rośliny o pięknych, dużych liściach wymagają od czasu do czasu staranniejszej toalety. Po umyciu czystą wodą można je przetrzeć gąbką zmoczoną jasnym piwem — odzyskają piękny połysk.

CYKLAMENY

Cyklameny to nasze ulubione rośliny doniczkowe. Staramy się, aby jak najdłużej kwitły. Jak to uzyskać?

Po przyniesieniu doniczki do domu, aby się lepiej zadomowiła, wstawiamy ją na 15—20 minut do pojemnika z wodą tak, by poziom wody sięgał do połowy doniczki. Następnie podlewamy lejąc wodę na spodeczek, a gdy podłoże dobrze nasiąknie, nadmiar wody ze spodeczka zlewamy. Najlepsza temperatura w czasie kwitnienia to 12—14° C. Pamiętajmy też o zasilaniu — co 2 tygodnie — np. Florowitem. Po przekwitnięciu rośliny przesadzamy do świeżej ziemi tak, by bulwka wystawała nad brzeg doniczki. Ograniczamy podlewanie. W maju możemy ją zadołować w półcienym miejscu na działce lub w skrzynce na balkonie. Normalnym zjawiskiem jest żółknięcie liści, które wrywamy nie pozostawiając ogonków liściowych. Gdy pojawiają się nowe liście, zaczynamy więcej i regularnie podlewać i zasiląć co 2 tygodnie. Na początku września powinny pojawić się pączki kwiatowe. Możemy doniczkę przenieść do domu i ustawić w chłodnym miejscu.

FIKUS ZRZUCA LIŚCIE

Fikusy należą do bardzo dekoracyjnych roślin. Mają liście jedno- lub dwubarwne. Bywają o pędach prostych, wyginających się i czepnych. Zazwyczaj wszystkie te gatunki wymagają podobnego pielęgnowania, z tą różnicą, że roślinom o liściach dwubarwnych należy zapewnić więcej ciepła i wyższą wilgotność.

Wybieramy dla nich stałe miejsce, oświetlone, lecz nie w pełnym słońcu. Przesadzamy je wiosną, najlepiej w ziemię liściową, zmieszaną z piaskiem, torfem węglem drzewnym. Mogą być także mieszanki zawierające wolno rozkładające się nawozy — te ostatnie szczególnie polecane dla roślin starszych. Bardzo ważne jest właściwe podlewanie. W okresie luty-marzec do końca sierpnia — podlewamy dużo. Od września ograniczamy podlewanie, gdyż nadmiar wody może doprowadzić do zamarcia rośliny. Liście regularnie zraszamy, a także zmywamy (wodą lub ściereczką), aby nie dopuścić do pojawienia się szkodników. W okresie wzrostu fikus intensywnie nawozimy.

Zrzucanie dolnych liści spowodowane jest zbyt wysoką temperaturą otoczenia. Pojawienie się żółtych, ciemnobrązowych, czy też czarnych plam spowodowane jest niską temperaturą lub zbyt obfitym podlewaniem w okresie spoczynku roślin.

NASZ OGRÓDEK

Czy kwitnące w doniczkach tulipany, hiacynty, krokusy można później wsadzić do ogródka? Tak, ale aby to wykonać, należy usunąć przekwitłe kwiaty. Następnie zapewnić właściwy wzrost pozostałym liściom. Osiągniemy to przez ich regularne podlewanie. Gdy liście zaczynają podsychać, przestajemy podlewać. Po całkowitym zaschnięciu liści wyjmujemy cebulki z doniczek. Czyścimy je z ziemi i zanieczyszczeń. Pozostawiamy w chłodnym i przewiewnym miejscu (np. zawieszane w siateczce) do jesieni — wówczas sadzimy je w ogródku.



Porady praktyczne

ZAMIAST PRZEPLĄCAĆ...

Energia elektryczna jest coraz droższa, więc:

- Zmniejszamy nasze przyzwyczajenia i nie iluminujemy pustych pomieszczeń. Zastanówmy się też, czy nie przesadziliśmy z mocą żarówek oświetlających takie pomieszczenia, jak korytarz i ubikacja.

- Lodówki i zamrażarki eksploatujemy ściśle według zaleceń ich producentów. Pamiętajmy, że przez dłuższy czas nie rozmrażane stają się prawdziwymi pożeraczami energii. Jeśli stoją blisko kaloryfera, to w miarę możliwości postaramy się przenieść je w inny kąt kuchni.

- Do gotowania na kuchenkach elektrycznych używajmy ciężkich emaliowanych garnków z pogrubionym dnem. Dno garnka powinno przy tym ściśle przylegać do płytki grzejnej

- Starajmy się kupować urządzenia energooszczędne (wskazówka dla naszych producentów), a więc z reguły produkcji zachodniej. Są one wprawdzie droższe od tych pochodzących z naszej części Europy, ale za to są o wiele tańsze w codziennej eksploatacji.

PRZECHOWUJEMY SAŁATĘ

Zielona sałata jest zimą i na przedwiośniu bardzo drogą nowalijką, szkoda więc, aby nawet parę listków się zmarnowało. Jeżeli chcemy ją przechować przez kilka dni, to: myjemy sałatę starannie pod bieżącą chłodną wodą, układamy na sitku, aby ściekł nadmiar wody. Następnie ostrożnie, listek po listku wkładamy do nylonowej torebki. Zakrecaamy gumką i układamy na dolnej półce lodówki. W ten sposób przetrzymamy ją bez obawy zwiędnięcia.

ZIELONE NA ŻÓLTE

Wiele pań domu nie kupuje zielonych bananów z obawy, że prędzej zgniją, niż dojrzeją. Tymczasem by stały się one żółte i apetyczne, wystarczy tylko włożyć je na noc do plastikowej torebki razem z jabłkami.

PRZESUSZONE MEBLE

Wszystkie meble politurowane (nie powlekane lakierem!) są w naszych centralnie ogrzewanych mieszkaniach z reguły przesuszone. Warto więc o tym pamiętać i 1—2 razy w roku natrzeć je odrobiną oliwy z oliwek. Oliwę leciutko podgrzewamy i zwilżamy

w niej tampon z waty, którym wcieramy — ruchem kolistym — oliwę w powierzchnię starannie odkurzonego mebla. Po 45 min. meble polerujemy mięciutką flanelową szmatką albo kawałkiem wełnianej dzianiny.

KUCHENNE ZASŁONKI

Kuchenne zasłonki i firaneczki bardzo szybko się brudzą. Osadza się na nich tłusty kurz, który bardzo trudno się spiera. Sprawdzona rada na łatwiejsze pranie jest następująca: zdjęte zasłonki wkładamy na noc do zimnej, mocno osolonej wody, a następnie pierzemy w gorącej, z dodatkiem detergentu — może to być nawet „Ludwik” lub „Antek”. I uważaj! mocno krochmalimy. Dzięki temu firaneczki dłużej zachowują świeżość, a kolejne pranie będzie o wiele łatwiejsze, gdyż tłusty kurz zejdzie razem z krochmalem.

POTNIEJĄCE SZYBY

Wprawdzie w handlu nie brak już preparatów zapobiegających zaparowywaniu szyb naszych wehikułów, ale... No właśnie, skuteczność wielu z nich ma się nijak do ich cen. Tymczasem już nasze babcie odkryły, że szyby nie zajdą parą, jeśli przetrzemy je roztworem złożonym z 1 łyżki płynnej gliceryny, 4 łyżek wody i 10 łyżek denaturowanego spirytusu.

MAŁE PRANKO

Pasy elastyczne i staniki należy prać wyłącznie w rozgotowanym mydle lub w płatkach mydlnych. Detergenty uszkadzają gumę! Jeżeli można, to do ostatniego płukania warto dodać kilka kropli amoniaku. Odcisnąć w grubym ręczniku frotowym, suszyć rozłożone na ściereczce, nie na słońcu!

Przeciwyłakowe pończochy najlepiej prać w wywarze z pszennych otrąb przygotowanym w proporcji 1 duża garść otrąb na jeden litr wody. Wywar przecedzić, ostudzić i do letniego włożyć pończochy. Bardziej przybrudzone miejsca wyciskać kilkakrotnie. Płukać w letniej wodzie, odcisnąć w ręczniku i suszyć na czystej ściereczce po nadaniu im pierwotnego kształtu.

PUSZYSTE I PUCHATE

Ostatnio wraca moda na swetry, berety, chustki, szaliki z angorskiej wełny. Coraz rzadziej wprawdzie trafiają się wyroby

z czystej wełny kóz angorskich czy angorskich królików; zazwyczaj jest w nich pewna domieszka włókien sztucznych, czy też zwykłej wełny. Niemniej są to rzeczy efektowne i drogie. I jeśli jest to coś jasnego, z przerażeniem myślimy o nieuchronnym praniu tej naszej cennej puszystości. Nie ma się jednak czego bać — pod warunkiem, że wiemy, jak to robić.

A zatem dzianinę z angorskiej wełny wkładamy do nylonowego woreczka, zamykamy gumką — recepturką i wkładamy na 2—3 dni do zamrażalnika w lodówce. Dzięki temu zabiegowi nie będą wypadły włoski, decydujące o atrakcyjnej puszystości wyrobu. Po wyjęciu z lodówki oczekujemy godzinę. Pierzemy — lekko wygniatając — w zupełnie letniej wodzie z dodatkiem rozgotowanego mydła, płatków mydlanych lub jakiegoś płynu do prania wełny. Płuczemy również w letniej wodzie, dodając do ostatniego płukania 1 łyżkę gliceryny na 1 litr wody. Lekko odciśniętą dzianinę zawijamy, też lekko, w gruby frotowy ręcznik, potem w jeszcze jeden. Układamy ją potem do wyschnięcia na czystym, suchym ręczniku pamiętając o tym, aby w czasie suszenia tę naszą angorę kilka razy energicznie strzepnąć.

Podobnie — z praniem w letniej wodzie, z suszeniem w ręczniku i strzepywaniem — obchodzimy się z wyrobami mohairowymi. Nie trzeba ich przedtem zamrażać, a do płukania dodać trochę więcej gliceryny. Po wyschnięciu mohair czesemy drucianą szczotką i jeszcze raz strzepujemy.

ODZIEŻ ZE SKÓRY

Wyroby ze skóry są drogie, warto więc dbać o nie, nie dopuszczać do przemoczenia, przesuszenia, popękania. Kurtki, spodnie, spódnice, kamizelki, płaszcze ze skóry glansowane należy co 2—3 tygodnie starannie natłuścić woskową pastą do butów. Pastę wcieramy wełnianą szmatką a po 30—40 min. polerujemy inną wełnianą szmatką, do połysku.

Szybko można odświeżyć skórzaną odzież przecierając ją skórką pomarańczy lub cytryny albo wewnętrzną stroną skórki banana, a po wyschnięciu też polerować wełnianą szmatką. Można też natrzeć skórę mieszaniną spirytusu denaturowanego i gliceryny w proporcji 2 łyżki spirytusu i 1 łyżka gliceryny. Czarna, glansowana skóra nabierze pięknego połysku po przetarciu świeżo przekrojoną cebulą lub tamponem maczanym w surowym mleku.

BUTY W ZIMIE

Kozaczki i skórzané botki łatwo zagniatą się w okolicach kostki i najczęściej w tym

miejsku pękają. Dlatego też nigdy nie powinny stać ani leżeć z zagiętą, pofałdowaną cholewką. Są na to dwie rady. Można botki powiesić — jeśli mają suwak, to do jego zakończenia przywiązujemy tasiemkę, wiążemy razem i buty wieszamy. Jeżeli nie mają suwaków, można użyć drewnianych klamer do suszenia bielizny podkładając pod nie kawałek filcu albo flanelki, aby nie zostawiły śladów na cholewce. Do klamer przypinamy tasiemki i wieszamy. Inny sposób to znalezienie dwóch butelek (po soku, alkoholu) dopasowanych do obwodu cholewki w kostce; wsuwamy je w stare pończochy i zawsze wkładamy w kozaczki po zdjęciu ich z nóg.

PACHNĄCE DŁONIE

Po wielu pracach kuchennych na rękach może pozostać przykry i trudny do usunięcia — samy tylko mydłem i wodą — zapach. Jak sobie z tym poradzić? Oto kilka niezbyt skomplikowanych rad. Zapach cebuli można zlikwidować szorując dłonie grubą kuchenną solą, a następnie wkładając je na parę minut do miseczki z zimną wodą z dodatkiem octu. Zapach czosnku z pewnością zniknie po wyszorowaniu rąk fusami świeżo parzonej kawy, może być zbożowa. Po spraniu ryb, w tym śledzi, ich zapach pomoże usunąć z rąk papka z surowej marchewki, a następnie zanurzenie rąk w wodzie z dodatkiem octu. Po wszystkich tych zabiegach myjemy ręce w letniej wodzie dobrym toaletowym mydłem i nacieramy dobrym kremem.

MRÓWKI FARAONA

Mimo nazwy nie przyjechały do nas z Egiptu, lecz z Indii, a pierwsza wzmianka o ich gnieźdzeniu się w Warszawie pochodzi z końca XIX w. Jak się ich pozbyć? Podstawowa sprawa to utrzymanie czystości i porządku. Żywność przechowujemy w lodówce, inne produkty w naczyniach ustawionych w miskach z wodą. Wszystkie rury c.o. (mrówki lubią ciepło) w miejscach styku z sufitem i podłogą oraz szpary w futrynach należy zalepić gipsem. Wtedy można zastosować jakiś z licznych preparatów — a jest ich sporo — dokładnie według przepisu na opakowaniu. Polecamy też sposób domowy:

Jednym z przysmaków tych mrówek jest gotowane żółtko. Przynętę zrobioną z żółtka z dodatkiem boraksu (1/10 ilości żółtka) trzeba wyklądać co 2—3 dni. Doprowadzi to do wytrucia całego gniazda. Mrówki bowiem szukają pożywienia w promieniu kilku metrów od gniazda, dlatego terenem działania jednej mrówczej „rodziny” są najwyżej dwa położone obok siebie mieszkania.

W KUCHNI

Przesoloną zupę uratuje wrzucony do niej gruby plaster surowego ziemniaka.

Chcąc uniknąć tworzenia się grudek w przygotowanym (np. na naleśniki) cieście — należy zawsze wlewać płyn do mąki, a nie odwrotnie.

Zapach ryby i cebuli łatwo usuniemy z naczyń i talerzy zanurzając je na kilka minut w słonej wodzie.

Nieprzyjemny zapach wydzielający się podczas gotowania kapusty zlikwiduje wrzucona doń skórka ciemnego chleba.

Wrzucona do garnuszka z gotującymi się jajami grudka soli zapobiegnie ich pękaniu.

Aby jabłka lub ziemniaki nie ściemniały — wrzucamy je na kilka minut do lekkiego roztworu soli.

Jak sprawdzić czy jajko jest świeże? — wystarczy włożyć go do naczynia z wodą. Jeżeli jajko leży w płaszczyźnie poziomej na dnie naczynia — jego świeżość jest gwarantowana. Gdy jednym końcem odrywa się od podłoża — przeznaczamy go raczej na jajecznicę. A jeśli całe „chce wypłynąć” do góry — lepiej w ogóle zrezygnujemy z użycia go.

Szpinak — zamiast kłopotliwego płukania w kilku wodach — należy wrzucić do naczynia z osoloną wodą. Po kilku chwilach wyjąć i raz przepłukać wodą bieżącą. To wystarczy, aby szpinak był idealnie czysty.

Przypalony garnek emaliowany? Nalejmy do niego wody z solą i zostawmy na noc. Rano zagotujmy roztwór i co się okaże? Że garnek jest jak nowy.

SÓL DOBRA NA WSZYSTKO

Nie jest to już tak bardzo tani artykuł (pamiętają Państwo sól w cenie 1 zł 20 gr za kg?), ale bardzo pożyteczny. A zatem:

— wyszorowanie wanny lub umywalki solą kuchenną zmieszaną z niewielką ilością terpentyny sprawi, że urządzenia te będą wyglądały jak nowe;

— dodanie odrobiny soli do krochmalu zapobiega przypalaniu bielizny w czasie prasowania;

— jeżeli na grubej patelni podgrzejemy warstwę soli (tej grubszej) tak, że ziarenka zaczyną podskakiwać, wówczas po jej usunięciu na patelni można smażyć bez tłuszczu;

— jeżeli przed praniem zostawimy na noc chustki do nosa w mocno osolonej wodzie, łatwiej się upiorą;

— włosianą szczotkę do włosów można odświeżyć mieszanką soli i mąki;

— do wody, w której mamy zamiar gotować jajka, należy dodać łyżeczkę soli, a szczypta soli dodana do białka czy śmietanki przyspiesza ubijanie utrzymuje świeżość surowego mleka, wsypana do blaszanego pudełka lub szklanego słoja, w którym trzymamy herbatniki czy sucharki, pozwala zachować ich kruchość;

— lepki kurz ze ściany malowanej olejno da się łatwiej usunąć, jeśli do wody dodamy trochę grubej soli;

— mieszaniną soli z octem dobrze myje się szklane żaroodporne naczynia; tą samą mieszaniną usuwa się zielony nalot z wyrobów z miedzi i brązu;

— świeżą płamę z czerwonego wina natychmiast posypujemy solą, a tkaninę pierzemy;

— roztworem w wodzie usuwa się najlepiej płamy z piwa, podobnie płamy z pleśni (1 łyżka soli na 10 łyżek wody plus 1 łyżka amoniaku);

— jeśli przypalimy żelazkiem białą bawełnianą bieliznę, ratujemy ją przez zwilżenie zimną wodą i posypanie drobną solą kuchenną, następnie suszymy na słońcu, płuczemy i prasujemy;

— odzież futrzaną najlepiej przez lato przechowywać w workach z gęstego lnianego płótna, zamoczonego uprzednio w mocnym roztworze soli, wysuszonego i przeprasowanego.

Najmniej soli stosujemy w pożywieniu.

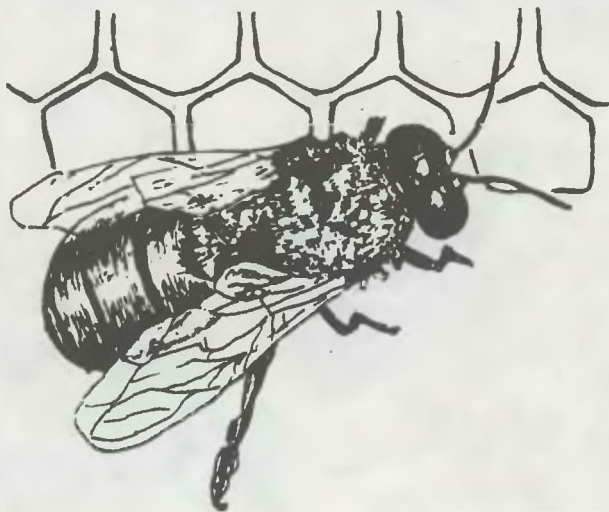
Kiedy i jak założyć pasiekę?

Pszczoły można nabywać wczesną wiosną i latem. Wiosną kupuje się pszczoły przeważnie wraz z gniazdem i ulem. Najczęściej kupuje się dwie rodziny i w następnych latach dzieli się je. Bardzo ważne jest, aby rodziny były silne i zdrowe, toteż należy starać się o nie w pasiekach wzorowo prowadzonych.

Kupno pszczół wraz z ulami jest najprostszą formą zakładania pasiek, ale musimy wówczas brać takie ule, jakie nam proponują, np. stare, nietypowe itp. Jeśli planujemy wprowadzenie innego systemu uli, to taka transakcja może nam w przyszłości sprawić kłopot. Można też kupować rodziny pszczele (pszczoły wraz z gniazdem) bez uli. Konieczne jest wtedy, aby nabywca dysponował ulami o takich wymiarach ramek, jakie są u pszczelarza sprzedającego pszczoły. Mogą to być ule nowe, kupione w sklepie lub samodzielnie wykonane. Do przewozu zakupionych pszczół używa się wtedy specjalnej skrzynki-transportówki, zapewniającej wentylację. Odpada również kłopotliwy przewóz samochodem ciężarowym zasiedlonych pszczołami uli; w zupełności wystarczy samochód osobowy.

Latem można kupić same pszczoły rojowe bez gniazda. Można je wtedy osadzić w ulu przygotowanym na działce. Roje są tym lepsze, im są wcześniejsze i im więcej ważą (dobry rój waży 2—2,5 kg i więcej). Nie należy kupować rojów późniejszych niż czerwcowe. Kupno słabych rojów jest nieopłacalne nawet wtedy, gdy cena ich jest stosunkowo niska. Przy kupnie pszczół należy przestrzegać zasady, aby mniej uwagi zwracać na cenę, a więcej na jakość rodziny. W każdym razie nie należy kupować pszczół z pasieki zaniedbanej, w której można zauważyć puste ule po padłych pszczołach. Bardziej opłacalne jest zawsze nabycie jednej silnej rodziny z wartościową matką i w dobrym ulu niż kilku słabych z marnymi matkami, na starych plastrach i w ulach nietypowych.

Dla początkującego pszczelarza najkorzystniejsze jest kupno pszczół pod koniec czerwca (jako odkłady). O tej porze pszczoły są najtańsze, a poza tym są biologicznie najwartościowsze, gdyż pochodzą z jajeczek składanych w okresie obfitych wiosennych pożytków. Odkład taki, składający się z 4 plastrów krytego



czerwiem i 2 plastrów okrywowych z zapasem, zawierający około 3 kg młodych pszczoł i młodą matkę, przewożymy w transportówce do ogrodu lub na działkę. Pod wieczór transportówkę wstawiamy do przygotowanego pustego ula i otwieramy jej wylot. Następnego dnia rano plastry wraz z pszczołami przekładamy z transportówki do ula, dodając 2 ramki z węzą.

Gniazdo układamy w następujący sposób: przy bocznej ścianie zawieszamy podkarmiaczkę, następnie plaster z zapasem, ramkę z węzą, 4 plastry z czerwiem, ramkę z węzą i plaster z zapasem. Gniazdo zamykamy zatworem (deską odgrodową), a następnie wstawiamy matę boczną lub płytę ocieplającą.

W celu uaktywnienia woszczarek do wypacania wosku i budowy plastrów odkład należy podkarmiać małą dawką rzadkiego syropu. Ponieważ są to pszczoły młode z młodą tegoroczną matką, z powodzeniem mogą odbudować jeszcze w tym roku łącznie 4 ramki węzy. Z 4 plastrów czerwiu po trzech tygodniach wygrzyje się jeszcze bardzo dużo młodych pszczoł (1 całkowicie zaczerwiony plaster czerwiu daje po 21 dniach 3 plastry młodych pszczoł).

W związku z możliwością przeniesienia na pszczołach i w zasklepionym czerwiu warrozy, nie jest wskazane, aby w odkładzie była matka czerwiąca. Lepiej poddać młodą matkę nieunasioną, która rozpocznie czerwienie dopiero po 2—3 tygodniach, a więc wtedy, gdy w odkładzie pozostanie bardzo mało czerwiu lub już go nie będzie. Jest to najwłaściwsza pora do odymienia pszczoł środkami warrozbójczymi, np. „Fumilatem” lub „Apiwarolem”. Zabieg odymiania można powtórzyć po tygodniu, nie będzie trzeba wówczas odymiać jesienią.

Nową rodzinę należy umiarkowanie podkarmiać w zależności od intensywności czerwienia młodej matki, poszerzać gniazdo węzą lub woszczyną. Uzyskuje się w ten sposób rodziny bardzo silne, odmłodzone i pozbawione warrozy. Przez cały lipiec i sierpień początkujący pszczelarz będzie miał wystarczająco dużo czasu, aby „oswoić się” z pszczołami, poznać je oraz przygotować do zazimowania. W przyszłym roku można już będzie liczyć na pozyskanie pewnych ilości własnego miodu, co jest zawsze dużą satysfakcją.

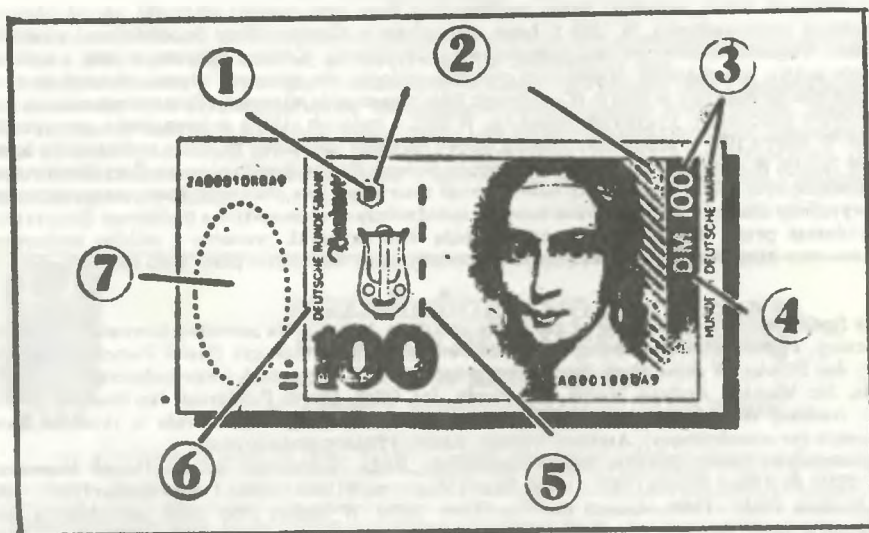


Nowe marki

Od października 1990 rocznie wchodziły w Niemczech stopniowo do obiegu nowe banknoty Niemieckiego Banku Federalnego. Będzie ich ogółem osiem w tym również nominalny dotąd nie emitowany. Ponieważ waluta niemiecka jest u nas wysoko ceniona, warto wiedzieć nieco więcej o nowych pieniądzach papierowych z napisem *Deutsche Bundesbank*. Przede wszystkim więc wyliczmy, czyje podobizny je zdobią. Otóż:

- 5 marek — Bettine von Arnim, pisarka (1785—1859),
- 10 marek — Carl Friedrich Gauss, matematyk (1777—1855),
- 20 marek — Annette von Droste-Hueisdorf, poetka (1797—1848),
- 50 marek — Balthasar Neuman, architekt (1687—1753),
- 100 marek — Clara Schumann, pianistka (1819—1896),
- 200 marek — Paul Ehrlich, lekarz, bakteriolog (1854—1915),
- 500 marek — Maria Sybilla Merian, malarka (1647—1717),
- 1000 marek — Bracia Grimm, filolodzy (Jacob Ludwig 1785—1863, Wilhelm 1786—1859).

Wprowadzenie do obiegu nowych banknotów jest bardzo kosztowną operacją, nasuwa się więc pytanie, dlaczego się na nią zdecydowano? Otóż chodzi o to, że dzisiejsze kopiarki pozwalają bardzo dokładnie podraabiać banknoty i przeciętny obywatel nie jest już w stanie rozróżnić falsyfikatów od oryginału. NBF powołał zatem zespół fachowców, który miał „wynaleźć” bezpieczne bilety, nie dające się sfałszować. Po kilku latach pracy eksperci oświadczyli, że to się udało. Wkrótce potem ruszyły maszyny drukarskie.



Istotnie, w nowych banknotach ulokowano wiele pułapek utrudniających pracę oszustom. NBF nie robi z nich tajemnicy, chodzi o to, aby każdy obywatel mógł z grubsza sam sprawdzić, czy ma do czynienia z oryginałem. Spójrzmy więc i my na reprodukowany tu banknot i przyjrzymy się jego „mocnym punktom”. 1. — Tu umieszczono składankę świetlną — kiedy patrzy się pod światło, jej części układają się w literę „D”. 2. — Mając pod ręką lupę, odczyta się w tych miejscach skrót „DM” i słowo „Hundert”. 3. — Tu zastosowano druk wypukły, dzięki czemu banknotem mogą się także posługiwać niewidomi. 4. — Tu spotykamy się z tzw. efektem kołysania — przy przechylaniu banknotu stają się widoczne litery „Dm”. 5. — Tu wtopiono w papier (specjalny, wytwarzany wyłącznie dla drukarni papierów wartościowych) pasek bezpieczeństwa, laminowany aluminium; widzi się go przy trzymaniu banknotu pod światło jako ciągłą linię z powtarzającym się oznaczeniem nominalu. 6. — Druk wypukły. 7. — Znak wodny — przy patrzeniu pod światło widzi się portret oraz liczbę 100.

Wydawałoby się, że tak przygotowane banknoty będą mogły bezpiecznie ruszyć w świat. Tymczasem nie upłynęło wiele tygodni i już okazało się, że rzekomo „pewne” produkty banku emisyjnego wcale nie są takie wspaniałe. Do NBF napływa coraz więcej sygnałów, że pojawiły się fałszywe banknoty. Okazało się, że nowoczesne kopiarki, np. japońskie „canony” reprodukuja nowe banknoty równie dobrze, jak stare.

DOROBK TRZECH POKOLEŃ

Początki spółdzielczości bankowej w regionie cieszyńskim sięgają 1873 roku. Powstał wówczas bank pod nazwą Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie. Kolejne placówki bankowe utworzono w Strumieniu (1880), Góleszowie, Istebnej, Skoczowie (1895) i w Ustroniu (1898).

18 grudnia 1932 r. odbyło się walne zebranie członków — założycieli Banku Ludowego w Wiśle. W ostatnim dniu grudnia tegoż roku ukonstytuowały się organy samorządowe. Przewodniczącym Rady Nadzorczej wybrano wójta Pawła Nogowczyka. Przewodniczącym Zarządu został kierownik szkoły Michał Cieślarski. W ciągu trzech kolejnych tygodni liczba członków wzrosła do 102. Na zebraniu zarządu w dniu 26 stycznia 1933 r. stwierdzono, że bank dysponuje 44 tys. zł kapitału obrotowego. Pierwszym kasjerem był Paweł Cienciała, który wykonywał początkowo swoje obowiązki nieodpłatnie. Po dwóch następnych miesiącach liczba członków wzrosła do 115. Stan tzw. wkładów oszczędnościowych wynosił prawie 50 tys. zł. Udzielono pożyczek na kwotę 45.958 zł. Udziały wpłacone wynosiły 1.801 zł, a zadeklarowane 6.150 zł. Wartość jednego udziału była równa 50 zł, czyli połowie dorodnej krowy. W całym 1933 r. Bank Ludowy udzielił 123 pożyczek na kwotę 58.750 zł. Dzięki temu wsparciu wiele gospodarstw uchroniło się przed nędzą i przetrwało ciężki okres kryzysu gospodarczego.

Wiślański bank wspierał także lokalne potrzeby. W grudniu 1937 r. uchwalono np. subwencję w wysokości 10 zł na budowę „strażnicy pożarnej”. Ofiarowano 50 zł na Fundusz Obrony Narodowej (kwiecień 1936 r. i 500 zł na subskrypcję Pożyczki Przeciwlotniczej (kwiecień 1939 r.).

Wybuch wojny ograniczył działalność, aczkolwiek była prowadzona przez cały czas. W pełnym zakresie została wznowiona 15 maja 1945 r. Nad wszystkim czuwał, wykonując jednocześnie różne zadania, Paweł Cienciała — kierownik i kasjer w jednej osobie. Zajmowano się głównie gromadzeniem oszczędności mieszkańców wsi i udzielaniem niewielkich kredytów.

W następnych latach wiślański bank, podobnie jak inne tego rodzaju placówki, zaczął odczuwać ograniczanie samorządności. W 1948 r. bank zmienił się w Gminną Kasę Spółdzielczą i pełnił rolę wyłącznie wiejskiej spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowej. Kolejna reforma w 1952 r. odebrała placówce prawo prowadzenia działalności oszczędnościowej we własnym imieniu. Powrót do samorządności stał się możliwy w 1956 r. W kolejnych latach następuje jej rozwój. Poszerzeniu ulegają m.in. kompetencje kredytowe. Przybywa członków. W 1957 r. było ich 1137, a w lipcu 1968 r. przyjęto 1500 członka. W marcu 1969 r. placówka zmieniła nazwę na Bank Spółdzielczy, która pozostała do dzisiaj.

Przed 10 laty, w lipcu 1982 r. w Wiśle obchodzono 50-lecie Banku Spółdzielczego, która pozostała do dzisiaj nową siedzibę przy placu Hoffa. Służy dobrze wciąż rozwijającej się placówce, która w ostatnim czasie coraz wyraźniej umacnia się w czołówce banków spółdzielczych województwa bielskiego. Złożyła się na to wieloletnia praca. Decydujące znaczenie mają dwa czynniki: poważne i solidne traktowanie członków oraz klientów, a także umiejętne gospodarowanie złożonymi przez nich oszczędnościami.



Bank Spółdzielczy w Wiśle miał od założenia szczęście do ludzi. Na początku kierowali nim wielcy społecznicy. Pierwszy zarząd tworzyli: Michał Cieślarski (przewodniczący), Paweł Cienciała (zastępca, kasjer), Jan Śliwka. W skład Rady Nadzorczej weszli: Paweł Nogowczyk (przewodniczący, wójt), Jan Kowala, Jan Mamica, Andrzej Marek, Jan Pezda, Jan Pilch, Paweł Podzorski, Jan Szalbot, Andrzej Szturc, Andrzej Wałach (członkowie). Pierwsza Komisja Rewizyjna pracowała w składzie: Paweł Nogowczyk (przewodniczący), Andrzej Wałach, Andrzej Szturc (członkowie).

W następnych latach funkcję przewodniczącego Rady Nadzorczej pełnili: Paweł Nogowczyk (1932—1935), dr Alfred Nowak (1935—1939), Paweł Nogowczyk (1939—1939), Paweł Cieślarski (1945—1946), Józef Halama (1946—1946), Antoni Pawlita (1946—1950). W latach 1950—1959 uprawnienia Rady Nadzorczej przejęła Komisja Rewizyjna, której przewodniczyli: Jerzy Czyż (1959—1973), Paweł Branc (1973—1990), Marian Wilczak (od 1990 r.).

Na czele Zarządu stali: Michał Cieślarski (1932—1939), Józef Guziur (1945—1954), Jerzy Kral (1954—1969), Paweł Poloczek (1969—1990), Paweł Cieślarski (od 1990 r.).

Komisji Rewizyjnej przewodniczyli: Paweł Nogowczyk (1933—1935), Albin Magnusek (1935—1939), Andrzej Pilch (1946—1947), Antoni Pawlita (1947—1950), Andrzej Konderla (1950—1959), Jerzy Czyż (1960—1973), Paweł Branc (1973—1980), Andrzej Cieślarski (1980—1990), Bronisława Kozusznik (od 1990 r.).

Stanowiska kierowników i dyrektorów banku zajmowali: Paweł Cienciała (1932—1953), Andrzej Cieślarski (1953—1962), Jerzy Sikora (1962—1978), Krystian Gałuszka (1979—1980), Henryk Kalus (od 1982 r.).

Na stanowisku głównego księgowego od 1989 r. pracuje Piotr Cieślarski.



Ostatnie miesiące charakteryzują się daleko idącymi zmianami w polskiej gospodarce i ekonomice. Ważną rolę mają w tym procesie do spełnienia banki. Rzecz w tym, by ją dostrzegały.

Bank Spółdzielczy w Wiśle reaguje błyskawicznie na nowe sytuacje. Od jesieni 1990 r. jest członkiem-założycielem (obok 23 największych polskich banków) Międzynarodowej Szkoły Bankowej w Katowicach. Prowadzi ją Centrum Szkolenia Kadr Bankowych z Paryża. Cykliczne szkolenia pozwalają m.in. dokładnie poznać sprawy zarządzania, organizacji, marketingu zapoznać się z zasadami

komercyjnego podejścia do klienta. Co piąty pracownik BS w Wiśle przeszedł już takie szkolenie. Przynosi to oczekiwane efekty.

W 1990 r. osiągnięto obroty w wysokości 1.725.837.160 tys. zł. Oszczędności klientów, wzrosły w porównaniu z 1989 r. z 974.651 tys. zł, do 9.382.077 tys. zł. Kredyty z 372.683 tys. zł, do 8.423.747 tys. zł. Jest to efekt konkurencyjnego oprocentowania i przemyślanej działalności informacyjnej. Fundusze własne banku wzrosły ponad 26-krotnie, do kwoty 338.142 tys. zł. Bank liczył 1138 członków i zatrudniał pracowników na 21,5 etatach.

Placówką pozostała wierna idei niesienia pomocy. Na cele społeczne przekazano w 1990 r. łącznie 157.670 tys. zł. Pieniądze te trafiły m.in. do OSP Wisła-Centrum (za 40 mln zakupiono samochód pożarniczy), do Szkoły Podstawowej nr 4 w Wiśle-Głębach (40 mln przeznaczono na rozbudowę), Szkoły Podstawowej nr 3 w Maliniec (za 23 mln zakupiono wyposażenie i sprzęty). Pomoc otrzymały pozostałe wiślańskie szkoły oraz kilka placówek w Cieszynie, a także kilka organizacji społecznych i kulturalnych. Członkowie BS uczestniczyli w kilkudziesięciu wycieczkach, imprezach teatralnych i rozrywkowych.

Niemniej udane było I półrocze 1991 roku. Zarówno po stronie kredytów jak i oszczędności przekroczono barierę 20 mld zł. Stało się to 8 lipca ub.r. W tym dniu dokonało wpłat 27 osób. Podczas imprez Tygodnia Kultury Beskidzkiej rozlosowano pomiędzy tych klientów upominki o wartości 10 mln zł. Najcenniejszym był telewizor kolorowy.

Oto efekty uzyskane w I półroczu 1991 r. — oszczędności: 22.297.096 tys. zł (razem z rezerwą na odsetki), kredyty: 23.799.008 tys. zł, lokaty: 8.548.402 tys. zł, obroty ogółem: 1.971.004.737 tys. zł. Liczba członków: 1573, zatrudnienie: 27 etatów, fundusz własny: 1.595.445 tys. zł.

Dużą wagę nadal przywiązywano do działalności społeczno-wychowawczej. Zorganizowano m.in. 15 wycieczek krajowych i zagranicznych, wyjazdy na koncerty i spektakle.

* * *

W jubileuszowy 1992 rok wiślański Bank Spółdzielczy wkracza jako nowoczesna, skomputeryzowana placówka z fachową kadrami i dobrymi perspektywami na nadchodzące lata.

— Naszej działalności — powiedział dyrektor Henryk Kalus — przyświeca zasada służenia społeczeństwu, popierania ludzi przedsiębiorczych, wspomagania początkujących biznesmenów. Staramy się robić wszystko, by nasz bank wypełniał maksymalnie rolę, do której został powołany. Zobowiązuje nas do tego tradycja kształtowana przez trzy pokolenia pracowników i działaczy samorządowych. Obecna załoga próbuje jedynie połączyć dobrą opinię z nowoczesną techniką i aktualnymi możliwościami gospodarki rynkowej (KM).



PRZEDSIĘBIORSTWO GOSPODARKI KOMUNALNEJ I MIESZKANIOWEJ W SKOCZOWIE

ul. Krzywa 4, 43-430 Skoczów telek: 035429 PGKiM pl.

Puźatki przedsiębiorstwa sięgają lat 1974—75, kiedy to wspólnie z ówczesnymi Zakładami Gospodarki Komunalnej z Ustronia, Wisły i Strumienia stanowiło Powiatowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Cieszynie z siedzibą w Skoczowie. Na podstawie zarządzenia nr 38/79 Wojewody Bielskiego z ówczesnego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej utworzone zostało samodzielne Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Skoczowie, którego organem założycielskim był wojewoda Bielski. Od 1 stycznia 1987 r., decyzją tegoż Wojewody Bielskiego, organem założycielskim dla przedsiębiorstwa został ustanowiony Naczelnik Miasta i Gminy Skoczów.

Przedmiotem działalności przedsiębiorstwa są działania związane z oczyszczaniem i wywozem nieczystości stałych i płynnych, utrzymaniem czystości, konserwacją i pielęgnacją terenów zielonych i lasów komunalnych w terenie działania obejmującym miasta Skoczów, Ustrów, Wisła, Strumień oraz gminy ościenne, przeprowadzaniem remontów, modernizacją i konserwacją administrowanej substancji mieszkaniowej oraz gospodarowaniem tymi zasobami mieszkaniowymi. Do zadań przedsiębiorstwa należą również remonty dróg lokalnych, placów i chodników, letnie i zimowe czyszczenie dróg, chodników i kładek, świadczenie usług pogrzebowych i usług w zakresie cementnictwa.

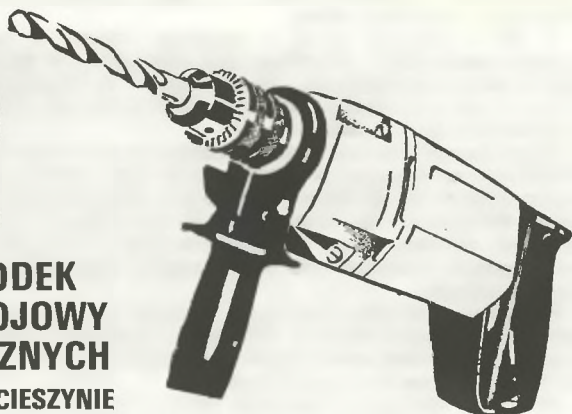
Oprócz wyżej wymienionych zasadniczej działalności przedsiębiorstwo prowadzi działalność pomocniczą w zakresie usług transportowo-sprzętowych, remontu taboru samochodowego, sprzętu budowlano-drogowego, prowadzenie i wykonawstwo inwestycji i remontów budowlanych budynków mieszkalnych i usługowych, produkcji i sprzedaży elementów betonowych, roślin ozdobnych. W ramach usług dla ludności przedsiębiorstwa prowadzi usługi diagnostyczne pojazdów, wulkanizacyjne, stolarki budowlanej i szklarstwa, pogrzebowe.

Realizacja tych celów i zadań związana jest z warunkami życia mieszkańców miejscowości objętych działaniem przedsiębiorstwa stanowiąc jednocześnie jego podstawowy element. Cechą charakterystyczną tej działalności jest bezpośredni kontakt z obywatelami i służebna w stosunku do nich rola.

Ta właśnie wysoka ranga społeczna jak również różnorodna działalność przedsiębiorstwa nakłada na jego pracowników wymóg wysokich kwalifikacji zawodowych i fachowości, sumiennosci i odpowiedzialności w wykonywaniu obowiązków oraz dużej dyspozycyjności. Te wymogi przy niezbyt wysokim prestiżu społecznym niektórych działań i zawodów powodują dużą fluktuację wśród załogi i określone braki kadrowe.

Mimo różnorodności zadań, braków kadrowych i materiałowo-sprzętowych przedsiębiorstwo w pełni realizuje swe bieżące planowe zadania wypracowując określone zyski gwarantujące odpowiednie place i świadczenia socjalno-bytowe załogi. Mimo braku własnej bazy rekreacyjnej i socjalnej przedsiębiorstwo zapewnia pracownikom wszystkie należne świadczenia socjalne, możliwość korzystania w szerokim zakresie z wypoczynku czasowo-rekreacyjnego, kulturalnego itp.

W przedsiębiorstwie są prowadzone prace mające na celu prywatyzację jego działalności. Pierwszym etapem jest podział majątku, w drugim etapie powstają spółki, które przejmą podstawową działalność przedsiębiorstwa.



**BRANŻOWY OŚRODEK
BADAWCZO-ROZWOJOWY
MASZYN ELEKTRYCZNYCH
ODDZIAŁ ZAMIEJSCOWY W CIESZYNIE**

ul. Bobrecka 27, 43-400 Cieszyn, tel.: 203-14

BOBR ME należy do nielicznych tego typu jednostek w kraju. Posiada nowoczesne urządzenia techniczne, jak np. skomputeryzowane elektrodrażniki: drucikową i do drążeń przestrzennych oraz inne maszyny specjalistyczne.

BOBR ME jest jednostką wiodącą w rozwoju konstrukcji i technologii nowoczesnych elektronarzędzi.

BOBR ME PROWADZI:

- prace badawcze, rozwojowe i wdrożeniowe, w tym: pełną dokumentację konstrukcyjną wyrobu, wykonawstwo modeli i prototypów, pełną dokumentację technologiczną i pomoc autorską w uruchamianiu produkcji seryjnej;
- prace normalizacyjne w zakresie elektronarzędzi w skali kraju oraz w ramach IEC;
- wykonawstwo pomocy warsztatowych w metalu do serii próbnej (tzw. oprzyrządowanie), w tym skomplikowanych form ciśnieniowych do tworzyw sztucznych i odlewów ciśnieniowych;
- prace projektowe i wykonawstwo w metalu specjalnych urządzeń technologicznych, jak np. zgrzewarki do komutatorów, przecinarki krążkowe do taśm przenośników taśmowych i arkuszy z tworzyw sztucznych, gumolitu, itp.;
- prace nad wzrostem trwałości narzędzi tnących i skrawających poprzez azoto-tytanowanie

BOBR ME POSIADA:

▲ autoryzowaną stację badań, wyposażoną m.in. w komorę bez-echową do pomiarów akustycznych; ▲ prowadzi badania atestacyjne modeli, prototypów, wzorów zagranicznych, wyrobów finalnych dla potrzeb Centralnego Biura Jakości Wyrobów, jak również badania narzędzi roboczych do elektronarzędzi.

RADA I ZARZĄD GMINY ZEBRZYDOWICE

postawiły sobie już u progu kadencji ambitne zadania z zakresu

ochrony środowiska.

Do realizacji tych zadań przystąpiono niezwłocznie po zatwierdzeniu budżetu na 1991 rok.

Postanowiono rozwiązać w sposób kompleksowy potrzeby z zakresu

gospodarki wodno-ściekowej.

Ponieważ głównym źródłem zaopatrzenia gminy w wodę będzie ujęcie powierzchniowe na rzece Piotrówce, konieczne jest zadbanie o jej czystość w całej zlewni.

Uzdatnienie wody w stacji nie zawsze oznacza uzyskanie pożądanych właściwości. **Można je natomiast osiągnąć, jeżeli połączy się wysiłki.**

Gmina Zebrzydowice podjęła niezbędne inwestycje. W budowie znajduje się kolektor ścieków wraz z siecią rozdzielczą oraz oczyszczalnia. Pozwoli to na ujęcie i oczyszczenie ścieków powstających w gospodarstwach domowych i obiektach użyteczności publicznej całej gminy. Inwestycje umożliwią również przywrócenie rzece drugiej klasy czystości i odbudowę życia biologicznego w Piotrówce.

Jednak bez wsparcia naszych działań przez gminy Hażlach i Cieszyn zamierzony przez nas cel nie mógłby zostać zwieńczony pełnym sukcesem. Liczymy zatem na współdziałanie.

ZAKŁAD NR 5 FSM S.A. ODLEWNIA ŻELIWA W SKOCZOWIE

Odlewnia Żeliwa w Skoczowie powstała w 1947 r., najpierw jako prywatny, akcyjny zakład odlewniczy, w oparciu o wybudowany w 1924 r. zakład rafinerijny „Przetwór”, który to zakład pracował do 1945 r. Asortyment produkcji obejmował początkowo odlewy maszynowe i armaturę, a z biegiem czasu rozpoczęto produkcję grzejników c.o. Od r. 1950, kiedy to zakład był już przedsiębiorstwem państwowym, rozpoczął się pierwszy okres modernizacji. Do r. 1958 wyposażono zakład w podstawowy, niezbędny sprzęt i maszyny, zagospodarowano kolejne, stare pomieszczenia gospodarcze. W 1958 r. podjęto decyzję o wybudowaniu nowej odlewni przeznaczonej do produkcji grzejników c.o. Etap ten, zakończony w 1964 r. sprawił, że odlewnia stała się, jak na owe czasy, zakładem nowoczesnym, o znacznym stopniu mechanizacji produkcji. Od 1966 r. rozpoczęto produkcję kadłuba silnika do samochodu „Syrena”, a w 1969 r. zakończono drugi etap modernizacji. Zakład zatrudniał wówczas 840 pracowników dając rocznie 17.700 ton odlewów.

W 1972 r. odlewnia została włączona do nowopowstałej Fabryki Samochodów Małolitrażowych. Rozpoczął się okres budowy nowej hali produkcyjnej, a równolegle w starej odlewni rozpoczęto produkcję pierwszych detali do samochodu Polski Fiat 126p.

Od maja 1975 r. rozpoczęto w nowej hali produkcję na liniach formierskich f-my GRAUE, w pełni zabezpieczając potrzeby FSM na odlewy żeliwne. Pełną zdolność produkcyjną w ilości 26.000 ton odlewów osiągnął zakład w 1979 r.

W związku z przejęciem przez FSM programu modernizacji związanego z produkcją samochodu X1/79 w odlewni wymieniono podstawowe urządzenia produkcyjne, tj. formierki, bębny do chłodzenia masy formierskiej i odlewów oraz oczyszczarki. Zainstalowano specjalistyczne maszyny do kontroli odlewów oraz wyposażono narzędziownię w nowoczesne maszyny do wykonawstwa oprzyrządowania odlewniczego.

Doświadczenie w zakresie produkcji

Wykonawstwo odlewów z żeliwa szarego i sferoidalnego w formach z mas syntetycznych i w formach skorupowych. Rdzenie wykonane metodą hot-box z żywicznych mas samoutwardzalnych oraz z mas ze szkłem wodnym, utwardzonych dwutlenkiem węgla

— TOPIALNIA

- w procesie duplex
- piec elektryczny łukowy
- 2 piece indukcyjne

— FORMIERNIA

- 2 automatyczne linie formierskie z formierkami firmy FOUNDRY AUTOMATION wraz ze stacją przerobu mas formierskich
- 1 linia do odlewania tulei cylindrowych w formach skorupowych

— OBRÓBKA KOŃCOWA KONTROLA ODLEWÓW

- możliwość zastosowania wyżarzania odpężającego oraz zmiękczającego odlewów. Na życzenie klienta możliwość gruntowania antykorozyjnego. W zależności od potrzeb istnieje możliwość przeprowadzenia kontroli odlewów metodą chemiczną. Kontrola metalograficzna, wytrzymałościowa, magnetoskopowa oraz kontrola wybranych odlewów promieniami roentgena.

W ramach posiadanych wolnych mocy produkcyjnych zakład przyjmuje do realizacji oferty odbiorców krajowych i zagranicznych.





**Prywatne Przedsiębiorstwo
założone w 1988 roku**

**SKŁAD CELNY,
HURTOWNIA, SKLEP**

to szeroka gama importowanych
artykułów spożywczych
i przemysłowych

NOWOCZESNY ZAKŁAD PRZETWÓRSTWA MIĘSNEGO W CHYBIU

uruchomiony w IV kwartale 1991 roku wyposażony jest w maszyny
i urządzenia francusko-niemieckiej firmy Korppen.

Produkujemy m.in. szeroką gamę wędlin i szynek, w tym do 30%
konfekcjonowanych (porcjowanych i hermetycznie pakowanych).

Zapraszamy do korzystania z naszych usług.

**Przedsiębiorstwo Techniczno-Usługowe
„SKOPEX“**

**ul. G. Morcinka 16a
43-430 Skoczów
tel.: 34-19 tlx: 38388**

**Skład Celny ★ Hurtownia
Sklep**

**ul. Towarowa 2
tel.: 36-17**

**Zakład Przetwórstwa Mięsnego
43-422 Chybie**

ROLNICZA SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA

„WYZWOLENIE”

W SIMORADZU

43-426 Dębowiec

telefony, Skoczów: 3916, 3917, 3823 telex: 038303

BGŻ Bielsko-Biała 807016-5193

RSP zatrudnia 230 członków i gospodaruje na 302 ha użytków rolnych. Posiada Filię w Pruchnej (tel. 70) oraz dwa zakłady wylęgu drobiu, a mianowicie:

- w Kończycach Małych, ul. Jagiellońska 6, tel. Zebrzydowice 693-271,
- w Kończycach Małych, ul. Jagiellońska 23, tel. Zebrzydowice 693-372.

POLECAMY:

pisklęta brojler Euribrid Hybro G
kurki Euribrid Hisex Brown
Hisex White
Astra S
Astra L

jaja konsumpcyjne,
jaja wylęgowe,
drób bity.

Ponadto polecamy usługi w zakresie:

- spawania, w tym w osłonie argonu,
- przezwajania silników elektrycznych,
- prac remontowo-budowlanych,
- malarstwa budowlanego,
- stolarstwa budowlanego,
- sprzętem rolniczym i transportowym,
- sprzętem specjalistycznym.

ZAPRASZAMY!



**PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU ZAGRANICZNEGO
JUR—GAST**

SPÓŁKA Z O.O.

43-460 WISŁA ul. WYZWOLENIA 34

TEL. 35—55 FAX: 22—95 TLX.: 38398

BANK SPÓŁDZIELCZY WISŁA KONTO NR 907325-74359-136-61

**PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU ZAGRANICZNEGO JUR-GAST
W WIŚLE**

ZAPRASZA DO SWOICH PLACÓWEK:

● **PENSJONAT „POLONIA”, WISŁA, WYZWOLENIA 34
POLECA:**

- noclegi
- usługi gastronomiczne
- night club disco

LOKAL CZYNNY CODZIENNIE OD GODZ. 9. DO GODZ. 5.

● **SUPERMARKET „ŚWIERK“, WISŁA UL. 1 MAJA 65**

● **MIEJSKI DOM TOWAROWY, SKOCZÓW**

**PONADTO FIRMA ZAPRASZA
DO SWOJEJ HURTOWNI ARTYKUŁÓW IMPORTOWANYCH
I KRAJOWYCH, CIESZYN, UL. WIEJSKA 2, TEL. 228-54,
ORAZ DO KANTORÓW WYMIANY WALUT
W WIŚLE, USTRONIU, CIESZYNIE I SKOCZOWIE.**



BANK SPÓŁDZIELCZY W WIŚLE

PL. HOFFA 3A TEL.: 25-61, 24-46, — centrala
dyr. 34-47, FAX.: 3456

codziennie od 8 do 18, w każdą sobotę od 8 do 12.

*Tylko u nas w komplecie podstawowe usługi
dla Członków i Klientów:*

— bardzo atrakcyjne oprocentowanie

OSZCZĘDNOŚCI

— łatwo dostępne i względnie tanie

KREDYTY

— sprawne oraz prawie bezpłatne

ROZLICZENIA

— bogata oferta dotowanych imprez kulturalno-oświatowych.

*Zapraszamy wszystkich mieszkańców
Ziemi Cieszyńskiej*

ZAWSZE DO USŁUG

PAŃSTWOWY OŚRODEK MASZYNOWY SKOCZÓW

Międzywiecie 133

tel.: 27-31, 35

43-430 Skoczów

telex: 038317



W 1992 r. mija 40 lat od powołania do życia Państwowego Ośrodka Maszynowego obsługującego rolnictwo cieszyńskiego regionu.

POM Skoczów ma siedzibę w Międzywiciu. Obsługuje region miast i gmin: Istebna, Wisła, Brenna, Ustroń, Goleszów, Cieszyn, Hażlach, Dębowiec, Strumień, Chybie, Skoczów i Jasienica.

W skład POM wchodzi 2 zakłady: Skoczów (z siedzibą dyrekcji i służbami pomocniczymi) oraz Drogomyśl.

Państwowy Ośrodek Maszynowy świadczy usługi w zakresie:

- remontów ciągników,
- remontów maszyn rolniczych,
- małej mechanizacji gospodarstw rolnych,
- przeglądów przedrejestracyjnych pojazdów samochodowych,
- transportu samochodowego,
- robót ślusarsko-spalowniczych.

Wykonuje także roboty instalacyjno-montażowe związane z budową linii elektrycznych NN i WN, z budową i wyposażeniem stacji transformatorowych.

W oparciu o konstrukcje własne bądź opracowane przez jednostki zaplecza badawczo-rozwojowego rolnictwa POM Skoczów produkuje m.in.:

- brony ciężkie,
- oczyszczalnie ścieków typu BOS,
- elementy baz paliw płynnych,
- konstrukcje dla energetyki.

Ilość produkowanych wyrobów jest uzależniona od zgłoszeń oraz od zapotrzebowania placówek handlowych i bezpośrednich użytkowników. Stale wprowadzane są usprawnienia konstrukcyjno-technologiczne,

POM Skoczów produkuje nowoczesne konstrukcje maszyn i stosuje technologie obsługowo-naprawcze opracowywane przez własnych specjalistów przy ścisłej współpracy z placówkami naukowo-badawczymi.

Z okazji jubileuszu 35-lecia POM otrzymał sztandar, który został udekorowany zbiorową odznaką Za Zasługi dla województwa Bielskiego.



ZAKŁAD BUDŻETOWY
„KOTARZ”
43-438 Brenna

tel. 344, 522, 704 telex: 035187

Dysponuje:

- domkami campingowymi BRDA,
- wyciągami narciarskimi,
- autokarami turystycznymi,
- przystaniami kajakowymi,
- kortami tenisowymi,
- amfiteatrem i terenami rekreacyjnymi,
- parkingami,

Oferuje:

- usługi noclegowe w domkach BRDA,
- usługi przewozowe autokarami,
- korzystanie z wyciągów narciarskich „Gronik”, „Stary Groń” i „Hołcyna”,
- korzystanie z przystani kajakowych „Hołcyna” i „Leśnica”.

„HERMES”

PSS SKOCZÓW

**zaprasza do swoich
placówek**

— u nas najtaniej —

★ Przekonaj się sam!



ZAKŁADY GARBARSKIE

Zakład ze 133-letnią tradycją produkuje i oferuje najwyższej jakości skóry cielęce z przeznaczeniem na:

- obuwie
- galanterię
- odzież

oraz skóry świńskie z przeznaczeniem na:

- podszewki
- galanterię

Produkuje inne asortymenty z w/w surowców zgodnie z życzeniem klientów.

Wykonuje usługi dla ludności z powierzonego surowca cielęcego.

Zainteresowanych zapraszamy!

Nasz adres: **Zakłady Garbarskie „SKOTAN”**

ul. Fabryczna 10

43-450 Skoczów

telefon 33-41, 35-36

tlx 038381

fax 25460 Cieszyn



GMINNA SPÓŁDZIELNIA „Samopomoc Chłopska”

w Brennej

43-438 Brenna

tel.: 315 i 529

Konto bankowe: Bank Śl. O/Ustroń nr 310620-462

Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Brennej liczy już 43 lata. Przez cały okres swej działalności dobrze służyła i służy swoim członkom. GS w znacznym stopniu przyczyniła się do rozwoju gminy Brenna poprzez realizację szeregu inwestycji własnych i komunalnych.

Spółdzielnia prowadzi 15 placówek detalicznych, 2 magazyny towarów masowych, 5 zakładów gastronomicznych, hotel oraz 6 punktów małej gastronomii. Ponadto posiada piekarnię, wytwórnię wód gazowanych. W latach 1989—1992 prowadziła budowę obiektu hotelarsko-gastronomicznego o pow. 1720 m kw., który zapewnia wysoki standard usług.



ROLNICZA SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA „ZGODA”

rok założenia 1951

43-426 Dębowiec, tel. Skoczów: 2521,

Dębowiec: 22-12 i 22-31 telex: 038338

OFERUJE DO SPRZEDAŻY:

- półtusze wieprzowe
- ćwierci wołowe
- kurczaki mrożone
- ryby słodkowodne
- jaja konsumpcyjne
- podłoże pod pieczarki
- mieszanki paszowe
- aronię amerykańską
- usługi transportowe i mechanizacyjne.

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!



SKOCZOWSKA FABRYKA KAPELUSZY „POLKAP”

ul. Powstańców Śl. 1
tel.: 33-31 do 33-35

43-430 SKOCZÓW
telex: 038342

Dokument o powołaniu fabryki kapeluszniczej w Skoczowie zatwierdzony został w 1923 r. Nowo powstały zakład był filią znanej na całym świecie firmy „Hüchel”, produkującej słynne z wysokiej jakości kapelusze z filcu włosowego.

Tradycje dobrej roboty przetrwały do dnia dzisiejszego, a wyroby ze znakiem „Polkap” spotkać można na wszystkich kontynentach. O wysokiej jakości produkowanych w Skoczowie nakryć głowy świadczą duże zamówienia eksportowe otrzymywane corocznie od bardzo wymagających odbiorców w Stanach Zjednoczonych, Japonii, RFN, Włoch i innych krajów zachodnich. W oryginalnych wyrobach kapeluszniczych, jakimi są fezy, chodzą mieszkańcy Afryki Zachodniej.

Produkcja Skoczowskiej Fabryki kapeluszy zabezpiecza w pełni potrzeby rynku krajowego na nakrycia głowy z filcu włosowego. Asortyment produkowanych wyrobów rozszerzył się o wyroby kapelusznicze z tkanin oraz objął wyroby konfekcji lekkiej.

Ustabilizowana załoga „Polkapu” jest wierna tradycji zawodu kapelusznika: nierzadkie są przypadki „rodzinnego” zatrudnienia w fabryce. Wysoka jakość kapeluszy zależna jest w równej mierze od jakości maszyn i urządzeń, jak i od manualnych zdolności pracowników, zwłaszcza na stanowiskach obróbki powierzchni filcu. Asortyment produkcji kapeluszniczej obejmuje kapelusze męskie z filcu oraz z tkanin, kapelusze damskie, berety, kaszkiety, stożki i kapliny wykonywane w trzech zasadniczych rodzajach: zamszu, welurze oraz powierzchni filcu ścieranej na gładko.

W dowód uznania Fabryka otrzymała w 1985 r. sztandar i została uhonorowana orderem Sztandaru Pracy II klasy.

GMINNA SPÓŁDZIELNIA „Samopomoc Chłopska” w Zebrzydowicach

informuje

o uruchomieniu sprzedaży nawozów produkcji
Zakładów Chemicznych Police **wg aktualnych
cen fabrycznych:**

fosforanu amonu NP — 46 — 18,
polifoski NPK 8 — 24 — 24,
polifoski „K” NPK — 6 — 20 — 30,
mocznika.

Adres Magazynu: Zebrzydowice, ul. Orzeszkowej.

Czynny w dni robocze

w godz. 7.00—15.00

Telefon: 693-523.

Zapraszamy również do nowego DOMU
HANDLOWEGO w Zebrzydowicach, w któ-
rym znajduje się bogaty wybór towarów branży
ogólnospożywczej, tekstylnej, konfekcyjnej,
dziewiarstwa, obuwia, sprzętu RTV oraz
artykułów do produkcji rolnej.

Spis treści

Na Nowy Rok — <i>Emilia Michalska</i>	3
Kalendarium	4
Zostań człowiekiem — <i>Henryk Jasiczek</i>	28
Kronika miasta Cieszyna — <i>Alojzy Kaufmann</i>	29
Z prywatnego życia cieszyńskich Piastów — <i>Witold Iwanek</i>	33
Najważniejsza twierdza cieszyńska — <i>Barbara Poloczkowa</i>	37
Napad, którego nie było — <i>Jan Wantula</i>	46
Koniec pańszczyzny — <i>Jerzy Raszka</i>	48
Pierwsi wśród wybranych — <i>Janusz Spyra</i>	50
Piekielko w Międzywiciu — <i>Jaroslav Steciuk</i>	54
Spółdzielczość rolniczo-pieniężna — <i>Stanisław Zahradnik</i>	57
Czy na Zaolziu przygotowywano powstanie? — <i>Krzysztof Szelong</i>	60
Sprawy słowackie nad Olzą — <i>Krzysztof Nowak</i>	65
Nie jestem szowinistą — <i>Karol Musiol</i>	69
Z tajnych raportów NSDAP — <i>Oswald Guziur</i>	72
Jak Feniks z popiołów... — <i>Karol Kajzer</i>	76
Babcia — <i>Beata Sabath-Rozmus</i>	80
O cieszyńskich elementarzach — <i>Kazimiera Picha</i>	81
Z zapomnianych kart twórczości Jana Łyska — <i>Bolesław Orszulik</i>	83
Międzywojenna Macierz w Skoczowie — <i>Jan Wantula</i>	87
„Kujawia” w Cieszynie — <i>Dorota Lankocz</i>	92
Impreza sprzed 60 lat — <i>Józef Pilch</i>	94
Smętne stulecie — <i>Kazimierz Szczurek</i>	97
Zofii Kossak przestrogi dla Polski — <i>Michał Heller</i>	103
Z działalności księgarni „Ognisko” — <i>Emil Fiedor</i>	107
Język polski na Zaolziu umiera — <i>Bożena Madecka</i>	109
Madonna z kwiatem mlecza w dłoni — <i>Jerzy Oszelda</i>	114
Liryk nadzieja — <i>Kazimierz Kaszper</i>	116
Ropicki proboszcz i działacz — <i>Kazimierz Jaworski</i>	117
Szwajcarski tłumacz Zofii Kossak — <i>Edmund Rosner</i>	119
Polski król na Puńcowie — <i>Tadeusz Kłoda, Kazimierz Szczurek</i>	124
Jan Sztwiertnia — <i>Stanisław Hadyna</i>	128
Portret poetki — <i>Józefa Zyta Sarama — Wojnar</i>	132
Podwieczorek u arystokratów — <i>Stefania Majewska-Szmejowa</i>	133
Dlaczego zginął pułkownik? — <i>Leonard Guziur</i>	138
Wspomnienia z karwińskiej Barbary — <i>Edward Bulawa</i>	140
Bum, bum, bum, bum!... — ks. <i>Jan Urbaczka</i>	147
Żandarm, ale człowiek — <i>Olga Nikonowiczowa</i>	149
Prawdziwy koniec wielkiej wojny — ks. <i>Teodor Lichota</i>	151
Wracać, czy nie wracać? — <i>Jerzy Rucki</i>	155
Czas edukacji — <i>Jan Rusnok</i>	157
Po rozmowie z Franciszkiem Świdrem — <i>Władysław Sikora</i>	164
Cztery pory odkupienia — <i>Bolesław Lubosz</i>	165
Rozmowa polska latem 1984 roku — <i>Zbigniew Machej</i>	167
Co rok... — <i>Henryk Jasiczek</i>	168
Wiersze — <i>Beata Sahath-Rozmus</i>	169
Wiersze — <i>Józefa Zyta Sarama-Wojnar</i>	172
Pięć wierszy dla dziewczyny o smutnych oczach — <i>Jerzy Oszelda</i>	173
Pogrzyb — <i>Władysław Młynek</i>	174
Na cieszyńską nutę	175

Granica — <i>Kazimierz Jaworski</i>	177
Gromniczna — <i>Włodzimierz Gólkowski</i>	179
Miłosierny pan Alfred — <i>Zbigniew Machej</i>	180
Przygoda z panią Kowską — <i>Karol Mrózek</i>	182
Z podróży do Jałty — <i>Teodor Cienciała</i>	185
Miasteczko Pyrczyce — <i>Karol Piegza</i>	189
Rok po ślubie — <i>Adam Wawrosz</i>	194
Przysłowia i porzekadła ze Śląska Cieszyńskiego — <i>Marta Bisok — Podzorska</i> .	196
Wiślańskie zwyczaje — <i>Bogumił Hoff</i>	201
Z podań ludowych — <i>Jan Broda</i>	209
Bojtki śląskie — ks. <i>Emanuel Grim</i>	213
Ziemia albo, albo — <i>Renata Putzlacher</i>	218
Zanim nastały lodówki — <i>Idzi Panic</i>	219
O krok od gór — <i>Maria Kocych-Imielska</i>	221
Cieszyn chroni przyrodę — <i>Ludwik Rosner</i>	223
Leki naszych babek i prababek — <i>Józef Gałuszka</i>	229
Sportowcy w kimonach — <i>Kazimierz Raszka</i>	235
Egzotyczna kolekcja — (d)	237
Karwina — <i>Wilhelm Przeczek</i>	238
Ustawa kombatancka	239
Ubezpieczenie społeczne rolników	245
Emerytury i renty po nowemu	251
Szanuj zdrowie należycie...	255
Spróbuj upichcić	260
Doniczka i okolice	264
Porady praktyczne	266
Kiedy i jak założyć pasiekę? — <i>Jan Plewa</i>	269
Nowe marki	271



Książnica Cieszyńska

CZ II 000081/1992

